Dreamland

Opiatowa epidemia w USA

SAM QUINONES

Mikstury z zawartością opium lub morfiny sprzedawano jako cudowny środek na wszystko. Eliksiry te nosiły nazwy przypominające marki od dawna znanych i stosowanych na użytek domowy preparatów (...).

Z początku sądzono, że heroina nie wywołuje uzależnienia. Tabletki heroiny sprzedawano jako lek na kaszel i choroby układu oddechowego, co miało pewne znaczenie, gdyż w tamtym czasie gruźlica była jednym z największych zagrożeń zdrowotnych. Jak szybko odkryli konsumenci, heroina wywołuje zaparcia, więc zaczęto reklamować ją jako środek przeciwbiegunkowy. Kobiety stosowały ją z polecenia lekarzy na bóle menstruacyjne i problemy oddechowe. Niewiele było wówczas innych leków na ból i choroby. Tym samym gwałtownie wzrosła liczba osób uzależnionych od środka, który uznawano za bezpieczny, gdyż polecany był przez lekarzy.

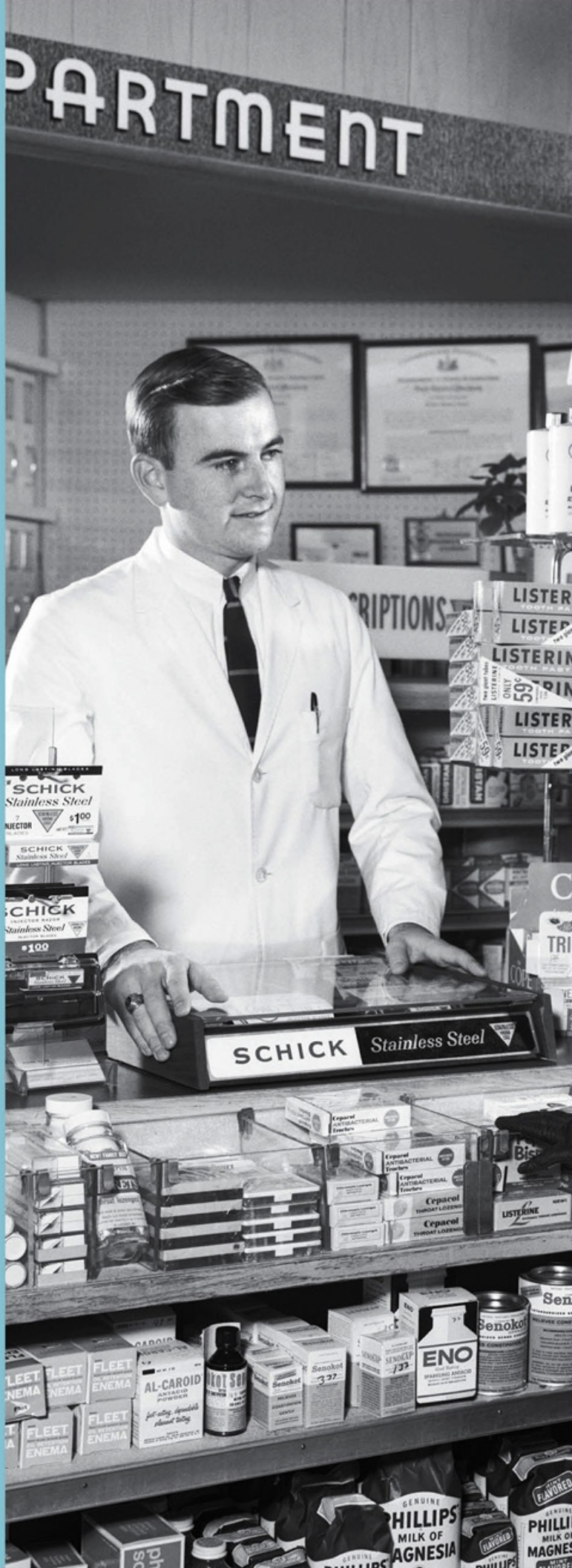

SERIA AMERYKAŃSKA

Magdalena Rittenhouse *Nowy Jork. Od Mannahatty do Ground Zero*

Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki*

Johnny Cash *Cash. Autobiografia*

Allen Ginsberg *Listy*

Bob Dylan *Kroniki. Tom pierwszy*

William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy żywcem się ugotowały*

Lawrence Wright *Droga do wyzwolenia. Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary*

S. C. Gwynne *Imperium księżyca w pełni. Wzlot i upadek Komanczów*

Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki* (wyd. 2)

David Ritz *Respect. Życie Arethy Franklin*

Alysia Abbott *Tęczowe San Francisco. Wspomnienia o moim ojcu*

Jon Krakauer *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija*

Kim Gordon *Dziewczyna z zespołu*

Dennis Covington *Zbawienie na Sand Mountain. Nabożeństwa z wężami w południowych Appalachach*

Rick Bragg *Jerry'ego Lee Lewisa opowieść o własnym życiu*

Scott Carney *Śmierć na Diamentowej Górze. Amerykańska droga do oświecenia*

Hampton Sides *Krew i burza. Historia z Dzikiego Zachodu*

James Grissom *Szaleństwa Boga. Tennessee Williams i kobiety z mgły*

Patti Smith *Pociąg linii M*

Billie Holiday William Dufty *Lady Day śpiewa bluesa*

Dan Baum *Dziewięć twarzy Nowego Orleanu*

Jill Leovy *Wszyscy wiedzą. O zabójstwach czarnych w Ameryce*

Tom Clavin Bob Drury *Serce wszystkiego, co istnieje. Nieznana historia Czerwonej Chmury, wodza Siuksów*

Brendan I. Koerner *Niebo jest nasze. Miłość i terror w złotym wieku piractwa powietrznego*

Hampton Sides *Ogar piekielny ściga mnie. Zamach na Martina Luthera Kinga i wielka obława na jego zabójcę*

Paul Theroux *Głębokie Południe. Cztery pory roku na głuchej prowincji*

S. C. Gwynne *Wrzask rebeliantów. Historia geniusza wojny secesyjnej*

Jon Krakauer *Missoula. Gwałty w amerykańskim miasteczku uniwersyteckim*

James McBride *Załatw publikę i spadaj. W poszukiwaniu Jamesa Browna, amerykańskiej duszy i muzyki soul*

Dan Baum *Wolność i spluwa. Podróż przez uzbrojoną Amerykę*

Legs McNeil Gillian McCain *Please kill me. Punkowa historia punka*

David McCullough *Bracia Wright*

Lawrence Wright *Wyniosłe wieże. Al-Kaida i atak na Amerykę*

Linda Polman *Laleczki skazańców. Życie z karą śmierci*

SAM QUINONES

DREAMLAND

Opiatowa epidemia w USA

Przełożył Maciej Kositorny

wydawnictwo zarne

Wołowiec 2018

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Dreamland: The True Tale of America's Opiate Epidemic*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Fotografia na okładce © by H. Armstrong Roberts / ClassicStock / Getty Imagess
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © Sam Quinones 2015
This translation of *Dreamland*, first edition, is published by Wydawnictwo Czarne by arrangement with Bloomsbury Publishing Inc. and Macadamia Literary Agency, Warsaw. All rights reserved.
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2018
Copyright © for the Polish translation by Maciej Kositorny, 2018
Mapy © by Ortelius Design, 2015

Redakcja Maja Przeperska
Korekta Agnieszka Rymarowicz / d2d.pl, Małgorzata Tabaszewska / d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl
ISBN 978-83-8049-741-2

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Wstęp
Wprowadzenie

CZĘŚĆ I

Enrique
List doktora Jicka
Wszyscy z tego samego miasta
Liberace w regionie Appalachów
Spec od reklamy
Początki Enrique
Molekuła
Jak pizza z dowozem
Enrique samopas
Mak
Lżejsze od trzciny cukrowej
Wystarczy jeden telefon
Enrique dryfuje
W poszukiwaniu Świętego Graala
Ból
Ból i zawodowy zapaśnik
Nadchodzi Gość
Rewolucja
Chodziło o pięćsetjedynki
Przełomowe studium
Spełniony Enrique

Niczym korporacja
Purdue
Gość i Nayaritańczyk
Swing z OxyContinem
Gość w domu
Czym jest OxyContin?
Heroinowe klany w azylu
Liberace wyznacza kierunek
Gość w sercu Ameryki
Ciała to klucz do sprawy
Enrique na szczycie
Heroina jak hamburgery
Smolne jezioro

CZĘŚĆ II

Pytania stare jak świat
Zderzenie: epicentrum
Kanarki w kopalniach
Pięćdziesiąt, sto przypadków miesięcznie
Królestwo ćpunów w Dreamlandzie
Sprawa karna
„Przejęli pas oxycontinowy”
Pełnia wygody
Wzbierająca fala przypływu
Zielonoświątkowa pobożność, ślady po wkłuciu
„Roznieślim epidemię”
Więcej przedawkowań niż wypadków samochodowych
Dziedzictwo zawodowego zapaśnika
Świetne czasy dla handlarzy heroiną
Rozprawa

CZĘŚĆ III

„Teraz to dziecko twojego sąsiada”
Jak szefowie firmy produkującej papierosy
Żadnego człowieka z blizną, żadnego bossa
Rodzicielski ból duszy

CZĘŚĆ IV

Ameryka
To ty jesteś terapią
Internet towaru
Nikt nie zrobi tego w pojedynkę

CZĘŚĆ V

Podnosząc się z gruzów

Posłowie
Podziękowania
Źródła
Kolofon

Dla moich dziewczyn

W kwestii terminologii. W książce używam terminu „opiaty” do opisu: 1. narkotyków takich jak morfina i heroina, które otrzymywane są bezpośrednio z maku lekarskiego, oraz 2. narkotyków, które otrzymywane są niebezpośrednio bądź są syntetyzowane z substancji otrzymywanych bezpośrednio z maku lekarskiego i przypominają w swym działaniu morfinę. Pochodne często nazywane są „opioidami”. Uznałem jednak, że przeskakiwanie od jednego terminu do drugiego mogłoby wywołać niepotrzebny zamęt.

KALENDARIUM

1804: Po raz pierwszy udaje się otrzymać morfinę z opium.

1839: Wybuch I wojny opiumowej – Imperium Brytyjskie wysyła wojsko do Chin w celu otworzenia tamtejszego rynku na import opium z Indii; Brytyjczycy zajmują Hongkong. II wojna opiumowa wybucha w 1857 roku.

1853: Wynalezienie strzykawki do zastrzyków podskórnych. Pierwszą ofiarą przedawkowania narkotyków przyjętych drogą iniekcji zostaje żona wynalazcy.

1898: Chemik z laboratorium Bayera syntetyzuje diacetylomorfinę, której nadaje nazwę heroina.

1914: Kongres Stanów Zjednoczonych przyjmuje Ustawę Harrisona o opodatkowaniu sprzedaży narkotyków.

1928: Utworzenie instytucji, która ostatecznie przyjmie nazwę Committee on Problems of Drug Dependence (Komitet do spraw Uzależnień od Leków), jej zadaniem jest znalezienie Świętego Graala w postaci nieuzależniającego środka przeciwbólowego.

1935: Otwarcie w Lexington w stanie Kentucky Farmy Narkotyków – federalnego więzienia / ośrodka odwykowego oraz ośrodka badawczego.

1951: Arthur Sackler rewolucjonizuje reklamy leków kampanią antybiotyku terramycyny.

1952: Arthur, Raymond i Mortimer Sacklerowie kupują firmę farmaceutyczną Purdue Frederick.

1960: Dzięki kampanii reklamowej prowadzonej przez Arthura Sacklera Valium staje się pierwszym lekiem, który przynosi sto milionów dolarów zysku.

1974: Zamknięcie Farmy Narkotyków i przekształcenie jej w więzienie z oddziałem szpitalnym.

1980: Jan Stjernswärd zostaje mianowany szefem programu nowotworowego Światowej Organizacji Zdrowia. Opracowanie drabiny analgetycznej WHO.

1980: „New England Journal of Medicine” zamieszcza list do redakcji, który nazwany zostanie „Porter i Jick”.

Początek lat osiemdziesiątych XX wieku: Pierwsi imigranci z Xalisco zajmujący się sprzedażą heroiny pojawiają się w dolinie San Fernando w Los Angeles.

1984: Firma farmaceutyczna Purdue wypuszcza na rynek MS Contin – przeznaczony dla chorych na raka morfinowy środek przeciwbólowy z formułą kontrolowanego uwalniania substancji czynnych.

1986: Doktor Kathleen Foley i doktor Russell Portenoy zamieszczają publikację w czasopiśmie „Pain”, otwierając tym samym debatę na temat stosowania opiatowych środków przeciwbólowych do szerszego spektrum bólu.

1987: Umiera Arthur Sackler, który zrewolucjonizował rynek reklamy środków farmaceutycznych.

Początek lat dziewięćdziesiątych XX wieku: Prowadzone przez Chłopaków z Xalisco komórki handlujące heroiną zaczynają rozszerzać swoją działalność poza obszar doliny San Fernando na miasta leżące na zachodzie Stanów Zjednoczonych, rozwijając przy tym swój system sprzedaży oparty na modelu „pizza na zamówienie”.

1996: Firma farmaceutyczna Purdue wypuszcza na rynek OxyContin – oksykodon o przedłużonym uwalnianiu – reklamowany jako środek przeciwbólowy dla osób z przewlekłym bólem.

1996: Klinika doktora Davida Proctera w South Shore w stanie Kentucky uznana zostaje za pierwszą w Stanach Zjednoczonych fabrykę prochów.

1996: Przewodniczący Amerykańskiego Towarzystwa Bólu nakłania lekarzy do uznania bólu za parametr życiowy.

1998: Gość jako pierwszy sprzedaje czarną smołę na wschód od rzeki Missisipi; osiada w Columbus w stanie Ohio.

1998: Doktor David Procter z Portsmouth w stanie Ohio ma wypadek samochodowy, przez który nie może już prowadzić praktyki lekarskiej, choć wciąż kieruje kliniką leczenia bólu; zatrudnia innych lekarzy do otwierania kolejnych tego typu placówek.

Późne lata dziewięćdziesiąte XX wieku: Prowadzone przez Chłopaków z Xalisco komórki handlujące heroiną rozszerzają działalność na tereny leżące na wschód od rzeki Missisipi.

1998–99: Agencja do spraw Zdrowia Weteranów (VHA) oraz Połączona Komisja Akredytacyjna Instytucji Opieki Zdrowotnej (JCAHO) uznają ból za piąty parametr życiowy.

2000: Operacja „Smolne jezioro” skierowana przeciwko sieciom heroinowym z Xalisco – największa wspólna operacja DEA i FBI oraz pierwsza sprawa karna związana z handlem narkotykami sięgająca obu wybrzeży Stanów Zjednoczonych.

2001: Kontuzjowani robotnicy objęci funkcjonującym w stanie Waszyngton systemem ubezpieczeń pracowniczych zaczynają umierać z powodu przedawkowania opiatów.

2002: Doktor David Procter zostaje uznany winnym handlu narkotykami i uczestnictwa w zmowie przestępczej; odsiedzi siedem lat w więzieniu federalnym.

2004: Doktor Gary Franklin i doktor Jaymie Mai z agencji rządowej Labor and Industries w stanie Waszyngton publikują dane na temat spowodowanych przedawkowaniem opiatowych środków przeciwbólowych zgonów robotników, którzy odnieśli urazy w pracy.

Połowa pierwszej dekady XXI wieku: Komórki handlarzy czarną smołą z Xalisco działają już w siedemnastu stanach. W Portsmouth w stanie Ohio jest więcej fabryk prochów na głowę mieszkańca niż w jakimkolwiek innym mieście w Stanach Zjednoczonych. Liberalne prawo obowiązujące na Florydzie sprawia, że staje się ona kolejnym centrum nielegalnego pozyskiwania pigułek.

2006: Operacja „Gorączka czarnego złota” – druga przeprowadzona w skali całego kraju operacja DEA przeciwko komórkom handlarzy czarną smołą z Xalisco.

2007: Firma Purdue i trzech pracowników szczebla kierowniczego zostali uznani winnymi występku fałszywego oznakowania OxyContinu; kara wynosi sześćset trzydzieści cztery miliony dolarów.

2008: Liczba zgonów wskutek przedawkowania – przede wszystkim opiatów – przewyższa liczbę śmiertelnych ofiar wypadków samochodowych; w Stanach Zjednoczonych przedawkowanie staje się głównym powodem śmierci z przyczyn innych niż naturalne.

2010: Wojna narkotykowa między kartelami Los Zetas i Sinaloa dociera do Xalisco w stanie Nayarit.

2011: Ohio przyjmuje Ustawę numer 93, która reguluje działalność klinik leczenia bólu.

2013: College on Problems of Drug Dependence (Kolegium do spraw Problemów z Uzależnieniem od Leków) obchodzi siedemdziesięciopięciolecie bez znalezienia Świętego Graala w postaci nieuzależniającego środka przeciwbólowego.

2014: Umiera aktor Philip Seymour Hoffman, po raz pierwszy ogół społeczeństwa zwraca uwagę na panującą w Stanach Zjednoczonych epidemię nadużywania opiatów, a w szczególności na przechodzenie ze środków przeciwbólowych na heroinę.

2014: Federalny Urząd Żywności i Leków (FDA) zezwala na wprowadzenie do obrotu Zohydro – hydrokodonowego środka przeciwbólowego z formułą kontrolowanego

uwalniania substancji czynnych, który nie zawiera substancji zniechęcającej do nadużywania. Podobna zgoda zostaje wydana dla wyprodukowanego przez firmę Purdue środka Targiniq ER, który łączy w sobie oksykodon o przedłużonym uwalnianiu oraz nalokson, czyli antidotum na przedawkowanie opiatów.

Miasta w Stanach Zjednoczonych, w których handlarze z Xalisco mają (gwiazdki) lub kiedyś mieli (kropki) komórki sprzedające heroinę. W większości przypadków rynek zbytu dla czarnej smoły rozciąga się daleko poza granice miasta, czasami nawet na setki kilometrów.

Gmina Xalisco w stanie Nayarit, Meksyk

Wioski w gminie Xalisco, stan Nayarit

Wstęp

Portsmouth, Ohio

Robotnicze miasto Portsmouth od niespełna trzydziestu lat przeżywało okres rozkwitu, kiedy w 1929 roku otwarto nad rzeką Ohio prywatny basen nazwany Dreamland.

Pływalnia miała wielkość boiska futbolowego, a nad jej krystalicznie błękitną wodą przez dziesięciolecia dorastały kolejne pokolenia mieszkańców miasta.

Można powiedzieć, że obiekt pełnił funkcję wakacyjnej opiekunki do dzieci, gdyż rodzice codziennie zostawiali tam swoje pociechy. Miejscowi znajdowali na nim chwilę wytchnienia od męczącej duchoty, potem zaś ruszali na drugą stronę ulicy, gdzie na stoisku A&W kupowali sobie hot dogi i piwo korzenne. Na basenie sprzedawano też najlepsze w okolicy frytki. Dzieciaki ruszały tam autobusem rano, a do domu wracały już po południu. Uczyły się w różnych szkołach hrabstwa Scioto, więc było to miejsce, gdzie mogły się spotkać i wspólnie uczyć pływać. Część z nich rywalizowała w drużynie pływackiej Delfiny z Dreamlandu, której zajęcia odbywały się każdego ranka i wieczora. Prezenterzy z lokalnej stacji radiowej WIOI, wiedząc, że wielu słuchaczy opala się przy radioodbiornikach na basenie, co pół godziny puszczali przerywnik: „Odwróć się na wznak, bo będziesz jak rak”.

Basen był na tyle duży, że mieścił na środku dwie betonowe platformy, na których dzieciaki przez chwilę wygrzewały się na słońcu, by potem znów zanurzyć się w wodzie. Obok stały słupy z reflektorami pozwalającymi na kąpiele nocne. U jednego krańca pływalni znajdował się olbrzymi trawnik, na którym rodziny rozkładały się na kocach, a u drugiego skorzystać można było z szatni i restauracji.

Mimo że w Dreamlandzie mogły przebywać setki ludzi, i tak wydawało się, że jakimś cudem jego teren rozciągał się tak, że zawsze było miejsce dla kolejnych chętnych. Przez lata basen należał do skarbnika miejskiego Jaimego Williamsa, który był zarazem współwłaścicielem jednej z fabryk obuwia stanowiących o sile przemysłowego potencjału Portsmouth. Przedsiębiorca stopniowo skupował kolejne grunty przylegające do obiektu i przez lata wydawało się, że Dreamlandowi pisana jest świetlana przyszłość. Przyłączono do niego duży plac przeznaczony pod

piknikowanie oraz place zabaw dla młodszych dzieci. Potem doszły do tego jeszcze boiska do softballu, futbolu i koszykówki oraz pole do gry w shuffleboard, a także salon automatów do gier.

Przez jakiś czas, by zagwarantować wstęp wyłącznie białym, basen funkcjonował jako klub i przemianowano go na Terrace Club. Jednak Portsmouth było w znacznej mierze miastem integracji rasowej – komendantem policji miejskiej był czarny, a dzieci obu kolorów skóry chodziły do tych samych szkół. Segregacja panowała wyłącznie na basenie. Między innymi z powodu zakazu wstępu na pływalnię latem 1961 roku w rzece Scioto – podczas pływania – utonął czarny chłopak Eugene McKinley. Miejscowy oddział NAACP (Krajowe Stowarzyszenie na rzecz Awansu Ludności Kolorowej) przystąpił do działania i dzięki wywieranym naciskom po cichu doprowadzono do zniesienia segregacji, jednocześnie przywracając nazwę Dreamland – choć czarnym nigdy nie było dane czuć się tam w pełni komfortowo.

Niemniej kąpielisku udało się zatrzeć różnice klasowe. W tłumie noszącym kostiumy kąpielowe robotnik nie odróżniał się od kierownika fabryki lub właściciela sklepu odzieżowego. Bogacze mieszkający na wzgórzach wpłacali pieniądze na fundusz, z którego pokrywano letnie karnety dla rodzin z rozciągającego się między torami kolejowymi a rzeką Ohio East Endu. Nabrzeżna biedota i zamieszkujący nad nią goście z ekskluzywnej dzielnicy razem spotykali się w Dreamlandzie.

Kalifornia miała swoje plaże, z kolei środkowe Stany Zjednoczone spędzały lato na basenach. Położone na peryferiach Ohio Portsmouth dzięki Dreamlandowi zyskało zaskakujący rozgłos. Sezonowy karnet rodzinny kosztował zaledwie dwadzieścia pięć dolarów i był cenionym prezentem bożonarodzeniowym. Dzieci z rodzin, których nie stać było na taki wydatek, mogły za piętnaście centów skosić sąsiadom ogródek i za zarobione w ten sposób pieniądze kupić sobie bilet na cały dzień.

Piątkowe potańcówki zaczynały się o północy. Wyciągano na zewnątrz szafę grającą i towarzystwo spędzało noc, twistując przy basenie. Zakochane pary obnosiły się ze swą miłością, spacerując za rękę po Dreamlandzie. Na dziewczyny wracające z tańców czekały w domu niezamknięte na klucz drzwi. Jak wspominała pewna kobieta: „Wieczorny skwar w połączeniu z chłodem wody były czymś wspaniałym. To był cały mój świat. Nie robiłam nic innego. Gdy dorosłam i urodziłam dzieci, też je tam zabierałam”.

Rzeczywiście, cykl życia w Portsmouth zataczał koło właśnie w Dreamlandzie. Najmłodsze dzieci swoje pierwsze lata spędzały w brodziku pod czujnym okiem rodziców, a zwłaszcza matek, które w swoim towarzystwie przesiadywały u jego brzegu na kocach rozłożonych wprost na betonie. Po skończeniu szkoły podstawowej młodzież przenosiła się do środkowej części kompleksu, gdzie miała do swojej dyspozycji trawnik. Licealiści gromadzili się przy mierzącym trzy metry głębokości końcu basenu, były tam też trampolina i stanowisko głównego ratownika, a rodzice nie siedzieli im już na głowie. Po ślubie oraz narodzinach własnych dzieci młode kobiety wracały w okolice brodzika, by pilnować swoich dziatek – i wszystko zaczynało się od początku.

Pewien mężczyzna wspominał, jak jego ojciec, weteran II wojny światowej, podczas której służył w marynarce, nalegał, by czwórka jego dzieci nie tylko nauczyła się pływać, ale też wyzbyła się strachu przed wodą: „Moja młodsza siostra skakała z pięciometrowej trampoliny już w wieku trzech lat. Oczywiście, tata, ja sam i mój brat byliśmy na wszelki wypadek w basenie. Po chwili siostrzyczka wynurzyła się z okrzykiem: »Jeszcze raz!«”.

Przez lata Chuck Lorentz – kierownik Dreamlandu, trener z liceum i zagorzały purytanin – przechadzał się po kompleksie z metrową laską, sprawdzając, czy nastolatki przestrzegają ustanowionej przez niego „reguły jednego metra” i trzymają się od siebie na taki dystans. Niezbyt mu się to udawało, bo bodaj połowa miasta po raz pierwszy całowała się właśnie na basenach, a wiele chłopaków i dziewczyn miało swój pierwszy raz na tamtejszych rozległych trawnikach.

Syn Lorentza nauczył się pływać, nim jeszcze zaczął chodzić, a później, już w liceum, został ratownikiem na basenie.

– Kiedy tak siedziałem na swoim stanowisku, byłem w samym centrum wydarzeń, w samym środku całego tego puszenia się i flirtowania – opowiadał John, dziś emerytowany profesor historii. – Czułem się niczym król na tronie.

Przez wszystkie te lata w Portsmouth działały dwie kręgielnie, domy towarowe JCPenney, Sears i Montgomery Ward z windą oraz lokalny sklep Marting’s Department Store, gdzie znajdował się zakład fotograficzny, w którym robili sobie zdjęcia uczniowie ostatnich klas. Ulica Chillicothe tętniła życiem i sunęły po niej wielkie, wyprodukowane w Ameryce sedany i kombi. W soboty realizowano czeki z tygodniówką u Kresge’a, a właściciele jubilerni Morgan Brothers Jewelry, sklepu mięsnego Hermann’s Meats i sklepu z ubraniami Atlas Fashion zarabiali jak na

klasę średnią przystało. Dzieciaki jechały autobusem do centrum, gdzie szły do kina lub na napój wiśniowy do Smith's Drugstore, zaś w Halloween chodziły do późna od domu do domu, wypraszając dla siebie słodycze. W piątkowe i sobotnie wieczory nastolatki snuły się wzdłuż ulicy Chillicothe, zaczynając od apteki Staker's Drugs aż do Smith'sa, gdzie zawracały.

Fabryki obuwia odliczały przez cały rok od każdej pensji dla swoich pracowników pewną kwotę przeznaczaną na Klub Bożonarodzeniowy. Przed samymi świętami wręczano czek, który trzeba było zrealizować w banku. Przy ulicy Chillicothe panowało wtedy święto. Dzwoneczki nad drzwiami brzęczały bez przerwy, do sklepów wchodzili kolejni klienci, którzy oglądali przedtem ruchome kukiełki umieszczone na pomalowanych w choinki, bałwany i cukierki wystawach. Na pierwszym piętrze domu towarowego Marting's co roku pojawiał się Święty Mikołaj.

Tak więc w latach 1979 i 1980 Portsmouth w pełni zasłużyło na przyznanie mu tytułu All-American City dla społeczności, która najlepiej ze sobą współpracuje przy rozwiązywaniu problemów. W mieście mieszkało wtedy ponad czterdzieści dwa tysiące osób, z których niewiele było bogatych, a Departament Pracy zaklasyfikowałby większość jako ubogą. Jednak jak mówiła jedna z mieszkanek: „Nie byliśmy tego świadomi i zupełnie nas to nie obchodziło". U podstawy wspólnoty tkwił przemysł. Nikt nie miał w ogródku basenów, zamiast tego były parki, korty tenisowe, boiska do koszykówki, oglądanie wystaw sklepowych i nadbrzeże, z którego można było zjeżdżać. Zimą chodziło się na łyżwy do parku Millbrook, a latem piknikowało przy Jeziorze Roosevelta lub przesiadywało do późna na ulicy, gdzie dzieci bawiły się w chowanego.

– Urządzaliśmy sobie pikniki w małym parku na brzegu rzeki Ohio, gdzie tata tak mocno bujał mnie na huśtawce, aż wydawało mi się, że zaraz wyląduję w Kentucky – wspominała inna kobieta.

Dzięki tej rekreacyjnej infrastrukturze rodziny robotnicze mogły mieć poczucie, że całkiem nieźle im się powodzi. Jednak jej centrum nieodmiennie stanowił błyszczący, wspaniały basen. Po tym jak miasto podupadło, niemal wszyscy, którzy wzrastali w Portsmouth, zachowali w sobie spowitą w woń chloru, kremu do opalania Coppertone i frytek pamięć o Dreamlandzie.

Dziś istnieją dwa Portsmouthy. Pierwsze, pełne opuszczonych budynków, leży nad rzeką Ohio, drugie zaś tkwi we wspomnieniach tysięcy jego żyjących

w diasporze mieszkańców, którzy dorastali w nim w czasach jego świetności, a teraz rzadko – jeśli w ogóle – wracają do tego pierwszego.

Kiedy jednak pyta się ich, czym było wtedy dla nich to miasto, odpowiadają, że Dreamlandem.

Wprowadzenie

W zamieszkałej przez klasę średnią dzielnicy wschodniego Columbus w stanie Ohio, gdzie wychowywał się Myles Schoonover, zdarzało się, że młodzież paliła zioło i piła alkohol. Kiedy jednak Myles dorastał, nie znał nikogo, kto brałby heroinę. Wraz z młodszym bratem Mattem chodzili do prywatnego chrześcijańskiego liceum na przedmieściach. Ich ojciec Paul Schoonover jest współwłaścicielem firmy ubezpieczeniowej, a matka Ellen Schoonover prowadzi dom i dorywczo pracuje jako konsultantka.

Myles lubił się bawić, ale wiedział, kiedy przestać i zająć się czymś poważnym. W 2005 roku rozpoczął studia na chrześcijańskim uniwersytecie w Tennessee i gdy młodszy brat zaczął dorastać, przez większą część czasu mieszkał poza domem. Matt z kolei miał zespół nadpobudliwości psychoruchowej i nauka przychodziła mu z trudem. W pierwszej klasie liceum zaczął imprezować – palił marihuanę i pił alkohol.

Drogi obu braci znów się zeszły, gdy w 2009 roku Matt zaczął studia na tej samej uczelni, do której uczęszczał Myles. Rodzice nigdy się nie dowiedzieli, kiedy ich młodszy syn tak naprawdę zaczął łykać prochy, które wówczas były już dostępne w całym środkowym Ohio i Tennessee. Jednak Myles jeszcze w tym samym roku szybko się zorientował, że tabletki stanowią ważną część życia brata.

Matt miał nadzieję, że studia będą dla niego nowym początkiem. Nie były. Zamiast tego zebrał paczkę niezbyt zdolnych i pozbawionych motywacji kumpli. Spali na kanapie Mylesa, co skończyło się tak, że ten musiał dla nich nawet gotować. Przez pewien czas prał też ubrania brata, który potrafił tygodniami ich nie zmieniać. Jednak mierzący metr osiemdziesiąt krzepki Matt był też troskliwym kolesiem o łagodnym usposobieniu. Potrafił być serdeczny i uroczy. W ostatnim liście do mamy, który wysłał po tym, jak jego babcia trafiła na jakiś czas do szpitala, napisał: „Kocham cię, mamusiu. Cała ta sprawa z babcią uświadomiła mi, że nigdy się nie wie, ile jeszcze pozostało nam czasu. Jesteś najlepszą mamą, o jakiej mógłbym marzyć”. Niestety prochy utrzymywały go we mgle. Pewnego razu Myles musiał zaprowadzić go na pocztę, żeby wysłał mamie kartkę z życzeniami urodzinowymi, bo inaczej Matt nie byłby w stanie tam trafić.

Myles pracował na uczelni jako asystent i miał kontakt z młodzieżą w wieku swego brata. Uważał, że jego pokolenie w dużej mierze nie potrafiło radzić sobie z wymaganiami, jakie stawiało przed nimi życie, i płynącymi z nich konsekwencjami. Myles uczył również w Pekinie angielskiego młodych Chińczyków, którzy zaciekle starali się wyróżnić na tle milionów swoich rówieśników. Żyjącym po drugiej stronie oceanu amerykańskim dzieciakom zapewniono lwią część dostępnych na świecie zasobów, jednak nie przynosiło to efektu. Dawali się ponieść prądowi, ograniczając się do niezbędnego minimum, byli zależni od rodziców w kwestii rozwiązywania swoich problemów – tych poważnych, jak i tych błahych.

Pod koniec roku Matt wrócił do domu i zamieszkał z rodzicami. Myles spędził kilka kolejnych lat na Yale, gdzie przygotowywał się do egzaminu magisterskiego ze studiów judaistycznych i biblijnych, nie mając żadnego pojęcia, co się działo z bratem. Ten natomiast w domu rodzinnym stracił – ale tylko pozornie – doskwierające mu na studiach poczucie bezcelowości, zaczął się schludnie ubierać i podjął pełnoetatową pracę w firmie cateringowej. Jednak po jakimś czasie, co rodzice uświadomili sobie zbyt późno, Matt stał się typowym lekomanem zażywającym wydawane na receptę opiatowe środki przeciwbólowe, przede wszystkim Percocet. Potem przerzucił się na OxyContin – silny lek produkowany przez działającą w niewielkim stanie Connecticut firmę Purdue Pharma.

Na początku 2012 roku, gdy rodzice zorientowali się, jaka jest sytuacja, zaczęli się martwić. Jednak jakkolwiek patrzeć, nadużywane przez ich syna tabletki ostatecznie były środkami farmakologicznymi przepisywanymi na receptę przez lekarzy. Nie były to żadne pokątnie sprzedawane na ulicy narkotyki, od których można było umrzeć. Zaprowadzili więc syna do lekarza, a ten zalecił mu tygodniową detoksykację w domu polegającą na zażywaniu środków nasennych i leków na nadciśnienie, które razem miały złagodzić objawy głodu opiatowego.

Nawrót nałogu przyszedł dość szybko. W pewnym momencie, nie mając pieniędzy na kupienie OxyContinu od dilerów, Matt zaczął brać heroinę w postaci czarnej smoły, która zdążyła już zalać rynek narkotykowy w Columbus. Sprzedawali ją młodzi Meksykanie z położonego na meksykańskim wybrzeżu Oceanu Spokojnego małego stanu Nayarit. Kiedy dziś rodzice Matta wracają myślami do tamtych czasów, przypuszczają, że syn przerzucił się na czarną smołę już kilka miesięcy wcześniej – nim jeszcze dowiedzieli się o jego uzależnieniu.

W kwietniu 2012 roku Matt ze łzami w oczach wyznał im, że ma problem z heroiną. Zszokowani, zawieźli go do ośrodka odwykowego.

Rodzice zadzwonili też do Mylesa, który od jakiegoś czasu nie miał kontaktu z bratem.

– Jest na odwyku narkotykowym – poinformowała go matka.

– Co? Co się stało?

Ellen zamilkła na chwilę, nie wiedząc, jak to powiedzieć.

– Matt jest uzależniony od heroiny.

Myles rozpłakał się.

Po trzech tygodniach odwyku Matt Schoonover wrócił do domu 10 maja 2012 roku. Rodzice myśleli, że koszmar się skończył. Nazajutrz kupili mu nowy akumulator do samochodu i telefon komórkowy. W pewnym momencie wyszedł na spotkanie Anonimowych Narkomanów, po którym miał pograć w golfa z kolegami. Obiecał, że po zakończeniu spotkania AN zadzwoni do ojca.

Rodzice przez cały dzień czekali na telefon, ale Matt nie zadzwonił. Zamiast tego nocą zapukał do ich drzwi policjant.

Na pogrzeb Matta przyszło ponad osiemset osób. Kiedy przedawkował czarną smołę, miał zaledwie dwadzieścia jeden lat.

Bezpośrednio po śmierci syna przez kilka miesięcy Paul i Ellen Schoonoverowie wielokrotnie doznawali szoku, zdawszy sobie sprawę, jak mało wiedzieli. Po pierwsze: tabletki – przepisywali je lekarze, więc jak mogły doprowadzić do uzależnienia od heroiny, a nawet śmierci? Czym właściwie była czarna smoła? Heroinę brali ci, którzy mieszkali w namiotach rozbitych pod mostami. Matt wychowywał się w najlepszej dzielnicy, chodził do prywatnej szkoły chrześcijańskiej i był parafianinem szanowanego Kościoła. Przyznał się do swego uzależnienia, szukał pomocy, dostał najlepszą stacjonarną terapię odwykową w Columbus. Dlaczego to nie wystarczyło?

W całych Stanach Zjednoczonych umierały tysiące ludzi pokroju Matta Schoonovera. Co roku więcej osób padało ofiarą przedawkowania narkotyków, niż ginęło w wypadkach drogowych. Do tego czasu proporcja ta była odwrotna. Większość zgonów wynikłych z przedawkowania narkotyków była następstwem przyjmowania opiatów – środków przeciwbólowych wydawanych na receptę lub heroiny. Jeśli za miarę przyjąć liczbę ofiar śmiertelnych, to ówczesna fala nadużywania opiatów była największą plagą narkotykową, jaka kiedykolwiek nawiedziła Stany Zjednoczone.

Epidemia objęła większą grupę osób i pozostawiła za sobą więcej trupów niż plaga cracku z lat dziewięćdziesiątych lub heroiny z lat siedemdziesiątych XX wieku. Towarzyszyła jej natomiast niemal całkowita cisza. Umierały dzieciaki z pasa rdzy w Ohio i pasa biblijnego w Tennessee. Najgorzej było w enklawach ekskluzywnych ośrodków wypoczynkowo-rekreacyjnych w Charlotte. Plaga dotknęła też Mission Viejo i Simi Valley w przedmiejskiej południowej Kalifornii, Indianapolis, Salt Lake City, Albuquerque, Oregon, Minnesotę, Oklahomę i Alabamę. Na każdy tysiąc umierających w danym roku przypadały kolejne tysiące uzależnionych.

Opiatowe tabletki przeciwbólowe okazały się nośnikiem, za pomocą którego heroina trafiła do głównego nurtu życia społecznego. Wśród uzależnionych pojawili się futboliści i cheerleaderki, a sam futbol okazał się niemal pewną drogą do uzależnienia od opiatów. Wracający z Afganistanu ranni żołnierze brali tabletki garściami i marli już w domu. Młodzież nadużywała ich na uczelniach i tam też umierała. Część uzależnionych pochodziła z wiejskich zakątków regionu appalaskiego, jednak większość należała do amerykańskiej klasy średniej. Mieszkali w domach z zadbanymi podjazdami, mieli nowe samochody, a w okolicznych centrach handlowych był Starbucks, Home Depot, CVS i Applebee's. Znajdowały się wśród nich córki pastorów, synowie gliniarzy i lekarzy, dzieci przedsiębiorców, nauczycieli, właścicieli firm i bankierów.

Niemal wszyscy byli biali.

Dzieci najbardziej uprzywilejowanej grupy społecznej w najbogatszym kraju w historii świata uzależniały się i umierały na skalę niemal epidemiczną od środków, które przede wszystkim miały służyć uśmierzaniu bólu. „Jakiego bólu?", zapytał retorycznie gliniarz z Karoliny Północnej, gdy pewnego wieczora krążyłem z nim po bogatych okolicach na południe od Charlotte, gdzie aresztował dzieciaki za posiadanie prochów i heroiny.

Wskaźnik przestępczości był rekordowo niski, a liczba zgonów spowodowanych przedawkowaniem środków odurzających biła kolejne rekordy. Pozornie szczęśliwa fasada przesłaniała zatrważającą rzeczywistość.

Pochłonęła mnie ta historia. Dotyczyła Stanów Zjednoczonych i Meksyku, uzależnienia i marketingu, bogactwa i ubóstwa, szczęścia i dróg do jego osiągnięcia. Postrzegałem ją jako opowieść uplecioną z wątków pochodzących właściwie zewsząd. Poprowadziła mnie ona też przez historię naszego stosunku do bólu i przeprowadzonej na tym tle rewolucji w amerykańskiej medycynie.

Śledzenie jej zawiodło mnie do meksykańskiego miasteczka plantatorów trzciny cukrowej w Nayaricie i podobnej wielkości miasta w pasie rdzy w południowym Ohio. Powiodła mnie ona przez appalaskie Kentucky i bogate przedmieścia miast, które najbardziej skorzystały na epoce nadwyżek z końca lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Starając się podążać za poszczególnymi wątkami, rozmawiałem z gliniarzami i ćpunami, profesorami i lekarzami, pielęgniarkami z publicznej służby zdrowia i aptekarzami.

Spotykałem się też z rodzicami.

W Nowy Rok 2013 byłem w Covington w stanie Kentucky, gdzie zaczynałem zakrojone już na pełną skalę przygotowania do napisania tej książki. Jedynym otwartym lokalem, w którym mogłem zjeść lunch, była Herb and Thelma's Tavern – przytulna, zaciemniona knajpka, gdzie można było zamówić sobie chili. W środku było kilkunastu członków rodziny obchodzącej urodziny dziewczynki. Usiadłem w kącie, jedząc i pisząc przez jakąś godzinę w poświacie telewizora nadającego relację z uniwersyteckich rozgrywek futbolowych i zawieszonego na ścianie neonu reklamującego bawarskie piwo.

Wstałem, żeby wyjść, gdy na widok mojej bluzy z napisem Berkeley jedna ze starszych pań zapytała: „Nie jesteś stąd, prawda?".

Odpowiedziałem jej, że jestem z Kalifornii. Spytała więc, co robię tak daleko od domu. Powiedziałem, że zaczynam gromadzić materiały do książki o heroinie i nadużywaniu tabletek wydawanych na receptę.

Impreza zamarła i w tawernie zapanowała cisza.

– No dobrze, podsuń się tu z krzesłem – powiedziała po krótkiej pauzie. – Mam ci coś do powiedzenia.

Nazywała się Carol Wagner. Zaczęła opowiadać o swoim przystojnym, mającym wyższe wykształcenie synu Chadzie, któremu przepisywano OxyContin na ból wywołany zespołem cieśni kanału nadgarstka. Wpadł w uzależnienie, z którego nigdy nie wyszedł. Stracił dom i rodzinę, a pięć lat później zmarł wskutek przedawkowania heroiny w ośrodku resocjalizacji w Cincinnati. Synowa Carol miała bratanka, którego także zabiła heroina.

– Nie potępiam już narkomanów – powiedziała Carol. – Nie potępiam już też prostytutek.

Opuściłem Herb and Thelma's i jechałem ulicami, zaskoczony tym, że przypadkowe spotkanie w sercu Ameryki może przynieść opowieść o tak osobistym doświadczeniu związanym z heroiną.

Później spotykałem innych rodziców, których dzieci wciąż żyły, choć przeobraziły się w kłamiących i kradnących niewolników niewidzialnej molekuły. Oni sami zaś każdej nocy bali się telefonu, że w ubikacji McDonalda znaleziono zwłoki ich dziecka. Plajtowali, płacąc za odwyki, i odbierali wezwania z więzienia. Przenosili się tam, gdzie nikt nie wiedział o wstydzie, jaki ich spotkał. Modlili się, żeby ich dziecko z powrotem stało się takim, jakim je niegdyś znali. Niektórzy myśleli o samobójstwie. Cierpieli na silną nerwicę i byli zupełnie nieprzygotowani na nagły koszmar związany z nadużywaniem opiatów, który sponiewierał i zniszczył ich życie.

Wśród nich byli Paul i Ellen Schoonoverowie. Poznałem ich – udręczonych i oszołomionych – rok po śmierci Matta.

– W kółko próbowałem dociec, co się stało. Dlaczego nasze życie legło w gruzach – mówił mi Paul, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w jego firmie ubezpieczeniowej w Columbus. – Jak to wszystko mogło się wydarzyć?

Oto jak.

CZĘŚĆ I

Enrique

Yuma, Arizona

Gorącego letniego dnia 1999 roku młody Meksykanin z krótko ostrzyżonymi włosami, w nowych butach, czystej kremowej koszuli z wyłogami kołnierzyka przypinanymi na dwa guziki oraz wyprasowanych beżowych spodniach przekroczył granicę na podstawie sfałszowanego amerykańskiego prawa jazdy i na piechotę wkroczył do stanu Arizona.

Następnie złapał taksówkę i pojechał na międzynarodowy port lotniczy w Yumie, skąd zamierzał polecieć do Phoenix.

Na samym lotnisku czekało na samolot kilkunastu innych Meksykanów. Niscy i o ciemnej karnacji, mieli na sobie zakurzone czapki bejsbolowe, dżinsy i wypłowiałe podkoszulki. Na widok ich ogorzałych twarzy pomyślał, że pewnie mają pokryte odciskami i zrogowaciałe dłonie. Wziął ich za nielegalnych imigrantów, być może robotników budowlanych dumnych z tego, że nie boją się ciężkiej pracy, choć to było właściwie wszystko, co mogli zaoferować.

Czasami przedstawiał się jako Enrique. Był wysoki, przystojny i miał jasną skórę. Nabyte jeszcze w dzieciństwie odciski na dłoniach zdążyły już zmiękнąć. Wychował się w ruderze na obrzeżach leżącej o piętnaście godzin jazdy samochodem na południe od Arizony wsi w meksykańskim stanie Nayarit. Jego ojciec uprawiał trzcinę cukrową. Od trzciny zależała też cała wioska, która przez to nie mogła się wydobyć z biedy, a życie w niej było podłe i pełne przemocy. Rodzinę Enrique poróżnił spór, który rozgorzał, nim jeszcze się urodził. Nie wiedział, co było jego przyczyną, niemniej obie strony nie potrafiły się pogodzić.

Jemu samemu udało się stamtąd wyrwać. Prowadził własny interes, z pracownikami i związanymi z tym kosztami. Dzięki temu mógł sobie kupić pierwszą w życiu parę pięćsetjedynek Levi’sa i ostrzyc się u fryzjera. Fałszywe amerykańskie dokumenty pozwalały mu przekraczać granicę pod nie swoim nazwiskiem, ot, Alejandro Jakiśtam.

Niemniej nie miał trudności z utożsamieniem się z tymi przypadkowo spotkanymi na lotnisku mężczyznami.

W oczekiwaniu na swój samolot przyglądał się urzędnikowi imigracyjnemu, który również ich dostrzegł, podobnie jak on oszacował, a następnie poprosił o dokumenty. Przez chwilę rozmawiali ze sobą, choć nie słyszał o czym. Ostatecznie wyszło na to, że nie mieli się czym wylegitymować. Na oczach innych pasażerów urzędnik odprowadził mężczyzn gęsiego, najpewniej po to, by ich deportować, pomyślał Enrique.

Dzieciństwo i młodość spędzone w ubogiej meksykańskiej wiosce uczuliły go na panującą na świecie niesprawiedliwość. Pracujący ciężko i uczciwie zostawali w tyle. Tylko ci, którzy mieli pieniądze i władzę, mogli wymóc właściwe traktowanie. Ta obserwacja, której słuszności dowodziło całe jego dotychczasowe życie, pozwalała mu zracjonalizować własne czyny. Jednak od czasu do czasu znienacka dopadały go wątpliwości natury moralnej. Powtarzał innym, że przecież nie było mu pisane zostać handlarzem heroiną, i nawet wierzył w to, co mówił, choć w rzeczywistości był jednym z nich. Widoki takie jak ten na lotnisku tylko utwierdzały go w przekonaniu, że robi to, co musi, by przetrwać. To nie on ustalał reguły.

Mimo to, gdy urzędnik prowadził przed nim mężczyzn, pomyślał sobie: „Jestem najpaskudniejszy z nich wszystkich, a jednak nie pytają mnie o nic. Gdybym przyjechał tu pracować *derecho* – uczciwie – też zostałbym źle potraktowany”.

Chwilę później wsiadł na pokład samolotu do Phoenix, skąd po wylądowaniu ruszył dalej do Santa Fe w stanie Nowy Meksyk.

List doktora Jicka

Boston, Massachusetts

Dwadzieścia lat wcześniej, w 1979 roku, doktor na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Bostońskiego Hershel Jick, zasiadłszy w swym biurze, rozważał kwestię tego, jak często przebywający w szpitalu pacjenci, którym podawano bazujące na narkotykach środki przeciwbólowe, uzależniali się od nich.

Po latach nie pamiętał, dlaczego to pytanie zaczęło go nurtować.

– Chyba był to jakiś artykuł w gazecie – wspominał.

Hershel Jick miał szczególne możliwości pozyskiwania informacji na interesujący go temat, gdyż to on stworzył uniwersytecką bazę danych, która zawierała karty szpitalne pacjentów. Dzięki tej bazie można było śledzić skutki podania podczas hospitalizacji wszelkiego rodzaju leków, a jej początek sięgał wybuchłego w 1960 roku skandalu związanego z talidomidem, kiedy matki zażywające ten lek rodziły dzieci z deformacjami. Ryzyko związane z jego stosowaniem lekarze odkryli na podstawie niepotwierdzonych danych. Na początku lat sześćdziesiątych poproszono więc doktora Jicka o rozpoczęcie prac nad stworzeniem bazy danych dotyczących wykorzystywanych w szpitalach leków i ich oddziaływania.

Baza ta rozrastała się wraz z coraz szerszym zastosowaniem komputerów. Dziś Boston Collaborative Drug Surveillance Program (Bostoński Kolaboratywny Program Nadzoru nad Lekami), jak obecnie się nazywa, zawiera miliony kart szpitalnych zgromadzonych w czterech bazach danych. Niemniej już pod koniec lat siedemdziesiątych zgromadzono imponującą ilość informacji pochodzących z kart trzystu tysięcy pacjentów, w tym szczegółowe rozpiski podawanych podczas hospitalizacji leków. Doktor Jick lubił zaspokajać swoją ciekawość poprzez zaglądanie do nich. Kilka lat później wyzna, że „nawet nie potrafił włączyć komputera”. Miał jednak wyczucie i zatrudnił bystrego komputerowca, który zajął się informatyczną stroną zagadnienia, a on sam często zwracał się do niego o pomoc w interesujących go kwestiach.

Tym razem doktor Jick poprosił o zawarte w bazie dane dotyczące liczby pacjentów, którzy uzależnili się po przepisaniu im opartych na narkotykach

środków przeciwbólowych. Niedługo później miał w ręku potrzebne mu informacje. Uznając, że mogłyby zainteresować innych, napisał odręcznie krótką notkę opisującą wyniki poszukiwań, którą następnie dał sekretarce do przepisania na maszynie. Jej treść brzmiała z grubsza następująco – spośród prawie dwunastu tysięcy pacjentów, którym podczas pobytu w szpitalu przed 1979 rokiem podano opiaty i których karty szpitalne znalazły się w bostońskiej bazie danych, tylko cztery osoby padły ofiarą uzależnienia. Nie było informacji o tym, jak często, jak długo lub w jakich dawkach podawano tym pacjentom opiaty, ani o tym, na jakie choroby je przepisano. Notatka zawierała tylko i wyłącznie dane liczbowe, nie było w niej żadnych wniosków.

– To było tyle, nic więcej – powiedział później doktor Jick.

Studentka ostatniego roku Jane Porter pomogła w obliczeniach, ale po latach doktor Jick nie pamiętał już, w jaki sposób. Zgodnie z przyjętą normą w pracach poświęconych badaniom medycznym to ją podano jako autorkę, choć Jick twierdzi, że to on rzecz napisał. Sekretarka włożyła do koperty list i wysłała go do prestiżowego czasopisma „New England Journal of Medicine”, który w numerze z 10 stycznia 1980 roku opublikował notkę doktora Jicka na stronie 123 pośród mnóstwa innych listów nadesłanych przez naukowców i lekarzy z całego kraju. Zatytułowana była *Rzadkie przypadki uzależnień u pacjentów, którym podawano narkotyki*.

Następnie Hershel Jick włożył notkę do teczki i nie poświęcał jej już później większej uwagi. Opublikował wiele artykułów – w tym ponad dwadzieścia w samym tylko NEJM. Jane Porter zakończyła współpracę ze szpitalem i doktor Jick stracił z nią kontakt.

Wszyscy z tego samego miasta

Huntington, Wirginia Zachodnia

Pewnego wrześniowego poniedziałku 2007 roku Teddy Johnson, dobrze sytuowany hydraulik z Huntington w stanie Wirginia Zachodnia, odwiedził swego syna Adama w jego mieszkaniu.

Adam Johnson był pucołowatym, rudowłosym chłopakiem. Jako fan rocka alternatywnego i New York Dolls, Briana Eno czy Captaina Beefhearta czuł się nieco wyobcowany w konserwatywnej Wirginii Zachodniej. Grał na perkusji i gitarze, a wychowywał się w bogatej dzielnicy. Miał dwadzieścia trzy lata i właśnie rozpoczął studia na Uniwersytecie Marshalla w Huntington. Prowadził już przedtem w szkolnym radiu program *Oscillating Zoo*, w którym dawał upust swojemu eklektycznemu gustowi muzycznemu. Matka Adama była alkoholiczką, a on sam od kilku lat to brał, to odstawiał narkotyki. Jak mówili koledzy, zaczął od syropu na kaszel, ale szybko przerzucił się na inne substancje odurzające, w tym środki przeciwbólowe na receptę.

Adam porzucił szkołę średnią po tym, jak zdał GED. Zaczął wtedy rozpaczliwie szukać pomysłu na życie. Pracował dla Teddy'ego, któremu wydawało się, że syn powoli je sobie układa. Grał z kumplami w zespole i wyglądał na czystego. Jego ojcu otuchy dodał fakt, że Adam zapisał się na studia na Uniwersytecie Marshalla, gdzie chciał zdobyć tytuł magistra historii.

Jednak tamtego poniedziałkowego ranka Teddy poszedł do mieszkania Adama i znalazł go w łóżku martwego.

Sekcja zwłok wykazała przedawkowanie heroiny. Według policji Adam brał kleistą, ciemną substancję znaną pod nazwą „czarna smoła", czyli heroinę pochodzącą z pacyficznego wybrzeża Meksyku, gdzie uprawiano mak lekarski. To zaskoczyło Teddy'ego niemal w równym stopniu co śmierć syna. Heroina? To w Nowym Jorku. Huntington leżało w samym środku regionu appalaskiego.

– Nie miałem o tym najmniejszego pojęcia – powie później. – To małe miasteczko. Nie byliśmy na to przygotowani.

W tamten weekend w Huntington zmarły na skutek przedawkowania czarnej smoły dwie inne osoby: czterdziestodwuletni Patrick Byars, który pracował

w pizzerii Papa John’s Pizza, oraz czterdziestopięcioletni były właściciel sklepu ze starociami George Shore. W kolejnych pięciu miesiącach tego rodzaju przypadki zaczęły się mnożyć. Od 2001 roku w Huntington śmiertelnymi ofiarami przedawkowania heroiny były zaledwie cztery osoby, a tu nagle wystarczyło pięć miesięcy, by ich liczba sięgnęła dwunastu, na dodatek poprzedniej wiosny były jeszcze dwa zgony. Gdyby nie szybka pomoc udzielona przez ratowników, ofiar byłoby więcej.

– Mieliśmy mnóstwo przypadków przedawkowania, gdy lekarze znajdowali [ludzi] niereagujących na żadne bodźce – relacjonował komendant policji w Huntington Skip Holbrook.

Przed 2007 rokiem policjanci w Huntington w ogóle nie mieli styczności z czarną smołą.

Dwa lata później stałem na południowym brzegu rzeki Ohio, gdzie nietypowo jak na Wirginię Zachodnią roztacza się idealnie płaski teren. Na północ ciągnie się stan Ohio, a na zachód Kentucky. Huntington leży w długiej, wąskiej dolinie, której dnem płynie szeroka i spokojna rzeka. Miasto założono jako zachodnią stację końcową linii kolejowej Chesapeake and Ohio Railway – wydobywany w regionie węgiel przewożono wagonami towarowymi do Huntington, skąd barkami rozwożono go po reszcie kraju.

Miasto znajduje się na styku amerykańskiego Południa i Północy, jak zresztą i sama Wirginia Zachodnia. Demokraci rządzili stanem w stylu godnym Tammany Hall. Stworzyli system prawny i polityczny wspierający działalność linii kolejowych oraz kopalni. Nazwisko najbardziej znanego senatora stanowego Roberta C. Byrda widnieje na wielu huntingtońskich budynkach publicznych, w tym na moście na rzece Ohio. Jednak Wirginia Zachodnia wysyłała swoje surowce na zewnątrz, gdzie przetwarzano je w przynoszące większy dochód i posiadające większą wartość produkty. Część Południa odrzuciła ten charakterystyczny dla trzeciego świata model rozwoju gospodarczego. Wirginia Zachodnia tego nie zrobiła. Mechanizacja wydobycia surowców naturalnych spowodowała zmniejszenie liczby miejsc pracy. Koleje podupadły i pojawiły się problemy gospodarcze. Jednak panujący w stanie system polityczny uniemożliwiał przeprowadzenie reform lub skierowanie gospodarki na nowe tory. Pauperyzacja miejscowej ludności rosła, a główna część zbiorów przypadała na konopie indyjskie uprawiane do produkcji marihuany. W 2005 roku odnotowano rekordowy

poziom wydobycia węgla, choć zarazem w kopalniach zatrudniona była najniższa w historii liczba pracowników.

Imigranci unikali Wirginii Zachodniej. Mieszkańcy, którzy urodzili się gdzieś indziej, stanowili zaledwie jeden procent tej populacji, co plasuje ten stan na ostatnim miejscu w całych Stanach Zjednoczonych. Mający jakieś aspiracje Wirgińczycy wyjeżdżali na północ, nieodmiennie jednak myśląc o powrocie. Zloty rodzinne są tu na porządku dziennym. Z kolei wiele rodzin, które tu pozostały, żyje z zasiłków rządowych.

Liczba mieszkańców Huntington spadła z osiemdziesięciu trzech tysięcy w 1960 roku do obecnych czterdziestu dziewięciu tysięcy. Będące podstawą programu edukacyjnego szkół hasło „czytanie, pisanie i arytmetyka" zamieniono na „czytanie, pisanie i droga numer 23", gdyż ludzie masowo ruszali na północ słynną szosą do Columbus, Cleveland lub Detroit. W 2008 roku miasto uznano za najgrubsze w Ameryce – jak donosiła Associated Press, było w nim więcej pizzerii niż sal gimnastycznych i uzdrowisk w całym stanie Wirginia Zachodnia.

Co gorsza, wskaźnik depopulacji nie był jedynym, który stale rósł w Huntington. W mieście nasilały się też konsumpcja narkotyków i idący z nią w parze fatalizm. Dilerzy nazywali je Moneyington. Pojawili się handlarze z Detroit i gliniarze zaczęli podejrzliwie przyglądać się wszystkim samochodom z tablicami rejestracyjnymi pochodzącymi ze stanu Michigan.

Natomiast – jak mówili mi na policji – meksykańscy handlarze narkotyków omijali je, co czyniło z Huntington wyjątek. Dilerzy z Meksyku działali w dużej części Stanów Zjednoczonych – w Tennessee, Idaho i na Alasce, ale nie w Wirginii Zachodniej. Według raportu Departamentu Sprawiedliwości za 2009 rok była ona jednym z siedmiu stanów, w których nie odnotowano handlarzy narkotyków z Meksyku. Policja miała proste wytłumaczenie tego zjawiska: nie było społeczności meksykańskiej, w której mogliby się rozpłynąć. Imigranci z Meksyku jechali tam, gdzie czekała na nich praca, funkcjonując przy tym jako swego rodzaju barometr ekonomiczny: obecność Meksykanów świadczyła, że okolica się rozwija. W Wirginii Zachodniej nie było miejsc pracy, więc nie było też i Meksykanów.

Zastanawiałem się zatem, jak to możliwe, że tak wiele osób przez tyle miesięcy mogło umierać od pochodzącej z Meksyku czarnej smoły. Co więcej – od kiedy można było zdobyć w Wirginii Zachodniej heroinę w jakiejkolwiek jej postaci?

Karierę reportera kryminalnego zacząłem w kalifornijskim Stockton. Do tego czasu heroinę znałem tylko z nakręconych w latach siedemdziesiątych filmów

o Nowym Jorku – *Francuskiego łącznika*, *Serpico* i *Księcia wielkiego miasta* – w których zawsze pojawiała się w formie białego proszku. Nowy Jork był naszym narodowym centrum obrotu heroiną, ale w Stockton natrafiałem tylko i wyłącznie na towar nazywany czarną smołą. Policjanci z wydziału narkotykowego powiedzieli mi, że wytwarzano ją w Meksyku. To była baza powstała z półprzetworzonego opium. Podobnie jak inne rodzaje heroiny można ją było palić lub wstrzykiwać i była tak samo mocna jak rafinowany biały proszek, który widziałem we *Francuskim łączniku*. Różnica polegała na tym, że zawierała więcej zanieczyszczeń. Powiadano też, że czarna smoła była narkotykiem Zachodniego Wybrzeża sprzedawanym w Kalifornii, Oregonie i Waszyngtonie. Łatwo ją było znaleźć również w Denver czy Arizonie. Jednak na wschód od rzeki Missisipi praktycznie jej nie znano. Przez lata z raportów Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami (DEA) wynikały takie same wnioski.

Co więc czarna smoła robiła na wschód od rzeki Missisipi?

Pytania te zawiodły mnie do Huntington i na brzeg płynącej przez miasto rzeki Ohio. Pracowałem jako reporter „Los Angeles Times” w zespole zajmującym się prowadzonymi w Meksyku wojnami narkotykowymi. Moim zadaniem było pisać o meksykańskim handlu narkotykami w Stanach Zjednoczonych, czyli o zjawisku, które dotąd pozostawało dość słabo opisane. Szukając tematu do artykułu, natknąłem się na raporty poświęcone gwałtownemu wzrostowi konsumpcji czarnej smoły w Huntington w 2007 roku i zadzwoniłem do sierżanta policji zajmującego się w tym mieście narkotykami.

– Cała dostępna tutaj czarna smoła pochodzi z Columbus w stanie Ohio – powiedział mi.

Zadzwoniłem do DEA w Columbus i porozmawiałem z niezwykle gadatliwym agentem.

– Są tu dziesiątki meksykańskich handlarzy heroiną. Krążą po okolicy samochodami i sprzedają towar w balonikach, dostarczając go uzależnionym. Działają w czymś w rodzaju zespołów lub komórek. W kółko aresztujemy kierowców, ale wciąż przysyłają nowych z Meksyku – wyjaśnił. – Nigdy nie odpuszczają.

Przez jakiś czas narzekał na frustrację wywołaną żmudnymi śledztwami kończącymi się zatrzymaniami młodych mężczyzn, których natychmiast zastępują inni. Ukrywają się wśród dużej populacji Meksykanów mieszkających w Columbus. Kierowcy znają się i nigdy nie sypią. Nie są też uzbrojeni.

Przyjeżdżają, podają fałszywe nazwiska, wynajmują mieszkania i po sześciu miesiącach ich nie ma. To nie była taka mafia heroinowa, do której Ohio i wschód Stanów Zjednoczonych zdążyły przywyknąć.

– Dziwna sprawa – dodał. – Wszyscy są z tego samego miasta.

Rozsiadłem się w fotelu.

– Tak? Z którego?

Przywołał kolegę, z którym przez kilka minut rozmawiał ściszonym głosem.

Mieszkałem w Meksyku przez dziesięć lat po tym, jak wyjechałem ze Stockton i zostałem wolnym strzelcem. Spędziłem dużo czasu w miasteczkach i wioskach, pisząc o ludziach, którzy migrowali na północ. Napisałem o Meksyku dwie książki z gatunku literatury faktu. Wiele z opisanych w nich historii rozgrywało się w najmniejszych, znajdujących się na obrzeżach cywilizacji wioskach, znanych jako *ranchos*.

Przez całą swoją historię zamieszkujący je *rancheros* wyruszali na odludzie, by uciec od dławiącego ich w mieście klasizmu. Zakładali osady i próbowali wyżyć z ziemi, której nikt inny nie chciał uprawiać. *Rancheros* byli uosobieniem meksykańskiego ducha pionierskiego w jego najlepszym wydaniu. Wymykali się duszącemu uściskowi władz i rozpaczliwie chcieli wyrwać się z nędzy, zazwyczaj poprzez znalezienie sposobu na wybicie się na niezależność.

Rancheros mieli bardzo utrudniony dostęp do edukacji. Zawodu – zazwyczaj rolnictwa lub hodowli zwierząt – uczyli się od bliskich. Jednak znam też wioski, w których wszyscy mężczyźni byli wędrownymi robotnikami budowlanymi. Rodziny z jednej wioski w stanie Zacatecas otworzyły rozsiane po Meksyku sklepy z tortillami, z kolei mężczyźni z innej wsi zatrudniali się jako policjanci stanowi. Napisałem o Tocumbo w stanie Michoacán, gdzie wszyscy nauczyli się wyrobu lodów na patyku, a potem zaczęli prowadzić sklepy znane pod nazwą Paletería La Michoacana, w których je sprzedawali. Ich sieć ogarnęła cały kraj, a jej powstanie odmieniło życie wioski i samych *rancheros*. Byłem też w Tenancingo w stanie Tlaxcala, gdzie wszyscy mężczyźni są alfonsami wysyłającymi wiejskie dziewczyny do Queens w Nowym Jorku. Za zarobione w ten sposób pieniądze budują u siebie straszące krzykliwymi kolorami pałace.

Agent DEA na nowo podniósł słuchawkę.

– Tepic – powiedział.

Nie, musieli się pomylić, pomyślałem sobie. Tepic to położona na wybrzeżu Oceanu Spokojnego stolica jednego z najmniejszych stanów Meksyku – Nayaritu.

Choć to nadal duże miasto z trzystoma trzydziestoma tysiącami mieszkańców. Agent pewnie nie kłamał, ale przeczucie podpowiadało mi, że kluczowe dla opisanego przez niego układu więzi rodzinne i osobiste można było nawiązać tylko w małym miasteczku lub na *rancho*. Wizja ta nie opuszczała mnie jeszcze długo po odłożeniu słuchawki. Wyobrażałem sobie *rancho* handlarzy heroiną na tyle wyspecjalizowanych w swoim fachu, że potrafili zaopatrywać miasto wielkości Columbus.

Uwielbiałem *ranchos*. Były to zanarchizowane, dzikie miejsca pełne zadziwiających opowieści o popełnianych na łonie rodziny oszustwach, wykradzionych kobietach, *pistoleros*, *caciques*, a przede wszystkim twardzielach – *valientes* – czyli buntownikach nieoczekujących od nikogo pomocy, a tym samym bohaterach przenikających z *rancho* do meksykańskich filmów, powieści i ballad.

Uległem romantycznemu zauroczeniu, bo sam nie musiałem mieszkać na *rancho*. To były prymitywne miejsca, których mieszkańcy dość nerwowo reagowali na obcych. Tamtejsze rodziny łączyły się w rozległe klany, w których niemal wszyscy byli ze sobą skoligaceni. Ludzi tych nie było łatwo przeniknąć. Aby poznać ich tajemnice, trzeba było spędzić wśród nich mnóstwo czasu. Potrafiłem jednak siedzieć godzinami i wsłuchiwać się w słowa starca opowiadającego o tym, jak ich wioska podzieliła się na dwa obozy z powodu pewnej kłótni w rodzinie. W tych opowieściach fakty mieszały się z mitami, a ich bohaterowie dawali świadectwo szaleńczej wręcz odwagi lub dokonywali z zimną krwią zemsty rodowej. Jedna z zamieszczonych w mojej książce historii dotyczyła Antonia Carilla, który w latach dwudziestych XX wieku wyruszył do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracował w stalowni, kupił pistolet, a potem napisał do mordercy swojego ojca, że nadszedł jego czas. Wrócił do domu i zastrzelił go na miejskim rynku.

Dowiedziałem się też, że na *rancho* siłą destruktywną często była *envidia* – zazdrość, zawiść. Pozostawanie w jakimś stopniu pokrewieństwa wcale nie oznaczało utrzymywania dobrych stosunków. Rodziny dzieliły się z powodu tego, co ktoś zrobił, a ktoś inny nie. Widziałem, jak silnie potrzeba ruszenia na północ za pracą mogła zależeć od tego, co jakiś biedak czuł, gdy wracał do domu na *rancho* z nowymi butami, nowym samochodem, lepszym ubraniem. Gdy mógł w wieczór powrotu ze Stanów napić się na mieście piwa lub zafundować córce taką samą *quinceañera*, jaką urządzał miejscowy kupiec, albo choćby przez tydzień być niczym wielkoduszny *don*. To wszystko działało na biednych ludzi jak narkotyk.

Sukces dotychczasowego pariasa był tym słodszy, im bardziej mógł się z nim obnosić wobec osób obgadujących go w rodzinnym mieście. Dlatego niewielu Meksykanów chciało się wtopić w społeczeństwo amerykańskie. Rzeczywistą przyczyną wyjazdu na północ był powrót do domu na *rancho*, co nie miałoby większego sensu w dużym mieście z panującą w nim anonimowością. Emigranci chcieli popisać się odniesionym sukcesem przed tymi, którzy przed laty ich upokarzali. Na *rancho*.

Zorientowałem się również, że wyruszanie w nieznane tkwiło w genach *rancheros*. Stany Zjednoczone zaś były miejscem, w którym obietnica zawarta w owym nieznanym rzeczywiście się spełniała. Z drugiej strony meksykańskie *rancho* wywarło wielki wpływ na amerykański styl życia. To z niego wywodzi się milionowa rzesza członków nowej klasy robotniczej. Zwyczaje meksykańskich imigrantów i ich stosunek do pracy, seksu, polityki, zaangażowania obywatelskiego, władz, edukacji, długów, czasu wolnego – wszystko to ukształtowało się na *rancho*. W Stanach Zjednoczonych ich tradycje pojawiły się w stanie nienaruszonym, a ich przemiany następowały powoli.

Do tych myśli pobudziła mnie rozmowa z agentem DEA z Columbus. Tylko w małym miasteczku lub *rancho* można było nawiązać relacje na tyle silne, by sprawdziły się one w takim modelu handlu heroiną, jaki opisał mój rozmówca. A zatem wioska detalicznych handlarzy heroiną. Czy to było możliwe?

Napisałem do kilkunastu kierowców zatrzymanych w Columbus i odsiadujących swoje wyroki w więzieniach federalnych. Zapytałem, czy chcieliby porozmawiać z reporterem. Mijały tygodnie, a ja nie otrzymywałem żadnej odpowiedzi. Miałem już zająć się czymś innym, gdy jeden z nich zadzwonił na koszt rozmówcy. Pracował w Columbus, gdzie został aresztowany, a teraz odbywał karę wieloletniego więzienia. Podzielił się mnóstwem informacji, z których najbardziej alarmująca była ta, że Columbus nie było jedynym miejscem, w którym działali.

– Są w wielu innych miastach – powiedział mi. – W różnych zakątkach kraju.

Salt Lake City, Charlotte, Las Vegas, Cincinnati, Nashville, Minneapolis, Columbia, Indianapolis, Honolulu. Pracowali na okrągło w siedemnastu stanach. W siedmiu lub ośmiu innych pojawiali się raz na jakiś czas. We wszystkich wymienionych przez niego miastach licznie reprezentowana była biała klasa średnia, która skorzystała na boomie gospodarczym z ubiegłych kilkunastu lat. Funkcjonowały w nich również duże skupiska imigrantów z Meksyku. Z trudem przychodziło mi powiązanie tych miejscowości z heroiną. Zastanawiałem się, czy

to naprawdę były rynki zbytu dla heroiny, a on zapewnił mnie, że owszem, i to coraz większe i większe. Zauważyłem jednocześnie, że nie wspomniał ani słowem o amerykańskiej stolicy tego narkotyku.

– Nie, w Nowym Jorku są uzbrojone gangi – tłumaczył. – Boją się Nowego Jorku i nie jeżdżą tam.

Meksykańscy dilerzy bojący się gangów i strzelaniny? Wszyscy z jednego małego miasteczka? Sprzedający smołę heroinową nie tylko w Columbus, ale niemal w połowie Stanów Zjednoczonych, w tym od niedawna na wschód od rzeki Missisipi?

Połknąłem haczyk.

Na koniec powiedziałem mu, że według gliniarzy pochodzą oni z Tepic.

– Nie, oni nie są z Tepic – odpowiedział. – Tak mówią, ale nie są stamtąd.

Liberace w regionie Appalachów

South Shore, Kentucky

Biggs Lane jest niewielką ulicą w malutkim South Shore, które leży już w Kentucky, na przeciwległym do Portsmouth brzegu rzeki Ohio. Stoją przy niej właściwie tylko typowe dla okolic wiejskich centra handlowe.

Przez całe sto metrów swojej długości trzyma się blisko drogi numer 23. Od dawna działa przy niej apteka Wright, obok której znajdują się dentysta, kręgarz, stacja benzynowa i lokal z kanapkami sieci Subway. Nieco dalej znaleźć można sklep z podłogami, a za nim porządnych rozmiarów, oblicowany beżowym metalem budynek.

Na południe od Biggs Lane biegnie ulica Tootsie, przy której pobudowano niewielkie, pomalowane na biało drewniane domy. Samą okolicę można byłoby nazwać spokojną, ale to w tym kontekście zbędne słowo, ponieważ wszystko w South Shore – z jego nieco ponad dwoma tysiącami mieszkańców – jest spokojne, w tym także płynąca majestatycznie w odległości stu metrów rzeka Ohio. Na jej drugim brzegu znajduje się Portsmouth, które wcisnęło się na spłacheć ziemi ograniczony od zachodu wpadającą do Ohio rzeką Scioto. To w Portsmouth i South Shore zaczyna się kolejna część opowieści.

W 1979 roku – tym samym, w którym Hershel Jick z Bostonu napisał swój list do „New England Journal of Medicine” – lekarz o nazwisku David Procter wprowadził się do owego beżowego, wpasowanego w metalową ramę budynku na Biggs Lane w South Shore i otworzył tam klinikę Plaza Healthcare.

Procter przyjechał do South Shore na prośbę mieszkającego tu od lat miejskiego lekarza rodzinnego Billy’ego Riddle’a. Riddle był obecny przy porodzie wielu miejscowych dzieciaków i leczył wszelkie dolegliwości najlepiej, jak potrafił. Nie umiał też odmawiać pacjentom, więc potrzebował pomocy. W sobie tylko znany sposób wyszukał Proctera – Kanadyjczyka, który dopiero co zakończył staż w Nowej Szkocji – i w 1977 roku zachęcił go do zamieszkania w South Shore.

Jednak po dwóch latach Riddle oddzielił swój gabinet od Proctera i wymienił zamki w drzwiach. Niedługo potem, w 1979 roku, Billy zmarł na zawał serca i na miejscu pozostał już tylko David Procter.

Procter był osobą gadatliwą i przystępną, ale lubił szpanować w sposób niezgodny z duchem panującym w dolinie rzeki Ohio. Nosił pierścionki z diamentami, futra, jeździł porsche. Jedna z pielęgniarek powiedziała, że ubierał się jak Little Richard lub Liberace.

Portsmouth to miasto przemysłowe znajdujące się pośrodku rolniczego regionu – oddalone od innych miast położonych nad rzeką Ohio. W okresie swojej świetności miasta nadrzeczne były dla awanturniczych mężczyzn miejscem, w którym mogli sobie pofolgować po dniach spędzonych w odosobnieniu na barkach. Władze Portsmouth musiały nawet wprowadzić zakaz nagich kąpieli w rzece. W tych czasach w centrum miasta działało siedem fabryk obuwniczych i największa w Stanach Zjednoczonych wytwórnia sznurówek. Cegielnia, odlewnia oraz olbrzymia stalownia Detroit Steel Company przyciągały tysiące mieszkańców Ohio i Kentucky, którym zapewniały pracę. Podczas II wojny światowej w zakładach Detroit Steel Company produkowano bomby. W uroczystości otwarcia wielkiego pieca w 1953 roku uczestniczyły setki osób zachwycających się jego rozmiarem i perspektywą nowych miejsc pracy. Wytworzone w Portsmouth buty i stal rozwożono po reszcie kraju koleją. Mijał rok za rokiem i synowie podejmowali pracę w fabrykach, w których pracowali ich ojcowie – tak właśnie, jak w piosence Bruce'a Springsteena, toczyło się życie.

Miasto było też kolebką zawodowego futbolu amerykańskiego. Trenerem drużyny Portsmouth Shoe-Steels był Jim Thorpe. Potem Portsmouth Spartans dołączyli do National Football League, a w czasie Wielkiego Kryzysu przenieśli się do Detroit i przemianowali na Detroit Lions. Według niektórych powolny zmierzch Portsmouth rozpoczął się od powodzi w 1937 roku, gdy po trwających czterdzieści dni opadach deszczu poziom rzeki Ohio podniósł się do dwudziestu dwóch i pół metra. W latach siedemdziesiątych XX wieku miasto było już na skraju upadku, podobnie zresztą jak reszta nieprzygotowanego na wyzwania związane z globalizacją, konkurencją i dostępną w innych miejscach świata tanią siłą roboczą regionu, który zaczęto nazywać pasem rdzy. Zwijał się przemysł obuwniczy – zamknięto fabrykę Selby Shoes, nieco dłużej trzymały się zakłady Williams Shoes, próbując konkurować z producentami z Włoch, Tajwanu czy Meksyku, ale i na nie przyszedł czas. Opustoszałe budynki pofabryczne stały się smutnym świadectwem dawnej świetności.

Stalownia Detroit Steel przeniosła swoją produkcję w 1980 roku – tym samym, w którym Portsmouth po raz drugi przyznano tytuł All-American City – i wraz z nią odpłynęły tysiące miejsc pracy. Miasto już się nie podniosło po tym ciosie. Zamknięto cegielnię i elektrownię atomową w Piketon. Działalność zaopatrującej Detroit Steel koksowni stopniowo ograniczano, by w 2000 roku całkowicie wygasić produkcję. Na miejscu obu zakładów postawiono supermarket Walmart, przy którym do dziś stoi komin wytwórni koksu.

Miejscowi przenosili się całymi rodzinami do Columbus, Cincinnati lub Nashville. Grupa artystów osiadła w teksańskim Austin. Liczba mieszkańców Portsmouth spadła do dwudziestu tysięcy. Domy, których nie udało się sprzedać po wyprowadzce właścicieli, wynajmowano lub stały puste. Sklepy przy ulicy Chillicothe upadały jeden po drugim, aż prawie żaden z nich nie pozostał.

Wytrwała niewielka grupa osób wykształconych. Znaleźli pracę w szkołach lub szpitalach, w pewien sposób opiekując się tymi, dla których zamknięcie fabryk stało się początkiem amerykańskiego koszmaru.

Jedynymi osobami, które napłynęły wtedy do Portsmouth, byli pośrednicy typowi dla gospodarki czasów kryzysu. W mieście otwarto pierwsze lombardy oraz kasy oferujące chwilówki. Pojawiły się też punkty skupu złomu. Także David Procter rozszerzył swą działalność.

Wielu gotowych było za niego ręczyć. W tej okolicy ciężka praca była nieodłączną częścią życia, wtedy stawało się nią także bezrobocie. Region przeżywał zastój i coraz powszechniej ubiegano się o rentę lub odszkodowanie pracownicze. Renty federalne dla wielu mieszkańców doliny rzeki Ohio okazały się długoterminowym ubezpieczeniem na wypadek bezrobocia. Część rencistów rzeczywiście odniosła jakieś urazy lub była niepełnosprawna, ale inni już nie – wszystkim jednak potrzebne było zaświadczenie od lekarza. Procter z robotą papierkową obrabiał się szybko. Pielęgniarki z niewielkiego szpitala Southern Hills, z którym Procter ściśle współpracował i w którym mógł umieszczać swoich pacjentów oraz korzystać z jego pomieszczeń czy wyposażenia, zapamiętały go jako lekarza wypisującego najwięcej skierowań na oddział psychiatryczny – w dużej mierze właśnie po to, by pacjenci mogli dostać rentę.

Procter był żonaty i miał dwóch synów mieszkających w Kentucky. Miał też romans. Personel szpitalny czasami widywał go, jak na parkingu sprzeczał się miłośnie z jedną z pielęgniarek.

W szpitalu Southern Hills Procter odbywał swoje obchody dosłownie w biegu. Ożywiony, pracował na najwyższych obrotach. W amerykańskiej medycynie popularność zdobywało wtedy nowe podejście, zgodnie z którym pacjent miał zawsze rację, zwłaszcza jeśli chodziło o ból. Lekarze mieli wierzyć pacjentom mówiącym, że coś ich boli. David Procter stanowił ucieleśnienie tej postawy, a za jego przykładem poszli kolejni. Był człowiekiem bezpośrednim, a zarazem miał w sobie coś z kaznodziei.

– Pacjenci go uwielbiali, bo miał umiejętność odgadywania, co dana osoba sądzi i czego potrzebuje lub chce – opowiadała Lisa Roberts, która w tamtym czasie pracowała w szpitalu jako pielęgniarka. – Był świetny w rozpoznawaniu na podstawie samej tylko rozmowy ludzi, którzy są w potrzebie, oraz odgadywaniu ich oczekiwań lub przeświadczeń. Wmawiał im potem, że to właśnie z nimi było coś nie w porządku.

Procter otrzymywał zapłatę w gotówce w swej klinice w South Shore. W połowie lat osiemdziesiątych świat lekarski zastanawiał się, jak stosować nowe opiaty, które firmy farmaceutyczne opracowywały z myślą o leczeniu bólu. Procter był jednym z pierwszych zdecydowanych zwolenników tych środków. Przepisywał opiaty na bóle szyi, nogi, odcinka lędźwiowo-krzyżowego czy te związane z artretyzmem. Łączył je z benzodiazepinami – lekami przeciwlękowymi, z których najsłynniejsze, a zarazem ulubione przez Proctera, to Valium i Xanax. Mieszkańcy Portsmouth odczuwali i lęk, i ból. W regionie appalaskim była długa tradycja zażywania benzodiazepinów, której początek dało wypuszczenie na rynek na początku lat sześćdziesiątych Valium. Przyjmowały go zasuszone staruszki. W tej części kraju z radością witano wszystko, co pozwalało uśmierzyć ból. Niestety, od opiatów połączonych z lekami benzodiazepinowymi łatwo można było się uzależnić.

W połowie lat dziewięćdziesiątych Proctera znano już także z hojnego przepisywania tabletek na odchudzanie i środków pobudzających nawet osobom, które nie były otyłe. W samym Portsmouth i w jego okolicy rozwinął się proceder wyłudzania recept na środki odchudzające od lekarzy, którzy – jak Procter – chętnie je wypisywali, a następnie odsprzedawania ich z zyskiem. Klinika Plaza Healthcare przeżywała okres rozkwitu.

W 1996 roku odwiedził ją mężczyzna o imieniu Randy, który był strażnikiem w więzieniu Lucasville, znajdującym się piętnaście kilometrów na północ od Portsmouth. Miał na plecach głębokie obrażenia, których nabawił się w trakcie

bójki z jednym z więźniów. Dano mu listę autoryzowanych lekarzy, do których mógł się udać. Jednym z nich był David Procter.

– Chodziło do niego kilku chłopaków z więzienia, bo jego sekretariat zajmował się papierkową robotą [związaną z odszkodowaniami pracowniczymi] – wspominał Randy.

Procter dał mu sześciomiesięczne zwolnienie i – rzecz jasna – zajął się formalnościami, pobierając za wszystko opłatę w wysokości dwustu dolarów w gotówce. Przepisał także lek o nazwie OxyContin w tabletkach czterdziestomiligramowych, które Randy miał przyjmować dwa razy dziennie przez trzydzieści dni. Procter zachwalał go jako nowy środek przeciwbólowy, który okazał się bardzo skuteczny.

– Gdy tak patrzę na to z dystansu, to nie potrzebowałem czegoś aż tak mocnego – zauważa Randy. – Wtedy jednak wydawało mi się, że środek jest świetny, bo plecy nie bolały.

Trzydzieści dni później Randy czuł się na tyle dobrze, że nie poszedł do Proctera po kolejną receptę. Wkrótce dopadła go jednak najgorsza w życiu grypa. Wszystko go bolało, nie miał siły wstać z łóżka, dostał rozwolnienia i w kółko wymiotował. Porozmawiał z kolegami i jeden z nich zasugerował, że to z powodu odstawienia leku.

Wtedy poczuł, że jednak musi odwiedzić lekarza.

Procter dał mu kolejną receptę na OxyContin. Randy wracał do niego co miesiąc i płacił dwieście dolarów za trzyminutową wizytę i wypisanie recepty. Poczekalnia pękała w szwach, a pacjenci bili się o miejsce w kolejce. Tylko nieliczni byli tam z powodu faktycznych urazów. Reszta symulowała ból, by wyłudzić receptę, zresztą za cichym przyzwoleniem lekarza. Randy spotkał tam sześciu innych strażników więziennych. Nie wychylał się, a gdy Procter wypisał mu, co trzeba, poszedł sobie.

– Widzisz ludzi, którzy być może trafią w końcu do jednej z nadzorowanych przez ciebie cel – opowiada. – To naprawdę uczy pokory. Myślisz, że robisz wszystko tak, jak trzeba. Ufasz lekarzowi. Po jakimś czasie zdajesz sobie sprawę, że to nie tak, ale niewiele możesz z tym już zrobić. Utknąłeś w martwym punkcie. Jesteś uzależniony.

Niebawem trafił na ulicznych dilerów, do których mógł się udać, kiedy przed upływem miesiąca skończyły mu się tabletki. Wrócił do pracy w więzieniu, ale był już w pełni uzależniony od opiatów, więc spóźniał się i migał od roboty. W akcie

desperacji poszedł do zastępcy naczelnika więzienia i opowiedział mu o swojej sytuacji. Przeszedł odwyk i przestał brać prochy. Trzy i pół roku po pierwszej wizycie u Davida Proctera uwolnił się od uzależnienia i to był koniec jego problemów z OxyContinem.

Jednak dla doliny rzeki Ohio i reszty Stanów Zjednoczonych był to dopiero początek.

Spec od reklamy

Nowy Jork

W 1951 roku pracujący w mało znanej firmie marketingowej specjalista od reklamy Arthur Sackler spotkał się w Nowym Jorku z kierownikiem działu sprzedaży koncernu chemicznego Charles Pfizer and Company, mającego stuletnią historię.

Trzydziestodziewięcioletni Arthur Mitchell Sackler miał już za sobą udaną karierę psychiatry.

Wraz ze swymi braćmi Raymondem i Mortimerem – jak i on synami żydowskich imigrantów z Europy Środkowej – wychowywał się w Nowym Jorku. Podczas Wielkiego Kryzysu studiowali i według autora książki *American Night. The Literary Left in the Era of the Cold War* [Amerykańska noc. Literacka lewica w dobie zimnej wojny] Alana Walda cała trójka miała przelotny romans z Komunistyczną Partią Stanów Zjednoczonych. Arthur Sackler rozpoczął działalność publicystyczną jeszcze w szkole średniej, gdzie współredagował szkolną gazetkę. Podczas Wielkiego Kryzysu na własną rękę wydrukował dla partii coś, co Wald nazwał „ordynarnym biuletynem strajkowym". Chodził do wieczorowej szkoły artystycznej, a czesne pokrywał z podejmowanych przez siebie prac dorywczych.

Po ukończeniu studiów medycznych Sackler rozpoczął pracę w nowojorskim szpitalu psychiatrycznym Creedmoor. Napisał tam ponad sto pięćdziesiąt artykułów na temat psychiatrii i medycyny eksperymentalnej, rozpoznając część biochemicznych przyczyn schizofrenii i choroby afektywnej dwubiegunowej. Był zdecydowanym przeciwnikiem papierosów, nim jeszcze stało to się modne, zakazywał też palenia we wszystkich firmach, których później został właścicielem. Na Uniwersytecie Long Island wdrożył program Laboratoriów Badań Terapeutycznych – potem nim kierował i wspierał finansowo pokaźnymi sumami. W międzyczasie założył pierwszy zintegrowany rasowo bank krwi w Nowym Jorku.

Sackler uważnie obserwował gwałtownie rozwijającą się w latach powojennych medycynę. Dzięki postępowi naukowemu firmy farmaceutyczne mogły

produkować leki zmieniające jakość i długość życia, zwłaszcza antybiotyki i szczepionki. To były pełne energii lata, choć nie dla branży reklamującej lekarstwa – wypuszczane przez nią reklamy pozostały toporne i nijakie, mimo że zachwalane w nich środki zmieniały świat. Sackler nie widział powodu, dla którego nie miałoby się to zmienić, więc w latach czterdziestych postanowił się przebranżowić i zatrudnić w małej, stosującej raczej tradycyjne metody marketingowe agencji reklamowej William Douglas McAdams.

Dość szybko jednym z jego klientów została firma Charles Pfizer and Company, wówczas największy na świecie producent witaminy C. Nowo utworzony w ramach koncernu dział badań farmaceutycznych opracował syntetyczny antybiotyk – stworzoną na bazie żyjącej w glebie bakterii terramycynę, która okazała się skuteczna w leczeniu ponad pięćdziesięciu chorób, w tym zapalenia płuc. Sama firma przestawiała się z produkcji środków chemicznych na lekarstwa, więc zamiast sprzedać licencje innej firmie farmaceutycznej, Pfizer postanowił wytwarzać i sprzedawać antybiotyk na własną rękę.

Tego dnia Sackler powiedział w biurze kierownikowi sprzedaży Thomasowi Winnowi, że jeśli dysponować będzie odpowiednio wysokim budżetem reklamowym na terramycynę, to może z Charles Pfizer and Company uczynić markę znaną każdemu lekarzowi.

Winn przydzielił mu na zareklamowanie leku rekordowy dla branży farmaceutycznej budżet. Według Johna Kallira, który w tym samym czasie był autorem tekstów reklamowych w firmie William Douglas McAdams, Sackler „zapchał media czymś, co dziś nazwalibyśmy kampanią teaserową”.

Poświęcone terramycynie działania marketingowe miały na celu zainicjowanie częstych, bezpośrednich kontaktów z poszczególnymi lekarzami, co było w tamtych czasach zupełnie nowym pomysłem. Sackler zamieścił w czasopismach medycznych duże kolorowe reklamy, w których bawił się grą słów z użyciem wyrazu „terra” (oznaczającym po włosku „ziemię”): „Terra Bona” i tym podobne. Kiedy lek w końcu pojawił się na rynku amerykańskim, wypuścił reklamy wykorzystujące tę samą kolorystykę i czcionkę z napisem „Terramycyna”.

W międzyczasie pracujący dla Sacklera nowojorscy autorzy sloganów reklamowych przygotowali tysiące kartek pocztowych, które rzekomo miały pochodzić z Egiptu, Australii, Malty i innych krajów. Wysłali je imiennie do tysięcy amerykańskich lekarzy rodzinnych, pediatrów i chirurgów, zachwalając skuteczność terramycyny w zwalczaniu chorób występujących w tych

egzotycznych miejscach – „gorączki mlecznej” na Malcie czy „gorączki typu Q” w Australii. Kartki podpisano: „Z poważaniem – Pfizer”. Lekarze, o których i tak wiadomo było, że przepisują mnóstwo leków, dostali jeszcze dodatkowy druk reklamowy.

Następnie Sackler wysłał do gabinetów lekarskich akwizytorów.

– Przeprowadzili zmasowaną kampanię akwizycyjną – opowiada Kallir. – Zarazem prowadziliśmy bardzo intensywne działania pocztowe, mieliśmy mocno napięty grafik wysyłek listowych, po kilka przesyłek naraz do tych samych lekarzy, a ponadto zamieszczaliśmy reklamy w prasie.

Kallir pamięta, że Sackler zapłacił za to, by przez rok do każdego numeru miesięcznika „Journal of the American Medical Association” dołączano wkładkę Pfizera „Spectrum” – ośmiostronicowy ilustrowany magazyn wewnętrzny.

Działania te, w połączeniu ze skutecznością terramycyny, uczyniły z leku prawdziwy przebój, a jego sprzedaż sięgnęła w 1952 roku pięćdziesięciu pięciu milionów dolarów. Ten sukces pozwolił firmie Charles Pfizer and Company, która w pewnym momencie zmieniła nazwę na Pfizer, rozszerzyć działalność na trzynaście państw.

Kierowana przez Sacklera kampania dała początek nowoczesnej reklamie farmaceutycznej – dziedzinie, która dotąd, jak to ujął jeden z dyrektorów, „istniała, choć jej nie było”. Dostrzegając nadchodzące możliwości, Sackler kupił firmę, dla której pracował, czyli Williama Douglasa McAdamsa.

Wraz z braćmi nabył również po cichu firmę farmaceutyczną Purdue Frederick – szerzej nieznaną, choć utworzoną przez Johna Purdue Graya i George’a Fredericka Binghama jeszcze w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, czyli w czasach cudownych leków na wszystko. Nie odniosła ona większego sukcesu i w chwili, w której nasza opowieść zaczyna się rozwijać, czyli w latach osiemdziesiątych XX wieku, produkowała głównie środki antyseptyczne i przeczyszczające oraz preparat do usuwania woskowiny z uszu.

Tymczasem Arthur Sackler kontynuował rewolucję w marketingu branży farmaceutycznej. W 1963 roku pozyskał od firmy Hoffmann-La Roche licencję na import i sprzedaż nowego środka uspokajającego o nazwie Valium. Raz jeszcze w jego promocji położył nacisk na bezpośrednie kontakty z lekarzami. Wysyłał przedstawicieli handlowych, czyli akwizytorów, którzy często odwiedzali poszczególne gabinety lekarskie z darmowymi próbkami medykamentu. Rozstawiał stoiska na kongresach medycznych i zamieszczał w czasopismach

medycznych liczne, wielostronicowe kolorowe reklamy. Wydał kolejny miesięcznik ilustrowany z artykułami o tym, jak wygląda praktyka najbardziej znanych lekarzy, które przeplatał informacjami ze świata lekarskiego i reklamami Valium.

Część kampanii miała na celu przekonanie lekarzy do przepisywania Valium, które opinia publiczna uważała za środek niebezpieczny. Reklamy nakłaniały ich, by ból fizyczny łączyli ze stresem, a w Valium widzieli odstresowywacz. Matka chorego dziecka miała przecież prawo się denerwować. Środek adresowano przede wszystkim do kobiet i przedstawiano go jako sposób na uśmierzenie napięcia związanego z byciem żoną oraz matką. Zanim ruch feministyczny urósł w siłę, zakładano, że kobiety będą potrzebować takiego wsparcia przez resztę życia, więc kwestia właściwości uzależniających nie miała żadnego znaczenia.

Jednym z licznych talentów Arthura Sacklera była umiejętność wczucia się w sytuację lekarzy rodzinnych, którzy mieli do czynienia z olbrzymią rzeszą zdenerwowanych i zamartwiających się pacjentów.

– Przychodziła taka pacjentka i mówiła: „Panie doktorze, przez cały dzień jestem kłębkiem nerwów” lub „Mam syna w wojsku” – opowiadał Win Gerson, który latami pracował u Sacklera, a potem został prezesem firmy William Douglas McAdams. – Ludziom puszczały nerwy i ten lek potrafił ich uspokoić. Działał też na różnego rodzaju bóle pleców. Pewnie część pacjentów zostawała po nim ćpunami, ale ogólnie rzecz biorąc, działał.

O ile terramycyna była niewątpliwym dobrodziejstwem dla ludzkości, trudno to samo powiedzieć o Valium. Pożytek z niego płynący obarczony był poważnym ryzykiem. W formule Valium było coś z ducha dziewiętnastowiecznego panaceum. Nie usuwało przyczyn źródłowych stresu, tylko nic niemówiące symptomy. Pozwalało to lekarzom uchylać się od skomplikowanego zadania rozpoznania źródła napięcia psychicznego. Tak jak wspomniane leki na wszystko, tak i Valium było środkiem cieszącym się dużym uznaniem, promowanym zapewnieniem, że pigułka może pomóc uwolnić się od wszelkich dolegliwości. Cztery dekady później, już dobrze po śmierci Arthura Sacklera, jego Purdue wyprodukuje i wypromuje przy pomocy należącego również do niego Williama Douglasa McAdamsa środek przeciwbólowy o podobnej charakterystyce.

Valium stało się pierwszym w historii branży farmaceutycznej lekiem, który najpierw przekroczył barierę sprzedaży w wysokości stu milionów dolarów, a potem miliarda dolarów. W połowie lat siedemdziesiątych stwierdzono, że jego

zażywanie może prowadzić do uzależnienia, trafiło ono także do asortymentu działających na ulicy dilerów. Firmę Hoffmann-La Roche oskarżono o brak ostrzeżenia przed właściwościami uzależniającymi leku.

W międzyczasie Sackler dalej działał z niezwykłą energią i wielką dociekliwością. Stworzył dwutygodnik „Medical Tribune", w którym pełno było reklam zamieszczanych przez znajdujący się w rozkwicie przemysł farmaceutyczny. Miał w nim dział „One Man and Medicine", gdzie publikował swoje artykuły. Został też znanym na skalę światową kolekcjonerem chińskiej sztuki, a na urządzanych w jego domu przyjęciach goście mogli poznać się z Lucianem Pavarottim i Isaakiem Sternem. Kiedy lekarze starali się nadążyć za gwałtownie rozwijającymi się naukami medycznymi, Sackler dostrzegł kolejną szansę marketingową. Wymusił na klientach swojej firmy farmaceutycznej, by ufundowali szkolenia podyplomowe – seminaria, które były coraz bardziej potrzebne lekarzom do zachowania licencji. Zorientował się, że dzięki finansowaniu tych zajęć firmy farmaceutyczne zyskiwały łatwiejszy dostęp do uszu ich uczestników.

Arthur Sackler nigdy nie przeszedł na emeryturę. Zmarł na zawał serca w 1987 roku w wieku siedemdziesięciu trzech lat. Zostawił po sobie żonę, dwie byłe żony, olbrzymi majątek i tak wielką wdzięczność przemysłu farmaceutycznego, że wystarczyło użyć jego imienia, by wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Dziś nazwisko Sacklera patronuje galeriom i skrzydłom Smithsonian Institution, Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, Royal Academy w Londynie, a także uniwersytetom Princeton, Harvard i pekińskiemu. Jego imię noszą również wydziały medyczne uniwersytetów telawiwskiego, Tufts i nowojorskiego. W 1996 roku znalazł się w pierwszej piątce osób wprowadzonych do panteonu twórców reklamy medycznej.

Arthur Sackler ma swoje miejsce w tej opowieści, gdyż był ojcem nowoczesnej reklamy farmaceutycznej i jak to ujął John Kallir, pokazał branży, „jakie wspaniałe rzeczy można osiągnąć dzięki sprzedaży bezpośredniej i intensywnej reklamie bezpośredniej".

Lata później firma Purdue zastosuje tę strategię do wypromowania nowego opiatowego środka przeciwbólowego o nazwie OxyContin.

Początki Enrique

Rancho w Nayaricie, Meksyk

Matka Enrique nienawidziła deszczu. Przeciekał przez zrobiony z blachy falistej dach ich kartonowej chałupy, przez co wilgoć utrzymywała się tygodniami. Ustawiała we wnętrzu garnki i wiadra, by złapać lecące z góry strumyki wody. Kiedy Enrique nauczył się chodzić, biegał w deszczu, taplał się w kałużach i ganiał bezpańskie psy. Z kolei dla jego mamy chłód i niedający się opanować deszcz były oznaką biedy, którą cierpieli, poza tym kojarzyły jej się z mężem.

Rodzice Enrique mieszkali na skraju pozbawionego chodników i elektryczności *rancho* w meksykańskim stanie Nayarit. Pobrali się za młodu, żadne nie miało ziemi. Z trudem wiązali koniec z końcem, sprzedając węgiel drzewny i drewno. Enrique był ich drugim dzieckiem. Wszyscy musieli pomieścić się wraz z dwiema innymi rodzinami w czteropokojowym domu. Kilka lat później znaleźli nieco ziemi w *barrio*, zwanym Ropuchą, tuż obok znajdującego się na końcu wsi bagniska. Właśnie tam zbudowali dwuizbową chałupę z kartonu, brezentu i sklejki, które można było wygrzebać na wysypisku śmieci. Urodziły się kolejne dzieci. Enrique pamięta z tych lat przede wszystkim wrzaski i ojca bijącego matkę, która codziennie się martwiła, jak zdobyć coś do zjedzenia.

Wtedy zdarzył się cud. Ojciec Enrique odziedziczył dwadzieścia hektarów ziemi, które jego rodzice postanowili przekazać tylko jemu, bez rozparcelowywania między pozostałe dzieci. Dzięki temu tata Enrique został właścicielem ziemskim i zaczął uprawiać trzcinę cukrową, której cena była w latach siedemdziesiątych sztucznie pompowana przez nowy populistyczny rząd. Odłożywszy nieco grosza, ojciec kupił ciężarówkę do przewozu plonów. Zdobycie majątku nie złagodziło jednak jego charakteru, stał się tylko jeszcze bardziej arogancki. Kiedy wracał w nocy pijany do domu, wrzeszczał na swoje dzieci i coraz częściej bił swoją żonę. Z jego ust wydobywały się tylko rozkazy. Ilekroć żona prosiła go o pieniądze na utrzymanie domu, dawał je z obelgami. Ciężarówka ryczała jak diabli, a on jeździł po wiosce, siedząc wysoko w fotelu, jakby dosiadał dorodnej klaczy.

Pewnego ranka ośmioletni Enrique pomagał ojcu, który skacowany naprawiał coś w podwoziu ciężarówki i poprosił go o przyniesienie narzędzia. Chłopiec nie miał najmniejszego pojęcia, o jakie narzędzie chodzi. Leżący pod pojazdem ojciec wpadł w szał, gdy Enrique kręcił się w kółko, nie wiedząc, czego ma właściwie szukać. Tata rzucał pod jego adresem przekleństwa. Chłopiec zaczął płakać z bezradności. W końcu mężczyzna wyczołgał się spod ciężarówki. Enrique zaczął uciekać, ale ojciec go dopadł i pobił. Chłopiec nigdy nie zbił żadnego zwierzęcia tak, jak wtedy zbił go ojciec. Tej nocy zasnął, płacząc, zły na matkę, że go nie obroniła, nienawidząc swego życia i ojca.

Słyszał ludzi mówiących, że mimo biedy potrafili być szczęśliwi. On sam nie znał jednak żadnego biedaka, który nie byłby nieszczęśliwy. Wydawało się, że Ropuchę odgradza od reszty świata rzeka, na której nie sposób było postawić mostu. W tej okolicy bieda nastawiała wieśniaków przeciwko sobie i w rezultacie prowadzili oni brutalną walkę o to, kto zdobędzie przewagę. Enrique doił krowy innego rolnika. Dostawał za to dwa litry mleka dziennie i dziesięć pesos za tydzień, a ponadto kopniaki i wyzwiska, które zarabiał od będącego w jego wieku syna pracodawcy. Pewnego razu, gdy Enrique zachorował, matka zabrała go do szpitala w Tepic. Przyglądał się wyperfumowanym kobietom, mężczyznom w nowych samochodach i dzieciom noszącym nowe ubrania. Miasto oddalone było od jego *rancho* zaledwie o kilka kilometrów, ale wydawało się odległym lądem położonym na drugim brzegu wspomnianej rzeki.

Enrique dorastał i poszedł do szkoły, gdzie nauczył się nienawidzić nauczycieli tak, jak jego matka nienawidziła deszczu. Traktowali dzieciaki z górnego *barrio* z szacunkiem i warczeli na złachmanione dzieci z Ropuchy, które przychodziły bez drugiego śniadania. Bogatszym uczniom przyznawali nagrody w postaci cukierków i zabawek, podczas gdy te z Ropuchy nie miały na nie żadnych szans. Niektórzy nie pozwalali im także chodzić do toalety, w związku z czym dzieci się moczyły. Byli również i tacy, którzy pojawiali się w szkole pijani, inni zaś potrafili zniknąć na parę tygodni. Ojciec Enrique wyśmiewał się z niego, że nie zna nawet tabliczki mnożenia, ale jak mógł się jej nauczyć, mając takich nauczycieli?

Życie miało jednak pewien dreszczyk: bracia matki pracowali w Los Angeles, co dawało rodzinie powiązania, których inne dzieci zazdrościły. Wieśniacy postrzegali wujków Enrique jako dalekich odkrywców i dzielili się najświeższymi wieściami o nich. Chłopiec nigdy się nie przyznał, że jego ojcu nie układało się ze szwagrami. Lata temu wybuchła bijatyka, w której pchnięto go nożem, a dwóch

mężczyzn spokrewnionych z wujkami Enrique zginęło. Ojciec wżenił się potem w ich rodzinę, ale nigdy się ze szwagrami nie polubili.

Któregoś dnia rozeszły się pogłoski, że jeden z wujków wraca z doliny San Fernando. Perspektywa podarków, które mógł przywieźć, wprawiła rodzinę w stan podekscytowania. Matki umyły swoje dzieci i zebrały je razem. Wujek, który pamiętał o zatargu z ojcem Enrique, miał prezenty dla wszystkich poza Enrique, jego siostrami i matką. Dzieciaki wróciły do domu, płacząc, niczego nie rozumiejąc.

Życie zmieniało się na lepsze bardzo powoli. W jakiś sposób jego matce udało się zaoszczędzić tyle, by wystarczyło na zakup krowy – koniec końców stali się kimś w rodzaju ranczerów, choć z tego powodu ciężej pracowali. Enrique kładł się do łóżka, marząc o życiu szanowanego *ranchero*. Przez jakiś czas chciał zostać gliniarzem. Praca policjanta patrolującego autostrady wydawała mu się ekscytująca. Jednak ojciec nie miał żadnych znajomości, dzięki którym mógłby go zapisać do akademii policyjnej.

– Potrzebuję agronoma, a nie policjanta – dodawał ojciec. – Pamiętaj, któregoś dnia ta ziemia będzie twoja. Twoje siostry wyjdą za mąż i zamieszkają ze swoją nową rodziną. To ty odziedziczysz ziemię i dom.

Ojciec Enrique wciąż wspominał o czekającym na niego dziedzictwie, które wkrótce zaczęło mu się wydawać przekleństwem. Uważał, że ziemia uprawiana przez rolników takich jak jego tata wysysała z nich życie – cokolwiek by zrobili, i tak pozostawali nieokrzesanymi, brutalnymi, oziębłymi i pogrążonymi w biedzie mężczyznami, którzy nie mieli władzy nad swoim losem. Ucieczka przed takim przeznaczeniem stała się jego główną życiową troską.

Jego niepokój jeszcze się nasilił, gdy wypatrzył pewną dziewczynę. Miała dwanaście lat i była piękna. Jej ojciec był rzeźnikiem w mieście, co plasowało ją w wyższych sferach *rancho*, wysoko ponad Enrique – który był synem pogrążonego w nałogu rolnika uprawiającego trzcinę cukrową. Mieszkała na wzgórzu położonym nad Ropuchą, co miało wydźwięk także symboliczny. Rodzicami dzieciaków z *barrio* byli właściciele sklepów posiadający nieco lepsze domy i większą ilość ziemi. Ich córki i synowie rządzili na miejskim placu zabaw i odganiali rówieśników z Ropuchy kamieniami.

Enrique miał świadomość, że nie jest w stanie zapewnić jej życia takiego, jakiego ona sama chciała i jakiego jej ojciec dla niej oczekiwał. Kiedy jednak Enrique zapytał ją, czy zechce zostać jego dziewczyną, zgodziła się. Przeżywali

niewinny romans, pełen pocałunków i czułych objęć. Wiedział jednak, że aby na tym nie poprzestać, musiał przejawić inicjatywę.

W tym czasie jego matka wyjechała na kilka miesięcy do Kalifornii. Wróciła nie tylko z prezentami, ale również z informacją, że jeden z jej braci został zabity – jak utrzymywała – przez policjanta, który przekroczył swoje kompetencje. Mieszkańcy wioski przyjęli tę wersję wydarzeń. Pozostali na północy wujkowie, których gniew na matkę Enrique za wybór męża osłabł, przysłali mu pierwsze amerykańskie ubrania. Wieśniacy uważali ich za bohaterów, a niektórzy prosili o pomoc w przedostaniu się na północ. Enrique wyobrażał sobie swoich wujków jako wielkich panów mieszkających w miejscu nazywanym Canoga Park.

Matka zdobyła pracę w wiejskiej szkole, gdzie nadzorowała program wydawania drugich śniadań, więc Enrique nie był już dłużej głodny podczas lekcji. Z kolei ojca wybrano na skarbnika lokalnej spółdzielni rolniczej zrzeszającej osoby uprawiające trzcinę cukrową. Sprawował pieczę nad budową pierwszego we wsi systemu oświetlenia ulicznego. Widok ojca tak sumiennie dbającego o stawianie latarni w wiosce zadziwiał chłopaka, zwłaszcza kiedy przypominał sobie, jaki mrok zaprowadzał w domu.

Po jakimś czasie ukończył gimnazjum i poszedł do liceum w Tepic. Spędził tam dwa tygodnie, dzień w dzień bez obiadu, aż skończyły mu się pieniądze na autobus i porzucił szkołę. Perspektywa spędzenia życia na roli stała się nagle przerażająco realna. Mozolenie się z trzciną nigdy nie pozwoliłoby mu na spełnienie oczekiwań ukochanej i jej ojca. Na wsi dziewczyny wychodziły za mąż w młodym wieku. Choć miała zaledwie trzynaście lat, Enrique nie miał czasu do stracenia.

Do wsi w końcu dotarły wodociągi i kanalizacja. Mieszkańcy zyskali dostęp do wody pitnej z kranu, odpadło więc czerpanie jej z odległych studni. Zamiast chodzić do lasu, udawano się do toalety. Mimo to Enrique w kółko myślał o swych wujkach w Canoga Park. Snuł plany, którymi z nikim się nie dzielił. Chciał dostać się do Tijuany i tam znaleźć kogoś, kto przemyciłby go do Los Angeles. Nie miał ani adresu, ani numeru telefonu swoich wujków, ale z pewnością byli tam na tyle dobrze znani, że bez trudu dałoby się ich odnaleźć.

Któregoś dnia przeszedł się po wsi, przywitał z kolegami, spędził trochę czasu ze swoją dziewczyną i odszedł bez pożegnania. Następnie wziął swój akt urodzenia, włożył najlepszą czarną kurtkę, którą przysłali mu wujkowie, białą koszulę z kołnierzykiem i niebieskie spodnie, pocałował mamę i powiedział, że wróci nieco później. Ruszył do Tepic, gdzie wsiadł do autobusu taniego

przewoźnika Tres Estrellas de Oro, który przez lata przetransportował na północ setki tysięcy Meksykanów chcących przekroczyć granicę.

Zapłacił za bilet dwieście pesos, które podwędził rodzicom. Te pieniądze potraktował jako pożyczkę, więc nie miał zbytnich wyrzutów sumienia. Usiadł przy oknie i przez dwadzieścia osiem godzin jazdy oglądał rzeczy, których dotąd nie widział.

Był 1989 rok, a on miał czternaście lat.

Molekuła

Niewiele brakowało, a życie zawodowe Andy’ego Coopa zeszłoby na obserwowaniu, jak schnie farba.

Coop pochodził z położonego w północnej Anglii Halifaxu, był synem mechanika i pracownicy stołówki szkolnej. W 1991 roku obronił na Uniwersytecie Oksfordzkim pracę licencjacką z chemii, która dała mu pełną swobodę wyboru uczelni, na której chciałby kontynuować studia. Na Uniwersytecie Cardiff wykładał profesor specjalizujący się w chemii farb. Przemysł farbiarski był wówczas na etapie poszukiwania produktu, który sechłby w określonej temperaturze. Z kolei na Uniwersytecie Bristolskim pracował John Lewis, badający budowę chemiczną narkotyków i chemiczne aspekty uzależnień. W latach sześćdziesiątych odkrył buprenorfinę – opiat, który później pomógł w terapii osób uzależnionych od heroiny.

Coop nie pamięta, by jakoś szczególnie zastanawiał się nad wyborem uczelni. Narkotyki wydawały się o wiele ciekawsze niż jakieś tam farby, więc pojechał do Bristolu i Johna Lewisa. Tam w 1991 roku zetknął się z molekułą morfiny – kluczowym składnikiem wszystkich opiatów. Z czasem Andy Coop zafiksował się na jej punkcie, oczywiście w przenośni, bo tylko raz przyjął środek zawierający morfinę – i to dopiero po operacji chirurgicznej.

Skontaktowałem się z nim, ponieważ chciałem zrozumieć, cóż to za związek chemiczny stał za historią, która mnie pochłonęła.

Molekuła morfiny – chyba jak żadna inna cząsteczka występująca na Ziemi – kryje w sobie zarazem piekło i raj. Przyczyniła się do powstania nowoczesnej chirurgii, często ratując życie lub poprawiając jego jakość. Jednocześnie zniszczyła życie mnóstwa osób, wpędzając je w uzależnienie, lub – przez przedawkowanie – doprowadziła do ich śmierci. Pisząc o niej, można zadać najważniejsze pytania dręczące ludzkość i przywołać największe dzieła sztuki: *Fausta*, *Doktora Jekylla i Pana Hyde’a*, prowadzić rozważania nad istotą ludzkiej natury, nad zagadnieniami wolnej woli i zniewolenia, na temat Boga i ewolucji. Kiedy bada się morfinę, w naturalny sposób przychodzą do głowy pytania w rodzaju: Czy ludzkość może dostąpić szczęścia bez doświadczenia bólu? Czy szczęście bez bólu byłoby w ogóle coś warte? Czy tak naprawdę możemy je osiągnąć?

– Niewykluczone, że farby wciągnęłyby mnie – zwierzył mi się Coop. – Ale rozmyślania nad ewolucją, niebem i piekłem czy psychologią nie mają żadnego znaczenia, kiedy [bada się farby].

U osób uzależnionych od heroiny widziałem degradację wynikającą z utraty wolnej woli i osunięcia się w zniewolenie właściwie od jednego pragnienia – osiągnięcia permanentnej przyjemności, popadnięcia w otępienie i uniknięcia bólu. Lecz upadek człowieka zawsze zaczynał się z chwilą jego spełnienia, w momencie uwolnienia się od napięć i cierpień oraz utraty kontroli nad sobą.

Można powiedzieć, że Stany Zjednoczone w pewnym sensie osiągnęły taki stan w latach omawianych w niniejszej książce, czyli w ostatniej dekadzie XX wieku i pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku. Kiedy mniej więcej w tym czasie wróciłem do domu z Meksyku, zauważyłem nasilanie się przerażającego zjawiska otyłości. Nie chodziło tylko o ludzi. Wszystko wydawało się rozdęte i nadmierne. Olbrzymie hummery i SUV-y wyglądały jak samochody na sterydach. Na niektórych przedmieściach południowej Kalifornii, niedaleko których dorastałem, na działkach zabudowanych w latach pięćdziesiątych domami z trzema sypialniami, pojawiły się ledwo mieszczące się w granicach posesji rezydencje o powierzchni sześciuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych, przez co nie było już miejsca na ogródek pozwalający zażywać kalifornijskiego słońca.

Ostatnimi wielkimi amerykańskimi pionierami byli hipisi, którzy w latach sześćdziesiątych uciekali ze sztucznego świata swych rodziców i osiedlali się w położonych w północnej Kalifornii hrabstwach Humboldt i Mendocino. Mieszkali w pozbawionych prądu tipi i utrzymywali się z uprawy konopi. Teraz ich dzieci i wnuki wynajdywały stojące na zapyziałych bocznicach wagony, by niczym jacyś szaleni naukowcy uprawiać w nich nafaszerowane chemikaliami i naświetlane tysiącwatowymi żarówkami piekielnie mocne odmiany trawy. Ich ziele było napakowane jak mięśnie kulturystów, a tego rodzaju uprawy gandzi przyczyniały się do zniszczenia świata zgodnego z naturą, którego ich rodzice lub dziadkowie niegdyś poszukiwali.

Nadmiar zatruwał to, co w Ameryce było najlepsze. Caltech (Kalifornijski Instytut Technologiczny) wypuszczał na masową skalę świetnych absolwentów, ale zbyt wielu z nich, zamiast poświęcić się nauce, zapełniało Wall Street, gdzie tworzyli finansowe wydmuszki, które przynosiły świetne dochody, choć nic nie wytwarzały. Szefowie z Wall Street i korporacji dostawali olbrzymie wynagrodzenia, nawet jeśli efekty ich pracy były mizerne. Banki hurtowo

przyznawały złe kredyty hipoteczne, a my wierzyliśmy Standard and Poor’s, gdy agencja ta nadawała im rating AAA. Zamożni rodzice nie wymagali już dłużej od swych nastoletnich dzieci, by podejmowały się prac dorywczych.

W Meksyku na nowo zrozumiałem, co Ameryka oznacza dla biedaka przytłoczonego pochodzeniem z dolnych warstw społecznych. Poczułem prawdziwą dumę, że Stany Zjednoczone pozwoliły awansować do klasy średniej większej liczbie osób niż Meksyk. Potem wróciłem do ojczyzny i zobaczyłem, że zbyt wielu rodaków korzysta z jej dziedzictwa w pogoni za wygodami, życiem na kredyt, próbami osiągnięcia szczęścia za pomocą coraz większej ilości wypalanej marychy. Nie dostrzegałem jednak zbieżności między tym zjawiskiem a przejawianą przez duże grupy tych samych dzieciaków – w większości dobrze sytuowanych i białych – tendencją do konsumowania coraz większych ilości pochodnych molekuły morfiny – byle tylko naćpać się i odpaść.

Odszukałem Andy’ego Coopa, który pełnił funkcję dziekana wydziału farmaceutycznego na Uniwersytecie Maryland w Baltimore.

Według niego olbrzymia moc molekuły morfiny pochodziła z tego, że w jakiś sposób pasowała, niczym klucz do zamka, do receptorów obecnych w mózgach i rdzeniach kręgowych wszystkich ssaków, a w szczególności ludzi. Tak zwane receptory opioidowe μ (mi), które podczas pobudzania naturalnie produkowanymi w organizmie endorfinami generują odczucie przyjemności, okazały się szczególnie podatne na oddziaływanie morfiny. Receptor łączący się z endorfiną wywołuje u nas stany euforyczne, których doznajemy, choćby patrząc na uśmiech niemowlęcia lub łąkę pełną maków. Morfina niejako przytłacza receptor, wzbudzając euforię o wiele silniejszą, niż byłaby to w stanie wygenerować jakakolwiek substancja wytworzona endogennie. Powoduje również senność, zaparcia i zniesienie czucia bólu fizycznego. Aspiryna ma ograniczony potencjał tłumienia bólu. Jak jednak zauważa Coop, im więcej przyjmuje się morfiny, tym więcej bólu się uśmierza.

Z tego powodu nie ma rośliny bardziej przebadanej pod kątem właściwości medycznych niż mak lekarski. Kiedy opadną płatki kwiatu makowego, na szczycie łodygi pojawia się makówka wielkości piłki golfowej. Sok mleczny makówek zawiera opium, z którego wytwarza się laudanum, kodeinę, tebainę, hydrokodon, oksymorfon, heroinę i niemal dwieście innych związków chemicznych, z których wszystkie mają w sobie morfinę lub jej pochodne. Etorfina – pochodna tebainy – wykorzystywana jest w lotkach stosowanych do usypiania nosorożców i słoni.

Zdaniem Coopa liście tytoniu, koki i innych roślin wyewoluowały tak, że stały się dla ludzi źródłem przyjemności i uzależnień. Morfina jednak przewyższa je intensywnością wywoływanych stanów euforycznych. Ma to swoją cenę – tym, którzy ośmielą się z nią skończyć, wymierza okrutną zemstę. Po odstawieniu wychodzi się z narkotycznego otępienia i wraca do życia oraz czucia. Osoby oszołomione narkotykiem wpadają w impotencję. W trakcie dłuższej przerwy w jego przyjmowaniu, gdy na nowo zaczynają odczuwać, dostają częstych orgazmów. Męczy je potworny, wielodniowy ból głowy. O ile przyjmując morfinę, miały zaparcia i zapadały w sen, tak na odwyku dostawały ostrej biegunki i dopadała je ciągnąca się przez tydzień bezsenność.

Morfina przypomina porzuconą kochankę, która w momencie rozstania dostaje napadu złości. Narkomani, z którymi rozmawiałem, opowiadali, że gdy na koniec odwyku próbowali oddać mocz, odczuwali przeciągłe mrowienie, jakby ostatnia jej molekuła zaszyła się gdzieś w nerkach i walczyła, by nie dać się z nich usunąć. I znowu niczym kochanka, jak żaden inny występujący w naturze związek chemiczny, dawała tak miłosierną ulgę od bólu, uzależniając od siebie ludzi, by potem bezlitośnie karać ich za próbę uwolnienia się od niej.

Przedstawiciele kilku żyjących na świecie gatunków pasożytów potrafią kontrolować organizm żywiciela tak, by działał on wbrew własnym żywotnym interesom. Pierwotniak *Toxoplasma gondii* rozmnaża się w żołądku kota, tworząc oocysty, które następnie są wydalane razem z kałem. Pasożyt rozpoczyna na nowo swój cykl życiowy na przykład od zainfekowania szczura mającego kontakt z kocimi ekskrementami. *Toxoplasma gondii* zmienia zachowanie zarażonego gryzonia, wskutek czego przestaje on bać się kociej uryny, która dla zdrowych osobników jest sygnałem ostrzegawczym świadczącym o obecności drapieżnika. Szczur z toksoplazmozą tapla się w moczu, czyniąc z siebie łatwy łup dla przebywającego w okolicy kota. W ten sposób pasożyt ponownie dostaje się do żołądka drapieżnika, gdzie się rozmnaża, po czym zostaje wydalony i cykl życiowy trwa dalej.

Molekuła morfiny wywiera podobny, przypominający pranie mózgu efekt na ludziach, popychając ich w poszukiwaniu kolejnej dawki do działań sprzecznych z ich własnym interesem i instynktem samozachowawczym. Uzależnieni oszukują tych, których kochają, kradną, mieszkają pod mostem w niesprzyjających warunkach pogodowych i narażają się na inne niebezpieczeństwa, byle tylko znów zażyć narkotyk.

Morfina stała się substancją sztandarową dla epoki przesytu. Nigdy nie było jej dość. Wytwarzała coraz większą tolerancję na samą siebie. Ponadto potrafiła pozostać w ciele człowieka, który zdobył się na odwagę, by się jej pozbyć. Nie chodzi tu tylko o odwyk. Większość narkotyków można łatwo rozłożyć w organizmie na rozpuszczalną w wodzie glukozę, która potem jest wydalana. Morfina jako jedyny związek chemiczny występujący w naturze wzbrania się przed tym. Nie daje sprowadzić się do glukozy i pozostaje w organizmie.

– Wciąż nie mamy dobrego wytłumaczenia dla tego zjawiska – mówi Coop. – To odstępstwo od znanych nam prawidłowości. Wszystkie inne narkotyki, a są ich tysiące, zachowują się zgodnie z tą regułą. Morfina nie. To niemal tak, jakby ktoś w taki właśnie sposób ją zaprojektował, w sumie dość diabolicznie.

Jak pizza z dowozem

Denver, Kolorado

W 1979 roku pewien młody mężczyzna znalazł pracę w policji w Denver. Był nowy w mieście. Przyjechał tu ze swego rodzinnego Pueblo w stanie Kolorado, tuż po świeżo zerwanych zaręczynach.

Dennis Chavez nigdy nie myślał, że zostanie policjantem. Jego rodzina swoje drzewo genealogiczne wywodziła od siedemnastowiecznego hiszpańskiego konkwistadora. Cztery wieki później ojciec Chaveza był hutnikiem w Pueblo.

W latach siedemdziesiątych Chavez, który był słusznej postury, grał w futbol amerykański na Uniwersytecie Kolorado. Rzucił jednak studia i zatrudnił się na budowie. W tym samym czasie jego kolega, który niedawno zaczął służbę w policji w Denver, przekonał go do przystąpienia do testów rekrutacyjnych. Chavez zdał je i po kilku miesiącach trafił do miejscowej akademii policyjnej. Lecz po pierwszych patrolach odbytych tuż po rozpoczęciu szkoły funkcjonariusz odpowiedzialny za szkolenia powiedział jego koledze, że Chavez jest słaby, prawdopodobnie najgłupszy w całej grupie rekrutów i najpewniej wyleci jeszcze przed końcem roku akademickiego. Rozdrażniło go to, więc poświęcił więcej czasu na studiowanie prawa i przepisów stanowionych przez miasto. Przyłożył się też do ćwiczeń fizycznych i energiczniej podszedł do patrolowania ulic.

Nadal lubił sport, więc zaczął podnosić ciężary. Obciął się na kwadratowo, na skroniach wygolił sobie błyskawice, a na potylicy numer z policyjnej blachy. Dostęp do sterydów był wtedy legalny, więc kupował prochy od lekarza przychodzącego do siłowni, w której ćwiczył. Wkrótce wydawał tysiąc dwieście dolarów miesięcznie na sterydy i suplementy diety. Miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, sto piętnaście kilo wagi i mięśnie nadęte tak, jakby był ściśniętym balonem. Był wówczas ostrym zawodnikiem, który witał znajomych miażdżącym uściskiem dłoni i silnym klepnięciem w ramię. W sprawie każdego zgłoszenia zarejestrowanego pod numerem 911 interweniował jak pitbul, tak rozpierała go energia. Kiedy witał kolegów warknięciem: „Co słychać?”, brzmiało to jak coś pomiędzy przesłuchaniem a rozkazem. Nawet gliniarze starali się go unikać.

Miał obsesję na punkcie swojej pracy, w której sensem było dla niego zatrzymywanie typków spod ciemnej gwiazdy. Pewien porucznik skrytykował go kiedyś za wypisywanie zbyt małej liczby mandatów oraz za to, że jako oficer szkoleniowy zajmujący się rekrutami nie pokazywał im właściwego rozkładu akcentów w pracy policjanta.

– Nie tym się przecież zajmuję – odpowiedział Chavez porucznikowi. – Łapię przestępców.

Pierwszych pięć lat służby spędził, ucząc się od policjanta o nazwisku Robert Wallis. Wallis był miejscową odmianą supergliny, który cały swój czas poświęcał na aresztowanie co ważniejszych podejrzanych. Wraz ze swym partnerem brał udział w kilkunastu strzelaninach, co dla Chaveza było dowodem na to, że Wallis zawsze stawał na drodze najgorszym draniom. I tak stał się dla niego wzorem do naśladowania. Nauczył się od niego, jak czytać tatuaże więzienne i rozpoznawać ściganych, którzy kryli się w śródmiejskich melinach. To od Wallisa Chavez dość wcześnie się dowiedział, że większość przestępstw ma związek z narkotykami, więc zrozumienie, jak działa podziemie narkotykowe, jest kluczowe dla skuteczności działań policji.

Szczególnie zainteresowała go heroina. W tych latach rynek w Denver kontrolowały rodziny Amerykanów pochodzenia meksykańskiego. Jednak gdy je rozpracowywał i zatrzymywał ich członków, zorientował się, że towar dostarcza im mężczyzna z położonego w Meksyku Nayaritu. Nazwa ta nic mu nie mówiła, ale przez kolejne lata wciąż się powtarzała. Nayaritańczycy sprzedawali narkotyk w postaci jeszcze mu nieznanej. Pojawiająca się dotąd na rynku w Denver heroina była jasnobrązowym proszkiem. Ta z Nayaritu była natomiast ciemna, lepka i przypominała z wyglądu ciągutki Tootsie Rolls lub szczurze odchody. Nazywano ją czarną smołą, a Chavez słyszał opowieści, że rozcieńczano ją za pomocą odparowanej coca-coli.

W miarę upływu lat Dennis Chavez coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że w swej robocie najbardziej lubił dedukcję, która prowadziła do wykrycia przestępcy. Można było się w niej zatracić, gdy się tak szukało i ostatecznie znajdowało trop podejrzanego oraz sposób jego działania. Kiedyś grasował po Denver seryjny gwałciciel. Chavez przyjął zeznanie od ostatniej ofiary – dziewczyny z liceum, która płacząc, chwyciła go za rękę i wymusiła na nim obietnicę, że złapie sprawcę. Ofiary mówiły, że gwałciciel podczas napaści groził im nożem firmy Buck. Chavez sporządził rozpiskę ataków – godziny, daty,

lokalizacje. Zaczął obserwację południowo-wschodniej dzielnicy miasta, spodziewając się, że gwałciciel następnym razem uderzy właśnie tam. Kiedyś wieczorem zobaczył mężczyznę idącego aleją i po prostu wyczuł, że to on. W pewnym momencie gość nieprawidłowo przeszedł przez jezdnię. Chavez aresztował go za posiadanie ukrytego w spodniach noża Buck. Jeszcze tego samego wieczora przybyłe na komisariat ofiary rozpoznały w zatrzymanym gwałciciela.

Któregoś ranka, mając już za sobą kilka lat służby, Dennis Chavez obudził się, nic nie widząc, a serce biło mu jak przegrzany tłok. Dziewczyna zawiozła go do szpitala, gdzie lekarz ostrzegł go, że jeśli nie odpuści, to dostanie zawału.

– Możesz umrzeć młodo, świetnie przy tym wyglądając, lub o wiele później, będąc grubym i szczęśliwym – oznajmił mu lekarz.

Dennis Chavez wybrał wariant drugi. Odstawił sterydy i kawę, przestał też podnosić ciężary. Zaczął trenować aikido i ruszał na swoim harleyu w długie wycieczki po ciągnących się w stanie Kolorado górach. Nieco później założył policyjny klub motocyklowy, którego członkowie oprócz wyjazdów urządzali też zbiórki pieniężne na cele charytatywne.

Złagodniał. Zmieniło się też jego podejście do służby. Wprawdzie nie wygasło w nim zamiłowanie do roboty detektywistycznej, ale odpuściwszy sobie agresję pitbula, musiał wykształcić inne umiejętności, w tym sprawność w tworzeniu sieci donosicieli, co wiązało się choćby z łatwością przyciągania do siebie innych ludzi. Znalezienie informatorów nie było zresztą trudne. Mógł kogoś zamknąć, a potem powiedzieć, że sprawa nie będzie wszczęta, jeśli wystawi innych. Mogło to zresztą prowadzić do opłacania donosicieli. Trudność polegała na utrzymywaniu tego rodzaju relacji, zwłaszcza kiedy informator już wiedział, że nie zostanie wobec niego wszczęte postępowanie, a donoszenie stało się już tylko źródłem dochodów. Najlepsze wtyczki to te pozostające w łączności z prowadzącymi ich funkcjonariuszami, gotowe zrobić dla nich naprawdę dużo. Nawiązywanie i utrzymywanie takich relacji wymagało od Chaveza finezji i zrównoważonej osobowości, dzięki której informator zyskiwał pewność, że jest lubiany i chroniony. Czasami wymagało to działań niestandardowych – na przykład przyjmowania prezentów bożonarodzeniowych i dawania w zamian własnych.

Siatka informatorów była szczególnie cenna w jednostce antynarkotykowej policji, do której Dennis Chavez dołączył w 1995 roku. Dostał w spadku swego pierwszego długofalowego informatora od sierżanta, który odchodził z wydziału.

Przedstawił on Chavezowi człowieka funkcjonującego w meksykańskim podziemiu heroinowym w Denver.

Chavez nigdy nie miał głębszych powiązań z Meksykiem. Jego ojciec zabronił używać w domu języka hiszpańskiego, by dzieci nie mówiły po angielsku z obcym akcentem. Mimo to Chavez widział, jak zmieniał się świat narkotyków w Denver. Rodziny pochodzących z Meksyku amerykańskich dilerów trafiały do więzienia, wymierały lub się wyprowadzały, a w tę próżnię wkraczali Meksykanie. Chavez coraz częściej słyszał nazwę stanu Nayarit, zaś cała dostępna w mieście heroina to była czarna smoła.

Pod koniec lat osiemdziesiątych goście z Nayaritu krążyli po śródmieściu i sprzedawali heroinę każdemu, kto do nich podszedł. Aresztował wielu z nich, znalazł nawet na mapie Nayarit, ale nadal niewiele mu to mówiło. Widział, jak przesiedli się do samochodów i dowozili towar klientom. Na dworcu autobusowym zatrzymywano Meksykanów z plecakami, w których mieli kilogram lub dwa narkotyku, ale Chavez wciąż nie miał pewności, jak – i czy w ogóle – wszystko to było ze sobą powiązane.

Przynajmniej do czasu, gdy jego informator zapytał go: „Wiesz, że oni wszyscy są z jednego miasta, tak?”.

Spotkałem się z Dennisem Chavezem w położonej na północy Denver meksykańskiej restauracji, w której opowiedział mi, jak zaczął rozpracowywać dilerów z Nayaritu. Słowa informatora, że wszystko, co w Denver związane było z heroiną, miało swoje korzenie w jednym małym meksykańskim miasteczku, zaintrygowały go. Postanowił pociągnąć go za język.

Według informatora wszystko, co Chavez widział na ulicy – dilerów, kurierów z plecakami z heroiną czy kierowców z balonikami napełnionymi narkotykiem – wyglądało może na całkowicie przypadkowe i niezorganizowane, ale takie nie było. Wszystko było ze sobą powiązane.

Każdy z nich pochodził z miasteczka Xalisco. HA-LIS-KO – przesylabizował jego nazwę. Nie powinno się go mylić z meksykańskim stanem wymawianym w ten sam sposób, choć zapisywanym początkową literą *j*. Stan Jalisco jest jednym z największych w Meksyku, a za stolicę ma Guadalajarę. Tutaj nazwę pisze się przez *x*. Informator nigdy tam nie był, ale według niego była to mała miejscowość.

Zatem wszyscy ci goście krążący po Denver i sprzedający czarną smołę pochodzili z Xalisco lub okolicznych wiosek. Swój sukces zawdzięczali wypracowanemu przez siebie systemowi detalicznej sprzedaży heroiny. To prosty

mechanizm, który opierał się na taniej, nielegalnej meksykańskiej sile roboczej – tak jak w przypadku każdego fast foodu.

Po tej rozmowie Chavez zaczął przesiadywać z informatorem w barach lub samochodzie dostawczym zaparkowanym przed jego domem, a ten opowiadał o ludziach z Xalisco i ich systemie detalicznej sprzedaży heroiny – jego zdaniem jedynym w swoim rodzaju w podziemiu narkotykowym.

– To coś na kształt franczyzy fastfoodowej, jak pizza z dostawą – opowiadał informator. – Każda komórka lub franczyza sprzedająca heroinę ma właściciela w Xalisco, który zaopatruje ją w narkotyk. Często jest tak, że właściciel nawet nie przyjeżdża do Stanów Zjednoczonych. Kontaktuje się tylko z kierownikiem komórki, który mieszka w Denver i prowadzi w jego imieniu interes.

Kierownikowi komórki podlega osoba, która siedzi przez cały dzień pod telefonem w wynajętym mieszkaniu. Odbiera połączenia od uzależnionych i przyjmuje zamówienia na towar. Niżej w hierarchii znajdują się kierowcy, którzy dostają tygodniówkę i mają zapewnione darmowe zakwaterowanie i jedzenie. Ich zadaniem jest jeżdżenie po mieście z ustami pełnymi nienapompowanych baloników z czarną smołą. Jednorazowo biorą od dwudziestu pięciu do trzydziestu sztuk, przez co wyglądają jak chomiki. Zawsze mają pod ręką butelkę z wodą, by w razie kontroli policyjnej mogli wziąć kilka łyków i połknąć baloniki, które po przejściu przez układ trawienny są następnie wydalane z organizmu w stanie nienaruszonym wraz z odchodami. Oprócz baloników trzymanych w ustach kierowcy mają jeszcze kolejną setkę poukrywaną w zakamarkach samochodu.

Wśród heroinistów rozpowszechnia się numer, pod który mają dzwonić, żeby złożyć zamówienie na towar. Zadaniem operatora dyżurującego pod telefonem jest poinformowanie ich, gdzie mają się spotkać z dilerem, na przykład na jakimś parkingu przed podmiejskim centrum handlowym – przy lokalach McDonald’s lub Wendy’s czy aptece CVS. Następnie operatorzy przekazują kierowcom wiadomość o punkcie kontaktowym.

Kierowca powoli przejeżdża przez parking, a klient rusza za nim, zazwyczaj jakimiś bocznymi uliczkami. Tam samochód zatrzymuje się i wsiada do niego zamawiający, by łamaną angielszczyzną i łamaną hiszpańszczyzną dokonać multikulturowego zakupu heroiny. Ostatnim krokiem transakcji jest wyplucie przez kierowcę baloników w potrzebnej narkomanowi ilości i przyjęcie stosownej zapłaty.

Według informatora proceder uprawiany jest przez większą część dnia, a godziny pracy wahają się zazwyczaj od ósmej rano do ósmej wieczór. Komórka kierowców na początku potrafi zarobić dziennie pięć tysięcy dolarów, po roku kwota ta sięgać może nawet piętnastu tysięcy.

System działa w oparciu o konkretne zasady, których handlarze z Nayaritu nigdy nie łamią. Poszczególne komórki rywalizują ze sobą, ale konkurujący kierowcy znają się jeszcze z rodzinnego miasteczka, więc nie uciekają się do stosowania przemocy. Nigdy nie noszą ze sobą broni. Ciężko pracują nad tym, by wtopić się w otoczenie. Nie imprezują tam, gdzie mieszkają. Jeżdżą kilkuletnimi sedanami. Nikt z nich nie bierze narkotyków. Kierowcy spędzają w mieście kilka miesięcy, a potem szefowie wysyłają ich z powrotem do domu lub przenoszą do komórki w innym mieście. Komórki wymieniają samochody mniej więcej z taką samą częstotliwością co kierowców. Wciąż pojawiają się nowi kandydaci na tych ostatnich, zazwyczaj są to młodzi mężczyźni z rolniczych terenów gminy Xalisco. Właściciele komórek lubią ich, gdyż przy nich prawdopodobieństwo kradzieży jest niższe – im bardziej doświadczony kierowca, tym więcej zna sztuczek pozwalających oszukać szefa. Według szacunków informatora w Nayaricie były tysiące chłopaków palących się do wyjazdu na północ i gotowych krążyć po którymś z amerykańskich miast z ustami pełnymi baloników z heroiną.

Komórki z Xalisco działają jak małe przedsiębiorstwa i czynią to na skalę niespotykaną w przypadku innych grup zajmujących się handlem narkotykami. Właściciel komórki płaci każdemu kierowcy pensję – w Denver było to wówczas tysiąc dwieście dolarów tygodniowo. Szef wymaga przy tym, by każdy z kierowców dokładnie rozliczał się z wydatków, żąda od nich rachunków pokazujących, ile zapłacili za obiad czy za usługi prostytutki. Ponadto zachęca się ich do proponowania narkomanom specjalnych ofert, które napędzają interes: piętnaście dolarów za balonik lub siedem baloników za sto dolarów, czy też darmowy balonik w niedzielę dla klientów kupujących codziennie od poniedziałku do soboty. Sprzedawanie heroiny w porcjach ważących jedną dziesiątą grama było ich jedyną, pełnowymiarową i wykonywaną przez siedem dni w tygodniu – w tym w święta Bożego Narodzenia – pracą. Heroiniści potrzebowali swojej działki codziennie.

Zyski komórki pochodziły z marży narzucanej w handlu detalicznym. Jej klientami były wyniszczone i zdesperowane ćpuny, których nie stać było na kupno pół kilograma heroiny. Jeśli ktoś poszukiwał większej ilości narkotyku, to

prawdopodobnie był to gliniarz chcący zmontować sprawę, która mogłaby zaprowadzić handlarza na lata za kraty. Wystarczyło poprosić o większą porcję towaru, a telefony natychmiast milkły i nikt z komórki już nigdy się nie odezwał. To zaskoczyło informatora, bo nie znał żadnej innej meksykańskiej grupy dilerskiej, która sprzedawałaby heroinę w tak małych ilościach.

Co więcej, komórki z Xalisco nigdy nie robiły interesów z Afroamerykanami. Meksykanie nie sprzedawali niczego czarnym, ani też niczego od nich nie kupowali, bali się, że ci ich wykiwają lub obrabują. Sprzedawali towar niemal wyłącznie białym.

To, co opisywał informator, było istotną innowacją w amerykańskim podziemiu narkotykowym. Te zmiany odzwierciedlały mechanizmy funkcjonujące w świecie legalnego biznesu. Na przykład odkrycie, że kokaina podgrzana w wodzie z sodą oczyszczoną twardnieje na kamień, dało początek kokainie do palenia, znanej pod nazwą crack. Crack miał efektywniejszy mechanizm dostarczania kokainy do organizmu, gdyż ta trafiała bezpośrednio do mózgu.

Innowacja wprowadzona przez handlarzy z Xalisco też dotyczyła dostarczania narkotyku, tylko tym razem chodziło o samych klientów. Meksykanie zorientowali się, że białym – a zwłaszcza białym dzieciakom z klasy średniej – najbardziej zależało na obsłudze i wygodzie. Nie lubili łazić po dzielnicach biedoty lub podejrzanych melinach, by kupić sobie towar. Teraz nie musieli tego robić. Kierowcy z Xalisco dostarczali im go bezpośrednio do ręki.

System obejmował coraz większe terytorium. W połowie lat dziewięćdziesiątych informator Chaveza doliczył się kilkunastu większych ośrodków miejskich w zachodnich Stanach Zjednoczonych, gdzie działały komórki z malutkiego Xalisco w stanie Nayarit. W samym Denver było ich wtedy osiem lub dziesięć, każda z trzema lub czterema kierowcami pracującymi dzień w dzień.

Kiedy słuchałem Chaveza, wydało mi się, że handlarzami z Xalisco powodował ten sam impuls, który skłonił do wyjazdu tak licznych meksykańskich imigrantów. Większość z nich spędzała w Stanach Zjednoczonych całe lata, nie integrując się, tylko śniąc o dniu, w którym na dobre wrócą do domu. Tak wyglądało ich amerykańskie marzenie: wrócić do Meksyku bogatszymi, niż z niego wyjechali, i pokazać wszystkim na miejscu, że tak to się robi. W kółko dzwonili do domu i wysyłali tam pieniądze. Można powiedzieć, że bardziej interesowało ich wykopanie nowej studni na *rancho* niż to, co działo się w szkole, do której w Stanach chodziły ich dzieci. Wracali na wieś na doroczną fiestę i wydawali

o wiele więcej, niż mogli sobie na to pozwolić – na grille, wesela czy *quinceañeras*. Za granicą podejmowali się najgorszych robót i jednocześnie wytrwale budowali na swoich *ranchos* domy, które miały być widocznym świadectwem żywionego przez nich pragnienia powrotu na dobre do Meksyku. Bywało, że na ich wykończenie poświęcali całą dekadę. Ilekroć wracali na jakiś czas, zawsze coś przy nich robili. Wszyscy, bez wyjątku, montowali na dachach parteru pręty zbrojeniowe, widząc w nich zobowiązanie, że jak tylko uskładają więcej pieniędzy, to dobudują piętro. Pręty zbrojeniowe sterczące z nieukończonych budynków stały się częścią krajobrazu tysięcy wiosek i *ranchos* zasiedlanych przez meksykańskich migrantów.

Natomiast ukończone już domy często zaopatrzone były w bramy z kutego żelaza, nowoczesną instalację wodno-kanalizacyjną i marmurowe podłogi. Wyludniające się miasteczka zaczynały lepiej wyglądać, bo coraz więcej ludzi też chciało wybudować sobie dom. Z czasem stawały się one krainami marzeń, pustymi jak plan filmowy, do którego imigranci wracali na krótko, by odpocząć w Boże Narodzenie lub podczas dorocznej fiesty, wyobrażając sobie przy tym siebie już po ostatecznym powrocie do kraju w roli bogatych emerytów. Jak na ironię, praca, kredyty hipoteczne i urodzone już w Stanach Zjednoczonych dzieci nie pozwalały większości migrantów wrócić do Meksyku, by na stałe zamieszkać w domach, które z takim poświęceniem stawiali.

Nie dotyczyło to jednak dilerów heroiny z Xalisco. Ich historia związana była z imigracją i czynnikami zmuszającymi biednego Meksykanina do wyjazdu tylko na tyle, na ile chodziło w niej o handel narkotykami. Ci, którzy nie wylądowali w więzieniu, wracali, by zamieszkać w swoich domach. Nie zapuszczali w Stanach korzeni i nie wydawali tam więcej, niż musieli. Jamajczycy, Rosjanie, Włosi i nawet dilerzy z innych części Meksyku dorabiali się i kupowali nieruchomości w USA. Handlarze z Xalisco byli jedynymi znanymi Chavezowi członkami imigranckiej mafii narkotykowej, którzy za cel postawili sobie powrót do domu bez jednego wystrzału.

Wraz z rozszerzeniem działalności obrali sobie Denver za swoje centrum operacyjne i prawdopodobnie żaden inny glina w Stanach nie wiedział o nich więcej niż Dennis Chavez. Gdy się z nim spotkałem, było już wiadomo, że setki zatrzymań i grożących poważnymi sankcjami federalnych aktów oskarżenia nie zdołały ich powstrzymać. Rozprzestrzeniali się jak wirus, po cichu i w sposób niezauważalny dla wielu przedstawicieli organów ochrony porządku publicznego,

którzy często mylnie brali poszczególne komórki z Xalisco za odizolowane grupki drugorzędnych dilerów.

– Mówię na nich Chłopaki z Xalisco – powiedział mi Chavez. – Są już niemal w całym kraju.

Enrique samopas

Tijuana, Meksyk

Chaotyczna Tijuana była największym miastem, jakie Enrique dotąd widział. Tysiące osób przelewały się niczym rzeka przez główny dworzec autobusowy, by potem skierować się ku przejściu granicznemu między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi. Przez budynek dworcowy przetaczał się tłum pokornych i głodnych ludzi pochodzących, jak on sam, z *ranchos*. W samym środku ruchu ulicznego uwijali się chłopcy, którzy w zamian za drobne myli przednie szyby samochodów. Mężczyźni, których cofnięto z granicy, zatracali się w alkoholu. Przypominali Enrique pijaków z jego wioski.

Nocami Enrique spał na krzesłach w poczekalni terminalu, a za dnia krążył ulicami miasta. Wyszukał przemytnika i zapytał o cenę przerzucenia go do miejsca nazywanego Canoga Park. Kiedy powiedział mu, że nie zna adresu zamieszkania swoich wujków, ale rozezna się na miejscu, ten się roześmiał.

– Canoga Park to olbrzymia dzielnica – wytłumaczył mu mężczyzna. – Nie przypomina twego *rancho*.

Enrique został w Tijuanie, ponieważ bał się wrócić do domu przegranym. Mył się w dworcowej toalecie i z każdym dniem coraz bardziej przypominał miejscowego łobuziaka. W końcu, umierając z głodu, z pobrudzonymi i śmierdzącymi ubraniami, które tak cenił, nie mając już prawie grosza przy duszy, zadzwonił z płaczem do wioski. Jego wyjazd stał się na *rancho* sporą sensacją, więc przy słuchawce zgromadził się tłum cioć i wujków. Gdy zadzwonił po raz drugi, odebrała rozhisteryzowana matka. Dała mu numer do wujków w Los Angeles, którzy mieli po niego przyjechać. Rzeczywiście się pojawili i załatwili mu lewe papiery. Dzięki nim mógł przekroczyć granicę jako syn jakiegoś mężczyzny, którego dokumenty nie budziły zastrzeżeń. Dwa dni później Enrique siedział w mieszkaniu wujków w Canoga Park w dolinie San Fernando.

– Teraz – odezwał się wujek – dam ci tysiąc dolarów i walizkę, a ty wrócisz do domu.

– Nie – odpowiedział Enrique. – Nie da się kupić za tysiąc dolarów tego, czego chcę od życia.

Wujkowie zabrali siostrzeńca do lokalu, by się najadł, a potem zawieźli go do innego mieszkania. Jeden z nich otworzył szafę, w której były – niczym jakieś wspaniałe objawienie – dziesiątki pięćsetjedynek Levi’sa z metkami i ceną.

– Bierz, co chcesz – zaproponował wujek.

W ten sposób chłopak, który nigdy nie miał naraz więcej niż dwie pary wytartych spodni, wszedł w posiadanie nowiutkich, granatowych pięćsetjedynek. Stały się one dla niego synonimem pobytu na północy. Znacznie później przypomni sobie pierwszą parę, którą kupił samodzielnie, i moment, kiedy pierwszy raz wrócił w nich do domu.

W rodzinnej wiosce wszyscy, w tym sam Enrique, od zawsze myśleli, że we wspaniałym *El Norte* wujkowie ciężko pracują w szacownej firmie, która płaci na tyle dużo, że ilekroć wracali do domu, stać ich było na kupno prezentów. Teraz kazali mu usiąść, a jeden z nich przyniósł pudełko po butach pełne ciemnej, lepkiej substancji uformowanej w kulki o wielkości piłeczki golfowej oraz baloników we wszystkich możliwych kolorach.

– Co to jest? – zapytał Enrique.

– Chiva – odpowiedział wujek. Koza, meksykańska slangowa nazwa czarnej smoły. – Tak zarabiamy na życie.

Campesinos z plemienia Indian Cora uprawiali mak na wzgórzach rozciągających się wokół Xalisco. Zbierali sok mleczny z makówek i sprzedawali go przetwórcom, których znali wujkowie Enrique. Świeżo wygotowany kilogram cierpkiej, lepkiej chivy wysyłany był na północ w boomboxach lub plecakach przemytników już po paru dniach i pojawiał się na ulicach Los Angeles, praktycznie nierozcieńczony, zaledwie tydzień po zbiorze mleczka makowego.

Podczas rozmowy z Enrique wujek rozwałkował jedną z kulek i podzielił ją na grudki wielkości małego kamienia. Każdą z nich wsadził do osobnego balonika, który na koniec zawiązał. Wreszcie owinął telefon ręcznikiem, by stłumić dzwonek. Gdy chłopak zastanawiał się, po co to robił, wujek podłączył kabel do gniazdka i natychmiast telefon się rozdzwonił.

Telefonowali klienci. Po mieście przez cały dzień kierowcy jeździli z tymi balonikami. Każdego dzwoniącego umawiało się na innym skrzyżowaniu, by tam spotkał się z dostawcą, który otrzymywał na pagera kod wskazujący, gdzie ma się udać.

– Nie powiedzielibyśmy ci tego, gdybyś się nie pojawił – sprostował wujek. – Ale skoro już tu jesteś…

Enrique dostrzegł w tym szansę dla siebie. Błagał, by mógł dla nich pracować. Jeden z wujków uznał, że jest za młody i powinien pójść do szkoły, a jak nie, to wrócić do domu. Jednak chłopak nalegał i w końcu wujkowie ustąpili. Zatrudnili go do jeżdżenia po miejscu, które większość mieszkańców Los Angeles nazywała po prostu doliną.

Dolina San Fernando ma nieco ponad sześćset siedemdziesiąt kilometrów kwadratowych powierzchni i obejmuje rozległą północną część Los Angeles. Na jej zachodnim skraju znajduje się zamieszkała przez sześćdziesiąt tysięcy osób i przedzielona na pół bulwarami wysadzanymi palmami dzielnica Canoga Park. Wzdłuż jej ulic ciągną się klasyczne podmiejskie, zadbane, otynkowane i utrzymane w stylu ranczo parterowe domy.

Canoga Park, która wyrosła w latach pięćdziesiątych na miejscu gajów cytrynowych, jak zresztą cała dolina, była przez lata zdecydowanie biała, z niewielkimi wysepkami *barrios*, zasiedlanymi przez Amerykanów pochodzenia meksykańskiego. Jednak masowa migracja Meksykanów do południowej Kalifornii oraz koniec zimnej wojny zmieniły tę okolicę. Ludzie pracujący dla Departamentu Obrony wyprowadzili się, podobnie jak wielu innych białych. Wkrótce takie dzielnice Los Angeles, jak Van Nuys, Reseda, North Hollywood i Canoga Park, stały się w większości meksykańskie. Zmiany te zaczynały się właśnie wtedy, gdy Enrique przyjechał do miasta.

Jak na swoje czternaście lat był na tyle wysoki, by nie wzbudzać podejrzeń, kiedy siedział za kierownicą. Jeździł po ulicach doliny San Fernando z ustami pełnymi baloników i kierując się kodami wysyłanymi mu przez wujków za pośrednictwem bipera, nauczył się, gdzie kończy się Canoga Park, a zaczynają West Hills. Kręcił się po wysadzanych palmami bulwarach – Sherman Way, Roscoe i Sepulveda – które były szersze niż autostrady w jego kraju.

We wspomnieniach te pierwsze tygodnie były istną bajką, jakby wszystko, co słyszał o Ameryce, było prawdą: duże pieniądze, modne ubrania i dobre jedzenie były równie wszechobecne jak tutejsze słońce. Kiedyś włączył sobie magnetowid i obejrzał pierwszy film porno. Wujkowie często jadali w El Tapatio and Pocos – restauracji serwującej owoce morza. Pijali w ulubionym przez imigrantów z Nayaritu barze Majestic, w którym w ich towarzystwie kelner zawsze podawał mu piwo. Marzenie o zostaniu policjantem zupełnie się rozpłynęło, podobnie jak wszelka myśl o podjęciu nauki w szkole.

Po kilku miesiącach wujkowie umieścili Enrique w mieszkaniu przy alei De Soto i dali mu kluczyki do dwóch samochodów. Miał poprowadzić interes – wkładać heroinę do balonów, obsługiwać dzwoniących i dawać dyspozycje kierowcom jeżdżącym po mieście. Telefon dzwonił przez cały dzień aż do ósmej wieczorem, gdy go wyłączał. Ledwo skończył piętnaście lat, a już przyjmował zlecenia sprzedaży heroiny o wartości pięciu tysięcy dolarów dziennie. Szafy jego mieszkania wypełniły się kradzionymi pięćsetjedynkami, magnetowidami i filmami porno, które ćpuny dawały za działkę narkotyku. Enrique nie musiał się już martwić o spierające się spodnie, bo zawsze pojawiały się nowe. W kąpieli używał pachnących balsamów, a w ogródku należącego do wujka domu, stojącego w zamieszkanej przez Amerykanów okolicy, oczko wodne zastąpił basenem. Wśród jego klientów byli prawnicy – jeden z jego najlepszych klientów był bogatym adwokatem – pielęgniarki, prostytutki, weterani z Wietnamu, starzy narkomani z *barrio* i młodzi *cholos.*

Pewnego dnia, gdy odwiedzał wujka, zadzwonił telefon. To był ktoś z Meksyku. Twarz wujka spochmurniała.

– *Problemas* – powiedział, zasłaniając dłonią słuchawkę.

Problemas – problemy – wydają się dość szerokim pojęciem. Jednak na *ranchos* w Meksyku był to eufemizm na plątaninę sieci morderstw i bezprawia. *Problemas* oznaczały strzelaniny i oszustwa, które miały swoje źródła w przypadkowo zasłyszanych słowach, kłótniach o majątek czy porwaniu siostry w celu zawarcia małżeństwa. To one utrzymywały *rancheros* w biedzie i kazały im emigrować na północ. Duża część migracji do Stanów Zjednoczonych miała w tle nie tyle uwarunkowania gospodarcze i ubóstwo, ile właśnie *problemas* – ucieczkę przed zamordowaniem lub próbę uniknięcia sporu. Mogły one doprowadzić do wyludnienia *rancho* już w jednym pokoleniu. Czasami potrafiły ucichnąć w jakiejś wiosce tylko po to, by nagle odżyć po latach w wyniku przypadkowego spotkania starych wrogów w autobusie czy na rogu ulicy. Najwięcej *problemas* rodziło się podczas organizowanych na *rancho* tańców, kiedy towarzystwo piło, a atmosfera gęstniała od seksu i *machismo*. Gdzieniegdzie powiadano: *Baile el viernes; cuerpo el sabado,* czyli „Tańce w piątkowy wieczór, trup w sobotę”. Strzelanina podczas zabawy mogła na lata zatruć stosunki pomiędzy dwiema rodzinami. Śledzenie na bieżąco zdumiewającej historii konfliktów stawało się dla *ranchero* kluczem do przetrwania.

Mniej więcej coś takiego podzieliło rodzinę matki Enrique. On sam nigdy nie poznał przyczyny kłótni, nie dowiedział się też, dlaczego dziadkowie się pobrali mimo aż tak poważnych *problemas*. Tak czy inaczej spór przychodził i odchodził niczym zła pogoda. Z rozmowy telefonicznej przeprowadzonej tego ranka w Canoga Park wynikało, że znowu się nasilił. W wiosce była wielka strzelanina. Zginęły dwie osoby, a piętnaście odniosło obrażenia. Winą obarczono jedną ze stron rodziny matki – ofiary pochodziły z tej drugiej.

Wieści o strzelaninie przypomniały Enrique, po co siedzi w Canoga Park i sprzedaje heroinę. W rodzinnej wiosce dilerów narkotykowych potępiano na równi z pedofilami. Jednak handel czarną smołą był dla niego sposobem na wywikłanie się z *problemas*. Na Sherman Way widział robotników dniówkowych – wycieńczonych i często nieopłacanych, ale tego nie uważano za przestępstwo. Próbowali pracować jak należy i jakoś przeżyć. Zresztą on sam przecież nikogo nie zmuszał do kupowania towaru. To i myśl o *problemas*, od których się uwalniał, uspokajała go. No i pięćsetjedynki również krzywdy mu nie robiły.

Pracował dla swoich wujków w Canoga Park przez siedem miesięcy. W końcu spakowali mu walizkę, wręczyli dwa tysiące dolarów zapłaty za robotę i odesłali z powrotem do domu. Uważał, że należy mu się więcej, ale przeważył wyniesiony z *rancho* etos biedy, który wiązał ręce także w dolinie San Fernando – mogli go wykorzystać, więc to zrobili, on nie miał nic do gadania. Heroina niczego tu nie zmieniła. Tak naprawdę pomyślał sobie, że wujkowie okazali się zapobiegliwymi i rozważnymi wieśniakami. Przebywali już w dolinie San Fernando od ponad dekady. Zresztą poprowadzili swój interes jeszcze przez kilka miesięcy, zarobili nieco pieniędzy i zwinęli go nie tyle z powodu obaw przed policją, ile ze strachu przed tym, co powiedzą ludzie w ich rodzinnej wiosce.

Na powitanie Enrique w jego położonym kilka kilometrów od Xalisco rodzinnym *rancho* wyszły dziesiątki wieśniaków. Biedny dzieciak z *barrio* Ropucha był teraz bohaterem, który jako pierwszy chłopak z okolicy samodzielnie przekroczył granicę. Zarobione pieniądze oddał matce, zachowując dla siebie dwieście dolarów. Kupił butelkę tequili Cazadores i urządził imprezę. Starsi zasypywali go pytaniami. Paru kolegów wzięło go na stronę i poprosiło o pomoc w znalezieniu takiej samej pracy, jaką wykonywał w Stanach. Zbył ich, ale zdał sobie sprawę, że pogłoski o niej rozeszły się o wiele szerzej, niż sądzili jego wujkowie. Ponadto sam chciał za kilka miesięcy wrócić do Kalifornii.

Miał zaledwie piętnaście lat, a już inni zwracali się do niego, by wyświadczył im przysługę. To było wspaniałe uczucie i rozkoszował się nim. Kiedy noc zmieszała się z płynącą w żyłach tequilą, a atmosfera stała się wystarczająco gorąca, z odtwarzacza rozbrzmiało jego ulubione *corrido – El Numero Uno* w wykonaniu Los Incomparables de Tijuana.

Enrique sięgnął po swoją berettę kalibru dziewięć milimetrów, wyciągnął w górę rękę i – zawywszy – wystrzelił wprost w niebo.

Mak

Historia maku lekarskiego jest niemal równie długa jak dzieje ludzkości.

Opium było prawdopodobnie pierwszym narkotykiem wytworzonym przez człowieka, gdy ten jeszcze budował wzdłuż biegu rzek cywilizacje rolnicze. Ludy mezopotamskie uprawiały mak w dorzeczu Tygrysu i Eufratu. Z kolei Asyryjczycy opracowali wykorzystywaną do dziś metodę nacinania makówki i zbierania mleczka zawierającego opium. Jak napisał Martin Booth w swoim klasycznym dziele *Opium. A History:* „Sumeryjczycy, pionierzy cywilizacji i rolnictwa, na oznaczenie maku wykorzystywali ideogramy *hul* i *gil*, co w tłumaczeniu daje »roślinę przyjemności«”.

Pierwszymi, którzy stosowali opium jako lek, byli starożytni Egipcjanie. Pochodna opium, tebaina, swoją nazwę zawdzięcza Tebom – położone w Górnym Egipcie miasto było pierwszym dużym ośrodkiem produkcji maku i opium. Hindusi również je wytwarzali. Podobnie Grecy – o opium i sporządzonych na jego bazie miksturach wspominają Homer i Wergiliusz. Rozwijające się imperium arabskie, a później Republika Wenecka – jedno i drugie wydające z siebie niezmordowanych kupców – rozpowszechniły narkotyk na świecie.

Wczesne cywilizacje traktowały opium jako antidotum na ciężary, które niesie z sobą życie – smutek i ból – oraz skuteczny środek nasenny. Wiedziano też, że jest śmiertelnie trujące i szalenie uzależniające. Jednak dzięki płynącym z niego pożytkom łatwo było przymknąć oczy na związane z nim niebezpieczeństwa.

Na początku XIX wieku niemiecki praktykant aptekarski Friedrich Sertürner wyodrębnił w opium związek chemiczny odpowiedzialny za jego działanie nasenne i wziąwszy imię od antycznego boga snu i snów Morfeusza, nazwał go morfiną. Morfina była mocniejsza niż zwykłe opium, lepiej też uśmierzała ból.

Dziewiętnastowieczne wojny spowodowały, że morfina rozpowszechniła się na świecie – a stoczono ich ponad trzysta trzydzieści, więc poszczególne państwa zmuszone były opanować tajniki jej produkcji. Podczas wojny secesyjnej po raz pierwszy zaczęto uprawiać mak w Wirginii, Georgii i Karolinie Południowej, co skutkowało tym, że w kraju pojawiły się tysiące uzależnionych od morfiny żołnierzy. Dwie z prowadzonych w XIX wieku wojen miały w tle molekułę morfiny i zamiar ukrócenia przez Chiny sprzedaży na swym terytorium opium

wytwarzanego w Indiach. Handel narkotykiem przynosił Imperium Brytyjskiemu pokaźne zyski, na które chrapkę miało samowystarczalne pod tym względem Państwo Środka. Za jego przegraną w dwóch wojnach opiumowych stoi skala problemu związanego z tym narkotykiem i dręczącego Chiny na początku XX wieku – w latach czterdziestych poprzedniego wieku liczba osób uzależnionych była jeszcze niewielka.

Tymczasem w 1853 roku edynburski lekarz Alexander Wood wynalazł igłę do nakłuć podskórnych. Zastrzyki przewyższały zarówno doustne przyjmowanie tabletek, jak i popularne wówczas doodbytnicze podawanie czopków, choćby dlatego, że zastosowanie igły pozwalało na znacznie dokładniejsze dozowanie. Wood wraz z innymi lekarzami wierzyli, że dzięki nim uda się wyeliminować u pacjentów apetyt na narkotyk, którego nie trzeba już było zażywać doustnie. Przekonanie to okazało się fałszywe. Jedną z pierwszych ofiar przedawkowania opiatu wstrzykniętego za pomocą strzykawki i igły była żona samego Wooda.

Popularność opium w Stanach Zjednoczonych rosła wraz z powiększającą się grupą (świeżo uzależnionych) imigrantów z Chin, którzy palili je w palarniach porozrzucanych po zakamarkach chińskich dzielnic w San Francisco i innych miastach. Zakazano działalności tych przybytków, a po zdelegalizowaniu imigracji z Chin zwyczaj palenia opium ostatecznie zanikł. Jego miejsce zajęła morfina.

Mikstury z zawartością opium lub morfiny sprzedawano jako cudowny środek na wszystko. Eliksiry te nosiły nazwy przypominające marki od dawna znanych i stosowanych na użytek domowy preparatòw. Tak na przykład opium było substancją czynną w syropie kojącym Mrs. Winslow’s Soothing Syrup, który wykorzystywano do uspokajania dzieci. Tego typu panacea były intensywnie reklamowane w mass mediach, a ich sprzedaż wzrosła z trzech i pół miliona dolarów w 1859 roku do prawie siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów na początku XX wieku.

W ramach poszukiwań nieuzależniającej postaci morfiny doktor Alder Wright dokonał w Londynie w 1874 roku syntezy związku chemicznego, który nazwał diacetylomorfiną – okazał się on niezwykle silnym środkiem przeciwbólowym. W 1898 roku chemik pracujący w laboratorium Bayera w Niemczech, Heinrich Dreser, powtórnie zsyntetyzował związek otrzymany przez Wrighta, nazywając tym razem diacetylomorfinę heroiną – od niemieckiego słowa *heroisch*, czyli „heroiczne”, bo tak pracownicy określali swoje odczucia, gdy Dreser ją na nich testował.

Z początku sądzono, że heroina nie wywołuje uzależnienia. Tabletki heroiny sprzedawano jako lek na kaszel i choroby układu oddechowego, co miało pewne znaczenie, gdyż w tamtym czasie gruźlica była jednym z największych zagrożeń zdrowotnych. Jak szybko odkryli konsumenci, heroina wywołuje zaparcia, więc zaczęto reklamować ją jako środek przeciwbiegunkowy. Kobiety stosowały ją z polecenia lekarzy na bóle menstruacyjne i problemy oddechowe. Niewiele było wówczas innych leków na ból i choroby. Tym samym gwałtownie wzrosła liczba osób uzależnionych od środka, który uznawano za bezpieczny, gdyż polecany był przez lekarzy.

Zaalarmowało to amerykańską opinię publiczną i na skutek jej nacisków przyjęto w 1914 roku tak zwaną Ustawę Harrisona. Uregulowała ona rynek opiatów i produktów otrzymywanych z liści koki, nakładając podatek od ich sprzedaży oraz zezwalając lekarzom na stosowanie ich w praktyce terapeutycznej. Zapisy te przekształcono później w pierwsze amerykańskie regulacje prohibicyjne, dzięki którym policjanci mogli aresztować lekarzy wystawiających osobom uzależnionym recepty na opiaty. Samo uzależnienie nie było wówczas traktowane jako choroba, więc z formalnego punktu widzenia uzależnieni nie mieli statusu pacjentów.

Lekarze wkrótce przestali przepisywać narkotyki. Osobom, które odczuwały rzeczywisty ból, pozostawało już tylko go przetrzymać. Uzależnieni natomiast zwrócili się do świata przestępczego. Jak donoszono w pewnym czasopiśmie medycznym: „[ponieważ osobie uzależnionej] odmawia się opieki medycznej, której pilnie potrzebuje, trafia ona do podziemia, gdzie może zdobyć swój narkotyk… Dystrybutorami tych wciągających w nałóg substancji są często najbardziej zdeprawowani przestępcy”.

Następnie rząd przeprowadził kampanię demonizującą „narkomanów”, którą wsparły uległe mu media. Osoby uzależnione przedstawiano jako wykolejonych, skłonnych do popełniania przestępstw i pozbawionych silnej woli degeneratów moralnych. Ten obraz utrzymał się w masowej wyobraźni przez następne dekady, naznaczając sposób postrzegania narkomanów. Wtedy też pojawiła się mityczna figura heroinowego kusiciela, który jakoby krąży wokół szkół i sklepów ze słodyczami, a w nadziei na pozyskanie przyszłych klientów rozdaje młodzieży darmowe działki narkotyku.

Ponieważ pożytki medyczne płynące ze stosowania heroiny są bardzo nikłe w porównaniu ze związanym z nią ryzykiem popadnięcia w uzależnienie, powinna

ona była przejść do historii. Zamiast tego zastąpiła na czarnym rynku morfinę. Zdobyła popularność, bo idealnie pasowała dilerom – była łatwa do wytworzenia, tańsza od swej konkurentki, silniej stężona, a tym samym łatwiejsza do ukrycia i bardziej opłacalna w rozcieńczaniu. Także euforie – i doły – które dawała, następowały szybciej i z większą intensywnością niż w przypadku innych opiatów. Heroinista musiał brać ją kilka razy dziennie i praktycznie nie potrafił bez niej funkcjonować, był zatem świetnym klientem.

Za karierę heroiny odpowiadają handlarze narkotyków i mafia. Nowy Jork stał się ogólnokrajową stolicą heroiny częściowo dlatego, że pierwsi producenci narkotyku właśnie tam rozpoczęli swoją działalność. Jednak od kiedy została zdelegalizowana, zaczęto ją szmuglować z Europy i Azji przez nowojorski port, a po mieście rozprowadzali ją nowi imigranci: między innymi Chińczycy i europejscy Żydzi, a o wiele później Portorykańczycy, Kolumbijczycy oraz Dominikańczycy. Mechanizm dystrybucji heroiny pozwalał Nowemu Jorkowi funkcjonować jako główny punkt przerzutowy heroiny w Stanach Zjednoczonych przez większą część XX wieku. Narkotyk pochodził przede wszystkim z Azji, Bliskiego Wschodu lub Kolumbii, więc przejmowano go w nowojorskim porcie i rozprowadzano między mające nieskończone rezerwy ludzkie gangi imigrantów lub czarnych, a za ich pośrednictwem trafiał na całe Wschodnie Wybrzeże i w głąb Środkowego Zachodu.

Marihuana, jak i wino, ma nieskończoną ilość odmian. Heroina zaś to towar w rodzaju cukru, zwykle może się różnić tylko czystością – ilością zanieczyszczeń – lub sposobem, w jaki jest przetwarzana bądź rafinowana. Zatem by wyróżnić swój produkt na rynku, dilerzy nauczyli się działać agresywnie, a pierwsze doświadczenia zebrali w Nowym Jorku.

Szlak prawdopodobnie przetarli Włosi. W latach trzydziestych XX wieku „agresywne nowe pokolenie włoskich mafiosów zaczęło przenikać środowisko handlarzy, wypychając inne grupy, przede wszystkim Żydów” – napisał historyk David Courtwright w swej historii uzależnienia opiatowego w Stanach Zjednoczonych zatytułowanej *Dark Paradise*. „Wzrostowi ceny towarzyszyło pogorszenie jakości”.

Nowojorscy Włosi jako pierwsi wprowadzili też zwyczaj dawania nowym klientom darmowych działek. Rozprowadzana przez nich chrzczona heroina upowszechniła jej dożylne wstrzykiwanie, dzięki temu nawet niewielka jej ilość zawarta w dawce trafiała bezpośrednio do mózgu, maksymalizując poczucie

euforii. Iniekcje zrodziły poważne zagrożenia dla stanu zdrowotnego społeczeństwa, przede wszystkim przyczyniły się do zdiagnozowanego później dramatycznego wzrostu liczby zachorowań na żółtaczkę typu C oraz HIV. (Czarna smoła z Meksyku tylko pogorszyła sytuację. Ponieważ jest ona półprzetworzoną, słabiej odfiltrowaną postacią heroiny, obecne w niej zanieczyszczenia zatykały żyły narkomanów, którzy nie będąc już w stanie odnaleźć drożnych, robili zastrzyki domięśniowe. To zaś z kolei prowadziło do infekcji, głębokich zmian skórnych, botulizmu czy wręcz gangreny).

W latach siedemdziesiątych dilerzy heroiny ze Wschodniego Wybrzeża, wówczas już w przeważającej mierze czarni, zaczęli umieszczać na torebkach informacje dotyczące szacowanej mocy umieszczonego w środku narkotyku lub ostatnich wydarzeń, na przykład Piekielna Randka, Toksyczny Odpad, Nokaut, NFL, Obamacare, Paraliż Rządu.

Wystarczyła dekada i narkotyk, którym porządna Ameryka pogardzała, stał się ulubionym towarem pogardzanej Ameryki – świat wczesnej heroiny zaludnił się miejskimi wyrzutkami, wędrownymi kanciarzami, homoseksualistami, kieszonkowcami, artystami i muzykami jazzowymi. Krążące w nieoficjalnym obiegu klasyki w rodzaju *Ćpuna* Williama Burroughsa opisywały jego nonkonformistycznych mieszkańców i podsycały u przyszłych pokoleń pragnienie buntu.

Heroina nie miała jednak nic wspólnego z romantycznym obalaniem norm społecznych. Dużo za to łączyło ją z najporządniejszą stroną Ameryki, czyli biznesem – nudnym, prowadzonym z zimną krwią handlem. Pasowała do interesów prowadzonych przez ustrukturyzowany świat przestępczy. Uzależnionym brakowało woli pozwalającej im pewnego dnia podjąć decyzję, by nie kupić towaru. Byli niewolnikami bezwzględnej molekuły. Dilerzy mogli więc zorganizować dystrybucję heroiny niemal całkowicie zgodnie z zasadami wykładanymi w szkołach handlowych, pod warunkiem że sami nie będą korzystać ze sprzedawanego przez siebie produktu. I pod warunkiem, że umiejętnie wprowadzą go na rynek.

Historie o handlu opiatami szybko stały się opowieściami o modelach biznesowych i poszukiwaniach nowych rynków zbytu.

Lżejsze od trzciny cukrowej

Xalisco, Nayarit

Pewnego kwietniowego popołudnia 1996 roku z położonej w meksykańskim stanie Nayarit wioski Aquiles Serdán wyruszył kondukt pogrzebowy.

Dziesiątki ludzi mozolnie wspinały się po wzgórzu, kierując się na północ do będącego siedzibą lokalnych władz miasta Xalisco, blokując przy tym ruch na drodze, która na południu wiodła do nadmorskiej miejscowości wypoczynkowej Puerto Vallarta. *Banda* – orkiestra dęta z trąbkami, klarnetami, bębnami, werblami i wielką tubą – przygrywała żałobnikom melodię *Te Vas Angel Mio* [Odchodzisz, Mój Aniele]. Mężczyźni strzelali w powietrze z pistoletów i po kolei brali na ramiona trumnę z ciałem Davida Tejedy.

Tejeda dorastał jako dziecko *ranchero*, choć jak na standardy panujące na meksykańskiej wsi w nieco lepszych warunkach. Gdy umierał, hodowane przez niego konie rasy andaluzyjskiej i quarter horse zaliczały się do najlepszych w gminie. Był też mistrzem woltyżerki, która jest bardzo popularną rozrywką wśród *rancheros* z północno-wschodniego Meksyku. Polega ona między innymi na spinaniu konia ostrygami i zmuszaniu go do paradowania i podskakiwania do *staccato* wygrywanego przez *banda*. Podczas corocznie organizowanej w Xalisco Feria del Elote (Targów Kukurydzianych), już po przejeździe tradycyjnej parady konnej, David Tejeda pokazywał swój kunszt jeździecki ku podziwowi i zazdrości zgromadzonych.

Kiedy zatem męska część rodziny towarzyszyła Tejedzie w jego ostatniej drodze, zabrano w nią również jego osiodłanego i pozbawionego jeźdźca ulubionego rumaka – białego konia rasy quarter horse o imieniu Palomo – i zmuszano go przy wtórze muzyki do różnych akrobacji. Kondukt żałobny przez godzinę szedł główną drogą, a potem brukowanymi ulicami Xalisco na miejscowy cmentarz.

David Tejeda był jednym z pierwszych mieszkańców gminy Xalisco, który sprzedawał heroinę w dolinie San Fernando. Co równie istotne, był też jedną z pierwszych osób, które otwarcie pokazały, co młodemu *ranchero* może przynieść

czarna smoła. Pobudował duże, nowe domy dla swojej rodziny i postawił przy nich stajnie.

O Davidzie Tejedzie usłyszałem długo po tym, jak zacząłem odtwarzać historię Chłopaków z Xalisco. Ciekawość rozbudzona na brzegu przepływającej przez Huntington w stanie Wirginia Zachodnia rzeki Ohio zdążyła przerodzić się u mnie w obsesję na punkcie *rancheros* pochodzących z miasteczka Xalisco w meksykańskim stanie Nayarit. W międzyczasie tysiące Amerykanów zdążyły wpaść w uzależnienie od smolistej heroiny, którą Chłopaki z Xalisco sprzedawały z zyskiem sięgającym milionów dolarów miesięcznie. Zorientowałem się, że nic o nich nie napisano, choć widziałem, jak wpływają na model konsumpcji narkotyków w wielu zakątkach Stanów Zjednoczonych. Zastanawiałem się, jak dotarli do tak wielu miejsc: Memphis, Omaha, Myrtle Beach, Nashville, Indianapolis czy Minneapolis.

Prawdę mówiąc, przypominali mi inną grupę, o której słyszałem, czyli Herrerów. Herrerowie to pierwsza bardzo duża rodzina meksykańskich *rancheros*, która zajmowała się sprzedażą narkotyków w Stanach Zjednoczonych. Mieszkali na odosobnionym, położonym na górskim bezdrożu w stanie Durango *rancho*, które założono pod koniec XVII wieku i – co oczywiste – nazywano je Los Herreras. Dotrzeć tam można było wierzchem. Podobnie jak w przypadku wielu innych rodzin z meksykańskich *ranchos* Herrerowie to w istocie klan mający wiele powiązanych więzami małżeńskimi odgałęzień: Nevarezów, Medinów, Diazów, Villanuevów i Venegasów. Jego członkowie wychodzili za Corralów z *rancho* Los Corrales. Przedstawiciele organów porządku publicznego szacowali, że w skład klanu wchodziło około tysiąca osób rozsianych po kilku *ranchos* w Durango – we wszystkich zajmowano się produkcją, transportem lub sprzedażą heroiny.

Pierwsi Herrerowie, którzy pojawili się w latach pięćdziesiątych XX wieku w Chicago, chcieli działać legalnie. Jednak maki w górach Durango rosły świetnie. Po pewnym czasie przerzucili się więc na heroinę. Większa część narkotyków na amerykańskim rynku pochodziła wtedy z drugiego krańca globu, czyli Turcji, Afganistanu i Azji Południowo-Wschodniej, a towar przerzucano przez Nowy Jork. Jednak po tym jak policja rozbiła w 1972 roku turecki i europejski kanał przerzutu heroiny (tak zwany francuski łącznik), klan Herrerów stał się w sporej części kraju najważniejszym źródłem zaopatrzenia w heroinę, corocznie importując siedem i pół tony brązowego proszku, znanego pod nazwą „meksykańskie błoto”.

Jak mówi Leo Arreguin – emerytowany funkcjonariusz DEA, który zinfiltrował klan na początku lat osiemdziesiątych – Herrerowie „nie byli kartelem w ścisłym tego słowa znaczeniu. To była rodzina zajmująca się przestępczością zorganizowaną w starym stylu". Większość członków klanu wyglądała jak zaniedbani, skromni i jeżdżący klepanymi autami mechanicy samochodowi. Arreguin robił zakupy kontrolowane towaru od jednego Herrery, który przyjeżdżał na spotkanie wyznaczone w McDonaldzie autem tak wyeksploatowanym, że po odjeździe, wskutek nadmiernego spalania oleju przez silnik, zostawała za nim czarna chmura. Jeden z członków klanu, Baltazar Nevarez-Herrera, był właścicielem rzeźni w Chicago. Przez jakiś czas klan przemycał heroinę w małych metalowych tubkach, które dodawali do paszy dla krów w Meksyku. Kiedy zwierzęta dojechały do Chicago, zarzynano je i wyciągano z ich wnętrzności pojemniki z narkotykiem.

Klan rozszerzył działalność na Denver, Detroit, Dallas, Oklahoma City, Los Angeles i wiele innych miast. Każdy z jego członków był niezależnym przedsiębiorcą kupującym produkowaną przez którąś z rodzin heroinę. Śledztwo chicagowskiej policji wykazało, że Herrerowie wyciągnęli na czysto sześćdziesiąt milionów dolarów – i to tylko w tym jednym mieście, a zysk przesyłali do Durango za pośrednictwem szemranych kantorów wymiany walut w południowych dzielnicach Chicago. Klan za swoje pieniądze fundował parki, drogi i innego rodzaju infrastrukturę, czym zjednywał wieśniaków w górach północno-zachodniego Meksyku do *narcos.*

Klanem kierował patriarcha Don Jaime Herrera-Nevarez, były policjant, który nigdy w życiu nie wyjechał z Meksyku. Powiada się, że to za jego sprawą meksykańska uncja heroiny – znana pod nazwą *pedazo*, czyli kawałek – ma dwadzieścia pięć gramów zamiast tradycyjnych dwudziestu ośmiu. (Różnica ta wywołała wiele dyskusji wśród kupców, którzy nieświadomi jej istnienia uważali, że byli oszukiwani). Legenda głosi, że Don Jaime miał dużą łyżkę, na której mieściło się dwadzieścia pięć gramów, i to jej używał do odmierzania heroiny. Taka właśnie miara stała się standardową uncją w świecie meksykańskiej heroiny. Nie udało mi się jednak zweryfikować, czy była to prawda, czy tylko legenda przekazywana przez kilku starszych rangą agentów DEA zajmujących się Herrerami.

W 1985 roku Don Jaime, kilku jego braci i kuzynów oraz syn Jaimito wraz z kilkudziesięcioma innymi krewnymi zostali zatrzymani. Wielu trafiło do

więzienia. Co prawda nie zakończyło to działalności klanu, ale nie odzyskał on już dawnej potęgi.

Bliskość Ameryki Łacińskiej, dzięki której wiele pochodzących z niej produktów rolnych miało na rynku amerykańskim konkurencyjne ceny, ostatecznie doprowadziła do wypchnięcia stamtąd tureckiej i azjatyckiej heroiny. Kolumbijczycy zaczęli wprowadzać brązowy proszek oraz bardziej znaną kokainę we wschodniej części Stanów Zjednoczonych w latach osiemdziesiątych. Ich heroina była o wiele tańsza niż biały proszek z Azji. Z kolei Meksykanie, a zwłaszcza mieszkańcy stanu Sinaloa, rozpoczęli sprzedaż czarnej smoły w zachodniej części Stanów Zjednoczonych na początku lat osiemdziesiątych, zastępując nią „meksykańskie błoto". Mimo że skala dostaw obsługiwanych przez Herrerów zmalała, cena heroiny zaczęła w Stanach spadać.

Koszty produkcji czarnej smoły, czyli najprostszej formy heroiny, były niezwykle niskie. Skoro zaś Meksyk był tak blisko, to cena gotowego narkotyku mogła być jeszcze niższa. To, jak się zorientowałem, okazało się kluczowe dla historii, na którą się natknąłem wraz z odkryciem istnienia dilerskich sieci stworzonych przez Chłopaków z Xalisco.

Byli oni nowoczesną wersją Herrerów i równie trudno było ich rozgryźć. Analizowałem informacje o stworzonym przez nich mętnym podziemiu. Wyszukiwałem je w aktach oskarżenia lub wywiadach z narkomanami, policjantami, prokuratorami, agentami DEA i FBI czy uwięzionymi dilerami z Xalisco. Powoli wyłaniał się obraz pokazujący, jak miasto zamieszkałe przez hodowców trzciny cukrowej stało się na początku XXI wieku kolebką najskuteczniejszej grupy handlarzy narkotyków, jaka kiedykolwiek działała na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Pionierzy imigracji z Xalisco osiedlali się w dolinie San Fernando – w Van Nuys, Panorama City i Canoga Park. Wielu z nich przebywało tam nielegalnie, choć podejmowali legalną pracę w budownictwie, ogrodnictwie i gastronomii. Ale na początku lat osiemdziesiątych kilka rodzin podjęło się handlu heroiną na ulicach i w parkach doliny. Uprawy maku lekarskiego w górach wokół Xalisco świetnie się udawały. Rodziny te miały bliskich, którzy opanowali sztukę przerobu mleczka opiumowego na czarną smołę. Można ją było formować jak glinę i z łatwością dało się dopasować na przykład do zasobnika na baterie w boomboxie. Była też bardzo mocna i skondensowana, a ponieważ – jak to bywa z heroiną – narkomani potrzebowali jej codziennie, więc świetnie nadawała się do sprzedaży detalicznej,

gdzie tkwił prawdziwy zysk. Rynek zgłaszał zapotrzebowanie na relatywnie małe ilości, a kurierzy mogli przemycić przez granicę po kilogramie narkotyku ukrytego w torbie lub przymocowanego do ciała pod ubraniem. Do kontrabandy najmowały się rodziny z Xalisco mieszkające w Tijuanie.

Pierwsi handlarze heroiną z Xalisco zazwyczaj pochodzili z jednego klanu, którego wielu członków nosiło nazwisko Tejeda. W gminie Xalisco klan Tejedów rozprzestrzenił się po *ranchos* dzięki niezliczonym kuzynom, siostrom, wujkom, braciom, szwagrom, synowym czy bratowym. Nazywali się Sánchez, Diaz, Ibarria, Lizama, López, Navarro, Cienfuegos, Lerma, Bernal, Garcia, Hernández i tak dalej, a łączyły ich więzy krwi i małżeństwa, a także życie na *rancho* – były to dzieci rolników, które same również uprawiały trzcinę cukrową, kawę, kukurydzę lub hodowały bydło.

To nie byli najbiedniejsi robotnicy rolni z Xalisco. Wręcz przeciwnie.

– Mieli dostęp do pieniędzy, które pozwalały im ruszyć na północ, zapłacić przemytnikowi za przerzut przez granicę i szukać nowych źródeł zarobków – powiedział mi wolny strzelec z sąsiadującego z Xalisco miasta Tepic. – Wśród *xalisquillo* było wiele znanych rodzin uprawiających trzcinę cukrową, dzięki którym Xalisco było największym jej producentem w stanie Nayarit. To ich synowie rozkręcili [interes heroinowy] w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Rodzice próbowali nauczyć ich prowadzenia gospodarstwa rolnego, a oni sami pracowali na polu. To naprawdę ciężka robota. Nie chcieli dalej robić tego, co ojcowie. Zobaczyli, że na heroinie można dobrze zarobić, więc zaczęli wyjeżdżać. Łatwiej jest zbić majątek na handlu narkotykami, niż ciężko pracować przy uprawie trzciny cukrowej.

Na początku lat osiemdziesiątych, gdy nie było jeszcze telefonów komórkowych i pagerów, Tejedowie wystawali na rogach ulic lub w parkach doliny San Fernando. Podchodzili do nich klienci, a oni odcinali nożykiem kawałek heroiny.

Moim zdaniem mieszkanie w dolinie San Fernando umożliwiło im karierę. Trzymali się z daleka od Sinaloańczyków. Sinaloa to ten z meksykańskich stanów, w którym w ogóle zaczęto handlować narkotykami. Jego mieszkańcy są często aroganccy, bezczelni i skorzy do przemocy, pozostali Meksykanie odczuwają przed nimi pewien podszyty lękiem respekt. W latach osiemdziesiątych zdominowali wschodnią część hrabstwa Los Angeles. Niewielkie przedmieścia południowo-wschodniego Los Angeles – między innymi Paramount, Huntington Park, Bell Gardens, South Gate – u swego zarania były sypialnią dla żołnierzy, którzy wrócili

z frontów II wojny światowej, ale niecałe czterdzieści lat później przeważali w nich już meksykańscy, a zwłaszcza sinaloańscy imigranci. Wtedy też stały się one punktem przerzutowym, przez który rozprowadzano przemycone z Sinaloa narkotyki do innych miast Stanów Zjednoczonych. Dolina San Fernando leży jednak daleko, za wzgórzami północno-wschodnich dzielnic Los Angeles, gdzie Sinaloańczycy nie są już tak liczni. W tę pustą przestrzeń mogli wkroczyć inni dilerzy.

Wśród pierwszych Chłopaków z Xalisco, które to zrobiły, znajdował się David Tejeda. Był najstarszym z sześciu synów bogatego rolnika z *rancho* Aquiles Serdán, który utrzymywał się z uprawy trzciny cukrowej. A przynajmniej zamożnego według miejscowych standardów. Jego rodzina posiadała ziemię, bydło, konie i domy, zanim jeszcze ruszył na północ sprzedawać narkotyki. Miał jasną cerę i słabość do białych kapeluszy kowbojskich oraz skórzanych kurtek z pagonami – innymi słowy, nosił się w stylu zamordowanego pieśniarza *narcocorrido* Chalina Sáncheza. Tejeda mieszkał w Canoga Park i przesiadywał w położonym w Van Nuys barze Majestic, który był ulubionym lokalem dilerów z Xalisco, w tym wujków Enrique. Często wdawał się w bójki i miał mnóstwo dziewczyn, przez co narobił sobie wrogów. Niemniej w dolinie San Fernando dawał pracę biednym dzieciakom z rodzinnych stron. Wielu go za to szanowało.

– Wszyscy marzyliśmy o tym, żeby tu przyjechać i dla niego pracować – opowiadał mi jeden z handlarzy z Xalisco, z którym rozmawiałem w amerykańskim więzieniu. – Poszedłem do niego i poprosiłem, by mnie zatrudnił. Miałem wtedy trzynaście lub czternaście lat. Odmówił, mówiąc mi, że jestem za młody. Wiele dzieciaków pukało do jego drzwi z tą samą prośbą. Mam krewnych i znajomych, którzy pracowali tutaj dla niego.

Pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych Los Angeles kipiało od gangsterki. W niektórych dzielnicach każdych kilka kwartałów było pod kontrolą innego gangu. To były czasy cracku. Sprzedawały go wystające na ulicach miasta tłumy młodych mężczyzn, a gangi nakładały na nich podatek od zarobionych pieniędzy. Mniej więcej w tym samym czasie Chłopaki z Xalisco wycofały sprzedaż swojej heroiny z ulic i parków, by przesiąść się do samochodów. Narkomanom dawano numer telefonu, pod który mieli dzwonić. Gdy się dodzwonili, instruowano ich, gdzie mają się spotkać z kierowcą, których rozdysponowywano po mieście poprzez kody wysyłane na pagery. Samochody i pagery umożliwiły Chłopakom z Xalisco dotarcie do szerszej grupy klientów,

a zarazem pozwoliły im zejść nieco z oczu policji. Ponadto jeżdżąc swoimi samochodami, unikali opodatkowania przez gangi oraz przemocy związanej ze sprzedażą cracku na ulicy.

Dzięki opracowaniu podstaw procedury dostarczania towaru klientom interes rozkwitł. Po Xalisco rozniosły się wieści o możliwości zarobku i z miasteczka przybywało coraz więcej młodych mężczyzn, którzy przy rozpoczynaniu działalności powielali zasady organizacyjne obowiązującego systemu. Swoje nowe zajęcie nazwali *tienditas*, czyli sklepikami. Prowadzenie własnego przedsięwzięcia było jak narkotyk dla młodych chłopaków z *rancho*, którzy dotąd nigdy niczego nie posiadali. Część nauczyła się funkcjonowania na rynku z praktyki, gdy byli kierowcami w już istniejących komórkach, by następnie je opuścić i otworzyć własne. Każda z nich była osobnym podmiotem rywalizującym z pozostałymi. Nie było jednak mowy o żadnych strzelaninach, bo przemoc przyciągała uwagę policji, a użycie broni wiązało się z długimi wyrokami pozbawienia wolności. Ponadto wszyscy znali się nawzajem z rodzinnego Xalisco, więc wyrządzone w Stanach krzywdy miałyby swoje reperkusje w domu. Na początku lat dziewięćdziesiątych etos „sprzedawaj i daj innym sprzedawać" zdążył się już ugruntować, a heroinowe *tienditas* z Xalisco po cichu oplotły całą dolinę. Ponieważ handlarzy było coraz więcej, zyski spadły. Policja też dostrzegła, co się dzieje, i aresztowała kilku dilerów.

Mniej więcej w tym samym czasie, czyli w 1990 roku – lub rok bądź dwa lata później – David Tejeda odkrył Hawaje. Już przedtem sprzedawał towar ludziom, którzy przybywali z archipelagu. Teraz wysłał tam ekipę kierowców i wykorzystał swoich uzależnionych klientów jako przewodników po nowym rynku, na którym za heroinę można było dostać trzy razy więcej dolarów niż w Kalifornii.

Powoli znajdował naśladowców i handlarze z Xalisco rozszerzyli strefę swojej działalności, pojawiając się niebawem w Pomonie, San Diego i Portland, a potem jeszcze w Las Vegas. Jak przyznał pewien diler, Tejeda „zachowywał się w porządku wobec ludzi rozkręcających własne *tienditas*. Według niego było dość miejsca dla wszystkich".

To nie do końca była prawda. W większości miast funkcjonowały małe środowiska heroinistów, których członkowie zazwyczaj byli starzy i biedni. Nowa ekipa musiała przejąć klientów od załóg, które już działały na miejscu. Wynikła z tego gra o sumie zerowej uświadomiła Chłopakom z Xalisco, jak ważne są wyrobienie marki i marketing. Aby utrzymać klientelę, nauczyli się zwracać

szczególną uwagę na obsługę, zniżki, wygodę i bezpieczeństwo dostawy towaru. Musieli też zagwarantować sprzedaż dobrej jakościowo heroiny – niezanieczyszczonej i dającej mocnego kopa.

Rywalizacja o przychylność ograniczonej liczebnie grupy ćpunów sprawiła też, że przez lata dziewięćdziesiąte szukano nowych, mniej nasyconych rynków. Kiedy to się udało, ostatecznie określono zasady organizujące meksykański model handlu narkotykami.

Większość dilerów z Meksyku w sposób niejako naturalny podążała za imigrantami ze swoich rodzinnych stanów, co było sprytne i zdroworozsądkowe, gdyż w USA nie było żadnej innej grupy imigranckiej, która pod koniec lat dziewięćdziesiątych byłaby liczniejsza od Meksykanów. Meksykańscy imigranci osiedlali się na terenach wiejskich, gdzie lokalna policja często mówiła tylko w jednym języku i miała braki kadrowe. W tych rejonach interesy prowadzono tylko przy użyciu gotówki, wliczając w to meksykańskie restauracje i firmy zajmujące się przesyłami pieniężnymi, dzięki którym można było wyprać pieniądze. W latach dziewięćdziesiątych małe miasteczka i społeczności wiejskie w stanach Kolorado, Georgia i Arkansas, gdzie Meksykanie pracowali w zakładach mięsnych, stały się głównymi centrami operacyjnymi handlarzy narkotyków, w których porcjowano przemycony towar, a następnie wysyłano go do dużych miast. Meksykańscy dilerzy dokonali takiego wyboru, podążając za migrującymi krajanami. Tak na przykład sinaloańscy handlarze mogli wówczas szukać nowych rynków zbytu w różnych częściach Stanów Zjednoczonych właśnie dzięki istniejącym na miejscu skupiskom imigrantów z Sinaloa – wykorzystywali je jako punkty zaczepienia, a następnie wtapiali się w nie bez śladu. Podobnie robili dilerzy z Michoacán.

Jednak Nayarit to jeden z pięciu najmniejszych meksykańskich stanów zamieszkany zaledwie przez milion osób. Tu emigracja jest niewielka, a ci, którzy zdecydowali się wyjechać, osiedlili się głównie w Los Angeles i Reno. Szukając dla siebie nowych rynków, Chłopaki z Xalisco stanęły przed koniecznością wyruszenia tam, gdzie nie miały żadnych powiązań rodzinnych ani koneksji wyniesionych jeszcze z *rancho*. I to właśnie zrobiły. Niczym u hiszpańskich konkwistadorów wykraczanie poza bezpieczne i wyniesione z domu sieci znajomości stało się częścią ich tożsamości.

Jakkolwiek by było, potrzebowali do tego przewodników. Hiszpanie w swej wędrówce przez Nowy Świat do Tenochtitlán – stolicy imperium azteckiego,

obecnie miasta Meksyk – polegali na usługach Indian nienawidzących Azteków. Z kolei Chłopaki z Xalisco zaufały ćpunom, których zaopatrywały w towar w zamian za pomoc w rozeznaniu się w nowym miejscu, wynajmie mieszkań, zdobywaniu telefonów komórkowych i kupowaniu samochodów.

– Pozyskiwało się kogoś, kto oprowadzał po okolicy, dawał numer [telefonu], i zlatywali się jak pszczoły do miodu – opowiadał mi jeden z odsiadujących wyrok Chłopaków z Xalisco. – Wszyscy się znali. Miało się kogoś w rodzaju zwiadowcy. Tak było w Las Vegas. Jedna z mieszkających tam narkomanek powiedziała którejś z rodzin: „Znam kogoś w Tennessee". Pojechali więc z nią do Memphis. Przez jakiś czas tamtejszy rynek był jednym z największych.

Ruszali do miast, w których była duża populacja Meksykanów – co ułatwiało Chłopakom wmieszanie się w tłum – i gdzie żaden gang ani mafia nie kontrolowały handlu narkotykami. Zaprowadzali ich tam jednak heroiniści, którzy wyszukiwali im pierwszych klientów. Ćpuny pozwalały Chłopakom z Xalisco rozszerzyć swoją działalność daleko poza to, co mogłyby osiągnąć, zdając się jedynie na imigrantów z Nayaritu. Wierząc w moc sprzedawanego przez siebie towaru, zaprzęgały narkomanów, by wprowadzali ich na nowe rynki, wprawdzie pozbawione niemal Nayaritańczyków, ale za to pełne białych dzieciaków z klasy średniej, które właśnie zaczynały się odurzać wydawanymi na receptę opiatowymi środkami przeciwbólowymi.

Ćpuny potrafiły dostrzec na ulicach nowego miasta znaki kierujące ich do ukrytych klientów, do których Chłopaki z Xalisco w inny sposób nie byłyby w stanie dotrzeć. Narkomani znali slang i dobrze rozpoznawali oznaki głodu.

Najważniejsze zaś – i kluczowe dla rozszerzenia działalności Chłopaków z Xalisco – było to, że ćpuny mogły przeniknąć do amerykańskich klinik metadonowych.

Środek przeciwbólowy, znany pod nazwą metadon, został otrzymany przez niemieckich naukowców chcących uczynić przygotowujące się do wojny nazistowskie Niemcy samowystarczalnymi pod względem medycznym. Po wojnie patent przejęli alianci, a firma Eli Lilly Company wprowadziła lek na rynek amerykański w 1947 roku. Lekarze w Stanach Zjednoczonych zorientowali się, że może być on pomocny w leczeniu osób uzależnionych od heroiny.

Pomysł ten podjął doktor Vincent Dole, specjalista od uzależnień w nowojorskim Instytucie Rockefellera. Odkrył on, że metadon to jedyny opiat,

którego osoby uzależnione nie musiały przyjmować co kilka godzin w coraz większych ilościach. Zamiast tego wystarczała im podawana raz dziennie niezmienna dawka, która pozwalała im funkcjonować przez kolejne dwadzieścia cztery godziny. Uzależnieni od metadonu mogli rozmawiać na tematy niezwiązane z narkotykami, czego nie można było powiedzieć o heroinistach – Dole zaobserwował, że ci drudzy w kółko myśleli tylko i wyłącznie o heroinie. Uważał też, że uzależnionych można utrzymywać na metadonie praktycznie bez końca, a aplikowana raz dziennie stała dawka pozwala im funkcjonować jak normalni ludzie. Swoją pierwszą klinikę metadonową dla osób uzależnionych od heroiny otworzył w Nowym Jorku w 1970 roku.

Dole wierzył, że sukces leczenia narkomanów zależy od relacji międzyludzkich – terapii grupowej, programu dwunastu kroków i tak dalej. Jednak dla tych, którym nie pomagały inne metody uwolnienia się od nałogu, metadon był ostatnią deską ratunku pozwalającą godnie przejść przez życie.

Prezydent Richard Nixon dopuścił stosowanie metadonu jako środka terapeutycznego dla uzależnionych od heroiny – heroinizm był plagą wśród żołnierzy wracających z wojny wietnamskiej. Pod koniec lat siedemdziesiątych w całym kraju otwierano działające zgodnie z regulacjami federalnymi kliniki metadonowe, które po cichu pokazywały, jak można legalnie wydawać narkotyki w bezpiecznym i wolnym od przestępstw środowisku. Metadon doprowadzał uzależnionych do stanu stabilnego, pozwalając im znaleźć pracę i skleić potrzaskane związki. Nie było też brudnych strzykawek ani przestępczości, a sami heroiniści wiedzieli, że w klinikach nikt ich nie okradnie. Co więcej, ograniczono i zastąpiono pokątną uliczną sprzedaż heroiny dostępnością metadonu w zadbanych, dobrze oświetlonych ośrodkach. Tak było lepiej dla wszystkich.

Kliniki metadonowe otwierano jeszcze przed wschodem słońca, co wynikało między innymi z tego, że wielu uzależnionych, szukając dostępnej dla nich pracy, zatrudniało się jako robotnicy budowlani, cieśle czy malarze, a w przypadku tych zawodów praca zaczynała się wcześnie rano. Osoby przyjmujące metadon były jak duchy, które latami pojawiały się o świcie, by wypić swoją dawkę i w ciszy rozpłynąć się w codziennym życiu. Z czasem jednak metadon stał się punktem zapalnym w sporze między zwolennikami wykorzystywania go do odzwyczajania uzależnionych od opiatów a rzecznikami – jak Vincent Dole – stanowiska głoszącego, iż lek ten powinien być podawany dożywotnio, niczym insulina przyjmowana przez cukrzyków.

Obie strategie mogły okazać się skuteczne. Jednak w wielu klinikach ujawniły się ich ciemne strony. Metadon często wydawano w małych ilościach, tak jakby celem jego stosowania było stłumienie uzależnienia. W miarę jak kliniki metadonowe stawały się placówkami nastawionymi na zysk, zaczęto zaniedbywać równie potrzebne poradnictwo psychologiczne i terapię. Można wybaczyć krytykom, którzy widzieli w niektórych właścicielach klinik dilerów narkotykowych wiążących ze sobą pacjentów na lata i pobierających od nich opłaty dwudziesto- i trzydziestokrotnie przewyższające rzeczywisty koszt leku, który wynosił około pięćdziesięciu centów za dawkę. W 1990 roku Najwyższy Urząd Kontroli Stanów Zjednoczonych donosił, że połowa klinik była źle zarządzana, nie odpowiadała przed żadnym organem i świadczyła niewiele usług z obszaru doradztwa psychologicznego lub opieki nad rekonwalescentami.

W rezultacie wiele klinik metadonowych zajmowało się utrzymywaniem w przyzwoitym stanie osób uzależnionych żyjących w miastach rozsianych po całym kraju, stosowały jednak zbyt małe dawki, na dodatek nie towarzyszyła temu wszystkiemu odpowiednia pomoc psychologiczna. Ci, którzy nie dostawali wystarczającej ilości metadonu, później – już po południu, gdy kliniki były zamknięte – odczuwali taki głód, że pragnęli jakiegokolwiek opiatu. Musieli go szukać gdzie indziej – zazwyczaj na ulicy, przez co podtrzymywali kontakty z heroinowym podziemiem. A zatem ci, którzy korzystali z usług klinik oferujących wyłącznie małe dawki metadonu, a także niedostateczną terapię psychologiczną, zwykle przyjmowali metadon i heroinę naprzemiennie.

Metadon był lepszą opcją niż słaba heroina w proszku, która kosztowała więcej i dostępna była tylko w niebezpiecznych okolicach lub dzielnicach biedy. Jednak podawanie dużej liczbie osób jakiegokolwiek rodzaju opiatu, zwłaszcza w małych dawkach, czyniło z nich łatwy łup dla kogoś posiadającego skuteczniejszą i praktyczniejszą metodę dostarczania narkotyków. Tylko że przez lata nikt nie potrafił opracować czegoś takiego – systemu detalicznej sprzedaży czarnorynkowej heroiny, który dla uzależnionych okazałby się tańszy, równie bezpieczny i wygodny jak kliniki metadonowe.

Tymczasem w połowie lat dziewięćdziesiątych właśnie taki mechanizm wdrażały w życie w amerykańskich miastach Chłopaki z Xalisco, orientując się, że kliniki metadonowe w istocie były dla nich świetnym terenem łowieckim.

Kliniki metadonowe były dla Chłopaków z Xalisco przyczółkami pozwalającymi im zaczepić się w pierwszych miastach zachodnich Stanów

Zjednoczonych, po tym jak na początku lat dziewięćdziesiątych zaczęli wychodzić z handlem heroiną poza dolinę San Fernando. Każda nowa komórka uczyła się, jak je zlokalizować, by następnie rozdawać ich klientom darmowe próbki swojego towaru.

Jeden z Chłopaków opowiedział w Portland funkcjonariuszom o szkoleniu, przez które przechodzili wszyscy kierowcy w jego komórce. Instruowano ich, by kręcili się przy klinikach metadonowych, wypatrywali uzależnionych, a potem szli za nimi. Po jakimś czasie mieli poklepać ich po ramieniu i poprosić o wskazanie drogi do jakiegoś miejsca. Kolejnym krokiem było wyplucie kilku baloników i podarowanie ich potencjalnemu klientowi, oprócz tego wręczali także karteczkę z zapisanym numerem telefonu i mówili: „Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebował pomocy".

Tym, co stanowiło o wartości każdej heroinowej *tiendita* z Xalisco, była indywidualna lista klientów.

– W ten sposób ją tworzyli i rozwijali – relacjonował Steve Mygrant, prokurator z okręgu Portland. – To był nieustanny proces rekrutacyjny, który działał w taki sam sposób, w jaki korporacje pozyskiwały klientów. Niektórzy odbiorcy odpadali po drodze, więc wciąż trzeba było go na nowo powtarzać.

Z czasem większość komórek pozyskiwała godnych zaufania ćpunów i część z nich w zamian za towar pomagała właścicielom *tienditas* rozszerzać działalność na kolejne miasta. Niektórzy z narkomańskich przewodników Chłopaków stali się w Xalisco postaciami legendarnymi. W Cincinnati rozmawiałem z dziewczyną z dzielnicy Lower Price Hill – zalanej heroiną okolicy, w której osiedlali się ludzie z regionu appalaskiego. Przez lata pomagała rozkręcać interes kolejnym dilerom z Xalisco, którzy po przyjeździe na miejsce opracowywali własne listy klientów. Jak sama o sobie mówiła, w nigdy przez siebie nieodwiedzonym Xalisco była „uznaną marką". Chłopaki z Xalisco, które dopiero co pojawiły się w Cincinnati, wypytywały o nią, a gdy już ją odnalazły, faszerowały heroiną w zamian za pomoc w organizowaniu szlaków dilerskich w mieście i okolicach. Zerwanie z nałogiem było w takiej sytuacji niemożliwością.

– Nawet nie znają mojego imienia – zwierzała się. – Mówią im tutaj: „Popytaj się o Białą Panienkę z Lower Price Hill". Pewien gość pojawił się nawet z kartką z wypisanym na niej moim imieniem. Ktoś mu je zapisał, choć z błędami. Przez te wszystkie lata, gdy tylko wychodziłam [z więzienia lub ośrodka odwykowego], od razu zaczynali mnie szukać. Ludzie pytają: „Jakim cudem zawsze łapiesz z nimi

kontakt?”. Nie wiem. To nie jest tak, że dzwonię do Meksyku i pytam, czy nie mogliby tutaj kogoś przysłać. Ale zawsze ktoś taki się napatoczy.

Pochodząca z Salem w stanie Oregon Tracy Jefferson była jedną z przewodniczek należących do środowiska narkomanów. Ćpała od dawna i cierpiała na chorobę afektywną dwubiegunową. W 1993 roku prowadzała się z Luisem Padillą-Peñą, dilerem z Xalisco, który działał w Reno w stanie Nevada. Padilla-Peña przyjechał do Stanów Zjednoczonych trzy lata wcześniej i znalazł robotę w ekipie handlującej heroiną, kierowanej przez znajomego z klanu Tejedów-Sánchezów. Potem się usamodzielnił, a przełomowym momentem było dla niego spotkanie Jefferson, która przez następne dwa lata pomagała Padilli-Peñie i jego rodzinie opanować rynek heroiny w Salem, Denver, Seattle, Colorado Springs, Oklahoma City i Omaha – zazwyczaj dzięki zapisywaniu się na terapię w klinikach metadonowych i rozdawaniu darmowych próbek czarnej smoły klientom tych placówek.

Jak zeznała w sądzie federalnym, wraz z rodziną Padilli-Peñi przyglądała się z Omaha sytuacji w Kansas City, Saint Louis i Des Moines. Mieli zwyczaj wycofywać się z miasta, które nie przynosiło minimum dwóch tysięcy dolarów dziennego zysku. Z tego powodu zrezygnowali z działalności w Cheyenne w stanie Wyoming oraz w Yakimie i Vancouver w stanie Waszyngton.

Innym takim przewodnikiem był dzieciak z Meksyku, który wychował się w Resedzie. Nie brał narkotyków, ale miał coś innego, czego Chłopaki z Xalisco potrzebowały – był dwujęzyczny. Pochodził z Meksyku, ale dorastał w dolinie San Fernando. W Resedzie poznał wielu imigrantów z Xalisco i w 1995 roku, gdy miał siedemnaście lat, szef nowej komórki wynajął go do roboty na Maui na Hawajach.

– Żaden z nich nie mówił po angielsku – opowiadał. – Dlatego byłem dla nich cenny. Wielu rzeczy nie byli w stanie sami zrobić. Gdy się tam pojawiłem, pomogłem im się rozwinąć.

W tamtym okresie na Hawajach funkcjonowały dwie komórki z Xalisco – jedna Davida Tejedy, druga człowieka o nazwisku Toño Raices, który pochodził z małego *rancho* El Malinal, położonego na wzgórzach rozciągających się w pobliżu Xalisco.

W samym Xalisco mówiło się, że Toño Raices miał ambicje zostać grubą rybą w podziemiu narkotykowym. Powiadano też, że zazdrościł Davidowi Tejedzie. Poszło zatem o to, że pewien mężczyzna z *rancho* Pantanal był dłużny Tejedzie

czterysta tysięcy dolarów za dostarczony mu towar. Człowiek ten nie miał zamiaru uregulować długu, a jego protektorem był Toño Raices.

Pewnego dnia w 1996 roku Tejeda spotkał się ze swymi konkurentami przed dyskoteką w Xalisco. Udali się stamtąd do należącej do Raicesa hurtowni kawy, gdzie podczas kłótni o pieniądze jeden z ludzi tego ostatniego zastrzelił Tejedę pod drzewem gujawy. Nikt nie został aresztowany. Lokalny zespół Vaqueros Musical tak oto odmalował śmierć Tejedy w swoim *corrido*:

> Zadzwonili do niego, jak mówią, z komórki.
> David przyszedł do baru Magueyes i tak to poszło…
> W czwartek, 4 kwietnia 1996, dorwali go, gdy się nie spodziewał,
> Rozwalili go z bliska ze swych kałasznikowów.

Trzy lata później na cmentarzu, na którym pochowano Tejedę, zastrzelono Toño Raicesa. Według usłyszanej przeze mnie wersji wrogowie zabili chłopaka, który dla niego pracował. Na jego pogrzebie żałobnicy strzelali w niebo, na co uzyskali uprzednio nieformalną zgodę, przekupiwszy w tym celu lokalną policję. Jednak w trakcie uroczystości na miejscu pojawili się funkcjonariusze policji stanowej, prawdopodobnie sprzymierzeni z Tejedami. Między policjantami a uzbrojonymi żałobnikami wywiązała się strzelanina. Zginął komendant, podobnie jak i Toño Raices. Vaqueros Musical nagrali kolejne *corrido.*

W historii Chłopaków z Xalisco i handlu czarną smołą w Stanach Zjednoczonych zabójstwo Davida Tejedy miało szczególne znaczenie. Jego szeroko rozumiana rodzina liczyła setki krewnych, a on sam pokazał, że nawet biedacy mogą się wzbogacić na detalicznej sprzedaży heroiny w USA. W sposób naturalny więc o poradę zwracali się do niego młodsi, których potem zaopatrywał, gdy zaczęli działać poza doliną San Fernando.

Śmierć Tejedy podziałała na jego bliską i daleką rodzinę oraz na inne ekipy z Xalisco w pewnym sensie wyzwalająco. Dopóki żył, „wiele osób zależało od niego, gdyż wszystko było pod niego ustawione”, jak przyznał ów chłopak z Resedy.

– Nie musieli się zastanawiać, jak to jest działać na własną rękę – dodał. – Ale kiedy go zabito, musieli zacząć funkcjonować samodzielnie. Nie mieli już nikogo, na kim mogliby się oprzeć.

Zmuszeni do wykazania się inicjatywą, „rozpierzchli się we wszystkich możliwych kierunkach”.

Wystarczy jeden telefon

Portland, Oregon

Czterdziestokilkuletni Alan Levine stracił obie nogi, które odmroził sobie, zasnąwszy po pijaku pod mostem, kiedy nad Illinois przewalała się śnieżyca. Jakimś cudem przeżył i po pewnym czasie wyjechał na zachód, by ostatecznie trafić do Portland w stanie Oregon.

Już od dawna uzależniony był od heroiny, którą pierwszy raz wziął w Nowym Jorku, gdy miał dwadzieścia lat. Ten pierwszy strzał wprawił go w stan, w którym chciał trwać przez resztę życia – po prostu poczuł się mistrzem świata.

Alan Levine uwielbiał narkotyki i wszystko, co ze sobą niosły. Niestety, brak nóg mocno dawał się we znaki. Krążył tu i tam na swoich protezach. Zazwyczaj zdobywał towar w pewnej melinie, gdzie miał swojego dilera, lub szwendając się po położonym na północ od centrum Portland staromiejskim Chinatown – to była żmudna wędrówka podejmowana trzy lub cztery razy w ciągu dnia. Levine kuśtykał po ulicach, napędzany swoim uzależnieniem. Nigdy nie wiedział, co uda mu się kupić ani czy nie zostanie aby obrabowany lub aresztowany. Wracał potem do swego motelu, dawał sobie w żyłę i odpadał, aż do momentu, w którym znów był na zejściu i trzeba było wyjść poszukać towaru. Żył z żebractwa i napływającej co miesiąc renty inwalidzkiej.

W 1993 roku Levine wrócił do Portland po dwunastomiesięcznej nieobecności. Słyszał, że w mieście pojawili się dilerzy, którzy dowozili narkotyki po wcześniejszym złożeniu zamówienia przez telefon. Udało mu się zdobyć ich wizytówkę, choć po latach nie potrafił sobie przypomnieć jak. Nigdy przedtem nie spotkał się z handlarzami heroiną posługującymi się wizytówkami i numerem telefonicznym, pod który wystarczyło zadzwonić, by zdobyć towar.

Dzięki tej wizytówce Alan Levine mógł spokojnie umrzeć i pójść do nieba.

Z kolei Wayne Baldassare miał poczucie, że właśnie stanął we wrotach prowadzących do piekła.

Baldassare był gliniarzem i lubił pracę z narkotykami. Służył w portlandzkim Wydziale Narkotyków i Wykroczeń od 1982 roku. Cenił kreatywność, jakiej wymagała jego robota, i to, że musiał korzystać z usług informatorów, a potem

o nich dbać. Każdy dzień niósł ze sobą coś nowego – kontrolowany zakup o poranku i nakaz rewizji pod wieczór. Trzeba było wykazywać się wyobraźnią, bo i sami handlarze przejawiali nieograniczoną wręcz pomysłowość.

Przez lata heroina była najprostszym do rozpracowania narkotykiem, ponieważ sprzedawano ją na melinach. Wystarczyło zamknąć jakiegoś ćpuna, a ten przerażony wizją czekającego go więzienia wyjawiał, co się w danym lokalu dzieje. Potem zaprowadzał tajniaka do dilera i robiło się nalot.

Jednak około 1991 roku Baldassare zorientował się, że coś się zmienia. Młodzi Meksykanie – schludni, uprzejmi i jakby czujący się trochę obco – zaczęli krążyć w starych samochodach po mieście, rozprowadzając heroinę.

– Nagle ni z tego, ni z owego pojawiło się centrum wysyłkowe przyjmujące zamówienia i przekazujące zlecenia kierowcom – wspomina Baldassare. – Trudno było znaleźć rokującą na przyszłość sprawę. Stało się godzinami na obserwacji, by dorwać pięć lub sześć małych paczuszek towaru.

Kierowcy rozwożący narkotyki pracowali przez sześć miesięcy, po czym wyjeżdżali. Tych aresztowanych nie oskarżano, tylko deportowano, bo nigdy nie mieli przy sobie dużych ilości towaru. Nie dało się ich oskarżyć o ciężkie przestępstwo. Z początku Baldassare traktował ich jak zwykłych nieudaczników. Potem zdał sobie sprawę, że było wręcz przeciwnie, bo to oni się nauczyli, jak wyglądają śledztwa w sprawach związanych z narkotykami: prokuratorzy najbardziej cenili sobie przypadki, w których w grę wchodziła duża ilość materiału. Priorytetem były wtedy crack i metamfetamina, które schodziły kilogramami. Meksykańskie chłopaki od heroiny za kamuflaż przyjęły stosowaną przez światowe korporacje metodę dostaw na czas, dzięki czemu mieli w swoich samochodach lub mieszkaniach tylko niewielkie ilości cennego produktu. Było to wyrafinowanie, z którym Baldassare nie spotkał się dotąd w podziemiu narkotykowym.

Wkrótce potem kierowcy-zaopatrzeniowcy rozlali się po całym Portland. Cena heroiny spadła, a sami dilerzy się wycwanili. Krążyli w kółko, by pozbyć się śledzących ich policjantów. Do założenia ogona jednemu samochodowi potrzebnych było czterech lub pięciu funkcjonariuszy. W tamtych czasach w Portland nie było regularnych powietrznych sił policyjnych. Jeden z policjantów miał czteromiejscową cessnę i brał od miasta pieniądze za benzynę zużytą podczas lotów patrolowych, które dotąd były jednak rzadkie. Teraz samolot wcielono do służby regularnej, a na pokład wchodzili pilot i obserwator, którego zadaniem było śledzenie krążącego w dole po ulicach samochodu wykorzystywanego do

dostarczania heroiny. Obserwatorem był Baldassare, który przyglądając się sytuacji przez lornetkę, przekazywał operującym na ziemi kolegom komunikaty radiowe z pozycją namierzanego kierowcy.

To była nużąca i ciągnąca się godzinami robota. Baldassare był jednym z nielicznych funkcjonariuszy, którzy potrafili prowadzić obserwację z pokładu samolotu, nie zapadając na chorobę powietrzną. Kierowcy jeździli po Portland przez cały dzień, zaopatrując swych klientów, a Baldassare krążył nad nimi przez dziesięć do dwunastu godzin, śledząc ich z wysokości siedmiuset pięćdziesięciu metrów. Lądował tylko w celu uzupełnienia paliwa. To były czasy przed rozpowszechnieniem GPS-u, nie było też telefonów komórkowych, których położenie można byłoby namierzyć.

– To była kwestia linii wzroku – opowiadał Baldassare. – Jeśli spojrzało się gdzieś na bok, momentalnie można ich było stracić z widoku. Trzeba było zatem wybrać właściwą chwilę, by odwrócić spojrzenie. Kiedy zaczynał boleć kark, należało nieco odczekać i dopiero wtedy go rozmasować.

Nad śródmieściem Baldassare mógł śledzić samochód z heroiną przez pół rundy wykonywanej przez cessnę, potem, gdy maszyna wykonywała pełen nawrót, gubił go pomiędzy budynkami z nadzieją, że znów wytropi cel przy kolejnym kółku w powietrzu. Jednak auta często znikały bez śladu pod koronami gęsto rosnących w Portland drzew.

Nie minęło wiele czasu i wydział musiał rozwinąć swoje siły powietrzne. Na takie jednostki większość tej wielkości komend policyjnych nie mogła sobie pozwolić, ale nowa metoda dystrybucji heroiny wymusiła taki krok. Portland wynajęło kolejnych dwóch pilotów. Ostatecznie wydział kupił nowy samolot z dużymi oknami ułatwiającymi prowadzenie obserwacji.

Mieli żółte wizytówki, a na nich numer telefonu i wziętego z meksykańskiej flagi orła z wężem w szponach. To było wszystko. Nie było żadnego nazwiska ani sloganu reklamowego. Alanowi Levine’owi powiedziano, by zadzwonił, kiedy tylko będzie chciał. Pewnej nocy chwycił za słuchawkę.

„Daj nam dwadzieścia minut”, powiedział głos po drugiej stronie linii. Ku bezbrzeżnemu zdumieniu Levine’a po piętnastu minutach do drzwi jego pokoju motelowego zapukał Meksykanin. Był młody, zdenerwowany, schludny i wyglądał jak wiejski chłopak. Nie mówił po angielsku. Miał za to czarną smołę wartą sześćdziesiąt dolarów.

Levine nigdy nie zapomniał euforii, jaką poczuł, gdy jeszcze w latach sześćdziesiątych po raz pierwszy spróbował heroiny. Jednak przez te wszystkie lata, które upłynęły od tamtego dnia, nigdy już nie był na takim haju jak wtedy – przynajmniej do czasu, aż sięgnął po meksykańską czarną smołę. Dzwonił pod numer z wizytówki trzy razy dziennie. Dostawcy często się zmieniali, ale Levine do wszystkich zwracał się per Pedro. Byli rzetelni i pojawiali się po chwili. Zamiast kuśtykać na swoich protezach na Stare Miasto, siedział w swoim pokoju, świadom, że „do zapodania towaru wystarczy jeden telefon".

Meksykanie byli jedynymi napotkanymi przez Levine'a dilerami, którym towar nigdy się nie kończył. Po jakimś czasie, gdy ich ekipy zgromadziły olbrzymie zapasy wysokiej jakości czarnej smoły i zaczęły ze sobą konkurować, cena spadła do zaledwie pięciu dolarów za działkę. Według Levine'a między poszczególnymi załogami nie dochodziło do zatargów. On sam dostał kredyt i często dawano mu coś ekstra, byle nie stracić go jako klienta.

Pewnej nocy jeden z dilerów chciał go okantować, próbując mu wcisnąć osiemnaście baloników za sto dolarów, podczas gdy od dawna zwyczajowo za tę cenę kupowało się dwadzieścia pięć. Levine nie przystał na to, więc chłopak powiedział, że zobaczą, co na to powie szef. Levine wsiadł do jego samochodu i przejechał z handlarzem przez Portland. W pewnym momencie zatrzymali się przed jakimś domem. Weszli do środka, a na spotkanie wyszedł im mężczyzna, który – jak po wielu latach się okazało – był Enrique Tejedą-Cienfuegosem, choć wówczas Levine poznał go pod pseudonimem El Gato.

Tejeda-Cienfuegos pochodził z leżącej kilka kilometrów na południe od Xalisco wioski Aquiles Serdán. Wraz z czterema braćmi prowadził heroinową franczyzę w Portland. Levine nic o tym nie wiedział, ale miał za to pewność, że dostawca chce go oszukać, więc powiedział o tym El Gato. Chłopak wyciągnął dwadzieścia pięć paczuszek heroiny, mówiąc po hiszpańsku, że tyle właśnie przez cały czas oferował Levine'owi i musiało zajść jakieś nieporozumienie. El Gato przeprosił swojego klienta i dał mu tych dwadzieścia pięć torebek heroiny za darmo. Levine nigdy potem nie widział tego kierowcy.

El Gato „był bardzo wpływowy i szanowany", wspominał Levine, gdy wiele lat później rozmawiałem z nim pewnej nocy w pokoju motelu znajdującego się niedaleko centrum Portland. Dotarłem do niego za pośrednictwem jego byłej żony. Już wtedy wiedziałem, że historię heroiny najlepiej opowiedzą uzależnieni od niej, a im starsi – tym lepiej. Rozsiadłem się więc w fotelu, a on, beznogi, usadowił się

na łóżku. Zapalał jednego papierosa od drugiego. Papierosy nadały jego głosowi chrypkę pasującą do pooranej twarzy, a kiedy mówił, szczęki poruszały mu się w dziwny sposób i wyglądało to tak, jakby się wgryzał w soczysty stek. Znał oczywiście – jak i inni – historię przybycia Chłopaków z Xalisco do Portland, nawet jeśli tylko przez pryzmat grupy zmieniających się Meksykanów, których zbiorczo obdarzył imieniem Pedro. Kiedy pokazałem mu zdjęcie policyjne, bez wahania rozpoznał na nim El Gato.

– Mówił, a reszta działała – opowiadał. – Miał wyrobioną pozycję. Polubił mnie, bo płaciłem na czas. Po tym wydarzeniu przychodzili do mnie i mówili: „Gato powiedział, żeby dać ci to czy tamto”. Nazywali mnie Wątrobą, bo powiedziałem im, że mam żółtaczkę typu C i nie chcę, by ktoś po mnie korzystał z tej samej igły.

El Gato dał później Levine’owi nóż firmy Buck, chyba tak na wszelki wypadek. Levine zdał sobie sprawę, że handel heroiną zmienił się nie do poznania w porównaniu z tym, co było przedtem.

– Nie trzeba było się ruszać z domu. Kupowanie od tych gości było cudowne. Można też było się z nimi targować, gdy już przyjechali na miejsce. Byli żądni zielonych.

Levine nigdy przedtem nie spotkał żadnego dilera rozdającego darmowe działki po to, by wkręcić kogoś w nałóg lub nie pozwolić tym już uzależnionym z nim zerwać – jednego z owych mitycznych handlarzy wymyślonych przez władze i media w aurze paniki wybuchłej na punkcie ćpunów. Przynajmniej do czasu, aż spotkał Chłopaków z Xalisco.

– W tej marketingowej maszynie właśnie o to chodziło. Wiedzieli, co robią. Byli fachowcami.

Enrique dryfuje

Rancho w stanie Nayarit, Meksyk

Nazajutrz rano, po wielkiej imprezie wydanej przez Enrique z okazji powrotu do domu z Canoga Park, mama była szczęśliwa, a ojciec powstrzymywał się od uwag. Kalifornia otworzyła przed Enrique nowe możliwości. Gdyby ojciec znów zaczął go źle traktować, mógł wyjechać raz jeszcze. Jadali więc razem posiłki, jak na rodzinę przystało, i starali się zapomnieć o dawnych niedolach, skoro ich nowy mieszkaniec Północy, bo tak zaczęli go nazywać, wrócił na stare śmieci.

Problemas pomiędzy obiema częściami rodziny ze strony matki tylko się nasiliły. Strzelaniny nie ustały. Większość krewnych jego dziadka musiała wyjechać. *Barrio* zdominowali bliscy babci. Enrique miał jednak wrażenie, że nabyte na północy doświadczenie wynosi go ponad ten pełny małostkowości świat. Rozmawiał z obiema stronami sporu. Nie przestawał również myśleć o Kalifornii. Jego życie mogłoby się odmienić, a perspektywa zmiany związana była wyłącznie z *El Norte* i heroiną. Niemniej jedyne, co posiadał, to wychudzona szkapa, która bardziej niż konia przypominała psa. Po wyprawie do Stanów Zjednoczonych nie miał też zbyt wiele do zaoferowania swojej dziewczynie. Chciał wziąć rewanż na Kalifornii, bo w takich kategoriach to postrzegał. To miała być próba charakteru, by nikt więcej już się nim nie wysługiwał. Według niego wujkowie zarobili trochę pieniędzy, a potem na jakiś czas wycofali się z interesu z obawy przed plotkami we wsi. Enrique zaś bardziej lękał się biedy.

Inne dzieciaki też zaczęły ruszać na północ, tak jak on to zrobił. System sprzedaży detalicznej, który imigranci z Xalisco opracowywali w dolinie San Fernando, nawet najbardziej zahukanym dawał szansę na coś więcej niż tylko marzenia. Oznaczał on także koniec fatalnej izolacji jego *rancho*. Przez lata na dźwięk nadjeżdżającego samochodu wszyscy w wiosce kryli się w obawie przed porywaczami dzieci. Kiedy na jakieś przyjęcie ktoś przyniósł pierwszą kamerę wideo, dziewczyny na jej widok zakrywały twarze. Gdy jednak mężczyźni ruszyli na północ sprzedawać heroinę, a następnie wrócili z pieniędzmi, przynieśli ze sobą również doświadczenie innego świata i wizję nowych możliwości. Każdy mógł rozkręcić własny interes i pracować na swoim. Pod tym względem xaliskański

system sprzedaży heroiny był w swym duchu bardzo amerykański. Pobyt w Stanach Zjednoczonych przyniósł *rancheros* spełnienie obietnicy o nieznanym oraz ucieczkę od upokorzeń, tak typowych dla wiosek w rodzaju tej, z której pochodził Enrique. Handel heroiną jeszcze przyspieszył ten proces. Na dodatek wiązało się z nim ryzyko, co tylko kusiło wiejskich chłopaków, którzy wiedzieli, że nie mają nic do stracenia, ale wszystko do zyskania. Ryzykując wiele, zdecydowanie poprawiali swoją pozycję w rodzinnej wiosce.

Po kilku miesiącach, gdzieś tak w 1991 roku, jeden z wujków Enrique zadzwonił do niego i zaproponował podjęcie dobrze płatnej pracy. Tym razem chłopak pojawił się na miejscu, emanując pewnością siebie i bezczelnością, dumny ze swojej światowości i wolny od lęków typowych dla chłopaka ze wsi.

Od razu się zorientował, dlaczego wujek się do niego odezwał. Za przykładem pionierów z Xalisco do doliny San Fernando z jej sprawdzonym rynkiem ściągało coraz więcej handlarzy heroiną. Konkurencja rosła, a ceny spadały.

Rodziny, które zarabiały na życie sprzedażą czarnej smoły, zdążyły się już zaaklimatyzować w dolinie. Oczywiście wśród nich byli też David Tejeda z braćmi. Beto Sánchez i klan Sánchezów rośli w siłę. Podobnie Beto Bonque z rodziną, jak również Bernalowie. Langaricowie – bracia Julio, Chuy i Tino, których ojciec był w Xalisco szamanem – mieli własne komórki, tak samo jak ich kuzyni Garcia-Langaricowie, Polla i Macho. Byli i inni, a jedna z rodzin kontrolowała na wyłączność Pasadenę.

Każda rodzina zarządzała dwiema lub trzema komórkami, w skład każdej z nich wchodziło przynajmniej kilku kierowców pracujących dzień w dzień od szóstej rano do południa i od południa do szóstej wieczorem. Po nocach zbierali się w mieszkaniach i pakowali do baloników heroinę na następny dzień. Nie było to lukratywne zajęcie. Jak mawiali szefowie rodzin, na miejscu było się po to, by pracować. Wypłacali kierowcom sześćset dolarów tygodniowo i domagali się rozliczenia każdej przepracowanej godziny. Praca kierowcy-dilera heroiny przypominała tę wykonywaną w fabrykach, w których wykorzystywano tanią siłę roboczą. Właściciele komórek szuflowali kierowcami na okrągło, to wprowadzając ich do jakiegoś mieszkania, to znów po sześciu miesiącach przenosząc gdzieś indziej, jeszcze częściej zmieniali im samochody. Wymagano też od nich, by wręczali napotkanym na ulicy narkomanom numery pagerów oraz próbki towaru. Na początku lat dziewięćdziesiątych dolina San Fernando wyglądała jak miejsce,

w którym zorganizowano zjazd mieszkańców gminy Xalisco. Wszyscy chcieli się na nim pokazać.

Jeden z dilerów pochodzących z wioski Aquiles Serdán, znany jako El Gato, wyróżniał się szczególną przebojowością. Zupełnie nie dbał o to, co ludzie mówili o nim w rodzinnych stronach. Enrique bardzo to w nim cenił. El Gato zależało, by wszyscy wiedzieli, że w jego domu głód to już przeszłość. Wracał do Aquiles Serdán z ubraniami, samochodami, przenośnymi lodówkami pełnymi amerykańskiego piwa oraz bronią wszelkiego kalibru.

– El Gato jest wszędzie i niełatwo będzie go wygryźć – powiedział wujek.

Wujkowie obiecali Enrique, że jeśli się sprawdzi, dostanie w Meksyku więcej pieniędzy i furgonetkę. Chłopak, odpowiednio zmotywowany, patrolował w towarzystwie innego kierowcy dolinę San Fernando niczym policjant, którym niegdyś chciał zostać. I tak jak gliniarze wypatrywał narkomanów, ale po to, by dać im darmową działkę i numer telefonu. Nie minęło kilka tygodni, a podniósł wartość dziennego utargu do pułapu pięciu tysięcy dolarów dziennie.

Właśnie wtedy któregoś ranka policja urządziła nalot na dom jednego z wujków, w którym reszta upatrywała przywódcę. Przez następnych kilka tygodni Enrique przyglądał się, jak tracili ducha i słabli. Gang obrabował ich kierowców, a oni nawet nie zareagowali. Kilkakrotnie klienci przykładali nóż do gardła chłopaka. Wypluwał im na ręce baloniki z heroiną, a w uszach dźwięczały mu słowa ojca: „Możesz zginąć za coś, co jest twoje, ale nigdy za mienie innych”.

Z Xalisco napływało coraz więcej ludzi chcących sprzedawać chivę. Powstawało coraz więcej sieci handlujących heroiną. Ci, którzy pracowali dla El Gato, zaczynali go opuszczać, by zacząć pracować na swoim. On sam niewiele mógł z tym zrobić – każdy odwet dokonany w Canoga Park miałby reperkusje w domu rodzinnym, no i przyciągnąłby uwagę miejscowej policji. Kolega, którego Enrique znał z Xalisco, przyjechał do doliny i założył własną komórkę. Tak po prostu – przyjechał i zorganizował sobie ekipę. Wtedy El Gato zaskoczył wszystkich. Wziął ze sobą ćpuna oraz czarną smołę i uruchomił komórkę w San Diego. Wkrótce potem Enrique usłyszał, że El Gato ma też kolejną, działającą w Portland. Tymczasem David Tejeda robił interesy na Hawajach. Te wieści wstrząsnęły światkiem handlarzy heroiną z doliny San Fernando. Przede wszystkim pokazały Chłopakom z Xalisco, że system może z powodzeniem funkcjonować daleko poza lokalną nayaricką enklawą.

Szesnastoletni Enrique przyglądał się temu wszystkiemu z uwagą. Kiedy interes podupadał pod słabym kierownictwem wujków, wraz z kolegą kupili samochód i po cichu wynajęli mieszkanie. Przez jakiś czas, bez niczyjej wiedzy, prowadził na boku własną heroinową *tiendita*. Jednak któregoś dnia jakiś członek gangu napadł na niego, obrabował i pociął nożem. Wujkowie odkryli jego pokątny interes, wręczyli mu tysiąc osiemset dolarów zapłaty za tych parę miesięcy pracy i odesłali do Nayaritu.

Wydawało się, że wizja uniknięcia losu rolnika uprawiającego trzcinę cukrową rozpłynęła się we mgle. Tym razem jego powrót na *rancho* nie był aż tak hucznie świętowany. Siostry uśmiechnęły się na widok prezentów, ale odczuł ich rozczarowanie. Nie miał przed sobą żadnych możliwości. Zaczął na nowo pracować na roli wraz z ojcem, który drwił i pokpiwał sobie z niego. Na dodatek, jakby chcąc pokazać synowi, kto tu rządzi, zainstalował przed ich chałupą antenę satelitarną. W ówczesnych meksykańskich *ranchos* postawienie takiej anteny na trzymetrowym słupie było jasnym komunikatem dla sąsiadów, że się dorobiło. To, że całymi dniami nie było sygnału, nie miało żadnego znaczenia – słup z anteną był symbolem statusu. Jak cierpko zauważył Enrique, jego rodzina nie miała porządnej łazienki, ale za to mogła oglądać telewizję przez satelitę. W każdym razie ojciec był zadowolony, więc wszyscy w rodzinie nieco odetchnęli.

Ojciec wciąż przypominał mu, że któregoś dnia ziemia przejdzie na niego, a on sam powinien oswoić się z tą myślą. Ale nawet ta perspektywa była bardzo odległa. Poza handlem heroiną Enrique nie potrafił wyobrazić sobie życia, którego byłby panem.

Nastał czas zbiorów, tak upalny i wilgotny, jakby człowiek zanurzał się we wrzącej zupie. Enrique dostawał pięćdziesiąt pesos za przewiezienie sterty ściętej trzciny do młyna. Pracował na polu od trzeciej w nocy do szóstej wieczór. Upał go wykańczał, nogi się pod nim uginały, a kiedy wracał do domu, wyglądał, jakby go wrzucono do worka z pyłem węglowym. Myślał sobie wtedy, że „traci duszę na tych polach”.

W poszukiwaniu Świętego Graala

Lexington, Kentucky

W Nowy Rok 2013 przez pokryte śniegiem wzgórza na północ od Lexington prowadziłem wynajęty samochód. Ziemia podzielona jest tam między stadniny a pomalowane na czarno ogrodzenia z nieheblowanych desek, które wyznaczają granice łąk. Sunąc hipnotycznie wśród pól i znaczonych jemiołą drzew, dojechałem do pustej lokalnej jednopasmówki, oznakowanej jako CR 1977. Droga ta wije się wzwyż po niskich wzniesieniach, by następnie opaść po ich łagodnych zboczach. Mija na północy farmę, na której znajdują się stadniny pełne ogierów i klaczy zarodowych. Obok znajdują się zabudowania Masterson Equestrian – dużego wybiegu dla koni.

Po chwili asfalt skręca i oczom ukazuje się zespół oddalonych od drogi surowych, wysokich, zbudowanych z cegły budynków. Mogłoby się wydawać, że to dziewiętnastowieczny kompleks przemysłowy, gdyby z błędu nie wyprowadzały osadzone na wysokich słupach, dające jasne światło – niczym na stadionie – lampy. W Federalnym Ośrodku Medycznym, pod którą to nazwą dziś obiekt ten jest znany, przebywa tysiąc siedmiuset osadzonych.

Wysiadłem z samochodu. Zarządcy więzienia do mojej prośby zobaczenia wnętrz odnieśli się negatywnie. Mogłem się jedynie zbliżyć na co najwyżej pięćdziesiąt metrów do jednego z najdziwniejszych obiektów w dziejach amerykańskiego nałogu opiatowego. W 1935 roku, gdy powstał, nazywano go Farmą Narkotyków. Według administracji Roosevelta był to „Nowy Ład dla uzależnionych od narkotyków”.

W myśl Ustawy Harrisona z 1914 roku tysiące narkomanów skazano jako kryminalistów i wpakowano do więzień. Jednak obecność nałogowców zakłóciła funkcjonowanie ośrodków odosobnienia, więc rząd postanowił wybudować dla nich osobną placówkę. Została nią właśnie Farma Narkotyków.

Nie było to zwykłe miejsce, gdyż spełniało zarazem funkcje więzienia i ośrodka odwykowego, i przez czterdzieści lat swego istnienia odzwierciedlało schizofreniczne podejście władz kraju do uzależnienia od opiatów i innych narkotyków. Mijały dekady znaczone segregacją, a biali i czarni, homoseksualiści

i heteroseksualiści, Latynosi, Włosi, Irlandczycy, Chińczycy, mężczyźni i kobiety z całych Stanów żyli razem na setkach hektarów w Kentucky, choć jedyne, co ich łączyło, to heroina. Wielu odsiadywało wyroki, inni – jak pisarz William Burroughs – chcieli zerwać z nałogiem.

Na Farmie podkreślano wartość pracy fizycznej jako elementu terapii mającej na celu uwolnienie od uzależnienia. Osadzeni doili więc krowy, uprawiali pomidory i żyto, zaopatrując przy tym ośrodek w jedzenie. Była również fabryka konserw, punkt naprawy radioodbiorników oraz protezownia dentystyczna. Zarządcy uważali, że funkcje terapeutyczne spełnia również rekreacja, więc uzależnieni grali w bejsbol i tenisa. W ośrodku znajdowały się też pole golfowe, kręgielnia i warsztaty, gdzie wytwarzano plecionki.

W latach czterdziestych XX wieku w Nowym Jorku Charlie Parker wywrócił swing na nice. Setki młodych nowojorskich muzyków zaczęły otaczać saksofon altowy swoistym kultem, sięgając zarazem po heroinę w nadziei, że zaczną grać jak Bird, który zresztą umarł w 1955 roku, nie wyszedłszy z uzależnienia – z ciałem i sztuką naznaczonymi ćpaniem. Wielu z tych jazzmanów trafiło do więzienia. Niemal całe pokolenie młodych bebopowych rozrabiaków w przyciemnianych okularach wylądowało na Farmie: Sonny Rollins, Lee Morgan, Howard McGhee, Elvin Jones, Chet Baker, Tadd Dameron, Jackie McLean, Sonny Stitt i wielu innych. Spędzali czas na trwających godzinami jam sessions, zakładali zespoły, które nigdy nie nagrały żadnej płyty, i grali koncerty dla współwięźniów oraz wpuszczonych do środka hipsterów z Lexington. Jeden z zespołów jazzowych z Farmy wystąpił nawet w programie *The Tonight Show Starring Johnny Carson.*

Na historię Farmy Narkotyków natknąłem się, kiedy od tych wydarzeń minęły dekady, a ja próbowałem zrozumieć, jak mieszkańcy jednej meksykańskiej wioski zaczęli sprzedawać heroinę w różnych zakątkach Stanów Zjednoczonych, przede wszystkim tam, gdzie narkotyki były wcześniej praktycznie nieznane. Zorientowałem się, że w pewnym momencie poszczególne wątki tej opowieści krzyżowały się ze sobą.

Przez lata Farma była światowym liderem w badaniach nad uzależnieniami. Wynikało to po części z wydarzeń, które poprzedzały zamysł powołania takiej instytucji. I wojna światowa raz jeszcze uzmysłowiła lekarzom błogosławione skutki płynące z właściwości przeciwbólowych morfiny. Dobrze pamiętali też, jak wyglądały pierwsze dekady konsumpcji heroiny, które wymownie pokazały, że uzależnienie zbyt często niszczyło życie osób przyjmujących opiaty. Specjalistom

od odwyku, starającym się na ile to było tylko możliwe i stosującym przeróżne strategie terapeutyczne, jak praca na roli, terapie grupowe czy osadzanie w więzieniu, nigdy nie udało się przekroczyć progu dziesięciu procent osób skutecznie uwolnionych od nałogu. Reszta miała nawrót i stawała się niewolnikami morfiny. Dla naukowców i lekarzy był to powód do wstydu. Czyżby ludzkość rzeczywiście nie mogła mieć wszystkiego? Czy niebo nie było dla niej dostępne bez piekła? Czyżby najlepsi naukowcy nie potrafili wyodrębnić w morfinie czynników odpowiedzialnych za uśmierzanie bólu, a jednocześnie pozbyć się jej właściwości uzależniających?

Do znalezienia odpowiedzi na te pytania powołano w 1928 roku Komitet do spraw Uzależnień od Leków (Committee on Problems of Drug Dependence – CPDD), złożony z najwybitniejszych amerykańskich specjalistów zajmujących się tą problematyką. Za jego utworzeniem stał John D. Rockefeller Junior, który wykorzystał do tego środki zgromadzone przez swego ojca. CPDD wspierał współpracę pomiędzy naukowcami pracującymi dla rządu, uczelni i przemysłu. W Niemczech środowiska akademickie wykorzystały tego rodzaju powiązania do opracowania jednych z najlepszych na świecie leków. Niestety, dostawy niemieckich lekarstw do Stanów Zjednoczonych ustały podczas I wojny światowej. Po jej zakończeniu amerykańscy naukowcy stwierdzili, że jednym ze słabych punktów USA był brak koordynacji i chaos w badaniach prowadzonych nad lekami.

CPDD zapewnił chemikom, farmakologom, nauczycielom akademickim i naukowcom współpracującym z przemysłem fundusze na opracowanie nieuzależniającego środka przeciwbólowego. Wynaleziona w 1905 roku nowokaina pozwoliła na wyeliminowanie stosowanej w dentystyce i mającej właściwości uzależniające kokainy. Dlaczego zatem nie dałoby się znaleźć substytutu morfiny? Taki lek mógłby wybielić wizerunek lekarzy jako bezwzględnych sprzedawców niebezpiecznych środków farmakologicznych, który przylgnął do nich po tym, jak na początku XX wieku powszechnie przepisywali swym pacjentom heroinę. Stróże prawa z kolei mieli nadzieję, że stosowanie nieuzależniającego środka przeciwbólowego zredukuje skutki uboczne podejmowanych przez nich prób pozbycia się opium z kraju.

Naukowcy nazwali taki lek Świętym Graalem, a jego poszukiwania potrwają do końca wieku i jeszcze dłużej.

CPDD otworzył laboratorium na Uniwersytecie Wirginii. Drugi ośrodek badawczy ustanowiono na Uniwersytecie Michigan, gdzie miano prowadzić testy na zwierzętach. Jedyne, czego brakowało, to placówka dająca możliwość testowania nowego leku na ludziach – miejsce, w którym osoby uzależnione byłyby na zawołanie, i to w dużej liczbie.

W 1935 roku otworzono zatem Farmę Narkotyków.

W jej ramach powołano oddział nazwany Ośrodkiem Badań nad Uzależnieniami (Addiction Research Center – ARC). Przez dziesięciolecia testowano w nim na osadzonych wszystkie ciekawsze opiaty wychodzące spod ręki sponsorowanych przez komitet chemików: Dilaudid, Demerol, Darvon, kodeinę, jak również Thorazine oraz wiele innych środków uspokajających. Eksperymenty prowadzone na Farmie wykazały, że metadon działa dłużej od heroiny i oszczędza narkomanom silnych wzlotów i dołów towarzyszących jej zażywaniu, a to one popychały ich do podejmowania rozpaczliwych prób zdobycia narkotyku. Z doświadczeń płynął wniosek, że metadon może posłużyć za zamiennik heroiny.

Ośrodek zatrudniał psychiatrów, biochemików, fizjologów, farmakologów, laborantów, którzy mieli do dyspozycji czterech strażników. Badano każdy aspekt wpływu morfiny na człowieka. Opracowano pierwsze ilościowe skale do mierzenia stopnia uzależnienia, zakresu zerwania z nałogiem i mocy uzależniającej wielu substancji chemicznych. Przez cztery dekady osoby uzależnione od heroiny lub morfiny, skazane na karę wieloletniego więzienia, zgłaszały się na ochotnika do badań, gdyż dzięki temu mogły liczyć na dawkę narkotyku. Po zakończeniu eksperymentów przechodziły półroczny odwyk sprawdzający, czy rzeczywiście nie są już fizycznie uzależnione.

Amerykańskie środowiska naukowe organizowały się wokół poszukiwań Świętego Graala w postaci nieuzależniającego środka przeciwbólowego, a Farma umożliwiała prowadzenie stosownych badań, podtrzymując nadzieję na ostateczny sukces. Naukowcy postrzegali swoje zadanie prosto: zapobiec pojawieniu się kolejnej heroiny, czyli innymi słowy uniemożliwić upowszechnienie kolejnego silnie uzależniającego lekarstwa bez uprzedniego przeprowadzenia należytych badań. Swoje eksperymenty na osadzonych usprawiedliwiali takim właśnie wyższym celem. Jak napisali Nancy Campbell, J. P. Olsen i Luke Walden w swej fascynującej książce poświęconej Farmie *The Narcotic Farm,* „w Ośrodku uważano, że zajmuje się on zakrojoną na skalę globalną ochroną zdrowia

społeczeństwa poprzez zapobieganie temu, by substancje uzależniające nie niszczyły życia tysięcy obywateli”.

Badania prowadzone w Lexington zaowocowały setkami publikacji naukowych i w istocie były jedynymi podejmowanymi wówczas na świecie studiami nad uzależnieniem. Światowa Organizacja Zdrowia uznała je za wiarygodne źródło danych. W efekcie badania nad uzależnieniami stały się częścią nauki, a zespół z Ośrodka był pierwszym, który uznał, że uzależnienie to nie wada charakteru lub przestępstwo, tylko chroniczne zaburzenie pracy mózgu. Sam Ośrodek zamknięto w latach siedemdziesiątych, gdy powołana przez Senat Stanów Zjednoczonych Komisja Churcha, która prowadziła śledztwo w sprawie działalności CIA, wykryła, że dokonywano w nim na zlecenie Agencji eksperymentów z LSD. Z tą chwilą skończyła się pewna epoka. Farmę zamieniono w więzienie z oddziałem szpitalnym, które funkcjonują po dziś dzień.

Niemniej przez czterdzieści lat wszystkie leki opracowywane w ramach prowadzonych przez CPDD poszukiwań Świętego Graala testowano na osobach osadzonych na Farmie Narkotyków w Lexington w stanie Kentucky.

Pierwszy kierownik działającego na Uniwersytecie Wirginii laboratorium Lyndon Small dość wcześnie dokonał syntezy leku, który nazwał metoponem. Miał on w sobie część charakterystycznych dla morfiny właściwości przeciwbólowych, ale był nieco słabiej uzależniający. Metopon nie do końca spełniał cele przyświecające CPDD, jednak uznano go za świadectwo tego, że pewnego dnia da się otrzymać środek przeciwbólowy przypominający morfinę, choć pozbawiony jej właściwości uzależniających – ów nieuchwytny Święty Graal.

Dążenie do osiągnięcia tego celu było motorem napędowym kolejnych pokoleń naukowców i przyczyniło się do uformowania kadry rewolucjonistów poszukujących lepszych metod obchodzenia się z bólem.

Ból

Przez większą część XX wieku lekarze zajmujący się nieuleczalnie chorymi spotykali się w przypadku stosowania opiatów z postawami pochodzącymi bodaj jeszcze ze średniowiecza, zaś przepisujących tego rodzaju środki przeciwbólowe traktowano niemal jak ludzi wyjętych spod prawa. Sposób dystrybucji leków dyktowało skąpstwo połączone z ostrożnością. Do pozyskania choćby niewielkich dawek dla osób zwijających się z bólu nie do wytrzymania potrzeba było podpisów nawet kilku lekarzy. Środki uśmierzające ból podawano w przedziwnych mieszankach. Jedną z nich nazwano koktajlem Brompton na cześć angielskiego szpitala, gdzie ją sporządzano. W jej skład wchodziły morfina, kokaina, chloropromazyna, miód, gin i woda – co może brzmieć jak przepis na miksturę stworzoną przez ulicznego ćpuna, choć jak mi mówiono, w rzeczywistości okazywała się ona całkiem skuteczna.

Nastroje powoli zaczęły się zmieniać w latach siedemdziesiątych. Działająca w Anglii pielęgniarka i uczona Cicely Saunders otworzyła hospicjum, w którym chorym na raka w stanie terminalnym podawano opiaty. To pod jej kierownictwem londyńskie Hospicjum pod wezwaniem Świętego Krzysztofa jako pierwsze na świecie połączyło opiekę paliatywną z badaniami klinicznymi. Przyświecała temu idea, która stała się zasadą, że ból pacjentów należy uśmierzać środkami nieniszczącymi ich osobowości. Podwładny Saunders Robert Twycross podjął się przeprowadzenia badań na pacjentach umierających na nowotwór. W efekcie wykazały one niezwykłe korzyści płynące ze stosowania opiatów. Oboje uważali, że powstrzymywanie się od ich podawania jest nieludzkie. Skoro pacjenci mieli zaraz umrzeć, to czy ewentualne popadnięcie przez nich w nałóg w ogóle miało jakiekolwiek znaczenie? Czy ulga od bólu i godna śmierć nie były aby ważniejsze? Tak więc w hospicjum podawano nieuleczalnie chorym opiaty regularnie i niezależnie od tego, czy odczuwali bóle, czy też nie.

Saunders otrzymała z rąk królowej Elżbiety tytuł damy.

Dama Cicely i pan Twycross ciężko pracowali nad zmianą nastawienia opinii publicznej. Wykonanie tego zadania więcej czasu zajęło w Stanach Zjednoczonych, gdzie lata demonizowania opiatów sprawiły, że lekarze byli ostrożniejsi w ich

przepisywaniu. Twycross powiedział kiedyś, że wysiadając z samolotu w Nowym Jorku, „wyczuwał ciągnący się po Ameryce lęk przed uzależnieniem”.

W 1972 roku brytyjska firma Napp Pharmaceuticals opracowała formułę kontrolowanego uwalniania substancji czynnych nazwaną Continus, którą po raz pierwszy zastosowano przy produkcji środka na astmę. Pewnego dnia Twycross zasugerował jednemu z przedstawicieli handlowych firmy, że formuły tej można użyć przy wytwarzaniu tabletki morfiny o przedłużonym uwalnianiu. Ostatecznie Napp Pharmaceuticals zdecydowało się na ten krok, co okaże się istotne dla opowiadanej tu historii. W każdym razie w ten oto sposób lekarze dostali nowy środek przeciwbólowy, skuteczny u pacjentów w stanie nieuleczalnym. Ponadto Napp jest własnością firmy Purdue, produkującej środki na przeczyszczenie, którą Arthur Sackler wraz z braćmi kupili jeszcze w latach pięćdziesiątych.

Mniej więcej w tym samym czasie szwedzki onkolog Jan Stjernswärd objął stanowisko, dzięki któremu mógł zmienić podejście do bólu w skali globalnej. W 1980 roku mianowano go kierownikiem programu nowotworowego realizowanego przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) z siedzibą w Genewie. Przed laty pracował w kenijskim szpitalu, gdzie widział mnóstwo chorych na raka, którzy leżeli w agonii. W krajach Trzeciego Świata brakowało funduszy na leczenie nowotworów. Zdaniem Stjernswärda pacjenci mogliby dzięki morfinie spędzić ostatnie dni życia bezboleśnie, jednak lekarze odmawiali jej stosowania, obawiając się możliwych uzależnień.

Nowy szef programu nowotworowego WHO nie zapomniał o swoich kenijskich doświadczeniach. Zabrał się zatem do ustanowienia norm dotyczących podawania nieuleczalnie chorym opiatów, przede wszystkim morfiny. Zrobiona z niej dziesięciomiligramowa tabletka kosztowała pensa. Według Stjernswärda jej stosowanie pozwoliłoby zapewnić na całym świecie jednakową opiekę medyczną – zarówno tym, którzy żegnali się z życiem, jak i tym, którzy dopiero w nie wkraczali.

Stjernswärd spotkał się z Vittoriem Ventafriddem, który prowadził w Mediolanie pierwszą włoską fundację zajmującą się leczeniem bólu u chorych w stanie terminalnym. Podczas lunchu w stołówce znajdującej się w genewskiej siedzibie głównej WHO Ventafridda zapisał na serwetce najprostsze zasady podawania pacjentom opiatów. Ujął je w formie drabinki – jeśli ból nie ustępował, należało stosować coraz silniejsze leki, w tym opiaty w połączeniu ze środkami nieopiatowymi. Jak na tamte czasy był to dość radykalny pomysł.

Stjernswärd zaprosił później większość nielicznych wówczas specjalistów od leczenia bólu – w sumie szesnastu – do średniowiecznego zamku w Mediolanie, by na miejscu opracować ogólnoświatową politykę zdrowotną w tym zakresie. Na spotkanie wziął ze sobą tamtą serwetkę.

Naszkicowana podczas lunchu przez Ventafriddę drabinka dała podstawę koncepcji, by podawać opiaty tym nieuleczalnie chorym, którym inne leki nie pomagały. Podejście to nacechowane było szacunkiem dla godności człowieka, szczególnie jeśli dałoby się je wdrożyć w krajach, gdzie tylko nieliczni mają dostęp do terapii nowotworowej. WHO wydało przetłumaczoną na dwadzieścia języków publikację, w której zaprezentowano tak zwaną drabinę analgetyczną WHO. Zgodnie z tym schematem morfinę uznano za „lek niezbędny” w uśmierzaniu bólów nowotworowych.

Światowa Organizacja Zdrowia poszła jeszcze dalej. Zaapelowała o uznanie życia wolnego od bólu za uniwersalne prawo człowieka. Opracowaniu drabiny analgetycznej towarzyszyła też refleksja, która ma znaczenie dla niniejszej opowieści i która poruszyła opinię publiczną oraz środowisko lekarskie – jeśli pacjent twierdzi, że odczuwa ból, lekarze powinni mu wierzyć i przepisać stosowne środki. Koncepcja ta ma swoje źródła w działalności ruchu obrony praw pacjenta, który powstał w związku z procesami norymberskimi, kiedy świat poznał prawdę o naruszających godność ludzką eksperymentach przeprowadzanych przez nazistowskich lekarzy, jak i z kontrkulturą lat sześćdziesiątych oraz związanymi z nią podejrzeniami dotyczącymi motywów kierujących wszelkimi tradycyjnymi instytucjami społecznymi, w tym również medycznymi.

Dzięki drabinie analgetycznej WHO żywiony przez lekarzy lęk przed stosowaniem leków będących pochodnymi opium zaczął słabnąć. Ostatecznie okazały się one niezwykle skuteczne w uśmierzaniu bólu, a przecież wolność od niego stała się w międzyczasie prawem człowieka. Wskaźniki globalnej konsumpcji morfiny pięły się w górę – między rokiem 1980 a 2011 zanotowano wzrost trzydziestokrotny.

Stało się jednak coś dziwnego. Spożycie morfiny wcale nie wzrosło w krajach rozwijających się, co do których istniało zasadne podejrzenie, że przypadków skrajnego bólu w nich właśnie powinno być najwięcej. Zamiast tego okazało się, że konsumpcja niemal wszystkich dostępnych zasobów morfiny – ponad dziewięćdziesięciu procent – przypada na najbogatsze kraje świata, zamieszkałe przez zaledwie jedną piątą ogółu ludzkiej populacji. Powodem były uprzedzenia

wobec opiatów występujące w krajach ubogich oraz obowiązujące w nich prawo, na które zalecenia WHO nie miały większego wpływu. Panowała i wciąż panuje tam opiatofobia, zaś chorym pozwala się konać w agonii, zamiast przynosić im ulgę poprzez zastosowanie środków przeciwbólowych będących pochodnymi opium. W Indiach, które są jednym z większych jego producentów, konsumpcja morfiny jest znikoma (0,12 miligrama na osobę w 2011 roku), głównie z powodu nałożonych przez rząd wysokich podatków na obrót tą substancją.

W 1985 roku członkowie Międzynarodowego Stowarzyszenia Badań nad Bólem (IASP) zebrali się w Buenos Aires. Eksperci odwiedzili tam szpital, w którym dyżurujący neurochirurg poinformował ich, że opiaty wolno mu stosować tylko podczas operacji. W związku z czym co roku zmuszony był do przeprowadzania tylko u osób cierpiących na bóle chroniczne tysięcy chordotomii – zabiegu na rdzeniu kręgowym, który blokuje odczuwanie bólu i temperatury.

– To było straszne – powiedział doktor John Loeser, jeden z wizytujących lekarzy, który pracował w interdyscyplinarnej klinice leczenia bólu na Uniwersytecie Waszyngtońskim. – To więcej niż wszystkie tego typu zabiegi razem wzięte przeprowadzane rocznie w Stanach Zjednoczonych i Europie.

Takie doświadczenia wryły się w pamięć lekarzy zajmujących się bólem. Na tym samym wyjeździe obecna była również doktor Kathleen Foley z nowojorskiego Centrum Onkologicznego imienia Sloana i Ketteringa. Swoją karierę zaczęła w latach siedemdziesiątych, czyli w ostatnich latach opiatowego średniowiecza, kiedy lekarze stosowali tego rodzaju leki tylko w ściśle nadzorowanych okolicznościach.

W latach osiemdziesiątych Foley, która była gorliwą katoliczką, stała się rzeczniczką osób umierających na raka, opowiadając się za łagodzeniem odczuwanego przez nich bólu za pomocą opiatów. W 1981 roku zmieniła obowiązującą dotąd w Centrum imienia Sloana i Ketteringa metodykę leczenia bólu u pacjentów z chorobą nowotworową, łącząc wysiłki naukowców zajmujących się bólem teoretycznie oraz klinicystów znających problem od strony praktycznej. Był to pierwszy na świecie tego typu zespół.

Wraz z upływem czasu Foley jeszcze bardziej zradykalizowała swoje stanowisko. Według niej stosowanie opiatów nie powinno być ograniczone do terapii nowotworowej lub opieki pooperacyjnej. Jej zdaniem należało używać ich również w przypadku pacjentów, u których ból nie był wynikiem choroby, urazu lub operacji, ale miał charakter chroniczny i równie utrudniający normalne życie –

na przykład u osób cierpiących na bóle okolicy lędźwiowej, bóle kolanowe i tak dalej.

W miarę zgłębiania tej historii zdałem sobie sprawę, że to właśnie podejście – skłaniające do zadumy nad stanem amerykańskiej medycyny i marketingu medycznego z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – miało pewien związek z przyczynami, dla których lata później mężczyźni z małego meksykańskiego miasteczka mogli sprzedawać tak dużo heroiny w tych zakątkach kraju, gdzie nigdy przedtem jej nie widziano.

W 1984 roku w Centrum imienia Sloana i Ketteringa pod kierownictwem Foley pracę rozpoczął młody lekarz Russell Portenoy. Dorastał w Yonkers, a biologią zainteresował się jeszcze w dzieciństwie. Elegancki i wygadany, ukończył Uniwersytet Cornella, a następnie wydział medyczny Uniwersytetu Maryland. Miał też za sobą staż na neurologii w Albert Einstein College of Medicine.

Przez niemal dwa lata Portenoy zajmował się przebywającymi w Centrum Onkologii pacjentami z chorobą nowotworową. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych wraz z Foley przyczynił się do stworzenia w Stanach Zjednoczonych nowej specjalizacji medycznej. Opieka paliatywna – leczenie bólu i stresu u osób poważnie chorych – miała wiele źródeł, w tym ruch hospicyjny Cicely Saunders oraz koncepcję, wówczas zaskakująco rzadko przyjmowaną w środowisku lekarskim, że śmierć zawsze powinna być możliwie najbardziej godna. W samej opiece paliatywnej chodziło zaś o znacznie więcej niż tylko podawanie leków, gdyż uwzględniała ona także elementy poradnictwa psychologicznego, duchowego i rodzinnego. Portenoy napisał kiedyś, że specjalizacja ta stała się przedmiotem rozmów, dzięki którym mógł ukształtować swoje życie zawodowe. Ponadto jej nowość pociągała młodych, błyskotliwych lekarzy, przez co łatwiej było mu forsować swoje pomysły. Zresztą pomaganie poważnie chorym i umierającym bliskie było altruistycznym pobudkom, które tak wielu zawiodły w mury uczelni medycznych.

Co więcej, nowa specjalizacja stanowiła dla niego rzeczywiste wyzwanie. Znajomość objawów nie oznaczała zrozumienia sytuacji pacjenta. Portenoy napisał później, że poczuł się wtedy zmuszony do zbadania głębokich skutków psychologicznych i mentalnych wywołanych przez choroby w zaawansowanym stadium. Musiał się na przykład nauczyć, jak informować rodzinę o zapadnięciu przez ich bliskiego na chorobę zagrażającą życiu. Doszedł do wniosku, że w opiece paliatywnej najważniejsze są moralne kwestie dotyczące autonomii pacjentów

i różnic wynikających z ich indywidualności. Decyzje podejmowano przy współudziale chorego oraz członków rodziny, co dalece odbiegało od sposobu, w jaki medycyna dotąd traktowała poważne choroby i ból. Obserwacje zmagających się z cierpieniem pacjentów i rozmowy z rodzinami, którym przyszło zmierzyć się z możliwością utraty najbliższych, przydały Portenoyowi nieco idealizmu i w pewnym stopniu uczyniły z niego bojownika przełamującego bariery konwencjonalnej wiedzy.

W istocie lata osiemdziesiąte okazały się dla młodego lekarza zajmującego się bólem dobrym momentem na toczenie batalii z tradycyjną medycyną. Naukowcy na nowo zbadali, w jaki sposób mózg odpowiedzialny jest za odczuwanie bólu. Działalność Cicely Saunders w Anglii rozpraszała dawne lęki związane z obowiązującym w Stanach Zjednoczonych zakazem stosowania opiatów. Dzięki dokonującemu się w medycynie postępowi w pewnych przypadkach udawało się przedłużyć życie osób chorych na raka już nie o miesiące, ale o lata. Niemniej sama terapia była bardzo bolesna, należało więc pochylić się również nad bólem odczuwanym przez coraz większą liczbę pacjentów.

W 1984 roku firma Purdue Frederick zaproponowała pewne rozwiązanie, wypuszczając na rynek MS Contin, tabletkę morfiny o przedłużonym uwalnianiu substancji czynnych – owoc rozmowy, jaką Robert Twycross przeprowadził przed laty z przedstawicielami handlowymi Napp Pharmaceuticals. MS Contin przeznaczony był dla chorych na raka oraz pacjentów po przebytych operacjach.

Z kolei w Szpitalu Świętego Krzyża w Salt Lake City lekarz Lynn Webster zajmował się badaniami nad nowymi technikami zwalczania przypadków ostrego bólu. Pewnego dnia w 1989 roku pacjentka o imieniu Dorothy przechodziła operację płuc, podczas której Webster założył jej cewnik do podawania środka do znieczulania zewnątrzoponowego. Poprzez kateter Webster aplikował jej niewielkie, stałe dawki anestetyków opiatowych. Środków do znieczulania zewnątrzoponowego używano dotąd przy porodach, ale nowe badania pokazały inne ich możliwe zastosowania. Webster uznał, że ta metoda pozwala bardziej punktowo kontrolować ból przy podawaniu mniejszej ilości leków niż klasyczne zastrzyki dożylne lub domięśniowe.

Rzeczywiście, Dorothy po operacji była przytomna i składnie się wypowiadała, w przeciwieństwie do zwykłych pacjentów pooperacyjnych, których z sali operacyjnej wywożono w stanie skrajnego wycieńczenia i pod wpływem środków

znieczulających. Opowieści o tym rozniosły się po szpitalu. Pacjentka poprosiła o kawę, wstała i uniosła ręce, czym wprawiła w szok personel szpitalny.

– Nikt przedtem czegoś takiego w tym szpitalu nie dokonał – wspominała współpracująca wtedy z Websterem pielęgniarka Marsha Stanton. – Lekarze i pielęgniarki przystawali w drzwiach, by popatrzeć, jak pacjentka pije kawę i dobrze się czuje. Nie miała mdłości, które są częste w takiej sytuacji.

Podekscytowany otwierającymi się możliwościami Webster, a później także i inni lekarze, zaczął stosować tę metodę kontrolowania bólu na coraz większej grupie pacjentów.

Dla Russella Portenoya były to czasy rewolucyjne. Powstrzymywanie się od podawania umierającym na raka uśmierzających ból leków opiatowych wydawało się okrucieństwem. Już niedługo potem kwestia ta przestała budzić w Stanach Zjednoczonych jakiekolwiek kontrowersje. Nieuleczalnie chorzy pacjenci nie musieli już konać w męczarniach. Wahadło przesunęło się na stronę bardziej ludzkich metod leczenia.

Portenoy opisywał później, że możliwość ulżenia pacjentom i uwolnienia ich od paraliżującego bólu przyprawiała go o dreszcze. Zdolność kontrolowania bólu uważał za domenę świeżo upieczonych absolwentów uczelni medycznych. Jej początek wziął się z innowacji wprowadzanych przez firmy farmaceutyczne. Produkowane przez nie silne środki przeciwbólowe wydawały się o wiele mniej uzależniające, ponieważ dzięki formule stopniowego uwalniania substancji czynnych dawały pacjentom rozłożone na wiele godzin poczucie ulgi.

Teraz w przypadku osób złamanych bólem „specjaliści od jego kontroli wiedzą, co robić i jak zadziałać, by zaoferować im coś, co nie tylko przyniesie ulgę, ale również da nadzieję”, wspominał później Portenoy.

– Wierzę w leki – dodawał. – Uważam, że są one wielkim darem dla ludzkości.

Ból i zawodowy zapaśnik

Seattle, Waszyngton

John Bonica urodził się na Sycylii, dorastał w Brooklynie, a podnoszenie ciężarów zaczął uprawiać w wieku lat siedmiu. Na uczelniach na Long Island i w Nowym Jorku, do których uczęszczał, był gwiazdą zapasów. Czesne za studia, w tym te odbyte na akademii medycznej, pokrywał z tego, co już jako zawodowiec zarobił na macie. Karierę sportową kontynuował także po tym, jak przed II wojną światową wstąpił do armii amerykańskiej. Kiedy jego zwierzchnicy powiedzieli mu, że uprawianie zawodowo zapasów nie przystoi oficerowi, przywdział skrywającą jego tożsamość maskę i przyjął pseudonim Masked Marvel, by wyruszywszy na tournée z cyrkiem, walczyć nawet z dwudziestoma przeciwnikami dziennie. Swoją przyszłą żonę Emmę poznał podczas jednego z meczów, w których brał udział.

Zapasy okazały się równie istotne dla jego przyszłej kariery zawodowej. Uprawianie sportu skończyło się częściowym kalectwem i pozostawiło mu w spadku odczuwany przez całe życie ból, który był następstwem niezliczonych zwichnięć stawów biodrowych, kontuzji ramion czy wielokrotnych złamań żeber. Inną pamiątką były koszmarnie wyglądające kalafiorowate małżowiny uszne, ktòre „przypominały dwie piłki do gry w bejsbol” i wymagały operacji plastycznych. Jak wyznał czasopismu „People” w 1977 roku, „trwająca od piętnastu do osiemnastu godzin dziennie praca” pozwalała zagłuszyć ból.

Jednakże widok rodzącej w bólach żony skłonił go w 1943 roku do zajęcia się anestezjologią. Przeszkolił setki lekarzy tej specjalizacji, którzy podjęli później służbę w armii amerykańskiej. Po wojnie został kierownikiem zespołu anestezjologów w szpitalu w Tacomie i napisał klasyczny już podręcznik *The Management of Pain* [Kontrolowanie bólu].

W 1960 roku Johna Bonicę mianowano dziekanem wydziału anestezjologicznego na Akademii Medycznej przy Uniwersytecie Waszyngtońskim. To tam otworzył pierwszą w Stanach Zjednoczonych klinikę leczenia bólu. Sam uważał, że można go uśmierzyć tylko wtedy, kiedy zastosuje się wiedzę pochodzącą z różnych dziedzin medycyny i innych dyscyplin naukowych.

W klinice przyjęto innowacyjne podejście do bólu polegające na tym, że pacjenta badało aż czternastu specjalistów wspólnie opracowujących terapię, którą chory miał następnie wdrażać w życiu codziennym. Interdyscyplinarna metodologia Boniki była skomplikowana i wymagała od pacjentów wniesienia dość pokaźnego wkładu własnego, ale jednak często okazywała się skuteczna.

Bonica przeszedł na emeryturę w 1977 roku. Jego następcy, doktor Bill Fordyce i doktor John Loeser, rozwinęli działający w ramach Akademii Medycznej Ośrodek Zwalczania Bólu. Klinika korzystała z usług terapeutów zajęciowych, fizjoterapeutów, psychologów, pracowników opieki społecznej i tak dalej. Pacjenci spędzali w niej trzy tygodnie, a potem opuszczali ją, zaopatrzeni w pozwalający kontrolować ból instruktaż medyczny i życiowy – było to, jak mawiał sam Loeser, podejście psychospołeczne.

– Staraliśmy się uczyć [pacjentów], że to od nich zależy kontrolowanie tego, czy czują się dobrze, czy też nie – mówił Loeser. – Pacjent musi wykonać swoją pracę. Chroniczny ból to coś więcej niż tylko jakieś nieprawidłowości w organizmie człowieka, bo pewną rolę zawsze odgrywają w nim czynniki społeczne i psychologiczne. Lekarze zazwyczaj ignorowali ten wymiar.

Klinika leczenia bólu przy Uniwersytecie Waszyngtońskim stanęła w kontrze wobec tendencji dominujących wówczas w marketingu medycznym. Zdaniem pracujących w niej naukowców reklamy Valium sugerujące, że jedna tabletka pozwoli rozwiązać wszystkie problemy pacjenta, wprowadzały w błąd, przynajmniej tam, gdzie mówiły o bólu. Albowiem ból to skomplikowana sprawa.

– Wielu pacjentów wyznaje zasadę: „Mam prawo nie czuć bólu” – przyznawał Loeser. – Owszem, ludzie mają prawo do opieki medycznej. Z kolei jednym z zadań opieki medycznej powinno być kontrolowanie bólu. Niemniej nikt nie ma prawa do bezwarunkowego uśmierzenia bólu. Bywa, że lekarz nie jest w stanie zapewnić tego pacjentowi. Wielu problemów nie da się ot tak usunąć. Pacjent ma tylko prawo do rozsądnych prób złagodzenia bólu podejmowanych przy pomocy racjonalnie dobranych metod. Mamy takie samo prawo do uśmierzenia bólu jak do bycia szczęśliwym. Zazwyczaj jednak pacjenci mówią: „Panie doktorze, skoro do pana przyszedłem, niech pan mnie naprawi” – kontynuował. – Traktują siebie jak jakiś samochód. Wierzą, że wszystko, czego im potrzeba, to pójść do lekarza, który powie, co z nimi jest nie tak. Takie nastawienie zostało wypromowane przez środowisko lekarskie i firmy farmaceutyczne. Wszyscy chcą, by przez jedną noc postawić ich na nogi. To jest problem, z którym się borykamy w przypadku

pacjentów z bólami chronicznymi. Oni muszą się nauczyć, że chodzi o ich ciało, ich ból, ich zdrowie. I to oni mają wykonać tę pracę.

Następcy Boniki na Uniwersytecie Waszyngtońskim sugerowali przyjęcie całościowego podejścia do leczenia bólu, w którym opiaty odgrywałyby tylko niewielką rolę. Na początku lat dziewięćdziesiątych setki amerykańskich klinik przyjęły taki właśnie model działania. Jednak niemal od samego początku towarzystwa ubezpieczeniowe stawiały opór. Z czasem przestały refundować kluczowe składniki terapii interdyscyplinarnej, które nie były ściśle powiązane z medycyną, a zwłaszcza terapię zajęciową, psychoterapię czy fizjoterapię. Loeser i jego podwładni wdawali się w nieustanne potyczki z tymi firmami, udowadniając im, że pacjenci stawali się zdrowsi, co na dłuższą metę zapewniało tym firmom oszczędności.

– Ludzie odpowiedzialni za podejmowanie decyzji finansowych nie mieli jednak nic wspólnego z kwestiami zdrowotnymi – wspominał Loeser. – Coraz bardziej ograniczali zakres usług, za które skłonni byli płacić.

Zatem w miarę jak pacjentom coraz silniej wmawiano, że mają prawo do zwalczania bólu, lekarzom stopniowo odbierano najważniejsze narzędzia służące do jego uśmierzania.

Nadchodzi Gość

Los Angeles, Kalifornia

Gość nadszedł z zachodu, cały w kurzu i zmarszczkach.

Jego dziadek, którego nigdy nie poznał, choć nosił jego imię, miał dwie kobiety i dwie rodziny – jedną w Phoenix, drugą w Nowym Meksyku. Przyrodniego brata ojca, którego również nigdy nie spotkał, zamordował Pablo Acosta, przemytnik marihuany i pierwszy meksykański baron narkotykowy.

W 1939 roku ojciec Gościa przeniósł się z rodziną z Nowego Meksyku do Kalifornii. Rolnicze miasteczko Brawley w Imperial Valley było przystankiem w drodze dla migrantów wygnanych przez Wielki Kryzys, którzy do „złotego stanu" napływali od południa. Rodzice Gościa pracowali na należącej do krewnego farmie. W tym czasie Gość przyszedł na świat. Potem wszyscy przenieśli się do Fresno, gdzie jego ojciec zatrudnił się jako robotnik rolny.

Rodzice rozstali się, gdy miał trzynaście lat. Wraz z matką ruszył do doliny San Fernando. W tamtejszym *barrio* Van Nuys – okolicy, w której nie było ani chodników, ani zbyt wielu policjantów – znaleźli dla siebie dom. To były lata pięćdziesiąte, kiedy Amerykanie pochodzenia meksykańskiego mieszkający w zdominowanej przez białych dolinie rzadko kiedy wyściubiali nosa poza swoje *barrio*, chyba że musieli pójść do pracy. Domy w Van Nuys były własnością mieszkających w nich rodzin. Mężczyźni znajdowali zatrudnienie w przemyśle filmowym na najniższych szczeblach panującej tam hierarchii zawodowej, pracę dawały im też władze miejskie lub hrabstwa, zlecając kładzenie chodników lub wykańczanie budynków publicznych. Po skończonej robocie przesiadywali przed lokalnym sklepem i pili piwo w cieniu drzew pieprzowych.

Gość nie ukończył liceum w Van Nuys, a maturę zrobił zaocznie. Już wtedy był dilerem – porcjował kilogramy trawy i sprzedawał w okolicy jointy. Kiedy w modę weszły prochy – białe, czerwone, amfa – jeździł na weekend do Tijuany, kupował je na słoiki i sprzedawał z potrójnym zyskiem po powrocie do swego *barrio*. Myślał o sobie jako o tym ze swojego pokolenia, który w hierarchii gangsterskiej zajdzie daleko. Miał wtedy dziewiętnaście lat i zdążył już sięgnąć po heroinę. Brało

ją wielu młodych mężczyzn z Van Nuys, większość z nich nie dożyła nawet wieku średniego.

Zajmował się instalowaniem i naprawą urządzeń grzewczych oraz klimatyzacji, podejmował się też innych zajęć, dwukrotnie się ożenił i doczekał dwojga dzieci, przede wszystkim jednak był – jak to sam potem nazywał – „kupcem narkotykowym". Chełpił się, że olewa *establishment* i że jest człowiekiem wyjętym spod prawa. Odsiedział kilka wyroków, a po wyjściu na wolność rzadko kiedy wytrzymywał dłużej niż czterdzieści osiem godzin, by nie dać sobie w żyłę. Tak naprawdę poza heroiną niewiele go obchodziło. Kupił wprawdzie domy swojej rodzinie i swoim dzieciom, ale większość pieniędzy szła na narkotyki. Jedyne, co przez te lata potrafiło jeszcze przyciągnąć jego uwagę, było obstawianie meczów NFL.

Główną jego troską było znalezienie wiarygodnego i stabilnego źródła dostaw heroiny. Te, które pozyskiwał, zazwyczaj były tylko chwilowe, gdyż albo to on szedł za kratki, albo dilerzy. Bywało też, że umierali. W każdym razie zawsze toczył walkę o zdobycie w miarę dobrej jakości dragów, i to w dużych ilościach.

W latach siedemdziesiątych poznał krewnego przybocznego Ernesta „Don Neto" Fonseki. Fonseca był siwowłosym meksykańskim bossem narkotykowym, który później okrył się niesławą i dostał dożywocie za udział w stworzeniu kartelu z Sinaloa. Za kratkami dołączył do niego bratanek Rafael Caro Quintero, którego skazano za zorganizowanie w 1985 roku brutalnego, połączonego z torturami morderstwa agenta Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami (DEA) Enrique „Kiki" Camareny.

Gość i jego kontakt pojechali pociągiem do Meksyku, gdzie mieli kupić kilogram towaru od Fonseki. Spotkali się z legendarnym *capo* w hotelu, który zbudował sobie w centrum Culiacán – parnej stolicy stanu Sinaloa, gdzie swój początek miał meksykański handel narkotykami.

– Dam wam ten kilogram i zobaczę, co z nim zrobicie na miejscu – powiedział im Fonseca. – Chciałbym tam rozkręcić rynek. Jeśli sobie poradzicie, będę was dalej zaopatrywać.

Przez cztery miesiące radzili sobie nieźle i Don Neto przesyłał im kolejne kilogramy towaru. Potem ich aresztowano i ten kanał dostaw został zablokowany. Gość znalazł inne źródła w Mexicali, ale one także wkrótce wyschły.

Było to jednak dawno temu.

Kiedy się z nim spotkałem, problemy z wątrobą zmusiły Gościa do zwolnienia tempa. Dostrzegałem u niego coraz cięższe powieki. Lata dilerki, obstawiania zakładów i wkłuwania się w żyły wyssały z niego – wówczas siedemdziesięciolatka – niemal wszystkie soki żywotne. Nigdy nie czytał powieści, tylko literaturę faktu. Jego śmiech brzmiał jak wysuszony chichot.

Jednak kiedy dobijał sześćdziesiątki, wpadł na pomysł, który – jak uważał – miał uczynić jego życie wartym zachodu. Chodziło o ponowne wprowadzenie na rynek czarnej smoły i dotarcie do nowej klienteli w nowych miejscach położonych na wschód od rzeki Missisipi. Wdarł się więc w rozsiane po Stanach miasta niczym wicher – w każde z nich pod innym nazwiskiem, w starych samochodach, zawsze szarych lub beżowych. Zostawiał za sobą narkotyk, który miał zmienić te miejscowości i przynieść nieszczęście tysiącom rodzin.

W latach dziewięćdziesiątych czarna smoła odmieniła również małe meksykańskie miasteczko Xalisco w stanie Nayarit. To samo, które Gość uzna za swoje, kupi w nim dom i będzie miał tam kobietę. Działał w tym samym czasie co David Tejeda – znał go zresztą, aczkolwiek niezbyt dobrze. Tejeda był jednym z pionierów pierwszej, zapoczątkowanej jeszcze we wczesnych latach dziewięćdziesiątych fali ekspansji heroiny z Xalisco. Gość był inicjatorem drugiej, która zaczęła się w 1998 roku. Tak więc po tym, jak go namierzyłem, często się widywaliśmy i wysłuchiwałem, co miał do powiedzenia o przeszłości. Po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że wiedział, jak handel czarną smołą przekroczył bieg rzeki Missisipi.

Uważał się za bohatera młodzieży z Xalisco, którą wciągnął w handel narkotykami i nauczył fachu.

– Przychodzili do mnie ojcowie i matki z prośbą o znalezienie roboty dla ich synów, a przecież doskonale wiedzieli, co ich dzieci miałyby robić i co ja sam robiłem – powiedział kiedyś w swym domu w Dolinie Kalifornijskiej. – To biedacy, którym nędza zaglądała w oczy. Widzieli chłopaków w nowych furach, z nowymi domami i rodzicami jeżdżącymi całkiem fajnymi pikapami. Dzieciaki wciąż ich maglowały, że chcą jechać na północ.

Początkowo sprzedawali towar starym ćpunom, jakimi sami byli – resztkom heroinowego podziemia z lat siedemdziesiątych, gdy heroina była modna ostatni raz. Zdarzyło się jednak, że nieoficjalny obrót innym środkiem – w tym przypadku był to lek przeciwbólowy OxyContin – wywołał rosnący popyt na heroinę wśród białych z klasy średniej i wyższej. Wśród ludzi z kasą. Gdy Gość dowiedział się

o OxyContinie, zaczął wokół niego węszyć, wyczuwając, że niedługo będzie miał rynek do zagospodarowania.

Wypracowany przez Chłopaków z Xalisco system sprzedaży detalicznej ewoluował za sprawą rosnącej w Stanach Zjednoczonych grupy konsumentów uzależnionych od OxyContinu oraz pogłębiającej się frustracji młodych, pozbawionych ziemi robotników rolnych w Meksyku. Ci ostatni nie stworzyli kartelu. Nie mogli. *Envidia* – małomiasteczkowa zawiść – oraz panujący na *ranchos* duch anarchii nie pozwalały na jakiekolwiek formy zrzeszania się.

– Rodziny nie potrafią ze sobą współpracować – mówił mi Gość. – Jesteśmy wobec siebie naprawdę zawistni.

Jednak dokładnie z tych samych przyczyn system ten okazał się tak groźny i odniósł aż tak wielki sukces. Dzięki temu, że poddał tani i silnie uzależniający produkt dyktatowi wolnorynkowego kapitalizmu w skali mikro, rozbudził ducha przedsiębiorczości wśród młodych i z determinacją dążących do celu *rancheros*. Wyznaczał on zatem nowy trend w przyjętym przez meksykańskich handlarzy modelu sprzedaży i czerpania zysków z heroiny, stanowiąc zarazem wyzwanie dla organów ochrony porządku publicznego w Stanach Zjednoczonych.

– To nie my rozkręciliśmy biznes heroinowy – tłumaczył Gość. – My tylko zastosowaliśmy inną metodę. Nie byliśmy kartelem. To były osobne komórki. Każdy miał swoją grupę. I każda z nich miała swojego szefa. Wszystkie działały na własną rękę. Byli twardziele, byli też przeciętniacy i ci, którzy po prostu chcieli wyjść na swoje. Niektórzy splajtowali, inni zarobili kupę szmalu.

Rewolucja

W 1986 roku trzydziestojednoletni Russell Portenoy wraz ze swoją mentorką Kathy Foley opublikował tekst, który stał się deklaracją niezależności awangardy lekarzy stosujących opiaty w leczeniu przewlekłego bólu. Sam Portenoy raczej nie chciał, by nadano mu aż taką wagę.

Z ogłaszanych wówczas publikacji innych naukowców wynikało, że stosowanie opiatów u osób cierpiących na przewlekłe bóle niezmiennie kończy się uzależnieniem. Według Portenoya i Foley niekoniecznie tak było. Przeanalizowali trzydzieści osiem przypadków prowadzonych przez nich pacjentów chorych na raka i odczuwających bóle chroniczne, którym podawano bazujące na opiatach leki przeciwbólowe. Tylko dwie osoby z tej grupy popadły w uzależnienie, przy czym obie miały uprzednie doświadczenia z narkotykami. Reszta funkcjonowała normalnie i na dodatek u większości ból minął.

W swoim zamieszczonym na łamach czasopisma medycznego „Pain" artykule Portenoy i Foley zrelacjonowali poczynione przez siebie obserwacje. Według nich opiaty same w sobie nie były uzależniające. Wiele zależało od osób, które je przyjmowały.

Wśród cytowanych źródeł był między innymi list wystosowany do redakcji „New England Journal of Medicine", który zatytułowano *Addiction Rare in Patients Treated with Narcotics* [Rzadkie przypadki uzależnień u osób leczonych narkotykami]. Jego autorami byli Jane Porter oraz doktor Hershel Jick z Bostonu, a opublikowano go w jednym z numerów z 1980 roku.

Zgodnie ze słowami samego Portenoya myśl przewodnia artykułu z czasopisma „Pain" była następująca: „Leki te mają pewne właściwości, które w interakcji z mózgiem o konkretnej charakterystyce mogą przynosić niepożądane skutki. Niemniej nie jest nieodłączną właściwością tabletki to, by każdy, komu zostanie ona podana, uzależniał się od niej".

Z takiego stanowiska stopniowo zaczęto wyciągać wniosek, że opiaty można przepisywać nie tylko umierającym na raka, ale także innym pacjentom – być może też tym odczuwającym chroniczne bóle, lecz to było już o wiele bardziej kontrowersyjnym pomysłem. Artykuł ostrzegał przed podawaniem ich osobom, które uprzednio miały doświadczenia z narkotykami. W późniejszych wywiadach

i pracach Portenoy podkreślał, że jego zdaniem lekarz powinien poświęcić każdemu pacjentowi odpowiednio dużo czasu, wnikając zarazem w szczegóły dotyczące jego dotychczasowego leczenia, jak i w historię rodzinną. Przedstawił również zarys kwestionariusza, który powinno się wręczyć do wypełnienia pacjentowi, by móc w każdym indywidualnym przypadku oszacować ryzyko ewentualnego uzależnienia. Uwzględnił w nim dwa słynne ekstrema: ponad siedemdziesięcioletnią abstynentkę z krwawiącymi wrzodami żołądka i osteoartretyzmem oraz dwudziestokilkulatka, który latami palił gandzię, ma wytatuowane plecy i odczuwa chroniczny ból w kolanach nabyty wskutek operacji, jaką przeszedł przed rokiem. Chłopak był o wiele bardziej narażony na ryzyko uzależnienia niż kobieta. Niemniej większość decyzji podejmowanych przez lekarza rodzinnego – bo to lekarze rodzinni przede wszystkim przepisywali środki przeciwbólowe – miała trochę bardziej skomplikowany kontekst. Bo cóż zrobić z czterdziestoletnim budowlańcem, którego brat odsiaduje wyrok, a on sam w młodości nie wylewał za kołnierz, choć teraz jest wzorowym ojcem odczuwającym chroniczny ból pleców?

Artykuł w czasopiśmie „Pain”, który według samego Portenoya miał być skazany na zapomnienie, wzbudził ożywioną debatę. Ponieważ firmowany był przez Foley i Centrum Onkologiczne imienia Sloana i Ketteringa, wstrząsnął obowiązującym dotąd konsensusem w kwestii sprzeciwu wobec ograniczonego stosowania opiatów. Sam Portenoy padł ofiarą bezpośrednich ataków. Używanie opiatów w przypadku chronicznego bólu stało w sprzeczności z tak wieloma uświęconymi tradycją dogmatami medycznymi. Powszechnie sądzono, że narkotyki były niebezpieczne i uzależniały, nawet jeśli podawano je pod kontrolą lekarską. Jeden z naukowców napisał do „Pain”, że Portenoy i Foley nie rozumieją natury bólu.

– Oburzenie, jakie ten artykuł wywołał, zagadujący mnie na konferencjach ludzie, którzy mówili, że jestem draniem, czy inne jeszcze gorsze rzeczy… – wypowiadał się Portenoy w wywiadzie. – To były całkiem ciekawe czasy.

Mimo takich ostrych reakcji Foley i Portenoy uważali się za działających w imieniu pacjentów bojowników obalających przestarzały dogmat prohibicjonistów, który stracił już rację bytu, szczególnie ze względu na postęp technologiczny i farmakologiczny.

Wyrazy wsparcia napływały do nich z całego kraju.

Głos taki dobiegł między innymi z Salt Lake City. Nie chodziło tylko o Lynna Webstera ze Szpitala Świętego Krzyża. W Utah zebrali się naukowcy i lekarze szukający nowych metod leczenia pacjentów odczuwających bóle. Mieszkająca w tym stanie społeczność mormonów prowadziła zdecydowanie osiadły tryb życia, więc klinicyści mogli co pięć lat podejmować badania na praktycznie tej samej grupie osób. Ponadto – choć wielu tamtejszych mieszkańców z samej racji bycia mormonami nie spożywało kofeiny, nikotyny i innych używek – to potajemne zażywanie leków na receptę, zwłaszcza środków przeciwbólowych, stało się powszechne, co dało naukowcom bogaty materiał do badania uzależnień.

Wśród osób entuzjastycznie przyjmujących nowe podejście do leczenia bólu była podległa Websterowi pielęgniarka Marsha Stanton. Choć wychowywała się jako członkini Stowarzyszenia Nauki Chrześcijańskiej, skończyła szkołę pielęgniarską. Zawód ten podjęła w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy lekarze i wykładowcy medycyny nalegali na bardzo ostrożne stosowanie opiatów, niezależnie od rzeczywistych potrzeb pacjentów.

– Wszystkich nas, pielęgniarki, farmaceutów, lekarzy, uczono: „Nie przedawkuj, tylko nie przedawkuj” – wspominała. – Dawaliśmy najmniejsze możliwe dawki rozciągnięte na jak najdłuższy czas, bo ze strachu przed uzależnieniem nie chcieliśmy podawać pacjentom zbyt dużo.

W latach osiemdziesiątych nowe środki farmaceutyczne i technologie umożliwiły wdrożenie nowatorskich metod leczenia, wypierając te dotychczas praktykowane. Działający w Utah Lynn Webster, Michael Ashburn, Perry Fine, Brad Hare i Richard Chapman wyspecjalizowali się w klinicznych badaniach bólu i wraz z Portenoyem i innymi lekarzami z Nowego Jorku wnieśli do medycyny sporo fermentu intelektualnego. Wkrótce przekroczona została masa krytyczna, a w Salt Lake City powstało prężne środowisko zajmujące się kwestiami związanymi z kontrolą bólu. Ta nowa awangarda organizowała comiesięczne spotkania, które przyciągały setki osób chcących wysłuchać prelegentów, przedyskutować nowe techniki z zakresu zarządzania bólem i wreszcie zostawić przeszłość za sobą.

– Salt Lake City stało się mekką innowatorów i zwolenników nowości – wspominała Stanton. – Chodziło nam o lepszą opiekę nad pacjentem. To, co robiliśmy od lat, nie przynosiło rezultatów. Pamiętam, jak wielokrotnie podczas prelekcji wyrażałam żal, że przez tak długi czas tak źle traktowałam pacjentów. Trzeba jednak pamiętać, że już wtedy dysponowaliśmy technologią, której przedtem nam brakowało.

Coraz większą popularność zdobywała koncepcja głosząca, że ból równoważy euforię wywoływaną przez opiaty, a tym samym ogranicza ryzyko popadnięcia w uzależnienie. W oświadczeniu umieszczonym na swojej stronie internetowej Amerykańskie Towarzystwo Bólu utrzymywało, że zagrożenie uzależnieniem było niskie, jeśli opiaty wykorzystywano do leczenia pacjentów odczuwających ból. Wyglądało na to, iż nie było bariery w wielkości dozy opiatowych środków przeciwbólowych, które chorzy mogliby przyjmować. Ból, jak twierdziło Towarzystwo, przeciwdziałał występującej przy zażywaniu opiatów skłonności do niepodejmowania przez płuca czynności oddechowych. Tak więc odmawianie podawania tego rodzaju środków „na gruncie obaw o kwestie natury oddechowej jest nieuzasadnione".

Zmiany w postawach wobec leczenia bólu i dostępnych w tym zakresie technologii następowały szybko. Anestezjologom przypadła nowa rola w lecznictwie. Przedtem przestawali interesować się pacjentami tuż po operacji. Teraz mogli im towarzyszyć w trakcie dni lub tygodni leczenia pooperacyjnego, wykorzystując nowe metody terapeutyczne, tak jak zrobił to Lynn Webster, który zastosował u Dorothy znieczulenie zewnątrzoponowe. Coraz większa liczba anestezjologów zaczęła specjalizować się w bólu. Specjaliści z kolei potrzebują pielęgniarek. Amerykańskie Towarzystwo do spraw Pielęgniarstwa Bólu, które założono w 1990 roku w dużej mierze dzięki funduszom przekazanym przez firmę Baxter, już po kilku latach działalności liczyło ponad dwa tysiące członkiń.

W 1996 roku prezes Amerykańskiego Towarzystwa Bólu doktor James Campbell powiedział w przemowie, że „gdyby do bólu przykładano taką samą wagę jak do innych parametrów życiowych, to mielibyśmy o wiele większe szanse na odpowiednie leczenie. Powinniśmy szkolić lekarzy i pielęgniarki tak, by dostrzegali w nim tego typu wskaźnik". Samo towarzystwo przyjęło za swoje hasło stwierdzenie „Ból – piąty parametr życiowy" i wykorzystywało je do propagowania idei, że lekarze powinni rutynowo podchodzić do bólu, tak jak do pozostałych parametrów życiowych.

W 1998 roku Agencja do spraw Zdrowia Weteranów uznała ból za „piąty parametr życiowy" – kolejny wskaźnik zdrowia pacjenta po tętnie, ciśnieniu krwi, temperaturze ciała i czynnościach oddechowych. Podobnie uczyniła Połączona Komisja Akredytacyjna Instytucji Opieki Zdrowotnej (JCAHO), która wydała certyfikaty szesnastu tysiącom takich organizacji funkcjonującym w Stanach Zjednoczonych. Szpitale zaczęto oceniać pod kątem tego, jak mierzyły ból

odczuwany przez pacjentów i w jaki sposób go leczyły. Obowiązujące w Kalifornii prawo nakładało na placówki opieki zdrowotnej obowiązek monitorowania bólu w takim samym stopniu jak w przypadku pozostałych parametrów życiowych. Stanowa Komisja Farmaceutyczna zapewniała swoich członków, że według „badań naukowych [z opiatami związany jest] niezwykle niski potencjał ich nadużywania", o ile tylko stosuje się je właściwie.

Z tego wszystkiego zrodziło się przekonanie, że w Stanach Zjednoczonych w sposób niedostateczny stosowano terapie mające uśmierzyć ból. Jak pokazywały sondaże, liczba osób, u których nie leczono odczuwanego przez nie bólu, sięgała dziesiątek milionów. Sytuację tę postrzegano jako wybuch niepotrzebnej epidemii, gdyż lekarze dysponowali już wtedy niezbędnymi do tego środkami. Z badania przeprowadzonego w 2001 roku na próbie tysiąca osób mieszkających w domu i odczuwających ból spowodowany czynnikami zdrowotnymi wynikało, że połowa z nich nie potrafiła sobie przypomnieć, jak to jest żyć bez bólu, u czterdziestu procent ból miał naturę ciągłą, a dwadzieścia dwa procent badanych odczuwało poważne bóle. Tylko trzynaście procent zostało przyjętych przez specjalistę od bólu.

Lekarze i stowarzyszenia lekarskie mieli jednak wątpliwości. Przepisywanie takich leków mogło prowadzić do uzależnień. Potrzebne były również jasne rozwiązania w kwestiach prawnych. Tak więc poszczególne stany, poczynając od Kalifornii, zaczęły uchwalać przepisy wyłączające lekarzy spod odpowiedzialności karnej, jeśli przepisywali opiaty w ramach praktykowania odpowiedzialnie pojmowanej opieki zdrowotnej z zakresu leczenia bólu. W licznych stanach – Ohio, Oregonie, Waszyngtonie i innych – przyjęto tak zwane regulacje w sprawie trudnego w leczeniu bólu.

Wkrótce wydarzenia przybrały taki obrót, że można je było określić mianem rewolucji w myśli i praktyce medycznej. Nalegano na środowisko lekarskie, by zajęło się gaszeniem toczącej kraj epidemii bólu przez przepisywanie leków opiatowych. Stażystom i pracującym na stałe lekarzom mówiono, że nie mają już one właściwości uzależniających, więc ich misją czy wręcz obowiązkiem jest je stosować. W pewnych szpitalach grożono lekarzom, że jeśli nie będą leczyć bólu agresywnie, to znaczy przy użyciu opiatów, mogą zostać pozwani do sądu.

W międzyczasie Russell Portenoy został dyrektorem oddziału Medycyny Bólu i Opieki Paliatywnej w nowojorskim Ośrodku Medycznym Beth Israel – był to pierwszy tego typu oddział w jednym z czołowych amerykańskich szpitali.

Piastując to stanowisko i mając zapewnione finansowanie ze strony kilku firm farmaceutycznych, prowadził kampanię na rzecz destygmatyzacji opiatów. Baxter oraz inne firmy farmaceutyczne podjęły się produkcji obsługiwanych przez pacjentów dożylnych pompek analgetycznych, co pozwoliło chorym samodzielnie aplikować środek przeciwbólowy za pomocą naciśnięcia guziczka. W Tulsie w stanie Oklahoma Donna Wong i Connie Baker, dwie pielęgniarki zajmujące się opieką pediatryczną, szukały sposobu na oszacowanie natężenia bólu u dzieci mających problem z opisem tego, co czują. U Wong w dzieciństwie błędnie zdiagnozowano białaczkę, wskutek czego poddano ją bolesnym operacjom, podczas których nie stosowano analgetyków. Później została pielęgniarką. W latach osiemdziesiątych, bazując na zdobywających popularność emotikonach, obie kobiety opracowały zestaw sześciu „buziek", które można było pokazać dzieciom. Pierwsza z nich jest uśmiechnięta, a ostatnia zapłakana i wykrzywiona w grymasie. Skala Wong-Baker jest dziś standardową pomocą wykorzystywaną do określenia nasilenia bólu odczuwanego przez dzieci. Stworzono też inne mierniki używane w przypadku osób dorosłych – pacjentów prosi się o określenie na skali od zera do dziesięciu, jak silny jest odczuwany przez nich ból, gdzie dziesięć oznacza najsilniejszy ból, a zero najsłabszy. Skale te okazały się bardzo subiektywne, lecz były to jedyne narzędzia do mierzenia natężenia bólu, jakie medycyna mogła wówczas zaoferować.

Jednym z najważniejszych narzędzi pozwalających przeprowadzić tę rewolucję były sondaże zrobione przez Pressa i Ganeya. Badanie przygotowane przez lekarza i statystyka pozwalało ocenić poziom zadowolenia pacjentów z leczenia, któremu byli poddawani. Sondaże te miały głęboki sens i zaczęły być powszechnie stosowane w amerykańskich szpitalach w latach dziewięćdziesiątych, gdy prawa pacjenta stały się kwestią nadrzędną i JCAHO podjęła się intensywnej kontroli tego, jak szpitale leczyły ból u hospitalizowanych pacjentów.

W tej sytuacji chorzy coraz częściej zaczęli żądać od służby zdrowia podawania im podczas terapii środków przeciwbólowych. Ich uwadze umykało jednak to, że mogliby – dajmy na to – zmienić zwyczaje żywieniowe lub wykonywać więcej ćwiczeń fizycznych, co pozwoliłoby im schudnąć i poczuć się lepiej. Oczywiście lekarze nie byli w stanie na nich tego wymóc. Podważaniu autorytetu lekarskiego i obniżaniu znaczenia doświadczenia klinicznego nie towarzyszyła bynajmniej wśród pacjentów gotowość do przyjmowania odpowiedzialności za własne zachowanie. Wszystkie te zmiany nastąpiły w ciągu jednej dekady. W kraju, gdzie

lekarze niegdyś bali się opiatów, w połowie lat dziewięćdziesiątych gwałtownie rozwinęła się praktyka intensywnego ich stosowania. Podejście to zyskało poparcie z przeróżnych stron: specjalistów od bólu, wykładowców akademii medycznych, JCAHO, firm farmaceutycznych, a nawet obsługujących szpitale prawników. Nowatorskie idee rozprzestrzeniały się jak pożar na konferencjach poświęconych bólowi, organizowanych we wszystkich zakątkach Stanów Zjednoczonych, wspieranych przez firmy farmaceutyczne mające na celu sprzedaż nowych leków i technologii. Podobnie myślący ludzie spotykali się, by kwestionować stare metody terapeutyczne i dotychczasowe autorytety. W samym sercu tego ruchu tkwiło przekonanie, że tak naprawdę nowe środki przeciwbólowe, jeśli tylko stosowane są w terapii bólu, nie mają właściwości uzależniających.

Zwolennicy tej koncepcji odwoływali się do niuansów. Agencja do spraw Zdrowia Weteranów oświadczyła, że „złożoność procedur kontroli chronicznego bólu często wykracza poza wiedzę fachową konkretnego lekarza”, wspominała zarazem o takich możliwych doświadczeniach pacjenta, jak bezdomność, urazy, zespół stresu pourazowego czy nadużywanie substancji odurzających. Lekarze pierwszego kontaktu powinni zatem zwracać się z prośbą o doradztwo do specjalistów od bólu lub zajmujących się nim interdyscyplinarnych klinik. W jednym z artykułów opublikowanych przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Badań nad Bólem oszacowanie nasilenia bólu przedstawiono nie jako jednorazową czynność, tylko „toczący się proces”, który zmienia swój bieg wraz z napływem nowych wyników badań i informacji pochodzących od pacjenta.

Jak stwierdzono w jednym z raportów, piąty parametr życiowy był „ideą, a nie instruktażem szacowania bólu”. Wraz z zastosowaniem numerycznej skali natężenia bólu lekarz powinien był zadać liczne pytania dotyczące historii bólu pacjenta, jego lokalizacji, natężenia, wpływu na życie codzienne, jak również historii rodzinnej chorego, nadużywania substancji odurzających, kwestii psychologicznych i tak dalej. W istocie ból ostatecznie nie był żadnym parametrem życiowym, gdyż w przeciwieństwie do pozostałych nie można go było zmierzyć obiektywnie i precyzyjnie. Narodowa Rada Farmaceutyczna zauważyła, że „ważny jest sposób, w jaki informacje są pozyskiwane od pacjenta. We wzorcowej sytuacji lekarz powinien poświęcić mu odpowiednio dużo czasu, pozwolić opowiedzieć o sobie własnymi słowami i zadawać mu pytania otwarte”.

Kluczowym czynnikiem był czas. Zdiagnozowanie chorych cierpiących na bóle przewlekłe trwało dłużej niż w przypadku większości pozostałych pacjentów.

Problem tkwił w tym, że lekarze mieli mniej czasu. Ponieważ nacisk położono na prawa pacjentów, których na dodatek proszono o wypełnienie ankiet oceniających pracę lekarzy, to w rzeczywistości tracili oni dostęp do najważniejszego aspektu usług medycznych – czasu spędzonego z prowadzącym ich lekarzem.

Wraz z zaistniałymi w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zmianami w opiece zdrowotnej, w ramach których akcent przesunięto na świadczenie usług medycznych nastawionych na zysk, towarzystwa ubezpieczeniowe zaczęły ciąć koszta i ograniczać liczbę refundowanych usług. Żądały od pacjentów, by przestali korzystać z pomocy lekarzy, do których chodzili od lat, i zamiast nich wybierali kogoś z zaakceptowanej przez ubezpieczyciela listy. Negocjowały z lekarzami niższe stawki za świadczone przez nich usługi, więc ci, aby zrekompensować sobie ponoszone straty, musieli przyjmować dziennie więcej chorych. (Według artykułu w „Newsweeku" lekarz pierwszego kontaktu powinien mieć w harmonogramie tysiąc ośmiuset pacjentów, by zarobić na godne życie. Dziś średnia ta wynosi dwa tysiące trzysta, choć bywa, że sięga trzech tysięcy).

– Jeśli rzeczywiście chciałoby się poświęcić odpowiednią ilość czasu na leczenie czyjegoś bólu, to z powodu niskiej kwoty refundacji za dzień pracy nie udałoby się utrzymać na rynku – opowiadał mi praktykujący od wielu lat lekarz rodzinny. – Ten model sprawia, że się grzęźnie, bo to niewykonalny plan. Szpital po prostu się ciebie pozbędzie. Natomiast jeśli zechcesz działać na własny rachunek, to nie będzie cię stać nawet na sekretarkę.

Zatem kiedy ruch na rzecz destygmatyzacji opiatów i stosowania ich w terapii chronicznego bólu nabrał siły, ziarna niezgody zostały już zasiane. Reklama tych środków skierowana była przede wszystkim do lekarzy pierwszego kontaktu, których wyszkolenie w zakresie kontroli bólu było niewielkie i którzy zarabiali pieniądze na przepuszczaniu przez swe gabinety masy pacjentów w ramach trzynastominutowych wizyt. Nie mieli zatem czasu na niuanse – na wysłuchanie pacjentów czy zadawanie im otwartych pytań mogących prowadzić do długich i skomplikowanych odpowiedzi. Było wręcz na odwrót. I tak jak Valium pomagało lekarzom radzić sobie z rozedrganymi pacjentami w latach sześćdziesiątych, tak teraz opiaty dawały szansę zarobionym doktorom uporać się z tym, co wówczas zabierało im najwięcej czasu, czyli chorymi cierpiącymi na przewlekłe bóle. Gdy dzięki nowym lekom i urządzeniom ruch proopiatowy zyskał popularność, zaniknął kluczowy składnik terapii bólu – czas, jaki lekarz powinien poświęcić każdemu z pacjentów. Zgłębiając ten problem, natknąłem się na przynajmniej dwa badania

wykazujące, że ilość przepisywanych leków – i to wszelkiego rodzaju – rosła wraz ze skracaniem czasu trwania wizyty w gabinecie. Nie powinno to dziwić, bo każdy lekarz dobrze wie, że nic tak skutecznie nie wpływa na ograniczenie czasu wizyty pacjenta jak bloczek z receptami.

Okazało się również, że wypełniane przez pacjentów kwestionariusze Pressa i Ganeya miały w tym kontekście nieprzewidziany skutek. Wywierały na lekarzach subtelny nacisk, by recepty na opiaty przepisywali bez powodu, gdyż ci, którzy byli w tym opieszali, narażali się na nieprzychylną ocenę chorych. Zbyt wiele negatywnych opinii prowadziło do tego, że szpital zaczynał zadawać pytania.

– Dostaję podwyżki i zachowuję swój etat w zależności od tego, czy moi pacjenci okazują zadowolenie – opowiadała przełożona pielęgniarek, z którą rozmawiałem. – Kiedy Połączona Komisja przeprowadziła ankietę na nasz temat, przeglądano wyniki w poszukiwaniu danych o bólu. Sprawdzali też inne rzeczy, ale ból był najważniejszy. W kółko maglowali nas w związku z tym tematem. Ból trzeba było kontrolować u każdego pacjenta. Dane uzyskane dzięki sondażowi były jednym ze środków wykorzystywanych do oceny pracy lekarzy.

Pojawił się też kolejny problem. Nikt nie przeprowadził rzetelnych, długofalowych badań nad tym, czy w przypadku tego typu pacjentów opiaty rzeczywiście nie miały właściwości uzależniających. Tak naprawdę jeszcze lata później będzie brakowało dowodów pokazujących, że chorych z przewlekłymi bólami można skutecznie leczyć takimi lekami bez ryzyka narażenia ich na uzależnienie. Ustalenie, kto nadaje się na terapię opiatową, pozostaje tajemnicą i bywa szczególnie trudne, kiedy lekarze nie przebyli szkolenia z zakresu kontroli bólu i poświęcają poszczególnym pacjentom tylko trzynaście minut swego czasu.

Zwolennicy nowego podejścia do bólu nie zważali na takie wątpliwości. Sam ruch wzbudził niemal religijny zapał wśród osób, którym dopiekła dominująca w ubiegłych latach postawa powstrzymywania się od działań terapeutycznych. Wahadło zaczęło się przechylać na drugą stronę. Znane z przeszłości okrucieństwo w traktowaniu pacjentów dyskredytowało tych, którzy chcieliby zakwestionować powstającą właśnie doktrynę stosowania opiatów w przypadkach występowania chronicznego bólu. Działający na rzecz jaśniejszej przyszłości specjaliści od bólu odczuwali wdzięczność wobec firm farmaceutycznych za opracowanie leków i przyrządów pozwalających na bardziej humanitarne podejście. Wśród nich było przedsiębiorstwo Purdue Frederick, które w 1991 roku założyło spółkę stowarzyszoną o nazwie Purdue Pharma, a ta z czasem stała się liderem na rynku

leków opiatowych o stopniowym uwalnianiu substancji czynnych. Nazwa Purdue Pharma niewiele mówiła zwykłym ludziom, ale za to była dobrze znana specjalistom. Firma wyznaczała nowe kierunki na rynku środków przeciwbólowych, przede wszystkim dzięki wprowadzeniu leku MS Contin. Próbowała też ograniczyć skalę występujących w tej branży kradzieży przemysłowych poprzez opracowanie bazy danych, która miała wspomóc działanie organów ścigania.

– Według tych z nas, którzy zajmowali się kontrolą bólu, ta firma znajdowała się na szczycie. Purdue to był numer jeden – przyznała Marsha Stanton. – Wszystko, czego tknęli, robili najlepiej. Wdarli się na rynek przebojem. Wspierali klinicystów, zadbali o edukację. Zrobili wszystko, co uważaliśmy, że powinni byli zrobić.

Firma Purdue przede wszystkim zapewniła fundusze naukowcom badającym ból, którzy z kolei postrzegali ją jako innowatora i sojusznika. Wśród nich był Russell Portenoy, często z pasją występujący na konferencjach z udziałem lekarzy pierwszego kontaktu, których namawiał do rozważenia przyjęcia nowych, opartych na opiatach – a zwłaszcza na lekach opiatowych o stopniowym uwalnianiu substancji czynnych – metod leczenia bólu.

Lata po ukazaniu się jego artykułu w czasopiśmie „Pain”, w którym padła sugestia dotycząca możliwości leczenia bólu opiatami bez jednoczesnego ryzyka popadnięcia pacjenta w uzależnienie, Portenoy przyznał, że wniosek ten oparty był na „słabiutkich, słabiutkich, słabiutkich danych”, a samą publikację nazwał „nieznaczącym artykulikiem, który stał się ważnym artykułem”.

Niemniej po jego opublikowaniu w 1986 roku wśród naukowców rozgorzała szeroko zakrojona dyskusja. Debata ta wstrząsnęła środowiskiem lekarskim, jak również zmieniła życie osób zupełnie nieświadomych treści rozmów toczonych na korytarzach szpitali i akademii medycznych. Najważniejsze nowe pytanie związane z praktyką kontroli bólu brzmiało następująco: czy pacjenci z bólami chronicznymi, którzy mają przed sobą długie lata życia, mogą bez ryzyka popadnięcia w uzależnienie stosować bazujące na opiatach środki przeciwbólowe, tak samo jak zażywają je znajdujący się w stanie terminalnym chorzy na raka?

Z typową dla osób ogarniętych poczuciem misji pewnością, karmiąc się doniesieniami o tekście opublikowanym w „New England Journal of Medicine” – coraz częściej nazywanym po prostu raportem – którego współautorem był bostoński lekarz Hershel Jick, coraz więcej ludzi – zwłaszcza doktor Russell

Portenoy i przedstawiciele handlowi z mało znanej, przygotowującej się do wypuszczenia nowego środka przeciwbólowego firmy farmaceutycznej Purdue Pharma – odpowiadało na to pytanie twierdząco.

Chodziło o pięćsetjedynki

Boise, Idaho

Z tego, co mówił Ed Ruplinger, Polla wcale nie był taki głupi.

Polla był Meksykaninem po czterdziestce. Miał trochę ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i taką budowę ciała, która gdyby nie regularne ćwiczenia na siłowni, z łatwością prowadziłaby do otyłości. Zachowywał formę, miał konserwatywne poglądy, cieszył się szacunkiem i sprawiał pozory drobnego przedsiębiorcy. Mimo że jego żona została w Meksyku, bezustannie nagabywała go, by uważnie prowadził rachunki, remanenty wyglądały wiarygodnie, a zatrudnieni przez niego sprzedawcy nie nadużywali na delegacjach funduszu reprezentacyjnego.

Prawdziwe nazwisko Polli brzmiało Cesar Garcia-Langarica. Siedział on w biznesie heroinowym i pochodził z położonego na meksykańskim wybrzeżu Oceanu Spokojnego miasteczka Xalisco w stanie Nayarit. Był rok 1995, a Ed Ruplinger prowadził wraz z powołaną w tym celu grupą specjalną śledztwa narkotykowe w Boise w stanie Idaho.

Zatrudniani przez Pollę młodzi mężczyźni byli dla niego zarazem źródłem zysku, jak i zmorą. Motywowanie ich, kiedy był poza miastem, zabierało mu większość czasu przeznaczonego na pracę. Według Ruplingera czynił to bez uciekania się do pogróżek lub przemocy, a ich niepowodzenia przyjmował ze spokojem. Kiedy jeden z nich rozbił samochód na szyldzie stojącym przed osiedlem, na którym Polla wynajmował im mieszkanie, zjawił się nazajutrz w administracji i pokrył szkody z własnej kieszeni. Ruplinger usłyszał tę opowieść od samego administratora.

Przez lata dziewięćdziesiąte system Xalisco rozwijał się metodą prób i błędów. Chłopaki wymieniały się uwagami podczas grilli urządzanych w Xalisco i tak powoli wyłonił się zestaw reguł, który upowszechniał się niczym twórczość ludowa. Jedną z zasad był brak przemocy. W tamtych latach najsłynniejsze gangi narkotykowe Bloods i Crips rozstrzygały spory toczące się wokół cracku za pomocą strzelanin prowadzonych na ulicach odległych od Los Angeles miasteczek, przyciągając uwagę policji, gdziekolwiek się pojawiały. Chłopaki z Xalisco

wyciągnęły z tego wnioski i działając dokładnie na odwrót, po cichu rozprzestrzeniły się po większej części kraju. Polla brał w tym udział, a jednym z miejsc, w których się pojawił, było Boise.

Ciekawość Ruplingera po raz pierwszy wzbudziły informacje o nagłych aresztowaniach przez funkcjonariuszy wydziału do spraw walki z narkotykami meksykańskich kierowców, którzy krążyli powoli po mieście i sprzedawali trzymane w ustach baloniki z heroiną. Łatwo było ich wytropić i przymknąć, zwłaszcza z pomocą ćpunów, którzy po zatrzymaniu trzęśli się wręcz ze strachu na myśl o czekającym ich za kratkami głodzie. Ruplinger – tak jak Dennis Chavez w Denver, a później agenci działający w innych miastach – zwrócił uwagę na fakt, że meksykańscy kierowcy często mieli przy sobie jedynie niewielkie ilości narkotyku i żadnej broni, więc do więzienia trafiali tylko na krótko. Policyjny instynkt zaalarmował go jednak, że kiedy tylko miał szansę ustalić, skąd pochodzili, wszyscy wskazywali na meksykański stan Nayarit. Co więcej, ich zmiennicy pojawiali się w ciągu zaledwie kilku dni. Dość szybko zorientował się, że nieważne, jak wielu sprzedających heroinę kierowców z Nayaritu aresztowaliby jego koledzy – na zwolnione w ten sposób miejsca przyjeżdżało ich jeszcze więcej.

W sumie sprawą mógłby się zająć każdy, jednak tylko Ed Ruplinger podjął się zadania znalezienia odpowiedzi na pytania dotyczące rosnącej liczby kierowców aresztowanych przez grupę specjalną Ada Metro. Zastanawiał się, kto właściwie za nimi stał. Wszystko wyglądało na zapięte na ostatni guzik. Interes nie mógł ograniczać się do Boise, bo miasto to z samej swej natury nie nadawało się zbytnio do rozkręcenia biznesu narkotykowego. Proceder ten musiał zatem mieć swoje korzenie gdzieś indziej.

Ruplinger tygodniami starał się bez większego powodzenia posklejać tę układankę, aż w pewnym momencie natknął się na nazwisko Garcia-Langarica. Pojawiało się ono na dokumentach wynajmu mieszkań zajmowanych przez aresztowanych chłopaków lub w dowodach rejestracyjnych ich samochodów. Jednego dnia Ruplinger obserwował kierowcę, który kręcił się wokół takiego domu, a potem przekazał gotówkę wysportowanemu mężczyźnie. Pomyślał, że to musi być ich szef.

Kiedy po raz pierwszy poszedł z kolegami tropem Polli, ten udał się do meksykańskiej restauracji, gdzie jako pomocnik kucharza zajął miejsce za grillem. Człowiek, o którym Ruplinger sądził, że jest baronem narkotykowym, okazał się zwykłą pomocą kuchenną niewartą uwagi członków jego zespołu. Jednak

przeczucie nie myliło Ruplingera. Miesiąc później Garcia-Langarica porzucił pracę. Od tamtej pory, ilekroć pojawiał się w mieście, poświęcał cały swój czas na nadzorowanie sprzedających heroinę kierowców.

Chłopaki Polli działały już od jakiegoś czasu i wyglądało na to, że mają Boise do wyłącznej dyspozycji. Wtedy, tuż przed Bożym Narodzeniem 1996 roku, czujny inspektor pocztowy przechwycił paczkę, która podniosła na nogi psy przeszkolone w wykrywaniu narkotyków. W środku była figurka Świętego Mikołaja nafaszerowana czarną smołą. Miejscowy wydział do spraw zwalczania narkotyków, w skład którego wchodził Ruplinger, dostarczył paczkę pod wskazany na niej adres. Funkcjonariusze wpadli do środka i zastali czterech dobrze ubranych Meksykanów w średnim wieku, którzy siedzieli przy stoliku do kart i dzielili heroinę na mniejsze porcje. Wszyscy pochodzili ze stanu Nayarit, a na nazwisko mieli Tejeda.

Bożonarodzeniowy nalot okazał się początkiem końca zwierzchnictwa Polli w Boise. Do Ruplingera dotarło, że wieści o tym, co się wydarzyło w mieście, rozeszły się wśród heroinowych dilerów z Nayaritu, a do stolicy stanu Idaho zaczęła zjeżdżać załoga po załodze, by współzawodniczyć z Pollą i przejąć kontrolowany dotąd przez niego rynek. Własną komórkę założył nawet jeden z jego byłych kierowców, co wprawiło w zdumienie Ruplingera – mężczyzna ten wrócił do Meksyku, po jakimś czasie pojawił się jednak znowu w Boise, ale już z własnymi kierowcami, koordynatorem i własnym źródłem towaru, by otwarcie rywalizować ze swoim niegdysiejszym szefem.

– Polla był jednym z ojców założycieli – opowiadał Ruplinger. – Przyjechał i wszystko rozkręcił. Wieści o tym dotarły do jego rodzinnych stron i ostatecznie zaczęli zjeżdżać tu wszyscy chętni pójść w jego ślady.

O wiele później, gdy łączyłem w całość historię Chłopaków z Xalisco, spotkałem się z kobietą, która powiedziała mi, że w połowie lat dziewięćdziesiątych była żoną jednego z kierowców pracujących dla Polli. Według niej Polla zaczynał w dolinie San Fernando, ale konkurencja zmusiła go do przeniesienia swoich komórek jakieś sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Los Angeles, do Pomony i Ontario. Jego kierowcy przesiadywali w prowadzonej przez jej matkę restauracji w Pomonie i tam właśnie poznała jednego z nich, wyszła za niego i urodziła mu dzieci. Dwa razy pojechali do Xalisco.

Kiedy się spotkaliśmy, opowiedziała mi, że jej były mąż w latach dziewięćdziesiątych pomagał Polli rozkręcać interes w Salt Lake City, ale potem odciął się od niego i zaczął z nim rywalizować. Jego szwagier z kolei robił to samo w Boise i też zerwał współpracę, by działać na własną rękę. W tamtym czasie społeczność narkomanów w tych miastach była niewielka i składała się głównie z ludzkich wraków, którzy żebraniem pozyskiwali pieniądze na codzienną działkę. Na będącym w stanie zastoju rynku przestrzeni do zdobycia klientów było niewiele.

– Kłusowaliśmy na terytorium Polli – wspominała. – Sięgnęliśmy po większe baloniki, by przyciągnąć [jego] klientów. Potem robiliśmy promocje: sześć działek za sto dolarów zamiast pięciu. To były takie przepychanki: „Zostaw ich, u nas będzie ci się bardziej opłacało".

Im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej intrygowała mnie jej opowieść o byłym mężu. Pochodził z rodziny, która miała ziemię i zwierzęta hodowlane. Uprawiali trzcinę cukrową oraz wytwarzali ser. Według niej była to, jak na standardy panujące w wiejskich społecznościach Meksyku, klasa średnia. Myślałem, że większość tych dilerów pochodziła z biedoty. Przyznała, że to była prawda, ale tylko w przypadku tych, którzy przyjechali później, bo większość pionierów handlu heroiną z Xalisco i okolic była synami rolników, którym całkiem nieźle się powodziło, oczywiście jak na warunki meksykańskie. Mieli pieniądze do zainwestowania. Z większymi środkami do dyspozycji szły w parze szersze horyzonty intelektualne, a z nimi świadomość, co jest możliwe i co chcieli osiągnąć lub czego oczekiwali od życia.

Handel heroiną po prostu był łatwiejszą drogą do wzbogacenia się niż uprawa trzciny cukrowej. Na dodatek bardziej ryzykowną i wymagającą większych nakładów gotówki. Dawał też okazję do postawienia własnego domu, co w gminie Xalisco wywołało boom budowlany, dzięki któremu pod koniec lat dziewięćdziesiątych dziesiątki, jeśli nie setki robotników znalazły zatrudnienie. Już nie trzeba było dziesięcioleci, by powstawały nowe domy, tylko miesięcy, i z żadnego z nich nie sterczało zbrojenie, co wyróżniało Xalisco od każdego innego meksykańskiego miasta, z którego ludzie ruszali na północ za pracą. Taka właśnie była różnica – w Xalisco nie było sterczących prętów zbrojeniowych.

Kobieta powiedziała też coś zaskakującego. Z tego, co mówiła, wynikało, że po pobudowaniu się i zagwarantowaniu przyszłości rodzinom tym osobom, które znała z Xalisco, zaczęło najbardziej zależeć na pięćsetjedynkach Levi'sa.

W latach dziewięćdziesiątych pięćsetjedynki znajdowały się w sztandarowym wyposażeniu każdego meksykańskiego *ranchero*. W samym Meksyku były one bardzo drogie, więc jednym z czynników przyczyniających się do popularności systemu sprzedaży wprowadzonego przez Chłopaków z Xalisco i przyciągających do współpracy z nimi młodych mężczyzn była łatwość zdobywania dużej liczby spodni za bardzo niską cenę. Mechanizm był prosty – ćpuny w Stanach szybko zorientowały się w gustach swoich dilerów i w zamian za dzienną dawkę oferowały im niekończące się zapasy ukradzionych w sklepach pięćsetjedynek Levi'sa. Wkrótce narkomani zaczęli przyjmować zamówienia na konkretne rozmiary i kolory i dokonywali handlu wymiennego – dwie pary spodni za jeden warty dwadzieścia dolarów balon z czarną smołą.

Kiedy moja rozmówczyni przez małżeństwo weszła w świat Xalisco, „bardziej chodziło tam o dżinsy niż o coś innego", jak wspominała. „Od samego początku korzystano z każdej nadarzającej się okazji do przeprowadzenia wymiany towaru na spodnie. Gromadzili sterty dżinsów i przywozili je do domu w tych rozmiarach, na które na miejscu było zapotrzebowanie".

Jej zdaniem w połowie lat dziewięćdziesiątych popyt na dżinsy Levi'sa rozprzestrzenił się z doliny San Fernando na zachód Stanów Zjednoczonych. Z kolei na *ranchos* nic lepiej nie świadczyło o bywaniu w świecie, jak paradowanie w nowiuteńkich granatowych pięćsetjedynkach. Obserwowanie innych noszących te spodnie skłaniało wielu młodych chłopaków, którzy mieli co najwyżej – jeśli w ogóle jakiekolwiek – cienkie, tanie dżinsy, do zatrudniania się jako kierowcy.

Im dłużej pytałem o pięćsetjedynki Levi'sa jako siłę napędową rozwoju xaliskańskich sieci sprzedaży heroiny, tym więcej ludzie mieli mi o tym do powiedzenia.

– Pewnego razu przywiozłem do domu pięćdziesiąt par spodni upakowanych w walizkach, które zabrałem ze sobą, gdy wysiadałem z autobusu z Kalifornii – opowiadał mi jeden z handlarzy z Xalisco, który pracował w komórkach rozsianych od doliny San Fernando po Columbus, a potem został szefem jednej z nich w Denver. – Dostałem je od klientów, którzy kradli je w sklepach sieci Sears. Wielu dilerów, takich jak ja, przywoziło duże ilości Levi'sów. Rozdawałem je rodzinie i znajomym. Po jakimś czasie zaczęli mnie prosić: „Wyślij mi to, wyślij mi tamto". Chcieli koszulek, tenisówek. Chcieli wszystkiego.

Faktycznie, pięćsetjedynki były częścią szerszego, polegającego na pogoni za wyższym statusem społecznym, zjawiska, które kwitło w małych miasteczkach

dzięki handlowi heroiną. Bardzo szybko ulegały temu trendowi całe rodziny. Po ulicach niosły się z parotygodniowym wyprzedzeniem wieści – ten i ten wraca do domu z podarkami, więc zarżniemy krowę, a on zapłaci za występ *banda*. Za każdym razem powrót dilera był niczym święta bożonarodzeniowe, kiedy krewni i znajomi ustawiali się w kolejkach po prezenty, zwłaszcza dżinsy. Część wracających ciągnęła ze sobą przyczepki pełne ubrań.

– Rodziny chciały coraz więcej, więc Chłopaki zaczęły odczuwać naciski – opowiadała mi była żona. – „Daj mi, daj mi. Musisz mi to zapewnić". Ich najbliżsi zaczęli uważać, że im się coś słusznie należy. Siostra mojego byłego w kółko gadała: „Jesteś mi winny to, winny jesteś mi tamto". Wszystko, co twoje, jest też moje. Mąż wysyłał do domu ciuchy. Najpierw pięćsetjedynki, ale potem wymagania poszły w górę: „Chcę dżinsy firmy Guess", jeszcze później przyszła pora na Tommy'ego Hilfigera.

Tak jak uzależniony nie jest w stanie odstawić towaru, tak oni nie mogli nie wrócić, by go znowu nie sprzedawać. Na północy spali na podłodze, bo nie chciało im się zainwestować nawet w materac, czekali tylko dnia, w którym będą mogli pojechać do rodziny z podarkami. Gdy już pojawili się w Xalisco, ku zawiści innych mężczyzn, przechadzali się po mieście otoczeni wianuszkiem kobiet, płacili muzykom i fundowali piwo. Żaden z kierowców nie przegapił też organizowanej w sierpniu fiesty Feria del Elote.

– Wtedy najlepiej zaszpanować – przyznała. – To jak z dzieciakami, które pierwszy raz idą do Disneylandu. Podczas fiesty kręcą się więc tu i tam z obnażonymi torsami i wszyscy im się przyglądają.

Wyobraziłem sobie ich receptory μ, wręcz zalewane endorfinami.

– Po to żyją – dopowiedziała. – Po to oszczędzają te swoje cenciki. To euforia. Nakręcają się tym. Żyją w świecie fantazji, we śnie, w którym wydaje im się, że są mistrzami świata. Przynajmniej do czasu, aż nie skończą im się pieniądze.

Z energią i skupieniem na jednym celu, tak typowymi dla nałogowców, Chłopaki z Xalisco szukały nowych, bardziej zyskownych rynków, czekając przy tym na okazję, by móc powrócić do domu, gdzie przez tydzień lub dwa mogły się czuć jak królowie życia. Tylko silnie związany z uzależnieniem egocentryzm mógł wytłumaczyć to, że młodzi wieśniacy pochodzący z tradycyjnej i konserwatywnej okolicy bez żadnych wyrzutów sumienia sprzedawali smutnookim, bezbronnym ćpunom towar, mimo że ich rodzice ostro to potępiali.

– Pracowałam kiedyś w laboratorium, gdzie prowadzili badania na zwierzętach, które potem uśmiercano – wspominała była żona. – Aby sobie z tym poradzić, trzeba było się odciąć emocjonalnie od zwierzęcia. Nie wolno było w to wchodzić. Trzeba było postawić mur. Oni tak mieli z ludźmi.

Tymczasem Ed Ruplinger próbował radzić sobie z coraz liczniejszymi zespołami podejmującymi działalność w Boise. Opracowywał harmonogramy i schematy powiązań między Pollą i jego kierowcami a innymi miastami w Stanach Zjednoczonych. Kolegom z wydziału wydawało się, że zwariował. Kiedy to niby Boise miałoby zaistnieć w jakimkolwiek międzynarodowym podziemiu narkotykowym? Ponadto zbyt wiele hiszpańskich nazwisk powodowało dezorientację.

Ruplinger dostał zezwolenie na zainstalowanie u Polli podsłuchu telefonicznego. Zakres prowadzonych przez Pollę interesów stawał się coraz klarowniejszy. Miał swoje komórki w Portland, Salt Lake City i Honolulu. W Salt Lake obroty były większe niż w Boise. Śledczy słyszał, jak Polla narzekał, że musiał odpuścić Denver, bo nie było z tego pieniędzy, gdyż kierowcy z jego rodzinnego miasta rywalizowali między sobą o tych samych ćpunów. Nowe komórki przejmowały jego klientów i aby pozyskać ich z powrotem, musiał obniżać cenę towaru.

Ruplingera zaskoczyło to, jak wielka i wewnętrznie powiązana była sieć z Xalisco. Ludzie Polli dostarczali heroinę według modelu „dokładnie na czas”, a funkcję kurierów narkotykowych objęły kobiety, które co kilka tygodni na raz przewoziły po pół kilograma towaru. Nie chcąc dopuścić do rozprzestrzenienia się konkurencji, Polla dbał o to, by usługi świadczone klientom przez jego kierowców były zawsze jak najwyższej jakości. Kiedy któryś z kierowców wspominał o zgłoszonej reklamacji dotyczącej słabej mocy jakiejś partii towaru, Polla obiecywał zająć się sprawą i niezadowolony klient dostawał nazajutrz heroinę lepszą gatunkowo. Kiedy Ruplinger się o tym dowiedział, odniósł wrażenie, jakby obserwował narastanie jakiegoś nowego i groźnego tworu, jakby sam był w laboratorium, w którym zjadliwy wirus szybko wydostawał się z probówki.

Pewnego dnia podsłuchał, jak jeden z kierowców skarżył się Polli, że boi się jechać do położonego niedaleko miasta Caldwell, bo to teren opanowany przez gangi. Szef odpowiedział, że się tym zajmie. Rozmowa ta nie dawała spokoju śledczemu, który pracował w południowej Kalifornii i wiedział, że gangi

w niewielkim Caldwell były tylko nędzną kopią tych funkcjonujących gdzie indziej. Cóż to więc był za zespół dilerów heroiny, skoro obawiał się dopiero co aspirujących do miana gangu gości z Caldwell w stanie Idaho?

Każdy agent zajmujący się w latach dziewięćdziesiątych narkotykami miał za model toczącą się wokół cracku wojnę między gangami Bloods i Crips (wcześniej wzorcami byli kolumbijscy kowboje kokainowi z Miami). Dilerzy z Nayaritu działali zupełnie inaczej. Przekonani o uzależniającej mocy sprzedawanego przez siebie towaru, nie musieli zdobywać terytorium za pomocą strzelanin. Kierowcy znali się nawzajem i zatrzymywali się, by pogadać lub zjeść razem obiad. Nawet jeśli rywalizowali ze sobą i obniżali proponowane ceny, robili to w sposób pokojowy. Ustępowali sobie z drogi, byle tylko nie przyciągać uwagi. Nie mieli interesu w rozcieńczaniu sprzedawanej heroiny, bo nawet jakby to robili, to i tak nie zarobiliby na tym więcej niż na handlu czystym towarem. Byli regularnie opłacanymi pracownikami z pensją sięgającą kilkuset dolarów tygodniowo, a ponoszone przez nich koszty były im zwracane. Ostatnią rzeczą, której by pragnęli, była przemoc.

W ciągu dwóch lat – od 1995 do 1997 roku – niewielki rynek w Boise obsługiwało pół tuzina załóg sprzedających heroinę jak pizzę. Ale to nie wszystko. Ruplinger wiedział z podsłuchów, że Polla dzwonił do Phoenix, Ontario, El Monte, Salt Lake City, Portland, Billings, Las Vegas i Honolulu. Skoro w samym Boise było ich pół tuzina, to ile zespołów musiało działać w Denver? A co z Portland? Las Vegas? Komórki sprzedające czarną smołę były jak mrówki w ogródku – nie dostrzegało się ich, dopóki nie było wiadomo, czego wypatrywać, i nie zwróciło się na nie baczniejszej uwagi. Nawet jeśli się je wypleniło, na ich miejsce pojawiały się kolejne.

Był rok 1997, gdy Ed Ruplinger zastanawiał się, jak zlokalizować wszystkie mrówki – na długo przed tym, nim zabrali się do tego inni gliniarze w Stanach Zjednoczonych.

Przełomowe studium

W latach dziewięćdziesiątych do pracującego w Bostonie doktora Hershela Jicka dotarły już niepokojące wieści, że jego list do redakcji „New England Journal of Medicine”, o którym dawno zdążył zapomnieć, stał się kamieniem węgielnym rewolucji w amerykańskiej medycynie. To wykraczało daleko poza intencje przyświecające mu podczas pisania.

Stało się, jak się stało. Rewolucja ogarnęła szpitale, kliniki i lekarzy rodzinnych we wszystkich zakątkach kraju.

Nie wiadomo, kto wydobył korespondencję Porter i Jicka z zapomnienia. Wydaje się jednak, że po raz pierwszy powołano się na nią w przypisie do artykułu napisanego przez Kathy Foley i Russella Portenoya, który opublikowano w 1986 roku w czasopiśmie „Pain”. Po pewnym czasie list zaczęto nazywać po prostu Porter i Jick. Ten skrót z kolei nadał prestiż niewielkiemu ustępowi oraz powiązanemu z nim twierdzeniu, że w uzależnienie od narkotyków popadł mniej niż jeden procent pacjentów, którym je podawano.

Sformułowanie „mniej niż jeden procent” wbiło się w pamięć. Przeoczono jednak najważniejsze ustalenie – baza danych zawierała informacje o pacjentach hospitalizowanych w latach, kiedy stosowanie opiatów w szpitalach było ściśle kontrolowane, a sam narkotyk podawano w niewielkich dawkach chorym odczuwającym bardzo silne bóle i pozostającym pod stałą opieką lekarza. To nie byli chorzy cierpiący na bóle chroniczne, którzy wracali do domu z fiolkami pełnymi środków przeciwbólowych. Zaszło zatem zadziwiające nieporozumienie, gdyż list Jicka przemawiał za przeciwną tezą, która głosiła, że opiaty podawane pacjentom odczuwającym ból o dużym nasileniu i przebywającym w szpitalach pod ścisłym nadzorem lekarzy rzadko prowadzą do uzależnienia. Stwierdzenie to przeformułowano i w efekcie powstał chwytliwy nagłówek: *Addiction Rare in Patients Treated with Narcotics* [Rzadkie przypadki uzależnień u osób leczonych narkotykami].

Zniekształcona teza zaczęła być cytowana przez innych. Marsha Stanton pamięta częste powoływanie się na Porter i Jicka podczas prowadzonych przez siebie w latach dziewięćdziesiątych seminariów z udziałem lekarzy i pielęgniarek.

– Wszyscy słyszeli je wszędzie – wspomina. – Porter i Jick. Porter i Jick. Każdy się na to powoływał i dla nas było to jak objawienie.

Przyczyniło się do tego wiele czynników. List Porter i Jicka ukazał się w biblii naukowej – kwintesencji dziennikarskiej rzetelności, czyli „New England Journal of Medicine". Lekarze i pracownicy służby zdrowia przyjęli, że wszyscy inni go przeczytali. Jednak czasopismo umieściło całe swoje archiwum w internecie dopiero w 2010 roku, przedtem dostępne były tylko numery wydane po 1993 roku. Tak więc zajrzenie do Porter i Jicka i zorientowanie się, że to złożony z jednego zaledwie paragrafu list do redakcji, a nie rozprawa naukowa, wymagało pójścia do biblioteki na akademii medycznej i sięgnięcia po właściwy egzemplarz, co zabierało czas, którego większość lekarzy nie miała. Zamiast tego lekarze pierwszego kontaktu przyjmowali na wiarę słowa specjalistów od bólu, którzy w kółko powoływali się na Porter i Jicka jako źródło mówiące, że opiaty były dla pacjentów odczuwających chroniczne bóle słabiej uzależniające, niż dotąd sądzono. Nie chodziło nawet o to, że lekarze pierwszego kontaktu potrzebowali zdecydowanej zachęty do stosowania preparatów opiatowych. Desperacko pragnący ulgi chorzy, cierpiący na przewlekłe bóle, potrafili być natarczywi, gburowaci i obelżywi dla personelu, ponadto właściwe ich zdiagnozowanie i przeprowadzenie pełnej terapii było procesem czasochłonnym. Lekarze powtarzali jak mantrę: „Jeden pacjent z chronicznym bólem może zrujnować cały dzień". Teraz rozwiązanie tych problemów mieli na wyciągnięcie ręki.

Ten krótki ustęp zamieszczony pod koniec numeru „New England Journal of Medicine" przywoływano, czyniono przedmiotem wykładów i cytowano tak długo, aż stał się – jak to ujęto w jednym podręczniku – „przełomowym raportem", który „walnie przyczynił się do przezwyciężenia" strachu przed ewentualnym uzależnieniem u leczonych opiatami pacjentów z przewlekłymi bólami. Niemniej było to nadużycie.

W wydanej w 1989 roku monografii dla Narodowych Instytucji Zdrowia lekarze z Harvardu i Johns Hopkins apelowali do czytelników, by „uwzględnili pracę" Porter i Jicka, bo ta „wyraźnie" pokazywała, że lęk przed uzależnieniem osób nienadużywających uprzednio narkotyków nie usprawiedliwiał unikania opiatów, gdyż „studium" wykazało, iż ryzyko wystąpienia uzależnień u pacjentów, „którym podawano takie leki w warunkach szpitalnych, było ekstremalnie niskie". Jeden z badaczy w swej publikacji w „Scientific American", pochodzącej z 1990 roku, nazwał tekst Porter i Jicka „obszernym studium". Z kolei w opracowaniu dla

Instytutu na rzecz Usprawniania Systemów Klinicznych określono go mianem „przełomowego raportu”.

Potem przyszło ostateczne namaszczenie – czasopismo „Time” w artykule z 2001 roku zatytułowanym *Less Pain, More Gain* [Mniej bólu, więcej zysków] opisało list jako „przełomowe studium” pokazujące, że „przesadny lęk przed możliwością popadnięcia pacjentów w uzależnienie” od opiatów „w gruncie rzeczy nie miał podstaw”.

– Pamiętam wykładowców mówiących: „Nie przedawkuj, nie przedawkuj, nie przedawkuj. Nie dopuść, by pacjenci wpadli w uzależnienie” – wspominała zajęcia na akademii medycznej Marsha Stanton. – Wtedy pojawiły się te dane statystyczne: „Och, są na papierze, niczym ewangelia”. Podczas zajęć odwoływałam się [do tekstu Porter i Jicka] non stop. Wszyscy tak robili. Nie miało znaczenia, czy było się lekarzem, farmaceutą czy pielęgniarką, po prostu odwoływało się do niego. Nikt go nie kwestionował. A czy powinniśmy? Oczywiście, że powinniśmy.

Wszyscy znali przeciwbólowe działanie opiatów. Problem polegał na tym, że nie wiadomo było, w jakim stopniu były one uzależniające. Zdaniem większości lekarzy z historii i doświadczeń wynikało, że bardzo. List Porter i Jicka w cytowanej wersji sugerował, że było wręcz przeciwnie. Podobnie zapatrywał się na to doktor Portenoy – uważał, że w zależności od pacjenta środki te można stosować z wielką korzyścią.

Portenoy był pionierem w zakresie kontroli bólu. Oprócz funkcji pełnionej w Beth Israel był też redaktorem naczelnym „Journal of Pain and Symptom Management”, redaktorem „Pain” oraz członkiem zespołów redakcyjnych innych czasopism medycznych. Napisał wiele książek i podręczników wykorzystywanych przez studentów uczących się na akademiach medycznych. Często cytowano go w gazetach. Przede wszystkim jednak Portenoy ruszał w drogę, by propagować swoje stanowisko na wszelkiego rodzaju konferencjach, gdzie przedstawiano nowe idee, które warto byłoby zaszczepić w medycynie. Organizowały je między innymi Międzynarodowe Stowarzyszenie Badań nad Bólem (IASP), Amerykańskie Towarzystwo Bólu i Amerykańska Akademia Medycyny Bólu.

Dzięki temu do połowy lat dziewięćdziesiątych udało się ugruntować popularny pogląd, że nauka przyjmuje za prawdziwą teorię, w myśl której opiaty nie uzależniały pacjentów odczuwających ból. Osoby uzależnione i pacjenci stanowili dwie osobne kategorie ludzi. Jak w 2000 roku oznajmił czasopismu „New York” czołowy lekarz zajmujący się bólem Scott Fishman: „W przypadku osób

uzależnionych przyjmowanie narkotyków obniża jakość życia. U pacjentów z bólami jest na odwrót – mamy do czynienia z jego poprawą. To dwa zupełnie odmienne zjawiska”.

Była to zapowiedź nadchodzących trudnych czasów dla bardziej złożonego, interdyscyplinarnego podejścia do bólu. Ostatecznie, po co wkładać tyle wysiłku, skoro chorym odczuwającym ból wystarczyło bez większego ryzyka wywołania uzależnienia podać tabletki? Trudno było również zmotywować samych pacjentów do podjęcia leczenia wymagającego zmiany ich zachowań, choćby uprawiania ćwiczeń fizycznych. Pigułki były zdecydowanie łatwiejszym rozwiązaniem. Kliniki interdyscyplinarne zaczęły podupadać. W 1998 roku w Stanach Zjednoczonych było ich ponad tysiąc, siedem lat później pozostało tylko osiemdziesiąt pięć.

Jednym z takich przyczółków było Seattle, gdzie w Ośrodku Zwalczania Bólu na Uniwersytecie Waszyngtońskim doktor John Loeser i jego zespół rozwijali pomysły sformułowane przez Johna Bonicę. Kiedy jednak firmy ubezpieczeniowe przestały refundować usługi związane z terapią bólu, wydział medyczny zrezygnował z ich świadczenia. Zdegustowany Loeser złożył w 1998 roku rezygnację. Koniec końców uniwersytet przeniósł zasłużoną klinikę do pomieszczeń znajdujących się w piwnicy, gdzie wegetowała wraz ze swymi interdyscyplinarnymi niedobitkami, którym przyszło zwiesić głowę. Do sal zajmowanych niegdyś przez ośrodek wprowadziła się klinika chirurgii plastycznej.

Stosowanie opiatów zdążyło w międzyczasie zmienić obowiązujący w świecie medycznym paradygmat. Zazwyczaj pacjent domagający się coraz większych dawek leku traktowany był jak żywy dowód na to, że dany środek nie działa. Jednak w przeciwbólowej terapii opiatowej brano to za oznakę tego, że przepisano go zbyt mało. Co więcej, część lekarzy zaczęła uważać, że pacjent, który odczuwa ból i żąda zwiększenia ilości podawanego leku, prawdopodobnie wykazuje symptom „pseudouzależnienia”, próbując uzyskać taką dawkę, która potrafiłaby uśmierzyć cierpienie – lekarstwem na to było aplikowanie większej dozy opiatów.

Termin ten ukuło w 1989 roku na łamach czasopisma „Pain” dwóch lekarzy opisujących przypadek siedemnastolatka chorego na białaczkę i zapalenie płuc, odczuwającego bóle w klatce piersiowej i domagającego się podawania większej dawki opiatowych środków przeciwbólowych, co błędnie zdiagnozowano jako uzależnienie. Jeden z autorów, J. David Haddox, zaczął później pracować w Purdue Pharmie jako wiceprezes odpowiedzialny za politykę zdrowotną. Drugi, David Weissman, napisał potem instrukcję, jak lekarze powinni postępować

w przypadkach pseudouzależnień, mianowicie należało budować zaufanie i „agresywnie” zwiększać dawkę opiatów, aż do ustąpienia bólu.

Z tego, co się orientuję, pseudouzależnienie równie dobrze może być rzeczywistym zespołem chorobowym. Jednak jego znaczenie dla niniejszej opowieści tkwi w tym, że sprzyjało ono wypracowaniu stanowiska, w myśl którego praktycznie nie istnieje limit ilości opiatów, jakie można podać pacjentowi. Lekarze mogli przepisywać dzienne dawki wielkości setek miligramów. Oczywiście zgodnie z szeroko przyjmowaną błędną interpretacją listu Porter i Jicka ryzyko było minimalne.

– Żaden lekarz nie będzie kontynuował leczenia, które nie przynosi rezultatów, no chyba że chodzi o opiaty – mówił Loeser. – Pacjenci przychodzą i mówią: „Panie doktorze, to jest świetne, ale potrzebuję więcej”. Lekarz przepisuje większą dawkę, a po trzech miesiącach sytuacja się powtarza, i tak w kółko. A gdyby lek był skuteczny, nie byłoby potrzeby zwiększania dawki.

Niemniej ruch się narodził, a jego pierwociną był zaledwie jednoakapitowy tekst z 1980 roku. Korzystano też z innych publikacji. Wśród nich wymienić można napisany w 1986 roku artykuł Portenoya i Foley – cytujący Porter i Jicka – w którym omówiono przypadki trzydziestu ośmiu pacjentów. Nie zabrakło też sporządzonego w 1982 roku raportu z sondażu przeprowadzonego z udziałem ordynatorów dziewięćdziesięciu trzech oddziałów oparzeń, w którym nie stwierdzono przypadków uzależnień u pacjentów przyjmujących opiatowe środki przeciwbólowe, jak też pochodzącego z 1977 roku badania nad uzależnieniami u osób odczuwających chroniczne bóle głowy. Jednak żadna z tych publikacji nie była cytowana równie często jak list Porter i Jicka, żadna też nie padła ofiarą aż takiej nadinterpretacji.

Tymczasem doktor Hershel Jick dalej pracował nad swoją rozrastającą się bazą danych pacjentów. Jego zdaniem mogła ona stać się źródłem klinicznie potwierdzonych informacji dotyczących leków oraz skutków ich przyjmowania – czymś, czego ludzkość dotąd nie posiadała. Publikował artykuły poświęcone rozmaitym problemom: czy doustna szczepionka przeciwko polio może powodować niedrożność jelit; czy niektóre doustne środki antykoncepcyjne mogą prowadzić do zakrzepów krwi u kobiet; co wywołało epidemię świnki w Anglii i tak dalej.

Ale to właśnie jego list z 1980 roku stał się zarzewiem rewolucji.

– To zadziwiające – przyznał lata później. – Jak dla mnie ten tekst znajduje się gdzieś na dole listy moich publikacji. Może być użyteczny, gdyż nie ma czegoś podobnego dotyczącego hospitalizowanych pacjentów. Jeśli jednak przeczyta się go uważnie, to nie ma w nim nic o poziomie uzależnień u pacjentów leczonych ambulatoryjnie, którzy przyjmowali te leki w celu uśmierzenia przewlekłego bólu.

Spełniony Enrique

Xalisco, Nayarit

Któregoś jesiennego dnia 1993 roku wysoki, szczupły mężczyzna o jasnej karnacji, w nowych kowbojkach i kowbojskim kapeluszu naciągniętym na oczy, wsiadł do autobusu w Nogales w stanie Sonora i odjechał na południe, do domu w Nayaricie.

Enrique miał na sobie nowe granatowe pięćsetjedynki Levi'sa. Kapelusz kosztował go pięćset dolarów, buty – tysiąc. Kupił je w sklepie kowbojskim w Phoenix w stanie Arizona. W prawej kieszeni spodni miał piętnaście tysięcy dolarów w gotówce. Autobus wyjechał krętymi drogami z Nogales i sunął biegnącą wzdłuż meksykańskiego wybrzeża Oceanu Spokojnego drogą numer 15. Enrique siedział, nie tracąc ani na moment czujności, także wtedy, gdy kierowca puścił film z udziałem aktora komediowego Cantinflasa. Nie oglądał go. Trzymał rękę na prawej kieszeni spodni, nie pozwalając sobie choćby na chwilę drzemki.

Podróż autobusem była dla niego jak odkupienie. Kilka miesięcy wcześniej, gdy mozolił się wraz z ojcem na polach trzciny cukrowej i desperacko pragnął wyzwolić się z ubóstwa, nagle dostał i przyjął ofertę pracy w Phoenix. Szef komórki potrzebował kierowcy do swojej sieci sprzedaży heroiny. W ostatnim dniu harówki na roli Enrique pojawił się w młynie czarny od pyłu i kurzu, jakby dopiero co wyszedł z kopalni węgla. Złapał za worki z trzciną i wrzucił je ile sił w rękach na stertę.

– Następną robotę podejmę z miłości do pracy, a nie z musu – przyrzekł brygadziście.

Nazajutrz ucałował matkę i wsiadł do autobusu do Arizony.

To była okazja, na którą czekał. W dolinie San Fernando, gdzie pracowali jego wujkowie, za każdym razem natrafiałby na bariery. Ruszył więc do Phoenix, chcąc się wykazać. Po tygodniu znał już miasto i niedługo potem sam zarządzał interesem – porcjował heroinę, odpowiadał na wezwania pagera i jeździł dostarczać klientom baloniki z towarem. A właściwie klientkom, i to dobrze zarabiającym: prawniczkom, pielęgniarkom, jednej lub dwóm prostytutkom. Wkrótce udało mu się podnieść dzienny utarg z tysiąca dwustu do trzech tysięcy dolarów. Pracował od ósmej rano do dziewiątej wieczór, wpadał na hamburgera do baru dla

zmotoryzowanych i o dziesiątej był już w domu, gdzie wkładał w baloniki działki na następny dzień. Nie miał czasu, by posprzątać mieszkanie lub zrobić pranie, zarabiał za to pięć tysięcy dolarów miesięcznie.

Pewnego razu dostawcy z Phoenix powiedzieli mu, że tego wieczora przyjeżdża szef z Xalisco. Mężczyzna zrobił na Enrique wielkie wrażenie. Miał zezwolenie i mógł legalnie przekraczać granicę, kiedy tylko chciał. Pojawił się w mieście, by spotkać się ze swoimi pracownikami.

Kiedy tamtej nocy Enrique wracał do domu, odezwał się jego pager. Na wyświetlaczu pojawił się numer budki telefonicznej, w której można było odebrać przychodzące połączenie. Okazało się, że przed spotkaniem szef miał ochotę na kanapkę rybną z McDonalda. Enrique pomknął po jedzenie i ruszył zanieść je przełożonemu. Wszedł do mieszkania i zobaczył dwóch bandziorów trzymających na muszce szefa i jego dostawców, którzy klęczeli w samych majtkach na podłodze łazienki.

Napastnicy znaleźli pięćdziesiąt gramów heroiny, biżuterię i trochę gotówki. Kiedy przytknęli mu do głowy pistolet i zażądali więcej, Enrique zachował milczenie. Tego ranka pakował w pliki banknotów dziesiątki tysięcy dolarów, ale ponieważ nie miał czasu zrobić z nimi czegokolwiek sensownego, włożył je tylko na dno kosza na śmieci, z którego wylewały się resztki śmieciowego jedzenia, jakim się karmił – stare frytki, ogryzione brzegi pizzy, zużyte papierowe talerzyki i puszki po napojach gazowanych. Gdyby powiedział bandziorom o pieniądzach, wyglądałoby to tak, jakby był z nimi w zmowie. Nie odezwał się więc ani słowem, gdy celowali mu w głowę. Koniec końców poszli sobie, zabrawszy tylko pięć tysięcy dolarów i tych kilkadziesiąt gramów towaru. Pod przepełnioną torbą na śmieci leżało tymczasem osiemdziesiąt tysięcy dolarów, których nie tknęli.

Szef z wdzięczności za okazaną przez chłopaka lojalność zdjął go z ulicy i przydzielił dwóch kierowców, których odtąd miał nadzorować. Enrique zaczął pracować jeszcze ciężej. Interes kwitł. Wysyłał rodzinie pieniądze, by zaczęli budować mu dom. Kiedy do *barrio* Ropucha dotarła w końcu linia telefoniczna, zapłacił, co trzeba było, by najbliżsi mieli u siebie telefon.

Trzy miesiące po napadzie Enrique gotów był wracać do domu. Kupił kowbojki i kapelusz, po czym zabrał się autobusem z piętnastoma tysiącami w kieszeni i szeroko otwartymi oczami. Do bagażnika włożył worki marynarskie wypchane ubraniami, biżuterią, butami i sprzętem audio-wideo. Od tak dawna marzył o takim wspaniałym powrocie. Myślał o swoich wujkach w Kalifornii, którzy odesłali go

do domu, mizernie wynagradzając za tyle włożonej przez niego pracy. Nie mieli dość ikry, by porządnie rozkręcić interes, albo też nie potrafili dostrzec, do czego był zdolny. Jego nowy szef się na nim poznał, a samego Enrique rozpierała radość, że potrafił wyrwać się z opłotków swego *rancho.*

Ubrania, które wiózł do domu – wszystkie marek Levi's, Guess, Tommy Hilfiger i Polo – świadczyły o skali jego sukcesu. Ojciec nie będzie miał nic do powiedzenia. W wieku lat piętnastu Enrique pomógł swojej rodzinie przetrwać, teraz zaś, gdy był już osiemnastolatkiem, heroina sprzedawana w Phoenix dała mu pracę na pełen etat.

Bliscy czekali na niego na dworcu autobusowym w Tepic. Zawieźli go przez Xalisco do swego *rancho*. Tam, po drugiej stronie ulicy, przy której znajdował się dom jego dzieciństwa, stał już jego własny, jeszcze nieukończony, ale budowany za pieniądze, które regularnie wysyłał. Były w nim dwie sypialnie, przestronna kuchnia, garaż z automatyczną bramą, nigdy nieprzeciekający dach oraz łazienka, tak że za potrzebą nie trzeba już było wychodzić na zewnątrz. Poczuł, że wszystko jest możliwe, i o mało się nie rozpłakał.

Nieco później, siedząc w pokoju z matką, wyjął pieniądze z kieszeni i jeszcze trochę ze skarpety. Banknoty opadły na łóżko.

– Obrabowałeś kogoś? – spytała mama.

– Nie – odpowiedział, uśmiechając się szeroko. – To wszystko moje.

Nie zapytała, jak je zdobył, na co zwrócił uwagę. Wiedział zresztą, że się domyśliła.

Ta noc, którą odtąd zawsze będzie pamiętał, była pierwszą, kiedy jego rodzina miała więcej, niż mogła przejeść. Wyciągnął koszule, sukienki, zabawki. Najmłodsza siostra nazwała go Tatusiem.

Rozkręcony w Arizonie biznes heroinowy oraz okazana podczas napadu lojalność zaowocowały nowymi znajomościami i już wkrótce zaczęły napływać zaproszenia na imprezy w Xalisco od największych szych miejscowego podziemia heroinowego. Mieli oni nowe samochody i wielkie domy. Poczuł wstyd na myśl o swoich skromnych marzeniach, jakie żywił jeszcze przed rokiem. W tym świecie aspiracje były ogromne.

Przez następne dwa lata dzielił czas między swoją wioskę i Phoenix, gdzie kierował działającymi na ulicach miasta i pracującymi dla jego szefa zespołami. Kupił sobie używanego czarnego mercury'ego cougara. Zapraszał dziewczynę i jej rodzinę do El Sarandeado lub El Diamante – najlepszych restauracji w Tepic.

Zapłacił za studia swojej siostry, która dzięki niemu jako pierwsza w rodzinie zdobyła wyższe wykształcenie. Chodził do barów i knajp i ani przez chwilę nie musiał się martwić, czy rzeczywiście go na to stać. Przepajało go poczucie wolności. Matka przestała prosić męża o pieniądze na jedzenie dla rodziny, dzięki czemu więcej od niego nie obrywała i nie musiała wysłuchiwać obelg, które miał w zwyczaju rzucać pod jej adresem. Ojciec zaś nie był już finansowo zależny od młyna.

Przez lata kupcy w miasteczku wypracowali wiele sztuczek mających na celu upokarzanie utrzymujących się z uprawiania trzciny cukrowej lub kawy rolników, którzy bezustannie kupowali na krechę. Teraz zaś piekarz na widok matki Enrique wchodzącej do sklepu uśmiechał się i przymilnie do niej zagadywał, witał też przechodzącego obok piekarni ojca chłopaka.

Tamtego lata podczas Feria del Elote Enrique z kolegą, który pracował z nim w Arizonie, brylowali na głównym placu Xalisco. W sobotę zapłacili muzykantom trzy tysiące dolarów, by grali przez całą noc. Pili i częstowali alkoholem wszystkich, którzy się pojawili. Zabawę zakończyli tylko dlatego, że nastał już niedzielny poranek i zaczynała się msza odprawiana w miejscowej katedrze. Nigdy w Xalisco fiesty nie zdominowało dwóch chłopaków z *rancho*. Dotąd *rancheros* oszczędzali przez cały rok, by móc zapłacić za co najwyżej godzinę muzyki. Heroina to zmieniła – uczyniła wszystkich równymi.

Nie zjednała jednak Enrique sympatii ojca jego dziewczyny, który chętnie sprzedawał matce chłopaka mięso, ale nie chciał mieć za zięcia niewykształconego dzieciaka z Ropuchy, co to dorobił się na handlu chivą. Kiedy Enrique był jeszcze mały, rzeźnik odnosił się do niego życzliwie. Jednak od czasu, gdy ten zaczął kręcić z jego córką, nigdy się do niego nie odezwał, a sam Enrique nauczył trzymać się na dystans.

Potem, gdy raz na jakiś czas jechał do Phoenix, skąd wpadał do Portland, by na koniec wrócić do domu, Enrique zaczął odczuwać niepokój. Zarabiał całkiem nieźle, ale ponieważ spędzał teraz dużo czasu z nowymi znajomymi, jego wydatki wzrosły. Miał świadomość swoich ograniczeń. Widział, jak żyło się na przeciwległym brzegu rzeki odgradzającej Ropuchę od świata, ale jako zwykły wyrobnik nie miał szans dotrzeć na drugą stronę.

Żywił obecnie wielkie ambicje. Miał już samochód, ale używany, więc chciał nowy prosto z salonu. Zbudował dom, lecz bez kafelków na podłodze. Posiadał sterty ubrań i gotówki, jednak wciąż było to zbyt mało, by zostać rentierem. Przez

całe życie wykonywał polecenia, a teraz pragnął zaznać uczucia, jak to jest być samemu szefem.

Skończył dwadzieścia dwa lata, co było dobrym wiekiem na żeniaczkę, ale rodzice jego dziewczyny nigdy by się na to nie zgodzili. A ona wciąż jeszcze uczyła się w liceum.

Zatem pewnego dnia w 1996 roku wziął dziesięć tysięcy pesos – tysiąc dolarów, berettę kalibru dziewięć milimetrów i zatankował swojego cougara. Pojechał pod szkołę dziewczyny i zabrał ją do Puerto Vallarta, niejako wykradając matce i ojcu. Był to praktykowany na wsi sposób wzięcia ślubu wbrew woli rodziców. Kiedy dziewczyna zorientowała się, co zrobił, wszczęła awanturę, stawiając mnóstwo warunków. Zgodził się na wszystkie. Zawiózł ją potem do hotelu Krystal. Wspominał potem, że to było pierwsze miejsce, gdzie skorzystał z usługi czyszczenia i prasowania ubrań. Kiedy wrócili na wieś, w oczach miejscowych byli małżeństwem i rodzice dziewczyny nie mieli już nic do powiedzenia.

Wprowadzili się do jego nowego domu. Potem ruszył do Albuquerque w stanie Nowy Meksyk, gdzie – jak słyszał – mógłby znaleźć rynek zbytu dla czarnej smoły, a dla siebie – przyszłość.

Niczym korporacja

Portland, Oregon

Doktor Gary Oxman nigdy nie zapomni, czego nauczył się od gangów Bloods i Crips.

W latach osiemdziesiątych gangi te wyruszyły w poszukiwaniu nowych rynków dla sprzedawanego przez siebie cracku poza terytorium Los Angeles, którego część zdążyły obrócić w arenę krwawych starć toczonych w ramach wojny o wpływy. Jednym z miejsc na północ od L.A., gdzie wylądowali, było położone przy autostradzie międzystanowej numer 5 Portland w stanie Oregon. Już w połowie dekady Miasto Róż zasypane było crackiem i melinami, w których nim handlowano. Gwałtownie wzrosła liczba strzelanin i morderstw. Podobna zwyżkowa tendencja wystąpiła też w populacji syfilityków.

Oxman podjął pracę w Wydziale Zdrowia Hrabstwa Multnomah w 1984 roku. Pewnego dnia wdał się w rozmowę z nauczycielem z czarnej dzielnicy, który wytłumaczył mu, co się dzieje dokoła: Bloods, Crips, crack, meliny narkotykowe czy seks w zamian za działkę – stąd brała się zresztą zauważona przez niego epidemia kiły. Oxman wraz ze współpracownikami zbadał to zjawisko i napisał rozprawę, w której wykazał, że do wybuchu epidemii wystarczyło kilkanaście lub kilkadziesiąt osób czynnie oferujących seks w zamian za narkotyki.

Za sprawą wyroków wydawanych pod koniec lat osiemdziesiątych przez sądy federalne za kraty trafiły dziesiątki należących do gangów handlarzy cracku, co ostatecznie doprowadziło do wygaszenia epidemii syfilisu w hrabstwie Multnomah. Wtedy to Oxman nauczył się wsłuchiwać w głos społeczności lokalnych. Zorientował się też, że jeśli w grę wchodzą narkotyki, to katastrofę – jeśli chodzi o zdrowie dużej części społeczeństwa – może wywołać już niewielka grupa.

Któregoś wiosennego popołudnia 1999 roku Oxman spotkał się z komisarzem hrabstwa Multnomah Sharron Kelley. Było to podczas odbywającej się w centrum Portland sesji budżetowej, którą zorganizowały lokalne władze. On sam – szczupły, dobrze wyglądający mężczyzna z kręconymi włosami, wąsem i kozią bródką – odpowiadał wtedy za całość spraw związanych z opieką zdrowotną w hrabstwie.

Z relacji Kelley wynikało, że w Portland szerzy się plaga uzależnienia od heroiny i wirusowego zapalenia wątroby typu C. Zapytała też, czy Wydział Zdrowia chciałby trochę pieniędzy na leczenie osób chorych na żółtaczkę wszczepienną i świadczone im usługi. Oxman odpowiedział, że takie fundusze bardzo by się przydały, bo liczba zakażonych sięgała już tysięcy.

Kelley wspomniała o usługach medycznych, których w hrabstwie brakowało i które Oxman mógłby wprowadzić.

– A tak przy okazji – dodała, kiedy spotkanie miało się już ku końcowi – mamy tu taką grupę wsparcia, nazywa się RAP i złożona jest z narkomanów na odwyku. Wielu ich znajomych, którzy nie odstawili heroiny, umiera z przedawkowania. Czy może pan zrobić poświęcone temu badanie epidemiologiczne?

– Oczywiście – odpowiedział Oxman.

RAP – Recovery Association Project – był zrzeszeniem wychodzących z nałogu heroinistów, za którym stała miejscowa organizacja typu non profit Central City Concern, mająca długą historię prowadzenia ośrodków odwykowych dla alkoholików i narkomanów. W połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy czarne gangi traciły kontrolę nad rynkiem cracku w Portland, liczba prowadzonych przez CCC pacjentów na detoksie szybko malała. Szefowie organizacji zastanawiali się wręcz, jak długo jeszcze będą mieli okazję zajmować się odwykowcami.

– Wtedy zupełnie z niczego coś zaczęło się dziać – opowiadał dyrektor CCC Ed Blackburn. – Zaczęliśmy przyjmować całą masę ludzi uzależnionych od heroiny. Młodych ludzi. W ośrodku odwykowym przyzwyczajeni byliśmy do widoku czterdziestoletnich heroinistów, a tu nagle przychodzili dwudziestotrzylatkowie. To było w latach 1994–1995. Od lat prowadziliśmy detoks dla uzależnionych od heroiny, ale ich liczba zawsze była w miarę stała: pięć do dziesięciu procent naszych pacjentów. Nagle szybko poszła w górę. W latach 1996–1997 było ich ponad pięćdziesiąt procent.

W Portland zdążyły się już rozgościć Chłopaki z Xalisco.

Blackburn to uczeń Saula Alinsky’ego, legendarnego organizatora społeczności lokalnych w Chicago, który szkolił politycznie zmarginalizowane grupy w technikach wywierania nacisków na polityków, by ci zajęli się ich problemami. Kiedy Portland zalała fala heroiny, Blackburn wykorzystał subwencję federalną do przeszkolenia wracających do zdrowia narkomanów w aktywnym uczestnictwie w życiu politycznym miasta. W działalności tej mieli się oprzeć na nabytych przez siebie doświadczeniach. Zatrudnił też paru z nich, by spędzali czas w ośrodkach

odwykowych i namawiali innych do przyłączenia się do RAP. Niebawem setki przebywających na detoksie narkomanów zaczęły się organizować. Ich przedstawiciele pojawiali się na posiedzeniach władz lokalnych i domagali się zapewnienia niezbędnych im usług oraz stosownych funduszy.

Jednym z nich był beznogi ćpun Alan Levine. W 1998 roku już od pięciu lat codziennie korzystał ze stworzonego przez Chłopaków z Xalisco systemu dystrybucji heroiny, który w jego oczach zdążył już stracić wszelki powab.

– Znasz Joego Camela z tej skierowanej do młodych ludzi kampanii reklamowej papierosów? – pytał Levine. – Tak właśnie działali ci goście. Brali na cel młodzież. Dzieciaki mogły towar wciągać, palić, jeść lub się nim szprycować. Nagle pojawiło się mnóstwo uzależnionych od heroiny licealistów. Sama heroina stała się mocniejsza i bardziej zabójcza. Coraz więcej ludzi od niej umierało. W pewnym momencie przestałem ją brać i zacząłem walczyć z rozpowszechnianiem się nałogu.

Levine z kolegami ruszyli na ulice miasta i wkrótce RAP zdobył setki członków. Następnie zaczęli wywierać naciski na urzędników, by ci zapewnili fundusze na terapię dla osób uzależnionych. Levine ostatecznie trafił do gubernatorskiej Rady do spraw Narkomanii i działającego na szczeblu hrabstwa komitetu zajmującego się planowaniem działań mających na celu zwalczanie narkomanii.

W ciągu ostatnich kilku dekad w Portland wyłoniła się warstwa żarliwych, prowadzących działalność typu non profit aktywistów, którzy występowali w imieniu grup zmarginalizowanych i niemogących korzystać z przynależnych im praw obywatelskich. Swoje postulaty formułowali w społecznie wrażliwym i politycznie poprawnym języku. Dla tej klasy członkowie RAP byli niczym kwas w akumulatorze. Funkcjonowali niczym motłoch, a ich życie było jak otwarta rana. Byli szczerzy, nie uznawali cenzury i zbytniej ogłady. Blackburn zachęcał ich, by opowiadali historie swego życia, a te często nie pasowały do uładzonego świata złożonego z bohaterów i czarnych charakterów, który tak upodobali sobie zawodowi obrońcy praw człowieka. Podczas spotkań publicznych szczególnie efektownie przedstawiał się Alan Levine, ze swoimi dwoma kikutami i gardłowym głosem, którym elokwentnie opowiadał pokręcone historie wzięte ze swego pełnego upokorzeń życia, po części straconego na próżnym poszukiwaniu tego pierwszego haju, kiedy poczuł się jak mistrz świata.

RAP ustanowił system mentorski – jeśli osoba uzależniona wychodziła z więzienia w trakcie detoksu, to odbierał ją były narkoman, który załatwiał jej

dach nad głową i wyżywienie, a także pomagał unikać dawnych znajomych i sytuacji mogących prowadzić do powrotu w nałóg. W ten sposób – nawet biorąc pod uwagę olbrzymią grupę świeżo uzależnionych dzieciaków, którą wypluwała sieć sprzedaży heroiny prowadzona przez Chłopaków z Xalisco – „liczba osób odstawiających narkotyki wzrastała w tempie zawrotnym", jak ujął to Blackburn.

Wielu dołączyło do RAP. Otwarcie mówili o swoim uzależnieniu. Koordynowali spotkania z przedstawicielami władz, podczas których próbowali nakłonić polityków do zwiększenia funduszy przeznaczonych – dajmy na to – na ośrodki odwykowe. Rapsterzy zwracali szczególną uwagę na problem przedawkowywania heroiny. Widzieli to, co umykało innym, czyli rosnącą liczbę osób umierających z tej właśnie przyczyny. Heroina zabierała im znajomych, a oni próbowali dotrzeć do polityka, który skłonny byłby ich wysłuchać.

Jedną z takich osób była komisarz hrabstwa Multnomah Sharron Kelley. Tak więc Gary Oxman w 1999 roku został obarczony zadaniem przebadania i wyjaśnienia źródeł przybierającej gwałtownie fali zgonów spowodowanych przedawkowaniem heroiny. Jak się okazało, nie było to łatwe zadanie.

Przez te lata pochodząca z Kalifornii Kim Ellis coraz bardziej pogrążała się w nałogu heroinowym. Chłopaki z Xalisco były wszędzie, wtapiając się w rosnącą w Portland społeczność latynoskich imigrantów. Nigdy się nie dowiedziała, skąd właściwie pochodziły. Nazywała ich – gości, którzy na każde zawołanie dostarczali jej heroinę – pszczołami robotnicami. Niektórych z nich poznała bliżej.

– Jesteśmy wszędzie – wyznał jej jeden z Chłopaków. – Kiedy będę miał wrócić do domu w Meksyku, tam czekają już moi bracia i kuzyni, by mnie tutaj zastąpić.

Większość kierowców miała od siedemnastu do trzydziestu lat. Dla biednych Meksykanów, którymi byli, Stany oznaczały pieniądze, wielkie samochody, drużynę futbolu amerykańskiego Dallas Cowboys, filmy z Bruce'em Willisem, McDonald's, a przede wszystkim amerykańskie dziewczyny. Pracowali jednak całymi dniami, a noce spędzali w nieurządzonych mieszkaniach. Wszystko, czego mogli się dowiedzieć o wielkim i mitycznym kraju, ograniczało się do tego, co dane im było zobaczyć podczas rozwożenia heroiny, a jedynymi dziewczynami, które mieli okazję poznać, były kupujące od nich towar ćpunki. Oni sami byli miłymi chłopakami ze wsi, a nie jakimiś oprychami czy zabójcami z kartelu. Wychowali się w konserwatywnej atmosferze, panującej w meksykańskich małych miasteczkach, i czuli podziw dla Stanów Zjednoczonych. Nigdy nie brali towaru,

którym handlowali, i o wielu z nich dałoby się powiedzieć, że byli uroczy i nad wyraz grzeczni.

Narkomanki, skądinąd znieczulone codziennymi kontaktami z najgorszymi przejawami natury ludzkiej, bardzo ceniły sobie te sporadyczne chwile czułej uwagi, którą je obdarowywali.

– Każdy poznany przeze mnie chłopak był naprawdę ujmujący – wspominała Ellis. – Doszło do tego, że w nasze kontakty wkradł się element ludzki, zaczęły nawiązywać się jakieś więzi. Kiedy wsiadłam do samochodu, nie widziałam w nich już gości chcących zarobić trochę grosza na moim upadku. Byli po prostu ludźmi. Kiedy przestałam brać, bardzo brakowało mi tych relacji. Po prostu trudno było ich nienawidzić.

To był jeden z elementów, który zapewnił Chłopakom z Xalisco sukces. Wielu klientów nie traktowało ich jak typowych, zimnokrwistych i bezwzględnych handlarzy heroiną, którzy sami byli od niej uzależnieni. Część kierowców zaprzyjaźniła się z obsługiwanymi przez siebie narkomanami. Byli mili, czasami nawet czarujący – i to mimo istniejącej bariery językowej.

Sympatia dla pochodzących z Xalisco dilerów zdecydowanie utrudniła Ellis odstawienie heroiny, choć w końcu udało się to jej kilka lat później.

– Musiałam ich znienawidzić, aby przestać brać – wyznała mi. – Gdybym się trzymała choć jednej rzeczy, która była dobra, nawet jeśli to było pokręcone dobro, zostałabym przy heroinie. Moja ostatnia pszczoła robotnica zaczynała się we mnie podkochiwać. Nigdy się do mnie nie dobierał, pytał mnie tylko, czy nie poszłabym z nim na obiad. Mówiłam sobie, że to nie byli goście, którzy podziurawiliby mnie kulami i porzucili moje ciało na jakimś śmietnisku. Zawsze pytali: „Masz ochotę potańczyć albo coś?”. To byli zwykli ludzie próbujący przetrwać w tych swoich samochodach, a po drodze spotykali takich jak ja, którzy próbowali przeżyć mimo swego uzależnienia. Nawet teraz, gdy tak nienawidzę heroiny, nie czuję nienawiści do tych chłopaków, którzy byli moimi dilerami.

Gary Oxman udał się do stanowego Wydziału Danych Demograficznych, który przez naukowców zajmujących się stanem zdrowotnym społeczeństwa i trendami związanymi z przyczynami zgonów uważany jest za najlepsze źródło informacji. Wierzył, że w tym, co mówią rapsterzy, jest coś na rzeczy, zdziwiło go jednak, gdy nie znalazł żadnych danych dotyczących dużej liczby przedawkowań. Poszedł zatem do biura miejscowego lekarza sądowego. W urzędzie tym przechowywano

podzielone na roczniki rejestry osób zmarłych z przyczyn innych niż naturalne. Wydobył z nich raporty poświęcone przypadkom związanym z zażywaniem narkotyków, w których z kolei znalazł liczne dokumenty poświadczające zgony z powodu przedawkowania substancji odurzających. Lecz po pobieżnym przejrzeniu zebranego materiału nadal nie natrafił na żadne papiery uwiarygodniające tezę, że za wieloma z nich stała heroina.

Przez trzy kolejne miesiące Oxman ze swymi współpracownikami siedział w piwnicy biura lekarza sądowego i coraz bardziej zaintrygowany analizował raporty. W pewnym momencie zorientował się, w czym tkwi problem. Każdy z lekarzy dokonujących sekcji zwłok opisywał przedawkowanie heroiny na własny sposób. Jeden zapisał „ostra narkomania dożylna", inny „przedawkowanie narkotyków", pojawiło się też „przedawkowanie różnego rodzaju narkotyków", jednak bez wyszczególnienia z nazwy heroiny. Ktoś inny zanotował po prostu „przedawkowanie heroiny". Statystyka, choć przykryta niekonsekwentnie stosowaną terminologią, rosła nieprzerwanie.

Koniec końców udało mu się wyodrębnić ponad sto zarejestrowanych po 1996 roku przypadków przedawkowania heroiny. Zaczął dalej wkopywać się w kartotekę, czytając wszystkie sporządzone od początku lat dziewięćdziesiątych dokumenty dotyczące przedawkowań. To, co odkrył wraz ze swoim zespołem, zaskoczyło go. Wbrew temu, co twierdził RAP, nie było żadnego nagłego skoku w liczbie zgonów spowodowanych zażywaniem heroiny. Rzeczywistość okazała się jeszcze bardziej przerażająca. Statystyki rosły regularnie od niemal dekady, choć nikt nie zwrócił na to uwagi. W 1991 roku – mniej więcej wtedy, gdy w okolicy pojawiły się Chłopaki z Xalisco – w hrabstwie Multnomah było dziesięć zgonów wywołanych przedawkowaniem heroiny, w 1999 roku liczba ta sięgnęła stu jedenastu. Tysiącprocentowy wzrost w ciągu zaledwie ośmiu lat.

– Wtedy zobaczyliśmy – wspominał lata później Oxman – że to absolutnie nie była jakaś nowa tendencja wzrostowa.

W hrabstwie Multnomah wśród osób w wieku od dwudziestu do czterdziestu pięciu lat przedawkowanie heroiny stało się drugą po wypadkach samochodowych przyczyną zgonów z powodów innych niż naturalne. Fakt ten uciekł uwadze ogółu.

W grudniu 1999 roku Oxman napisał w raporcie skierowanym do komisji działającej na szczeblu hrabstwa, że „tak wysoki poziom zgonów wynikłych z przedawkowania heroiny należy uznać za przejaw epidemii". Utworzył zatem zespół złożony z fachowców ze służby zdrowia i socjologów, który miał w ciągu

nadchodzącego roku przeprowadzić badanie sondażowe z udziałem narkomanów. Nigdy dotąd heroina w Portland nie była tak tania, tak łatwo dostępna i tak mocna. Wystarczyło dwadzieścia dolarów i początkujący heroinista mógł utrzymać się na haju przez cały dzień.

– Jak się zorientowaliśmy, rzecz tkwiła w strategii marketingowej, która ze sprzedaży narkotyku niewielkiej liczbie osób, będących w szponach kosztownego nałogu, przeistoczyła się w masowe oferowanie taniej heroiny dużej grupie uzależnionych – opowiadał Oxman.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych pojedynczy gliniarze działający na zachodzie Stanów Zjednoczonych – jak Dennis Chavez i Ed Ruplinger – zaczynali dostrzegać, że Chłopaki z Xalisco to coś więcej niż banda niechlujnych i niezależnych ulicznych narkotykowych handlarzy.

Z czasem utworzyli oni swoisty klub – choć tak naprawdę wielu z nich nie wiedziało nawet, że do niego należy – funkcjonariuszy zaintrygowanych tym, co zaobserwowali, i tym, w jakim kierunku zjawisko to może się rozwinąć. Ponieważ zwalczanie handlu heroiną nie było wtedy priorytetem, klub ten – ogólnie mówiąc – zrzeszał upartych oficerów śledczych, którzy potrafili z mozołem przedzierać się przez gąszcz hiszpańsko brzmiących pseudonimów. Ufali przy tym swemu instynktowi i nie zrażali się zatrzymaniami przynoszącymi zaledwie kilka gramów czarnej smoły – wręcz przeciwnie, odkąd tylko poznali mechanizm i zakres funkcjonowania systemu stworzonego przez Chłopaków z Xalisco, mieli świadomość, że niewielkie ilości przechwyconego towaru były nawet bardziej złowieszcze niż zdobycze hurtowe. Świadczyły one o tym, że ci handlarze, zrzeszeni w ogromną sieć, zorientowali się, co amerykańskie agencje rządowe, ich szefowie, media i opinia społeczna uważają za sukces w walce z narkotykami – przechwytywanie dużych ilości towaru, pieniędzy i broni. Wypracowali więc zasady i praktyki pozwalające im pozostawać w cieniu. Wcielali je w życie konsekwentnie i niezmiennie w dużej części kraju.

Do tego nieformalnego klubu należał między innymi działający w Portland w stanie Oregon agent FBI Paul „Rock” Stone, który – jak zresztą wielu z jego kolegów – z początku nie do końca ogarniał, co się działo na jego oczach. Mówiący ze swadą i świetnie sobie radzący w robocie Stone dorastał w Dolinie Kalifornijskiej, a przed dołączeniem do FBI pracował w policji w Merced.

W kwietniu 1999 roku przeniósł się z wydziału zabójstw do jednostki zajmującej się walką ze zorganizowaną przestępczością narkotykową w Portland.

Jedna z pierwszych spraw, jakie przypadły mu w udziale, dotyczyła pozyskanego od informatora doniesienia o zakupie heroiny od Meksykanów – dwóch noszących czapeczki bejsbolowe gości jeżdżących starym samochodem. Ci uliczni handlarze sprzedawali ważące jedną dziesiątą grama działki heroiny, której czystość według wykonywanych przez FBI testów sięgała osiemdziesięciu procent. Jak dotąd tego typu dilerzy nigdy w sposób regularny nie oferowali klientom detalicznym tak mało zanieczyszczonego towaru. Uniemożliwiały to tradycyjne struktury handlu heroiną. W typowym łańcuchu dostaw towar trafiał od hurtowników do handlarzy ulicznych poprzez wielu pośredników. Na każdym etapie przed kolejną sprzedażą poddawano go dalszej obróbce – zwiększeniu ilości przez rozcieńczenie narkotyku. Zazwyczaj jest tak, że od otrzymania heroiny z mleczka makowego po wstrzyknięcie jej w żyłę narkomana przechodzi ona przez ręce kilku sprzedawców, z których każdy czegoś do niej dosypuje w celu zwiększenia wagi, więc ostatecznie jej czystość wynosi około dwunastu procent. Tak zawsze wykazywały testy FBI i DEA. Stone przekazałby sprawę lokalnej policji, gdyby nie to, że „żyjący na ulicy narkomani normalnie nie kupują baloników z osiemdziesięcioprocentową, czystą heroiną”. Fala śmiertelnych przedawkowań heroiny przybierała na sile, więc zajął się tym osobiście.

Prześledził rozmowy prowadzone przez telefony zabrane aresztowanym dilerom. Doprowadziły one do kolejnego odkrycia. Dzwoniono do miast w całych Stanach – Los Angeles, Phoenix, Denver, Columbus – a także do leżącego w Meksyku Nayaritu. Co więcej, odczytane numery telefonów występowały w innych sprawach, które FBI prowadziło w różnych zakątkach kraju.

– Handlarz sprzedający na ulicy jedną dziesiątą grama nie powinien pojawić się w innych sprawach, którymi jednocześnie zajmowało się po kilka oddziałów FBI w różnych miastach i stanach – opowiadał Stone. – Tak to nie działa w naszym świecie.

Powołał więc grupę roboczą z udziałem funkcjonariuszy DEA oraz portlandzkiej policji. Założyli podsłuchy na telefonach i pagerach handlarzy. Stone nie mógł się nadziwić, jak wyrafinowany był stosowany przez nich system. Dyspozytorzy słali na pagery kierowców informacje, które wprawiały śledczych w konfuzję – na ekranie pokazywało się na przykład coś w rodzaju 181*2*3*0. Później informatorzy zdradzili funkcjonariuszom, że pierwsze cyfry odnosiły się do

ulic biegnących z północy na południe, z których wiele w Portland jest ponumerowanych. Cyfra po pierwszej gwiazdce przypisana była do głównych ulic biegnących ze wschodu na zachód – 1 to Burnside, 2 to Halsey i tak dalej. Cyfra po drugiej gwiazdce była kodem pokazującym, jak daleko znajdował się szukany kwartał. Ostatnia cyfra to było albo 0, albo 5, co odpowiednio oznaczało północ lub południe. Zatem kod 181*2*3*0 wskazywał posłańcowi, że spotkanie jest trzy kwartały na północ od skrzyżowania Sto Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy i Halsey.

Okazało się też, dlaczego handlarze nie dosypywali niczego do heroiny.

– To dlatego, że dostają pensję – wytłumaczył Stone. – Dilerzy, często krewni regionalnego kierownika sprzedaży, przyjeżdżają tu do pracy, za którą płacą im pięćset dolarów tygodniowo. Nie obchodzi ich zatem, jak mocny jest oferowany przez nich towar, bo wypłatę dostają niezależnie od ilości sprzedanej heroiny.

Pracownicy dostający regularną pensję – to było coś nowego w biznesie narkotykowym.

– Zdaliśmy sobie sprawę, że działali niczym korporacja – ciągnął dalej Stone. – Mieli służbowe samochody, służbowe mieszkania i służbowe telefony. Gdy stąd wyjeżdżali, wszystko przekazywali następcy.

W samym Portland heroinę dystrybuowało wtedy dziewięć komórek, z których każda dysponowała przynajmniej trzema samochodami i rotacyjnie obsługującymi je kierowcami. Stone bywał w Meksyku, gdzie pracował i wypoczywał, ale nigdy nie słyszał o Nayaricie. Informatorzy donieśli mu, że dilerzy pochodzą z niewielkiego zespołu wiosek, których nie znajdzie się na większości map. Wśród nich były: Testerazo, Pantanal, Aquiles Serdán, Emiliano Zapata oraz miasto Xalisco. W kółko pojawiały się też te same nazwiska – między innymi Tejeda, Sánchez, Cienfuegos, Diaz, Lerma czy Bernal.

Kiedy Stone zdobył więcej informacji o Nayaricie, dowiedział się, że opium produkowały w górach rodziny ulicznych handlarzy. Miał zatem do czynienia z amalgamatem hurtowników i detalistów, w którym każda komórka była osobnym małym przedsiębiorstwem wytwarzającym własną heroinę, wysyłającym ją do Stanów Zjednoczonych i sprzedającym w stumiligramowych działkach na ulicach takich miast jak Portland – dzięki temu mogła kontrolować cały ciąg produkcyjno-dystrybucyjny, począwszy od maku aż po ramię klienta. Pomiędzy zboczami gór a ulicami miast nie było miriadów pośredników, z których każdy zarabiałby na własną rękę, psując przy tym towar.

– Normalnie dystrybucja miała wiele poziomów, tu natomiast, pomiędzy etapem pierwszym a siódmym, nie było nikogo oprócz nich – opisywał.

Stone wykonał kilka obliczeń. Jedną dziesiątą grama sprzedawano za około piętnaście dolarów. Komórki zarabiały na każdym kilogramie sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów brutto. Według informatorów wyprodukowanie kilograma czarnej smoły w Nayaricie kosztowało mniej więcej dwa tysiące dolarów. W Portland na koszty ogólne składały się tanie mieszkania, stare samochody, paliwo, jedzenie i pięćset dolarów tygodniowo na każdego kierowcę. Zysk z każdego kilograma narkotyku wychodził więc dobrze ponad sto tysięcy dolarów na czysto.

Stosując bardzo elastyczną politykę cenową, mogli tanio sprzedawać heroinę o niespotykanej dotąd mocy. Ponieważ rywalizowali między sobą, cena towaru spadała. Luźna siatka wywodzących się z Xalisco komórek handlujących heroiną pojawiła się, zmonopolizowała i nasyciła towarem Portland gdzieś w okolicach 1991 roku. Skutkiem był trwający dekadę wzrost liczby przedawkowań, na którego trop wpadł Gary Oxman. Relatywnie niewielka grupa osób wywołała potężną plagę narkomanii.

W 1999 roku Chłopaki z Xalisco były już w Portland od niemal dziesięciu lat i doprowadziły do obniżki ceny narkotyku do poziomu, na którym „można było folgować umiarkowanemu nałogowi heroinowemu, wydając [dziennie] tyle, ile płaciło się za sześciopak dobrego piwa”, opowiedział mi lata później Oxman.

– To było w środku boomu gospodarczego. Mieliśmy sporą grupę osób uzależnionych, z których większość potrafiła samodzielnie funkcjonować. Duża ich część chodziła do pracy na haju: mieli robotę i nie zrywali z nałogiem.

Wskaźnikiem pokazującym skalę toczącego miasto problemu heroinowego okazały się nie włamania i rabunki, tylko przedawkowania. Oxman wynajął agencję reklamową, by przeprowadzić badania fokusowe z udziałem grupy osób uzależnionych oraz opracować kampanię mającą doprowadzić do zmniejszenia liczby zgonów. Wydział Oxmana wydrukował ulotki z wezwaniem, by nie wstrzykiwać sobie heroiny w samotności, a jeśli znajomy przedawkował, „zadzwonić pod numer 911, zostać z kumplem i pomóc. Jeśli jednak nie możesz zostać… i tak wybierz numer 911, [a potem] się zmyj”.

W 2001 roku, dzięki zastosowaniu nowoczesnych technik reklamowych i rapsterom działającym na ulicy, liczba zgonów będących następstwem przedawkowania czarnej smoły – co miało swój początek wraz z pojawieniem się

Chłopaków z Xalisco – spadła o ponad dwie trzecie. Przez jakiś czas, dopóki na rynku nie pojawiło się nic nowego, nie odnotowano wzrostu.

Purdue

OxyContin to po prostu tabletka. W jej skład wchodzi tylko jedna substancja czynna – oksykodon, czyli środek przeciwbólowy zsyntetyzowany po raz pierwszy w 1916 roku przez Niemców z będącej pochodną opium tebainy. Oksykodon w swej budowie molekularnej przypomina heroinę.

OxyContin wywodzi się z wcześniejszego leku Purdue, czyli MS Continu, który był pierwszym produktem tej firmy związanym z kontrolą bólu. Wykorzystano w nim opracowaną przez brytyjskie Napp formułę przedłużonego uwalniania substancji czynnych leku. MS Contin dostarczał morfinę do krwiobiegu pacjenta w sposób ciągły (stąd Contin od łacińskiego *continuum*) przez kilka godzin, co było możliwe dzięki wysokiej jej zawartości w pojedynczej tabletce – w zależności od wersji: 15, 30, 60, 100 i 200 miligramów. Firma Purdue wprowadziła go na rynek jako lek dla osób chorych na raka lub pacjentów pooperacyjnych, którym rzeczywiście dobrze służył.

Podobnie OxyContin, też zawiera dużą dawkę oksykodonu – zazwyczaj 40 lub 80 miligramów – zaopatrzonego w formułę kontrolowanego uwalniania, dzięki której związek ten przez kilka godzin powoli i nieustannie trafia do krwi. Lek znalazł uzasadnione zastosowanie medyczne i pozwolił uśmierzyć ból odczuwany przez wielu Amerykanów, dla których życie inaczej byłoby torturą.

Jednak OxyContin wypuszczono na rynek w 1996 roku, a to w amerykańskiej medycynie były już zupełnie inne czasy w porównaniu z rokiem 1984, kiedy pojawił się MS Contin – jeszcze tych osiem lat wcześniej jego losy mogłyby się potoczyć równie zwyczajnie. W latach osiemdziesiątych niewielu przedstawicieli środowiska lekarskiego aprobowało przepisywanie silnego opiatu na bóle chroniczne. Jednak w 1996 roku opiatowa rewolucja wzniecona przez forpocztę naukowców walczących z bólem już od dekady zmieniała nastawienie amerykańskiego świata medycznego. Więcej firm ubezpieczeniowych zwracało pieniądze za przepisywane tabletki, a nie za terapie, które nie były stricte medyczne. Ból uznano już za parametr życiowy mierzony przy pomocy subiektywnej oceny własnego stanu dokonywanej przy użyciu skali od jednego do dziesięciu, a co więcej – leczono go w sposób agresywny.

Przedstawiciele Purdue utrzymywali później, że zaskoczyło ich to, co się stało z OxyContinem, gdyż MS Contin nie był nadużywany. Nie do końca tak było. Funkcjonariusze z wydziału dochodzeniowo-śledczego z Ohio, z którymi rozmawiałem, pamiętali, że były przypadki kradzieży i nadużywania tego leku. W pewnych miastach, na przykład w Cincinnati, lekarzy wrabiano w przepisywanie go narkomanom, w innych – choćby w Columbus – już nie. Niemniej nadużywanie MS Continu było sporadyczne i nigdy nie osiągnęło poziomu odnotowanego dla jego kuzyna – OxyContinu.

Do wypromowania OxyContinu firma Purdue po raz pierwszy wynajęła agencję reklamową William Douglas McAdams. Według Wina Gersona, ówczesnego jej prezesa, dopóki Arthur Sackler żył, nie pozwalał, by pracowała ona dla Purdue. Jednak gdy zmarł w 1987 roku, agencja ostatecznie podpisała umowę z firmą farmaceutyczną. Przygotowując OxyContin do debiutu rynkowego, pracownicy Purdue uważali go za następcę MS Continu.

– W analizowanych danych nic nie sugerowało, że pięć minut po trafieniu na rynek dzieciaki nauczą się go stosować po swojemu – mówił mi Gerson. – [Purdue] działała według schematu sprawdzonego w przypadku poprzedniego ich produktu, którym był MS Contin. Byli święcie przekonani, że OxyContin nie będzie miał właściwości uzależniających.

Niemniej MS Continu nie sprzedawano jako wolnego od ryzyka panaceum na przewlekłe bóle. Inne opiatowe środki przeciwbólowe stosowano w ograniczonych dawkach i łączono z acetaminofenem, by utrudnić zamianę ich w stan ciekły i wstrzykiwanie dożylne – należały do nich choćby Vicodin, Lorcet, Lortab czy Percocet. Niezależnie od tego i tak ich nadużywano. Co więcej, nikt się nie spodziewał, że farmaceutyk zawierający związek chemiczny podobny do heroiny będzie reklamowany niemal jak lek bez recepty. W 1996 roku na amerykańskich lekarzy powszechnie wywierano naciski, by akceptowali stosowanie opiatów na bóle chroniczne. Niewystarczająco leczony ból traktowano jako epidemię i na służbie zdrowia spoczywał obowiązek niesienia ulgi przy zastosowaniu nowych narzędzi i środków opracowywanych przez przemysł farmaceutyczny.

Rzeczywiście, niektórzy z rzeczników krucjaty przeciwbólowej widzieli w wynalezionej przez Purdue formule ciągłego uwalniania substancji czynnych poszukiwanego przez Komitet Rockefellera Świętego Graala, który przez dziesięciolecia wymykał się z rąk naukowców prowadzących badania na Farmie Narkotyków. Jeśli udałoby się odkryć nieuzależniający narkotyk, to być może

nowe metody podawania opiatów ograniczyłyby skalę uzależnień. Teoretycznie rzecz biorąc, OxyContin uwalniał oksykodon w sposób, który nie wywoływał intensywnych i prowadzących do uzależnienia stanów euforycznych i depresyjnych. To dawało wspaniałe możliwości. Ostatecznie mogło się okazać, że wszystkie testy przeprowadzone na Farmie Narkotyków w Lexington nie poszły na darmo. Być może nauce udało się w końcu znaleźć metodę dostarczania błogosławionej ulgi od bólu bez jednoczesnych męczarni związanych z uzależnieniem – choć bynajmniej nie w sposób, w jaki naukowcy pierwotnie to sobie wyobrażali.

– Przeszliśmy drogę od nieposiadania silnych farmaceutyków… do podawanej doustnie morfiny i przemysłu farmaceutycznego, który chciał ją promować – mówiła Kathy Foley w wywiadzie na temat historii leków podawanych doustnie, który przeprowadzono w 1996 roku, tym samym, w którym na rynek trafił OxyContin. – Tak więc po raz pierwszy mieliśmy wówczas sprzedawcę i dystrybutora, a także edukatora dla środka, który już posiadaliśmy. Wiedzieliśmy już wtedy, że stosowana doustnie morfina jest skuteczna. Możemy zatem zostawić te wszystkie głupie mikstury i koktajle, które ludzie przyjmują raz czy dwa razy dziennie, i wkroczyć na rewolucyjne pole kontroli bólu… Zmiana dotyczyła nie samego leku, ale metody jego podawania, a wraz z tym całej mentalności: „Dobrze, skoro mamy już ten środek, możemy leczyć ból”. Coś naprawdę niezwykłego.

Tak nakreślone możliwości rzeczywiście były niezwykłe. Do tamtej pory odczuwający ból pacjenci spędzali większość czasu, myśląc o tym, co ich boli, lub o tabletkach, jakie musieli przyjmować co dwie lub cztery godziny, by nie dopuścić do nawrotu bólu. Pilnowanie zegarka – tak to nazywano. Dwie pigułki OxyContinu dziennie brzmiały o niebo lepiej. To było głównym czynnikiem podnoszącym jego atrakcyjność. Korzyść nie była zresztą trywialna. Dwie tabletki na dzień pozwalały pacjentom cierpiącym na przewlekłe bóle rozpocząć życie na nowo.

Doktor Curtis Wright – inspektor Federalnego Urzędu Żywności i Leków (FDA) i zarazem kierownik powołanego w jego ramach zespołu rozpatrującego wniosek złożony przez Purdue – uważał, że OxyContin może mieć skutki uboczne wywołujące uzależnienie, a jedyną płynącą z niego korzyścią jest ograniczenie liczby tabletek, które pacjent musi przyjmować w ciągu dnia. „Należy zadbać o ograniczenie promocji bazującej na konkurencyjności produktu” – taki cytat z Wrighta, zaczerpnięty z raportu FDA, podaje w swej książce *Pain Killer* [Środek przeciwbólowy], wydanej w 2003 roku i poświęconej OxyContinowi, Barry Meier

z „New York Timesa”. Wright później przestał pracować w FDA i znalazł zatrudnienie w Purdue.

W 1995 roku FDA dopuścił do obrotu OxyContin w tabletkach dziesięcio-, dwudziesto- i czterdziestomiligramowych. Później do tej listy dopisano tabletki osiemdziesięcio- i stusześćdziesięciomiligramowe. Mimo wysokiej zawartości oksykodonu w każdej z tabletek FDA kupił pomysł, że dzięki mniejszej częstotliwości i słabszemu natężeniu epizodów euforycznych i depresyjnych OxyContin okaże się mniej uzależniający – wreszcie coś na kształt Świętego Graala.

FDA zaakceptował też dla OxyContinu jedyną w swoim rodzaju formułę ostrzeżenia umieszczanego na etykiecie. Pozwalała ona Purdue utrzymywać, że dzięki mechanizmowi kontrolowanego uwalniania substancji czynnej, który wywoływał zwłokę w jej absorpcji przez organizm, zagrożenie ewentualnym nadużywaniem OxyContinu jest mniejsze niż w przypadku innych produktów zawierających oksykodon. Jak napisał Meier: „Żaden inny producent narkotyku zaliczonego do listy środków Schedule II nigdy nie dostał od FDA zgody na umieszczenie takiego zapisu [Schedule II to federalne oznakowanie substancji odurzających oficjalnie dopuszczonych do użytku medycznego, choć mających wysoki potencjał nadużywania mogącego prowadzić do uzależnienia]. Sformułowanie to wkrótce stało się kamieniem węgielnym marketingu prowadzonego dla OxyContinu”.

Tekst umieszczony na opakowaniu okazał się udzieloną osobom uzależnionym nieumyślną podpowiedzią, jak postępować z tabletką. Zawarte w nim było ostrzeżenie, by jej nie rozkruszać, ponieważ w ten sposób można uwolnić „potencjalnie toksyczną ilość substancji czynnej”. Dla ćpunów zabrzmiało to wręcz jak zaproszenie. W raporcie Biura Kontroli Rządu (GAO) z 2003 roku, sporządzonym na zamówienie członków Kongresu Stanów Zjednoczonych i poświęconym działaniom marketingowym wokół OxyContinu, stwierdzono, że FDA nie uwzględnił możliwości „rozpuszczenia leku w wodzie i dożylnego jego wstrzyknięcia”.

Od samego początku firma Purdue adresowała działania promocyjne OxyContinu nie tylko do osób z chorobą nowotworową lub pacjentów pooperacyjnych, wśród których reklamowała MS Contin. Pozycjonowała ona swój nowy produkt jako opiat świetnie wpasowujący się w drabinę analgetyczną WHO. Firma chciała przekonać lekarzy do agresywnego leczenia bólu u osób

niechorujących na raka i przepisywania OxyContinu w przypadkach umiarkowanego bólu odczuwanego dłużej niż kilka dni. Miano go stosować na bóle kręgosłupa lędźwiowego i kolan, przy wyrywaniu zębów, bólach głowy, fibromialgii, jak też w przypadku kontuzji piłkarskich, hokejowych, kolarskich, złamań, no i oczywiście po operacjach. To wielki nowy rynek dla opiatowego środka przeciwbólowego. W Stanach Zjednoczonych liczebność samej tylko grupy osób cierpiących na bóle lędźwiowego odcinka kręgosłupa wynosi około trzydziestu pięciu milionów osób. Cała populacja chorych na raka zmieści się w dwudziestu procentach tej liczby.

Chcąc dostać się do takich konfitur, firma Purdue musiała rozwiać najpierwszą z żywionych przez lekarzy wątpliwości – czy ten produkt aby nie uzależnia?

Powielając przyjęte w latach sześćdziesiątych przez Arthura Sacklera pomysły dotyczące promowania Valium, firma Purdue zaczęła reklamować OxyContin jako zupełnie niegroźne rozwiązanie problemów zdrowotnych, które pacjenci na co dzień zgłaszali swoim lekarzom. Firma nalegała zarazem na swoich sprzedawców, by „nadawali aspekt emocjonalny bólowi pochodzenia pozanowotworowego, dzięki czemu lekarze będą traktować go z większą powagą i leczyć bardziej agresywnie”. Cierpienia wielu chorych odczuwających ból były rzeczywistym problemem. Purdue starała się więc przekonać lekarzy, że OxyContin to środek, „od którego warto zacząć i z którym dobrze pozostać”, a oni sami nie powinni zbytnio się martwić, bo oksykodon uwalniany jest powoli i przez wiele godzin. Tym samym produkt nie powoduje silnych stanów euforycznych i depresyjnych, które mogłyby wywołać głód narkotyczny.

Przekaz ten skierowano przede wszystkim do lekarzy pierwszego kontaktu, którzy swoją wiedzę na temat kontroli bólu czerpali zazwyczaj z konferencji medycznych, na których wysłuchiwali wystąpień rewolucyjnie usposobionych prelegentów rozpowszechniających wieści, że jak „wykazano”, opiaty uzależniają mniej niż jeden procent pacjentów odczuwających ból.

Były dyrektor do spraw sprzedaży Purdue na Wirginię Zachodnią, William Gergely, przyznał, że firma wywierała naciski na swoich przedstawicieli handlowych, by ci podkreślali bezpieczeństwo związane ze stosowaniem OxyContinu. Gergely odpowiedział negatywnie na moją prośbę o wywiad, jednak w 2003 roku powiedział dziennikowi „South Florida Sun Sentinel”: „Kazali nam mówić, że to »praktycznie« nie uzależnia. Takie mieliśmy instrukcje. To nie było

w porządku, ale tak właśnie kazali nam mówić… Mówiło się więc lekarzom, że jest jakieś badanie, ale im się go nie przedstawiało”.

W swojej książce *Pain Killer* Barry Meier obszernie opisuje techniki marketingowe i szkoleniowe stosowane przez Purdue. Firma organizowała dla swoich przedstawicieli handlowych trwające tygodniami szkolenia. Jedną z podnoszonych podczas nich kwestii było ryzyko wpadnięcia w uzależnienie przez odczuwających ból pacjentów, którym podawano narkotyki. Jak napisał Meier: „Właściwa odpowiedź brzmiała: »mniej niż jeden procent«”.

Gość i Nayaritańczyk

Północna Nevada

Na początku lat dziewięćdziesiątych Gość odsiadywał wyrok w więzieniu o obniżonym rygorze Northern Nevada Correctional Center w Carson City.

Spacerniakiem rządzili biali, czarni też stanowili pewną siłę, tylko Meksykanów było niewielu i słabo sobie radzili. Zazwyczaj byli niepiśmiennymi imigrantami, nowicjuszami w fachu więziennym. Zawsze uważni i czujni, nie mówili nawet po angielsku. Gość, który był dwujęzyczny, stał się ich rzecznikiem.

Czarni i biali dostali do swej dyspozycji całkiem duże ogródki, do których nawadniania służył im system schowanych pod ziemią rur. Uprawiali w nich warzywa, melony i inne rośliny jadalne. Meksykanie nie mieli niczego, więc Gość zaczął zabiegać o poszanowanie ich interesów. Ostatecznie władze więzienne przydzieliły im skrawek ziemi, tyle że nienawodnionej.

Gość zatem znów spotkał się z naczelnikiem więzienia.

– O co chodzi z tym brakiem wody? – spytał. – Znęcacie się nad moimi ludźmi.

Naczelnik zezwolił na doprowadzenie rury do ogródka i od tamtej pory Gość dostawał odrobinę wszystkiego, co udało się Meksykanom w nim wyhodować.

To nie był koniec. 4 lipca biali zrobili sobie grilla i przygotowali żeberka oraz gotowaną kukurydzę. Na Cinco de Mayo nie było niczego. Gość znowu udał się do naczelnika i ustalił, że Meksykanie w swoje najbliższe święto będą mieli dla siebie połowę kuchni, a potem salę gimnastyczną na okolicznościową imprezę. Zaprosili strażników z żonami, a więźniowie nauczyli je tańczyć *la quebradita* do wtóru granej przez *banda* muzyki lecącej z boomboxów. Gość wygłosił przemówienie, w którym podziękował naczelnikowi za uszanowanie meksykańskich więźniów i ich święta.

Zorganizował też mecze piłkarskie z drużynami spoza więzienia. Sam został członkiem więziennej drużyny bejsbolowej. składało się z baraków i w tym, w którym odsiadywał wyrok, miał własny kąt ze stolikiem do gry w domino i karty. Zaprzyjaźnił się z więźniem z małego, położonego na wybrzeżu Oceanu Spokojnego stanu Nayarit, którego skazano za przewóz kokainy.

Okazało się, że Nayaritańczyk – bo tak go sobie Gość nazwał – w wieku osiemnastu lat nielegalnie przyjechał do Stanów Zjednoczonych za pracą, która miała być *derecho* – czyli zgodna z prawem. Wujek zabrał go wraz z braćmi do Yakimy i tam przez jakiś czas zbierał jabłka. Potem przeniósł się do doliny San Fernando, gdzie mieszkała największa w Stanach Zjednoczonych społeczność Meksykanów pochodzących z jego rodzinnego miasta.

Jeden z jej członków, kuzyn, sprzedawał wtedy heroinę z mieszkania w Panorama City – dzielnicy Los Angeles. To od niego Nayaritańczyk nauczył się ulicznej sprzedaży narkotyków. Potem zaczął się zadawać z ludźmi wysyłającymi kokainę do Nevady, został aresztowany i trafił do więzienia.

W celi nie miał żadnych pieniędzy. Gość gotował i dzielił się z nim jedzeniem. Nayaritańczyk zrewanżował mu się intrygującą opowieścią.

Pochodził z Xalisco, które leżało niedaleko Tepic, stolicy stanu Nayarit. W górach nad Xalisco świetnie rósł mak lekarski. Indianie Cora sprzedawali mleczko makowe ludziom z jego miasta. Przetwarzanie mleczka w czarną smołę było rzemiosłem, które opanowało kilka żyjących tam rodzin. Zaopatrywały one krewnych mieszkających w dolinie San Fernando. Od momentu, kiedy go zamknięto, jego kuzyni rozszerzyli działalność także na Honolulu, Phoenix i Portland.

Problem jednak polegał na tym, że członkowie jego rodziny nie mówili po angielsku i nie mogli głębiej wejść w świat narkomanów. Nie byli w stanie zdobyć nowych rynków i wykorzystać nadarzających się możliwości. „Jesteś dwujęzyczny”, mówił Gościowi. „Jesteś Amerykaninem. Jesteś na metadonie i znasz kliniki, w których go podają. Wyobraź sobie, że po prostu jesteś uzależniony. Jesteś zależny od dostaw, nieważne z jakiego źródła. Ja mogę ci zapewnić cały ten towar, którego potrzebujesz. Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jakie pieniądze moglibyśmy zrobić. Ty, ja, moja rodzina, moi bracia. Reno, Denver, Salt Lake City i Hawaje. To są duże rynki”.

– Miał nieźle przemyślane, co to mogłoby oznaczać dla jego miasteczka – opowiadał mi lata później Gość. – Kupiłem to, trzymałem się tego i od tego zacząłem. Zaufałem mu, bo miał wizję, w której mogłem okazać się pomocny, mogłem dla nich dużo zrobić. Znałem się na narkomanach w Stanach, a z tą wiedzą mogliśmy połączyć siły i obaj byśmy na tym dobrze wyszli. W kółko rozmawialiśmy wtedy o zachodnich stanach.

Nie chodziło nawet o wszystkie położone na zachodzie stany, bo Teksas i Arizona nie interesowały Gościa. On sam spędził lata w kalifornijskich więzieniach, w których latynoscy więźniowie od dawna tłukli się z Teksańczykami i Arizończykami. Uważał te stany za ciemnogród i choć schodziło tam dużo heroiny, to nigdy nie widział w nich potencjalnych rynków zbytu.

Kiedy zwolniono go warunkowo w 1993 roku, osiadł w Reno. Po kilku miesiącach do jego drzwi zapukał Nayaritańczyk. Deportowano go, ale udało mu się wrócić. Wszedł do środka, kipiąc od pomysłów. W rodzinnym mieście spotkał się z kuzynami, którzy powiedzieli mu, że mają własny system wykorzystujący pagery, które były wtedy ostatnim krzykiem mody. Nayaritańczyk opisał metodę działania kuzynów. Wyglądało to tak: klienci dzwonili na konkretny numer, następnie dyspozytor wysyłał na pager dilera kod pokazujący mu, gdzie ma zawieźć towar. Kuzyn zatrudnił kilku chłopaków, którzy sprzedawali heroinę bezpośrednio narkomanom. Większość kierowców była krewnymi z biednych rodzin, które uprawiały trzcinę cukrową. Pracowały w upale i znoju, ale ich harówka tak naprawdę prowadziła donikąd. Setki młodych mężczyzn w Nayaricie – biedacy, których ojcowie posiadali kilka akrów ledwo pozwalających przeżyć – paliły się, by porzucić trzcinę i wspiąć się w hierarchii społecznej.

– Ciężko pracują w zamian za stałe wynagrodzenie, no i nikt ich nie oszukuje – dodał Nayaritańczyk. – Są szczęśliwi, że mają tę robotę.

Gość, który przecież od niepamiętnych już czasów jechał na heroinie, nigdy nie słyszał o kimś, kto zarabiałby na życie, sprzedając narkotyki i dostając za to regularną pensję. Dostrzegał jednak pomysłowość tego rozwiązania. Dotąd heroiną zawsze handlowali dilerzy, którzy przesiadywali w jakimś mieszkaniu lub domu. Bywało, że policja robiła naloty na takie lokale, więc handlarze często się przeprowadzali i musieli w jakiś sposób powiadomić swoich klientów o zmianie adresu. Jednak mając do dyspozycji pagery, dilerzy mogli obsługiwać ich z samochodów. Kupujący nie musieli się już narażać i chodzić na melinę, by zdobyć swoją działkę. Wystarczyło, że mieli pod ręką numer telefonu, a towar dostarczano im do domu lub gdzie tam im pasowało. Ponieważ dostawy z Nayaritu napływały nieprzerwanie, system gwarantował narkomanom niezawodność, wygodę i bezpieczeństwo.

Niedługo potem świeżo dogadani partnerzy uruchomili w Reno swoją pierwszą *tiendita* z heroiną. Początkowo obsługiwali dobrze sobie znanych narkomanów weteranów. Nie przynosiło to zbyt wielkiego zysku, około tysiąca dolarów

dziennie. Wkrótce jednak pracy zaczęła się domagać coraz większa grupa chłopaków ze wsi. Część utworzyła własne zespoły, nasycając rynek. Żeby móc zarobić na życie, sprzedając działki stumiligramowe, trzeba było mieć duże obroty. Jedynym wyjściem było poszukiwanie nowych miejsc zbytu.

Mając już swój obsługiwany przez dzieciaki z Xalisco sklepik w Reno, Nayaritańczyk i Gość ruszyli do Salt Lake City, gdzie zatrzymali się w motelu i odkryli, że na miejscu jest mnóstwo starych narkomanów. Niemniej miasto było wciąż w miarę wolne od narkotyków, co Gość przypisywał mormonom. Ponadto mieszkało w nim wielu Meksykanów, więc łatwo mogli się wśród nich rozpłynąć.

Wkrótce okazało się, że rozprowadzili cały towar. Gość posłał do Reno po nową dostawę. Z kolei Nayaritańczyk zadzwonił do Xalisco i niebawem do miasta przyjechało dwóch gotowych do podjęcia pracy chłopaków. Stworzyli komórkę, która działa ponoć po dzień dzisiejszy pod kierownictwem szwagra Nayaritańczyka.

Rozkręciwszy dwie *tienditas*, zrobili sobie wakacje. Polecieli do Meksyku z trzydziestoma tysiącami dolarów w kieszeni. Gość po raz pierwszy w życiu trafił do Xalisco w niewielkim stanie Nayarit.

Swing z OxyContinem

Południowe Ohio

W 1997 roku lekarz rodzinny Phillip Prior zauważył, że w miejskim szpitalu w Chillicothe w południowym Ohio, gdzie pracował, regularnie zaczęli się pojawiać przedstawiciele firmy nazywającej się Purdue Pharma.

Przychodzili co kilka miesięcy i zapraszali lekarzy na wyszukany obiad składający się ze steku, sałatki i deseru. Mieli też slajdy i wykresy przemawiające za zadziwiającą teorią, że wyprodukowany przez firmę nowy lek o nazwie OxyContin w zasadzie pozbawiony jest właściwości uzależniających. Jak mówili podczas prezentacji, uzależnienie pojawiło się u mniej niż jednego procenta pacjentów.

Ich zapewnienia zaskoczyły Priora, gdyż OxyContin zawierał dużą dozę opiatu zwanego oksykodonem. Prior studiował medycynę na początku lat osiemdziesiątych i uczono go, by generalnie unikać opiatów. Pamiętał badanie, z którego wynikało, że zażycie trzydziestu miligramów oksykodonu dziennie może prowadzić do wystąpienia głodu narkotycznego.

Według Priora prowadzona przez Purdue kampania marketingowa stała w sprzeczności „z tym, czego uczono na akademii medycznej”.

– Mówiono mi, że to niebezpieczne, uzależniające [leki], których skuteczność ograniczona jest do krótkiego czasu – opowiadał. – Bardzo ostrożnie podchodziliśmy do podawania narkotyków, ponieważ są groźne dla zdrowia. To było tak dalekie od tego, czego nas uczono: narkotyki traktowano jako ostatnią deskę ratunku dla chorych umierających na raka i powtarzano nam, że nie powinno się ich podawać pacjentom mającym łagodniejsze choroby.

Jednak akwizytorzy mieli tabele i wykresy z danymi na poparcie tezy, że ponieważ w OxyContinie substancja czynna uwalniana jest stopniowo, odczuwane przez pacjentów i prowadzące do uzależnień silne epizody euforyczne i depresyjne są rzadsze. Tym samym przedstawiciele Purdue upierali się, że można przepisywać go osobom odczuwającym chroniczne bóle pleców, miednicy, kolan i innych stawów, a także w przypadku fibromialgii lub kobiet w połogu.

– To były bardzo skuteczne prezentacje – przyznawał Prior. – Naprawdę zasiewały wątpliwości odnośnie do tego, czego nas uczono na studiach.

Przychodzili dość często – jak pamiętał, w samym 1997 roku byli w jego szpitalu sześć razy, a w południowym Ohio mieli takich spotkań setki, wszystkie z takim samym przekazem. Prowadzona przez firmę Purdue Pharma kampania marketingowa stała się legendą i wyraźnie dało się w niej wyczuć dziedzictwo Arthura Sacklera i typowe dla niego skoncentrowanie się na bezpośrednich kontaktach z lekarzami.

Przedstawiciele Purdue skupiali się też na tych, o ktòrych wiadomo było z dokumentacji, że chętnie przepisują opiaty. Aby poszerzyć grupę zwolenników ich stosowania, organizowano również spotkania z pielęgniarkami, aptekarzami, pracownikami hospicjów, szpitali i domów spokojnej starości. Wykorzystywana przez firmę lista teleadresowa początkowo zawierała dane trzydziestu trzech tysięcy lekarzy w całym kraju, potem liczba ta wzrosła do ponad siedemdziesięciu tysięcy. Ponadto, w miarę jak OxyContin zdobywał coraz szerszą popularność, zatrudniony w Purdue personel działu sprzedaży rozrósł się trzykrotnie – do tysiąca osób.

Przez te wszystkie lata firma ta nie była bynajmniej osamotniona w swoich wysiłkach marketingowych. Lata dziewięćdziesiąte to epoka leków będących hitami, tabletek przynoszących miliard dolarów zysku, a wyścig zbrojeń toczony przez przedstawicieli handlowych poszczególnych firm farmaceutycznych stanowił nieodłączną część charakterystycznego dla tego okresu kultury braku umiaru. Model biznesowy stosowany w przemyśle farmaceutycznym opierał się na opracowaniu leku – na cholesterol, depresję, ból czy impotencję – a następnie wypromowaniu go przy pomocy rosnącej liczby przedstawicieli handlowych. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku i na początku pierwszej dekady XXI wieku stworzona przez Arthura Sacklera wizja promowania produktów farmaceutycznych znalazła swoje najbardziej nieskazitelne ucieleśnienie w postaci gwałtownie rosnącej liczby pracowników działów sprzedaży. W 1995 roku trzydzieści pięć tysięcy Amerykanów pracowało jako przedstawiciele handlowi firm farmaceutycznych. Dziesięć lat później było ich rekordowe sto dziesięć tysięcy – wszyscy byli sukcesorami Sacklera, którzy przemierzali Stany Zjednoczone, sprzedając dopuszczone do obrotu leki.

Tłoczyli się więc w gabinetach lekarskich i na szpitalnych korytarzach. Pfizer – ten niewielki koncern chemiczny, który przed półwieczem zatrudnił Sacklera –

zdążył w międzyczasie zostać największym na świecie producentem leków. W swojej ofercie miał takie hity, jak Viagra, antydepresant Zoloft oraz najlepiej sprzedający się w historii lek, czyli obniżający poziom cholesterolu Lipitor. Pfizer przodował we wdrażaniu pomysłów Sacklera w życie. W jego rozsianych po całym świecie działach sprzedaży pracowało aż trzydzieści osiem tysięcy osób, z czego w samych Stanach Zjednoczonych dwanaście tysięcy. Lekarze narzekali, że dziennie potrafili mieć do trzech wizyt przedstawicieli Pfizera. W branży ukuto nawet na to termin: „nogi za progi". Tłum sprzedawców dzwonił do lekarzy, chcąc zmienić ich przyzwyczajenia związane z przepisywaniem leków. Nie zmienia to faktu, że Pfizer był tylko liderem przemysłu napędzanego obsesją produkowania leków, które stałyby się przebojem, przekonanego, że najlepszym sposobem, by na tym zatłoczonym rynku pozyskać uwagę lekarzy, jest działalność coraz większej rzeszy przedstawicieli handlowych. W rezultacie powstał swoisty farmaceutyczny „dziki zachód". Akwizytorzy rzucili się do gabinetów. Mówili rzeczy, które ułatwiały sprzedaż leków osaczonym lekarzom. Te same slogany doprowadziły potem do głośnych rozpraw sądowych oraz spraw karnych wytoczonych zatrudniającym ich firmom.

Purdue podwyższyła wymagania dotyczące poziomu sprzedaży OxyContinu, który trzeba było osiągnąć, by dostać premię. Mimo to przedstawiciele handlowi i tak przekraczali każdy wyznaczony im cel. W 1996 roku Purdue przeznaczyła na premie związane ze sprzedażą OxyContinu milion dolarów, pięć lat później było to już czterdzieści milionów. Niektórzy z jej przedstawicieli – szczególnie w południowym Ohio, wschodnim Kentucky i innych rejonach, gdzie najszybciej pojawiła się fala uzależnień od leku – ponoć dostawali w tym okresie sto tysięcy dolarów kwartalnej premii. Była to suma niespotykana w innych amerykańskich firmach farmaceutycznych. Doświadczeni pracownicy opowiadają, że w większej części przemysłu farmaceutycznego dodatkowe wynagrodzenie za wybitnie udany rok nie przekracza trzydziestu tysięcy dolarów. Firmy potrafią przewidzieć, jak dobrze sprzeda się ich lek, a w przypadku spodziewanych hitów na tyle wyśrubować cele handlowe, by uniknąć wypłacania aż tak wysokich premii. Tak więc Purdue najwyraźniej nie doszacowała ilości leku, jaką jej przedstawiciele byli w stanie sprzedać w ciągu roku. Firma mogła też nie przypuszczać, że produkt – w połączeniu z rewolucją w podejściu do bólu i komunikatem, że OxyContin nie uzależnia – tak dobrze sam się sprzeda. Jakkolwiek by było, premie wypłacane pracownikom Purdue nie miały nic wspólnego z tymi oferowanymi przez

większość firm farmaceutycznych działających w Stanach. Za to uderzająco przypominały zyski wypracowywane w podziemiu narkotykowym.

To był dobry czas dla przedstawicieli handlowych zatrudnionych w Purdue.

W 2002 roku branżowa organizacja Amerykańscy Badacze i Producenci Farmaceutyczni oraz Departament Zdrowia i Opieki Społecznej Stanów Zjednoczonych opracowały niewiążące wytyczne dotyczące działań marketingowych związanych z opiatowymi środkami przeciwbólowymi. Chcąc wziąć w karby personel działów sprzedaży firm farmaceutycznych, który rozrósł się do gargantuicznych rozmiarów, odwodziły od oferowania niestosownych podróży, posiłków lub prezentów oraz od wypłacania przesadnych wynagrodzeń za doradztwo i działalność badawczo-naukową lekarzom, którzy w zamian mieli przepisywać pacjentom określone leki. W wytycznych znajdował się też zakaz wręczania wszelkich materiałów promocyjnych niezwiązanych z opieką zdrowotną.

To było jednak w 2002 roku. Przez pierwszych sześć lat sprzedaży OxyContinu Purdue nie miała większych zahamowań.

Purdue Pharma oferowała lekarzom kupony na OxyContin, które mieli wydawać swoim pacjentom wraz z przepisywaną im receptą. Ci zaś mogli udać się do uczestniczącej w programie apteki po jednorazowo wydawany bezpłatny lek. Do momentu zaprzestania tej promocji zrealizowano trzydzieści cztery tysiące kuponów.

Z kolei lekarze dostawali oxycontinowe kapelusze wędkarskie, pluszowe zabawki, kubki do kawy, piłeczki golfowe i długopisy z tabelą pozwalającą przeliczyć przyjmowane przez pacjentów dawki na OxyContin. Na rozdawanej przez firmę płycie CD *Swing is Alive* rozbrzmiewało *Swinguj w dobrą stronę z OxyContinem*. Oprócz tego umieszczono na niej dziesięć zaaranżowanych na big-band utworów, w tym *One O'Clock Jump* Counta Basiego i *Boogie Woogie Bugle Boy* Andrews Sisters. Lekarzom rozdawano też notesy z logo leku, by „pamiętać o OxyContinie, ilekroć ktoś zadzwoni".

Wiele z tych metod – premie, wyjazdy, podarki – to sprawdzone przez lata i udoskonalone przez firmy farmaceutyczne strategie, które swój początek miały w rewolucji rozpoczętej przez Arthura Sacklera. Tym razem jednak reklamowany lek zawierał dużą ilość substancji o budowie niemal identycznej co heroina. DEA oświadczyła potem, że żadna inna firma nigdy nie sięgnęła po tego rodzaju techniki marketingowe do wypromowania leku zaklasyfikowanego do kategorii Schedule II.

Purdue zorganizowała około czterdziestu seminariòw poświęconych kontroli bólu i szkoleniu rzeczników. Firma zatrudniła w swoich krajowych biurach informacyjnych lekarzy, którzy podczas konferencji medycznych i na korytarzach szpitalnych mieli rozmawiać ze swoimi kolegami po fachu oraz pielęgniarkami na temat stosowania oksykodonu – a tym samym i OxyContinu. Konferencje te organizowano przez pięć lat w Boca Raton na Florydzie i w Scottsdale w Arizonie, a uczestniczyło w nich około pięciu tysięcy przedstawicieli służby zdrowia. Ponadto Purdue uczyniła z ustawicznego kształcenia medycznego (CME) ważny element swojej kampanii. W latach dziewięćdziesiątych program ten realizowano już od niemal dekady, ale w coraz większym stopniu zależał on od funduszy wykładanych przez branżę farmaceutyczną. Te same firmy przeznaczały setki milionów dolarów – głównie ze swych budżetów marketingowych – na wysyłanie lekarzy do kurortów, racząc ich obiadami, wyjazdami na golfa czy zabiegami w centrach odnowy biologicznej. Zarazem odbywały się tam przeznaczone dla nich seminaria, które zazwyczaj prowadzone były przez starannie dobranych specjalistów. Na koniec okazywało się, że rozwiązaniem dla poruszanych podczas nich problemów jest stosowanie leku produkowanego przez organizatora wyjazdu. Co więcej, ciężko pracujący lekarze nie wykazywali zbytniej ochoty do odwiedzania mało atrakcyjnych miejsc. Gromadzili się więc tłumnie na szkoleniach w kurortach w rodzaju Scottsdale, oczekując zarazem dodatkowych luksusów zapewnianych przez bogate koncerny farmaceutyczne.

Oczywiście oferowano również szkolenia, które stały na wysokim poziomie. Większość pracowników służby zdrowia nie wysiedziałaby na imprezach mających wcisnąć im ten czy tamten lek. Niemniej konflikt interesów był wyraźny. Jak opowiadał jeden z organizatorów takich seminariów, który wciąż jeszcze działa w branży, przez te wszystkie lata „ustawiczne kształcenie medyczne często było podstępnie wykorzystywane marketingowo przez firmy farmaceutyczne. Golf, podejmowanie obiadem oraz częstowanie winem – tak podbijało się umysły i serca uczestników, a przynajmniej ich część”.

W 2004 roku Komitet Akredytacyjny Programu Ustawicznego Kształcenia Medycznego opracował nowe zasady mające „wyraźniej wytyczyć granicę” między komercyjną działalnością firm farmaceutycznych a seminariami. Wbrew regułom jest już wywieranie przez te firmy nacisków na wybór przedstawianych treści oraz prelegentów, wprowadzono też ograniczenia w sposobie korzystania z pochodzących z subsydiów funduszy. Od tamtej pory skala finansowania

seminariów przez firmy farmaceutyczne zmalała, ponadto wiele przedsiębiorstw zajmujących się ich organizacją i obsługą wycofało się z interesu. Obecnie duża część szkoleń dostępna jest w internecie, gdzie nie ma ryzyka niewłaściwego wpływania na ich uczestników poprzez oferowanie pobytu w kurortach, zaproszenie na obiad lub partyjkę golfa.

Przedtem Purdue obficie sponsorowała program ustawicznego kształcenia medycznego, a zwłaszcza seminaria poświęcone nowym technikom leczenia bólu, które często związane były ze stosowaniem niewymienionych z nazwy leków opiatowych o stopniowym uwalnianiu substancji czynnych. Nieprzypadkowo jedynym takim produktem dostępnym wówczas na rynku był OxyContin. Najwyższy Urząd Kontroli Stanów Zjednoczonych donosił, że firma współfinansowała ponad dwadzieścia tysięcy projektów edukacyjnych. Dzięki nim lekarze podczas konferencji medycznych urządzanych na szczeblu stanowym lub lokalnym mogli otrzymać wydawane w ramach programu certyfikaty.

Jednym z częstych prelegentów imprez organizowanych przez Purdue był wielce elokwentny Russell Portenoy. Podkreślał złożoność problematyki leczenia bólu, bo jak sam mówił, czasami wymagało ono podejścia interdyscyplinarnego. Zwracał zarazem uwagę, że na przewlekłe bóle najlepsze są działające przez dłuższy czas opiatowe środki przeciwbólowe.

– Nie chodziło o to, że Portenoy mówił na rzecz Purdue – opowiadał jeden z organizatorów seminariów, który współpracował z nim i z firmą. – On naprawdę szczerze wierzył, że to cudowne tabletki na chroniczne bóle. Gdyby jednak nie stały za nim pieniądze, które wyasygnowała Purdue, nie miałby aż tylu publikacji, nie wygłosiłby aż takiej liczby przemówień, a jego oddziaływanie byłoby słabsze. Dzięki pieniądzom od firmy przekaz, jaki głosił, zresztą zgodny z jej projektem marketingowym, został mocno nagłośniony. Był dla nich darem niebios. Wystarczy, że ma się kogoś, kto mówi to, co trzeba. Ci, którzy ostrzegają przed tymi lekami, nie dostają dofinansowania. Mogą napisać artykuł do czasopisma, ale nie mają dostępu do megafonu.

Kolejnym medium, dzięki któremu Purdue zdobywała wpływy, były materiały wideo. W 1998 roku firma wysłała lekarzom piętnaście tysięcy kopii filmu poświęconego OxyContinowi. Uczyniła to bez uprzedniego przesłania nagrania Federalnemu Urzędowi Żywności i Leków do recenzji, co było naruszeniem przepisów ustanowionych przez tę agencję. *Got My Life Back. Patients in Pain Tell*

Their Story [Żyję na nowo. Cierpiący na bóle opowiadają swoją historię] było świadectwem kilku pacjentów, którzy przestali odczuwać bóle.

Dwa lata później Purdue wysłała kolejnych dwanaście tysięcy zaktualizowanych kopii filmu z udziałem pacjentów opowiadających o tym, jak OxyContin zmienił ich życie. Nagranie zawierało informację o stuseśćdziesięciomiligramowej tabletce i – jak to ujęto w opublikowanym w 2003 roku i poświęconym kampanii promocyjnej OxyContinu raporcie Najwyższego Urzędu Kontroli – „bezpodstawne twierdzenia dotyczące wpływu leku na jakość życia pacjentów […], jak też próbę zminimalizowania związanych z nim zagrożeń".

Występujący w nagraniu lekarz raz jeszcze podniósł tezę – błędnie wywiedzioną z listu Porter i Jicka – w myśl której wykazano, że bazujące na narkotykach środki przeciwbólowe wywołują uzależnienie u mniej niż jednego procenta pacjentów.

Co więcej, firma rozdystrybuowała czternaście tysięcy kopii filmu przeznaczonego do wyświetlania w poczekalniach gabinetów lekarskich o tytule *From One Pain Patient to Another. Advice from Patients Who Have Found Relief* [Przesłanie od cierpiącego pacjenta. Rady od osób, które znalazły ulgę] – w którym pacjentów zachęcano do mówienia lekarzom o odczuwanych przez siebie bólach. Nagranie miało również rozwiewać obawy związane z opiatowymi środkami przeciwbólowymi, raz jeszcze podkreślając, że tabletki wywołały uzależnienie u mniej niż jednego procenta pacjentów.

Purdue finansowała stowarzyszenia zajmujące się bólem i strony internetowe promujące jego leczenie. Organizacje te z pozoru prowadziły działalność informacyjną, ale w istocie były opłacane przez wielkie koncerny. W 1997 roku założono organizację Partnerstwo przeciwko Bólowi, która informowała konsumentów o możliwościach związanych z leczeniem bólu, w tym o stosowaniu OxyContinu, i przedstawiała listę rozsianych po Stanach Zjednoczonych lekarzy zajmujących się zwalczaniem bólu. Jedna z ufundowanych przez Purdue stron internetowych – FamilyPractice.com – zamieszczała skierowane do lekarzy ogłoszenia o realizowanych w ramach ustawicznego szkolenia medycznego darmowych programach edukacyjnych poświęconych kontroli bólu.

Purdue zapewniała również finansowanie założonej w Baltimore Amerykańskiej Fundacji Bólu (APF), która promowała stosowanie opiatów w przypadkach ostrego i chronicznego bólu. Fundacja prowadziła też kampanie e-mailowe, które skierowane były do mediów oskarżanych przez nią o stronniczość w informowaniu o opiatach i leczeniu bólu. Specjalizująca się w dziennikarstwie śledczym

organizacja non profit ProPublica donosiła, że fundacja występowała po stronie Purdue w pozwie zbiorowym wystosowanym w 2001 roku przez pacjentów z Ohio skarżących się na uzależnienie od OxyContinu. (APF zakończyła działalność w 2012 roku, kiedy to komisja Senatu Stanów Zjednoczonych ogłosiła wszczęcie śledztwa w sprawie udziału organizacji w promowaniu stosowania opiatowych środków przeciwbólowych).

Purdue dotowała również rozwój stron internetowych instytucji mających ustaloną pozycję w Stanach Zjednoczonych, na przykład Amerykańskiego Stowarzyszenia Przewlekłego Bólu lub Amerykańskiej Akademii Medycyny Bólu.

Prowadzona przez firmę kampania spotkała się z powszechną krytyką. Koniec końców stała się również przedmiotem sprawy karnej. Niemniej tego typu działania marketingowe nie dotarłyby do szerszej publiczności bez wsparcia udzielonego przez zwolenników rewolucji w podejściu do bólu, którzy od lat przygotowywali pod nie grunt, przekonując lekarzy pierwszego kontaktu, że we właśnie rozpoczynającej się nowej epoce można przepisywać opiaty bez narażania chorych na ewentualne uzależnienie. Prawnicy szpitalni nieraz informowali lekarzy, że pacjenci mogą podać ich do sądu, jeśli nie podejmą leczenia bólu z użyciem takich właśnie leków. Bez tego wszystkiego – bez zapewnień, że ból nie był dotąd leczony w sposób wystarczający, i bez uznania bólu za piąty parametr życiowy – OxyContin najprawdopodobniej nie odniósłby aż tak spektakularnego sukcesu rynkowego.

W 2003 roku ponad połowę ogółu medyków przepisujących w Stanach Zjednoczonych OxyContin stanowili lekarze pierwszego kontaktu, którzy po pierwsze nie przeszli specjalistycznych szkoleń z zakresu kontroli bólu, a po drugie znajdowali się pod rosnącą presją, by wizyty chorych w ich gabinetach były jak najkrótsze. Liczba recept wystawionych na OxyContin przepisywany na bóle chroniczne wzrosła z sześciuset siedemdziesięciu tysięcy w 1997 roku do ponad sześciu milionów w 2002 roku. Z tego na przypadki bólu wywołanego chorobą nowotworową przypadało odpowiednio dwieście pięćdziesiąt tysięcy i nieco ponad milion.

Phil Prior dość szybko zdał sobie sprawę, że jego koledzy zaczęli przepisywać OxyContin na dolegliwości chroniczne, o których wspominali przedstawiciele handlowi, czyli choćby na bóle kolan i pleców lub fibromialgię.

W południowym Ohio bardzo rzadko stosowano terapię lekową opartą na opiatach. Jednak już w 1998 roku Chillicothe i okoliczne miasteczka zostały zalane

setkami pacjentów uzależnionych od OxyContinu. Okazało się, że chorzy chodzili od lekarza do lekarza i opowiadali o swoich bólach, żądając zarazem coraz większych dawek leku. Dilerzy sprzedający na ulicach metamfetaminę lub kokainę wprowadzili do oferty również OxyContin. Uzależnieni nauczyli się go kruszyć, a potem wciągać lub wstrzykiwać, by w ten sposób zażyć na raz całą przeznaczoną na dwanaście godzin dawkę oksykodonu.

Starsze osoby zorientowały się, że mogą dorobić do swoich rent i emerytur, sprzedając młodszym od siebie swoje recepty na OxyContin. Tak naprawdę jednymi z pierwszych dilerów OxyContinu byli właśnie emeryci, którzy uświadomili sobie wartość tabletek przechowywanych w swoich szafkach.

– Dostanie od lekarza recepty na OxyContin było jak wygrana w lotto – przyznawał Prior. – Nikt się długo nie zastanawiał, tylko od razu sprzedawał.

Sprzedaż leku gwałtownie rosła. Co roku przekraczała przyjmowane przez Purdue plany, aż zarówno w roku 2001, jak i 2002 jej wartość przekroczyła miliard dolarów. Towarzyszyło temu niepohamowane, nasilające się zjawisko nadużywania tego środka. W mediach OxyContin nazywano „prostacką heroiną”, opisując spustoszenie, jakie szerzył. Nigdy się nie dowiedziano, ilu uzależnionych zaczynało jako okazjonalni konsumenci, a ilu z nich było chorymi faktycznie odczuwającymi przewlekłe bóle.

Nie tak daleko od Chillicothe, bo na Uniwersytecie Wirginii Zachodniej w Morgantown, doktor Carl „Rolly” Sullivan obserwował, jak jego ośrodek odwykowy zapełniał się osobami uzależnionymi od OxyContinu. Do tej pory specjalnością kliniki byli alkoholicy. Jednak w miastach Wirginii Zachodniej uzależnieni od opiatów pojawili się w takiej masie, że w ośrodku Sullivana zaczęło brakować łóżek dla pacjentów. Każdego dnia miał do czynienia z ludźmi przyjmującymi horrendalne dzienne dawki leku – trzysta miligramów i więcej. Właściwie nie widział różnicy między nimi a heroinistami.

– Purdue i przemysł farmaceutyczny utrzymywały, że przypadki uzależnienia od OxyContinu były sporadyczne – opowiadał Sullivan. – Tak naprawdę częstość ich występowania okazała się o wiele wyższa, niż wynikało z ich zapewnień. Jednak w kwestii stosowania opiatów panował entuzjazm, którego świat nauki bynajmniej nie podzielał.

Wskutek ponawiających się medialnych doniesień o rosnącej liczbie osób nadużywających lub uzależnionych od OxyContinu ktoś z Purdue odezwał się do Sullivana i poprosił o rozmowę z jej przedstawicielami handlowymi. Spotkali się

w hotelu w Charleston, ze strony firmy przyszło dwadzieścia osób. Wyglądali na przejętych. Spędził więc z nimi kilka godzin, opisując wzmożony ruch w jego klinice i podając dawki ich leku przyjmowane przez osoby, których część była niegdyś pacjentami odczuwającymi bóle.

– Powiedziano nam, że jest bezpieczny – wyznał jeden z przedstawicieli.

Sullivan przyjechał z kobietą, która w jego ośrodku przechodziła odwyk. Któryś z przedstawicieli handlowych zapytał ją, ile zajęłoby jej zdobycie OxyContinu od dilerów działających na ulicach przyległych do hotelu.

– Jakieś dwadzieścia minut – odpowiedziała. – Ale to tylko dlatego, że nie mam prawa jazdy.

Sullivan pomyślał, że spotkanie otrzeźwiło pracowników firmy, którzy od pięciu lat szturmowali gabinety lekarskie. Okazało się jednak, że Purdue nic nie zmieniła w systemie sprzedaży leku, który zapewniał już aż dziewięćdziesiąt procent rocznego dochodu firmy.

Kobieta, którą Sullivan zabrał ze sobą na spotkanie, pół roku później zmarła wskutek przedawkowania OxyContinu.

Gość w domu

Xalisco, Nayarit

Stan Nayarit rozciąga się na niecałych trzystu kilometrach meksykańskiej części wybrzeża Oceanu Spokojnego i sięga w głąb kraju aż po zachodnie grzbiety gór Sierra Madre.

W scentralizowanym życiu administracyjno-politycznym Meksyku Nayarit pojawił się dość późno. Jeszcze przez stulecie po uzyskaniu niepodległości ten niewielki region wchodził w skład stanu Jalisco. Nawet po wydzieleniu w osobną jednostkę terytorialną pozostawał zaledwie okręgiem wojskowym i dopiero w 1917 roku zyskał autonomię, stając się piątym od końca najmniejszym stanem spośród wszystkich trzydziestu pięciu składających się na Meksyk. Aż do 2010 roku liczba ludności nie przekraczała w nim miliona osób. Nayarit otoczony jest jednymi z największych meksykańskich stanów – nieodległe od niego są Zacatecas i Durango. Od północy sąsiaduje z nim stan Sinaloa, kolebka meksykańskich handlarzy narkotyków. Niewielki Nayarit rzadko trafiał na łamy gazet lub ekrany telewizorów.

Nieco na południe od stolicy stanu Tepic leży miasto Xalisco. Początkowo jego nazwę pisano przez „j” – Jalisco, ale by nie mylono jej z nazwą stanu, zapis zmieniono na Xalisco. Wielu mieszkańców mówi o nim Xalisquillo – Małe Xalisco.

Xalisco przedziela na pół droga wiodąca z Tepic do położonego o sto trzydzieści kilometrów na południe kurortu Puerto Vallarta. Katolicki kościół pod wezwaniem Świętego Kajetana zbudowano w 1812 roku i z tego samego roku są prawdopodobnie kostki brukowe, którymi wyłożona jest wąska ulica biegnąca wokół głównego placu miejskiego Plaza Hidalgo.

Municipio, czyli gmina Xalisco liczy czterdzieści dziewięć tysięcy mieszkańców i obejmuje wianuszek niewielkich wiosek okalających samo miasto. Na wschodzie jest Pantanal, z którego rozciąga się widok na wulkan Sangangüey i gdzie władze ulokowały lotnisko obsługujące Tepic. Na południu, przy drodze do Puerto Vallarta, rozłożyło się wzgórzyste Testerazo, za nim zaś Emiliano Zapata, w którym przy wjeździe wita nas pomnik meksykańskiego rewolucjonisty. Jeszcze

dalej na południe leży Aquiles Serdán. Są też inne wioski – La Curva, El Malinal, Adolfo López Mateos, El Carrizal.

Gość przyjechał tu po raz pierwszy w sierpniu 1993 roku. Zobaczył ubogo wyglądającą miejscowość, która przypominała wiele innych meksykańskich miasteczek. Na *plaza* w centrum Xalisco znajdowały się boisko do bejsbola, estrada, targ, niewielki ratusz, kilka sklepów z tekstyliami oraz lodziarnia. Starcy w słomkowych kowbojskich kapeluszach i sandałach zbierali się tu, by pogadać o tym, co przyniósł dzień. Nieliczne ciężarówki krążyły między wąskimi domami szeregowymi, z których wychodziło się wprost na ulicę. Poza centrum rozciągał się pas niezagospodarowanej ziemi, który oddzielał Xalisco od położonej kilka kilometrów na północ stolicy stanu.

Na początku sierpnia w miasteczku odbywa się Feria del Elote – Targ Kukurydziany. Impreza, w której uczestniczył Gość, była równie skromna i malownicza jak samo Xalisco. Zorganizowano turnieje koszykówki i piłki nożnej z udziałem drużyn z nieodległych wiosek i miejscowej. Przejechała niewielka parada konna, można było kupić watę cukrową, a wieczorami na rynku grały zespoły, u których za niewielką opłatą można było zamówić swój ulubiony utwór.

Tamtego lata Gość z Nayaritańczykiem i innymi operującymi w Stanach Zjednoczonych handlarzami heroiną jako pierwsi w historii zasponsorowali drużyny występujące podczas turniejów. Gość został sponsorem klubu z położonej na południu dzielnicy La Talega – kupił im stroje i piłki, a potem wraz z Nayaritańczykiem i resztą towarzystwa obstawiał, która drużyna wygra. Przegrani płacili za sześciogodzinny występ *banda* grającej tej nocy na rynku.

Przedtem tylko przedsiębiorcy działający zgodnie z prawem – często duzi posiadacze ziemscy – mogli pozwolić sobie na szastanie pieniędzmi podczas fiesty. Odkąd jednak handlarze narkotyków urośli w siłę i nabrali pewności siebie, nigdy nie omijali targów i okazji do rozerwania się i ostentacyjnego obnoszenia ze świeżo nabytym bogactwem.

Ich hojna ręka poprawiała sytuację gospodarczą w miasteczku. Wszyscy przyglądali się, kto sypie pieniędzmi, i tylko podnosili brwi na widok nowych samochodów, świeżo kupionych domów, a także niedawnego biedaka szczodrze opłacającego muzyków na *plaza*. Targ stał się swego rodzaju zjazdem prowadzących interes w Stanach Zjednoczonych dilerów czarnej smoły. Na organizowanych w mieście imprezach mogli zaszpanować, pochwalić się, jak

dobrze się im wiedzie, wymienić patentami na unikanie glin lub ponarzekać na aresztowanie zaufanego kierowcy.

Gość nie opuścił już potem nigdy Feria del Elote. W 1996 roku kupił na wpół ukończony dom od kobiety, której mąż odsiadywał w więzieniu w Sinaloa wyrok pięćdziesięciu lat pozbawienia wolności za napad na bank – wykończył budynek i kalifornijskim zwyczajem posiał trawnik od ulicy. Dodał też barek, pokój do słuchania muzyki, dwie łazienki i poszerzył korytarze. Poznał kobietę, z którą w nim zamieszkał. Każdego roku, już po zakończeniu targu, Gość wracał do Stanów Zjednoczonych.

W Reno przesiadywał w salonie zakładów sportowych Cal Neva Casino, gdzie oddawał się swojemu kolejnemu nałogowi – obstawianiu meczów NFL. Poznał tam pochodzącego z Columbus w stanie Ohio krupiera – potężnego, silnego czarnego mężczyznę o imieniu Daniel, który wraz ze swoją żoną miał za sobą długą historię zażywania heroiny. Jak się okazało, Danielowi bardzo spodobała się czarna smoła. To była dla niego rewelacja. Jednak na wschodzie nie sposób było zdobyć czegoś w jej stylu. Jedyna dostępna w Columbus heroina to był słaby proszek, na tyle zanieczyszczony, że wszyscy uważali go za lipny towar. Ćpuny musiały wydawać na nią po sto dolarów lub więcej, by zbyt szybko nie poczuć głodu.

Pewnego razu Daniel wziął przebywającego w Cal Neva Gościa na bok.

– Człowieku, powinieneś z tym pojechać do Columbus – powiedział. – Zostaniesz milionerem. Tam nie ma czegoś takiego. Mam na miejscu wujka, z którym mogę cię skontaktować.

Podziękował Danielowi.

– W ogóle nie myślałem o Columbus, dopóki nie zaczął zawracać mi głowy – wyznał mi wiele lat później.

Tymczasem jego kobieta w Nayaricie zaczęła narzekać, że bierze na siebie całe ryzyko, zajmując się wszystkim w Stanach Zjednoczonych. Według niej Nayaritańczyk, który siedział w Meksyku i nic nie robił, dostawał pieniądze, jakie mu się nie należały.

– Wiesz, jak to jest, gdy kobieta się wtrąca – wyznał później Gość. – Powiedziała: „Ty robisz wszystko, a on nawet palcem nie kiwnie”.

Musiał przyznać, że dbanie o interesy w Portland, Reno, Salt Lake City, Denver i na Hawajach prowadziło do rozproszenia sił. Te wszystkie drobne szczególiki związane z handlem detalicznym doprowadzały go do szału: dbanie, by dzieciaki się nie obijały i nie zaczęły imprezować, wymiana namierzonego samochodu

w Denver, znalezienie następcy kierowcy aresztowanego w Portland i tak dalej. Kiedy dwóch kierowców na Hawajach zabiło szefów swojej komórki, Gość na życzenie rodziny zadbał o wydanie zwłok i przewiezienie ich do Meksyku.

Potrzebował przerwy. Kumpel z kolei nalegał, by ciągnął dalej.

– Wycofujesz się, gdy nabieramy rozpędu – powiedział mu Nayaritańczyk. – Dobrze nam idzie.

– Nadszedł czas, by zacząć pracować na własny rachunek.

Był rok 1997. Gość świetnie się czuł w Xalisco, traktując je jak swój dom. Miał tam nieruchomość, kobietę, zwierzęta hodowlane i poważanie. Na rynku podchodzili do niego rodzice dzieci, które zatrudniał, i ściskali mu dłoń. Jeden podarował mu nawet świnię, a inny krowę. Zdążył też zawrzeć znajomości pozwalające na ustanowienie własnych kanałów przerzutowych na północ. Gość skontaktował się więc z Danielem, owym krupierem z Reno, który zadzwonił do swego mieszkającego w Columbus wujka Chuckiego.

– Odezwij się do niego – powiedział Daniel. – Pomoże ci nawiązać kontakty ze wszystkimi co trzeba.

Gość wrócił do Xalisco. Kupił dom koło plaży w San Blas, głównym ośrodku turystycznym w Nayaricie. Odpoczywał przez pół roku. Niestety, nie napływały żadne pieniądze, a jego kobieta potrafiła sporo wydać. Tak więc po sześciu miesiącach laby, w 1998 roku, wyjechał do Stanów z pomysłem na rozszerzenie działalności na wschód. Spojrzał na mapę i wyszukał trzy leżące w jednej linii miasta – Indianapolis, Dayton i Columbus. Postanowił spróbować szczęścia.

11 czerwca 1998 roku poleciał do Indianapolis i znalazł tani motel przy ulicy Waszyngtona – znajdującej się na wschodzie miasta promenadzie, którą upatrzyły sobie na miejsce pracy tutejsze prostytutki.

– Uważaj na siebie – powiedział mu meldujący go recepcjonista. – Nadchodzi tornado. Trzymaj się z daleka od okien i wyszukaj sobie miejsce, gdzie mógłbyś się położyć.

Gość jeszcze nigdy nie widział trąby powietrznej. Tego popołudnia z uwagą wpatrywał się, jak niebo ciemnieje i nadchodzi silny wiatr rozwiewający na boki deszcz, którego krople uderzały w okno – nie był chłodny, jak w Kalifornii, tylko niezwykle ciepły. Potem przez ulicę Waszyngtona przetoczył się olbrzymi, ciemny, szeroki na niemal pół kilometra i ryczący jak silnik odrzutowca lejek. Zobaczył, jak zrywa dach z Pizza Hut i roznosi na strzępy ośrodek opieki dziennej. Jakiś

mężczyzna zaparkował samochód i zagnał rodzinę do domu. Po chwili samochód zniknął. Odnaleźli go potem trzy przecznice dalej.

Tornado było jednym z ośmiu, które tego wieczora przeszły przez środkową Indianę. Nikt nie zginął. Ale nie było to miłe przywitanie, a Gość już nigdy potem nie czuł się swobodnie w Indianapolis.

Nazajutrz kupił używany samochód. Był to brązowy cadillac cimarron, model tak słabo przemyślany i zaprojektowany, że wielu uznało go za istotny przyczynek do upadku Detroit. Nie wyróżniał się jednak i kosztował zaledwie dwa tysiące dolarów.

Koczując przed miejscową kliniką metadonową, rozdawał próbki swego towaru i wkrótce miał już pozyskaną grupę klientów, w skład której wchodzili zdesperowani narkomani, żądni nieznanej im przedtem czarnej smoły. Pewnego dnia zatrzymali go gliniarze, którzy dostrzegli parę wysiadającą pod kliniką z jego cadillaca.

– Wiemy, że sprzedajesz heroinę – rzucili w jego stronę.

– Przeszukajcie samochód – odpowiedział im. – Nie mam żadnych narkotyków. Po prostu ich wysadziłem – dodał, kiwając głową w kierunku pary. – Potrzebowali podwózki.

Policjanci niczego nie znaleźli.

– Mamy zdjęcie twoje i twojego samochodu – powiedzieli mu na odchodnym. – Gdy tylko cię zobaczymy, sprawdzimy.

Przeniósł się zatem do Dayton razem z dzieciakiem, którego zabrał ze sobą ze swojej *tiendita* w Reno. Skontaktowali się z dilerem, czarnym facetem, który zrezygnował z pracy w Delphi – firmie z częściami do samochodów General Motors – i znał bodaj wszystkich ćpunów w mieście. Oczywiście nikt w Ohio nie miał nigdy do czynienia z tej jakości towarem.

Gość nigdy jednak nie zapomniał słów Daniela i nadziei, jaką wiązał z Columbus. Pewnego słonecznego dnia, gdy już byli w Dayton od kilku tygodni, zostawił dzieciaka z człowiekiem z Delphi i pojechał do miasta. Znalazł motel przy drodze numer 70 i zadzwonił do wujka Daniela – Chuckiego.

Spotkali się następnego ranka przy miejskiej klinice metadonowej przy Bryden Road. Sama klinika była jaskinią nielegalnego handlu narkotykami. Dało się tam kupić niemal wszystko, co tylko się chciało. Dał Chuckiemu trochę darmowych próbek i numer swojego pagera.

Chuckie odezwał się jeszcze tego samego popołudnia.

– Ty masz supertowar, ja mam klientów.

Gość wrócił do Dayton i zabrał swoje manatki.

– Sprzedawaliśmy całkiem dużo – wyznał mi. – Ale w Dayton nie lubiłem tego, że musieliśmy zadawać się z wieloma czarnymi. Nie robię z nimi interesów, jeśli nie muszę. Na dłuższą metę pewne jest, że cię obrobią. Zrobią krzywdę pracującym dla ciebie dzieciakom, a ciebie samego skatują kolbą.

Okazało się, że w Columbus było więcej białych, a także duża społeczność meksykańska, wśród której można było się rozpłynąć. Znów ruszył swoim cadillakiem na wschód, przestworem środkowego Ohio ku stolicy stanu, otoczonej wielkimi białymi przedmieściami i autostradami – w pobliże czterech appalaskich stanów i udręczonego regionu, gdzie jak dotąd niewiele osób widziało na własne oczy heroinę.

Czym jest OxyContin?

Portsmouth, Ohio

W piątek tuż przed Bożym Narodzeniem 1997 roku dziennikarz „Portsmouth Daily Times” zadzwonił do Eda Hughesa, który prowadził Ośrodek Pomocy Psychologicznej – jedyną w Portsmouth klinikę leczenia uzależnień – i zapytał, czy mógłby przyjść na organizowane przez pracowników kliniki spotkanie bożonarodzeniowe, by zebrać materiał do artykułu o pozostawaniu trzeźwym w czasie świąt.

Hughes się zgodził. Dziennikarz przeprowadził wywiady z częścią obecnych, wypytując przede wszystkim o młodszych pacjentów. W środku spotkania wziął Hughesa na bok.

– Co to jest OxyContin? – zapytał.

Hughes nic o nim nie wiedział.

– Część z twoich pacjentów powiedziała, że go bierze.

W najbliższy poniedziałek Hughes zaczął wydzwaniać. Jego współpracownicy powiedzieli mu, że lek pojawił się niedawno, zawiera dużą dawkę oksykodonu, a ci, którzy go zażywają, rozkruszają go i wciągają przez nos.

Porozmawiał z kolegami z ośrodków odwykowych w północnym Ohio, opowiadając im o sytuacji w Portsmouth. W Cleveland, Akron, Columbus i Cincinnati nikt nic o tym środku nie wiedział. Gdyby jednak Hughes jeszcze trochę podzwonił po regionie appalaskim, otrzymałby zupełnie inne odpowiedzi, i to takie, które pasowały do tego, co właśnie zaczynało dziać się w Portsmouth.

Wtedy jednak, jak sam przyznał, „nie zdawaliśmy sobie sprawy, że znaleźliśmy się na skraju kryzysu”.

Mniej więcej w tym samym czasie Karen Charles z mężem Jerrym planowali przenieść swój sklep z materiałami podłogowymi do budynku na Biggs Lane w South Shore w stanie Kentucky, które leżało na przeciwległym do Portsmouth brzegu rzeki Ohio.

Charlesowie wiedzieli, że w znajdującym się obok oblicowanym beżową blachą budynku miał swoją klinikę niejaki doktor David Procter. Parę miesięcy po przeprowadzce okazało się, że prowadzony przez niego ośrodek rozdął się do

rozmiarów, które przerosły ich wszelkie wyobrażenia. Co więcej, ruch w nim nieustannie się nasilał. W niczym nie przypominało to innych znanych im klinik medycznych. Wkrótce poczekalnia okazała się zbyt mała, by pomieścić tłumy pacjentów. Sama placówka często była czynna dłużej, niż wskazywały na to oficjalne godziny otwarcia. Ludzie parkowali wzdłuż Biggs Lane i całymi dniami czekali na wizytę w gabinecie.

– Potrafili zjeść dwa posiłki, siedząc w swoich samochodach – wspominała Karen.

Wielu pacjentów przyjeżdżało z innych hrabstw, a nawet stanów. Karen pamięta tablice rejestracyjne z Missouri i Arkansas. Większość z nich wyglądała podejrzanie. Blokowali wjazd na parking przed ich sklepem z materiałami podłogowymi. Któregoś dnia wywiązała się nawet bijatyka między klientami Proctera a kierowcą ciężarówki, który nie mógł zrealizować dostawy. Kiedy indziej ktoś zadzwonił i poinformował o podłożeniu bomby, więc policja ewakuowała klinikę, sklep Charlesów i pobliskie domy. Karen nigdy nie odważyła się wejść do gabinetu Proctera, ale słyszała, że sprzedawał OxyContin.

– Wszystko dookoła się zmieniło – wspominała po latach. – Miejsce już nie było takie samo i nie chciałabym przeżyć tego jeszcze raz. Rozmawiałam z nim [Procterem] kilka razy. Nie wiem, jak wyobrażał sobie możliwość prowadzenia przez nas interesu w takich warunkach. Drobne staruszki nie przyjdą do sklepu, gdy wokół kłębi się taka hołota.

W końcu dziennikarz z „Portsmouth Daily Times” napisał artykuł, który w treści mocno różnił się od materiału opublikowanego po spotkaniu bożonarodzeniowym. Była w nim mowa o nowym trendzie w uzależnieniach występujących w południowym Ohio i sąsiednich stanach – chodziło o opiaty, przede wszystkim oksykodon, przyjmowane głównie pod postacią nowej tabletki przeciwbólowej o nazwie OxyContin.

Mniej więcej tydzień po ukazaniu się tego drugiego artykułu do Eda Hughesa zadzwonił prawnik reprezentujący firmę Purdue Pharma. Rozmówca groził pozwaniem do sądu Ośrodka Pomocy Psychologicznej, jeśli Hughes kiedykolwiek oznajmi na piśmie, że OxyContin ma właściwości uzależniające. Zaskoczyło to Hughesa, bo to nie jego cytowano w tym kontekście. W materiale „Daily Times” wzmiankowano wprawdzie o jego ośrodku, ale to sami młodzi pacjenci mówili, że są uzależnieni od leku. Zastanawiał się też, jak firma z siedzibą w Connecticut trafiła na ślad artykułu w niewielkiej lokalnej gazecie.

– Działo się coś na dużą skalę – opowiadał. – Skąd bowiem wiedzieli, że taki materiał ukazał się w „Portsmouth Daily Times”, jeśli nie zajmowali się wyszukiwaniem tego rodzaju informacji?

Kierowany przez Hughesa Ośrodek Pomocy Psychologicznej założono siedemnaście lat wcześniej w niewielkim domu. On sam, będąc trzeźwiejącym alkoholikiem, czuł, że odwyk tak naprawdę wymagał odbudowy zniewolonej osobowości. Wierzył, że wyjście z nałogu możliwe było tylko dzięki interdyscyplinarnemu podejściu do leczenia osoby uzależnionej – jak sam to określał, rzecz tkwiła w „continuum opieki”. Uzależniony na odwyku wymagał zastosowania programu dwunastu kroków, ale też pomocy w znalezieniu mieszkania, napisania curriculum vitae, w zapewnieniu opieki dla dzieci i dostarczeniu ubrań potrzebnych podczas rozmów kwalifikacyjnych. Usługi te powinny być dostępne na miejscu. Osoby uzależnione zazwyczaj nie miały samochodu, prawa jazdy ani pieniędzy na paliwo. Hughes widział, jak ludzie wracają do narkotyków, gdyż nie byli w stanie dotrzeć na rozprawę sądową, wizytę u lekarza czy spotkanie z kuratorem sądowym.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Ośrodek Pomocy Psychologicznej przeniósł się do nowego, większego budynku, gdzie przyjmowano pacjentów leczonych ambulatoryjnie. Dysponował też niewielkim schroniskiem dla mężczyzn, a także jedynym w stanie Ohio domem odwykowym dla uzależnionych matek z dziećmi. W ośrodku było miejsce dla wszystkich alkoholików i kokainistów, którzy do niego przychodzili. Mniej więcej wtedy, gdy organizowano owo spotkanie bożonarodzeniowe w 1997 roku, Hughes spodziewał się, że spędzi przyszły rok na konsolidowaniu i poprawie funkcjonowania placówki, a nie na zwiększaniu potrzebnej na jej użytek powierzchni. Według niego z tym drugim zadaniem właśnie się uporał.

Bynajmniej. Portsmouth miało za chwilę stać się epicentrum niemal wirusowo rozprzestrzeniającej się epidemii zażywania i nadużywania opiatów. Na wiosnę 1998 roku uzależnieni od OxyContinu byli już wszędzie. Przeważała wśród nich biała młodzież.

– To było jak niedający się ujarzmić pożar – wspominał Hughes.

Tym razem przyczyny, które wywołały plagę narkotyków, były inne niż te, które miał okazję dotąd obserwować. W samym Portsmouth epidemia zaczęła się od czegoś, co wkrótce zaczęto nazywać fabrykami prochów, czyli od modelu biznesowego wypracowanego już na miejscu, choć mającego źródło w szerzącym

się w całym kraju nagminnym przepisywaniu opiatów, a w szczególności OxyContinu. Fabryka prochów była specjalizującą się w kontroli bólu kliniką prowadzoną przez lekarza, dla którego jedynym sprzętem medycznym pozostawał de facto bloczek z receptami. Był to w istocie automat z narkotykami, gdyż wypisywano w niej recepty setkom osób dziennie.

– Mieliśmy lekarzy, przez których na ulice trafiało całe mnóstwo tego towaru – wspominał Hughes. – Ludzie ustawiali się do nich w długich kolejkach. Nie sądzę, by kiedykolwiek przedtem stosowano taką metodę sprzedaży leku osobom od niego uzależnionym.

Heroinowe klany w azylu

Chimayo, Nowy Meksyk

Jim Kuykendall miał rodowód, który można byłoby nazwać klasycznym u przedstawiciela Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami (DEA). Jego wujek Travis Kuykendall przeszedł na emeryturę jako zastępca specjalnego agenta w randze kierownika biura DEA w El Paso. Brat Travisa i ojciec Jima pracował w latach sześćdziesiątych w Służbie Celnej i Granicznej (CBP), gdzie koordynował prowadzone na granicy teksańsko-meksykańskiej operacje skierowane przeciwko rodzącym się wówczas gangom narkotykowym. Przy chrzcie dostał na imię James, ale ponieważ wychowywał się w małym nadgranicznym teksańskim miasteczku Eagle Pass, za żonę miał Meksykankę i żył na styku dwóch kultur, wszyscy mówili na niego Jaime.

Bracia Kuykendall rozpoczęli pracę w DEA, gdy utworzono ją w 1973 roku w wyniku połączenia kilku innych agencji federalnych. Wkrótce potem Jaime otworzył biuro agencji w ekwadorskim Guayaquil. Jim spędził tam dużą część swojej młodości, przekonany, że tata był kimś w rodzaju Jamesa Bonda, choć tak naprawdę nie miał najmniejszego pojęcia, czym właściwie zajmuje się jego ojciec.

W latach osiemdziesiątych Jaime Kuykendall przeprowadził się do Meksyku. Był szefem komórki DEA w Guadalajarze, kiedy w 1985 roku handlarze porwali, torturowali i zabili jego agenta Enrique „Kikiego” Camarenę – morderstwo to zostało zakamuflowane przez przedstawicieli rządu meksykańskiego pozostających w zmowie z dilerami. Zabójstwo wywołało w agencji traumę i spowodowało, że jeszcze intensywniej zainteresowano się Meksykiem. Wydarzenie to zostało opisane w książce dziennikarki Elaine Shannon *Desperados,* którą następnie zekranizowano. Jaime Kuykendall napisał własną książkę na ten temat zatytułowaną *¿O Plata O Plomo? Silver or Lead?* [Srebro czy ołów?].

W Teksasie Jim Kuykendall początkowo studiował dziennikarstwo, ale po podjęciu służby w policji uniwersyteckiej zmienił kierunek studiów na sądownictwo karne. Pewnego wieczora jadł kolację z agentem DEA, starym kompanem od kieliszka jego taty.

– Pomyśl o złożeniu podania do DEA – powiedział mu agent.

Zdaniem przyjaciela ojca pozostałe federalne agencje ochrony porządku publicznego nadzorowały swoich ludzi tak, że ci niemal się dusili. Odgórny nadzór ograniczał swobodę agentów w prowadzeniu dochodzeń. Natomiast w DEA, po części z powodu rodzaju podejmowanych operacji, funkcjonariusze mieli właściwie pełną kontrolę nad sprawami, którymi się zajmowali, i mogli rozszerzać ich zakres na tyle, na ile tylko pozwalały im ich zdolności. W przeciwieństwie do funkcjonariuszy agencji działających na szczeblu lokalnym agenci DEA mieli szansę na wyjazdy i dłuższe pobyty za granicą, a wydział doceniłby kogoś takiego jak Kuykendall, który płynnie mówił po hiszpańsku.

To brzmiało jak zaproszenie do przygody. Wkrótce po uzyskaniu dyplomu Jim Kuykendall złożył podanie o przyjęcie do agencji, w której jego ojciec i wujek byli żywymi legendami.

Wysłano go do teksańskiego Beaumont, potem do kolumbijskiej Bogoty, aż w 1998 roku wrócił do Stanów Zjednoczonych. Wydelegowano go do Albuquerque w Nowym Meksyku, gdzie był najwyższym rangą agentem w miejscowym biurze agencji. Na tym etapie kariery był przekonany, że kumpel ojca się nie mylił – agent DEA, któremu w sukurs szło nadające mu niezwykłą władzę prawo federalne dotyczące ewentualnego współuczestnictwa podejrzanego w przestępstwie, mógł odegrać kluczową rolę. Według tych przepisów rząd mógł oskarżyć jakąś osobę o udział w zmowie przestępczej, nawet jeśli brak było bezpośrednio obciążających ją dowodów – na przykład gdy w mieszkaniu, które przeszukiwali policjanci, nie znaleziono żadnych narkotyków. Na szczycie popularności były wtedy dochodzenia bazujące na podsłuchach. Z kolei w sprawach dotyczących współudziału w przestępstwie, które coraz bardziej zajmowały Kuykendalla, bardziej chodziło o zdarzenia z przeszłości. Nie zależały one aż tak bardzo od obarczonych pewną dozą ryzyka zakupów kontrolowanych lub nakrywania podejrzanego z dużą ilością trefnego towaru. Zamiast tego wymagały od agentów przekopywania kartotek, konfrontowania świadków i raportów z dokonanych niegdyś zatrzymań czy odtwarzania wzorca, według którego działała – dajmy na to – grupa latami zajmująca się sprzedażą narkotyków.

Obrońcy krytykowali czasami sprawy dotyczące współudziału w przestępstwie jako zbyt szeroko zakrojone i obejmujące na przykład każdego, z kim oskarżony się kontaktował. Jednak Kuykendall uświadomił sobie, że bardzo odpowiadają one drzemiącej w nim naturze dziennikarza. Wymagały opowiedzenia pewnej historii. Dzięki wykorzystaniu udostępnionych przez ustawodawcę możliwości prawnych

agent odkrywał w miarę prowadzenia sprawy fragmentaryczne dzieje jakiegoś czynu przestępczego, przesiewał podejrzanych, dokonywał kolejnych aresztowań i wreszcie poznawał całość historii albo przynajmniej większą jej część. Kuykendall doszedł do przekonania, że opowiedzenie dziejów jakiegoś przestępstwa rzeczywiście może doprowadzić do wymierzenia sprawiedliwości, gdyż w samym dniu nalotu i aresztowań tak naprawdę niewiele było wiadomo, na czym ono w istocie polegało.

Jim Kuykendall miał już na koncie kilka tego typu spraw, więc kiedy już na dobre osiadł w Albuquerque, zabrał się za kolejną – tym razem w Chimayo w stanie Nowy Meksyk.

Liczące mniej niż cztery tysiące mieszkańców miasteczko założyli pięćset lat temu hiszpańscy konkwistadorzy. Leży ono czterdzieści kilometrów od Santa Fe, w porosłej bujną zielenią dolinie Española.

Mieszkańcy miasteczka mają parę powodów do dumy. Chimayo to światowa stolica lowriderów – miejscowa ludność ma obsesję na punkcie bogato dekorowanych i nisko osadzonych samochodów. Papryki roczne w kolorze wiśni są bardzo ostre, a ich nasiona tutejsi hodowcy przekazują sobie z pokolenia na pokolenie. Zbudowany w 1816 roku niewielki kościół z cegły suszonej na słońcu przyciąga co roku tysiące pielgrzymów, a leżąca wokół niego ziemia czekoladowego koloru ma ponoć właściwości uzdrawiające. Sprzedaje się jej około dwudziestu pięciu ton rocznie ludziom, którzy się nią smarują lub po prostu trzymają w małych plastikowych opakowaniach. Co wieczór mieszkańcy Chimayo idą na okoliczne wzgórza, kopią ziemię i przenoszą ją w pobliże świątyni. W każdy Wielki Piątek do Santuario de Chimayo, pod którą to nazwą znany jest kościółek, przybywa trzydzieści tysięcy pielgrzymów – część z nich idzie piechotą z odległego o sto pięćdziesiąt kilometrów Albuquerque.

Jednak miasteczko znane jest także z choroby, której miejscowa ziemia nie jest w stanie wyleczyć. W Chimayo żyje proporcjonalnie największa w Stanach Zjednoczonych populacja osób uzależnionych od heroiny. Ci, którzy podejmują się opisu miejscowego heroinizmu, odwołują się do kategorii zjawiska kulturowego, czegoś przekazywanego z pokolenia na pokolenie. W Chimayo żyją całe rodziny heroinistów, a wśród nich dziadkowie, a nawet pradziadkowie.

O tym wszystkim było wiadomo od dawna, gdy kilka tygodni po rozpoczęciu pracy Jim Kuykendall zadzwonił do Chrisa Valdeza, odpowiedzialnego za

zwalczanie narkotyków funkcjonariusza z policji stanowej Nowego Meksyku, pod którego podlegała dolina Española.

Valdez dorastał w okolicy i wszyscy wiedzieli o pladze, choć skrzętnie ją ukrywano. Gdy został policjantem, wszystko, czym się zajmował, w jakiś sposób powiązane było z heroiną. Narkotyk sprzedawało kilka rodzin, których przodkowie pojawili się w dolinie w XVII wieku. W zamkniętym świecie Chimayo każdy ich znał. Tymczasem liczba dokonywanych przez heroinistów kradzieży i włamań do samochodów rosła z roku na rok.

Przez dziesięciolecia narkomani z Chimayo zażywali heroinę w proszku, która zdaniem Valdeza pochodziła z rejonów Azji. Była mocno zanieczyszczona i słaba. Jednak w 1997 roku w okolicy pojawili się Meksykanie oferujący mocną i tanią czarną smołę. Dilerzy z Chimayo nie pozwalali im sprzedawać towaru w mieście, tylko sami go od nich kupowali w ilościach hurtowych, by następnie podzielić go na działki i handlować na własną rękę. Wydarzenia potoczyły się w zawrotnym tempie. Dysponując niemal nieograniczonymi dostawami, ci, którzy dotąd brali heroinę w sposób kontrolowany, zaczęli zażywać ją bez umiaru. Kradzieże stały się rzeczą powszednią. Ponadto osoby, które od lat przyjmowały słabą heroinę w proszku, nagle umierały od bardzo mocnej czarnej smoły.

Niedługo po przenosinach do Albuquerque Kuykendall przejechał się po dolinie w towarzystwie Valdeza. Policjant pokazał mu przyczepy kempingowe, w których mieszkali handlarze narkotyków – szczególnie cenione te podwójne i potrójne. Według Valdeza Chimayo było zaściankiem. Nienawidzono tu gliniarzy, mimo to strzykawki walały się wszędzie, a liczba zgonów z powodu przedawkowania heroiny regularnie rosła. Tylko w nielicznych domach sprzęt grający lub telewizory były od dłuższego czasu na wyposażeniu.

Heroiną handlowały trzy klany: Barelów – z Felixem jako głową rodziny i jego licznymi braćmi, Josefy Gallegos, której syn Brian mieszkał w szopie za domem, a jego ręce gniły od zastrzyków z heroiny, oraz Grubego Jose i Jesse’ego „Donutsa” Martineza z ich krewnymi.

Rodziny te miały najładniejsze przyczepy i najlepsze lowridery. Samochód Felixa Bareli – ciemnofioletowy thunderbird nazywany Czarodziejem – był najlepszy w dolinie. Rodziny dilerów lubiły również harleye, które w Chimayo bardzo sobie ceniono. Felix Barela miał też kilka świetnych koni wyścigowych, w tym Red Hot Maga, najlepszego w całym stanie quartera. Każdy z klanów

prowadził mnóstwo melin, a każda z nich obsługiwała od pięćdziesięciu do stu klientów dziennie, przy czym część z nich przychodziła trzy razy na dobę.

Gdy od początku 1998 roku liczba ofiar śmiertelnych zaczęła rosnąć, rodziny zmarłych heroinistów, do których dołączali także księża z nowomeksykańskiego zakonu Hermanos los Penitentes, podjęły się procesji protestacyjnych przez góry aż do kościółka. Miały ze sobą tabliczki z nazwiskami tych, którzy zmarli z przedawkowania bądź zostali zamordowani przez włamywaczy.

Kuykendall odjeżdżał stamtąd w szoku. Ale sam problem wciąż wydawał mu się lokalny, a nie federalny – taka tam drobnica sprzedająca towar na ulicach.

Jednak kilka tygodni później zadzwonił Valdez. Poprosił, żeby Kuykendall pojawił się nazajutrz, bo zwołano posiedzenie Organizacji Zwalczania Przestępczości w Chimayo. Ludzie się burzyli.

Tej nocy Kuykendall poszedł do restauracji Rancho de Chimayo, gdzie uderzył go widok kongresmenów, sędziów, szefów policji stanowej i radnych spotykających się z Bruce’em Richardsonem, naczelnikiem wydziału prewencji kryminalnej w Chimayo.

Głos zabrał Richardson, który powiedział, że doliną rządzą przestępcy, a dzieci znajdują brudne strzykawki.

– Nic nie zrobiliście – zarzucał zgromadzonym urzędnikom.

Pokazał wszystkim słój wypełniony zużytymi strzykawkami. Zebrani wykpili się tym, co według Kuykendalla było tylko i wyłącznie oficjalnym usprawiedliwieniem się, które do nikogo nie trafiało.

Jadąc do domu w Albuquerque, pomyślał, że skoro pojawili się politycy, to znaczy, że mieli świadomość, jak źle się dzieje. Zawsze zwracał uwagę młodszym agentom, by tam, gdzie pracowali, skupiali się na najgrubszej rybie. To niekoniecznie musi być od razu Pablo Escobar, ale największy handlarz w najmniejszej nawet mieścinie zawsze będzie dla niej problemem.

Nazajutrz otworzył dochodzenie w sprawie trzech klanów sprzedających heroinę w Chimayo.

Liberace wyznacza kierunek

Portsmouth, Ohio

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych doktor David Procter był jedną z nielicznych osób w Portsmouth, której dobrze się wiodło.

Miał warty siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów dom z basenem, kolekcję sztuki afrykańskiej i parę dwumetrowych posągów bocianów z brązu. W garażu trzymał mercedesa, porsche i czerwoną corvettę – rzadkie sztuki w dolinie rzeki Ohio.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Komisja Licencji Medycznych w Kentucky rozpatrywała nadsyłane przez jego pacjentów skargi na nieetyczne postępowanie. Członkowie Komisji odkryli, że przepisywał opiaty masowo i często bez postawienia dokładnej diagnozy lub przeprowadzenia obserwacji. Nie złamał wprawdzie żadnego z obowiązujących w stanie przepisów i zachował prawo wykonywania zawodu, choć warunkowo. Z zebranej dokumentacji rzeczywiście wyłania się obraz lekarza, który często przepisywał leki opiatowe, ale w pewnym momencie zaprzestawał dalszej nimi terapii i konsultował się z innymi lekarzami, nakłaniając pacjentów cierpiących na bóle chroniczne, by wykonywali ćwiczenia fizyczne albo poddali się fizjoterapii. Wyglądało na to, że doktor Procter rzeczywiście szukał remediów na dolegliwości odczuwane przez przychodzących do niego chorych.

Dziesięć lat później wszystko się zmieniło. Jak powiedziała mi kiedyś pewna pielęgniarka z Kalifornii: „Gdy ma się do czynienia z ludźmi, których boli przez cały dzień, w pewnym momencie ma się już dość”.

Coś takiego wydarzyło się w przypadku Davida Proctera. Kolejna fala skarg, które napłynęły w latach dziewięćdziesiątych, doprowadziła do następnej interwencji Komisji. Z dokumentów wynika, że regularnie przepisywał Valium, Vicodin, środek uspokajający Soma, Xanax oraz stały punkt w postaci tabletek odchudzających Redux – właściwie znowu bez żadnej diagnozy lub propozycji innych możliwości terapeutycznych, na przykład fizjoterapii. Nie było też mowy o zmianie zwyczajów żywieniowych jako środku na zrzucenie wagi lub pozbycie się bólu. Kiedy czytałem raporty z dochodzenia przeprowadzonego przez Komisję,

doszedłem do wniosku, że w okresie deindustrializacji w Ameryce lata spędzone na doglądaniu bezradnych pacjentów i stykaniu się z manipulantami, którzy próbowali przetrwać katastrofę gospodarczą przy pomocy leków i zasiłków rządowych, doprowadziły u Proctera do całkowitej erozji resztek etyki lekarskiej, jakie niegdyś jeszcze posiadał.

Udałem się zatem do Portsmouth, by dowiedzieć się czegoś więcej o lekarzu, którego miejscowi nazywali ojcem chrzestnym fabryki prochów – człowieku, który jako pierwszy rozkręcił tego rodzaju interes i pokazał innym, jak to się robi.

Wszyscy w mieście pamiętali Davida Proctera, choć on sam wyprowadził się z niego już dosyć dawno temu. Niektórzy czule go wspominali. Wielu opowiadało, że chodziło do jego kliniki i czekało w długich kolejkach, by dostać swoją receptę.

Jedną z takich osób była Kathy Newman – córka przedsiębiorcy budowlanego, która w 1996 roku w swoim liceum była cheerleaderką. Tuż po ukończeniu szkoły średniej złamała w wypadku samochodowym żebra. Na oddziale pomocy doraźnej nie chcieli jej przepisać na ból niczego silniejszego od ibuprofenu. Znajomi radzili jej, żeby poszła do Davida Proctera, a ten da jej coś, co podziała.

Kathy pojechała więc do kliniki w South Shore i zobaczyła istny dom wariatów. Wnętrze było zatłoczone, ludzie stali w korytarzach, pełni napięcia i oczekiwań. Po trzech godzinach udało jej się dostać do lekarza. Procter wypisał jej receptę na Vicodin i poświęcił pół godziny na przekonywanie, że prawdopodobnie do końca życia będą doskwierać jej bóle pleców i biodra, dlatego już zawsze będzie musiała brać ten środek. Newman wyszła, nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić.

– Strasznie się boję – mówiła. – Jestem taka młoda i obawiam się, że będę musiała to brać przez resztę życia.

Zażywanie Vicodinu skończyło się czternastoletnim uzależnieniem, w tym przejściem na OxyContin, a także zdobywaniem recept u kilku lekarzy mających praktykę w mieście. Życie rozpłynęło się we mgle nałogu. Pewnego razu ocknęła się w opuszczonym gospodarstwie rolnym w towarzystwie nieznanych sobie ludzi, bez świadomości, skąd się tam wzięła. Przez salon przebiegł pitbul ścigany przez rozwścieczonego koguta.

Rewolucja w terapii bólu miała różne oblicza, choć w przeważającej mierze były to twarze pełnych dobrych intencji lekarzy i oddanych pielęgniarek. Jednak w pasie rdzy pojawił się innego rodzaju ból. Całe rzesze ludzi starały się o rentę, byle tylko przetrwać, gdy znikały miejsca pracy. Pojawiło się więc mnóstwo lekarzy, których intencje nie były już tak szlachetne lub którzy po prostu znaleźli

sposób na życie w postaci nie do końca bezinteresownego pomagania osobom widzącym w wysyłanym co miesiąc przez rząd czeku z tytułu przyznanej renty cudowny sposób na bezrobocie. Kiedy rewolucyjnemu podejściu do bólu ostatecznie udało się zmienić kształt amerykańskiej medycyny, w dolinie rzeki Ohio była już spora grupa tego typu lekarzy. Wielu miejscowych widziało w nich ratunek przed zapaścią gospodarczą, a oni sami pobierali sowitą opłatę za każdą wizytę, podczas której bez skrupułów sięgali po bloczki z receptami, zawsze przyjmując za dobrą monetę słowa pacjentów twierdzących, że odczuwają ból. W konsekwencji przyszła i kolej na OxyContin.

Jeśli heroina była świetnym towarem dla dilerów narkotykowych, OxyContin okazał się idealnym środkiem dla lekarzy mających dostęp do leków. Przemawiało za tym kilka powodów. Po pierwsze, był to środek przeciwbólowy produkowany przez przemysł farmaceutyczny i dopuszczony do legalnego obrotu. Po drugie, wywoływał uzależnienie, i to nie tylko u tych, którzy świadomie go nadużywali, ale także u osób rzeczywiście szukających ucieczki od bólu. Każdy pacjent, któremu go przepisano, mógł po jakimś czasie odczuwać potrzebę codziennego stosowania leku. Ludzie byli gotowi za niego płacić. Nigdy nie omijali żadnej z wyznaczonych wizyt. Jeśli zatem nie dbało się o rzetelne diagnozowanie, klinika stawała się przedsięwzięciem generującym niskie koszty własne. Wystarczyło wynająć siedzibę, zaaranżować kilka poczekalni i zatrudnić paru pracowników biurowych. No i ochroniarzy. Placówki te nie mogły się bez nich obyć. Potrzebny był też lekarz z przyznawaną przez DEA licencją na wypisywanie recept na leki z listy Schedule II, czyli między innymi OxyContin. Takie recepty należało wypisywać co miesiąc pacjentom, którzy osobiście stawiali się w klinice. To zaś oznaczało regularnie pobieraną od każdego pacjenta opłatę za wizytę, zwykle w wysokości dwustu pięćdziesięciu dolarów. Tyle wystarczyło, by poczekalnie pękały w szwach, a gotówka napływała nieprzerwanym strumieniem.

Jednym z pierwszych lekarzy w Stanach Zjednoczonych, który zorientował się w potencjale modelu biznesowego tkwiącego w OxyContinie, był David Procter, prowadzący swoją praktykę w Portsmouth w stanie Ohio. Wierzył każdemu ze swoich pacjentów. Co więcej, zachęcał ich, by sami uwierzyli w swój wyimaginowany ból.

– Przychodziły do niego osoby z urazami, a on dawał im ten nowy wspaniały lek: OxyContin – opowiadała Lisa Roberts, pielęgniarka z Portsmouth, która lata wcześniej pracowała z Procterem w szpitalu. – Wkrótce wpadali w uzależnienie.

Mówili, że ból się nasilił i trzeba zwiększyć dawkę. Widziałam porządnych, ciężko pracujących ludzi, którzy zaczęli dziwacznie się zachowywać, szaleć samochodami i kraść.

Danny Colley, który wychował się na East Endzie, niebezpiecznej dzielnicy Portsmouth, przyglądał się stopniowemu upadkowi Proctera. Kiedy był dzieckiem, Procter był jego lekarzem rodzinnym. Gdy skończył dwadzieścia lat i był już mocno uwikłany w półświatek narkotykowy, poszedł do jego kliniki. Procter był wtedy jedynym w okolicy lekarzem, który odpłatnie przyjmował nieubezpieczonych pacjentów. Na każdą dolegliwość przepisywał Xanax lub Lortab. Potem jako pierwszy wypisał Colleyowi receptę na OxyContin. Jego klinika była pełna ludzi.

– Był właściwym facetem we właściwym miejscu i się nie obcyndalał – wspominał Colley. – Kiedy przepisał mi Lortab, powiedział, żebym włożył sobie tabletki pod język i dał im się rozpuścić. Miałem ich nie wciągać nosem. Gdy dostałem pierwsze oxy, ostrzegł, żebym był ostrożny, ale że można je wciągać. Tak właśnie powiedział. Dał mi coś, co sam mi powiedział, że bierze. Dawał mi lek, żebym nie czuł się chory. Pomyślałem, że to swój chłopak, że o mnie dba, i że to super.

Colley trafił do Proctera po tym, jak zranił się w pracy.

– Zdobył ubezpieczenie pracownicze, by przez półtora roku płacić za mój lek – opowiadał dalej Colley. – W ten sposób pomagał. Miał cholernie fotograficzną pamięć. Wszyscy sądziliśmy, że to najbystrzejszy facet na świecie. Był spryciarzem, ale i skurwielem.

Miejscowi lekarze brali wzór z Proctera. Doktor John Lilly otworzył klinikę w centrum Portsmouth. Przed jej drzwiami też utworzyły się kolejki. Później wszystko potoczyło się z prędkością lawiny.

Kathy Newman zauważyła, że nie chodziło tylko o pozbawionych skrupułów lekarzy. Wydawało się, że każdy z nich był pod wrażeniem niezwykłego potencjału przeciwbólowego tkwiącego w opiatach. W każdym razie nie była w stanie wskazać w mieście lekarza, który oferowałby terapię przeciwbólową niewykorzystującą opiatów.

– Na początku wyglądało to tak: „No dobrze, zacznijmy od dziesiątki Lorcetu”. Potem: „Nie pomogło przez miesiąc? To przestawimy cię na dwudziestkę” – opowiadała Newman. – Gdy po trzech miesiącach mówiłam, że piątka Vicodinu

już nie działa, dostałam dwudziestkę oxy. Przez cały ten czas płaciłam za wszystko gotówką.

Lekarze rzeczywiście przepisywali te leki. Choć z drugiej strony w tamtych czasach większość pacjentów w południowym Ohio domagała się właśnie opiatów.

Siedemdziesiąt pięć kilometrów od Portsmouth narkoman podający się czasami za Jeremy'ego Wildera dostrzegł i wykorzystał okazję do łatwego zarobku.

Wilder – wysoki, tyczkowaty facet, który przeciągał samogłoski w sposób typowy dla regionu appalaskiego – wychowywał się w Aberdeen, miejscowości położonej w dół rzeki od Portsmouth, pomiędzy dwiema elektrowniami. Przy drodze przecinającej należące do hrabstwa Brown miasteczko były tylko jedne światła.

Jeremy był stolarzem należącym do związków zawodowych. Wzrastał jednak w atmosferze moralnej ambiwalencji, która w czasach, gdy wyłaniał się pas rdzy, przenikała życie małych, położonych w dolinie rzeki Ohio miasteczek. Wtedy też całkowicie zawładnęła nim myśl o łatwych pieniądzach.

W 1995 roku Jeremy dowiedział się, że David Procter zatrudnił doktora Fortune'a Williamsa, by ten otworzył klinikę w Garrison w stanie Kentucky. Williams był pierwszym lekarzem, do którego Wilder się udał, gdy został jednym z pionierów handlu prochami w swoim hrabstwie. Zapłacił Williamsowi dwieście pięćdziesiąt dolarów za wizytę i kolejnych dwieście za recepty na między innymi OxyContin. Później Jeremy odszukał jeszcze lekarza w Williamsburgu w stanie Ohio i jednego w Portsmouth, by również u nich zaopatrywać się w tabletki.

Spotkałem Jeremy'ego, kiedy przemierzałem przedzielony rzeką Ohio na pół środek obszaru ogarniętego plagą opiatów. Dzięki Wilderowi zdałem sobie sprawę, że w miarę jak rozprzestrzeniała się rewolucja w leczeniu bólu, którą zresztą nakręcał OxyContin, w regionie, który niegdyś cierpiał na brak opieki zdrowotnej, lekarze wyroili się niczym szarańcza.

W połowie lat dziewięćdziesiątych Jeremy Wilder był największym handlarzem prochami w Aberdeen, choć dalej podejmował się prac stolarskich w Cincinnati i południowym Ohio. W swoim domu miał okno, do którego lekomani z okolicy dosłownie wydeptali ścieżkę.

Na początku Jeremy nie brał sprzedawanych przez siebie tabletek, jednak któregoś wieczora na imprezie rozgniótł i wciągnął tabletkę oxy. To było to. Wkrótce zarobki z handlu przeznaczał na zaspokajanie własnego nałogu. Pewnego

razu, gdy był w Cincinnati, nie mógł znaleźć prochów, ale sąsiad jego tamtejszego dilera mógł zdobyć coś innego – czarną smołę. Jeremy obruszył się. Nie chciał wchodzić w heroinę. Jednak nazajutrz głód go pokonał. Sąsiad zadzwonił do Meksykanina, który przywiózł towar w balonikach. Jeremy nigdy więcej nie sięgnął po tabletki.

Ledwo przeżył kolejne dwa lata. Codziennie jeździł do Cincinnati, by od tamtejszej kobiety kupić tabletki, a od Meksykanów swoją czarną smołę. Sprzedawał prochy, a zarobione pieniądze szły na heroinę. Przez jakiś czas do każdego balonika z towarem dołączona była karteczka z numerem telefonu. Można było dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Nigdy o tym nie zapomniał. Wyglądało na to, że dopiero rozkręcali interes. Świat heroiny był dla niego nowością i zastanawiał się, czy wszyscy dilerzy działali w ten sposób, ale szybko zorientował się, że tak nie było.

Tak więc pod koniec 1998 roku Jeremy Wilder z miasteczka Aberdeen w wiejskim hrabstwie Brown był jednym z pierwszych w południowym Ohio, którzy przerzucili się z OxyContinu na heroinę.

Nie był jednak ostatnim.

Sporządzone mniej więcej w tym samym czasie raporty z drugiego dochodzenia prowadzonego przez Komisję Licencji Medycznych w Kentucky przeciwko Davidowi Procterowi zawierają zadziwiające informacje. Doktor zaczynał zupełnie tracić nad sobą kontrolę, domagając się od wyniszczonych i uzależnionych kobiet seksu.

Jeden ze wstrząśniętych inspektorów Komisji, który pod koniec lat dziewięćdziesiątych przewertował dziesiątki stron prowadzonej przez Proctera dokumentacji medycznej, odwoływał się do takich pojęć, jak: „rażąca niekompetencja”, „zaniedbanie” czy „błędy w sztuce lekarskiej”. Procter nie zapisywał nawet podstawowych danych, typu: wzrost, waga, tętno czy temperatura ciała. Kontroler napisał w swym raporcie: „Karty pacjenta są wyjątkowo ubogie i na podstawie zapisków nie jestem w stanie ustalić, co zostało przepisane podczas poszczególnych wizyt”.

Z kolei o innym kliencie Proctera znaleźć można taką notatkę: „Poza odnotowaniem przepisywania substancji o kontrolowanym obrocie występuje rażący brak dokumentacji dotyczącej diagnozy lekarskiej oraz możliwości zastosowania terapii alternatywnej”.

O trzecim: „Nie wydaje się, by można było odnotować praktykowanie sztuki lekarskiej poza opisem występujących u pacjenta symptomów oraz wypisaniem recepty na substancję o kontrolowanym obrocie. Moim zdaniem nie mamy tu do czynienia z praktyką lekarską”.

Dochodzenie wszczęto na skutek skarg nadsyłanych przez pacjentów. Trzy kobiety doniosły, że kilkakrotnie odbyły stosunki seksualne z Procterem w jego gabinecie w zamian za wypisanie recepty. Jedna zeznała, że Procter zmusił ją do odbycia stosunku seksualnego, grożąc, że jej nie zatrudni lub nie pomoże jej z odszkodowaniem dla męża, jeśli nie pozwoli mu wylizać swojej waginy. Nie zważał przy tym na fakt, że gdy dopuścił się czynności seksualnej, w gabinecie znajdował się uczący się chodzić syn pacjentki. Inna kobieta udała się do lekarza z powodu depresji po aborcji, którą przeprowadziła w wieku osiemnastu lat. Podczas pierwszej wizyty Procter kazał jej napisać list przedstawiający w skrócie wszystkie jej problemy, które mieli następnie omówić. Podczas każdej kolejnej wizyty procedura powtarzała się, a następnie po przeanalizowaniu tego, co napisała, odbywał z nią stosunek. Po kilku wizytach Procter zrezygnował z odczytywania listu i od razu przechodził do seksu. Podczas ostatniej z dwudziestu wizyt przedawkowała w jego gabinecie leki i do domu musiała odwieźć ją pielęgniarka. Jak wyznała członkom Komisji, po tym epizodzie udała się na odwyk.

W listopadzie 1998 roku Procter miał wypadek samochodowy. Utrzymywał potem, że spowodował on u niego zanik pamięci krótkotrwałej i w efekcie musiał porzucić zawód lekarza. Wiele osób podchodziło do tego sceptycznie. Według niektórych była to tylko wymówka, która pozwalała mu upierać się, że nie pamięta, gdzie znajdują się karty pacjentów i w jaki sposób ich leczył. W każdym razie zwrócił swoją licencję lekarską władzom stanu Kentucky, choć nie zamknął swojej kliniki terapii bólu. Do jej prowadzenia zatrudnił lekarzy z całego kraju, dla których wypisywanie bez skrupułów recept na opiaty było jedyną dostępną specjalizacją.

Fabryki prochów były swego rodzaju ostatecznym ciosem w procesie wydrążania małomiasteczkowej Ameryki. W zbyt licznych miastach musiały się zwinąć przedsiębiorstwa i interesy należące do miejscowych. Rodzinne restauracje zostały wyparte przez lokale sieci Applebee’s, a w miejsce drobnych sklepów z żelastwem pojawił się Home Depot. Potem lekarzy rodzinnych zastąpili stanowiący ich surogat doktorzy od bólu i to do nich zaczęła się ograniczać dostępna na miejscu opieka zdrowotna. W północnym Kentucky i południowym

Ohio lekarzy Proctera początkowo witano z otwartymi ramionami, ale tak naprawdę byli oni trucizną wlewaną w usta udręczonego regionu.

W ciągu trzech lat od wypadku Procter zatrudnił piętnastu lekarzy. Część z nich miała w swoim dossier zażywanie narkotyków, zawieszone niegdyś licencje, kłopoty psychiczne. W każdym razie za dwa i pół tysiąca dolarów tygodniowo gotowi byli wypisać każdą receptę. Część z nich została na dłużej. Nauczyli się, na czym polega ten interes, i po jakimś czasie odchodzili i zakładali własne kliniki w położonych niedaleko miasteczkach, zabrawszy przeszkolony przez byłego pracodawcę personel. Jeden z prawników z Kentucky przezwał Proctera „Ray Kroc" na cześć człowieka, który upowszechnił w Stanach Zjednoczonych restauracje McDonald's. Opracowany przez Proctera model biznesowy rozprzestrzeniał się jak wirus, a pozbawieni kompasu moralnego lekarze rozpełzli się po bezbronnym regionie.

Jeden z byłych pracowników Proctera doktor Frederick Cohn otworzył własną placówkę w opuszczonym supermarkecie w liczącym niecałe trzy i pół tysiąca mieszkańców miasteczku Paintsville we wschodnim Kentucky. Przyjmował aż stu czterdziestu sześciu pacjentów dziennie, każdemu poświęcając zaledwie trzy minuty, podczas gdy reszta czekała na zewnątrz w kolejce. Cohn miał już wcześniej wypełnione recepty na różnego rodzaju leki, w tym OxyContin, Lortab, Somę i Xanax. Przepisywał w kółko, przez cały dzień, te same pigułki w tych samych dawkach, nie zważając, na co skarżyli się chorzy – w sumie przez rok nazbierało się tych tabletek dwa miliony siedemset tysięcy sztuk.

Doktor Steven Snyder pracował dla Proctera przez kilka miesięcy w 1999 roku, by potem założyć własną klinikę. Miał już kiedyś zawieszoną licencję w Indianie i na Florydzie za zażywanie narkotyków, a historia jego nałogu była długa. Jednak w 1997 roku stan Kentucky, najwyraźniej nie znając jego przeszłości, wydał mu licencję kręgarza. Pracując u Proctera, brał Lorcet i wstrzykiwał sobie OxyContin, by po dwanaście godzin na dobę wypisywać recepty. Przyznał się inspektorowi DEA, że często dzielił się receptami z pacjentami, zdobywając w ten sposób prochy dla siebie i swojej żony.

Doktor Fortune Williams zatrudnił się u Proctera przed przeprowadzką do Garrison w stanie Kentucky, gdzie pracował w klinice należącej do Nancy Sadler, byłej pracownicy Proctera. Zdarzały się dni, w których na jednego pacjenta poświęcał dziewięćdziesiąt sekund. W ciągu dziewięciu miesięcy udało mu się

wypisać czterdzieści sześć tysięcy recept na środki pozostające w obiegu kontrolowanym – w sumie opiewały one na dwa miliony trzysta tysięcy tabletek.

Doktor Rodolfo Santos pracował w klinice Proctera tylko przez chwilę, ale i to wystarczyło, by przynajmniej jeden z jego pacjentów zmarł. Inspektor napisał, że Santos przejawiał oznaki „rażącej niewiedzy, rażącej niedbałości i rażącej niekompetencji", zaś „poziom oferowanej przez niego opieki był tak niski, że nie uznałbym jej za stosowną nawet u studenta pierwszego roku medycyny". Santos wiedział, że miał do czynienia z uzależnionymi pacjentami, którzy go okłamywali i wyłudzali od niego leki, ale w swoim mniemaniu próbował ich edukować. Jak sam powiedział: „Kto by im pomógł?".

Rozszerzaniu się rewolucji w medycynie towarzyszyło upowszechnienie się klinik bólu – placówek, do których osoby odczuwające ból zgłaszały się na leczenie, głównie zresztą przybierające formę przepisywania opiatowych środków przeciwbólowych, dopuszczonych właśnie do obrotu. Sposób funkcjonowania tych ośrodków opierał się na jednym, powielanym wszędzie modelu biznesowym. Wiele z nich odegrało pożyteczną rolę, jednak część przyciągała lekarzy, którzy mieli za nic reguły moralne bądź też od samego początku byli skorumpowani. Bywało i tak, że nawet ci, których intencje były czyste, z czasem tracili opory i ulegali pokusie lub presji wywieranej przez pacjentów odczuwających ból i uzależnionych poszukujących swojego leku. W każdym razie wiele takich klinik stało się miejscami, w których masowo i odpłatnie wydawano recepty, i zyskało miano fabryk prochów.

Gdy kliniki znalazły już swoje miejsce na rynku, przestały ograniczać się do przepisywania środków w rodzaju Vicodinu lub OxyContinu. Wraz z pojawieniem się Davida Proctera w pasie rdzy i regionie appalaskim zrodziło się upodobanie do leków psychoaktywnych znanych pod nazwą benzodiazepin. Pierwszym z nich było Valium, ale największą popularność zdobył Xanax. Procter udowodnił swoim klientom, że benzodiazepiny w połączeniu z opiatami są bardzo silne i uzależniające. I jedne, i drugie to środki uspokajające, które przyjmowane razem, stają się bardzo niebezpieczne. Narkomanom jednak ich połączenie przypadło do gustu, gdyż benzodiazepiny wzmacniały poczucie euforii wywoływane przez opiaty. Recepta na oba te środki była hitem w fabrykach prochów w Portsmouth i reszcie kraju.

Poprosiłem oficera z wydziału dochodzeniowo-śledczego, który miał za sobą wiele spraw dotyczących klinik leczenia bólu, o wymienienie różnic między

fabrykami prochów a normalnie funkcjonującymi placówkami. Poradził, żeby przyjrzeć się parkingom. Jeśli widać na zewnątrz kolejki oczekujących na wizytę, palących papierosy, odbierających pizzę na dowóz, wdających się w bijatyki, stojących w korkach, albo ludzi pojawiających się w pidżamach, którym zupełnie nie zależy, jak wyglądają w miejscach publicznych – ma się do czynienia z fabryką prochów. Takie właśnie widoki zaczęły się szerzyć w całym Portsmouth po tym, jak David Procter otworzył swoją pierwszą klinikę.

W międzyczasie Procterem zainteresowała się DEA, która wszczęła dochodzenie w sprawie Plaza Healthcare. Procter przyznał się do udziału w zmowie przestępczej polegającej na dystrybuowaniu lekarstw na receptę, a następnie na kilka dni przed zapadnięciem wyroku ruszył do Kanady wraz z kobietą, która wpłaciła za niego kaucję – nie była to ani jego żona, ani kochanka. Złapano ich na granicy kanadyjskiej z czterdziestoma tysiącami dolarów i biletami na samolot lecący na Kajmany. W przygotowaniach do ucieczki uczestniczył jego prawnik Gary „Rocky” Billiter.

Proctera przewieziono z powrotem do Kentucky, gdzie zdążył już w zamian za obietnicę złagodzenia wyroku złożyć zeznania przeciwko Williamsowi i Santosowi. Ostatecznie odsiedział w więzieniu jedenaście lat. Wspomniana dwójka również tam trafiła, podobnie jak Cohn, Snyder i Billiter. Wraz z ich zamknięciem skończyła się w Portsmouth w stanie Ohio epoka fabryk prochów będących własnością lekarzy pochodzących spoza tego miasta.

David Procter wylądował w więzieniu federalnym z oddziałem szpitalnym w Lexington w stanie Kentucky – tam, gdzie niegdyś funkcjonowała Farma Narkotyków. Gdy już był bliski wyjścia na wolność, napisałem do niego list z prośbą o spotkanie, gdyż chciałem wysłuchać, co miał do powiedzenia na temat Portsmouth, prochów, klinik terapii bólu i spuścizny po swojej działalności. Odmówił, a po roku go zwolniono.

Niemniej jednak, kiedy rewolucja w leczeniu bólu zdobywała coraz to nowe przyczółki, Procter i jego naśladowcy zaprezentowali pogrążającemu się w upadku regionowi zupełnie nowy model biznesowy. Wkrótce w Portsmouth otworzyły się nowe placówki – tym razem pozostające własnością mieszkańców miasta – które miejscowi ochrzcili mianem punktów kontroli bólu.

Gość w sercu Ameryki

Columbus, Ohio

Leżące w stanie Ohio miasto Columbus to trochę takie Stany Zjednoczone w miniaturze.

Rozkład dochodów, struktura wiekowa, zróżnicowanie rasowe i różnorodność poglądów czynią z niego replikę Ameryki, którą szczególnie cenią sobie handlowcy. Jest tam duża populacja białych i umiarkowana liczba czarnych. W przeciwieństwie do pozostałych części Ohio Columbus ma dość dużą grupę imigrantów – z Meksyku, Somalii, Nepalu i innych regionów Azji, którzy napłynęli do miasta, by podjąć pracę w słabo opłacanych zawodach. Liczni studenci z uniwersytetu stanowego i innych szkół wyższych sprawiają, że miasto wibruje i tętni życiem.

Chyba żadne inne miasto nie jest tak reprezentatywne dla kraju jak Columbus, które z tego powodu od paru lat nazywane jest „amerykańską stolicą badań marketingowych”.

Tak więc już nie Peoria, jak było dotychczas, ale Columbus uznawane jest za barometr trendów rynkowych występujących w całych Stanach Zjednoczonych. To w tym mieście mają swoje centrale White Castle, Wendy’s i kilkanaście innych fastfoodowych sieci restauracyjnych. Wiele firm właśnie tutaj mierzyło poziom zainteresowania swoimi nowymi produktami – umieszczały je najpierw na półkach miejscowych sklepów i dopiero potem udostępniały w skali ogólnokrajowej. McDonald w Columbus testował swoje żeberka McRib, a Wendy’s i Panera – prototypowe rozwiązania dla swoich sklepów. Również Taco Bell sprawdzał tu reakcje potencjalnych klientów na swoje tacos z bekonem, sałatą i pomidorami. R. J. Reynolds testował tytoń w postaci miętówek, które miały rozwiązać problem biernego palenia. W olbrzymim supermarkecie Market District, należącym do sieci Giant Eagle, sprawdzano sensowność mnóstwa pomysłów, w tym sprzedaży wina na szklanki.

– Jeśli zebrać grabkami Stany Zjednoczone w kupkę, Columbus znajdzie się w samym środku. To według mnie czyni z nas wyjątkowy probierz, odwrotność

uśredniania – mówił w wywiadzie dla CBS News rzecznik Partnerstwa na rzecz Columbus.

– To, co dziś wybierane jest w Columbus, może w dużym stopniu zadecydować o tym, co będziecie kupować jutro gdzie indziej – podsumował rozmowę dziennikarz prowadzący wywiad.

Pod koniec 1998 roku prawdziwość tej tezy, choć w odniesieniu do czarnej smoły, udowadniał swoją działalnością Gość. Nagroda, którą niosło ze sobą Columbus, była obfita.

Columbus, czyli obszar metropolitalny zamieszkały przez niemal dwa miliony ludzi, nie przypominało Youngstown czy Cleveland. Nie było tam zorganizowanej mafii czy uzbrojonych gangów, które kontrolowałyby podziemie narkotykowe. Swymi autostradami zapewniało łączność z tak odległymi rynkami lokalnymi, jak Wheeling w Zachodniej Wirginii na wschodzie i Lexington we wschodnim Kentucky na południu. Na południowym zachodzie było Cincinnati. Na dodatek Columbus okolone było bogatymi przedmieściami i porozsiewanymi na obszarach wiejskich miasteczkami. Od zawsze mieszkali tam ludzie wykształceni, a gospodarka opierała się nie na przemyśle, tylko na usługach. Choć niektóre regiony stanu Ohio wpadły w coś w rodzaju permanentnej recesji, przedmieścia w Columbus wciąż się rozrastały, a w centrach handlowych nadal było tłoczno.

Wszystko to mógł zobaczyć Gość, który przybył na miejsce latem 1998 roku – w momencie gdy meksykańska czarna smoła po raz pierwszy trwale i na szeroką skalę zagościła na wschód od rzeki Missisipi.

Przedtem dilerzy z Columbus potrafili zdobyć jedynie kolumbijską heroinę w proszku, po którą zazwyczaj jeździli do Nowego Jorku, a przed sprzedażą jeszcze ją rozcieńczali.

– Rozrzedzali towar od pięciu do sześciu razy – opowiadał Gość. – Narkomani kupowali wartą sto dolarów torebkę dwa razy dziennie, żeby w ogóle coś poczuć. U mnie kupowali towar za czterdzieści dolarów i to wystarczało im na cały dzień.

Niewielka odległość od Meksyku i bezpośrednie powiązania Gościa z dostawcami maku z Nayaritu oraz producentami czarnej smoły z Xalisco sprawiały, że pozyskiwał czystą heroinę szybko i tanio. Mógł sprzedawać piekielnie mocny towar za przeraźliwie niską cenę. To dawało czarnej smole przewagę nad jej głównym konkurentem, czyli heroiną z Kolumbii, no i oczywiście nad niewielkimi ilościami, jakie przemycano z Azji.

Natychmiast posłał po kolejne dwa dzieciaki z Xalisco, by na miejscu mieć już teraz trzech pomocników. Sprowadził też z Kalifornii kobietę, która na swoje nazwisko wynajęła dwa mieszkania – jedno dla pracowników, drugie dla niego.

Wyszukał salon sprzedaży używanych samochodów, którego właściciel wykazywał się potrzebną Gościowi elastycznością, i wymieniał pojazdy raz na dwa miesiące: starą hondę accord na prelude, potem na civica, a tego z kolei na toyotę camry – białe, beżowe, szare. Kierowcy pracowali na dwie zmiany, czyli od ósmej rano do trzeciej po południu i od trzeciej po południu do dziewiątej wieczór. Wymyślili kody dla miejsc, w których spotykali się z narkomanami: 1 – Burger King, 2 – parking przed dyskontem Kmart.

Przeszkolił nowych Chłopaków z Xalisco. Zasady były jak zwykle proste. Nie wychodzić z domu z towarem w kieszeniach. Brać ze sobą tylko tyle, ile da się połknąć w razie zatrzymania. Nigdy nie nosić broni – aresztowany nielegalny imigrant zostaje deportowany, nielegalny imigrant z bronią dostaje dziesięć lat.

Niektórzy z nich nadal ubierali się tak jak w Meksyku – nosili kowbojki i paski z ozdobnymi klamrami.

– Pójdźcie do sklepów w centrum – powiedział któregoś dnia dwóm z nich. – Zobaczcie, co mają na sobie manekiny w JCPenney. Kupcie sobie takie ubrania, żebyście się mogli wmieszać w tutejszych.

Nalegał, by co tydzień wysyłali pieniądze do domu. Większości nie musiał o tym przypominać i grzecznie przesyłali mamom gotówkę za pośrednictwem Western Union. Wiedział, że za tych, którzy tego nie robili, dostanie od ich rodziców burę. W przypadku paru chłopaków osobiście wysyłał pieniądze ich rodzinom.

Poinstruował też, by towar sprzedawali białym, bo tam były pieniądze. Mieli trzymać się z daleka od czarnych. Nie musiał tego powtarzać, bo jego dilerzy przyjęli powszechne w meksykańskiej kulturze negatywne wyobrażenie o czarnej społeczności, które wzmacniały jeszcze opowieści imigrantów wracających z Compton, Watts i South Central Los Angeles, gdzie wszechwładne czarne gangi terroryzowały bezbronnych Meksykanów. Tak więc Chłopaki z Xalisco nie zapuszczały się do czarnych dzielnic i była to jedna z przyczyn, dla których w miarę rozwoju ich systemu czarna smoła z Nayaritu była kupowana – i zażywana – przede wszystkim przez białych.

Ogólnie rzecz biorąc, jego postawę dałoby się określić hasłem: „Żyj i pozwól żyć innym”. Rynek w Stanach Zjednoczonych był naprawdę duży, a czarna smoła

wystarczająco uzależniająca. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by zająć się sprzedażą hurtową. Zresztą detal przynosił mu trzy razy tyle, ile mógłby zarobić w hurcie. Miał do dyspozycji pokaźną grupę dzieciaków biednych *rancheros* z Nayaritu, którzy ochoczo jeździli po mieście z balonikami w ustach – on sam ryzykował niewiele, a ich po zatrzymaniu co najwyżej deportowano, bo zwykle mieli przy sobie mało towaru. Sprzedaż w niewielkich ilościach pozwalała mu wyciągnąć jak najwięcej z towaru, który sprowadzał z Meksyku. Ponadto im więcej zatrudniał chłopaków, tym bardziej rosła jego pozycja w Xalisco, i ilekroć się tam pojawił, zawsze okazywano mu szacunek.

Columbus znajdowało się na samym końcu łańcucha dystrybucji heroiny w stanie Ohio. Starzy narkomani mówili mi, że w chwili pojawienia się Gościa czystość dostępnej tam heroiny nie przekraczała trzech procent, a i tak trudno było ją zdobyć. Przez lata przed jego przybyciem w całym mieście sprzedawano ją wyłącznie na rogu dwóch ulic – alei Mt. Vernon i Północnej Dwudziestej Ulicy.

Od dawna jednak Columbus było miastem tabletek, bo te wzbudzały większe zaufanie niż niskiej jakości, zanieczyszczona heroina.

– Pojawienie się w tej okolicy czarnej smoły oznaczało nagłą dostępność na ulicach miast środkowego Ohio o wiele czystszej heroiny – opowiadał Ronnie Pogue, współzałożyciel jedynej w Columbus kliniki metadonowej CompDrug. – Zapotrzebowanie na heroinę, które występowało tu od zawsze, zaczęło gwałtownie rosnąć, czego przejawem był natychmiastowy wzrost liczby przypadków przedawkowania.

Działająca w mieście klinika metadonowa była jedyną w promieniu setek kilometrów. Już na długo przed przyjazdem Gościa mieszkający w regionie opiatowcy jeździli do Columbus, by przed kliniką zdobyć cokolwiek, co tam oferowano. Gdy rozprzestrzeniły się pogłoski o wysokiej jakości czarnej smole, pielgrzymi z Zanesville, Toledo, Chillicothe, północy Kentucky i zachodu Wirginii Zachodniej stali się jednymi z pierwszych klientów Gościa. Najlepsi z nich mieszkali w Ashland w stanie Kentucky i od lat kupowali towar przed kliniką. Teraz brali od niego czarną smołę, wracali do Ashland i sprzedawali ją tam z trzykrotnym przebiciem.

W funkcjonującym w Columbus półświatku narkotykowym zaczęto mówić wyłącznie o czarnej smole. Nikt dotąd nie próbował czegoś równie mocnego. Meksykanie mieli wkrótce kierowcę w każdej dzielnicy. Niewiele później heroina trafiła na przedmieścia i do mieszkającej tam młodzieży.

– Podzielili miasto zgodnie z zasadą znaną z dowozu pizzy przez Domino’s: „Trzydzieści minut lub krócej” – wspomniał mi pewien narkoman o długim stażu. – Jeśli jest się na głodzie, to coś takiego zmienia postać rzeczy. A kiedy znalazło im się nowego klienta, dostawało się balonik za darmo. Zazwyczaj za sto dolarów można było kupić siedem balonów. A gdy zgadało się z odpowiednio wieloma ludźmi i kupowało razem, to można było za to dostać nawet trzynaście.

Uczyniwszy z narkomanów swoich pośredników, Gość wkrótce zaczął zarabiać tyle, że coraz mniej uwagi poświęcał prowadzeniu komórki i zamiast tego skupił się na transferowaniu pieniędzy do Meksyku. Zorganizował siatkę młodych kobiet, którym krawiec w Los Angeles uszył gorsety z ukrytymi kieszeniami mogącymi pomieścić sto tysięcy dolarów w gotówce. Wysyłał je samolotem do El Paso, skąd z pieniędzmi przechodziły granicę do Ciudad Juárez, a dalej ruszały do Xalisquillo. Przez ponad rok w drogę do Meksyku ruszały dwie dziewczyny na miesiąc, każda z upchanymi w swoim gorsecie stoma tysiącami dolarów czystego zysku z Columbus.

Sprzedawany przez Gościa towar pochodził od człowieka o nazwisku Oscar Hernández-Garcia – który był członkiem klanu Tejedów i zawiadywał dostawami heroiny ze swego apartamentu w dzielnicy Los Angeles Panorama City. Hernández-Garcia – znany też pod pseudonimem Mosca (Mucha) – działał na skalę hurtową, zaopatrując w czarną smołę komórki Xalisco rozsiane od Portland i Phoenix po Columbus i Hawaje.

Przy sprowadzaniu towaru z apartamentu Hernándeza-Garcii Gość korzystał z usług firmy spedycyjnej Federal Express. Jechał do Kalifornii, kupował w sklepie sieci Target lub Kmart niewielką kuchenkę elektryczną, zdejmował tylną pokrywę, wkładał do urządzenia heroinę i zawoził ją do FedExu, gdzie ją pakowano – policja rzadko sprawdzała paczki przygotowane przez FedEx. Kuchenki wysyłał do narkomana z Columbus, który mieszkał w piwnicy domu swoich zniedołężniałych rodziców. Odbiorca dostawał zapłatę w towarze.

Rozkręciwszy interes w Columbus, Gość zaczął rozglądać się za nowymi rynkami.

Jeden z jego klientów o imieniu Mikey powiedział mu, że w Wheeling w Wirginii Zachodniej oszaleliby na punkcie czarnej smoły. Już na miejscu wprowadził go w tamtejsze środowisko narkomańskie. Tam właśnie Gość dokonał zaskakującego odkrycia.

Mikey przedstawił go heroinistce pod czterdziestkę, a ta dała mu flakonik tabletek, które chciała wymienić na smołę. Jak sama powiedziała, był to OxyContin. Nigdy o nim nie słyszał, więc nie za bardzo chciał wejść w ten układ. Uderzyło go jednak, że jeździła nowym dodgem durango i miała własny dom. Nie znał nikogo, kto od lat brałby heroinę i miał własny dom i własnego SUV-a, więc jej wysłuchał. Powiedziała mu, że OxyContin ma w składzie przemysłowo wytwarzane opiaty i jest wypisywanym na receptę środkiem przeciwbólowym podobnym do heroiny. Postanowił lepiej poznać kobietę. Okazało się, że krążyła po okolicy i za pół ceny skupowała pigułki od emerytów, by potem sprzedawać je na wzgórzach regionu appalaskiego lekomanom uzależnionym od oxy. Za te pieniądze mogła sobie kupić dzienną dawkę heroiny.

Przyjeżdżając do Wheeling w 1998 roku, trafił w sam środek rozpościerającego się na terytorium pięciu stanów obszaru metropolitalnego, w którym po dwóch latach prowadzonej przez firmę farmaceutyczną Purdue kampanii reklamującej jej nowy lek OxyContin nastąpiła eksplozja uzależnień od opiatów, o czym zresztą nie mógł wiedzieć. Na dodatek szczęśliwym dla niego trafem niedaleko było Portsmouth, w którym idąc za przykładem doktora Davida Proctera, przepisującego długim kolejkom lekomanów miliony pigułek, zaczęto otwierać wzbudzające skandal kliniki leczenia bólu. Rewolucja w podejściu do bólu była już w pełnym rozkwicie. Specjaliści nakłaniali mających jak najlepsze intencje lekarzy, by wypisywali swoim odczuwającym bóle pacjentom recepty na leki opiatowe, za czym stało przekonanie, że stosowane w ten sposób nie będą uzależniać.

Innymi słowy – środkowe Ohio stawało się świetnym miejscem dla handlarza heroiną.

Trafiwszy do regionu, gdzie OxyContin zdążył już przygotować teren, Gość sprzedawał czarną smołę już nie starym i wyniszczonym narkomanom, tylko dzieciakom, z których wielu mieszkało na przedmieściach, większość miała pieniądze i wszyscy byli biali. W ich przypadku przejście z OxyContinu na heroinę odbyło się w sposób naturalny i bezproblemowy. Uzależnieni od oxy zaczynali od ssania i rozpuszczania wierzchniej warstwy tabletki, która odpowiedzialna była za stopniowe uwalnianie substancji czynnej – w ten sposób otrzymywali czterdzieści lub osiemdziesiąt miligramów czystego oksykodonu. Początkowo rozkruszano tabletki i tak otrzymany proszek wciągano nosem. Wraz ze wzrostem tolerancji na lek zwiększano dawkę. Ci zaś, którzy chcieli silniejszego kopa, rozpuszczali proszek i wstrzykiwali dożylnie. Jednak odporność stale wzrastała. Kupowany na

czarnym rynku OxyContin kosztował dolara za miligram, a lekomani dość szybko zaczynali przyjmować o wiele więcej niż sto miligramów dziennie. Kiedy kończyły im się pieniądze, przerzucali się na heroinę, bo i tak wstrzykiwali już sobie OxyContin i w międzyczasie wyzbyli się lęku przed igłą.

Czarna smoła była mocna i o wiele tańsza, a system dystrybucji zapewniał do niej o wiele prostszy dostęp niż w przypadku tabletek. Ponadto można ją było palić – heroiny nie trzeba było wstrzykiwać, co przyciągało dzieciaki, którym strzykawka źle się kojarzyła. Dla Gościa każda osoba uzależniona od OxyContinu, a wówczas liczono je już w tysiącach, była potencjalnym konsumentem smoły. Wszystko, co pozostało mu do zrobienia, to ich obsłużyć.

Znajomi z Nayaritu mogli nigdy tego nie dostrzec, podobnie jak wielu innych Meksykanów mówiących tylko po hiszpańsku i żyjących w zamkniętych enklawach, nie mieli bowiem świadomości zachodzenia subtelnych zjawisk w otaczającym ich amerykańskim społeczeństwie. Wszyscy kierowcy byli zatrudniani i wynagradzani przez okres od sześciu do dziewięciu miesięcy, przesiadywali w wynajętych dla nich mieszkaniach i znali tylko kilka słów po angielsku („nic na krechę” czy „za piętnaście minut”), którymi komunikowali się ze zdesperowanymi, niemówiącymi po hiszpańsku narkomanami. Tylko ludzie znający język angielski i rozumiejący dynamikę zachodzących na ulicy procesów mogli odkrywać nowe rynki.

Po tym jak wylądował w Columbus, w momencie gdy region stawał się epicentrum wybuchłej w Stanach Zjednoczonych epidemii opiatowej, dostrzegł rysujące się możliwości z tego względu, że – jak sam mi kiedyś wyznał – „mógł porozmawiać z białymi”.

To, że przyjechał akurat tam i w tym właśnie czasie, okazało się sprzyjającym zbiegiem okoliczności. Inni handlarze z pewnością mogli zaspokoić rosnące zapotrzebowanie na heroinę w regionie, który jako pierwszy doświadczył gwałtownie przybierającego na sile zjawiska nadużywania leków na receptę. Wielu to uczyniło, choć później. Jednak tylko nieliczni, dzięki agresywnemu systemowi sprzedaży i olbrzymim rezerwom kadrowym, byli gotowi aż tak wykorzystać otwierające się możliwości jak Chłopaki z Xalisco i Gość, który ich sprowadził na miejsce.

Gość zorientował się w Wheeling, że nowe rynki tworzą się wszędzie tam, gdzie pojawiły się tabletki. Wraz z Chłopakami prowadzącymi jego komórkę w Columbus zainstalował się też w Carnegie w stanie Pensylwania – na

przedmieściach Pittsburgha, skąd mógł również obsługiwać leżące nieopodal miasta, jak Steubenville i Wheeling.

Nashville także przyciągnęło jego uwagę. Mieszkająca w nim społeczność meksykańska rosła liczebnie i sięgnęła niemal osiemdziesięciu tysięcy osób. Jak słyszał, miasto tonęło w OxyContinie. W miejscowej komórce zatrudnił jednego z kierowców z Columbus i nowego dzieciaka z Xalisco. Wkrótce interes rozkwitł. Pomyślał sobie, że wystarczy wybrać właściwe miasto, a ono nie zawiedzie. Zyski z Nashville pokryły wydatki na rozwój sieci na środkowym Południu.

Idąc za radą jednego z narkomanów, wybrał się do Wirginii, przejeżdżając przez Roanoke, Richmond i Newport News. To był kolejny duży rynek, jednak rząd federalny miał tam za wiele swoich obiektów. Zaniepokoiły go Langley i baza marynarki wojennej. Pokręcił się po Chattanoodze w stanie Tennessee – mieście o bujnym życiu przestępczym, ale jednak zbyt małym. Meksykanie w samochodach za bardzo rzucaliby się w oczy. Pojechał więc do Pensacoli i Jacksonville, ale one też go nie zainteresowały.

– Florydę zdominowali Kolumbijczycy, Kubańczycy i Portorykańczycy. To taka rasa ludzi, która nie ma wyrozumiałości – opowiadał. – Zabijać, zabijać, zabijać. Wydaje im się, że wszystko można rozstrzygnąć zabijaniem. Nie chciałem nikogo mordować z powodu narkotyków, bo wtedy najprawdopodobniej resztę życia spędziłbym w więzieniu.

Odpuścił też Filadelfię. Funkcjonował tam duży rynek heroinowy, ale kontrolowały go gangi uliczne i mafia. Nigdy na poważnie nie zastanawiał się nad Nowym Jorkiem ani Baltimore. To byłoby szalone – myśleć, że grupka meksykańskich wieśniaków mogłaby się tam przebić. Zresztą po co mieliby to robić? W kraju pełno było miast takich jak Columbus – bogatych, z rosnącą liczbą uzależnionych i brakiem konkurencji.

Tak więc kontury społeczności heroinowej z Xalisco nabrały kształtu, bazując w dużej mierze na terytorium, jakie Gość wyznaczył poprzez unikanie wielkich miast, gdzie rynek narkotyków był już kontrolowany przez innych, a także śledzenie popularności OxyContinu.

Starał się, by jego koledzy z Nayaritu nic nie wiedzieli o jego wschodnich *tienditas*. Kiedy wracał do Reno lub Los Angeles, by załatwić kwestię dostaw, zawsze mówił, że operuje w Nowym Jorku. Ale w małym miasteczku, jakim było Xalisco, wszyscy plotkowali. Po rocznym pobycie w Columbus jego kierowcy wracali do domu na Feria del Elote i przechwalali się obsługiwanym przez siebie

olbrzymim rynkiem heroiny w środkowym Ohio. Na jesieni 1999 roku w Columbus pojawiły się dwie dodatkowe załogi. Jedną zarządzał były kierowca Gościa, który się usamodzielnił. Za nią pojawiły się kolejne. Wśród Chłopaków z Xalisco zapanował etos dający się wyrazić słowami: „Ruszaj na wschód, młodzieńcze". Cena heroiny sprzedawanej w Columbus spadła. Żaden z liderów załóg nie mógł pozwolić sobie na chrzczenie towaru, bo utraciłby klientów. Tak więc choć czarna smoła taniała, jej moc pozostawała niezmienna.

Jak to zwykle bywa, pojawienie się konkurencji uczuliło załogi z Xalisco na kwestię jakości obsługi klienta. Potrafili pojechać na drugą stronę miasta, byle tylko utrzymać odbiorcę, lub wręczać za darmo dawki tym, którzy zaczynali przebąkiwać coś o odwyku.

Jedna z kobiet, którą spotkałem, mieszkała czterdzieści kilometrów od Columbus. Któregoś razu przez trzy dni nie odzywała się po towar. Zadzwonił do niej Chłopak z Xalisco.

– *Señorita*, dlaczego pani ostatnio niczego nie kupuje?

– Nie mam pieniędzy – odpowiedziała.

Podjechał do niej, by wręczyć heroinę wartości pięćdziesięciu dolarów. Nie chciał za nią zapłaty.

– Nie, to za darmo – powiedział.

– Chciał, żebym dalej brała herę, a towar kupowała od niego – dopowiedziała.

Tak też zrobiła.

Około roku po osadzeniu się w Columbus Gość pojechał do Charlotte w poszukiwaniu większych zysków. Klienci mówili mu, że w tym mieście zarobi milion dolarów. Nikt nie miał tam jeszcze styczności z czarną smołą, a heroina stanowiła tylko niewielką część rynku. Spotkał się przy miejscowej klinice metadonowej z poleconymi przez narkomanów dilerami i dał im nieco darmowych próbek. Nie minęło dużo czasu, a i tam biznes rozkwitł. Wycofał jednego kierowcę z Columbus, drugiego z Nashville i otworzył *tiendita* w Charlotte.

Kilka tygodni później pojawiła się rodzina Sánchezów z *ranchos* koło Xalisco. Mieli własnego narkomana przewodnika, wielkiego Indianina. Sánchezowie zawdzięczali swoje rozwijające się imperium heroinowe pomocy udzielonej przez ćpunów. To oni pomogli im przenieść działalność z San Francisco do Las Vegas, a potem do Memphis i Nashville, a na koniec do Charlotte. Gość nie znał osobiście Sánchezów, tylko o nich słyszał. Byli kuzynami nieżyjącego już Davida Tejedy

z położonego przy drodze do Xalisco *rancho* Aquiles Serdán. Teraz byli też w Charlotte.

Wcześniej czy później musiało się tak stać. W końcu działał na wolnym rynku.

Ciała to klucz do sprawy

Santa Fe, Nowy Meksyk

Dominacja klanów heroinowych w Chimayo trwała od lat. Nie miało znaczenia, że ich członkowie byli regularnie aresztowani, podobnie jak i ci, którzy dla nich pracowali. Jak powiedział Jimowi Kuykendallowi Chris Valdez, problem tkwił w tym, że nikt nigdy nie odsiedział dłuższego wyroku i po jakimś czasie wszyscy wracali do domu, a wraz z każdym przejawem bezkarności rodziny tylko rosły w siłę. Niemniej stare sprawy zainteresowały Kuykendalla. W każdej z nich pojawiały się przejęte narkotyki, a z dokumentacji wyłaniał się obraz kontroli sprawowanej przez klany. Kuykendall zauważył, że jest w tym do opowiedzenia pewna historia. Dzięki działaniom policji ścigającej poszczególne rodziny byli do dyspozycji świadkowie i ludzie siedzący w więzieniu – narkomani lub szeregowi pracownicy, którzy mogliby coś powiedzieć o klanach. Również ci, którzy zmarli z powodu przedawkowania narkotyków, mogliby wnieść swoje, gdyby tylko ich bliscy zdecydowali się mówić. Ich opowieści mogłyby najlepiej pokazać, jak głęboko sięgała władza klanów w Chimayo.

Te historie były dla Jima Kuykendalla bardzo ważne, gdyż składały się na obszerniejszą opowieść o kontroli sprawowanej przez klany. Ta zaś narracja mogłaby z kolei stać się podstawą federalnego aktu oskarżenia. Powołał więc zespół złożony z miejscowych gliniarzy i skupił się na głównych rodzinach sprzedających heroinę, a w szczególności na Felixie Bareli, który utrzymywał, że dorobił się na cięciu drewna na opał.

Niewiele później odbył spotkanie z wysokimi rangą agentami i prokuratorami federalnymi. FBI chciało oddelegować swoich pracowników, którzy zajęliby się podsłuchami. Kuykendall zgłosił sprzeciw. Według niego nie było potrzeby ich zakładania.

– Kluczem do sprawy są ciała – powiedział. – Każde z nich opowiada pewną historię. Za każdym z nich jest jakaś opowieść, gdzie kupili narkotyki i jak zmarli. Musimy je odtworzyć.

Na jego biurko trafiły dziesiątki raportów lekarskich dotyczących przypadków przedawkowania. Rozdzielił je między śledczych, którzy rozjechali się po dolinie

Española, by przesłuchać rodziny zmarłych. Przed paroma laty, gdy czarna smoła przyspieszyła upadek okolicy, każdy kolejny martwy narkoman traktowany był jak kolejny problem z głowy. Nikt zbytnio nie dbał, by porozmawiać z ich bliskimi. Kuykendall uważał natomiast, że rodziny były integralną składową opowieści o heroinie w Chimayo. Narkomani – nawet ci w mocno dojrzałym wieku – często wracali do rodziców, gdy stracili pracę, własne domy i małżonków. Rodzice żyli w udręce, gdyż ich uzależnione od molekuły morfiny dzieci okradały ich. Wyszło na jaw, że dość często bliscy, nie będąc w stanie wytrzymać zamętu związanego z ewentualną odmową pożyczenia samochodu – i bojąc się, że jeśli to zrobią, już więcej go nie zobaczą – sami zawozili uzależnionych na narkomańskie meliny.

Okazało się też, że ci rodzice czuli rzeczywistą potrzebę rozmowy. Witali śledczych ze łzami w oczach i uściskami. Wspominali swoją bezradność, gdy zrezygnowani przyglądali się, jak ich dzieci pogrążały się w nałogu. Jedna z matek uszczypnęła Kuykendalla w policzek, gdy w końcu wymogła na nim obietnicę, że dorwie tych, którzy sprzedali jej dziecku heroinę. Opowiadano, jak przed rozpoczęciem roku szkolnego członkowie rodziny Barelów rozdawali listy wyszczególniające, jakie ubrania potrzebne są ich dzieciom. Po niedługim czasie narkomani zasypywali ich nowymi, ukradzionymi dla ich dzieciaków spodniami. Podobnie wyglądała sprawa z zapotrzebowaniem na nowy telewizor lub sprzęt grający.

Pewnego popołudnia Kuykendall udał się z wizytą do siedemdziesięcioparoletniego Dennisa Smitha, który stracił syna Donalda. Donald zaczął na nowo mieszkać ze swoim ojcem po tym, jak pokłócił się ze swoją dziewczyną z powodu zażywanej przez siebie heroiny.

Siedząc z Kuykendallem, starszy mężczyzna wspominał, jak wracając pewnego wieczora do domu z wyjazdu do miasta, jego syn zażądał, by zawrócili do Chimayo, bo musi tam kupić heroinę. Zagroził, że wyskoczy z samochodu, jeśli ojciec tego nie zrobi. Dennis Smith powiedział, że zawiózł syna do posiadłości Barelów – miejsca, gdzie zabrał go już kilka razy wcześniej. Nazajutrz rano znalazł ciało syna w przyczepie stojącej z tyłu swego domu.

George Roybal wyznał detektywom, że często zabierał swego niepełnosprawnego brata Erniego, by kupić towar od Barelów i Martinezów. Z kolei Lynette Salazar powiedziała im, że zabrała swego syna Armanda do należącego do klanu domu – co robiła wiele razy przedtem – gdzie wymieniła

części samochodowe na działkę heroiny, od której Armando umarł jeszcze tego samego dnia.

Kuykendall poleciał do Montany na spotkanie z kobietą, która pewnej jesieni jechała przez dolinę. Oczarowana jej pięknem, postanowiła zostać. Przeprowadziła się więc w bezpośrednie sąsiedztwo domu członka klanu Martinezów. Jak wspominała funkcjonariuszowi, z początku myślała, że jej sąsiad jest drużynowym skautów, bo tylu młodych chłopaków odwiedzało go popołudniami. Szybko jednak zauważyła, że mają na ramionach zaciśnięte paski, a jej syn zaczął znajdować w ogródku strzykawki. Wezwała policję i zaczęła odnotowywać każdy samochód, jaki się pojawiał – czasami było ich trzydzieści dziennie. Przez rok obserwowała, jak narkomani bezceremonialnie dawali sobie w ogródku w żyłę, nie przejmując się tym, że byli świetnie widoczni z jej okien. W kółko dzwoniła na policję, ale ostatecznie się poddała i wyjechała do Montany.

Koniec końców stanęło na tym, że oskarżenie wniesione przeciwko klanom odwoływało się tylko do relatywnie niewielkiej liczby zakupów kontrolowanych i w swym trzonie opierało się na zeznaniach osób, do których udało się dotrzeć Kuykendallowi i reszcie agentów. Rodziny i znajomi zmarłych przedstawili swoje historie wielkiej ławie przysięgłych, a Kuykendall na koniec odtworzył dzieje heroiny w dolinie oraz kontroli, jaką nad nią sprawowały klany. Ława uznała winnymi trzydzieści cztery osoby, w tym Felixa Barelę, Josefę Gallegos, Grubego Jose Martineza i jego brata Donutsa.

O szóstej rano 29 września 1999 roku ciągnąca się na osiem kilometrów karawana funkcjonariuszy organów ochrony porządku publicznego wjechała do Chimayo, a na niebie warczały jak ważki trzy helikoptery. Przejęto należące do Bareli ziemię, motocykle i jego ulubionego lowridera Czarodzieja. Dwa miesiące później zabrano też jego ukochanego konia wyścigowego, kasztana Red Hot Maga. Wcześniej trener potajemnie wywiózł konia ze stanu, potem jednak nieopatrznie przywiózł go na wyścigi zorganizowane na torze SunRay w Farmington. Kiedy koń wygrał ósmą gonitwę, Kuykendall ze swymi agentami zatrzymał zjeżdżającego z toru dżokeja, okazał nakaz sądowy i skonfiskował rumaka. Udali się też do biura organizatorów wyścigów, gdzie zajęli dwadzieścia dwa tysiące dolarów nagrody. Sam Red Hot Mag poszedł potem na aukcji za piętnaście tysięcy dolarów.

Zajmującą sześć hektarów posiadłość Bareli, gdzie setki narkomanów kupowały towar, przekazano Klubowi Chłopców i Dziewcząt. Pozbawione ziemi klany

straciły podstawę funkcjonowania. Nawet po wyjściu z więzienia nie wróciły już do Chimayo.

Jednak historia klanów z Chimayo jest o tyle ważna dla naszej opowieści, że kilka miesięcy przed tym nalotem, w kwietniu 1999 roku, kiedy Jim Kuykendall wraz ze swoim zespołem pracowali nad prowadzoną przez siebie sprawą, w Santa Fe znaleziono ciało. Były to zwłoki pochodzącego z miasteczka Xalisco w stanie Nayarit dwudziestojednoletniego Meksykanina Aurelia Rodrigueza-Zepedy. Leżały w bagażniku samochodu, zakrwawione i ze śladami pobicia.

Nazwa Xalisco nic wówczas nie mówiła agentom, może z wyjątkiem dość ironicznie brzmiącej informacji, że było to bliźniacze miasto nieodległego Taos w stanie Nowy Meksyk. Samo zabójstwo chłopaka też nie było specjalnie intrygujące. Jednak samochód, w którym go znaleziono, zarejestrowany był na Josefę Gallegos, heroinową matronę z Chimayo. Zainteresowali się tym.

Przy zwłokach Rodrigueza-Zepedy znaleziono telefon komórkowy. Agenci wpisali zachowane w nim numery do federalnej bazy danych. Jeden z nich pojawił się w innym związanym z handlem heroiną śledztwem, które FBI prowadziło w Phoenix.

Kuykendall zadzwonił do tamtejszego biura FBI i porozmawiał z agentem Garym Woodlingiem.

Woodling opowiedział mu dziwną historię. On sam był członkiem zespołu agentów tropiących handlarzy czarną smołą, którzy pochodzili z meksykańskiego stanu Nayarit. Rozszerzając swoją działalność poza Phoenix, dilerzy utworzyli sprzedające heroinę komórki w średniej wielkości miastach rozsianych po dużej części Stanów Zjednoczonych. Trzech braci Nayaritańczyków kierujących komórką w Phoenix najwyraźniej doszło do wniosku, że dokądkolwiek leci US Air, tam znajdą dobry przyczółek dla handlu czarną smołą. To nie były tradycyjne centra sprzedaży narkotyków, jak na przykład Filadelfia, Miami czy Chicago. Zamiast tego wybierali miasta w rodzaju Boise, Salt Lake, Omaha, Denver, Pittsburgh, a nawet Billings lub Montana. Woodling dodał jeszcze, że człowiek z wydziału antynarkotykowego w Boise, niejaki Ed Ruplinger, prowadził zakrojone na całkiem sporą skalę dochodzenie przeciwko części z tych ludzi.

Kuykendall ze swoim zespołem wrócił do sprawy z Chimayo i przejrzał zgromadzone w sądzie zapisy nagrań rozmów telefonicznych tamtejszych klanów heroinowych. Wynikało z nich, że jeśli klan chciał zamówić dostawę, to dzwonił pod numer centralny – najwyraźniej do dyspozytora. Z kolei ten szybko

kontaktował się z Aureliem Rodriguezem-Zepedą. Wyglądało na to, że zabity chłopak był swego rodzaju doręczycielem czarnej smoły, którego regularnie wysyłano, by zaopatrywał dilerów z Chimayo.

Przez długi czas Kuykendall i współpracujący z nim agenci przyjmowali, że ludzie zaopatrujący klany narkotykowe z Chimayo stanowili osobną grupę meksykańskich handlarzy, którzy utknęli w chłonnej na heroinę dolinie Española. Woodling rozwiał to złudzenie. Gdy postępowanie w sprawie Gallegosów, Barelów i Martinezów dobiegło końca i owego wrześniowego ranka 1999 roku ośmiokilometrowa kawalkada samochodów policyjnych wjechała do Chimayo, Kuykendall wiedział już, że wpadli na trop czegoś o wiele większego.

Enrique na szczycie

Santa Fe, Nowy Meksyk

Robert Berardinelli poczuł, że jest dobrze, gdy zobaczył przybywających do miasta Meksykanów z Nayaritu. Ten widok poprawił mu humor.

Berardinelli – łysiejący pięćdziesięcioparolatek pochodzący z rodziny właścicieli zakładu pogrzebowego w Santa Fe – był uzależniony od heroiny, a początki jego nałogu sięgały 1969 roku. Przemycał wtedy trawę z Meksyku i w latach siedemdziesiątych odsiedział nawet trochę w więzieniu. Teraz od lat rozpaczliwie starał się odstawić narkotyki, próbował brać metadon, ale bez skutku. Zazwyczaj kupował towar od dilerów operujących na ulicach Santa Fe, co wiązało się z pewnym ryzykiem. Jego rodzina była aktywna w życiu publicznym miasta od niemal wieku. Berardinelli byli sędziami, radnymi, dyrektorami poczty i skarbnikami miejskimi. Uganianie się po Santa Fe w poszukiwaniu handlarzy heroiną, którzy nie zawsze wzbudzali zaufanie, mogło zaprowadzić go do aresztu, a rodzinę narazić na wstyd.

Jak potem mówił detektywom, wiele się zmieniło latem 1997 roku, gdy w mieście pojawiła się grupa dilerów z meksykańskiego stanu Nayarit kierowana przez człowieka od czasu do czasu występującego pod imieniem Enrique.

Heroina zawiodła Enrique daleko od jego *barrio*, zwanego Ropuchą.

Na pokładzie samolotu lecącego z lotniska w Yumie do Nowego Meksyku – w dniu, gdy przyglądał się tłoczącym migrantom – Enrique czuł, że ta podróż była chwilą, której tak długo wyczekiwał. Dzieciństwo spędził w biedzie, jako nastolatek sprzedawał narkotyki w dolinie San Fernando, gdzie zatrudnili go wujkowie, którzy oszukali go na wypłacie, potem pracował dla szefa w Phoenix. Miał żonę i wiele do udowodnienia. Wiedział, na czym polegał interes, był pewny siebie i swoich umiejętności jako sprzedawcy i motywatora. Teraz, w 1997 roku, miał utworzyć własną komórkę handlującą heroiną.

Przed opuszczeniem domu poprosił rodziców o błogosławieństwo.

– Nie wiem, czy wrócę – powiedział im.

Przyglądanie się, jak ci zakurzeni imigranci byli prowadzeni przez *la migra* na lotnisku w Yumie, stanowiło coś na kształt cezury w wyzbywaniu się ostatnich dręczących go wątpliwości związanych z handlowaniem chivą.

Udał się do Albuquerque, gdzie planował rozkręcić swój pierwszy heroinowy interes. Dość szybko jednak spotkał ćpuna z Santa Fe, który powiedział mu, że wśród tamtejszych robotników budowlanych narkomania jest czymś na porządku dziennym. Za namiary na grupę narkomanów zapłacił pięć tysięcy dolarów. Na miejscu zobaczył, że miasto oferuje spore możliwości biznesowe – nie było gangów ani konkurencji. Tam właśnie utworzył swoją własną komórkę handlującą heroiną, co było celem przyświecającym mu przez połowę dotychczasowego życia.

Sprowadził nieco dzieciaków ze swej wioski. Bycie pracodawcą i dobroczyńcą natychmiast mu się spodobało. Nauczył ich jeździć po mieście i pakować heroinę do baloników. Pokazał, jak zachowywać się na ulicy. Płacił im sześćset dolarów tygodniowo i pokrywał wszystkie koszty dodatkowe, w tym wynagrodzenie dla przemytników, którzy przerzucili ich przez granicę. Wkrótce jego komórka sprzedawała baloniki w całym Santa Fe, a on sam wrócił do Nayaritu.

Przez następne trzy lata dał pracę jakiejś dwudziestce chłopaków z najbiedniejszych *ranchos*, bo ci pracowali ciężej, nie kradli i okazywali wdzięczność. Niektórzy chcieli zarobić cokolwiek, a potem wrócić do domu i imprezować. Inni – jak niegdyś on sam – chcieli otworzyć własny interes i gotowi byli pracować dla niego nie dłużej niż do chwili, w której nabędą doświadczenia i zgromadzą nieco kapitału. Tak czy siak widział, jak poważnieli, gdy wysyłał ich, by jeździli dla niego po północnym Nowym Meksyku. Byli tacy, co próbowali wszystko obrócić w żart, ale doskonale wiedział, że blefowali. Zdawał sobie sprawę, jak wiele w ich przypadku zależało od tego wyjazdu – furgonetka, kawałek ziemi, dziewczyna, ewentualne gnicie za kratami.

Chłopaki z Xalisco były w Stanach Zjednoczonych biedne jak mysz kościelna. Wszystko się zmieniało, gdy wracały do domu. To byli młodzi mężczyźni i chcieli się bawić. Enrique pochlebiał sobie, że dba o swoich pracowników, bo sam był kiedyś na ich miejscu. Zabierał ich do klubu ze striptizem El Queros w Vallarcie, gdzie za wszystko płacił, lub do nadmorskich kurortów w Nayaricie. Żaden rolnik uprawiający trzcinę cukrową nigdy do takich miejsc nie zawitał.

W międzyczasie zatrudnił dla swojej mamy pokojówkę. Ufundował swojej siostrze quinceañera – tradycyjne meksykańskie przyjęcie urodzinowe urządzane dla wychodzących z domowych pieleszy piętnastoletnich dziewczyn. Drugiej

zasponsorował studia. Podczas przemowy wygłaszanej przez absolwentów podziękowała bratu, że umożliwił jej ich ukończenie. Zabierał rodzinę do dobrych restauracji w Tepic, gdzie w lekkich nerwach zaznajamiali się z miejscową klasą średnią.

Kiedy tak bywał w restauracjach, rozglądał się i uświadamiał sobie, że chiva ostatecznie pozwoliła mu przekroczyć rzekę oddzielającą jego *rancho* od świata.

– Przynajmniej nie umrę, nie wiedząc, jak jest po drugiej stronie – mawiał sobie.

Enrique kupił ziemię, na której urodził się on i jego ojciec. Najmował robotników, którzy pomagali jego tacie na roli.

Kiedy ojciec zobaczył pewnego dnia u niego kokainę, wziął go na bok. Ostrzegł chłopaka, żeby uważał z tym towarem i go nie brał. Przyznał, że sam pił zdecydowanie za długo. To był pierwszy raz, gdy rozmawiał z Enrique tak jak ojciec z synem.

– W porządku – odpowiedział Enrique. – Ale dlaczego nie rozmawiałeś tak ze mną wcześniej?

Ojciec nic na to nie odpowiedział.

– Musisz się zmienić – strofował ojca. – Żadnych krzyków.

Ojcowie z *ranchos* nie rozmawiali ze swymi dziećmi, tylko wszelkie problemy rozwiązywali za pomocą ciosów lub poleceń. W domu Enrique dopiero heroinie udało się to zmienić.

Niemniej przytrafiały mu się też utrapienia, z którymi każdemu drobnemu przedsiębiorcy przychodzi się zmagać. W Santa Fe Enrique wciąż musiał zmieniać mieszkania dla swoich pracowników, zdobywać nowe telefony komórkowe i pagery. Kiedy jakiś gliniarz zatrzymywał któregoś z jego kierowców, to samochód był już spalony. Znalezienie chętnych do pracy nie było takie trudne, wielu pukało do jego drzwi z prośbą o zatrudnienie. Niemniej sprawdzenie, czy warto im zaufać, przerzucenie ich na północ i wyszkolenie to była katorga, na dodatek dość kosztowna. Mieszkał na *rancho*, ale bez przerwy wracał do Santa Fe, by nadzorować interes, zrobić konieczne korekty, motywować swoich chłopaków i trzymać ich w pionie.

Siedząc w Santa Fe, dość szybko dostrzegł chłonny rynek heroinowy w niewielkim, leżącym czterdzieści kilometrów na północ Chimayo. Po jakimś czasie zaczął obsługiwać tamtejsze klany. Za sprawą jego czarnej smoły miasteczko, które i tak od dziesięcioleci zmagało się z problemem narkotykowym, coraz bardziej się zapadało. W ciągu kolejnych trzech lat dwa procent

mieszkańców – osiemdziesiąt pięć osób, którym od lat udawało się przeżyć na słabszej heroinie w proszku – umrze na skutek przedawkowania sprzedawanego przez niego towaru.

Stworzona przez Enrique sieć odmieniła też handel heroiną w Santa Fe.

Odtąd Robertowi Berardinellemu wystarczyło wykręcić numer telefonu. Ci nowi Meksykanie wprowadzili system bezpośrednich dostaw heroiny. Tak jak w przypadku pizzy.

Nim się pojawili, na rynku dostępny był brązowy proszek sprzedawany przez narkomanów, którzy przedtem go rozrzedzali – jakość potrafiła radykalnie zmienić się z tygodnia na tydzień. Goście z Nayaritu nie chrzcili swojej heroiny. Zawsze z wielką starannością dbali o to, by przywozić baloniki zawierające standardową ilość czarnej smoły, której moc pozostawała niezmienna. Najbardziej zaskakujące było to, że sami nie brali sprzedawanego przez siebie narkotyku. Każdy diler heroiny, którego Berardinelli do tej pory miał okazję poznać, był narkomanem, co zwykle wiązało się ze skłonnością do chrzczenia towaru. Meksykanie natomiast w ogóle nie byli zainteresowani konsumpcją, chodziło im tylko o pieniądze.

– Zawsze marzyłem o tym, że przestanę brać i zarobię na tym trochę pieniędzy – opowiadał Berardinelli. – Każdy ćpun, jakiego znałem, miał taki plan, ale u nikogo nigdy nie wypalił. Za to ci kolesie spełniali marzenie każdego narkomana.

Dla Berardinellego i reszty ćpunów Chłopaki z Nayaritu stały się marką równie solidną jak Coca-Cola czy Holiday Inn. Zawsze miało się pewność, co będzie w ich balonikach.

Pewnego dnia Meksykanie spytali go, czy nie mógłby znaleźć dla nich samochodu. Za zarejestrowanie go na własne nazwisko mieli mu zapłacić heroiną. W ten sposób rozpoczął nowe życie pomocnika nayaritańskich handlarzy heroiną. Za rejestrację policzył sobie trzy gramy, plus dodatkowe dwa za ubezpieczenie.

Potem liczba zleceń się zwiększyła. Poprosili go o przetransferowanie ich pieniędzy do Meksyku, co też uczynił. Kupował im na siebie pagery i telefony, za co dostawał swoją działkę narkotyku. Raz na jakiś czas otrzymywał telefon z policji, że zarejestrowany na niego samochód był wykorzystywany przez Meksykanów, których zatrzymano za przekroczenie prędkości. Odbierał samochód, za co również wynagradzali go czarną smołą. Kiedy chcieli, by wyszukał mieszkanie dla ich kierowcy, żądał grama za znalezienie lokalu, dwa gramy za

wypełnienie umowy najmu i półtora grama za przepisanie na siebie usług komunalnych.

Kierowcy zmieniali się co trzy miesiące.

– Uczyli ich konkretnych tras – opowiadał mi Berardinelli, kiedy wytropiłem go czternaście lat później w Santa Fe. – Przyjeżdżali na zarobek, potem znikali i można było ich nigdy więcej nie spotkać. Część wracała po półroczu. To były po prostu dzieciaki chcące zarobić trochę pieniędzy, a to był taki ich sposób na spełnienie amerykańskiego marzenia. Mówili, że są z Nayaritu. Opowiadali, jak słabo zarabiają w domu i jak dobrze, że mogą tu przyjechać, popracować i pomóc swoim rodzinom. W Meksyku byli robotnikami rolnymi lub łapali się jakichkolwiek robót, które mogli dostać mimo braku wykształcenia.

Kiedyś na parkingu Berardinelli spotkał Enrique, który wyglądał na ich szefa. Chciał wymienić nissana na cadillaca. Berardinelli podpisał umowę sprzedaży, a Enrique dał mu za to pięć gramów heroiny.

Berardinelli znał trochę hiszpański. Przez dziewięć miesięcy Enrique często go odwiedzał, zazwyczaj z prośbą, by zakupił na swoje nazwisko samochód lub telefon komórkowy. Zawsze przychodził z porcją darmowego towaru. Berardinelli pamiętał, że z początku Enrique próbował odgrywać twardziela i pojawiał się w towarzystwie dwóch lub trzech innych gości. Odpuścił sobie, gdy odkrył, że Berardinelli to stary przemytnik, a ten opowiadał mu, jak na południe od El Paso zajmował się kontrabandą marychy w samolotach pilotowanych przez lotników walczących w wojnie koreańskiej. Częstował ich colą, bo najwyraźniej nie pili. Nigdy też nie widział ich na haju.

– Dzięki temu, jak ten interes działał, wszystko odbywało się na większym luzie – wspominał. – Nie było w tym elementu strachu. Towar nigdy nie był chrzczony, dostawało się to, za co się płaciło. Ćpunowi, którym byłem, to wydawało się całkiem w porządku.

– Przeszedłem od codziennej walki o działkę do posiadania w sumie nieograniczonych ilości heroiny tylko za to, że składałem mój podpis na stercie dokumentów. Dawali mi towar w zamian za rzeczy, których przysięgałem sobie nie robić: kupowanie im samochodów, wynajmowanie mieszkań. Kiedy jest się uzależnionym od tego gówna, głowa wariuje. Traci się rozsądek, a kompas moralny przestaje działać. Wystarczyło, że do nich zadzwoniłem, a dawali mi wszystko, czego potrzebowałem. Było ze mną coraz gorzej. Tak samo jak z wieloma innymi ludźmi w północnym Nowym Meksyku od czasu, gdy pojawili się ci goście.

Heroina jak hamburgery

Los Angeles, Kalifornia

Pewnego styczniowego dnia w 2000 roku setka agentów federalnych i funkcjonariuszy policji z dwudziestu dwóch miast zebrała się w siedzibie DEA w Los Angeles.

Paul „Rock” Stone przyjechał z Portland, Jim Kuykendall z Albuquerque, a reszta z Hawajów, Denver, Utah, Phoenix i kolejnych kilkunastu miast, by porozmawiać o splątanej siatce dochodzeń dotyczących handlarzy heroiną działających w dużej części Stanów Zjednoczonych. Śledztwa te z początku wydawały się niepowiązane ze sobą, jakby sprzedawcy czarnej smoły zupełnie niezależnie od siebie zapuszczali się na Maui lub do Denver. Jednak w 1999 roku agenci DEA w Los Angeles otrzymali informację, że diler heroiny w San Diego zaopatrywał się u dwojga pośredników operujących z mieszkania w położonej w dolinie San Fernando dzielnicy Panorama City. Funkcjonariusze uzyskali od sądu zgodę na założenie tej parze podsłuchów.

Okazało się, że Oscar Hernández-Garcia i jego żona Marina Lopez pochodzili z Xalisco. Ze swego mieszkania Hernández-Garcia wydzwaniał pod numery telefoniczne rozsiane w różnych miejscach Stanów Zjednoczonych. Na nagraniach z podsłuchu słychać było, jak Oscar organizował dostawy czarnej smoły, którą zazwyczaj ukrywano we wnętrzu kuchenek elektrycznych. Wśród jego rozmówców był między innymi Gość, który potrzebował towaru dla swoich komórek działających w Columbus, Nashville, Wheeling i Charlotte. Omawiali kwestię nadanych już przesyłek, a czasami Gość, który mówił po angielsku, dzwonił potem do Federal Express z reklamacjami w sprawie zaginionych paczek.

Lista miast, do których dzwonił Hernández-Garcia, nieustannie rosła. Za każdym razem, gdy pojawiło się jakieś nowe, agenci dzwonili do swoich tamtejszych kolegów po fachu.

W centrali DEA w Arlington w stanie Wirginia kontroler Harry Sommers obserwował, jak śledztwa dotyczące handlu heroiną zaczynają obejmować cały kraj. Jego zadaniem było koordynowanie często terytorialnie odległych dochodzeń w miarę ich rozwoju. Nayaritańczycy przyciągnęli jego uwagę z powodu liczby

miejsc, w których się pojawiali. Większość spraw wydawała się drugorzędna, gdyż chodziło w nich co najwyżej o kilkadziesiąt lub kilkaset gramów czarnej smoły. Nowością, która zaintrygowała Sommersa – oprócz rozsiania terytorialnego dochodzeń – był fakt, że sprzedawana na czarnym rynku heroina była o wiele mocniejsza i zarazem zdecydowanie tańsza niż dotychczas. Na dodatek wszyscy dilerzy pochodzili z Nayaritu, a ponadto z każdym kolejnym śledztwem coraz wyraźniej było widać, że działali bodaj w całych Stanach Zjednoczonych.

Byli nawet w Boise w stanie Idaho, co zaskoczyło Sommersa. Niedawno Ed Ruplinger zakończył swoje dochodzenie i doprowadził do aresztowania tam kilku kierowców i kurierów Polli, czyli Cesara Garcii-Langariki, który przebywał wtedy w Los Angeles. Prokurator federalny nie wykazał wówczas chęci kontynuowania śledztwa w Kalifornii lub w innych miejscach, w których Ruplinger wytropił istnienie komórek handlujących heroiną. W międzyczasie Polla najprawdopodobniej wrócił do Nayaritu. W razie powrotu do Stanów Zjednoczonych czeka go postawienie w stan oskarżenia. Wtedy jednak Ruplingerowi nie udało się przekonać innych, że Boise to było tylko oczko w wielkiej sieci.

Niemniej w 1999 roku sytuacja się zmieniała.

Sommers nigdy dotąd nie spotkał się z tego typu systemem. Mimo że komórki heroinowe z Xalisco konkurowały ze sobą, kiedy którejś kończyły się zapasy, inne bez problemu pożyczały jej towar. Wszystkie – bez wyjątku – były ze sobą powiązane, ale jeśli koncentrowano się na każdej z nich z osobna, łatwo było przegapić te koneksje.

– Należało przyglądać się im w skali makro – tłumaczył Sommers.

Zorganizował więc styczniowe spotkanie śledczych w biurze DEA w Los Angeles, a całej operacji nadał kryptonim „Smolne jezioro”.

Spotkanie to po raz pierwszy pozwoliło naocznie przekonać się o ogólnokrajowym zasięgu działania Chłopaków z Xalisco. W Portland bracia Tejeda-Cienfuegos byli już wówczas przedmiotem operacji Nytar. Na Hawajach wystąpił rzadki przypadek przemocy wśród członków komórki, którą David Tejeda założył kilka lat wcześniej. Kierowali nią jego dwaj kuzyni, których w 1997 roku zamordowali zatrudniani przez nich kierowcy w odwecie za to, że im nie płacili. W Phoenix FBI było na tropie braci Vivanco-Contrerasów sprzedających czarną smołę między innymi w Arizonie i czasami dostarczających towar Enrique w Santa Fe. Ich wszystkich – oraz wielu innych – zaopatrywał ze swego apartamentu

w Panorama City Oscar Hernández-Garcia, któremu z kolei dostawę czarnej smoły zapewniali bracia będący doświadczonymi producentami heroiny w Xalisco.

Podczas spotkania w Los Angeles agenci z poszczególnych miast opisywali prowadzone na skalę lokalną dochodzenia i rezultaty, jakie one przyniosły. Wszędzie powtarzał się ten sam schemat: zatrudniani na kilka miesięcy kierowcy kręcili się po średniej wielkości amerykańskich miastach z ustami pełnymi baloników, łapano ich z niewielką ilością narkotyków, więc zazwyczaj deportowano bez uprzedniej odsiadki. Komórki działały zgodnie z modelem „dostawa na czas", jak to praktykowano w globalnych korporacjach. Dilerzy zakładali też, że każda osoba chcąca kupić jednorazowo więcej niż kilka gramów towaru jest gliniarzem.

– Niesamowite, jak jednolicie brzmiały [opowieści] z każdego z tych miast – wspominał Rock Stone. – To, co widzieliśmy w Portland, widzieli też w Los Angeles czy Denver. [Chłopaki z Xalisco] działały według jednego wzorca. Czuć było, jak bardzo są zorganizowani i zestandaryzowani. To tak jak w McDonald's – hamburger, którego dostajesz w Luizjanie, niczym się nie różni od tego z Kalifornii.

Brakowało za to jednej konkretnej osoby, która dyktowałaby wszystkim warunki. Sieć wydawała się agentom nie tyle jedną wielką organizacją, co zlepkiem komórek, z których każda kierowana była przez drobnego przedsiębiorcę i zatrudniała pracowników znających się nawzajem dzięki powiązaniom nabytym na *ranchos* w gminie Xalisco. Wprawdzie Hernández-Garcia zaopatrywał wszystkie z nich, ale nie oznaczało to, że wydawał im polecenia. Z podsłuchów ewidentnie wynikało, że komórki nie przekazywały mu zysków ze swojej działalności. On był tylko hurtownikiem, reszta okazała się detalistami, którzy jak w każdej innej firmie skupiali się na osiąganiu możliwie najlepszego wyniku finansowego i byciu najskuteczniejszym w działaniu za sprawą stosowania dostępnych technologii. Przykładem może być użycie opracowanych przez firmę Nextel telefonów działających w systemie przyciskowym, co pozwalało szefom kontrolować swoich kierowców i upewniać się, że pracują na swoich zmianach.

Przysłuchując się rozmowom prowadzonym tego dnia w Los Angeles, Jim Kuykendall pomyślał o spotkaniu, które odbyło się rok wcześniej w Chimayo. Zadziwiło go to, do czego ono ostatecznie doprowadziło. Okazało się, że mieli do czynienia z czymś na kształt sieci, co zapewniało znacznie większą elastyczność

i prężność niż w przypadku tak licznych meksykańskich organizacji zajmujących się handlem narkotykami, które cechowała sztywna hierarchiczność.

A wszystkie tropy prowadziły do tego małego miasteczka w jednym z najmniejszych stanów Meksyku.

Smolne jezioro

Panorama City, Kalifornia

– Zdradzasz mnie, ty bydlaku! – krzyczała przez telefon żona na swego męża przebywającego w Meksyku.

Marina Lopez była wściekła. Siedziała w zaniedbanym mieszkaniu i całymi dniami pakowała towar. Tymczasem jej mąż Oscar Hernández-Garcia latał za spódniczkami w ich rodzinnym miasteczku Xalisco i plotki o tym dotarły właśnie do Panorama City i Mariny.

Kłótnia nabierała rumieńców.

– Tak, kobieto, właśnie tak! – wrzasnął do słuchawki Hernández-Garcia. – Nie wracam, zostaję tutaj.

Małżonkowie nie mieli świadomości tego, że podsłuchiwali ich agenci zajmujący się zwalczaniem narkotyków. Ta zwyczajna w sumie sprzeczka małżeńska wywołała idący przez cały kraj wstrząs na najwyższych szczeblach amerykańskich organów ochrony porządku publicznego.

Był 12 czerwca 2000 roku. Operacja „Smolne jezioro” zdążyła już ogarnąć Stany Zjednoczone na dotąd niespotykaną skalę w przypadku dochodzeń w sprawach związanych z narkotykami. Nalot planowano za trzy dni. Najważniejszym podejrzanym, wokół którego zbudowano akt oskarżenia, był operujący ze swego mieszkania w Panorama City hurtownik heroiny Oscar Hernández-Garcia.

Datę 15 czerwca wyznaczyli z parotygodniowym wyprzedzeniem urzędnicy z waszyngtońskiego Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, których zadaniem było koordynowanie działań dziesiątek agencji funkcjonujących w miastach rozsianych po terytorium całego kraju. Jednak jednym z kluczowych dla zaplanowanej akcji czynników była obecność w Stanach Zjednoczonych Oscara Hernándeza-Garcii. Nagle okazało się, że kłótnia małżeńska zatrzymywała go w Meksyku. Zważywszy na lodowate relacje panujące między oboma państwami w kwestiach ekstradycji, mógł na zawsze wymknąć się poza zasięg amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości.

Odpowiedzialna za sprawę prokurator federalna Lisa Feldman zadzwoniła z Los Angeles do oficjeli w Waszyngtonie.

– Nie możemy zmienić daty – powiedzieli jej.

– Ale to mój główny podejrzany.

– Zaangażowaliśmy już zbyt wiele środków. Wybacz, ale to musi się odbyć tego dnia.

Przez trzy kolejne dni Feldman i agenci siedzieli jak na szpilkach, zastanawiając się, czy Oscar i Marina się pogodzą. Pogodzili się. Oscar Hernández-Garcia wsiadł do samolotu lecącego do Los Angeles. Kilka godzin później do ich mieszkania wpadli funkcjonariusze brygady antyterrorystycznej. Znaleźli narkotyki w zmywarce do naczyń, a pieniądze w pojemniku po odżywce dla niemowląt. W tym samym czasie agenci federalni i miejscowi policjanci wkroczyli do mieszkań w Cleveland, Columbus, Salt Lake City, Phoenix i na hawajskiej wyspie Maui.

Stu ośmiu funkcjonariuszy spotkało się rano w olbrzymiej sali konferencyjnej położonego na północy Portsmouth hotelu, by omówić, jak przeprowadzić nalot na osiemnaście lokali i piętnaście samochodów. Rock Stone przez większą część nocy prowadził nasłuch Chłopaków z Xalisco, bojąc się, że coś przegapi. Jak dotąd wytropił Nayaritańczyków w dwudziestu siedmiu miastach w dwudziestu dwóch stanach. Była to potężna, aczkolwiek rozproszona korporacja narkotykowa, stworzona tak, by wyglądała na luźną zbieraninę dilerów handlujących na ulicach towarem, choć nie przypominała zarazem żadnej sieci sprzedaży narkotyków, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia.

O szóstej rano w południowo-wschodnim Albuquerque Jim Kuykendall i inni agenci wdarli się do piętrowego domu o ścianach stylizowanych tak, jakby zrobione były z cegły suszonej na słońcu. Mieszkał w nim Enrique z dziewczyną i jej dzieckiem. Aresztowali też kilku jego kierowców.

Nieco później Kuykendall usiadł, by przesłuchać Enrique.

– Mówił o sobie, że jest biednym chłopakiem z małego miasteczka w Meksyku, który próbuje zarobić na życie. Tak jakby nie robił niczego złego – wspominał Kuykendall. – Taki niby dobry mąż i troskliwy ojciec dbający o swoją rodzinę. Rozmawiałem ze zbyt wieloma dziewczynami, z którymi się przespał, bym mógł w to uwierzyć. Był chłopakiem ze wsi… i średniego szczebla handlarzem narkotyków.

Następne trzynaście lat życia Enrique spędził w amerykańskim więzieniu federalnym.

W całym kraju aresztowano tego dnia sto osiemdziesiąt dwie osoby w kilkudziesięciu miastach objętych operacją „Smolne jezioro”. Agenci przechwycili relatywnie niewielkie ilości narkotyków i gotówki – niecałe trzydzieści kilogramów heroiny i dwieście tysięcy dolarów. Jednak operacja ta pozostaje największą – pod względem zasięgu geograficznego i liczby zaangażowanych w nią osób – jaką kiedykolwiek wspólnie przeprowadziły DEA i FBI.

– Po raz pierwszy mieliśmy do czynienia z organizacją przestępczą zajmującą się handlem narkotykami na skalę ogólnokrajową, sięgającą także Alaski i Hawajów – powiedział na konferencji prasowej szef DEA Donnie R. Marshall.

Nalot pokazał również, jak szeroko rozprzestrzeniła się meksykańska imigracja. Imigranci z Meksyku też byli już obecni w całym kraju. Współtworzyli klasę robotniczą w Karolinie Północnej, Idaho, Minnesocie, Nevadzie czy na Alasce. To z Meksyku napłynęła na amerykańskie Południe największa od czasów niewolnictwa fala urodzonej za granicą siły roboczej. Pojawili się w największych miastach i przyczyniali się do rewitalizacji centralnie położonych stanów. W wielu miejscowościach leżących na obszarach wiejskich jedyne lokalne przedsiębiorstwa należały właśnie do Meksykanów i w 2000 roku nietrudno już było znaleźć meksykańskie restauracje w Missisipi czy w jakiejś zapadłej dziurze w Tennessee.

Oznaczało to również, że przyjeżdżający z Meksyku handlarze narkotyków dysponowali coraz większą liczbą miejsc, w których mogli bezpiecznie wtopić się w tło. Jeszcze pięć lat wcześniej tak nie było. Jednak pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy meksykańskich imigrantów można było spotkać w zasadzie wszędzie, zaistniały również warunki sprzyjające stworzeniu ogólnokrajowej sieci sprzedaży narkotyków. To był precedens w historii zorganizowanej przestępczości w Stanach Zjednoczonych. Nie udało się to nawet włoskiej mafii. Jak jednak pokazała operacja „Smolne jezioro”, Chłopaki z Xalisco odniosły na tym polu sukces.

To było nowe zjawisko w świecie handlu narkotykami w USA. Chłopaki z Xalisco nie były narkotykowym General Motors. Udało im się, bo działały jak narkotykowy internet – sieć komórek pozbawionych jednolitego zwierzchnictwa, ze zmieniającymi się kierowcami, którzy wzajemnie się uzupełniali mimo rywalizowania – choć bez użycia broni – o ostatnie dwadzieścia dolarów

w kieszeni każdego ćpuna. W razie najmniejszego podejrzenia o przyciągnięcie uwagi organów ochrony porządku publicznego pozbywali się telefonów komórkowych równie szybko, jak zamyka się strony internetowe.

Tego sierpnia Feria del Elote w Xalisco okazała się całkowitą klapą. *Bandas*, które przyjechały do miasta, wyjeżdżały z niczym. Większość szefów komórek schroniła się w Guadalajarze, obawiając się, że wciągnięto ich na którąś z prowadzonych przez DEA lub FBI list. Gościowi udało się zbiec ze Stanów i wrócić do Xalisco tuż przed targiem.

– Miasto opustoszało – wspominał. – Nikt już nie przychodził na rynek.

Dwa lata później aresztowano go w Karolinie Południowej i osadzono w więzieniu. Akt oskarżenia przeciwko niemu opierał się w dużej mierze na podsłuchach rozmów prowadzonych z Hernándezem-Garcią i z FedExem, kiedy śledził lokalizację paczek z kuchenkami nafaszerowanymi czarną smołą.

W Portland Rock Stone przeprowadził dwie kolejne wymierzone przeciwko Chłopakom z Xalisco operacje, w których na celownik wzięto wypożyczalnię wideo i sklep z sukniami ślubnymi. Wykorzystywano je do przesyłania do Nayaritu pieniędzy zarobionych przez załogi i kupowania niezbędnych kierowcom telefonów komórkowych i pagerów. Stone wpadł również na trop mieszkania, na które zarejestrowano sto pięćdziesiąt pięć samochodów – je także wyłączył z obiegu.

W międzyczasie doszedł jednak do trzeźwiącego wniosku. Wymieniano bez końca nie tylko dilerów i kierowców z Xalisco. Nawet kiedy podejmowane przez niego działania skierowane były przeciwko szczeblowi kierowniczemu nayarickich komórek handlujących heroiną, to na miejsce wyeliminowanych przez niego szefów równie szybko napływali nowi. Odkąd pracował jako agent, jeszcze nigdy nie spotkał się z takim zjawiskiem. Informatorzy donosili mu, że sam klan Tejedów-Sánchezów – z Lermasami, Diazami, Bernalami, Cienfuegosami, Hernándezami, Garciami i resztą – miał w Nayaricie ponad dwustu takich zmienników i każdy z nich mógł w dowolnym momencie dołączyć do komórki heroinowej w Portland jako regionalny menedżer do spraw sprzedaży lub nadzorca ekipy.

Nie chodziło tylko o to. Niezależnie od tego, jak dziwnie by to brzmiało, na horyzoncie pojawiło się widmo jeszcze bardziej zatrważające niż elastyczna rotacja wyższego szczeblem szefostwa heroinowej franczyzy. Kiedy prowadzono operację „Smolne jezioro”, ze wschodu zaczęła nadciągać swego rodzaju epidemia, która

w miarę posuwania się na zachód Stanów Zjednoczonych powodowała gwałtowny przyrost populacji osób uzależnionych od opiatów.

CZĘŚĆ II

Pytania stare jak świat

Boston, Massachusetts

Pewnego wiosennego dnia w 2000 roku doktor Nathaniel Katz opuścił swoją bostońską klinikę terapii bólu i przekroczywszy rzekę Charles, udał się do hotelu w Cambridge. Na jego przybycie czekało trzystu lekarzy i naukowców uczestniczących w konferencji poświęconej chorobom zakaźnym.

Katz od ponad dekady był praktykującym specjalistą od bólu. Zgodził się wygłosić na konferencji wystąpienie dotyczące terapii bólu u osób chorych na AIDS. Szedł przez hotel Royal Sonesta w swym najlepszym garniturze, z przypiętym identyfikatorem i karuzelowym magazynkiem z przezroczami pod pachą.

– Byłem spięty. Na miejscu była piękna młoda kobieta – wspominał. – Widziałem ją kątem oka. W pewnym momencie podeszła do mnie i spytała: „Doktor Katz?”. Pomyślałem sobie, jak to wspaniale, moja pierwsza fanka i od razu taka śliczna. Czekam, aż zacznie mi schlebiać. Powtórzyła: „Nathaniel Katz?”. Potwierdziłem. Na co ona: „Czekałam dziesięć lat, by to panu powiedzieć. Zabił pan mojego brata Petera”.

Nathaniel Katz wychowywał się na Coney Island w mieszkaniu położonym niedaleko wiaduktu kolei nadziemnej. Jego rodzice – uratowani z Holokaustu Żydzi z Europy Wschodniej – przypłynęli do Nowego Jorku w 1948 roku. Ojciec był chemikiem w zakładach komunikacji miejskiej. On sam ukończył szkołę średnią w wieku szesnastu lat, dyplom na uczelni obronił, mając lat dwadzieścia, a następnie podjął studia medyczne. Skończył je w 1986 roku i chciał zajmować się systemem nerwowym. Ukończył trzyletnie studia podyplomowe z zakresu neurologii. Nie miał nauczyciela, który wdrożyłby go w problematykę kontroli bólu – zresztą nikt na studiach medycznych go nie miał.

– Choć to problem, z którym każdy lekarz styka się codziennie – tłumaczył – nie oznaczało to, że zajmowano się tym na akademii medycznej.

Jako młodego neurologa zaskoczyło go, że ból jest wszędzie. Ból pleców, ból szyi, ból głowy, ból mięśniowy, ból związany ze stwardnieniem rozsianym,

chorobą Parkinsona czy udarami. Pacjenci dosłownie uwieszali się u poły jego kitla i błagali o pomoc w uśmierzeniu odczuwanego przez nich bólu.

– Wciąż natykałem się na takich pacjentów i nie bardzo wiedziałem, co z nimi zrobić – opowiadał.

Tak się złożyło, że szkolenie medyczne odbierał w pierwszych latach prowadzonej w amerykańskim środowisku lekarskim debaty na temat opiatów i bólu. Wszędzie cytowano zaczerpniętą z napisanego przed laty krótkiego listu Hershela Jicka i poddaną nadinterpretacji tezę, że mniej niż jeden procent pacjentów odczuwających ból uzależnił się od przepisanych im opiatów.

Gdy Katz był już na wyższych latach studiów medycznych, zaczął krążyć nowy popularny pogląd na temat opiatów. Według Katza dało się go streścić następująco: „To nie tylko w porządku, ale jest to wręcz nasz święty obowiązek, by uleczyć świat z dręczącego go bólu poprzez uświadomienie wszystkim, że opiaty są bezpieczne. Wszystkie pogłoski o uzależnieniu nie miały podstaw. Receptą na nasze problemy był mak, i to od dawna. Nie stosowaliśmy go tylko z powodu stygmatyzacji i uprzedzeń. Odkąd stało się jasne, że pacjenci odczuwający ból nie wpadną w uzależnienie, zyskaliśmy swobodę w sięganiu po rozwiązanie, które było pod ręką od zawsze”.

– Mój tutor na studiach podyplomowych powiedział mi nawet: „Jeśli ktoś odczuwa ból, nie może się uzależnić od opiatów, gdyż ból stłumi poczucie euforii” – relacjonował Katz. – Jak się dziś tego słucha, brzmi to niedorzecznie. Jednak tak właśnie ludzie myśleli. Mając za sobą dziesięć tysięcy lat historii, można myśleć, co się żywnie podoba.

Młody i sumienny Katz przepisywał zatem opiaty. Oczywiście zgodnie z tym, co mu mówiono, niektórym z jego pacjentów rzeczywiście pomagały. Zauważył jednak, że takiej samej liczbie osób szkodziły. Leki kończyły się im przed przepisanym miesięcznym terminem i prosili o więcej.

– Prawdziwy problem polegał na tym, czego nie mogłem zobaczyć. Co taki pacjent robił z lekiem, gdy już wyszedł z gabinetu? – pytał.

Wtedy Katz poznał Petera. Peter nie kontrolował czynności fizjologicznych i miał odrętwiałe nogi, co było rezultatem uszkodzenia dolnych partii rdzenia kręgowego. Ponadto był bezrobotny i borykał się z alkoholizmem.

W tamtych czasach drogi specjalistów od bólu i uzależnień rzadko się krzyżowały. Nawet dziś – mimo powszechnych nacisków, by przy leczeniu bólu stosować środki mogące wywołać uzależnienie – przedstawiciele obu tych

specjalizacji nadal nie utrzymują ze sobą zbyt częstych kontaktów. Nie ma choćby wspólnych konferencji, na których mogliby się spotkać.

Tak więc pomimo wiedzy o nadużywaniu przez Petera substancji odurzających, czyli alkoholu, Katz przepisał mu opiaty. Dość szybko Peter zaczął prosić go o kolejną dawkę, nim jeszcze minął miesiąc od wydania mu poprzedniej. Katz wahał się, ale Peter był wygadanym facetem. Oczarował lekarza i co miesiąc wychodził z jego gabinetu z receptą opiewającą na coraz większą ilość leku.

– Stanąłem w obliczu dylematu typowego dla lekarzy przepisujących leki na receptę – wyjaśniał Katz. – Na czym w istocie polegał problem? Jeśli jest nim uzależnienie, pacjent nigdy się do niego nie przyzna.

Zanim Katz miał okazję zorientować się, co się dzieje, Peter zmarł na skutek przedawkowania przepisanego mu leku. Jego śmierć była dla Nathaniela Katza punktem zwrotnym.

– Nie żył, a przecież go lubiłem i chciałem mu pomóc.

Katz postawił sobie dwa pytania. Czy opiaty rzeczywiście są bezpieczne w leczeniu chronicznego bólu? Czy w ogóle są skuteczne w przypadku tego rodzaju bólu? Przewertował więc literaturę specjalistyczną z tego zakresu i nie znalazł żadnej informacji na ten temat.

– Nie było choćby śladu badań nad tymi zagadnieniami. Wszyscy tak zwani eksperci od bólu są oddani sprawie, więc uczyli mnie, że opioidy nie są tak uzależniające, jak dotąd myślano. Tylko na czym opierali swoją wiedzę? Na niczym. Miałem wrażenie, że odkryłem problem naszych czasów, który zresztą był aktualny również w V wieku przed naszą erą, jakie zagrożenia wynikają ze stosowania opioidów? Odpowiedź na to pytanie nigdy się nie pojawiła, mimo że ludzkość zadaje je sobie od dwóch i pół tysiąca lat.

Na początku XXI wieku amerykańska rewolucja w podejściu do bólu już się dokonała.

Zgodnie z przyjętym na wiarę poglądem, że właściwie nikt, kto ma bóle chroniczne, nie wpadnie w uzależnienie od opiatów, większość z mieszkającej w kraju stumilionowej populacji pacjentów odczuwających ból przewlekły dostawała opiatowe środki przeciwbólowe. Swoje recepty zazwyczaj otrzymywali nie od ekspertów od terapii bólu, tylko od lekarzy pierwszego kontaktu, którym brakowało zarówno czasu na diagnozę, jak i wiedzy specjalistycznej z tego zakresu. To do nich zresztą skierowana była kampania marketingowa firmy Purdue

Pharma. Przepisywano więc tabletki na wyrywanie zębów mądrości, zespół cieśni kanału nadgarstka, zwyrodnienia kolan, chroniczne bóle pleców, artretyzm i migreny. Futboliści i hokeiści brali je na wybite barki. Pacjenci wracali do domu z fiolkami wypełnionymi dziewięćdziesięcioma tabletkami Vicodinu lub sześćdziesięcioma pigułkami OxyContinu. W wielu przypadkach, choćby u pacjentów pooperacyjnych, wystarczyłoby kilka lub kilkanaście sztuk, ale lekarze starali się zapobiegać ewentualnym przyszłym wizytom. A skoro, stosowane na ból, w zasadzie nie wywołują uzależnienia, to czemu nie przepisywać ich więcej?

Amerykanie żyli w epoce wzmożonych wydatków konsumenckich napędzanych olbrzymim zadłużeniem i rekordowo wysoką wartością nieruchomości, która – wydawało się – będzie rosnąć bez końca. To były czasy, kiedy Stany jawiły się jako kraina marzeń, w której dawne reguły, ograniczenia i wiedza nie miały już żadnego zastosowania. Jednocześnie w wyniku rewolucji w medycynie i będącego jej następstwem rozpowszechnienia się poglądu, że do leczenia bólu można stosować opioidy bez lęku przed ewentualnym uzależnieniem, rozwinęła się kultura konsumpcji tych narkotyków – i tak dotychczasowe zasady, wynikające ze stanu wiedzy, rzeczywiście przestały obowiązywać.

Globalna produkcja syntetycznych opiatów stale rosła. Jednak to w Stanach Zjednoczonych – kraju, w którym Anglik Robert Twycross wyczuł niegdyś po wyjściu z samolotu „lęk przed uzależnieniem” – konsumowano osiemdziesiąt trzy procent ogólnoświatowej produkcji oksykodonu i aż dziewięćdziesiąt dziewięć procent hydrokodonu (opiatu obecnego w Vicodinie i Lortabie). Jak w 2012 roku napisała grupa specjalistów w czasopiśmie „Pain Physician”: „Gram po gramie Stany Zjednoczone konsumują więcej leków zawierających narkotyki niż jakiekolwiek inne państwo na kuli ziemskiej”.

Leki z zawartością hydrokodonu stały się najczęściej przepisywanymi farmaceutykami w Stanach Zjednoczonych (w chwili pisania niniejszej książki liczba wypisanych na nie recept wynosiła rocznie sto trzydzieści sześć milionów), a opiatowe środki przeciwbólowe – najczęściej przepisywaną kategorią lekarstw. Sprzedaż tych farmaceutyków wzrosła czterokrotnie. W latach 1999–2010 odnotowano dziewięciokrotny wzrost sprzedaży oksykodonu – substancji czynnej w OxyContinie, ale również w lekach generycznych z mniejszą jej zawartością.

Nasilającą się konsumpcję opiatów można było zaobserwować w każdym zakątku kraju. Nie minęło dużo czasu, a czarny rynek prochów rozwinął się do skali, jakiej jeszcze w Stanach Zjednoczonych nie widziano. Bardzo szybko ustaliła

się uliczna cena OxyContinu – dolar za miligram, czyli czterdzieści lub osiemdziesiąt dolarów za tabletkę. W latach 2002–2011 dwadzieścia pięć milionów Amerykanów zażywało lekarstwa na receptę w celach pozamedycznych. Co więcej, wiek osób nadużywających opiatów zaczął się obniżać. Z badania przeprowadzonego w 2004 roku przez Agencję do spraw Nadużywania Substancji Odurzających i Ochrony Zdrowia Psychicznego (Substance Abuse and Mental Health Services Administration – SAMHSA) wynika, że dwa miliony czterysta tysięcy osób powyżej dwunastego roku życia w ostatnich dwunastu miesiącach po raz pierwszy wykorzystało wydany na receptę środek przeciwbólowy w celach pozamedycznych – to więcej niż szacunkowa liczba osób, które po raz pierwszy sięgnęły po marihuanę. Średni wiek lekomana nadużywającego środków przeciwbólowych to dwadzieścia dwa lata.

Wskaźnik śmiertelności z powodu przedawkowania opiatów wzrósł z dziesięciu osób dziennie w 1999 roku do jednej osoby na każde pół godziny w 2012 roku. W 2011 roku nadużycie środków przeciwbólowych wydawanych na receptę było przyczyną czterystu osiemdziesięciu ośmiu tysięcy interwencji na oddziałach pomocy doraźnej – siedmiokrotnie więcej niż siedem lat wcześniej.

Również generyczny metadon – przez lata służący wyłącznie narkomanom wychodzącym z nałogu – zaczął przynosić śmiertelne żniwo. Wskutek coraz większej liczby publikowanych w mediach doniesień o przypadkach nadużywania i przedawkowywania OxyContinu niektórzy lekarze przerzucili się na wypisywanie w jego miejsce metadonu. Większość wiedziała, że metadon może utrzymywać się w krwiobiegu do sześćdziesięciu godzin po jego przyjęciu, dzięki czemu pozwalał on przyjmującej go osobie uzależnionej wieść życie wolne od pojawiającego się co kilka godzin bólu związanego z głodem wywołanym przez o wiele szybciej metabolizowaną heroinę. Dlatego część z nich doszła do wniosku, że metadon można uznać za środek przeciwbólowy o równie długotrwałym działaniu. Ponadto był to lek generyczny i tani, a zatem refundowany przez firmy ubezpieczeniowe. Liczba recept na metadon wypisywanych w skali całego kraju wzrosła ponadczterokrotnie – od poniżej miliona w 1999 roku do czterech milionów czterystu tysięcy w roku 2009. Przepisywano go przede wszystkim na bóle głowy i bóle fizyczne.

Niestety, wielu lekarzy nie zdawało sobie sprawy, że choć metadon ma długi czas działania i jest skuteczny w programach substytucyjnych, to nie jest bynajmniej środkiem przeciwbólowym o przedłużonym działaniu. Przynosił ulgę

od bólu tylko przez kilka godzin, więc pacjenci przyjmowali go w coraz większych dawkach dziennych. Tym samym coraz więcej odkładało się go w ich organizmach, co ostatecznie prowadziło do przedawkowania. Wraz z rosnącą liczbą recept wypisywanych na metadon rosła też liczba przypadków zgonów wywołanych jego nadużyciem – z sześciuset dwudziestu trzech w 1999 roku do czterech tysięcy siedmiuset sześciu w 2007 roku.

Z kolei dziesięć lat po wypuszczeniu na rynek OxyContinu nadużywało go sześć milionów sto tysięcy osób, czyli 2,4 procent ogółu populacji Stanów Zjednoczonych. W skali makro wielkości te nie są znaczące. Jednak historycznie rzecz biorąc, plaga narkomanii zawsze dotykała niewielkiej mniejszości Amerykanów. Przyjmuje się, że amerykańską stolicą heroiny jest Baltimore z działającym tam od dekad prężnym rynkiem zbytu – według szacunków DEA i miejskiego wydziału zdrowia z grubsza dziesięć procent mieszkańców miasta jest od niej uzależnionych. Zdaniem SAMHSA epidemia cracku w swej szczytowej fazie ogarniała mniej niż pół miliona Amerykanów rocznie.

Podobnie jak to było w przypadku cracku, w pierwszej dekadzie XXI wieku grupa nowych opiatowców była wystarczająco duża, by wprowadzić zamęt w szpitalach, na oddziałach pomocy doraźnej, w więzieniach, sądach, ośrodkach odwykowych i życiu wielu rodzin, zwłaszcza tam, gdzie zjawisko nadużywania opiatów było nowością.

Kolejne badania pokazywały, że niemal wszyscy, którzy uzależnili się od OxyContinu, stosowali przedtem niskoopiatowe środki przeciwbólowe, które miały domieszkę substancji nieopiatowych w rodzaju acetaminofenu – na przykład Vicodin, Percocet, Lortab. Gdy opiaty zaczęły wchodzić w modę, przepisywanie tych tabletek było pierwszym nieśmiałym krokiem podejmowanym przez lekarzy w ramach wprowadzania kontroli bólu. Ich zażywanie stało się źródłową przyczyną uzależnienia u części pacjentów.

Lekomani zaopatrujący się na czarnym rynku przez lata brali Lortab lub Vicodin. Jednak farmaceutyki te, przyjmowane w dużych ilościach, uszkadzały wątrobę, za co odpowiadał obecny w nich acetaminofen. Co więcej, w wielu miejscach heroina była całkowicie niedostępna albo na tyle słaba lub droga, że uzależnieni woleli jej unikać. Z tego powodu przez długi czas osoby nadużywające tych środków rzadko przerzucały się na coś mocniejszego, rzadko też umierały z ich powodu.

Jednak w 1996 roku pojawił się OxyContin z formułą kontrolowanego uwalniania substancji czynnej. Dostępny był w tabletkach czterdziesto-, osiemdziesięcio- i przez jakiś czas stuseśćdziesięciomiligramowych. U osób uzależnionych lek ten posłużył jako pomost między słabszymi opiatowymi środkami przeciwbólowymi a heroiną.

OxyContin zawierał tylko oksykodon, i to w dużej ilości. Kiedy Vicodin lub Lortab okazywały się niewystarczające i przyjmujący je pacjenci słusznie prosili o zwiększenie dawki, lekarze mieli już wówczas do dyspozycji dziesięciokrotnie silniejszy OxyContin. Z kolei dla osób już uzależnionych plus był taki, że środek ten zawierał nie tylko zwiększoną dozę substancji czynnej, ale na dodatek był łatwiejszy do przeprowadzenia w stan ciekły i wstrzyknięcia. Wystarczyło tylko rozpuścić w ustach powłokę zawierającą formułę odpowiedzialną za przedłużone uwalnianie oksykodonu – nie trzeba było odseparowywać acetaminofenu. Dawki u osób uzależnionych od OxyContinu szybko rosły do dwustu, a nawet trzystu miligramów dziennie – ilości praktycznie niezażywanych w przypadku Lortabu czy Vicodinu z powodu spustoszeń, jakich dokonywały w wątrobie.

Dalszy rozwój wydarzeń okazał się całkowicie zgodny z przewidywaniami Gościa, które wysnuł, gdy pierwszy raz zobaczył, jak wygląda sytuacja z OxyContinem w Wheeling w Wirginii Zachodniej. Heroina powoli zyskiwała na popularności, a tolerancja lekomanów na OxyContin rosła. Wielu przerzuciło się z wciągania nosem na zastrzyki, by kop był silniejszy. Zaspokajanie nałogu kosztowało ich setki dolarów dziennie. Połknęli haczyk molekuły morfiny i nie mieli już lęku przed igłą wbijaną w żyłę. Nie widzieli powodu, dla którego nie mieliby sięgnąć po o wiele tańszą heroinę. Inni zaczęli ją brać dużo wcześniej nie tylko dlatego, że kosztowała znacznie mniej, ale ponieważ można ją było palić. W takiej sytuacji nietrudno było udawać przed samym sobą, że nie ma się potrzeby wstrzykiwania sobie czegokolwiek, co było prawdą, dopóki tolerancja na heroinę była u nich wciąż niska.

Tak czy inaczej z zamówionego przez rząd badania wynikało, że liczba osób przyznających się do zażywania heroiny w ostatnich dwunastu miesiącach wzrosła z trzystu siedemdziesięciu trzech tysięcy w 2007 roku do sześciuset dwudziestu tysięcy w 2011 roku.

Osiemdziesiąt procent z nich zaczynało od stosowania środka przeciwbólowego wydawanego na receptę.

Musiały jednak minąć lata, by dało się to dostrzec.

Zderzenie: epicentrum

Columbus, Ohio

W innych czasach operacja „Smolne jezioro” mogłaby naderwać, a nawet całkowicie zniszczyć sieć handlu heroiną utkaną w niewielkiej gminie Xalisco w meksykańskim stanie Nayarit.

Nie była to jednak typowa, hierarchicznie zorganizowana organizacja zajmująca się handlem narkotykami, więc Chłopaki z Xalisco tylko się zakrztusiły i zacharczały, ale bynajmniej nie padły. Szefowie komórek pozostali w Meksyku i odtworzyli swoje struktury na terytorium Stanów Zjednoczonych. Doświadczeni kierowcy skorzystali z nadarzającej się okazji i powstałą po przeprowadzonej operacji lukę wykorzystali do podjęcia działalności na własną rękę. Od czasu gdy w 1997 roku Enrique otworzył swoją pierwszą komórkę, w Sante Fe nigdy się nie zdarzyło, żeby nie było tam żadnej *tiendita* z Xalisco. Próżnię po uwięzionych Oscarze Hernándezie-Garcii i jego żonie wypełnili licznie nadciągający hurtownicy. Konkurencja spowodowała spadek cen, miała też wpływ na zwiększenie dostaw czarnej smoły przemycanej do Stanów Zjednoczonych. Nie brakło też kandydatów na kierowców. Najważniejsze zaś było to, że rekrutowano ich teraz spośród rodzin niepowiązanych z pierwszymi klanami heroinowymi z Xalisco. Widzieli, jak dobrze powodziło się członkom rodziny Tejedów, i chcieli dołączyć do interesu, przez co wzrosła liczba rąk chętnych do podjęcia pracy i zarazem spadły jej koszty. Nie minęło dużo czasu, a Xalisco podczas Feria del Elote raz jeszcze zaroiło się od handlarzy i *bandas.*

W samych Stanach Zjednoczonych Chłopaki nie musiały już więcej polegać na dość ograniczonym środowisku starych ćpunów. Wyłaniała się bowiem znacznie większa i młodsza populacja konsumentów heroiny. Były to ofiary przetaczającej się przez kraj rewolucji w podejściu do bólu. Oba kręgi uzależnień – od prochów i od heroiny – po raz pierwszy nałożyły się na siebie w jednym konkretnym miejscu. Popularność OxyContinu rozlewała się na zachód w tym samym momencie, gdy diler nazywany przeze mnie Gościem ruszył z czarną smołą z Xalisco na wschód. Te dwie fale zderzyły się ze sobą w środkowym i południowym Ohio. Szkicowo rzecz ujmując, obszar, w którym znajdowało się

Columbus, na północy, z kawałkiem Wirginii Zachodniej oraz wschodnim Kentucky na południu, stał się barometrem tego, co niedługo miało się wydarzyć w pozostałej części kraju.

Jednym z pierwszych lekarzy, który właściwie odczytał jego wskazania, był Peter Rogers, w 2003 roku pracujący na oddziale chorób osób w wieku dojrzewania w szpitalu Nationwide Children's Hospital w Columbus. Wysoki, szczupły, noszący okulary Rogers już od dwudziestu lat specjalizował się w uzależnieniach. Leczył dzieciaki jadące na kokainie i cracku. Miał z nimi do czynienia, gdy po metamfetaminie rozdrapywały strupy i zgrzytały zębami. Widział młodzież na ecstasy, LSD, marihuanie. Trafiali mu się też młodociani alkoholicy. Jednak przed lutowym wieczorem 2003 roku Peter Rogers nigdy nie widział nastolatka uzależnionego od heroiny.

Był już w domu, gdy zadzwoniła pielęgniarka. Na oddziale pomocy doraźnej pojawiła się szesnastolatka w towarzystwie rodziców. Dziewczyna miała dreszcze i wymiotowała. Jak powiedzieli rodzice, była na głodzie heroinowym. Pielęgniarki nie miały pojęcia, co robić.

Rogers pojawił się na miejscu, nie dowierzając, że chodzi o heroinę. Nie miał jednak pomysłu, co robić dalej, jeśli okaże się to prawdą. Dziewczyna była niska, miała blond włosy i wyglądała jak cheerleaderka, ale ręce miała całe pokłute. Była blada i wyniszczona. Cierpiała na rozwolnienie, bolały ją nogi, żołądek i plecy.

– Powiedziała, że zaczęła od tabletek przeciwbólowych, które dostała od znajomych – wspominał Rogers. – Prochy zrobiły się jednak nieco za drogie. Jej chłopak był heroinistą i zrobił jej pierwszy zastrzyk. Przez jakiś czas brała heroinę, aż skończyły się jej pieniądze. Rodzice zdali sobie sprawę, że jest z nią naprawdę źle. Opowiedziała im wszystko.

Tak się złożyło, że dwa miesiące wcześniej Rogers odbył w Cleveland kurs poświęcony detoksowi osób uzależnionych od opiatów. Nie sądził jednak, że kiedykolwiek przyjdzie mu wykorzystać nabytą na szkoleniu wiedzę.

– Zadzwoniłem do lekarza, który wykładał na kursie – wspominał Rogers. – Powiedział, że nie widział dotąd nastolatków zażywających heroinę, jednak podsunął mi kilka pomysłów. Podłączyłem ją do kroplówki, nawodniłem i dałem coś na nudności. Wiele się od niej dowiedziałem.

Ta pierwsza heroinistka pochodziła z bogatych przedmieść Powell, co zaskoczyło Rogersa równie mocno jak to, że miała dopiero szesnaście lat.

– Skąd brałaś heroinę? – zapytał.

– Od Meksykanów.

– Gdzie ich znalazłaś?

Podała nazwę okolicy w pobliżu szpitala, gdzie dziewczyny z Powell raczej się nie zapuszczały.

Rogers zatrzymał ją w szpitalu na trzy dni. Porozmawiał z jej rodzicami, według których dziewczyna przyznała się, że jest uzależniona od heroiny, przeszła detoks i mogła wracać do domu. Lekarz był odmiennego zdania, do którego skłaniały go jego własne wieloletnie doświadczenia wychodzenia z alkoholizmu. Powiedział rodzicom, że jeśli dziewczyna nie przejdzie długotrwałej terapii, wróci do nałogu. Umrze, skończy w więzieniu lub nigdy nie wykorzysta w pełni swoich możliwości.

– Nie uwierzyli mi – opowiadał Rogers. – Kilka miesięcy później odebrałem od nich telefon. Powiedzieli, że znów bierze heroinę. Raz jeszcze do mnie trafiła. Sądzę, że wtedy zrozumieli, co tak naprawdę się dzieje.

Po tym jak tamtej nocy 2003 roku przyjął dziewczynę na detoks, odniósł wrażenie, że gdzieś puściła tama. Po mieście rozeszły się wieści, że można udać się do szpitala i przejść odtrucie. Rogers obserwował, jak wybuchała znienacka nowa epidemia opiatowa. Przez jego oddział przewinęły się setki dzieciaków – białych, mieszkających na przedmieściach w bogatych domach. Większość stanowiły dziewczyny. Jedna była nawet mistrzynią tenisową, inna córką policjanta z Columbus, kolejna dzieckiem chirurga klatki piersiowej. Nie było to zresztą jedyne dziecko lekarskie, któremu przyszło mu pomagać.

Wszyscy z tego towarzystwa zaczynali od tabletek. Wielu opowiadało, że widziało, jak umierają ich znajomi. Nie mieli pojęcia, gdzie mogliby z tym pójść.

– Pojawił się pierwszy dzieciak i wieści się rozniosły – wspominał Rogers. – Zwróciłem uwagę na to, że w pierwszych sześciu miesiącach przyjęliśmy wielu nastolatków z Lancaster [przedmieścia Columbus]. Okazało się, że przyjeżdżają do Columbus, kupują heroinę i wracają do Lancaster.

Rogers był jednym z najwcześniejszych świadków kolejnej fali powrotu heroiny do narkotykowego mainstreamu. Dotąd przyciągała ona głównie zbuntowaną młodzież z brudnego, wielkomiejskiego zakątka amerykańskiej kontrkultury.

– Pamiętam, jak w wieku jedenastu czy dwunastu lat zobaczyłem zdjęcia [basisty Sex Pistols] Sida Viciousa i pomyślałem sobie, że to fajny gość – opowiadał mi dwudziestosześcioletni muzyk, który wychodził z nałogu. – Sid Vicious, [gitarzysta New York Dolls] Johnny Thunders, Lou Reed i William

Burroughs, ale także Charlie Parker; punk i jazz sprawiły, że heroina była taka sexy, pociągająca, ekscytująca, niebezpieczna, wywrotowa i poza normami. Potem widziałem, jak wchodzą w nią futboliści i cheerleaderki, czyli ci ludzie, od których uciekałem w heroinę.

Dla pochodzących z przedmieść nastolatków, które otarły się już o prochy, heroina była spełnieniem marzeń o przygodach niedostępnych im w ich spokojnych miasteczkach. Atrakcyjność heroiny wynikała po części z tego, że utrzymywała te dzieciaki na skraju niebezpiecznej, choć kuszącej, krainy marzeń. Codzienne poszukiwanie narkotyku zabierało je w zwariowaną podróż przez światy, których istnienia nawet się nie spodziewały. Potem wracały z nich z opowieściami, które wzbudzały podziw i zazdrość rówieśników.

– Jest się w równym stopniu uzależnionym od łażenia i kupowania, co od łażenia i brania – opowiadał jeden z heroinistów. – Można się poczuć jak James Bond. To szalona fantazja.

Pod koniec tamtego roku Nationwide Children's Hospital, który dotąd nigdy nie przyjmował nastolatków uzależnionych od heroiny, dysponował już procedurami terapeutycznymi przygotowanymi specjalnie z myślą o nich. Rogers wszystkich wypytywał, skąd brali narkotyk, a ci odpowiadali, że od Meksykanów. Zadzwonił więc na policję w Columbus. Funkcjonariusz poinformował go, że wiedzą o Meksykanach sprzedających towar. Zatrzymywali ich, ale po dniu lub dwóch na ich miejscu pojawiali się kolejni.

– Zamieszkałem w szpitalu – wspominał Rogers. – Opiekowałem się tymi dzieciakami. Żaden z lekarzy tak naprawdę nie wiedział, co z tym zrobić. Nie byliśmy przygotowani na to całkowicie nowe zjawisko. Dzwoniłem po całym kraju i zorientowałem się, że nikt inny nie robił tego, co my w naszym szpitalu w Columbus. W kółko zajmowaliśmy się tymi dzieciakami, a one wciąż napływały i napływały.

Rogers użerał się z firmami ubezpieczeniowymi, które najwyraźniej nie słyszały o leczeniu uzależnienia od heroiny u nastolatków. Parę lat później wygłosił przemówienie na dorocznym spotkaniu Amerykańskiej Akademii Pediatrycznej w Bostonie, w którym relacjonował swoje obserwacje niewielkiej i zdumionej grupie słuchaczy.

– Z niczym takim się nie spotkali. Pewnie myśleli sobie: „Po co my w ogóle tego słuchamy?" – wspominał Rogers.

Kanarki w kopalniach

Portsmouth, Ohio

Jeszcze lata po zamknięciu należącej do Davida Proctera kliniki Plaza Healthcare mówiono o niej jako o „obozie rekrutacyjnym dla nieczysto grających doktorów". Jednak wpływ Proctera wykraczał daleko poza sprowadzenie do miasta pozbawionych skrupułów lekarzy. Pokazał hrabstwu Scioto, że uruchomienie kliniki terapii bólu jest proste. Zważywszy na możliwości, które dawało obowiązujące w stanie Ohio prawo, wystarczyło wynająć budynek i zatrudnić lekarza posiadającego wydane przez DEA zezwolenie na wypisywanie recept na leki z listy Schedule II.

Ponieważ opiaty stały się w Stanach Zjednoczonych powszechnie stosowanym antidotum na bóle chroniczne, a niedostateczne leczenie bólu uznano za ważny problem zdrowotny, tego rodzaju kliniki zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu. Nie wszystkie były fabrykami prochów, choć ryzyko ich degeneracji w tym kierunku niewątpliwie istniało. Przyciągały pacjentów, którzy bez przerwy domagali się leków, a w tej sytuacji lekarzom czasami trudno było zachować należne standardy. To prawda, że część klinik od samego początku funkcjonowała na granicy prawa, ale wiele też zaczynało działalność z dobrymi intencjami i po prostu zbaczały z kursu wskutek nieprzerwanych nacisków ze strony klientów.

Nigdzie indziej w całych Stanach Zjednoczonych nie było większej liczby tego typu podejrzanych placówek niż w hrabstwie Scioto w stanie Ohio. W pierwszej dekadzie XXI wieku oprócz kilku lekarzy kliniki otworzyli tam właściciel złomowiska, adwokat, strażnik więzienny, były komornik i para skazanych przestępców. Wszyscy zatrudnili lekarzy mogących wypisywać recepty i przyjmować pacjentów w nagłych wypadkach. Jody Robinson sprzedała swój sklep z samochodowym sprzętem grającym i utworzyła klinikę, która stała się – jak wynika z późniejszego aktu oskarżenia – jednym z największych dystrybutorów tabletek w regionie.

Portsmouth stało się amerykańską stolicą fabryk prochów. Kliniki były często pierwszymi od dziesięcioleci interesami prowadzonymi przez lokalnych przedsiębiorców z hrabstwa Scioto. Powiada się, że z Portsmouth uleciał duch

przedsiębiorczości. W dość pokrętny sposób fabryki prochów pokazały, że miejscowi mogą być równie zaradni jak pozostali Amerykanie. Podróżnych wjeżdżających do miasta witały billboardy z reklamami klinik, a okoliczni handlarze narkotyków i lekomani tłumnie do niego ściągali, by uzupełnić swoje zapasy tabletek.

Jedną z kluczowych przyczyn nagłego wysypu fabryk prochów było odkurzenie list z nazwiskami lekarzy zastępczych z całego kraju szukających tymczasowego zatrudnienia. Wielu z nich znajdowało się w rozpaczliwej sytuacji – mieli problem z licencją, ubezpieczeniem od skutków pomyłki lekarskiej lub alkoholem. To ich właśnie zatrudniał Procter, a potem inne kliniki i w efekcie do Portsmouth nadciągnęła fala zdesperowanych konowałów. Mająca na swym koncie wyrok sądowy Tracy Bias otworzyła trzy kliniki, w których pracę znaleźli szemrani lekarze z Nowego Meksyku, Michigan, Iowy i innych części stanu Ohio.

Obsługa lub lekarze zastępczy zatrudniali się w klinikach, podglądali, jak się je prowadzi, a na koniec zakładali własne. Wkrótce przekręty zaczęli robić zwykli, starzy dilerzy narkotyków. Doświadczony handlarz marihuaną Kevin Huff postawił przy szosie w Chillicothe przyczepę, najął pielęgniarkę i sprzedawał tabletki na taką skalę, że po całym domu miał porozrzucane pudełka po butach wypełnione gotówką.

Część z nowych przedsiębiorców działających na tym rynku pracowała kiedyś dla Davida Proctera. Tak było w przypadku Nancy Sadler, która prowadziła potem placówkę Fortune’a Williamsa. Kiedy ten trafił do więzienia, wraz z mężem Lesterem „Małpą” Sadlerem otworzyła własną. Podobnie uczynił niegdysiejszy adwokat Proctera Gary „Rocky” Billiter.

Po aresztowaniu Davida Proctera jego pracownice, Denise Huffman z córką Alice Huffman Ball, otworzyły klinikę Tri-State Health Care and Pain Management. Z przeprowadzonego później przez DEA dochodzenia wynikało, że ludzie potrafili jechać do placówki przez dziesięć godzin i zapłacić dwieście dolarów w gotówce za wizytę, podczas której lekarz przepisywał im OxyContin, Lortab, Percocet i inne środki przeciwbólowe. Matka z córką zatrudniały lekarzy z agencji pośrednictwa pracy tymczasowej i posuwały się do grożenia tym z nich, którzy odmawiali wypisywania recept. Część natychmiast porzuciła pracę.

W kwietniu 2003 roku panie Huffmanowe rozwiązały problem z siłą roboczą, dając pracę chicagowskiemu specjaliście od bólu chronicznego Paulowi Volkmanowi, który okazał się na tyle płodny, że właścicielki musiały otworzyć na

tyłach Tri-State własną aptekę po tym, jak miejscowi aptekarze odmówili honorowania wypisywanych przez niego recept. O dziwo, zgodnie z prawem obowiązującym w Ohio, apteka ta funkcjonowała legalnie.

Do września 2005 roku Volkman wypisał recepty na milion różnego rodzaju tabletek. Przepisania kolejnego miliona, jak wychodziło z szacunków, nie można było udowodnić, gdyż ani on, ani Huffmanowe nie prowadzili żadnej dokumentacji. W trakcie prowadzonego przez DEA śledztwa ustalono, że cała trójka przyjęła około trzech milionów dolarów od pacjentów, którzy płacili po dwieście dolarów za wizytę i ustawiali się w kolejce na długo przed otwarciem kliniki. Huffmanowe płaciły personelowi w tabletkach, ale obsługa brała też łapówki (zazwyczaj również w postaci pigułek) za przesunięcie klientów w górę kolejki. Volkman rzadko kiedy zdobywał się na postawienie czegoś w rodzaju diagnozy. Zamiast tego podczas krótkiej rozmowy zadawał pacjentom kilka pytań, z których jedno dotyczyło tego, czy nie są aby tajniakami. Często zalecał badania moczu, choć ignorował ich wyniki, jeśli wykazywały wysoki poziom opiatów. Jednego z pacjentów przymusił do podpisania „klauzuli śmierci", w której ten zgadzał się na ryzyko zgonu w wyniku przyjmowania przepisywanych leków. W czasie gdy Volkman pracował u Huffmanowych, zmarło przynajmniej dwunastu jego klientów. Później otworzył własną klinikę w Portsmouth, a następnie w Chillicothe. I tak kolejnych sześciu jego pacjentów straciło życie.

Przez kilka miesięcy Volkman prowadził nawet klinikę w dzielnicy Portsmouth Hilltop, w domu przy ulicy przeznaczonej wyłącznie pod funkcje mieszkaniowe.

– Przyjmował w sypialni – opowiadał jeden z jego klientów. – Pokój pełnił funkcję poczekalni, a w kuchni sprawdzano ciśnienie krwi. Przepisywał mi jakieś szalone ilości leków, czterysta osiemdziesiąt tabletek miesięcznie. Nie robił rezonansu magnetycznego ani tomografii komputerowej. Nic, zupełnie nic.

Były też i inne fabryki prochów. Na Volkmana i Huffmanowe przypada tylko część historii tego typu procederów w hrabstwie Scioto.

Jedynie nieliczni w Stanach Zjednoczonych zwracali uwagę na to, co dzieje się w Portsmouth i okolicy. To był zapomniany i opuszczony region kraju – zarówno przez polityków, jak i tych, którzy niegdyś w nim mieszkali. Na tych zaś, którzy zostali i jako jedni z pierwszych padli ofiarą nadciągającej burzy, spoczywała współodpowiedzialność za własny upadek, więc i nikt o nich specjalnie nie dbał.

Tak było choćby z mieszkańcami Lucasville Bottoms.

Kręciłem się po południowym Ohio, próbując to wszystko ogarnąć, gdy pewnego razu spotkałem prawnika Joego Hale’a.

Hale był siwy, mówił barytonem i zawsze miał pod ręką paczkę czerwonych marlboro. W 1999 roku był już od piętnastu lat adwokatem w hrabstwie Scioto. Ten wiejski chłopak, wychowany w porastających region appalaski lasach dębowych, zazwyczaj bronił z urzędu. Nie było z tego wielkich pieniędzy, ale dawało mu to zajęcie i pozwalało podtrzymać styczność z salą sądową.

Lwią część swoich dochodów zarabiał w Lucasville – niewielkiej mieścinie położonej przy drodze numer 23 o kilka minut jazdy na północ od Portsmouth. Znajduje się tam obsługujące Ohio więzienie, w którym wykonywane są wyroki śmierci. Po drugiej stronie ulicy stoi budynek szkoły średniej. W samym miasteczku jest kilka skrzyżowań ze światłami drogowymi, jedna lub dwie stacje benzynowe i kilka upadających restauracji. Dla Joego Hale’a Lucasville ograniczało się jednak do Bottoms.

Lucasville Bottoms to równina, którą z grubsza co dziesięć lat zalewają wezbrane wody pobliskiej rzeki Scioto. W czasie pomiędzy powodziami pełni funkcję zaplecza pod tanie budownictwo mieszkaniowe, czyli głównie szerokie na jedno pomieszczenie przewoźne domki. Wielu z jego mieszkańców pobiera rentę federalną. Nietrudno tam też o drobnych przestępców. Przez całą swoją karierę Joe Hale bronił setki z nich, zazwyczaj oskarżonych o posiadanie niewielkiej ilości narkotyków, przemoc domową czy naruszanie po pijaku porządku publicznego.

Społeczność Bottoms jest zamknięta w sobie, ale Hale zyskał wśród niej sporą popularność. Przywykł do panującego tam rytmu życia, które obracało się wokół nadchodzących pierwszego dnia miesiąca czeków rządowych. Mieszkańcy rzadko chodzili do lekarza, a jeśli już – to do takich w rodzaju Davida Proctera, który przyjmował płatność w gotówce.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy Procter hojnie przepisywał OxyContin, do domu Hale’a przyszedł Tony Blevins – jeden z jego klientów, który miał zająć się robotami domowymi. Miał ze sobą fiolkę z tabletkami. Blevins nazywał je OC. Dał kilka z nich Hale’owi, którego niezbyt one interesowały. Zauważył jednak, że od jakiegoś czasu wielu z zazwyczaj pełnych energii robotników budowlanych zaczęło przypominać zombie. Okazało się, że mieszkańcy Bottoms rozkruszają tabletki i wstrzykują sobie ich roztwór. Niewielu z nich umiało robić sobie zastrzyki, więc przez jakiś czas w okolicy dużą popularnością cieszyli się tak zwani

„strzelcy”. W zamian za darmowy strzał dla siebie robili iniekcję tym, których przerastała obsługa strzykawki.

– Przez następne trzy, cztery czy pięć miesięcy ludzie mówili tylko o tym [OxyContinie] – opowiadał Hale. – Niektórzy mieli już duże doświadczenie, brali narkotyki od lat. Zaczęli przedawkowywać i umierać. Ponieważ mieli kryminalną przeszłość i nigdy nie przysłużyli się społeczności lokalnej, nikt się tym zbytnio nie przejmował.

Ku rosnącemu niepokojowi Hale’a sytuacja ta utrzymywała się od jakiegoś czasu, aż w kwietniu 1999 roku złożył mu wizytę Jack Burton – nieoficjalny ojciec chrzestny Lucasville Bottoms, który cieszył się szacunkiem wielu miejscowych rodzin i – jak powiadano – był umoczony w działalność przestępczą. Miał w zwyczaju siadać za kierownicą swego białego sedana, w którym jego wychudła postać zapadała się w fotelu kierowcy, i krążyć po okolicy.

Córka Burtona, Jackie, właśnie zmarła wskutek przedawkowania OxyContinu. Hale kiedyś jej bronił, gdy wylądowała w sądzie po kilku burdach, jakie wywołała w barze. Kiedy zrobiono jej pierwszy zastrzyk OxyContinu, odpadła, a „strzelec” przestał zwracać na nią uwagę. Prawdopodobnie nie żyła już od godziny, nim ktoś w końcu się zorientował.

Teraz Jack Burton siedział w biurze Hale’a z pytaniem, co można zrobić z firmą, która wyprodukowała lek.

– Jack – odrzekł mu Hale – prosisz mnie, żebym wziął na cel jedną z największych firm farmaceutycznych.

Odwiódł Burtona od tego pomysłu. Mijały jednak miesiące i liczba zgonów w Bottoms rosła. Hale wciąż o tym myślał.

– Z tą sprawą wiązałyby się naprawdę duże pieniądze – przyznał.

W maju 2001 roku działający w imieniu Jackie Burton Hale wniósł najprawdopodobniej pierwsze w historii powództwo przeciwko firmie Purdue Pharma w sprawie spowodowania śmierci wskutek zażywania OxyContinu.

Jak wypowiedział się na łamach „Portsmouth Daily Times” Hale: „Purdue Pharma wypuściła na rynek farmaceutyczną bombę atomową o absolutnie katastrofalnych skutkach, które powinni byli przewidzieć”.

Do pozwu dołączyła się kancelaria prawna z Cincinnati, nadając mu charakter powództwa zbiorowego i prosząc Hale’a o wyszukanie większej liczby powodów. Znalazł drobnych złodziejaszków i znajdujących się w nieco lepszej kondycji

fizycznej odbiorców rent inwalidzkich – osoby, których jakość i tak dysfunkcjonalnego życia jeszcze się pogorszyła wskutek uzależnienia od opioidów.

Kilka miesięcy później kancelaria wycofała się ze sprawy.

– Nikt mi nie powiedział, że w pozwie zbiorowym osoba reprezentowana nie powinna mieć na koncie kilku wyroków – opowiadał Hale. – No i że były te wszystkie oczekiwania związane ze stroną skarżącą, które powinna była spełnić.

W Bottoms – rzecz jasna – trudno było znaleźć kogoś, kto dobrze wyglądałby w telewizji lub w oczach sędziego. Po kilku rozprawach, podczas których Hale siedział samotnie u jednego końca stołu, mając naprzeciwko siebie sześciu lub ośmiu świetnie ubranych prawników Purdue, zrezygnował z prowadzenia tej sprawy. Zawsze jednak uważał, że Lucasville Bottoms było wczesnym sygnałem ostrzegawczym, który zignorowano nie tylko w samym Ohio, ale i w reszcie kraju. W późniejszym komunikacie prasowym wypuszczonym przez Purdue Pharmę można było przeczytać, że firma wygrała każdy wytoczony jej proces. Nie zaskoczyło to Joego Hale’a.

– Kiedy już można było wnieść powództwo przeciwko Purdue Pharmie, zazwyczaj miało się na tyle schrzanione życie, że nie sposób było uczestniczyć w pozwie grupowym – opowiadał mi Joe, gdy pewnego wiosennego dnia jeździliśmy po Bottoms między rzędami wąskich przewoźnych domów i zdemolowanych samochodów.

Tak właśnie wyglądała sytuacja, gdy pod koniec lat dziewięćdziesiątych w południowym Ohio rozpoczynała się epidemia opiatów. Portsmouth, Lucasville Bottoms i inne zapomniane miejscowości w okolicy pełniły tę samą funkcję co kanarki w pozamykanych już appalaskich kopalniach. Tylko że nikt w kraju na nie nie patrzył, przynajmniej dopóki alarmu nie wzbudzili bardziej szanowani obywatele i nie zaczęli umierać sławni ludzie.

Pięćdziesiąt, sto przypadków miesięcznie

Olympia, Waszyngton

Funkcjonujący w stanie Waszyngton system odszkodowań jest jednym z zaledwie pięciu mających w Stanach Zjednoczonych monopol na ubezpieczanie pracowników. Stan ubezpiecza dwie trzecie z miliona dwustu tysięcy waszyngtońskich robotników i nadzoruje sytuację reszty z nich, którzy są zatrudnieni w firmach na tyle dużych, że same mogą się ubezpieczyć.

Labor and Industries – bo tak nazywa się ten system – gromadzi niezwykłą ilość danych na temat odniesionych przez pracobiorców urazów i ich śmierci. Odkąd bazujące na narkotykach środki przeciwbólowe znalazły zastosowanie jako leki na bóle chroniczne, dużą grupą ich konsumentów zostały osoby, które odniosły urazy w pracy. L&I ze swą siedzibą w dwupiętrowym przeszklonym budynku w Tumwater w stanie Waszyngton – daleko od Portsmouth i Lucasville Bottoms – miała niemal jako jedyna instytucja w kraju dostęp do bogatego zbioru danych dających szczegółowy obraz tego, co właśnie nadciągało.

Jednak aby go dostrzec, trzeba było kogoś, kto odczuwał organiczny wręcz wstręt do nieporządku.

Kimś takim była Jaymie Mai.

Mai dorastała w powojennym Wietnamie. Była córką marynarza z armii Wietnamu Południowego, który trafił do komunistycznego obozu reedukacyjnego. W 1978 roku jej matka wsiadła na małą łódź rybacką wraz z sześciorgiem swoich dzieci i siedemdziesięcioma pięcioma innymi osobami chcącymi uciec z kraju. Płynęli bez celu z wymiotującymi towarzyszami podróży, otoczeni przez tajskich piratów – do momentu, kiedy natknęli się na malezyjski statek handlowy, który zabrał ich na pokład. Rok później Mai i jej rodzina lecieli do Seattle, by zacząć nowe życie.

Ukończyła farmację na Uniwersytecie Waszyngtońskim, potem pracowała w swoim zawodzie w kilku szpitalach. W 2000 roku, chcąc założyć rodzinę, szukała stanowiska ze stałymi godzinami pracy. Zatrudniła się jako główna farmaceutka w L&I, gdzie nadzorowała sprawy pracowników otrzymujących leki na receptę wydawane z powodu urazów odniesionych w miejscu pracy.

Kiedy objęła tę posadę, nie wiedziała o nasilającej się tendencji do coraz powszechniejszego stosowania opiatów w medycynie. W szpitalach, w których dotąd pracowała, podawano je osobom ze złamanymi nogami lub w leczeniu pooperacyjnym, co uważała za właściwą praktykę.

Mai odczuwała intensywną potrzebę porządku. Nie znosiła niedbalstwa i pytań pozostawionych bez odpowiedzi. Często sprzątała swój dom – pomagało jej to odreagować stres i przemyśleć frapujące kwestie. Uwielbiała także uprawiać ogródek. Robiła to nie tylko po to, by zapanował w nim porządek, lecz również dlatego, że rośliny darzyła prawdziwą miłością. Przepadała za różami. Zasadziła je więc przed domem, który kupiła wraz z mężem po tym, jak zaczęła pracować w L&I.

Róże przydadzą się jej w przyszłości. Do obowiązków służbowych Mai należało między innymi dbanie o to, by lekarze sygnalizowali, czy nowe opioidowe środki przeciwbólowe rzeczywiście pomagają w zredukowaniu bólu odczuwanego przez pacjentów i przyczyniają się do ich powrotu do normalnego funkcjonowania. W przeciwnym razie dlaczego państwo miałoby dalej łożyć na tego typu leki? Zajmując się tymi zagadnieniami, po raz pierwszy zauważyła, że środki te są nagminnie przepisywane na bóle chroniczne, co ją zaniepokoiło.

– To odbywało się automatycznie: „Boli cię? To przepiszę receptę na opioidy” – opowiadała. – Pacjentów leczono opioidami, a ponieważ ci wracali po miesiącu, narzekając na jeszcze silniejsze bóle, zwiększano dawkę. „Proszę przyjść za miesiąc”. Widziałam w dokumentacji medycznej, że lekarze nawet nie sprawdzali, czy dany środek działa. Pacjenci i tak przychodzili i skarżyli się na narastający ból. Nikt nigdy nie powiedział: „Chwileczkę. Na razie dość. Zobaczmy, co się dzieje”.

– Pięćdziesiąt, sto przypadków miesięcznie. Nie podejmowano jednak żadnych prób, choćby jednej lub dwóch, sprawdzenia, czy lek faktycznie działa, czy pacjenci w ogóle powinni dostawać opioidy, czy kiedykolwiek przedtem próbowali środków nieopioidowych.

Nagle, sześć miesięcy po objęciu stanowiska, Mai zorientowała się, że część z tych pracowników zaczęła umierać od przepisywanych im środków przeciwbólowych. To się wcześniej nie zdarzało. Robotnicy, którzy przychodzili do lekarza z nadwerężonymi mięśniami pleców lub ścięgnami kolan, nie umierali. Lecz na jej biurko trafiały kolejne dokumenty – wszystkie dotyczące przedawkowania. W Waszyngtonie w ciągu roku ginęło około pięćdziesięciu robotników. Przyczyną zgonu był albo wypadek przy pracy – śmiertelne porażenie

prądem elektrycznym, upadek z wysokości i tak dalej – albo choroba nowotworowa w rodzaju azbestozy. Teraz umierali również pracownicy z bolącymi plecami.

Udała się ze swoimi spostrzeżeniami do swego przełożonego, dyrektora do spraw medycznych doktora Gary'ego Franklina.

– Co mamy z nimi zrobić? – spytała.

Gary Franklin od zawsze był sceptyczny wobec opiatów. Obronił pracę magisterską dotyczącą publicznej służby zdrowia i przez kilka lat był profesorem neurologii i medycyny prewencyjnej na Uniwersytecie Kolorado. Stanowisko dyrektora w L&I objął w 1988 roku, gdy podjęto już krucjatę mającą na celu destygmatyzację stosowania opiatów w medycynie.

Wkrótce lekarze doradzający L&I zaczęli powoływać się na cytat z Porter i Jicka mówiący o niecałym procencie pacjentów odczuwających ból, którzy po podaniu opiatów wpadli w uzależnienie.

– „Mniej niż jeden procent", mówili – wspominał Franklin. – W kółko powtarzali: „Nie uważamy, by były tak uzależniające, jak dotąd sądziliśmy".

W 1999 roku Waszyngton, decyzją stanowej komisji medycznej, uchylił sankcje prawne grożące lekarzom przepisującym narkotyki w ramach dopuszczalnej praktyki lekarskiej – osobnych regulacji stanowych dotyczących trudnego w leczeniu bólu.

– Oznaczało to, że nie ma już ograniczeń w dawkowaniu, że sposobem na rosnącą tolerancję jest zwiększanie ilości przepisywanego leku – mówił Franklin.

Dwa lata po wprowadzeniu bardziej liberalnych przepisów w jego gabinecie pojawiła się główna farmaceutka L&I z informacją, że zauważyła wśród robotników z bolącymi plecami przypadki zgonów, które związane były z przedawkowaniem opiatów. Franklin miał wątpliwości. Czy pracownicy umierali od rekreacyjnego nadużywania opiatów, czy od tabletek przepisanych na odczuwane przez nich bóle?

– Nie chcieliśmy bezpodstawnie rozdmuchiwać tej sprawy – opowiadał mi Franklin. – Lekarze poświęcili tyle czasu, by przekonać ludzi do stosowania opioidów. Wiedziałem, że oberwiemy, jeśli powiemy, że ludzie umierają od opioidów przepisywanych na receptę.

Potrzebnych było więcej informacji: świadectwa zgonu, dokumentacja z przeprowadzonych przez koronera sekcji zwłok, recepty wypisane każdej osobie, która poniosła śmierć. Przez następne dwa lata w znajdującym się na pierwszym piętrze pomieszczeniu na zapleczu budynku L&I Mai ślęczała nad danymi

dotyczącymi przypadków robotników zmarłych wskutek przedawkowania opiatów. Pierwszym i podstawowym zadaniem było wyszukanie takich robotników. Okazało się, że od 1995 roku zmarło dwieście sześćdziesiąt sześć osób objętych systemem odszkodowań pracowniczych. Mai ograniczyła tę liczbę do sześćdziesięciu przypadków, w których pojawiały się wzmianki o narkotykach, i dla każdego z osobna poprosiła o raporty sporządzone przez lekarzy, świadectwa zgonu i dokumentację z sekcji zwłok.

Ostatecznie w 2005 roku w artykule opublikowanym w „American Journal of Industrial Medicine" Franklin i Mai napisali, że w latach 1995–2002 czterdzieści cztery osoby odczuwające przewlekłe bóle i jednocześnie objęte systemem odszkodowań pracowniczych z całą pewnością lub z dużym prawdopodobieństwem zmarły w związku ze stosowaniem leków opiatowych przepisywanych na receptę. Przeważająca część zgonów przypadała na okres po 1999 roku, kiedy wprowadzono nowe regulacje prawne dotyczące trudnego leczenia bólu. W większości przypadków byli to mężczyźni i osoby poniżej pięćdziesiątego roku życia. Lekarzom zgłaszano dolegliwości niezagrażające życiu, na przykład bóle odcinka krzyżowego kręgosłupa czy zespół cieśni kanału nadgarstka – na które ci przepisywali opiaty z listy Schedule II. Po niedługim czasie osoby te były już martwe.

Mai i Franklin odkryli również, że liczba recept wypisywanych na najsilniejsze opiaty podwoiła się. Z kolei w przypadku znacznie słabszych środków przeciwbólowych nastąpił spadek lub nie odnotowano zmiany. To także zastanawiało. Chociaż normalnie lekarze powinni byli zaczynać od słabszych leków, mając do czynienia z bólem odczuwanym przez pacjentów, sięgali od razu po ciężką artylerię, czyli – poczynając od 1997 roku – OxyContin.

Opublikowany przez nich artykuł był pierwszym w całym kraju, w którym udokumentowano przypadki zgonów związanych z nowym zjawiskiem przepisywania opiatów na choroby nienowotworowe.

Napisali więc do lekarzy współpracujących z systemem odszkodowań pracowniczych, opisując sytuację. W odpowiedzi dostawali telefony od osób oburzonych tym, że stan może przygotowywać się do odebrania im licencji. Potem jednak zadzwonili kierownicy z Medicaid i Agencji do spraw Zdrowia Weteranów z informacją, że też zauważyli tendencję wzrostową w liczbie zgonów spowodowanych przedawkowaniem opioidów.

Mai i Franklin zadzwonili więc do Jennifer Sabel – epidemiolożki ze stanowego wydziału zdrowia, która dopiero co rozpoczęła badania nad przypadkami zgonów spowodowanych urazami i przemocą, w tym przedawkowaniami ze skutkiem śmiertelnym. Zapytali, czy wzrost w liczbie zgonów związanych z przedawkowaniem opiatów występuje nie tylko wśród waszyngtońskich robotników, ale także w ogóle w populacji stanu.

Sabel odpowiedziała, że musi to sprawdzić.

Królestwo ćpunów w Dreamlandzie

Portsmouth, Ohio

Ostatecznie, co zresztą było nieuniknione, Dreamland został zamknięty.

Stało się to w 1993 roku. Jaime Williams sprzedał ośrodek przed laty. Nowi właściciele nie potrafili utrzymać basenów, a i klienci nie dopisywali. Coraz więcej osób miało prywatne baseny w przydomowych ogródkach. Dreamland stał pusty przez dwa lata. Miejscowi próbowali się zorganizować, by go ocalić, jednak okolica wyludniła się po tym, jak w Portsmouth upadły stalownia i zakłady obuwnicze. Ośrodek mogło wykupić miasto, ale trochę grało na zwłokę, więc właściciele zawarli umowę z deweloperem, który chciał tam otworzyć centrum handlowe. Mając chrapkę na ewentualne dochody podatkowe, tak potrzebne kurczącemu się budżetowi, władze miejskie przystały na to. By uniemożliwić zapobiegnięcie zawarcia umowy, deweloper sprowadził późnym wieczorem buldożery i nieodwracalnie wyłączył baseny z użytku poprzez zniszczenie instalacji filtracyjnych.

Nie minęły dwa miesiące, a zburzono szatnie i wieżę do skoków, zniwelowano także teren kompleksu i pokryto go asfaltem. Starzy mieszkańcy Portsmouth nie mogli na to patrzeć. U skraju olbrzymiego parkingu, który niegdyś był Dreamlandem, stały teraz sklep z częściami samochodowymi O’Reilly Auto Parts i salon sieci telefonii komórkowej AT&T.

Dochody podatkowe z Dreamlandu nie za bardzo się zmaterializowały. A fiasko przyczyniło się tylko do rozpowszechnienia poglądu, że w radzie miejskiej zasiada banda kretynów.

W celu zatrzymania postępującego upadku miasta utworzono urząd burmistrza o sporych kompetencjach. Taka opcja zwyczajowo zarezerwowana była dla wielkich miast. Ten krok w zamyśle miał pozwolić Portsmouth zaoszczędzić na uposażeniu administratora wyznaczanego przez radę miejską. Jednak kolejnym burmistrzom ciągle brakowało czasu i doświadczenia w zarządzaniu życiem codziennym miasta. Jeden z nich miał za sobą karierę ekspedienta w sklepie spożywczym. Jak można się było spodziewać, zaniedbywano gospodarkę komunalną nawet na podstawowym poziomie. Harmonogram wywozu śmieci stał

się zupełnie nieczytelny. Nieoświetlone parki zaroiły się od prostytutek. Cierpiąca na braki kadrowe policja poddała się. Polityka municypalna stoczyła się do poziomu kłótni ulicznych, a dymisje sypały się jak z rękawa. Posiedzenia rady miejskiej oddano na pastwę warchołów przepełnionych destrukcyjnie działającym negatywizmem, typu: „I tak to wszystko na nic, więc po co w ogóle próbować?”.

Przez lata miasto miało protektora w osobie Verna Riffe’a Juniora, który piastując z mianowania demokratów stanowisko dysponującego olbrzymią władzą przewodniczącego Izby Reprezentantów stanu Ohio, kierował lokalną maszynerią polityczną. Oddany sprawie Portsmouth, świetnie sprawdzał się w zbieraniu dla niego funduszy. Skierował do miasta i innych zapomnianych obszarów regionu appalaskiego rzekę pieniędzy pochodzących z podatków. To on stał za utworzeniem Uniwersytetu Stanowego Shawnee w Portsmouth. Jako dobroczyńca miasta cieszył się powszechnym szacunkiem. Niemniej jego działalność była częścią szerszej kultury zależności, która sprowadziła na miasto kłopoty.

– Wszyscy tylko szukali zewnętrznych źródeł finansowania, które można byłoby pozyskać i dzięki nim nas uratować – opowiadał Scott Douthat, urodzony w Portsmouth profesor socjologii na miejscowym uniwersytecie.

Po zburzeniu Dreamlandu mieszkańcy Portsmouth zamknęli się w domach. Funkcję społecznego nadzoru ze strony dorosłych, która wykształciła się na basenach, przejęła policja. Życie towarzyskie przeniosło się do Walmartu.

Pojawiły się opiaty, czyli narkotyki prowadzące do zamknięcia się w prywatności i egoizmie, i z łatwością zadomowiły się w okolicy odartej z wszelkich więzi społecznych. Kiedyś młodzież spotykała się nad rzeką i przesiadywała tam wieczorami, pijąc piwo i paląc ogniska, ale odkąd otworzył się dostęp do tabletek, zwyczaj ten zamarł. Wytwórnie i sklepy przy ulicy Chillicothe ustąpiły miejsca klinikom w rodzaju tych prowadzonych przez Davida Proctera. Jego naśladowcy korzystali z niskich stawek czynszu, jakie obowiązywały w opustoszałych budynkach. Fabryki prochów były niemal jedynymi nowo otwieranymi przedsiębiorstwami pozostającymi w rękach miejscowych.

Wraz z nadejściem nowego tysiąclecia zorganizowana przez Purdue Pharmę kampania promocyjna OxyContinu i krucjata prowadzona w imię liberalizacji przepisywania opioidów zaczęły przynosić w południowym Ohio, Wirginii Zachodniej i wschodnim Kentucky pierwsze negatywne skutki. W pewnym momencie było nawet tak, że w Portsmouth jedna fabryka prochów przypadała na tysiąc ośmiuset mieszkańców.

– Moja córka wpadła w nałóg – opowiadała pracująca w miejskiej służbie zdrowia Lisa Roberts. – Dziecko sędziego też było uzależnione. Podobnie było u burmistrza czy komendanta policji. Ofiarą uzależnienia padały dzieciaki z najporządniejszych domów.

Przypominało to jakąś okrutną loterię, pranie mózgów przeprowadzone na skalę masową. Ulegała jedna osoba po drugiej. Po jakimś czasie Roberts nauczyła się rozpoznawać uzależnienie u – dajmy na to – starych znajomych, których nie widywała przez dłuższą chwilę.

– Przychodzili w odwiedziny [z] tymi długimi i złożonymi opowieściami, w których chodziło tylko o wyłudzenie pieniędzy – wspominała. – Patrzyłam, jak nałóg po kolei ich zagarnia.

Niewolnicy molekuły morfiny, pokolenie urodzone w czasach schyłku, zabrali się za doprowadzanie miasta do ostatecznego rozkładu. Można było ich zobaczyć wlekących się jak zombie wzdłuż przebiegającej przez Portsmouth drogi numer 52. Pchała ich misja udobruchania molekuły, więc zrywali z domów klimatyzację, byle dobrać się do tkwiących w środku części z miedzi. Kradli pokrywy włazowe, zabierali szpule z drutem miedzianym przechowywane za biurem władz okręgu szkolnego, wykradali swoim dzieciom prezenty pod choinkę.

Ostatecznie Portsmouth jako jedyne miasto nad rzeką Ohio przeobraziło się w swoiste królestwo ćpunów, gdzie walutą stały się prochy – o wiele cenniejsze niż gotówka. W stopniu niespotykanym w żadnym innym miejscu Stanów Zjednoczonych zapanowała tam gospodarka całkowicie oparta na OxyContinie.

Za tabletki można było kupić wszystko – płyty DVD, lodówki, wizyty u dentysty, montaż telewizji kablowej, proszek do prania, narzędzia, ubrania czy przybory szkolne.

Jedną z pierwszych osób zajmujących się prowadzeniem interesów na tym rynku była Mary Ann Henson – śliczna blondynka z klasy średniej. Głęboko religijni przybrani rodzice otoczyli ją w dzieciństwie troskliwą opieką. Nie przypominała sobie, by w domowej lodówce można było znaleźć coś mocniejszego od piwa. Była cheerleaderką w liceum we wschodniej części Portsmouth i na jesieni 1990 roku została szkolną królową piękności. Tytuł ten zaprawiony był kroplą goryczy, bo nikt nie wiedział, że była w drugim miesiącu ciąży. Niedługo po tym, jak pod koniec ostatniej klasy opuściła dom z nowo narodzoną córką, zaczęła brać prochy.

– Wydawało mi się, że byłam najmądrzejsza – wspominała. – Miałam osiemnaście lat.

Wyniszczona Mary Ann wylądowała na zasiłku, z bonami żywnościowymi i kartą ubezpieczenia zdrowotnego Medicaid. Przez jakiś czas miała chłopaka, który wraz z paczką kolegów włamywał się do aptek, za co ostatecznie trafił do więzienia. Mary Ann została bez środków do życia.

Pewnego dnia znajoma spytała ją: „Kotku, a byłaś już u lekarza?”.

Koleżanka zaprowadziła Mary Ann do Johna Lilly’ego, który wzorem Davida Proctera otworzył drugą w okolicy klinikę terapii bólu. Placówka znajdowała się w centrum miasta, a kolejki do niej wiły się wokół całego budynku. Lilly poprosił Mary Ann, by podniosła jedno kolano, potem drugie – i tyle było badania. Lekarz przepisał jej miesięczną dawkę Lorcetu i Xanaxu. Połowę z tych tabletek oddała znajomej, która zapłaciła za wizytę, a drugą zachowała dla siebie. Następnie koleżanka zabrała ją na drugą stronę rzeki do Davida Proctera, gdzie cała procedura się powtórzyła. Mary Ann sprzedała swoje tabletki i takie były początki prowadzonego przez nią interesu. Zaczęła regularnie odwiedzać gabinety Lilly’ego i Proctera.

Nadmierne stosowanie pigułek było wtedy zjawiskiem dość marginalnym. Trzeba było nieźle się natrudzić, by nadużyć Vicodinu lub Lortabu, które zawierały tylko niewielkie dawki opiatów, a na dodatek obecny w nich acetaminofen działał odstraszająco. Zażywanie ich w dużej ilości zwykle prowadziło do poważnych schorzeń wątroby. Poza tym rzadko kiedy nadużywano słabszych tabletek. Kiedy jednak pojawił się OxyContin, „wycieńczenie od towaru przerodziło się w wycieńczenie i umieranie od niego”, jak opowiadał jeden z lekomanów z Portsmouth, który wtedy brał tyle lortabów, że na trwałe uszkodził sobie wątrobę.

OxyContin miał też inne skutki, a mianowicie sprawił, że kantowanie na tabletkach stało się dla pokolenia schyłku intratnym biznesem. Mary Ann kupiła od osoby z nadwerężonym odcinkiem lędźwiowym kręgosłupa wyniki rezonansu magnetycznego. Zeskanowała je na komputerze i wielokrotnie wykorzystywała, zmieniając tylko wyszczególnione na nich nazwisko. Następnie wynajęła wyszukanych na ulicy narkomanów, którym płaciła za pójście do doktora z wynikami podpisanymi ich nazwiskiem. Lekarze w Portsmouth inkasowali dwieście pięćdziesiąt dolarów za wizytę. Po jakimś czasie Mary Ann jednego dnia zawoziła po kilku „słupów” naraz do konkretnej kliniki, a nazajutrz brała inną

grupę do kolejnej, za każdym razem czekając na zewnątrz, aż ci dostaną swoje recepty.

Zazwyczaj każdy z nich wychodził z kliniki z przepisanymi dziewięćdziesięcioma tabletkami osiemdziesięciomiligramowego OxyContinu – po trzy dziennie na cały miesiąc. Lekarze wypisywali też recepty na sto dwadzieścia tabletek generycznego trzydziestomiligramowego OxyContinu oraz dziewięćdziesiąt tabletek Xanaxu. Mary Ann brała połowę łupu w zamian za zawiezienie do kliniki i pokrycie wynoszącej dwieście pięćdziesiąt dolarów opłaty za wizytę.

Ten schemat działania stał się klasycznym modelem biznesowym w Portsmouth i w innych miejscowościach. Tysiące osób wydębiały prochy, co było ich sposobem zarobkowania.

W tym modelu słabym ogniwem okazali się aptekarze. Wielu farmaceutów z Portsmouth szybko się w tych sztuczkach połapało i odmawiało realizacji recept wystawionych przez szemrane kliniki. „Słupy” wsiadały zatem do samochodów kierowanych przez dilerów, takich jak Mary Ann, i wszyscy ruszali, by godzinami przetrząsać małe, rozsiane po terenach wiejskich miasteczka w poszukiwaniu aptekarzy pozbawionych wątpliwości. Niczym poszukiwacze złota przez cały ten czas rozmawiali o prochach i o tym, co z nimi zrobią. Przyrzekali więc sobie, że tym razem ich nie wezmą, tylko je sprzedadzą i odłożą trochę pieniędzy. Potem to oni będą wozić do klinik ćpunów i opłacać ich wizyty. Marzenia te rozwiewały się już w drodze powrotnej, gdy wciągali lub wstrzykiwali sobie towar i po raz kolejny zostawali z niczym.

Kiedy już znalazł się aptekarz, pojawiał się kolejny problem – jak zapłacić za tabletki. Cena leków na każdej z recept wahała się od ośmiu do dwunastu dolarów. Oczywiście można było sięgnąć po gotówkę. Jednak dla ćpunów, a także bardziej zdyscyplinowanych dilerów, wysupłanie takiej kwoty nie było łatwe. Tu właśnie w naszej opowieści pojawia się karta Medicaid.

Karta daje dostęp do ubezpieczenia zdrowotnego realizowanego przez Medicaid, a część tego ubezpieczenia przeznaczona jest na leki – jakiekolwiek lekarz uznał za niezbędne pacjentowi. Wśród tych, którzy otrzymują karty Medicaid, są osoby na zasiłku stanowym lub uczestnicy federalnego programu zasiłkowego, znanego jako SSI (Supplemental Security Income – Uzupełniająca Zapomoga Rządowa).

W hrabstwie Scioto liczba osób co roku występujących o zapomogę SSI podczas dekady kończącej się w 2008 roku niemal się podwoiła – z ośmiuset siedemdziesięciu do tysiąca sześciuset. Niewprawny obserwator ponurej sytuacji gospodarczej panującej w Portsmouth doszedłby do wniosku, że to naturalne – ostatecznie brakowało miejsc pracy. Ludziom potrzebne były pieniądze i comiesięcznie otrzymywany czek był rzeczywistą pomocą. To prawda, ale tabletki i kliniki terapii bólu zmieniły klasyczny rachunek przychodów pochodzących z opieki społecznej – nie chodziło już o czek SSI, istotniejsza była przychodząca wraz z nim karta Medicaid.

Jeśli udało się otrzymać receptę od pomocnego lekarza – a takich w Portsmouth było mnóstwo – to dużą część kosztów zakupionych leków można było pokryć z ubezpieczenia zdrowotnego Medicaid. W zamian za trzy dolary dopłaty do karty narkomani dostawali możliwość wykupienia tabletek wycenionych na tysiąc dolarów. Różnicę pokrywali z własnej kieszeni podatnicy stanowi i krajowi. Jeśli właściciel karty dobrze się zakręcił, uzyskane za te trzy dolary dopłaty tabletki mógł sprzedać na czarnym rynku nawet za dziesięć tysięcy dolarów.

Przekręt z kartą Medicaid w połączeniu z fabrykami prochów doprowadził do pojawienia się na ulicach olbrzymich ilości farmaceutyków wydawanych na receptę. Im więcej tabletek zasypywało region, tym grupa uzależnionych stawała się liczniejsza. A im bardziej rozkwitał interes, tym tragiczniejsze było jego żniwo. Być może czarny rynek OxyContinu nigdy tak bardzo by się nie rozwinął i tak szybko nie zakorzenił, gdyby lekomani musieli płacić za te wszystkie pigułki gotówką, i to w cenach rynkowych.

W bardziej ustronnych częściach regionu appalaskiego historie związane z OxyContinem może mniej dotyczą samych fabryk prochów, ale na pewno w równym stopniu odnoszą się do zapaści gospodarczej, a tym samym SSI i kart Medicaid.

W górzystym hrabstwie Floyd w stanie Kentucky, sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od Portsmouth, rzecz dotyczyła górnictwa. Działające przed laty kopalnie głębinowe zapewniały mnóstwo miejsc pracy. Mężczyźni pracowali pod ziemią przez dwadzieścia lat, płacili składki Ubezpieczeń Społecznych od Niepełnosprawności (Social Security Disability Insurance – SSDI), w wieku czterdziestu pięciu lat z czarnymi płucami kończyli pracę w kopalni i dostawali co miesiąc czek na sumę wystarczającą do utrzymania rodziny.

Przyszedł jednak czas, że kopalnie głębinowe pozamykano i przerzucono się na górnictwo odkrywkowe, co wiązało się z zapotrzebowaniem na znacznie mniejszą grupę górników. Dodatkowo pracowali oni w lepszych warunkach, w znacznie mniejszym stopniu zagrażających zdrowiu. Znikały więc kolejne miejsca pracy i możliwości pobierania ubezpieczeń z tytułu niepełnosprawności. W efekcie całe rodziny zaczęły zależeć od SSI i zapomóg w wysokości zaledwie kilkuset dolarów miesięcznie. Niemniej z SSI związana była karta Medicaid, co wraz z wypuszczeniem na rynek OxyContinu radykalnie zmieniło sytuację.

– Dwadzieścia lat temu korzystali z SSDI i pełnego ubezpieczenia pracowniczego. To było jakieś tysiąc osiemset dolarów miesięcznie – opowiadał Brent Turner, prokurator stanowy dla tej części wschodniego Kentucky, który swoją karierę rozpoczął w 2000 roku, gdy handel OxyContinem stał się źródłem dochodów zubożałych rodzin w regionie appalaskim.

– Czeki opiewały na wyższe sumy, bo pracowali w kopalniach i opłacali składki SSDI. Teraz mamy ludzi, którzy nie pracują i są zależni od wypłacanych w ramach SSI zapomóg w wysokości pięciuset dolarów miesięcznie – kontynuował. – To ludzie, którzy mają dzieci i żony, i te pół tysiąca musi wystarczyć na całą rodzinę. Nie chcę ich usprawiedliwiać. Wielu nigdy nie pracowało, ale tak to wygląda. Kiedy się nie pracuje i nigdy nie miało się pracy czy nie odprowadzało składek do systemu, to nie zyskuje się uprawnień do wyższych świadczeń. Mamy masę osób, które kwalifikują się jedynie do SSI. Trudno uwierzyć, jak wielu dwudziesto- lub trzydziestolatków nigdy nie miało pracy i od wieku nastoletniego żyje tylko z tych zapomóg.

– To był jeden z kluczowych czynników, gdy wybuchła epidemia pigułek. Można całymi dniami rozmawiać o moralności, ale gdy dostaje się pięćset dolarów miesięcznie i ma się kartę Medicaid, pozwalającą zdobyć miesięczny zapas prochów wartych kilka tysięcy dolarów, to po prostu się je wykupuje, a potem sprzedaje na ulicy.

Według Turnera rewolucja w leczeniu bólu sprawiła, że „porządni lekarze rodzinni okazali się bardzo liberalni w przepisywaniu tych tabletek. Te wszystkie narkotyki razem wzięte okazały się nagle bardzo łatwo dostępne, więc eksplozja była nieunikniona. Jeśli chodzi o prochy, to zabija nas nagły przyrost liczby drobnych przestępców. Gdybyśmy mieli więzić tylko ludzi pokroju »człowieka z blizną«, to nikogo byśmy nie zamykali. To zjawisko już zakorzenione w kulturze, wszyscy to robią”.

Podobnie jak w systemie sprzedaży heroiny opracowanym przez Chłopaków z Xalisco, także ci, którzy sprzedawali na czarnym rynku OxyContin, nie mieli nad sobą hierarchicznie zorganizowanej władzy. Zamiast tego rynek napędzany był przez grupę drobnych, działających na granicy prawa – lub wręcz łamiących prawo – handlarzy, którzy korzystali z zaistniałej synergii trzech zjawisk. Mianowicie z większej swobody w przepisywaniu środków przeciwbólowych, pojawienia się nowej tabletki z potężną dawką opioidów i dostępności kart Medicaid. Te ostatnie istniały od lat, ale wraz z wypuszczeniem OxyContinu stały się maszynkami do robienia pieniędzy.

– Naszym zdaniem firma Purdue Pharma doskonale wiedziała, że tak wiele osób [w okolicy] miało karty Medicaid – powiedziała mi pielęgniarka z Portsmouth Lisa Roberts. – Dlatego tak mocno promowali tutaj OxyContin.

Niezależnie od tego, jaki był faktyczny stan wiedzy firmy, z pewnością dysponowała ona informacjami o lekarzach przepisujących środek w sposób najbardziej liberalny. Wielu z nich, co znów nie było przypadkiem, miało swoje praktyki tam, gdzie liczba odbiorców pomocy społecznej i zasiłków federalnych była relatywnie wysoka, jak na przykład w południowym Ohio i wschodnim Kentucky.

Każdą tabletkę pozyskaną przez Mary Ann Henson od osób, które zawoziła do klinik terapii bólu, można było sprzedać w cenie jednego dolara za miligram, co oznaczało, że za osiemdziesięciomiligramową pigułkę OxyContinu dostawała równe osiemdziesiąt dolarów. Po zabraniu swoim podopiecznym połowy przepisanych im leków przy takich cenach mogła na każdej osobie zarobić pięć tysięcy dolarów. Proszki sprzedawała w domu wraz z mężem Keithem Hensonem. Lata później wspominali, że ich działalność przypominała McDonalda dla zmotoryzowanych. Dziesięć osób dokonywało transakcji w salonie, a cztery kolejne czekały na werandzie.

W Portsmouth obecny był kiedyś duch industrialnej pomysłowości, który doprowadził do skonstruowania maszyny do produkcji sznurówek. Teraz wymyślono tam nowoczesne fabryki prochów. Kliniki i tabletki OxyContin na nowo uczyniły miasto atrakcyjnym miejscem, do którego się jeździ. Ludzie przybywali tu z południowego Ohio, wschodniego Kentucky, Wirginii Zachodniej i Indiany. Osoby stojące w kolejce do Johna Lilly’ego zamawiały pizzę, piły piwo, wciągały rozkruszone pigułki i wymiotowały po krzakach. Fortune Williams

w Kentucky wynajął ochroniarzy, by kierowali ruchem klientów jego placówki, a Karen Charles przyglądała się ze swego sklepu z materiałami podłogowymi, sąsiadującego z kliniką Proctera, bijatykom wywiązującym się między stojącymi w kolejce pacjentami.

Dla uzależnionych ogonki te pełniły funkcję internetu. Rozchodziły się po nich wieści o tym, który lekarz wypisuje jakie recepty i czy ktoś ma radio samochodowe na sprzedaż. Być może to w tych kolejkach OxyContin po raz pierwszy zaistniał w roli środka płatniczego w Portsmouth.

Molekuła morfiny była dla osób uzależnionych wszystkim. Czymś ważniejszym nawet od dzieci albo pieniędzy. Tabletek nie dało się przerobić ani ochrzcić. Nie traciły na wartości, która zresztą była wytłoczona na każdej z nich. Pomocne okazało się to, że OxyContin sprzedawano w pigułkach czterdziesto- i osiemdziesięciomiligramowych, a jego generyczne odpowiedniki w tabletkach dziesięcio-, piętnasto-, dwudziesto- i trzydziestomiligramowych – różne dawki ułatwiały wykorzystywanie ich jako pieniędzy. Fabryki prochów funkcjonowały w roli banku centralnego kontrolującego „podaż pieniądza” – utrzymywały ją na stałym, wysokim poziomie, a tym samym zapobiegały wahaniom inflacyjnym i deflacyjnym.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych osiągnięto masę krytyczną i przez mniej więcej dekadę wartość większości dóbr i usług dostępnych w Portsmouth mierzona była w tabletkach.

Uzbrojeni rabusie napadali na domy handlarzy, skąd zabierali prochy, zupełnie nie zwracając przy tym uwagi na gotówkę. Mary Ann kupiła kiedyś samochód, płacąc tabletkami, zapłaciła nimi pracującemu po godzinach monterowi za zainstalowanie kablówki, w ten sposób płaciła też za wizyty u dentysty. Pewnego razu na OxyContin wymieniła nawet porwanego przez narkomanów męża. Za prochy można było dostać buty, torebki, perfumy.

Co najważniejsze, można było kupić za nie również miłość dziecka. Ćpuny, dla których najistotniejszą relacją była ta utrzymywana z towarem, mogły na chwilę wynurzyć się z mgły, by za tabletki kupić dzieciom zabawkę, grę komputerową czy bransoletkę – zazwyczaj od złodzieja sklepowego.

Częścią tej gospodarki był tętniący życiem rynek wtórny, który opierał się na swoistym narkomańskim serwisie ogłoszeń drobnych.

– Ktoś mówił: „Hej, szukam piły łańcuchowej” – opowiadała Mary Ann. – Potem widziało się kogoś przechodzącego obok z takim sprzętem. Kupowało się

piłę za trzydziestkę oksykodonu, którą zdobyło się za półdarmo [dzięki karcie Medicaid], dzwoniło się do tego pierwszego gościa i sprzedawało mu narzędzie za sto dolców w gotówce.

Podobny system działał też przed laty w przypadku Lorcetu, ale na niewielką skalę. Zawierający tak dużą dawkę opioidów OxyContin pozwolił rozwinąć mu się w sposób bezprecedensowy. Zimne jak trupy, zgrzytające zębami i szprycujące się ćpuny w rodzaju Mary Ann posiadały teraz wielkie telewizory, komputery, ładne meble i wypasione narzędzia.

W opartej na OxyContinie gospodarce towarem został nawet mocz. Gdy władze zaczęły uważniej patrzeć na ręce lekarzom w hrabstwie Scioto, część klinik zaczęła wymagać dokonywania okresowych badań moczu. Zawsze pytali o nie kuratorzy sądowi. Powstał zatem czarny rynek moczu, na którym czysta uryna osiągnęła wartość wody na pustyni. Lekomani mocowali na wysokości żołądka sztuczne pęcherze z rurkami wpuszczonymi w spodnie. Sąsiedzi jednej z klinik w centrum przyzwyczaili się do osób pukających do ich drzwi z pytaniem, czy nie chcieliby sprzedać im moczu. Na zewnątrz fabryk prochów stali ludzie żądający pigułek w zamian za nasikanie do kubka – popijając wodę, obiecywali, że ich uryna jest czysta. Klienci z długim stażem rozkruszali oksykodon do zakupionego moczu, gdyż lekarze chcieli mieć dowód, że ich pacjenci nie biorą niczego innego poza tym, co sami im przepisali. Przedmiotem pożądania była uryna dziecięca, czysta ze swej natury, którą przez lata można było dostać w Portsmouth w zamian za czterdziestomiligramowy OxyContin.

Równolegle tworzył się skomplikowany opiatowy system klasowy. Na samym szczycie stali ci, którzy nie zażywali, tylko sprzedawali prochy i kupowali wszystko, co przynosiły ćpuny.

Do tej elity należał zmarły już Jerry Lockhart. Mieszkał w zachodnim Portsmouth, na wzniesieniu nazywanym Wzgórzem Oxycontinowym. On też zabierał co miesiąc ludzi do klinik, płacił za wizyty, a następnie zgarniał połowę przepisanych tabletek. Ci, których zawoził, byli szczurami ulicznymi z samego dołu opiatowej hierarchii klasowej.

Szczurami ulicznymi nazywano osoby uzależnione, które nie były w stanie zgromadzić sumy potrzebnej do opłacenia wizyty u lekarza lub na kupienie sobie czegokolwiek. Grzebały w składowiskach złomu lub kradły ozdoby ogrodowe. W ciągu miesiąca musiały uporać się z milionem drobnych szwindli. W mieście były ich setki, a ich populacja rosła wraz z napływem im podobnych z okolicy,

którzy organizowali sobie jednodniowe wypady do działających w Portsmouth fabryk prochów.

Relacje pomiędzy szczurami ulicznymi a dystrybutorami, takimi jak Lockhart, przypominały w swym mechanizmie stosunki dzierżawne. Jednym ze sposobów przetrwania szczurów ulicznych przez kolejny miesiąc było proszenie dilerów, by dali im prochy awansem. Kiedy nadchodziła pora comiesięcznej wizyty u lekarza, byli dłużni większość z tego, co zaraz miało zostać im przepisane.

– Jeśli mieliśmy dostać sto osiemdziesiąt sztuk, to już wisieliśmy na sto – opowiadał mi jeden z ówczesnych ćpunów.

Rozmawiałem z lekomanem o imieniu Donnie. Kiedy jako marines był za granicą na misji, został ciężko ranny i dostawał morfinę. Po powrocie do Portsmouth nie zrezygnował z zażywania opiatów, w których miasto wtedy było skąpane. Wkrótce uzależnił się od OxyContinu i zaczął wyprzedawać swoje narzędzia. Po pewnym czasie niemal wszystkie trafiły do Jerry'ego Lockharta.

Często udawał się do dilera w środku miesiąca, byle tylko zdobyć nieco pigułek. Lockhart dawał mu dwie, oczekując, że po wizycie u lekarza odda mu cztery. Kiedy jechali do kliniki, Donnie zazwyczaj był dłużny niemal wszystko, co powinno znaleźć się na recepcie.

Lockhart wymieniał tabletki na kradzione towary, które potem sprzedawał w swoim dużym garażu. Dawał ćpunom prochy za karty z bonami żywnościowymi, na które kupował jedzenie. Jeden z uzależnionych wyznał mi, że swoją kartę odzyskał dopiero po dwóch latach, kiedy Lockhart zmarł. Inny lekoman, który pracował dla Lockharta, powiedział mi, że ten wyposażył cały swój dom towarami kupionymi za pomocą kart podarunkowych sieci Lowe's – wszystkie co do jednej zostały skradzione przez ćpunów w sklepach. Mechanizm wyglądał następująco: uzależnieni zwracali ukradziony w sklepie towar w zamian za karty upominkowe, z którymi udawali się potem do Lockharta, by wymienić je na pigułki.

W królestwie ćpunów w Portsmouth złodzieje sklepowi byli w istocie domokrążcami. W ramach opartej na OxyContinie gospodarki dostarczali niezbędne w codziennym życiu towary i przyjmowali zapłatę w postaci prochów. Kradli na zamówienie artykuły spożywcze, tampony, proszki do prania czy kuchenki mikrofalowe. Z kolei znaczenie złodziei sklepowych dla gospodarki oxycontinowej wzrosło za sprawą nowej i niezastąpionej na terenach wiejskich instytucji.

W Portsmouth, podobnie jak w znacznej części rolniczej Ameryki, większość artykułów sprzedawana jest wyłącznie w sklepach sieci Walmart. W tym przypadku Walmart znajduje się w sąsiednim mieście New Boston, na działce, gdzie stała niegdyś koksownia, po której zostały już tylko kominy. Tam właśnie wszyscy robią zakupy i udzielają się towarzysko.

Pochodzę z południowej Kalifornii, gdzie rynek nie został aż tak dokumentnie spenetrowany przez Walmarta. Kiedy mieszkałem w Meksyku, sklepy tej sieci znaleźć można było tylko na dalekich przedmieściach stolicy. Po raz pierwszy wszedłem do Walmartu w 2003 roku w położonym w południowo-zachodnim Kansas i żyjącym z pakowania mięsa mieście, do którego pojechałem, by napisać artykuł o drużynie piłkarskiej ze szkoły średniej. Przybyłem tam pełen żenująco naiwnych wyobrażeń na temat tego regionu. Niewiele innych miejsc dało amerykańskiej historii tyle ikonicznych obrazów: osadnicy, szlaki pędzenia bydła, rodzinne gospodarstwa rolne, słynne z pojedynków rewolwerowców Dodge City, a nawet Czarnoksiężnik z krainy Oz. Wyobrażałem sobie, że wszystko obraca się tam wokół głównej ulicy, znanej z typowych amerykańskich małych miasteczek.

Zamiast tego trafiłem do wymarłego świata. Po małomiasteczkowych głównych ulicach niosło się tylko echo moich kroków. Na jednej z nich aptekarka zostawiła list powieszony na witrynie apteki. Pisała w nim, że lubiła obsługiwać mieszkańców, ale nie była w stanie tego dłużej wytrzymać, i ma nadzieję, że zrozumieją, dlaczego – tak jak wszyscy inni – ona też wyjeżdża. Nie zostawiła adresu do korespondencji.

Bywało, że w tych mieścinach Walmart był jedynym miejscem, gdzie dało się kupić artykuły pierwszej potrzeby. Przechadzając się po nim, wyobrażałem sobie, że jego alejki nawiedzają duchy właścicieli sklepików, które niegdyś podtrzymywały przy życiu małomiasteczkową Amerykę. Tak więc na jednej z nich byłby właściciel opuszczonego spożywczaka, nieco dalej sklepikarz ze sklepu żelaznego, obok sprzedawca ze sklepu z damską odzieżą lub ta od dawna już nieobecna aptekarka.

Być może w funkcjonującej w Portsmouth gospodarce oxycontinowej nie powinno mnie więc zaskoczyć, że gdy wszystkie nowe wiejskie ćpuny chciały poczuć się lepiej, jak wszyscy ruszały do Walmartu.

Przed nadejściem OxyContinu wystarczyło wysupłać cztery lub pięć dolarów, by kupić Lorcet bądź Vicodin i zrobić sobie dobrze.

– Czasami trzeba było tylko pogrzebać w swojej kanapie i wyjąć je stamtąd – opowiadał jeden z takich ćpunów.

Potem wypuszczono OxyContin z dużą dawką opioidów, wysoką ceną i o wiele gorszym zespołem odstawiennym. Nagle pojawiło się zapotrzebowanie na miejsce, w którym ćpuny na głodzie mogłyby szybko zdobyć warte dwieście dolarów towary na sprzedaż.

– Im więcej pieniędzy potrzebnych było na prochy, tym więcej produktów należało wynieść – wspominał mąż Mary Ann Keith Henson. – Wystarczyło pójść do Walmartu i pokręcić się przez pół godziny, by wyjść z towarami, za które dostawało się pigułkę lub dwie.

Oczywiście można było też okraść najbliższych, samemu sprzedawać prochy, włamać się do sklepu z bronią czy obrabować dilerów. Doprowadzeni przez cząsteczkę morfiny do szaleństwa, robili to wszystko i o wiele więcej. Większość jednak przyciągał jak magnes olbrzymi niebieski hipermarket. Dostało się zakaz wstępu do lokalnego Walmartu? Najbliższy był w odległości czterdziestu kilometrów w dowolnym kierunku.

Kiedy opiaty na dobre opanowały środkowe Stany Zjednoczone, duża – choć niedająca się oszacować – część towarów przeznaczonych na zaspokojenie nałogu została zwyczajnie wyniesiona z alejek Walmartu – tych samych, które pogrzebały małomiasteczkowe główne ulice z ich sklepami.

W panującej w Portsmouth gospodarce opartej na OxyContinie złodzieje sklepowi musieli wykazać się dużą elastycznością. Każdego dnia mogli dostać zlecenie na chłopięce buty, piłę mechaniczną, samochodowy zestaw głośników, jak i stek z kością. Kiedyś wymagałoby to odwiedzenia czterech sklepów przy ulicy Chillicothe. Teraz już nie.

– W Walmarcie jest taki wybór produktów – opowiada Angie Thuma, była pielęgniarka, która przez lata kradła w sklepach sieci, by zdobyć środki na zaspokojenie nałogu. – Miałam odbiorców, którym codziennie coś sprzedawałam. Wszystko było w jednym miejscu. Jeśli ktoś potrzebował butów, proszę bardzo. Ukradłam ich setki. Wszystko, czego można było chcieć, znajdowało się w tym sklepie.

Walmart pełnił również funkcję regulatora cen w gospodarce oxycontinowej. Złodzieje dostawali w pigułkach równowartość połowy wyszczególnionej na metce ceny produktu. Jak wspominał Keith Henson, jeśli nie było naklejki na – dajmy na to – oferowanej przez ćpuna pile tarczowej Black and Decker, „dzwoniło się do

Walmartu i sprawdzało: »Potrzebna jest mi taka a taka piła tarczowa. Ile kosztuje?«. Odpowiadali: »Sześćdziesiąt dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów«”. Keith płacił za nią połowę tego w pigułkach, zazwyczaj trzydziestomiligramowych.

Oczywiście ceny zależały też od stopnia zdesperowania ćpuna. Tu nie było miejsca na litość. Mary Ann zaoferowała kiedyś piętnastomiligramowy OxyContin za parę ukradzionych butów koszykarskich Nike Jordan, bo gość był na takim głodzie, że nie dałby rady znaleźć innego kupca. Kupiła też od rodziny z trojgiem dzieci lodówkę za trzy trzydziestki. Zazwyczaj jednak jeśli ktoś ukradł paczkę pieluszek, proszek do prania, płyty DVD i szlifierkę mechaniczną, które w Walmarcie warte były około dwustu dolarów, to mógł w sposób uzasadniony oczekiwać, że diler na mieście zapłaci mu połowę tej kwoty w tabletkach – osiemdziesięciomiligramowym OxyContinie i dwudziestomiligramowym oksykodonie.

Kradzieże ułatwiało to, że pracownicy Walmartu nie byli jakoś szczególnie związani uczuciowo ze swoim miejscem pracy, za czym stały między innymi wszystkim dobrze znane niskie płace. Część z nich sama brała prochy. Niektórzy sprzedawcy byli za starzy, by zorientować się w tym, co się działo. W każdym razie wielu z pracowników sklepu nie miało większej ochoty użerać się z ćpunami.

– Dostawali dziesięć dolarów za godzinę – opowiadał mi doświadczony złodziej, którego spotkałem w Portsmouth. – Patrzyliśmy im w oczy wzrokiem mówiącym: „Nie wchodź nam w drogę!”. Raz na jakiś czas trafiał się taki, któremu zależało. Facet, co to chciałby zostać kierownikiem. Twardziel, który chciał się spróbować. Ale kiedy jest się na głodzie, i tak jest się większym twardzielem od innych.

Być może plaga opiatów nie rozprzestrzeniłaby się tak szybko, gdyby na obszarach wiejskich, gdzie wszystko się zaczęło, było więcej małych sklepów z właścicielami, którzy prowadzili je całe życie, znali narkomanów osobiście i nie wahali się stanąć w obronie swej własności.

Dzięki Walmartowi złodzieje sklepowi mogli w gospodarce opartej na prochach odgrywać rolę Świętego Mikołaja, realizując w zamian za pigułki składane przez handlarzy zamówienia na prezenty. Angie Thuma przez kilka kolejnych lat zaopatrywała paru dilerów we wszystkie prezenty bożonarodzeniowe, w tym podarki dla ich dzieci. (Tak się złożyło, że Boże Narodzenie było dla handlarzy kolejną okazją do zrobienia świetnego biznesu. Wyczekiwali ćpunów chcących

wymienić na prochy prezenty, które oni sami – lub ich dzieci – dostali pod choinkę).

– Przez kilka miesięcy poprzedzających święta nie byłam w stanie wyrobić się z kradzieżami – wspominała Thuma. – Nawet jeśli wyruszałam kilka razy dziennie, brakowało mi rąk, by zabrać wszystko, czego potrzebowali.

Zresztą nie tylko dilerzy kupowali podwędzone produkty. W pogrążonym w kryzysie i oferującym tylko pracę za stawkę minimalną mieście wiele osób bez oporów wchodziło w ciemne interesy, nie dbając zbytnio, skąd pochodził nabywany przez nie towar. Wśród najlepszych klientek Angie Thumy były wychowujące wnuki kobiety w średnim wieku, które nie były w stanie wyżyć za swoje zarobki.

Jednak to dilerzy w największym stopniu napędzali łupieski handel i popychali złodziei do wykazania się nieznaną dotąd pomysłowością. Kiedy handlarze przygotowywali w sierpniu dzieci do szkoły, złodzieje sklepowi rozchodzili się z długimi listami pomocy szkolnych oraz butów, koszulek i spodni w dziecięcych rozmiarach. Jeden z ćpunów, z którymi rozmawiałem, wytaczał na wózku telewizory z płaskim ekranem przez walmartowski dział z oponami, który rzadko kiedy był nadzorowany, a na dodatek miał wyjście niechronione żadnym alarmem. Wystarczyło też wyłożyć damską torebkę folią aluminiową i nic, co włożyłoby się do środka, nie aktywowało czujników przy opuszczaniu sklepu.

Thuma jeździła do Walmartu w towarzystwie innych złodziei i razem szli do sklepu, gdzie wyszukiwali duże pudło z ogródkową plastikową zjeżdżalnią dla dzieci. Przewozili je w jakieś ustronne miejsce, wyjmowali zawartość, po czym zaczynali krążyć po sklepie, wypełniając pudło odtwarzaczami DVD, xboxami, słuchawkami, proszkami do prania. Płacili dwadzieścia dolarów, bo taka była cena zjeżdżalni, i kierowali się do wyjścia. Kiedy nieuchronnie rozlegał się dźwięk alarmu, pokazywali podstarzałemu ochroniarzowi kwit kasowy, a ten machał ręką, mrucząc pod nosem: „Coś pewnie jest nie tak z bramkami, skarbie”.

Inny doświadczony złodziej z Walmartu powiedział mi, że nosił bardzo luźne ubrania, pod które zakładał długie, oklejone na wysokości kostek taśmą kalesony. Krążył po sklepie i wrzucał produkty pod bieliznę, która puchła, ale pod workowatymi spodniami i koszulą nie było to widoczne.

– Kiedy wychodziłem, wyglądałem, jakbym ważył dwieście kilo – opowiadał.

Mieszkańcy Portsmouth otwierali w swoich mieszkaniach sklepy specjalizujące się w konkretnych produktach, z których większość ukradziono w Walmarcie –

sprzęt ogródkowy, narzędzia, wyposażenie samochodu. Jeden z ćpunów na odwyku powiedział mi, że był u kobiety, która handlowała artykułami dziecięcymi w pełnym asortymencie.

– Miała sypialnię, w której można było zaopatrzyć się jak w sklepie. W jednym kącie pieluszki, obok mleko w proszku i odżywki, ubranka w komodzie, zupełnie jak na wystawie sklepowej – wspominał. – Były też pudła z wysokimi krzesełkami i wózkami spacerowymi. Albo sama chodziła do Walmartu kraść to wszystko, albo najmowała ludzi, którzy robili to na jej zlecenie.

Przez długi czas w Walmarcie przy zwrocie towarów nie trzeba było okazywać paragonów. Wszystko, co się ukradło, można było zwrócić w zamian za kartę podarunkową opiewającą na kwotę równą cenie zwracanego artykułu. Dilerzy skupowali je za mniej więcej pół ceny, płacąc tabletkami. Wartą pięćset dolarów kartę upominkową Walmartu wymieniano na trzy osiemdziesięciomiligramowe OxyContiny, które diler nabył za kilka dolarów, korzystając z przekrętu z kartą Medicaid. Powszechny obrót kartami Walmartu pozwalał armii mieszkających w Portsmouth handlarzy prochami zaopatrywać swe gospodarstwa domowe w artykuły pierwszej potrzeby.

Ponadto okazało się, że można zarobić także na samych paragonach sklepowych. Ćpuny przeczesywały przysklepowe parkingi w poszukiwaniu kwitków wyrzuconych przez klientów. Potem kradli wyszczególnione na nich produkty i okazywali paragon przy wyjściu. Następnie zwracali tak zdobyte artykuły, okazując przy tym znaleziony paragon, i odbierali za nie pieniądze.

Wśród całego tego szaleństwa dzieci mieszkających w Portsmouth przedsiębiorców, synowie i córki szeryfów, lekarzy i prawników swoją przyszłość widziały w OxyContinie. Niektórzy uważali prochy za oddolną odpowiedź na zapaść gospodarczą, co przypominało sposób, w jaki ubodzy meksykańscy wieśniacy postrzegali handel narkotykami. Dilerzy, którzy nie byli w stanie znaleźć legalnej pracy w chylącym się ku upadkowi mieście, prowadzili barter tabletkami, by zdobyć środki na życie i nakarmić dzieci. Niektórzy odnawiali swoje rozpadające się domy. Inni kupowali samochody lub furgonetki.

– Jeszcze przed sześcioma miesiącami dzieciaki szły do szkoły w rozpadających się butach – wspominała Mary Ann. – Teraz miały zupełnie nowe, co uważaliśmy za osiągnięcie. Przed naszymi rodzicami rozpościerały się kiedyś duże możliwości. Portsmouth przeżywało wtedy rozkwit, była sieć autobusowa i trolejbusowa,

a miejsca pracy nie znikały. Wychowywano nas w poczuciu dumy z samych siebie. Kiedy jednak zderzyliśmy się z rzeczywistością, nie było w niej żadnego powodu do chwały. Nie potrafiliśmy pomóc naszemu miastu. Kiedy zatem znaleźliśmy na to sposób, zrobiliśmy to po swojemu, co oczywiście obróciło się przeciwko nam wszystkim.

Na południu w Xalisco w stanie Nayarit czarna smoła pozwalała rolnikom uprawiającym trzcinę cukrową zyskać status lokalnych kupców. W Portsmouth pochodzący z klasy średniej lekomani dokonywali wyborów, które zepchnęły ich na margines społeczny. Kończyli edukację na poziomie szkoły średniej. Dochowywali się dzieci w zbyt młodym wieku, a gdy te się pojawiały, nie mieli ślubu. Wkrótce lądowali na ulicy, parchaci i bez grosza przy duszy.

Jednak kiedy pokolenie młodzieży marniało w postindustrialnym Portsmouth, ich rodzice nie byli w stanie nie dawać im drobnych na to, by ruszyli szukać pracy, której przecież nie było. Nie potrafili zmusić się, by nie wpłacać za nich kaucji lub nie opłacać ich rachunków za prąd.

Kiedy część z tych dzieciaków zaczęła umierać, zawstydzeni rodzice opowiadali sąsiadom, że syn miał zawał serca lub córka zmarła od obrażeń poniesionych w wypadku drogowym.

Zajęło całą dekadę, nim pewna matka z Portsmouth zdobyła się na zerwanie maski pozorów, stając się pierwszą osobą w stanie Ohio, która otwarcie powiedziała, że to prochy zabiły jej córkę.

Sprawa karna

Południowa Wirginia

W sierpniu 2001 roku – mniej więcej wtedy, gdy Jaymie Mai odkrywała, jak wielu waszyngtońskich robotników umiera wskutek przedawkowania środków przeciwbólowych, a po regionie appalaskim krążyły raporty na temat szerzącego się nadużywania OxyContinu – John Brownlee objął stanowisko prokuratora federalnego dla zachodniego okręgu stanu Wirginia.

Jego biuro było niewielkie i zatrudniało zaledwie dwudziestu czterech prokuratorów. Znajdowało się jednak blisko wzbierającej właśnie burzy opiatowej.

Brownlee pochodził z rodziny na wskroś republikańskiej. Jego ojciec był niegdyś sekretarzem armii. On sam pozostawał w rezerwie i jako rezerwista właśnie pełnił funkcję prokuratora federalnego. Wymieniano go jako ewentualnego kandydata na urząd gubernatora stanu Wirginia lub stanowego prokuratora generalnego.

Po latach, gdy miał prywatną praktykę, a możliwości awansu nie były już rozpatrywane, odbyłem z nim dość długą rozmowę telefoniczną.

Na lata, kiedy pełnił urząd prokuratora federalnego, przypadła obserwowana w Kentucky, Wirginii Zachodniej, Ohio i południowej Wirginii fala zgonów wskutek przedawkowania opiatów. Prokuratorzy z innych okręgów stawiali w stan oskarżenia cieszących się złą sławą lekarzy prowadzących fabryki prochów, w tym Davida Proctera. Biuro kierowane przez Brownlee’ego dołączyło do boju z kontrowersyjnym oskarżeniem wysuniętym przeciwko Cecilowi Knoxowi z Roanoke, który w aktach stanowych figurował jako lekarz wypisujący mnóstwo recept na OxyContin.

Jak wspomina Brownlee, postanowił wówczas spojrzeć na to, co się dzieje, z szerszej perspektywy.

– Przyjrzeliśmy się sytuacji i postanowiliśmy zwrócić uwagę na firmę sprzedającą ten lek – wspominał.

Zażądali wglądu do wszystkich sporządzonych przez Purdue dokumentów dotyczących promowania OxyContinu. Składały się na nie miliony stron i e-maili. Urzędnicy federalni praktycznie zamieszkali w sali konferencyjnej znajdującej się

na piętrze centrali Purdue w Stamford w stanie Connecticut i miesiącami kopiowali akta.

Według Brownlee'ego dokumenty pokazały, jak firma szkoliła sprzedawców w zachwalaniu OxyContinu jako nieuzależniającego i niewywołującego symptomów głodu. Tak uspokojeni lekarze mogli odnieść wrażenie, że można go podawać na wiele rodzajów bólu, unikając zarazem negatywnych skutków ubocznych.

– Jednym z napotkanych dowodów były tak zwane notatki z rozmowy. Firma opracowała procedurę, w ramach której sprzedawca odwiedzał lekarza, a po zakończeniu spotkania podsumowywał, o czym była mowa. Następnie zapiski te trafiały do działającego przy centrali banku informacji. Gdy się w tym zorientowaliśmy, zaczynaliśmy dostrzegać zarys wzorca postępowania. Czy to była robota kilku działających na własną rękę sukinkotów, czy może jednolita polityka korporacyjna? Stało się jasne, że nie była to tylko sprawka paru zimnych drani. Szkolono przedstawicieli handlowych, by promowali lek w sposób, który po prostu nie był właściwy. To był jeden z najlepszych dowodów na świadome i nielegalne wprowadzenie w błąd odbiorcy produktu.

– Istniał bardzo wysoki procent przedstawicieli handlowych wysuwających takie twierdzenia. Czyniono to we wszystkich pięćdziesięciu stanach. To sytuacja, w której dopuszczono się przewiny korporacyjnej.

Pod koniec 2006 roku John Brownlee gotów był wnieść przeciwko producentowi OxyContinu, firmie Purdue Pharma, oskarżenie o niewłaściwe oznakowanie produktu.

„Przejęli pas oxycontinowy”

Columbus, Ohio

Zapomnij, że masz dzieci.

Radę tę otrzymał nielegalny imigrant Mario od swego nowego szefa z Xalisco. Przygotowywał się do krótkiej – jak się później okazało – kariery dyspozytora pracującego w komórce handlującej czarną smołą w Columbus w stanie Ohio. To było kilka lat po tym, jak Gość wprowadził do miasta ten rodzaj heroiny.

– Zapomnij o tym, że ludzie mogą zrobić twoim dzieciom to, co ty robisz dzieciom innych – poradził mu pewnego dnia w restauracji jego szef. – Inaczej nie będziesz mógł zasnąć. No i nie pozwól, by twoi klienci umarli. Dbaj o nich. To od nich masz pieniądze.

Mario przez kilka lat pracował jako mechanik w Portland w stanie Ohio. Wielu z jego ówczesnych klientów było operującymi w mieście dilerami heroiny. Pochodzili z Xalisco w stanie Nayarit lub okolicznych wiosek. Sprzedawał im po dwa, trzy samochody tygodniowo. Oferowali mu zatrudnienie w ich sieci, ale początkowo im odmawiał. Potem jednak dopadła go plaga problemów finansowych i zmienił zdanie. Tak oto pewnego letniego dnia przyjął propozycję pracy dla człowieka z Xalisco, którego nazywał swoim szefem, i następnie razem pojechali do Columbus.

– Mówiłem trochę po angielsku – opowiadał mi. – Byłem czysty. Miałem papiery i na tyle dobrą historię kredytową, by móc wynająć mieszkanie. Tak też zrobiłem, a oni płacili czynsz.

Zarabiał pięćset dolarów tygodniowo jako dyspozytor odbierający zlecenia telefoniczne od grupy klientów. Odnotowana przez sieć wartość sprzedaży wzrosła do ponad dwóch tysięcy dolarów dziennie. Szef wrócił do Nayaritu, gdzie czekały pieniądze wysyłane mu przez pracowników. Co rano Mario budził się w pustym mieszkaniu, odbierał telefony i przez cały dzień instruował kierowców, gdzie mają jechać, choć rzadko spotykał się z nimi na gruncie towarzyskim. Nienawidził narkomanów, ale mógł trzymać się z dala od skutków tego, co sprzedawał.

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś robił sobie zastrzyk – opowiadał. – Nie widziałem też ludzi chorych od braku towaru. Nie wiedziałem w ogóle, że ktoś od

tego chorował albo umierał. Gdybym wiedział, rzuciłbym to.

Narkotyki przysyłano regularnie z Nayaritu. Nie przyjeżdżały na pakach ciężarówek, jak to sobie wyobrażał i oglądał w telewizji. Przewozili je kurierzy przenoszący przez granicę po kilogramie towaru lub dwóch. Mrówki, pomyślał sobie. Jego szef wysyłał heroinę z Nayaritu do kalifornijskiej Pomony, gdzie była dzielona na porcje i wysyłana w mniejszych ilościach do Columbus i innych miast. Szef najmował ludzi z Xalisco, których rodziny znał, więc miał pewność, że sieć będzie przesyłać mu co miesiąc zyski. Sam zresztą pracował kiedyś w innej komórce, a potem założył własną. Znał też wszystkich dilerów i kierowców w Columbus. Mario wypuszczał się z nim do Nashville i Charlotte, by dogadać się z innymi sieciami odnośnie do dostaw.

Mario pracował jako dyspozytor kierowców przez cztery miesiące, aż pewnego dnia policja zrobiła nalot, a on sam trafił za kratki.

– W Nayaricie nie było kartelu – wyjaśniał. – To były jednostki pracujące na własny rachunek, takie mikroprzedsiębiorstwa. Zawsze szukali miejsc, skąd można ściągnąć więcej pieniędzy i gdzie nie będą mieli konkurencji. To są setki małych sieci. Każdy może zostać szefem swojej własnej.

Z tego powodu w połowie pierwszej dekady XXI wieku Chłopakom z Xalisco udawało się unikać w zasadzie wszystkich miast, jakie Amerykanie tradycyjnie kojarzą z heroiną. Żaden z nich nie zaryzykował rozpoczęcia działalności w Baltimore, Filadelfii czy Detroit. Ani jeden chłopak z uprawiającego trzcinę cukrową gospodarstwa rolnego w Nayaricie nie miał zamiaru wdawać się w strzelaniny z uzbrojonymi nowojorskimi gangami heroinowymi. Zresztą nie musiał. Średniej wielkości obszary miejskie zapewniały rzeszę nowych, młodych klientów i brak budzących niepokój gangów lub mafii. Ranczerskie korzenie Chłopaków z Xalisco i bezkonkurencyjny system sprzedaży detalicznej zaprowadziły ich do regionów, które cechowały się najsłabszym oporem wobec heroiny, a zarazem były na nią najbardziej podatne, gdyż praktyka przepisywania legalnych opiatowych środków przeciwbólowych zdążyła już tam zapuścić korzenie.

– Pojawili się i przejęli pas oxycontinowy w Stanach Zjednoczonych – przyznał jeden z poznanych przeze mnie gliniarzy.

W rzeczywistości Chłopaki z Xalisco nie były jedynymi dilerami heroiny w kraju. W Detroit, Baltimore, Filadelfii i Nowym Jorku istniały gangi

narkotykowe, które od lat kontrolowały rynek. Nie byli też jedynymi Meksykanami handlującymi czarną smołą. Południowa Kalifornia znajdowała się pod kontrolą handlarzy z Tierra Caliente, wilgotnego i znanego z przemocy obszaru w środkowo-zachodnim Meksyku. Żaden z Chłopaków z Xalisco nie postawił tam stopy. Sinaloańczycy zdominowali rynki w Chicago i Atlancie, dwóch dużych centrach dystrybucyjnych. Chłopaki zupełnie nie miały zamiaru się tam pojawiać.

Wszystkie te gangi miały skłonność do stosowania przemocy i używania broni. Według mnie to czyniło je niemal *passé* – jak to było z rewolwerowcami z Dzikiego Zachodu. Żaden z nich nie kontrolował całości procesu, począwszy od produkcji narkotyku w Meksyku, aż po sprzedaż towaru w ważących jedną dziesiątą grama działkach na ulicach miast rozsianych po terytorium Stanów Zjednoczonych. Natomiast Chłopakom z Xalisco udało się tego dokonać. Byli handlarzami narkotyków z nowej ery, w której króluje marketing, a ludzie są chodzącymi markami.

Firma Purdue promowała OxyContin jako praktyczne rozwiązanie dla pacjentów cierpiących na zakłócające życie codzienne bóle chroniczne. Chłopaki z Xalisco z kolei tak reklamowały swój system – bezpieczne i pewne źródło balonów z heroiną o standardowej wadze i mocy. Praktyczne i codzienne rozwiązanie dla osób uzależnionych – warto od niego zacząć i warto przy nim pozostać.

Podobnie do Purdue i zupełnie inaczej niż tradycyjni dilerzy heroiny Chłopaki z Xalisco nie siedziały na tyłkach, czekając, aż przyjdą do nich klienci. Przeciwnie, przejawiały wzmożoną aktywność w zdobywaniu nowej klienteli, stosując w tym celu wabiki i zniżki. Po zakupie dzwoniły do swoich stałych klientów i przeprowadzały coś na kształt badania dotyczącego zadowolenia konsumenckiego: „Czy towar był dobry? Czy dostawca był miły?”. Kierowcy jeździli po mieście i sprzedawali baloniki za piętnaście dolarów. Ćpunom wydawało się, że nauczyły się rozgrywać między sobą poszczególne zespoły: „Ten drugi daje mi za sto dolarów siedem balonów, ty dajesz mi tylko sześć”. W efekcie jednak komórki nie tylko utrzymywały klienta, ale także motywowały go do przyprowadzania nowych, bo dzięki temu mógł on liczyć na uzyskanie jeszcze większego rabatu.

Z kolei handlarze z Xalisco nieustannie kontrolowali dobrych klientów pod kątem tego, czy aby nie mają zamiaru odstawić heroiny. Jeśli pojawiła się taka możliwość, dzwonili do nich i po chwili zjawiał się kierowca z darmową działką.

Jeden z narkomanów z Albuquerque opowiedział mi taką oto historię. Pewnego dnia zadzwonił do dilera, którego miał za swojego kumpla, by powiedzieć mu, że chce iść na odwyk. Ten odpowiedział mu, że to świetny pomysł, bo heroina go zabija. Nie minęła godzina, a u drzwi mego rozmówcy stał tenże diler z darmową działką towaru.

– Skoro chcesz z tym skończyć – powiedział handlarz – to mam dla ciebie prezent pożegnalny. To taka podzięka za współpracę.

O zerwaniu z nałogiem nie było już mowy.

Spotkana w Columbus kobieta powiedziała mi, że gdy wyszła z więzienia, jej diler powitał ją w domu z awaryjnym pakietem kilku balonów ze smolistą heroiną, by znowu zaczęła brać.

Jedynie co bystrzejsi handlarze z Xalisco zdawali sobie sprawę, że dużą część swego sukcesu zawdzięczają opiatom przepisywanym na receptę. Niewielu bowiem słyszało o OxyContinie – większość z tych, z którymi rozmawiałem, nic o nim nie wiedziała. Byli całkowicie nieświadomi jego obecności na rynku. Zupełnie nie znali historii heroiny w Stanach. Nie zdawali sobie też sprawy, co przywiodło ich klientów do brania narkotyku. Co było powodem tego, że sprzedawali swój towar historycznie nowej klienteli, odnośnie do której nikt się nie spodziewał, iż sięgnie po heroinę. Skąd zresztą mieli to wiedzieć? Nie mówili po angielsku, a kiedy nie jeździli po mieście, zaszywali się w swoich spartańsko urządzonych mieszkaniach. Nie mieli więc żadnego wyczucia sytuacji panującej w Stanach Zjednoczonych. Nie byli socjologami. Większość nie przejawiała najmniejszej ochoty, by porozmawiać ze swymi klientami o tym, jak ci zaczęli brać. Im krócej się z nimi zadawali, tym lepiej. Byli artystami jednego sezonu. Towar schodził im dobrze i nie obchodziło ich dlaczego.

Niemniej za odniesionym przez Chłopaków z Xalisco sukcesem stały wypracowany przez nich system dostaw i prowadzony z zimną krwią marketing, na co nałożyło się pojawienie się olbrzymiej i dalej rosnącej populacji osób świeżo uzależnionych od prochów. W pierwszej dekadzie XXI wieku ci młodzi ludzie z *ranchos* leżących w liczącej zaledwie czterdzieści pięć tysięcy mieszkańców gminie, której większość Amerykanów nawet nie potrafiłaby znaleźć na mapie, stworzyli najsprawniejszą w Stanach Zjednoczonych konfederację dilerów heroiny, agresywnie szukających nowych rynków zbytu – zaopatrywali w towar przynajmniej siedemnaście stanów, w tym również miejsca zupełnie

niespodziewane, gdzie przed ich pojawieniem się heroina była całkowicie nieznana.

Pełnia wygody

Charlotte, Karolina Północna

Niewiele jest w Stanach Zjednoczonych miejsc, które bardziej skorzystały z boomu gospodarczego połowy lat dziewięćdziesiątych niż Charlotte w stanie Karolina Północna. Ten obejmujący sobą także część północnej Karoliny Południowej obszar metropolitalny w latach 2000–2010 rozwijał się szybciej niż jakikolwiek inny.

W 1998 roku NationsBank of Charlotte został kupiony przez Bank of America. W ten sposób Charlotte stało się jego centralą. Do miasta napłynęli też nowojorscy emeryci, dzięki czemu mieszkańcy dowiedzieli się, czym jest bajgiel. Pojawiło się również sześć z pięciuset największych firm amerykańskich wyszczególnionych na liście Fortune 500, podobnie jak franczyzy NBA i NFL. Zmieniła się sylweta miasta. W obszarze metropolitalnym Charlotte działa niemal pięćdziesiąt klubów golfowych i podmiejskich ekskluzywnych ośrodków rekreacyjno-sportowych. Na południowym krańcu miasta osiedlili się lepiej sytuowani przybysze, którzy przekształcili pastwiska w bezładne skupiska koszmarnie drogich i równie szkaradnych rezydencji poprzetykanych centrami handlowymi, co zajęło im mniej niż jedno pokolenie.

Za pracą przybyli także latynoscy imigranci. Przyciągnięci do stanu słynącego z rolnictwa i rzeźni, zaludnili nieco podupadłe miasteczka w wiejskich obszarach Karoliny Północnej, a potem w poszukiwaniu bardziej stabilnego zatrudnienia ruszyli do Charlotte, gdzie społeczność Latynosów rosła szybciej niż w jakimkolwiek innym mieście Stanów. Tak jak gdzie indziej w Ameryce wraz z rewolucją w podejściu do bólu wzrosła konsumpcja środków przeciwbólowych na receptę, co oznaczało, że w miarę upływu czasu zwiększała się również populacja osób uzależnionych od opiatów. Przez lata jedyną dostępną w mieście heroinę w proszku sprowadzano z Nowego Jorku. Była niezmiennie słaba i sprzedawali ją wyłącznie czarni młodzi mężczyźni na kilku ulicach w pobliżu położonej w północnej części miasta alei Statesville. Ich klientela ograniczała się do niewielkiej liczby narkomanów mieszkających na terytorium obszaru metropolitalnego.

To w Statesville na początku lat dziewięćdziesiątych Brent Foushee odbywał swoje szkolenie jako młody funkcjonariusz wydziału antynarkotykowego.

Wcześniej spędził dwa letnie sezony na sprzedawaniu Biblii w Missisipi i górniczych rejonach wschodniego Kentucky. Jak potem wyznał, było to zajęcie mające negatywny wpływ na rozwój człowieka. Odczuwał do niego wstręt. Sprzedając nową wersję Biblii króla Jakuba, musiał na tyle często wysłuchiwać kazań wygłaszanych przez zielonoświątkowców, którzy byli święcie przekonani o wyższości tekstu oryginalnego, aż ostatecznie uznał, że ta nowa wersja to jednak herezja.

Mieszkał na kempingu w położonej w górniczej części Kentucky miejscowości Pikeville. Foushee uważał ją za zapadłą dziurę. Za sąsiada miał właściciela kopalni węgla, który się ukrywał, ponieważ pracujący u niego górnicy zorganizowali strajk, a on zatrudnił na ich miejsce ludzi nienależących do związku zawodowego.

Foushee doszedł później do przekonania, że to właśnie tam, podczas sprzedaży Biblii, zaczęło się jego szkolenie na funkcjonariusza wydziału antynarkotykowego. Z natury introwertyk, wielokrotnie musiał się przełamać, by zapukać do drzwi domów nieznanych sobie osób i z nimi porozmawiać.

Lata później rozpoczął służbę w policji w Charlotte. Dość szybko sierżant z wydziału antynarkotykowego rozkazał mu dokonać zakupu kontrolowanego heroiny na ulicy niedaleko alei Statesville. Pikanterii temu poleceniu dodawało to, że zaledwie trzy tygodnie wcześniej patrolował tę okolicę w mundurze.

– Poznają, że jestem gliniarzem – powiedział.

– Gdzie tam, spokojnie – odpowiedział sierżant. – Wszystko będzie w porządku.

Tego samego popołudnia szedł ulicą po cywilnemu, z nieco dłuższymi i zaniedbanymi włosami. Rozległy się alarmowe gwizdy i krzyki.

– Pięć, o! Pięć, o! – dilerzy wykrzykiwali uliczny kod oznaczający pojawienie się policjanta.

Foushee podszedł do dilera, starając się, na ile tylko mógł, wyglądać na lekko nastukanego ćpuna.

– Potrzebuję towaru – zagadał.

– Chłopie, jesteś gliną – odpowiedział handlarz.

– Nie, człowieku, nie jestem gliną. Jestem na głodzie. Potrzebuję nieco.

– Jesteś gliną, skurwielu.

– Nie jestem.

– No to kim?

Diler wskazał na lasek oddalony o jakieś pięćdziesiąt metrów i na partnera Foushee'ego, wielkiego faceta próbującego ukryć się za skromnym drzewkiem.

– Chłopie, to mój pieprzony brat! Gapi się, bo się boi, że wszystko od razu wezmę. To co, człowieku, sprzedajesz czy nie?

Oczywiście diler sprzedał mu herę.

W kółko nadawać – jak sprzedawca, to była nauczka. Dopóki gadasz, dopóty żyjesz. Gadanie było dla tajniaka wielkim darem i z czasem Foushee nauczył się polegać na nim w trudnych chwilach. Później pomyślał sobie, że dzieciak nie był taki głupi. Chciał, żeby go przekonać, pozwalając przy tym, by chciwość wzięła w nim górę nad chłodną kalkulacją. Uliczni dilerzy zarabiali na każdej sprzedanej działce i dlatego gdzieś tam, w środku, chcieli, by ich przekonano. Wystarczyło odpowiednio długo i desperacko nawijać, a zwykle urabiało się ich na tyle, by się to udało. Rozmawianie i przekonywanie ludzi z zachowaniem trzeźwego umysłu było umiejętnością, którą Foushee nabył jeszcze jako akwizytor Biblii.

Jednak zauważył, że bardzo niewiele z tego, czego się nauczył podczas sprzedawania Pisma Świętego i kupowania towaru na ulicy, dawało się zastosować po tym, jak do Charlotte zawitały Chłopaki z Xalisco. Od czasu pierwszego pobytu Gościa zdążyły już rozpełznąć się po całym mieście. Foushee obserwował, jak heroina stawała się tańsza, mocniejsza i łatwiej dostępna. Rynek dla hery ze Statesville zdecydowanie się skurczył. W przeciwieństwie do dilerów z okolic Statesville Meksykanie jeździli samochodami. Nawet jeśli znało się hiszpański, a Foushee nie znał, nie dało się z nimi porozmawiać, bo znikali natychmiast po trwającej kilka sekund transakcji.

Przed nastaniem Chłopaków z Xalisco miejscowe władze policyjne zabraniały tajniakom wsiadania do samochodu dilera w pojedynkę. Meksykanie jednak nigdy nie sprzedawali towaru na zewnątrz swych aut. Tak więc pewnego dnia Foushee zadzwonił pod wskazany numer. Powiedziano mu, by zaparkował przy centrum handlowym. Wkrótce potem minął go niewielki, czerwony, czterodrzwiowy samochód z Latynosem za kierownicą. Kierowca uniósł porozumiewawczo brew. Foushee ruszył za nim.

Wjechali do dzielnicy mieszkalnej i po kilku ulicach czerwony samochód się zatrzymał. Foushee podał swojej obstawie lokalizację i podszedł do okna kierowcy. Samochód był nieskazitelnie czysty. W świecie heroiny większość wozów była w środku niemożebnie zaśmiecona pleśniejącym jedzeniem, zgniecionymi paczkami po papierosach i brudnymi ubraniami. Tym razem auto miało wprawdzie

swoje lata, ale nie było w nim śladu śmieci. Foushee wręczył dilerowi sześćdziesiąt dolarów, a ten wypluł sobie na rękę trzy baloniki, które następnie mu podał i odjechał. Policjant został na ulicy sam z trzema obślinionymi balonikami w dłoni i wodząc wzrokiem za znikającym samochodem, poczuł, że jest świadkiem rewolucji. Po jakimś czasie obronił na wydziale prawa pracę magisterską o opracowanym przez Chłopaków z Xalisco systemie dystrybucji heroiny.

Wkrótce zatrzymywanie kierowców okazało się banalnie proste. Nie dało się jednak wyplenić działających w mieście komórek. Orzekane w Karolinie Północnej wyroki za handel heroiną, które wahały się od siedmiu do dwudziestu lat więzienia, przynosiły mizerny skutek.

To zaś szczególnie dręczyło Sheenę Gatehouse, która została szefową komórki antynarkotykowej w biurze prokuratora okręgowego w hrabstwie Mecklenburg właśnie wtedy, gdy Chłopaki z Xalisco zaczynały obejmować swoją działalnością coraz większe terytorium. Gatehouse dołączyła do biura tuż po ukończeniu studiów prawniczych. Pierwsze lata pracy spędziła na oskarżaniu przy wykroczeniach i sprawach dotyczących posiadania lub sprzedaży niewielkich ilości narkotyków, głównie marihuany. Po jakimś czasie odeszła, została obrończynią i uczestniczyła w pierwszej w regionie sprawie dotyczącej nadużywania OxyContinu – jej klientami były wtedy dzieci lekarzy. W 2009 roku wróciła do prokuratury.

Większość spraw dotyczyła czarnej smoły. Chłopaki z Xalisco były niepowstrzymane, co w pewnej mierze zawdzięczały temu, że swoich pracowników – kierowców – traktowały jak produkty jednorazowego użytku. Szefowie niezbyt dbali o to, ilu z nich trafi za kratki. Zawsze przysyłali kolejnych.

Tymczasem w Charlotte ludzie przedawkowywali i umierali. Biuro Gatehouse wprowadziło żelazną zasadę – żadnej pobłażliwości w sprawach związanych z heroiną. Często zapadały wyroki dwudziestu lat więzienia. Niemniej nie wpłynęło to na funkcjonowanie systemu z Xalisco lub popularność sprzedawanej w jego ramach heroiny. Jej cena wciąż spadała. Na początku za sto dolarów można było kupić pięć balonów zawierających jedną dziesiątą grama heroiny każdy, potem już dziesięć. Ostatecznie w 2011 roku w Charlotte, mieście jeszcze kilka lat wcześniej praktycznie wolnym od tego narkotyku, dało się za tę kwotę nabyć piętnaście balonów bardzo mocnej czarnej smoły – sześć i pół dolara za działkę, mniej więcej tyle samo co za paczkę Marlboro.

Jeden z dokonanych w 2012 roku nalotów wzbudził w niej zastrzeżenia co do przyjętej metody działania. Policjanci spędzili kilka miesięcy na zakupach

kontrolowanych dokonywanych u ludzi z Xalisco. W śledztwo zaangażowanych było ponad dziesięciu funkcjonariuszy. Na koniec zatrzymali kierowców i dyspozytora. Zwinięto też kilku narkomanów, przejmując ich telefony, które trzy dni później zaczęły dzwonić – odzywali się dilerzy z Xalisco z informacją, że interes na nowo się kręci, bo sprowadzono z Meksyku nowych kierowców. Nie zdążono nawet porządnie zająć się materiałem dowodowym pozyskanym w trakcie nalotu, a komórka handlująca heroiną na nowo działała.

Na ile Gatehouse mogła się zorientować, kierowcy nie wyglądali na bezwzględnych oprychów. To byli młodzi ludzie ze wsi, którzy sprzedając czarną smołę, chcieli zapewnić sobie lepszą przyszłość. Zaczęła na nowo analizować sensowność zasady braku pobłażliwości. Szkody, jakie wyrabiali, z pewnością ją usprawiedliwiały. Jednak jak sama przyznawała: „Wysyłaliśmy młodych wieśniaków do więzienia na dwadzieścia lat i nic to nie zmieniało”.

Coraz więcej dzieciaków z Meksyku domagało się szansy zastąpienia tych już aresztowanych. Co gorsza, każdy nalot wydawał się otwierać przestrzeń dla większej liczby załóg. I tak w miejsce jednej rozbitej komórki potrafiły pojawić się dwie. Wraz z nasileniem się konkurencji narkomani mieli coraz dłuższą listę numerów, pod które mogli zadzwonić, więc jakość usług oferowanych przez Chłopaków z Xalisco wciąż się poprawiała.

Bob Martin z Centrum Medycznego Carolinas również dostrzegał zachodzącą zmianę. Ten były gliniarz z Nowego Jorku przyjechał do Charlotte w 1996 roku i został dyrektorem oddziału dla osób nadużywających substancji odurzających w CMC. Przez pierwsze lata pracy, ilekroć dowiadywał się o jakimś dużym nalocie, łapał się za głowę. Było jasne, że za chwilę jego łóżka zapełnią się ćpunami meldującymi się na miejscu, by przeczekać posuchę.

Jednak na początku pierwszej dekady XXI wieku sytuacja się zmieniła. Nawet jeśli policja zgarnęła kilkunastu dilerów heroiny z Xalisco, nie było u Martina żadnego napływu narkomanów. Nie było żadnej posuchy. Nalot nie miał najmniejszego wpływu na dostępność heroiny w okolicy.

– Nie ma znaczenia, ile zrobicie nalotów, w których przejmiecie choćby i milion dolarów – powiedział funkcjonariuszom. – Nie pozostawiają one u nas żadnych śladów.

Martin zaobserwował również pojawienie się całkowicie nowego gatunku ćpunów.

Połowa uzależnionych od opiatów pacjentów przebywających w CMC miała prywatne ubezpieczenie zdrowotne. Martin prześledził kody pocztowe ich miejsca zamieszkania i odkrył, że pochodzili z najbogatszych dzielnic miasta – Raintree, Quail Hollow, Mint Hill – tych samych, które jeszcze niedawno były pastwiskami. To tam znajdowało się dziewięć podmiejskich ekskluzywnych ośrodków rekreacyjno-sportowych i najlepsze w okolicy centra handlowe.

Wyglądało to tak, jakby goście z Xalisco zrobili badania rynkowe, dzięki którym mogli wytypować potencjalne nowe rynki zbytu dla sprzedawanej przez siebie heroiny. Ta sama myśl przyszła do głowy tajniakowi z Charlotte, znanemu pod imieniem Jaime. Pracował w wydziale antynarkotykowym miejscowej policji od 2007 roku i zajmował się głównie czarną smołą, którą setki razy kupował od dilerów z Xalisco.

Według Jaimego Chłopaki z Xalisco szukały miast, w których dzieciaki miały telefony komórkowe, pieniądze i samochody, gdzie funkcjonowała już duża grupa osób uzależnionych od dostępnych na receptę środków przeciwbólowych. Kiedyś dilerzy w swych kontaktach ze zdesperowanymi ćpunami posuwali się niemal do sadyzmu, każąc im na siebie czekać i ubliżając, gdy już w końcu łaskawie raczyli się pojawić. Sytuacja zmieniła się w 2009 roku. Po dokonanych przez Jaimego zakupach szefowie komórek dzwonili z pytaniami: „Czy został dobrze obsłużony? Czy kierowca był miły?”. Pewnego razu dostał nawet telefon z przeprosinami za spóźniony przyjazd dilera. Szef powiedział mu, że ma wielu klientów, ale zadba o to, by jego ludzie byli bardziej punktualni.

Po kolejnym zakupie telefon znów zadzwonił.

– Słyszeliśmy od innych, że ta partia nie jest aż tak dobra – usłyszał głos mówiący łamaną angielszczyzną. – Co o tym sądzisz? Jeśli towar był niedobry, to powiem gościom, od których go bierzemy, że już go więcej nie chcemy.

Jaime nie miał innego wyboru, jak wejść w tę grę.

– Oj, stary, to było gówno. Beznadzieja.

– Jakoś ci to wynagrodzimy.

Podczas kolejnego zakupu diler przeprosił go i dał mu darmowy balonik. Jaime przypisał zmianę w zachowaniu rywalizacji panującej między poszczególnymi ekipami operującymi w Charlotte. Zwierzchnicy w Xalisco wprowadzali metody kontroli jakości stosowane w firmach znajdujących się na liście Fortune 500. Według niego świadczone przez dilerów usługi były lepsze niż te oferowane przez wielu legalnie działających detalistów.

Mimo że zapasy heroiny wydawały się niewyczerpane, a ćpuny były wszędzie, Jaime nie zaobserwował w Charlotte żadnych przejawów oburzenia. Rozmawiał z rodzicami wielu narkomanów i w chwili, gdy wypowiadał słowo „heroina", ich myśli jakby zamarzały. Nie docierało do nich, że ich dzieci biorą heroinę. Dla każdego podejrzanego zachowania mieli gotowe wytłumaczenie. Czy znaleźli w domu nadpalone kawałki folii aluminiowej? Pewnie palił kadzidełka. Czy bywało, że mamrotał? Miał grypę. Czy dostawał coraz gorsze oceny w szkole? Przechodził trudny okres.

Jaime porozmawiał z członkami Koalicji Wolni od Narkotyków, ale okazało się, że ta skupiała się na alkoholu i marihuanie.

– Nie – powiedział im. – To heroina jest prawdziwym problemem.

Wraz z Gatehouse spotkał się z dyrektorami najlepszych w mieście szkół prywatnych w nadziei, że rozpoczną lokalną krucjatę antynarkotykową. Nie udało się.

Pomimo coraz częstszych przypadków uzależnień żaden spośród dziesiątków rodziców, z którymi rozmawiał w Charlotte, nie zdobył się na ostrzeżenie szkół, kościołów czy mediów. Heroina niszczyła życie rodzin lekarzy, ministrów, szefów banków i prawników, ale ich członkowie uciekali przed tym tematem, dławieni zgryzotą i lękiem przed związaną z narkotykami stygmatyzacją. Śmierć syna ze strzykawką wbitą w ramię to nie jest dobry temat do rozmów w klubie golfowym. Kilku dziennikarzy poprosiło Jaimego o kontakt do rodziców, którzy stracili dzieci. Prosił tych ostatnich, by zabrali głos, opowiedzieli swoją historię i być może zapobiegli śmierci kolejnego dzieciaka. Nikt się nie zgodził.

Charlotte ogarnęła zmowa milczenia. Heroina przesączała się przez miasto i jego leżące w Karolinie Południowej przedmieścia, a walczyło z nią zaledwie kilku gliniarzy, prokuratorów i pracowników publicznej służby zdrowia.

Jaime zaczął spoglądać na to filozoficznie. Opium było towarem, którym handlowano w wielu cywilizacjach, począwszy od imperium Aleksandra Macedońskiego, aż po Chińczyków, Turków i Afgańczyków, sięgając Złotego Trójkąta wraz z Mjanmą i Laosem. Przez trzy tysiąclecia uważano je za lekarstwo, które przekształciło się w upragnioną przez żołnierzy morfinę, by później ulec transformacji w heroinę, którą uliczni handlarze wypromowali i rozpowszechnili wśród mieszkańców miast.

Teraz w lśniącym, dwudziestopierwszowiecznym Charlotte klientami nie były już wyrzutki społeczeństwa amerykańskiego. To nie byli Portorykańczycy

w zalanej deszczem ciemnej uliczce Hiszpańskiego Harlemu, gangsterzy ze wschodniego Los Angeles czy jacyś jazzowi akolici Charliego Parkera. Wielu z ówczesnych konsumentów było beneficjentami najbogatszego państwa w historii świata. To białe dzieciaki żyjące w domach przy krętych ulicach, z garażami pełnymi skuterów wodnych i lśniących SUV-ów, z sypialniami wyposażonymi w każdy dostępny na rynku gadżet.

Jaime uświadomił sobie, że jedną z najważniejszych innowacji wprowadzonych przez Chłopaków z Xalisco było dostrzeżenie, że złota żyła w handlu heroiną przebiegała teraz przez takie właśnie dzielnice i że aby móc ją eksploatować, trzeba zapewnić klienteli wygodę. Nazywał to heroinowym zestawem Happy Meal z jego fastfoodowym marketingiem skierowanym do młodzieży.

– Chcemy tego, czego chcemy, jeśli tylko tego chcemy, a przez to mamy do tego prawo – mawiał. – Wobec tego narkotyku stosuje się taką samą [strategię] marketingową jak wobec każdego innego produktu. „Mam dla ciebie świetną heroinę w atrakcyjnej cenie. Nie musisz kręcić się po szemranych okolicach. Dostarczymy ci ją do rąk własnych”.

Według niego w kulturze domagającej się komfortu heroina oferowała pełnię wygody.

Wzbierająca fala przypływu

Olympia, Waszyngton

Jennifer Sabel miała wrażenie, że tonie.

Zimnym grudniowym wieczorem 2005 roku epidemiolożka stanu Waszyngton stała w sali hotelu Warwick w Seattle przed gronem piętnastu wybitnych lekarzy. Rok wcześniej odwiedzili ją Jaymie Mai i Gary Franklin ze stanowego oddziału agencji Labor and Industries z pytaniem, czy przypadki zgonów z powodu przedawkowania opiatów, które zauważyli wśród robotników będących na rencie, występują także w ogóle populacji stanu.

Sabel i jej zespół zebrali wszystkie akty zgonu oraz protokoły sekcji zwłok osób, które zmarły wskutek przyjmowania opiatów. Zadanie było złożone i polegało na rozpoznaniu potencjalnych przyczyn śmierci rok po roku, a następnie wystąpieniu do koronerów o przesłanie dokumentacji dla każdego przypadku z osobna. Teraz przedstawiała wyniki swojej pracy śmietance waszyngtońskich specjalistów od bólu. Utkwiła wzrok w slajdach i przemawiała.

– Odnotowaliśmy ogromny wzrost liczby zgonów wynikłych z przedawkowania opioidów – mówiła do ekranu.

Dwadzieścia cztery w 1995 roku. Jej wskaźnik unosił się coraz wyżej, podążając za linią na wykresie.

– Na 2004 rok przypada trzysta osiemdziesiąt sześć osób na cały stan – kontynuowała.

Szesnastokrotny wzrost.

Mówiła dalej, przedstawiając wybrane dla każdego roku szczegółowe przykłady. Na koniec Sabel odwróciła się w kierunku słuchaczy. Na sali panowała cisza. Wreszcie jeden z lekarzy powiedział, że to nie może być prawda. Inny dodał, że musiano popełnić jakiś błąd przy przetwarzaniu danych. Trzeci stwierdził, że akta zgonu są zbyt często niewiarygodne. Inni sceptycznie odnosili się do całości informacji przekazanych przez Sabel. Wszystko było jasne – kilku lekarzy obecnych na sali nie uwierzyło jej.

Zbierało jej się na mdłości, gdy próbowała bronić danych. Męczyła ją świadomość, że w tej sytuacji jest nowicjuszką.

– Co ja tu w ogóle robię? – pytała samą siebie. – Jakim cudem wpakowałam się w to wszystko?

Gary Franklin ruszył jej na pomoc.

– Dane te przypominają to, co znaleźliśmy w L&I, i uważam, że coś w tym jest – powiedział specjalistom.

Sabel siedziała w milczeniu.

– Ta grupa lekarzy – opowiadała mi, gdy spotkaliśmy się w 2013 roku – została przekonana przez firmy farmaceutyczne, że przepisywanie takich środków osobom cierpiącym na bóle chroniczne jest w porządku, gdyż istnieją badania pokazujące, że tylko nieliczni z nich wpadają w uzależnienie. Nie chcieli słuchać, że ludzie, którym je przepisują, mogą umrzeć. Byli przecież lekarzami i starali się pomagać innym.

Tamtego wieczora siedząca obok Sabel i słuchająca wypowiedzi zebranych Jaymie Mai także nie mogła uwierzyć własnym uszom. Minęły cztery lata od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyła dokumentację dotyczącą śmierci robotników przedawkowujących opiatowe środki przeciwbólowe, które zażywali na bóle w odcinku lędźwiowym kręgosłupa lub zespół cieśni kanału nadgarstka. Liczba tego rodzaju zgonów rosła z roku na rok. Sadzone przed domem róże zaczęły układać się w ornament, gdy borykając się z informacjami o coraz większej grupie umierających od opiatów pracowników, uporczywie starała się rozładować stres pielęgnowaniem ogródka.

Dane zebrane przez Sabel na szczeblu stanowym pokazywały istnienie wzbierającej w oddali fali przypływu. Mai zdawała sobie sprawę, że liczba zgonów spowodowanych przedawkowaniem znacząco przewyższała tę odnotowaną podczas crackowego szaleństwa z końca lat osiemdziesiątych, czy nawet tę z czasów, gdy heroina była ostatnio popularna, czyli w połowie lat siedemdziesiątych. Szła ona w parze z ilością opiatów przepisywanych na receptę. Nie były to prochy ukradzione podczas napadów na apteki. Skala problemu mogła być tylko pochodną nadmiernego ich przepisywania przez lekarzy.

– Nie potrafiliśmy uwierzyć w te liczby – opowiadała Mai. – To dotyczyło całego stanu i potencjalnie całego kraju. Po tym jak sobie to uświadomiliśmy, potrzeba nam było kilku dni, by się pozbierać. To olbrzymi problem, który będzie narastał, jeśli niczego nie zrobimy.

W L&I opracowano wytyczne dla lekarzy pierwszego kontaktu przepisujących tego typu środki. Jeśli lekarze mają pacjentów zażywających ponad sto dwadzieścia

miligramów leku dziennie i ból nie ustępuje, to przed ewentualnym zwiększeniem dawki powinni na jakiś czas przestać go przepisywać i zasięgnąć porady specjalisty od bólu. Instrukcja była prosta i wystarczająca, zwłaszcza z uwagi na wciąż pojawiające się nowe przypadki zgonów z przedawkowania. Stała jednak w sprzeczności z podstawową ideą przyświecającą rewolucji w podejściu do bólu – nie ma żadnych limitów w ilości opiatowych środków przeciwbólowych przepisywanych pacjentom. Zaproponowane przez Mai i Franklina wytyczne uczyniłyby z Waszyngtonu pierwszy stan, który choćby tylko zasugerował wprowadzenie kontroli nad ilością przepisywanych na receptę tabletek zawierających narkotyk. Gdyby zrobili to na własną rękę, z pewnością spadłaby na nich krytyka, że rząd wpada w przesadę, miesza się w pozostające poza jego kompetencjami kwestie medyczne i odbiera ludziom należne im prawa. Dlatego w tamten wieczór zebrali w hotelu Warwick czołowych stanowych specjalistów od bólu.

– Zapytaliśmy ich – wspominała Sabel. – To wasza specjalizacja. Przy jakiej dawce powiedzielibyście sobie: „Muszę się cofnąć i ponownie zdiagnozować pacjenta, bo ta terapia chyba nie działa?”.

Choć spotkanie w hotelu Warwick okazało się mało przyjemne dla Jennifer Sabel, przyniosło jednak pewien efekt. Podczas późniejszych rozmów specjaliści od bólu zasugerowali, by agencja L&I wystosowała skierowane do lekarzy wytyczne, w których proponowałaby wprowadzenie limitów w ilości przepisywanych leków, a ponadto uwrażliwiałaby na to, że nie każde nasilenie bólu powinno pociągać za sobą zwiększenie dawki.

Nim jeszcze instrukcja została opublikowana, Franklin otrzymał list od dwóch kierowników z Purdue Pharmy. Zaprotestowali przeciwko pomysłowi limitowania dawek opiatów.

„Ograniczanie osobom odczuwającym chroniczne bóle dostępu do opioidów nie jest żadnym rozwiązaniem”, napisali Lally Samuel i doktor J. David Haddox w liście z 2007 roku. Haddox to współautor koncepcji pseudouzależnienia. Wówczas pracował dla firmy farmaceutycznej, w imieniu której występował. Ich zdaniem jedno trzyletnie badanie z udziałem dwustu dziewiętnastu pacjentów z artretyzmem i bólami dolnych partii kręgosłupa przeprowadzone przez Russela Portenoya i siedmiu innych badaczy z Beth Israel wykazało, że bez problemu można przyjmować dwieście dziewięćdziesiąt trzy miligramy OxyContinu dziennie.

Martwiło ich, że pacjenci potrzebujący większej ilości opiatów „mogą spotkać się z niewystarczającą opieką medyczną, gdy oczekiwać będą na konsultacje ze specjalistami, jak to stanowią wytyczne”.

Niedługo potem lekarz ze Spokane Merle Janes podał do sądu L&I. Wspomagało go pięć kancelarii prawnych, z których cztery działały poza stanem Waszyngton. Jak utrzymywali w sądzie, wytyczne stanowiły przykład występującej w Waszyngtonie „ekstremalnej, antyopioidowej i dyskryminującej niechęci lub nadmiernej gorliwości znanej pod nazwą opiofobii, która ze swej strony kształtuje, przenika i w sposób zgubny wstrzymuje tak rozwój publicznej służby zdrowia, jak i zarządzanie tą sferą usług publicznych”.

I tak wytyczne L&I dotyczące wypisywania recept przez dwa lata wisiały w próżni. Dwudziestu pięciu robotników, którzy poszli z odniesionymi urazami do lekarza z ubezpieczalni, zmarło w 2008 roku wskutek przedawkowania opiatów. W 2009 roku takich przypadków było trzydzieści dwa.

Niemniej stan Waszyngton, L&I i spotkanie w hotelu Warwick dały asumpt do ponownego przemyślenia niemal nieograniczonego stosowania środków przeciwbólowych wydawanych na receptę – to było pierwsze przewartościowanie opinii od czasu, gdy stanowisko stojące u podstaw rewolucji w podejściu do bólu stało się obiegowym poglądem. Proces ten miał swoje źródło w prowadzonym przez Mai dochodzeniu w sprawie śmierci tych pierwszych robotników udokumentowanych w raportach z 2001 roku. Jej napisany wspólnie z Franklinem artykuł, a także badania Jennifer Sabel, które dotyczyły przypadków śmiertelnego przedawkowania leków w stanie Waszyngton, zaalarmowały z kolei Centrum Kontroli Chorób w Atlancie. Pracujący tam epidemiolodzy pochylili się nad wskaźnikami tego typu zgonów na szczeblu ogólnokrajowym. Przyjrzeli się również sprawie prowadzonej w stanie Ohio, gdzie kilka lat wcześniej handel czarną smołą nałożył się na agresywne przepisywanie środków przeciwbólowych i gdzie powstała pierwsza fabryka prochów.

Tymczasem w maju 2011 roku sędzia odrzucił pozew złożony przez doktora Janesa. W następnym roku Waszyngton wydał wytyczne dotyczące przepisywania leków przeciwbólowych, które zgodne były z propozycjami Franklina i Mai – był to pierwszy krok w kierunku ukrócenia powszechnej wśród lekarzy nadmiernej skłonności do wypisywania recept na opiaty. Waszyngtoński parlament uchylił również rodzące tyle problemów przepisy dotyczące trudnego w leczeniu bólu, które zezwalały na nieograniczone aplikowanie środków opiatowych.

Zadzwoniłem potem do doktora Janesa, by zapytać go o pozew i o to, skąd miał fundusze na pozyskanie pomocy tak licznych kancelarii prawnych. Telefon odebrała sekretarka, która oświadczyła, że z powodu „przeszkód, jakie stan stawia lekarzom”, wycofują się z przepisywania opiatów osobom odczuwającym ból. Doktor Janes nie oddzwonił do mnie.

Zielonoświątkowa pobożność, ślady po wkłuciu

Portland, Oregon

W 1906 roku z Los Angeles rozeszła się po świecie nagła fala odnowy religijnej. Z początku był to ruch Afroamerykanów, ale dość szybko przekroczył bariery rasowe. Swoją nazwę przejął od ulicy, przy której stał kościół, gdzie ruch znalazł swój początek. Przebudzenie przy Azusa Street to był punkt wyjścia dla gwałtownego rozwoju wyznania zielonoświątkowego. Wraz z nim przyszły gorliwe modlitwy, mówienie językami i wiara w osobiste odrodzenie Pana. Ruch odnowy rozprzestrzenił się w Stanach Zjednoczonych na wschód, docierając do Środkowego Zachodu i na Południe. W ciągu dekady sięgnął aż Nowego Jorku. Wśród jego wyznawców znalazło się wielu imigrantów z Rosji.

Potem wrócili oni do swojej ojczyzny, by tam krzewić nową wiarę. Działo się to właśnie wtedy, gdy komunistyczni rewolucjoniści zabrali się za obalanie caratu. Pionierscy zielonoświątkowcy nawrócili tysiące osób w Rosji, na Ukrainie i Białorusi. Wielu z nich władza sowiecka wysłała do gułagu, jednak ci, którzy uniknęli takiego losu, nie gasili ducha. Odprawiali całodzienne msze niedzielne i w czasie ekstatycznej modlitwy mówili językami, chrzcili nowych wyznawców, a w obronie własnej przyjmowali elementy klanowości. Kobiety musiały nosić na głowach chusty. Zakazano tańców, a także noszenia biżuterii czy makijażu. Głosili pacyfizm, wyrzekali się broni i telewizji. Zawierali małżeństwa w młodym wieku i mieli dużo dzieci. Uniemożliwiono im dostęp na studia, więc zostawali spawaczami lub kierowcami ciężarówek.

Byli protestantami, jednak rosyjscy zielonoświątkowcy zawierzyli przede wszystkim surowemu Bogu Starego Testamentu, który miał ich przeprowadzić przez czasy komunistycznych prześladowań. Kiedy sowiecki eksperyment dobiegł końca, na ziemiach upadłego imperium, przede wszystkim na Ukrainie i Białorusi, mieszkało siedemset tysięcy gorliwych wiernych. Wtedy ich żywione po cichu marzenie się zrealizowało. Stany Zjednoczone – kraj, w którym wyznania protestanckie zyskały szerokie poparcie, a poszczególne Kościoły miały nawet własne stacje telewizyjne – otworzyły się na nich. Dziesiątki tysięcy wyemigrowały, osiedlając się głównie w Sacramento, Seattle i Portland.

Wśród nich było pochodzące z Baksanu młode małżeństwo – Anatoly i Nina Sinyayevowie. Anatoly pracował jako spawacz, zaś ojciec Niny był kaznodzieją, który krążył po Niemczech i Izraelu, głosząc dobrą nowinę. Gdy runął mur berliński, a potem rozpadło się imperium sowieckie, Sinyayevowie wraz z dwójką malutkich córek ruszyli do Portland.

Pierwszym z urodzonych w Ameryce dzieci Niny był syn Toviy. Ona sama po jego powiciu właściwie cały czas była w ciąży, więc para doczekała się kolejnych dziesięciorga pociech. Anatoly w kółko pracował, a rodzina przenosiła się ośmiokrotnie, mieszkając głównie na przedmieściach Portland – w Gresham i Milwaukie, gdzie były większe skupiska rosyjskich zielonoświątkowców. Przynależeli do konserwatywnego rosyjskiego Kościoła zielonoświątkowego i wychowywali swoje dzieci w wyznawanej przez siebie wierze.

Jednak amerykańska kraina marzeń kryła zagrożenia, jakich nie potrafili sobie nawet wyobrazić. Pielęgnowanie chrześcijaństwa w Stanach Zjednoczonych, w których wszystko było dozwolone, okazało się trudniejsze niż zachowanie wiary w Związku Radzieckim, gdzie nic nie było wolno. Kościoły były wszędzie, wszędzie też były pokusy i grzech: telewizja, zseksualizowana, permisywna popkultura, no i dobrobyt.

Przywódcy religijni odwoływali się do zakazów, które pozwoliły im nie utracić wiary podczas mrocznych dni i lat przeżytych w ich ojczyźnie. Dziewczynom nie wolno było farbować włosów, przekłuwać uszu ani robić makijażu. Młodzi mężczyźni i kobiety nie mogli się ze sobą spotykać i chodzić na randki. Jeśli mężczyzna chciał się ożenić, szedł do pastora wybranki, który z kolei udawał się do niej z pytaniem, czy młody absztyfikant jej odpowiada. Rosyjscy zielonoświątkowcy nie mieszali się ze społeczeństwem amerykańskim, które uważali za dotknięte zgnilizną. Rodziny oglądające telewizję uznawano za mniej świętobliwe, więc te, które posiadały odbiorniki, chowały je, ilekroć mieli przyjść goście. Pastorzy nazywali telewizory jednookimi demonami.

Córkom Sinyayevów nie pozwalano na malowanie paznokci ani zadawanie się z Amerykanami. Niemniej Anatoly trzymał w piwnicy telewizor i oglądał nadawane programy, kiedy myślał, że dzieci nie słyszą. One za to oglądały telewizję, gdy jego nie było w domu. Drugie dziecko Sinyayevów, Elina, okazywała największą krnąbrność. Ta ładna dziewczyna z wyraziście zarysowanym nosem wychowywała rodzeństwo, ilekroć jej matka była w ciąży, i pomstowała na wyniesione z Kościoła nauki, które rządziły życiem rodzinnym.

– Na kazaniach mówili tylko o tym, że kobiety powinny nosić długie spódnice, nakrycia głowy, a na ich twarzach nie może być żadnego makijażu – opowiadała. – Nic nie wspominali o miłości. Nie chcieli, żebyśmy wiedzieli, że Bóg potrafi wybaczać.

Wkroczywszy w wiek dorastania, najstarsze z dzieci Sinyayevów zaczynały ukrywać swoje życie przed czujnymi oczami rodziców. Elina robiła makijaż w autobusie szkolnym i zamieniała długą spódnicę na spodnie. Po skończonych lekcjach przebierała się na powrót w strój zielonoświątkowy, zmywała makijaż i już w domu pojawiała się, wyglądając równie skromnie jak rano, kiedy z niego wychodziła.

W tamtych latach gospodarka Stanów Zjednoczonych kwitła. Rosyjscy zielonoświątkowcy otwierali salony samochodowe, firmy przewozowe i warsztaty spawalnicze. Po latach sowieckiej nędzy nagle zaczęło im się dobrze powodzić, a niektórzy nawet się wzbogacili. Ich dzieci nasiąkały w szkole panującym w Ameryce duchem konsumeryzmu, a w domu zanurzały się w świecie dawnej Rosji. Chodziły do kościoła, choć ceniły dobrobyt. Wyrzekały się nauki na uczelniach, pracowały, by móc sobie kupić to, co chciały, i po cichu buntowały się przeciwko pochodzącemu z innej epoki stylowi życia ich rodziców.

Wtedy pojawił się OxyContin. W Portland i innych miastach Zachodniego Wybrzeża stało się to gdzieś w okolicy 2004 roku.

Doktor Gary Oxman przyglądał się jego nadejściu ze swego biura w usytuowanym w centrum Portland Wydziale Zdrowia Hrabstwa Multnomah i widział, jak po raz kolejny rośnie liczba zgonów wywołanych przedawkowaniem. W Portland nigdy nie było wielu fabryk prochów powielających model wypracowany przez Davida Proctera. Zamiast tego tysiące zwykłych lekarzy zaczęły przepisywać na bóle chroniczne opiaty w rodzaju OxyContinu.

– Mieliśmy tutaj środowisko lekarskie, które stosowało się do zasady, że ból jest piątym parametrem życiowym – powiedział Oxman, kiedy spotkaliśmy się lata później w kawiarni w południowo-wschodnim Portland. – Nie było to niekontrolowane, odbywające się na dziko nadużywanie. To była cała społeczność lekarska przepisująca nieco za dużo takich środków.

Oczywiście Gary Oxman obserwował podobne zjawisko przed dziesięcioma laty. Niekończące się dostawy czarnej smoły z Xalisco wywołały w latach dziewięćdziesiątych gwałtowny wzrost liczby uzależnionych oraz zgonów spowodowanych przedawkowaniem heroiny. Oxman, a także grupa wychodzących

z nałogu narkomanów znana pod nazwą RAP i inni mieszkańcy miasta z wielkim mozołem próbowali odwrócić ten trend, co im się w końcu udało. Jednak w 2004 roku OxyContin podmywał rezultaty ich pracy.

– Poprzez tabletki ludzi wpędza się w uzależnienie od opioidów – opowiadał. – Potem z powodu wysokiej ceny pigułek przerzucają się na heroinę.

Oxman naniósł dane na wykres, tak jak to zrobił podczas swoich badań nad przedawkowaniem heroiny w grudniu 1999 roku. W 2004 roku znów zaczął się regularny wzrost liczby zgonów związanych z przyjmowaniem opioidów.

Beznogi narkoman Alan Levine był wtedy od niemal dekady czysty. Głośno wypowiadał się w imieniu osób wychodzących z nałogu, więc powołano go do lokalnego komitetu planowania działań antynarkotykowych i działającej przy gubernatorze rady do spraw uzależnień. Jednak w 2006 roku pigułki były już wszędzie. Levine'owi przepisywano na ból pojawiający się w wyniku ran powstałych na skutek żółtaczki typu C Viscontin, a potem OxyContin. Znów zaczął nadużywać i wkrótce po raz kolejny się stoczył. Właśnie takiego znalazłem go kilka lat później w śródmiejskim motelu. Zaczął brać czarną smołę kupowaną od tych, którzy nabywali ją od wciąż rozprowadzających narkotyk po mieście Meksykanów.

– Chciałem zdobyć dla nich jakiś nowy numer – opowiadał mi – ale nikt nie chciał znowu się w to wkręcić.

Opiaty przede wszystkim jednak wyniszczały młodych portlandczyków, którzy nigdy ich przedtem nie zażywali – niemal wszyscy z nich byli biali. Jeśli natomiast wziąć pod uwagę poszczególne ich grupy, to najbardziej podatne okazały się dzieci rosyjskich zielonoświątkowców, którzy przyjechali tu, uciekając przed prześladowaniami, a na miejscu uznali, że amerykańska popkultura jest dla nich o wiele większym wyzwaniem niż wszystko, co sowiecki aparatczyk byłby w stanie wymyślić.

Jednym z takich młodych ludzi był Vitaliy Mulyar, który urodził się na Ukrainie i wzrastał w kokonie, jaki uwił dla niego rosyjski Kościół zielonoświątkowy w Stanach Zjednoczonych – najpierw w Sacramento, potem w Portland. Tak jak rówieśnicy, mówił płynnie po rosyjsku, a w jego angielszczyźnie dało się wyczuć akcent typowy dla kraju, który opuścił w wieku dwóch lat. I tak jak rówieśnicy – życie zgodne z wymogami wiary uważał za jałowe i nudne.

Vitaliy i jego znajomi zielonoświątkowcy wzrastali w swoim własnym świecie. Chłopak znalazł pracę jako mechanik. Samochody stały się jego hobby,

a szczególną uwagę poświęcał swojemu cennemu volkswagenowi jetta w kolorze sekwoi, rocznik 1999.

Pewnego dnia kolega z pracy poczęstował go Vicodinem. Przepisywali go lekarze, więc jakim cudem miałby być szkodliwy? Znalazł wtedy nową pasję. Wkrótce przerzucił się na OxyContin, którego po jakimś czasie przyjmował cztery tabletki dziennie.

Żeby móc sobie na niego pozwolić, Vitaliy został jednym z pierwszych dilerów oxycontinowych wywodzących się z rosyjskich zielonoświątkowców. Wielu z jego młodych współwyznawców pracowało i zarabiało pieniądze, więc Vitaliy sprzedawał tabletki zamkniętemu kręgowi znajomych. W efekcie coraz więcej z nich, chcąc zaspokoić swój nałóg, zaczęło handlować na własną rękę, on zaś prowadził dla nich półhurt. W ten sposób w grupę młodzieży, którą rodzice zabierali do kościoła trzy razy w tygodniu i której zabraniali oglądania telewizji, wkradło się uzależnienie od prochów. Co niedziela Vitaliy przyglądał się parafianom, gdy śpiewał w zborze rosyjskie pieśni religijne, i widział, że połowa jego rówieśników jest na oxycontinowym haju. Niektórzy przysypiali, chowając twarz w dłoniach.

W 2006 roku Vitaliy był według swoich własnych szacunków największym dilerem OxyContinu w mieszkającej w Portland społeczności rosyjskich zielonoświątkowców. Bez problemu mógł sobie pozwolić na tabletki, których potrzebował na co dzień. Włożył także tysiące dolarów w swojego volkswagena. Jednak w 2008 roku aresztowano go i stracił pracę. Przebywając na zwolnieniu warunkowym, nie mógł handlować tabletkami, a tym samym nie miał na nie kasy. Sięgnął więc po tańszą czarną smołę, kupowaną od krążących po mieście Meksykanów. Regularnie trafiał do więzienia, a na wolności doił rodziców z pieniędzy, które potem wydawał na narkotyki. Rosyjscy dilerzy zielonoświątkowi, których był dłużnikiem, wjechali ciężarówką do ich ogródka i zażądali zwrotu długu. W ten sposób stracił swoją jettę. Niedługo potem wylądował na ulicy, gdzie spał na kartonach rozkładanych w centrum Portland.

Jego tropem podążyły setki młodych rosyjskich zielonoświątkowców. Ich rodzice nie zdawali sobie z tego sprawy lub też wstyd kazał im ukrywać uzależnienie dzieci. Działał tu ten sam mechanizm jak w przypadku skrywania przed oczami gości telewizorów.

Elina Sinyayeva po raz pierwszy wzięła heroinę z kolegą z pracy, który powiedział, że to przyniesie jej odprężenie. Jej siostra zaczęła od OxyContinu,

podobnie jak i brat Toviy. Koniec końców Elinę wyrzucono z pracy i z narkomańskiej desperacji zaczęła zadawać się z rosyjskim zielonoświątkowym dilerem heroiny, który zaopatrywał się w czarną smołę u Meksykanów. Tych, co rozwozili ją jak pizzę.

Myślała, że jest jedyną w rodzinie, która bierze. Jednak pewnej nocy przyjrzała się siostrze i bratu, jak się kiwali, pogrążeni w letargu. Domyśliła się prawdy. Dwadzieścia lat po tym, jak Anatoly i Nina wyjechali ze Związku Radzieckiego, by cieszyć się panującą w Ameryce wolnością, każde z ich trzech najstarszych dzieci było sekretnie uzależnione od czarnej smoły pochodzącej z Xalisco.

Zdarzyło się, że policja zatrzymała siostrę Eliny i Toviya za kradzieże. Anatoly i Nina zaczęli odtąd nerwowo sprawdzać przeguby ich rąk. Sama Elina na wszelki wypadek postanowiła kłuć się w inne części ciała.

Pewnego marcowego popołudnia w 2011 roku Toviy powiedział mamie, że ma grypę. Wyszedł z Eliną i wrócili po kilku godzinach. Ninie wydawało się, że zachowuje się dziwnie, ale miała zbyt wiele dzieci do opieki. Następnego ranka znalazła najstarszego syna leżącego w łóżku bez przytomności i z trudem łapiącego oddech. Ratownikom medycznym nie udało się go ocucić. Przeżył jeszcze trzy dni, podłączony do urządzeń podtrzymujących życie.

Portlandzkie przedmieście Milwaukie w hrabstwie Clackamas jest tak małe i ciche, że miejscowy posterunek policyjny zatrudnia tylko dwóch funkcjonariuszy. Tego ranka na służbie był jeden z nich, Tom Garrett. W pokoju Toviya znalazł baloniki z heroiną oraz strzykawkę.

Przez następne półtora roku śmierć Toviya Sinyayeva była jedyną taką w hrabstwie Clackamas.

Nina natomiast sprawdziła w domu ramiona swojej córki Eliny, które ta zawsze ukrywała pod wymaganymi u pobożnej wyznawczyni Kościoła zielonoświątkowego długimi rękawami skromnej sukni. Znalazła tam siniaki i zaczerwienione nakłucia.

„Roznieślim epidemię”

Wschodnie Kentucky

Wiosną 2003 roku ekipa nienależących do związków zawodowych ślusarzy wyruszyła z hrabstwa Greenup w stanie Kentucky do Fort Walton Beach w północno-wschodniej Florydzie, by postawić tam szkielet nowego centrum handlowego Walmart.

Hrabstwo Greenup leży po przeciwnej stronie rzeki niż Portsmouth. Ma długą tradycję formowania brygad pozazwiązkowych robotników przemysłu metalurgicznego, która zresztą była niegdyś popularna wzdłuż biegu rzeki Ohio. Trwała ona jeszcze długo po tym, jak przemysł ten upadł, i miejscowe rodziny utrzymywały się z pracy zespołów przemierzających kraj za zajęciem w rodzaju tego zaoferowanego przez Walmart w Fort Walton Beach.

Jednak w 2003 roku wielu młodych członków takich ekip zdążyło już popaść w uzależnienie od prochów. Jednym z nich był Jarrett Withrow.

Mimo młodego wieku Jarrett zdążył już wiele stracić przez pogoń za działką. Miał widoki na uzyskanie uniwersyteckiego stypendium koszykarskiego, jednak w liceum w Portsmouth wszyscy łykali tabletki. Jarrett rozpoczął od Vicodinu przepisanego mu przez Johna Lilly’ego w jego śródmiejskiej klinice. Jak już się uzależnił, zaczął podkradać umierającemu na raka ojcu OxyContin, który brał jeszcze przez osiem lat. Tabletki niszczyły każdy plan, który sobie opracował, i w efekcie dość szybko wylądował w brygadzie ślusarzy z hrabstwa Greenup.

Wiosną 2003 roku ekipa, której był członkiem, już od paru tygodni pracowała w Fort Walton Beach, gdy skończył jej się zapas pigułek. Pewnego popołudnia jeden z nich zniknął, by wrócić już po zmroku.

– Zobaczcie, co mam – powiedział, trzymając przepisane mu przed paroma godzinami fiolki.

Okazało się, że florydzcy lekarze mieli niezwykle hojną rękę, jeśli chodziło o przepisywanie tabletek. W stanie nie funkcjonował żaden system kontroli pacjentów, dzięki któremu można byłoby ewentualnie wykryć, czy przypadkiem nie odwiedzają równolegle kilku klinik, by w każdej wyłudzić dawkę farmaceutyku. Niemniej nikt na Florydzie nie dostrzegł tkwiącego w tym

potencjału biznesowego. Nie uszło to jednak uwadze ekipy z Greenup, która masowo zaczęła chodzić do lekarzy, namawiając przy tym współpracujących z nimi miejscowych robotników, by zrobili to samo, a potem odsprzedali im pigułki. Następnie prochy wysyłano do Kentucky, gdzie sprzedawano je z trzykrotnym przebiciem.

– Pamiętam, jak na początku myśleli, że powariowalim z tymi receptami na prochy – opowiadał Jarrett. – Musielim ich prowadzać do lekarzy. Wpierw sprzedawali nam pigułki tanio, bardzo tanio.

Ostatecznie podnieśli jednak cenę.

– Okazało się to bardzo łatwe – wspominał Jarrett. – Inni też zaczęli mówić: „Chodźmy do lekarza". Mój kumpel chodził co miesiąc, jakby miał tam [na Florydzie] swojego lekarza rodzinnego czy coś. Potem opowiadał o tym innym. Roznieślim epidemię pigułek na receptę.

Kiedy wgryzałem się w temat, próbując zrozumieć, w jaki sposób rozlewała się epidemia opiatów, napotkałem wiele historii podobnych do tej opowiedzianej przez Withrowa. Duża dostępność środków przeciwbólowych na receptę spowodowała, że do grup o niższej pozycji społecznej trafiały one za sprawą przypadkowego kontaktu, przygodnego spotkania – nie inaczej było w przypadku rozprzestrzeniania się wirusa eboli lub HIV. Osoby świeżo uzależnione od opiatów upowszechniały informacje, gdzie można zdobyć prochy – tak samo jak kaszel rozsiewa zarazki.

Jednym z najsilniejszych wczesnych czynników sprzyjających rozszerzaniu się plagi były świeżo popadłe w uzależnienie ćpuny ze wschodniego Kentucky. Zamykano tam kopalnie węgla, a mieszkańcy żyli głównie z federalnego programu zasiłkowego SSI i karty Medicaid. Symulując ból i urazy, zaczęli oblegać miejscowych lekarzy i aptekarzy, którzy szybko się zorientowali w sytuacji. Kentucky – co dobrze o nim świadczy – jako jeden z pierwszych stanów wprowadziło system kontroli, jakie leki dany lekarz przepisywał poszczególnym pacjentom. Warto jednak pamiętać, że stan ten graniczy z siedmioma innymi. Wielu mieszkańców wschodniego Kentucky miało krewnych, którzy wyjechali za pracą do innych części kraju, a po latach takich migracji nie przywiązuje się większej wagi do granic międzystanowych. Wprowadzenie systemu monitoringu dość szybko wywołało niespodziewany skutek – mianowicie wypchnęło osoby świeżo uzależnione od opiatów poza granice Kentucky, gdzie poprzez sieci znajomych i krewnych poszukiwały one dostępu do tabletek.

Tego typu wyjazdy w poszukiwaniu zakazanych towarów to część historii dużej grupy hrabstw ze wschodniego Kentucky, gdzie przemyt był rzeczą powszechną, ponieważ przez lata obowiązywał w nich zakaz handlu i spożywania alkoholu. Pokolenia szmuglerów wzrastały w cieniu nielegalnej sprzedaży mocniejszych trunków przewożonych z hrabstw, gdzie nie wprowadzono prohibicji, a lokalna policja przymykała na to oko lub wręcz otaczała ten proceder nieformalną ochroną. Jednym z takich „suchych" hrabstw było liczące trzydzieści tysięcy mieszkańców Floyd, które ostatecznie dopuściło obrót alkoholem w 1983 roku.

Przedtem jednak przemyt trunków, jak twierdził Arnold Turner, były prokurator hrabstwa Floyd i ojciec obecnie sprawującego ten urząd Brenta Turnera, „pogrążył nas w trwającej dziesiątki lat korupcji sił policyjnych oraz przyczynił się do stworzenia sieci zrzeszającej przestępców, którzy z chwilą utraty możliwości handlu alkoholem musieli przerzucić się na jakiś inny towar. Szmuglowanie zobojętniło ludzi na łamanie prawa. Wszyscy przyzwyczaili się do kontrabandy i nikt nie dostrzegł nadejścia potwora. Takie warunki dały asumpt do wpuszczenia niszczycielskiej siły [tkwiącej w pigułkach]".

Wielu przemytników w istocie stało się awangardą epidemii.

Jednym z nich był Timmy Wayne Hall. Wychował się w Branham Creek Holler w hrabstwie Floyd i był synem robotnika, który zarazem pełnił funkcję kaznodziei Kościoła Bożego. Rodzeństwo i krewni Halla znajdowali zatrudnienie w okolicznych kopalniach węgla. W hrabstwie było niewiele miejsc pracy poza górnictwem, a oferowane tam płace z trudem wystarczały na przeżycie. Hall jednak miał głowę zaprzątniętą innymi sprawami i w całym swoim życiu nie przepracował uczciwie ani jednej godziny.

W 1980 roku wżenił się w rodzinę przemytników alkoholu. Zaczął jeździć do hrabstwa Perry, gdzie kupował skrzynki piwa Schlitz – najtańszego, a co za tym idzie ulubionego przez szmuglerów – które potem sprzedawał z trzykrotnym przebiciem w swoim domu we Floyd. Po tym jak jego hrabstwo zniosło prohibicję, Hall zgłosił się po zasiłek federalny SSI i podobnie jak kilka innych rodzin w okolicy zaczął dostawać co miesiąc czek. Po wypadku samochodowym przepisano mu Lorcet, na który mógł sobie pozwolić dzięki karcie ubezpieczenia zdrowotnego Medicaid. Szybko się od niego uzależnił.

Nie było wówczas w hrabstwie Floyd wielu nałogowców, ale z tych, którzy tam funkcjonowali, większość – podobnie jak i Timmy – brała dziesięciomiligramowy Lorcet, czyli lek łączący w sobie hydrokodon i acetaminofen. Kiedy w 1996 roku

pojawił się OxyContin, wkrótce wszyscy się na niego przestawili. Trzeba jednak przyznać, że z początku Hallowi nie udało się znaleźć lekarza, który chciałby mu go przepisać.

– Mieli go dostawać tylko chorzy na raka – opowiadał Hall.

Ponadto w 1999 roku stan wdrożył w życie program monitorowania recept. Skoro dystrybucja leku była w Kentucky ściśle kontrolowana, to Hall znalazł do niego dostęp przez mieszkającego w Detroit znajomego z hrabstwa Floyd. Wyszukał także dilerów w Dayton i Toledo. Lata wcześniej czytał o nowojorskim mafiosie Johnie Gottim i kolumbijskim baronie narkotykowym Pablu Escobarze. Teraz, za sprawą OxyContinu, zaczął wyobrażać sobie – on, który właściwie niczego w życiu nie osiągnął – że pójdzie ich śladem. Rozpoczął regularne wyprawy po pigułki do Ohio i Detroit. Zważywszy na to, że sytuacja z OxyContinem w hrabstwie Floyd była niełatwa, tak ustanowione kanały przerzutowe okazały się wystarczająco niezawodne.

Jednak w 2004 roku w hrabstwie Floyd zaczęło się dziać o wiele gorzej. Miejscowy kierowca ciężarówki Russ Meade, przejeżdżając pewnego dnia przez Luizjanę, dostrzegł w mieście Slidell reklamę kliniki Urgent Care, w której była mowa o przepisywaniu tabletek przeciwbólowych.

Mieszkający we Floyd Meade znał wartość pigułek. Zatrzymał się, dostał receptę na kilka opakowań, wykupił je i zabrał do domu, gdzie od razu wszystko sprzedał. Złapawszy trop, zaczął jeździć do Slidell wraz z kilkoma lekomanami, za których wizyty płacił, a następnie zatrzymywał dla siebie połowę przepisanych im tabletek. Sama podróż trwała siedemnaście godzin. Jeździł z nim między innymi Larry Goble, były górnik na rencie inwalidzkiej przyznanej mu z powodu pylicy, który przez krótki czas był też zastępcą szeryfa. Meade po jakimś czasie zmarł, ale Goble dalej jeździł z uzależnionymi do kliniki Urgent Care, płacąc za ich podróż i pokrywając pięciusetdolarowe rachunki za wizytę, którą postrzegał jako farsę z udziałem lekarza. W ramach zwrotu kosztów przejmował połowę leków otrzymanych po realizacji recepty. Na późniejszych rozprawach przed sądem federalnym twierdził, że część zostawiał sobie na własny użytek, a resztę sprzedawał.

Wkrótce z hrabstwa Floyd w siedemnastogodzinną podróż do Slidell ruszyły kolejne grupy. Właściciel kliniki Michael Leman otworzył drugą w Filadelfii, do obsługi której zatrudnił pogrążonego w uzależnieniu od leków i alkoholu lekarza Randy’ego Weissa. Jak później zeznał Weiss, pomimo nazwy Urgent Care (Nagła

Pomoc), nie miała ona żadnego wyposażenia, które można byłoby wykorzystać w nagłych przypadkach, jak składanie złamanych kończyn czy zszywanie ran. W klinikach Lemana pobierano od mieszkańców Kentucky pięćset dolarów za wizytę, podczas gdy miejscowi płacili tylko połowę tej sumy. Potem Leman otworzył jeszcze jedną placówkę w Cincinnati. Zatrudnił tam doktora Stana Naramore'a, którego w Kansas skazano za morderstwo, a następnie po apelacji wyrok uchylono. Z Floyd wyruszały już wówczas cotygodniowe samochodowe pielgrzymki do Filadelfii i Cincinnati.

Z klinik Urgent Care napłynęła do hrabstwa nowa fala tabletek, naruszając chwiejną równowagę panującą w dolinach. Przy płynących nimi strumykach mieszkały rodziny wiodące ciche i przyzwoite życie, którego treścią było wychowywanie dzieci i walka o zachowanie zatrudnienia, co w regionie, gdzie miejsc pracy było jak na lekarstwo, okazywało się szczególnie trudne. Były tam też rodziny, które od pokoleń żyły na bezrobociu i utrzymywały się z zasiłków rządowych. Dotąd dopuszczały się drobnych przestępstw, ale nie zakłócały w większym stopniu tamtejszego życia i raczej budziły powszechną litość. Wraz z pojawieniem się OxyContinu nagle stały się niezdyscyplinowaną siłą, która dążyła do narzucenia swojej dominacji w dolinach.

Do największych klientów nowej kliniki Lemana w Filadelfii należał ciężko uzależniony Timmy Wayne Hall, który bezustannie jeździł tam i z powrotem, płacąc innym za pełnienie funkcji szofera.

– Co miesiąc zabierałem do Filadelfii od dwudziestu do dwudziestu pięciu osób. Zostawali w samochodzie, a ja zabierałem od nich papiery i wchodziłem do kliniki. Potem w ich imieniu realizowałem recepty w aptece, która była oddalona o zaledwie pięć metrów.

Ponieważ każdy z delikwentów dowiezionych do kliniki Urgent Care dostawał mniej więcej pięćset pigułek, z których Hall zabierał połowę, na każdym z nich zarabiał około czterech tysięcy dolarów. Zdobywał także tabletki w Detroit i ze źródeł w trzech innych stanach, choć nigdy w Kentucky, gdzie obawiał się programu kontroli wypisywanych recept. Już w domu łatwo i szybko zarabiał dużą kasę pierwszego dnia każdego miesiąca, gdy do hrabstwa Floyd dostarczano czeki SSI.

Od pewnego momentu zaczął zatrudniać własnych dilerów. W szczytowym okresie miał handlarzy sprzedających pigułki w pięciu hrabstwach we wschodnim Kentucky. Kiedy się dowiadywał, że pojawiła się konkurencja, szedł do ich

klientów i oferował osiemdziesięciomiligramowy OxyContin za sześćdziesiąt pięć dolarów, zamiast siedemdziesięciu ściąganych przez rywali. Sprzedawał wszystko, co zdobywał, i obserwował, jak OxyContin wsącza się w każdy zakątek wschodniego Kentucky. Jego klientami byli przedstawiciele wolnych zawodów z bogatego hrabstwa Pike, jak też robotnicy pracujący przy remontach ich domów.

Hall, który nigdy nie pracował, kupił sobie kilkanaście domów w nieodległym Branham Creek Holler. Często zabierał przyjaciół na wycieczki i płacił wszystkim za hotel. Zebrała się wokół niego koteria ćpunów, a on płacił im za gotowanie, pranie ubrań, odkurzanie domu, strzyżenie trawy i drobne roboty w jego posiadłościach. Coraz bardziej upajał się władzą i tym, że pigułki pozwalały mu zgrywać wspaniałomyślnego wielmożę, przynajmniej w Kentucky. Przy okazji zażywał do dwudziestu osiemdziesięciomiligramowych tabletek OxyContinu dziennie.

Aresztowano go w 2007 roku. Na głodzie dostał zapaści i na krótko uznano go nawet za martwego. Ponowna nauka chodzenia zajęła mu sześć miesięcy. Przyznając się do winy, zeznał, że sprzedał dwieście tysięcy tabletek OxyContinu i metadonu, choć prawdziwa ich liczba była najprawdopodobniej o wiele wyższa.

– Przepraszam za to, co zrobiłem – powiedział mi, gdy zadzwoniłem do niego do więzienia federalnego, gdzie odsiaduje piętnastoletni wyrok. – Wychowywałem się w wierze i nie chciałem nikogo skrzywdzić. Byłem jednak lekomanem, który stracił nad sobą kontrolę i nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo krzywdził innych.

Mając pieniądze i nałóg do zaspokojenia, lekomani-przedsiębiorcy z hrabstwa Floyd zachowywali się jak posokowce szukające w odległych miejscach tropów szemranych doktorków.

Ważąca trzydzieści miligramów tabletka OxyContinu kosztowała na Florydzie osiem dolarów, a w domu można było dostać za nią trzydzieści. Na półwyspie nie było żadnego programu kontroli recept, więc każdy aptekarz realizował je bez robienia jakichkolwiek problemów. Pierwszym człowiekiem z hrabstwa Floyd, który odkrył potencjał tkwiący we Florydzie, był najpewniej Jim Marsillett II, który raz na tydzień zawoził swoim samochodem stadko uzależnionych kobiet do Fort Lauderdale. Po raz pierwszy wypuścił się tam po tym, jak wskutek śledztwa prowadzonego na szczeblu federalnym zamknięto kliniki Urgent Care w Filadelfii i Cincinnati, gdzie dotąd się zaopatrywał.

Wkrótce potem rozpoczęła się kolejna fala migracji z regionu appalaskiego, tym razem w kierunku południowym. Kampery pełne klientów klinik wyruszały co tydzień z pustoszonych przez OxyContin części stanów Ohio, Kentucky i Wirginia Zachodnia. Loty z Huntington w Wirginii Zachodniej do Fort Lauderdale zyskały obiegową nazwę Oxycontinowego Ekspresu. W 2009 roku dziewięć z dziesięciu hrabstw przepisujących największe ilości OxyContinu w Stanach Zjednoczonych leżało na Florydzie. Dziesiątym było Scioto w stanie Ohio, w którym położone jest Portsmouth. W hrabstwie Broward w 2007 roku były cztery kliniki specjalizujące się w leczeniu bólu, dwa lata później było ich już sto piętnaście.

Początkowo władze Florydy nie przejmowały się zbytnio tym procederem, przynajmniej dopóki prostacy z Kentucky zostawiali swoje pieniądze i przy wyjeździe zabierali ze sobą tabletki. System kontroli recept wprowadzono tam dopiero w 2009 roku i był to ostatni stan, w którym to uczyniono. Na Florydę ściągali już wówczas klienci z miejsc tak odległych jak Kolorado.

To właśnie będące na głodzie towarzystwo z Ohio i Kentucky odkryło Słoneczny Stan. Ich śladem ruszył Randy Hunter, funkcjonariusz policji stanowej Kentucky z hrabstwa Floyd, który przemierzał kraj, tropiąc ścieżki przewozowe prochów. W efekcie wniósł w Nowym Orleanie, Filadelfii, Houston i kilku miastach Florydy akty oskarżenia przeciwko szemranym lekarzom i właścicielom klinik, którzy sprzedawali tabletki podróżującym lekomanom-przedsiębiorcom z hrabstwa Floyd.

– Widzieliśmy, że wielu mieszkańców wschodniego Kentucky wyrusza poza stan – opowiadał mi emerytowany już Hunter podczas wycieczki po dolinach hrabstwa Floyd. – Podróżowali jak Cyganie, włócząc się po okolicy w poszukiwaniu pigułek. Gdy znaleźli ich złoże, zostawali na miejscu i właściwie od razu sprowadzali tam swoich znajomych i rodziny.

Więcej przedawkowań niż wypadków samochodowych

Południowe Ohio

Wychudły ćpun Jeremy Wilder z leżącego nad rzeką Ohio miasta Aberdeen wyszedł z więzienia i wrócił do domu w 2007 roku.

Zamknięto go w 2003 roku za włamania do aptek, których dokonywał, gdy nałóg całkowicie przejął nad nim kontrolę. Kiedy tamtego roku opuszczał Aberdeen, w mieście była niewielka grupa lekomanów, którym sprzedawał swój OxyContin. Teraz, po czterech latach, jego brat i wszyscy, których znał, jeździli na Florydę kupować tabletki. Jednak prochy to było już za mało. Wielu w Aberdeen brało heroinę. Półżywi i dumni ze znaczących ich ciała śladów po igłach snuli się po mieście.

– Kiedy sprzedawałem OxyContin, była to tylko pewna grupa ludzi – opowiadał mi. – Gdy wróciłem do domu, była to pewna grupa ludzi plus wszyscy inni. Dzieci gliniarzy. Biedne dzieciaki, bogate dzieciaki, bystre dzieciaki, tępe dzieciaki.

W okolicy pojawiło się pokolenie młodych ludzi, którzy nie mieli żadnych widoków na przyszłość i których rodziny od lat były na bezrobociu. Wielu z nich wpadło w uzależnienie. Jednak to nie dzieciaki z nizin stały za rozwojem rynku, tylko te bogate. Jeremy sprzedawał pigułki dwóm braciom, których rodzice byli bogatymi właścicielami działających w mieście firm. Inny z jego klientów miał odziedziczyć kilka domów.

Tak więc Jeremy Wilder w 2007 roku obserwował zmiany zachodzące nad rzeką Ohio. Wpierw pigułki, potem heroina, przy czym i jednego, i drugiego było mnóstwo. Lecz nikt z oficjeli tego nie dostrzegał, dopóki dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu na biurko lubiącego samotność faceta, który pracował w jednym z biur urzędu stanowego znajdującego się w leżącym na północy Columbus, nie trafił pewien zestaw danych.

Ed Socie był epidemiologiem i uwielbiał liczby. Pracował na siódmym piętrze gmachu urzędu w Columbus w Dziale Zapobiegania Przemocy i Urazom, a danymi z tego właśnie zakresu zajmował się od dwudziestu dwóch lat, jeśli liczyć wedle stanu z połowy 2005 roku.

Miał zdecydowanie samotnicze usposobienie i fascynowały go dane statystyczne, jak też skrywające się za nimi historie. Wyróżniała go ponadto niezwykła cierpliwość w śledzeniu poszczególnych wątków, które wśród nich odkrywał.

– Po prostu przez cały dzień siedziałem przy komputerze, analizując dane dotyczące zgonów – opowiadał. – Lubiłem przedzierać się przez gąszcz cyfr. Z czystej ciekawości przyglądałem się wszystkiemu, co wpadło mi w ręce.

W 2005 roku Socie nadzorował proces przetwarzania danych dotyczących wielu aktualnych tematów, w tym zabójstw i samobójstw, których liczba rosła i malała z pewną częstotliwością. Jeden wskaźnik pozostawał jednak przez lata niezmienny. Była to liczba zgonów wynikłych z przypadkowego zatrucia – ludzie nie truli się na śmierć aż tak często, a i też ich liczba nie zmieniała się zbytnio z roku na rok.

Tak więc odnotowany dla Ohio w 2005 roku wzrost nieco go zaskoczył.

Dane pochodziły z federalnych Centrów Kontroli i Prewencji Chorób (Centers for Disease Control – CDC). Wystawiane przez koronerów świadectwa zgonu przekazywane są do CDC, które kodują je zgodnie z rozpoznaną przyczyną śmierci, a następnie odsyłają z powrotem do właściwego stanu w celu łatwiejszej ich oceny.

Wszystko zaczęło się od liczby zgonów wywołanych niezamierzonymi urazami. Siedząc pewnego dnia za biurkiem, Socie zauważył, że zaczęła ona rosnąć. Przyjrzawszy się bliżej danym, odkrył, że większość zakodowano jako przypadkowe zatrucie ze skutkiem śmiertelnym. Zaintrygowany, skąd wziął się ten wzrost, dalej analizował pozyskane z CDC dane i wykorzystywane przy ich obróbce kody. Okazało się, że chodziło o przypadki przedawkowania narkotyków. To było coś nowego. Kokaina i metamfetamina – popularne w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – to rzeczywiście szkodliwe dla zdrowia narkotyki, ale rzadko kto przedawkowuje je na tyle, by od tego umrzeć. O wiele groźniejsza pod tym względem heroina już od lat siedemdziesiątych nie stanowiła jakiegoś większego problemu. Tak więc liczba osób przedawkowujących narkotyki w stanie Ohio od dziesięcioleci nie ulegała większym fluktuacjom.

Socie przedstawił te nowe dane na wykresie. Po dekadach stabilizacji wskaźnik zgonów nagle poszybował niczym samolot w górne rejony skali, potrajając swoją wartość w ciągu sześciu lat.

Za znaczną częścią tych przypadków – zakodowanych przez CDC jako X44s – stały „nieustalone leki”. Jednak równie duży segment – X42s – przypadał na

przedawkowanie narkotyków. Socie wyciągnął, ile mógł, ze swego komputera, wyszukując zgony wywołane konkretnymi substancjami: oksykodonem, hydrokodonem, heroiną, kokainą, morfiną i opium. Opiaty pojawiały się niemal we wszystkich przypadkach śmierci, które przypisano narkotykom.

Dane zaniepokoiły Sociego. Przeszedł się z nimi po wydziale, ale jak sam stwierdził, na początku „wszyscy puszczali je mimo uszu".

– Nie było żadnej informacji zwrotnej, że mam nad tym dalej pracować – kontynuował. – Nieco mnie to rozczarowało, bo wydawało mi się to istotne.

Socie czekał na właściwy moment, przyglądając się w międzyczasie, jak przez kolejne półtora roku wskaźniki wciąż rosły.

W styczniu 2007 roku nadzór nad komórką do spraw zapobiegania przemocy i urazom przejęła Christy Beeghly, która przeszła do wydziału ze szpitala dziecięcego, a tam dzieci doznawały szkody raczej od tego, co było pod zlewem, a nie w apteczce. Być może jednak istotne okazało się to, że nie znała się aż tak dobrze na przeciwdziałaniu przemocy i urazom. Socie przyniósł jej twarde dane i wykresy pokazujące nagły wzrost liczby śmiertelnych przypadków przedawkowania narkotyków i leków. Dziewięćdziesiąt pięć procent wszystkich zgonów spowodowanych zatruciem przypadało na te właśnie substancje, a wśród nich większość związana była z farmaceutykami przepisywanymi na receptę.

Dane te zaskoczyły Beeghly, więc poddali je dalszej analizie. To właśnie wtedy zdali sobie sprawę, że w całym stanie liczba zgonów wywołanych przedawkowaniem narkotyków mogła zaraz przekroczyć liczbę ofiar wypadków samochodowych, które były dotąd główną w stanie Ohio przyczyną śmierci związanej z obrażeniami.

To był szokujący moment w historii publicznej służby zdrowia w Stanach Zjednoczonych. Od upowszechnienia samochodów wypadki drogowe w każdym ze stanów z osobna, jak i w całym kraju zajmowały pierwsze miejsce na liście przyczyn zgonów wynikłych z obrażeń. Dane Eda Sociego pokazywały, że niedługo reguła ta miała przestać obowiązywać w Ohio. Tak też się stało pod koniec 2007 roku.

– To była rzeczywiście zadziwiająca tendencja – mówiła Beeghly. – Zaistniała za sprawą tabletek. Na kontakt z opiatami wystawiliśmy wtedy większą część populacji niż podczas epidemii heroinowej z lat siedemdziesiątych.

Liczba zgonów wskutek przedawkowania narkotyków przewyższyła w skali krajowej liczbę ofiar wypadków samochodowych w 2008 roku. Jednak po raz

pierwszy zjawisko to odnotowano właśnie w Ohio, gdzie pod koniec lat dziewięćdziesiątych spotkały się i wzmogły dwie nachodzące na siebie plagi opiatowe: ta wywołana dostępnymi na receptę środkami przeciwbólowymi, zwłaszcza produkowanym przez firmę Purdue OxyContinem, która rozszerzała się ze wschodu na zachód, oraz ta rozlewająca się w przeciwnym kierunku – związana ze sprzedawaną przez Chłopaków z Xalisco czarną smołą.

Skutki ujawniły się dekadę później i uchwycone zostały w odczytanych przez Eda Sociego danych dotyczących liczby zgonów.

Socie i Beeghly dostrzegli również, że ilość środków przeciwbólowych na receptę przepisywanych rocznie w stanie Ohio wykazywała tę samą tendencję wzrostową co liczba zgonów wywołanych przedawkowaniem. Oba te wskaźniki w latach 1999–2008 wzrosły o ponad trzysta procent. Ale nawet i te dane przesłaniały rzeczywistość, bo konsumpcja niektórych opiatów, na przykład kodeiny, wręcz spadła. Szokująca prawda tkwiła w tym, czego spożycie wzrosło w gwałtownym tempie, czyli oksykodonie. W omawianym okresie ilość przepisanych gramów oksykodonu – jedynej substancji czynnej w OxyContinie – wzrosła w Ohio o niemal tysiąc procent.

Napisali więc raport przedstawiający dotychczas zakamuflowane dane.

- Liczba mieszkańców Ohio, którzy w latach 2003–2008 zmarli wskutek przedawkowania, była o pięćdziesiąt procent wyższa od liczby amerykańskich żołnierzy poległych w całej wojnie irackiej.
- W latach 1999–2008 z powodu przedawkowania środków wydawanych na receptę umarło trzy razy więcej osób niż podczas ośmiu szczytowych lat epidemii cracku.
- W 2005 roku wskaźnik śmiertelności związanej z przedawkowaniem był wyższy niż wskaźnik śmiertelności związanej z epidemią AIDS w jej szczytowej fazie w stanie Ohio w połowie lat dziewięćdziesiątych.

Pracujący w Portsmouth lekarz Terry Johnson bynajmniej nie był tym zaskoczony.

W 2008 roku Johnson już od sześciu lat pełnił w hrabstwie Scioto funkcję koronera. Był wprawdzie lekarzem rodzinnym i nie specjalizował się w medycynie sądowej, ale w małych miasteczkach zwykle działo się tak, że jedno szło w parze z drugim. Johnson został powołany na to stanowisko w 2002 roku, kiedy prochy zalały hrabstwo w ilości wystarczającej do utworzenia gospodarki oxycontinowej.

Wciąż jeszcze zastanawiał się, co oprócz określenia przyczyny i przebiegu zgonu leży w obowiązkach koronera pracującego w niewielkiej w sumie społeczności, gdy pewnej nocy odebrał telefon od zastępcy szeryfa.

– Mamy tu coś, co wygląda na przedawkowanie narkotyków – relacjonował jego rozmówca. – Nie wiem, co chce pan zrobić. Nie musi pan przyjeżdżać, jeśli panu się nie chce.

Poprzednim koronerom się nie chciało.

– Pomyślałem sobie, że powinienem pojechać – wspominał Johnson.

Na miejscu zobaczył nieżywego mężczyznę z wbitą w ramię strzykawką.

Po tym wypadku śmiertelne przedawkowania zdarzały się już regularnie. Budżet koronera w hrabstwie Scioto był dość ograniczony, więc istniał wystarczający powód do rezygnacji z sekcji zwłok martwych ćpunów. Johnson jednak wysyłał ich ciała do lekarzy sądowych z większych hrabstw, którzy mieli lepsze warunki do przeprowadzania pełnej autopsji i badań krwi. Te zaś nieodmiennie wykazywały obecność opiatów, zazwyczaj w połączeniu z benzodiazepinami – czyli niegdysiejszy koktajl doktora Proctera.

Johnson był wyszkolonym kręgarzem, a to dyscyplina cechująca się holistycznym podejściem do zdrowia. Zwołał więc raz zebranie lekarzy, aptekarzy i urzędników z hrabstwa Scioto, by zająć się problemem nowego i silnego opiatu przepisywanego na przewlekłe bóle. Nic jednak z tego nie wynikło.

Tymczasem w mieście mnożyły się fabryki prochów. Liczba zgonów wywołanych przedawkowaniem rosła z roku na rok. Johnson obserwował kolejki do klinik i ćpunów ciągnących wzdłuż drogi numer 52 do Walmartu. Widział, jak młodzi i zdolni do pracy ludzie bezpodstawnie ubiegali się o zapomogi z programu SSI oraz kartę Medicaid, byle tylko zyskać dostęp do tabletek. Johnson zaczął zestawiać w tabelach to, co sam nazwał „zgonami związanymi z lekami lub narkotykami”, czyli przypadki śmierci prawdopodobnie mającej związek z uzależnieniem denata, choć oficjalnie zaklasyfikowanej jako – dajmy na to – następstwo ataku serca. Po stworzeniu zestawienia liczba zgonów wywołanych przedawkowaniem jeszcze się podwoiła.

W 2008 roku w Scioto odnotowano dwadzieścia jeden zgonów wskutek przedawkowania i dwadzieścia trzy zgony związane z lekami, co dawało hrabstwu drugie miejsce w całym stanie. Jednak parlamentarzyści w Columbus zajęci byli innymi sprawami. Stanowe agencje nadzorujące licencje lekarzy i aptekarzy

milczały, uważając, że mają ręce związane obowiązującymi w stanie Ohio przepisami dotyczącymi trudnego w leczeniu bólu.

– Gdyby [stosowne urzędy] były choć trochę bardziej kreatywne, to mogłyby położyć temu kres. Mogłyby doprowadzić do zamknięcia [fabryk prochów] – mówił Johnson. – Próbowałem ukrócić nawyki związane z wypisywaniem recept. Niestety, za przeciwnika miałem kampanię reklamową poświęconą liberalizacji przepisywania leków na receptę, na którą wydano wiele milionów dolarów. Epidemiolodzy wykazali potem, że miałem rację. Jednak nikt nie zwracał na to uwagi, dopóki Departament Zdrowia nie zdał sobie sprawy, że nasze wskaźniki są wyższe od liczby ofiar [śmiertelnych] wypadków samochodowych.

Niedługo po napisaniu z Sociem raportu Christy Beeghly zadzwoniła do Lisy Roberts – pielęgniarki miejskiej w Portsmouth – z prośbą o zorganizowanie spotkania z kimś kompetentnym, z kim można byłoby omówić problem.

Lisa odezwała się do swojej koleżanki i współpracownicy z publicznej służby zdrowia. W końcu pojawiła się sposobność, by porozmawiać o kwestii dostępności tabletek na obszarach leżących wzdłuż rzeki Ohio. Pojechały we trzy do Columbus, gdzie szybko się okazało, że pozostałe kobiety przebywające w sali nie miały najmniejszego pojęcia o tym, co działo się w Portsmouth.

– Siedziałyśmy tam, a one opowiadały, jakie to mają wspaniałe córki. „Moja córka jest na uniwersytecie”, „A moja zrobiła doktorat” – wspominała Roberts. – Podałam koleżance kartkę z zapisanym pytaniem: „Co robimy?”. Odpowiedziała mi: „Powiem prawdę, jeśli ty to zrobisz. Przyda im się zimny prysznic”.

Kiedy przyszła na nią kolej, Roberts powiedziała zgromadzonym, że jej córka jest uzależniona od tabletek, które jej podkradała. Lisa wyrzuciła ją z domu.

– Moja córka – odezwała się jej koleżanka – siedzi w areszcie oskarżona o zabicie trzech osób w celu przywłaszczenia posiadanych przez nie tabletek.

Połowa dzieci ich koleżanek była uzależniona. Potem kobiety przeszły do opowieści o fabrykach prochów, barterowej gospodarce opartej na OxyContinie i nieustannie zdarzających się śmiertelnych przedawkowaniach.

W sali zapadła cisza.

– Pamiętam, jak wróciłam do domu wściekła – wspominała Roberts. – To nie w porządku, że naszym dzieciom zabrano przyszłość i wolność, bo padły ofiarą tej potwornej substancji, która ukradła im duszę. Nasze dzieci nie powinny iść prostą drogą do grobu. Postanowiłyśmy więc, że poślemy je do wojska. Po detoksie moja

córka miała większe szanse na przeżycie podczas wojny, niż gdyby miała dalej borykać się z epidemią prochów.

Beeghly przygotowała prezentację poświęconą przypadkom przedawkowania. Na slajdach w Power Poincie widać było czerwoną plamę rozpełzającą się z południowego Ohio na północ. W Portsmouth odbyły się trzy spotkania z udziałem Terry'ego Johnsona, ludzi z instytucji medycznych i aptekarskich oraz członków Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami (DEA). Ówczesny gubernator Ted Strickland wydał rozporządzenie nadzwyczajne powołujące do życia stanową grupę roboczą do spraw opiatów, która miała opracować propozycje zmian w polityce antynarkotykowej.

Tymczasem w położonym w stanie Ohio hrabstwie Athens doktor Joe Gay analizował dane opracowane przez Eda Sociego i Christy Beeghly. Ten gadatliwy Teksańczyk kierował ośrodkiem odwykowym obsługującym cztery hrabstwa położone w regionie appalaskim i podobnie jak Socie, również pasjonował się statystyką.

Opracowany przez Departament Zdrowia wykres przedstawiający liczbę zgonów z przedawkowania wyglądał niemal tak samo jak wykres ilustrujący liczbę wydanych na receptę środków przeciwbólowych. Gay przeanalizował dane, by sprawdzić, na ile rzeczywiście występuje między nimi korelacja. Następnie zadzwonił do swojego znajomego Ormana Halla.

Orman Hall kierował kliniką odwykową dla narkomanów działającą w hrabstwie Fairfield, niedaleko Columbus. Tego popołudnia był na pieszej wycieczce z synem, który zamierzał pójść na medycynę i – jak ojciec – interesował się badaniami statystycznymi. Wracając do domu, Hall sprawdził esemesy i z wrażenia aż uniósł brwi.

– To Joe Gay – powiedział, chichocząc i potrząsając głową, gdy już wyłączył telefon. – Pisze, że znalazł korelację rzędu 0,979 między ilością wydanych na receptę środków przeciwbólowych a liczbą zgonów spowodowanych przedawkowaniem opiatów.

Wydawało się to niedorzeczne. Podczas trzydziestu lat zajmowania się badaniami statystycznymi Orman Hall nigdy nie słyszał o współczynniku korelacji bliskim wartości 1, co oznaczałoby, że właściwie można postawić znak równości między ilością wydanych na receptę środków przeciwbólowych a liczbą zmarłych od nich osób.

Gay również nie mógł w to uwierzyć. Raz jeszcze przepuścił przez program dane pochodzące z Departamentu Zdrowia. Za każdym razem na ekranie komputera pojawiał się wynik 0,979.

Każdy, kto zajmuje się statystyką, wie, że korelacja nie oznacza przyczynowości. Według Gaya pokazywała ona tylko, że w Ohio można przynajmniej przewidywać, że z grubsza na każdą dwumiesięczną porcję wydanych na receptę środków przeciwbólowych przypadnie jeden zgon z przedawkowania.

Dziedzictwo zawodowego zapaśnika

Seattle, Waszyngton

W 2007 roku Alex Cahana otworzył drzwi do czegoś, co niegdyś było Ośrodkiem Zwalczania Bólu przy Uniwersytecie Waszyngtońskim, i zobaczył zasnuty pajęczynami relikt przeszłości.

Wyznaczająca niegdyś standardy klinika okazała się pozbawioną okien piwnicą. Prowadząca do niej droga, jak i ona sama nie były oznakowane żadnymi tablicami. Na ścianach wisiały kalendarze sprzed lat, sterty papieru leżały w nieładzie obok nigdy nieprzejrzanych wykresów i piętrzących się, nierozpakowanych pudeł, które stały zapadnięte niczym stary tort weselny. Kiedy Cahana przemierzał korytarze, piąty z kolei tymczasowy kierownik opowiadał mu, jak bardzo chciałby uwolnić się i wyjść z tego podziemia.

Tyle pozostało z pierwszej na świecie kliniki leczenia bólu. Koncepcja mówiąca, że ból jest chorobą, rzeczą wartą badania, narodziła się właśnie tutaj, podobnie jak i pogląd, że przewlekły ból ma wiele przyczyn, więc wymaga stosowania nie tylko środków farmaceutycznych, ale także terapii zajęciowej, fizjoterapii i terapii psychologicznej, a swoją w tym rolę mają do odegrania nawet pracownicy opieki społecznej.

Klinikę założył anestezjolog i były zawodowy zapaśnik John Bonica. Na podstawie tego, czego się tu nauczył, napisał klasyczny już podręcznik z zakresu kontroli bólu. W 1977 roku przeszedł na emeryturę, zmarł siedemnaście lat później. Jego uczeń doktor John Loeser rozbudował klinikę, zaś w całym kraju powstały setki innych wzorowanych na niej placówek. Jednak firmy ubezpieczeniowe stopniowo wycofywały się z refundowania usług, które nadawały tym ośrodkom charakter interdyscyplinarny. Pigułki przeciwbólowe na receptę były łatwiejsze w stosowaniu i przede wszystkim tańsze, i przynajmniej przez jakiś czas rzeczywiście się sprawdzały. Ponieważ macierzysta uczelnia coraz bardziej marginalizowała rolę kliniki, w 1998 roku Loeser ustąpił ze stanowiska.

Dziesięć lat później Cahana opowiadał: „Wyglądało, jakby [klinika] nie istniała. To była metafora tego, co stało się z interdyscyplinarnym podejściem do zarządzania bólem”. Zatrudnieni w niej pracownicy nazywali ją lochem.

Przemierzanie tego wraku zaprawione było goryczą, gdyż Alex Cahana od dawna czerpał inspirację z pracy Johna Loesera. On sam zaczął specjalizować się w problematyce bólu w latach osiemdziesiątych, gdy służył w armii izraelskiej, w której nabył doświadczenia bezpośrednio na polach bitewnych. W 1993 roku wziął udział w zorganizowanej w Paryżu konferencji, gdzie spotkał Loesera, który był wówczas przewodniczącym Międzynarodowego Stowarzyszenia Badań nad Bólem.

Cahana tak zapamiętał przesłanie Loesera: „Ból jest sednem naszej pracy jako lekarzy, a uśmierzanie bólu jest podstawową formą leczenia". Loeser mówił o Bonice, że był lekarzem wojskowym, który zobaczywszy cierpienia swojej żony podczas porodu, postanowił stworzyć nowoczesną medycynę bólu, a w tym celu trzeba było skierować się ku interdyscyplinarności.

Te słowa zainspirowały Cahanę. Po latach, gdy Uniwersytet Waszyngtoński poprosił go o wskrzeszenie kliniki, miał świadomość roli, jaką odegrała ona w historii medycyny bólu. Żywione przez lata marzenie, by zostać następcą Boniki i Loesera, mogło się spełnić. Na miejscu jednak zorientował się, dlaczego uczelnia sięgnęła aż do zagranicy, by tam znaleźć kogoś, kto podjąłby się tego zadania.

– To była instytucja w stanie całkowitej zapaści, nikt nie chciał jej tknąć – wspominał.

Cahana sporządził czterdziestostronicową umowę zobowiązującą uniwersytet do zapewnienia nowego, nadziemnego budynku kliniki. Chciał, by pomalowane na łagodne kolory ściany i okna wykonane były z naturalnych materiałów. Zażądał „zagrody" – nie gabinetów, tylko otwartej przestrzeni, w której lekarze mieliby biurka i dzięki temu mogli sprawniej wymieniać się informacjami. Zażyczył sobie najlepszego sprzętu do obrazowania, który pomocny byłby w lokalizowaniu bólu w ciele pacjentów. Poprosił też o mianowanie pielęgniarki-menedżerki, która by to wszystko nadzorowała.

Uczelnia przystała na te warunki. W prima aprilis 2008 roku Cahana rozpoczął nową pracę.

Pacjenci kliniki uniwersyteckiej wprawili go w natychmiastowy szok.

– Ci ludzie już od dłuższego czasu przyjmowali tony opioidów i byli w całkowitej rozsypce. Mówimy tu o środkach będących ekwiwalentami morfiny, zażywanych w dawkach sięgających setek miligramów. Dawkach, jakich w całym swoim dotychczasowym życiu nie widziałem: czterysta, pięćset, sześćset miligramów dziennie.

Co więcej, nikt nie kontrolował skutków stosowania opiatów dla odczuwanego przez pacjenta bólu, jego ogólnego funkcjonowania, depresji czy snu. Podzwonił więc po kolegach z innych placówek i zorientował się, że była to praktyka powszechna w całych Stanach Zjednoczonych.

– W żadnym z ośrodków nie stosowano terapii bólu opartej na pomiarach, a to był 2008 rok – opowiadał. – Wszystko zależało od subiektywnej oceny: czują się dobrze lub nie czują się dobrze. Funkcjonowała skala intensywności bólu od jednego do dziesięciu. To było chore. Warta wiele miliardów dolarów branża nie korzystała z żadnych mierzalnych danych.

Cahana zabrał się do wskrzeszania dzieła Loesera i Boniki. Wraz ze współpracownikami opracował wypełniany na komputerze kwestionariusz bazowy oraz jego krótszą kontynuację, które wykorzystywano przy każdej wizycie pacjenta. Jeśli pacjent mówił, że ból osłabł, ale nie nastąpiła ogólna poprawa zdrowia, to być może w grę wchodziły czynniki inne niż te dotąd uwzględniane.

W tym momencie Alex Cahana natknął się na problem, z którym przyszło się zmierzyć także Johnowi Loeserowi. Firmy ubezpieczeniowe gotowe były zwrócić tysiące dolarów za całość procedury medycznej, ale nie sposób było je skłonić do zrefundowania siedemdziesięciu pięciu dolarów wydanych na pracownika opieki społecznej, nawet jeśli prawdopodobne było, że ból odczuwany przez pacjenta po części może mieć swoje źródło w bezrobociu lub konflikcie małżeńskim.

– Nikt nie uważał, że tego rodzaju kwestie mają jakiekolwiek znaczenie – relacjonował Cahana. – Refundacja terapii rozmową to piętnaście dolarów za godzinę. Jeśli o mnie chodzi, to za wbicie igły mogę dostać od ośmiuset do pięciu tysięcy dolarów. System nadaje wartość temu, co nie tylko nie jest pomocne, ale czasem bywa wręcz szkodliwe dla pacjenta. Naukowcy wykazali, że pewne metody działają, ale ubezpieczalnie nie chcą za nie płacić.

Świetne czasy dla handlarzy heroiną

Nashville, Tennessee

Kiedy pojawia się nowy wirus, jego odkrycie często jest dziełem jakiegoś miejskiego lub wiejskiego lekarza, który natknął się na pacjenta z niepokojącymi nowymi objawami.

Coś podobnego wydarzyło się, gdy Chłopaki z Xalisco rozprzestrzeniały się na wschód od rzeki Missisipi, gdzie prowadzona przez firmę Purdue kampania promocyjna wraz z nagminnym wypisywaniem środków farmaceutycznych zawierających opiaty przyniosły pierwsze ofiary epidemii. Jednak w tym, co się działo, jako pierwsi zazwyczaj orientowali się wcale nie lekarze, ale miejscowi policjanci z patrolówki lub wydziału antynarkotykowego. Trafiali na ślad czarnej smoły, widzieli, że rozwożona jest jak pizza, i pytali samych siebie: „Co u diabła?”.

Tak też było w 2005 roku na przedmieściu Nashville zwanym Murfreesboro, gdzie pewien gliniarz w czasie patrolu wpadł na woźnego z sądu dla nieletnich, który już po godzinach pracy przypalał jakąś czarną, lepką substancję. Późniejsze testy wykazały, że była to heroina. Z pomocą zabiegającego o zmniejszenie wyroku woźnego policjanci z Murfreesboro doszli do tego, że handlarzami byli Meksykanie. Zaaranżowano zakup kontrolowany i gdy dilerzy pojawili się z towarem, zostali zwinięci. Sprawa się rozrosła i ostatecznie trafiła na biurko Dennisa Mabry’ego, śledczego z oddziału Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami (DEA) w Nashville, który z całej tej sytuacji zrozumiał niewiele więcej niż policjant z Murfreesboro. Kiedy jednak wraz ze swoim partnerem próbował znaleźć jakieś rokujące na przyszłość wątki, zaszedł do nich przełożony Harry Sommers.

Po operacji „Smolne jezioro” Sommers przeniósł się z centrali DEA, gdzie pełnił funkcje nadzorcze, i został szefem biura agencji w Nashville. Nie zapomniał jednak o tej operacji i opracowanym przez Chłopaków z Xalisco systemie detalicznej sprzedaży heroiny. Zaniepokoiło go więc, kiedy sześć lat później doszły do niego wieści, że dilerzy z Meksyku znów rozszerzyli swoją działalność.

– Nie udało nam się ich powstrzymać – wyznał. – Ci goście wciąż wkraczali na nowe terytoria.

Sommers objaśnił Mabry’emu zasady działania stosowanego przez Chłopaków systemu dostawy na telefon.

– Oto, z kim macie do czynienia – wytłumaczył im. – Wszyscy oni pochodzą z Nayaritu.

Ani Mabry, ani jego partner nigdy przedtem nie słyszeli tej nazwy. Niedługo potem myśleli już tylko o Nayaricie. Sprawa woźnego rozdęła się do takich rozmiarów, że przez rok zajmowało się nią piętnastu agentów. Śledzili kierowców, obserwowali transakcje i podsłuchiwali rozmowy telefoniczne. Komórka nayarickich handlarzy heroiną potrafiła przeprowadzić dziesięć tysięcy rozmów telefonicznych miesięcznie – więcej niż jakiekolwiek urządzenie podsłuchowe mogło w ogóle przetworzyć. Dochodzenie zaprowadziło śledczych do piętnastu miast w ośmiu stanach, a sprawa nazwana „Gorączką czarnego złota” zyskała pewien rozgłos.

– [Chłopaki z Xalisco] pojawiły się tu, przejęły kontrolę i trzepały mnóstwo kasy – opowiadał mi Mabry. – Ci goście wiedzieli, co robić, i byli w tym profesjonalistami. Trzymali baloniki w ustach i gdy zatrzymała ich policja, po prostu je połykali.

Okazało się, że Mabry obserwował odnogę sieci z Xalisco należącą do Sánchezów, którzy w nayarickim biznesie heroinowym byli postaciami wręcz legendarnymi. Ich historia, przynajmniej na tyle, na ile udało mi się ją odtworzyć, wydaje się typowa dla tego, w jaki sposób klany z Xalisco rozszerzały zasięg swojej działalności. Klan Sánchezów swoje korzenie ma w leżących niedaleko Xalisco wioskach – Aquiles Serdán, Emiliano Zapata i innych. Podobnie do Tejedów, także oni są wytworem izolacji charakterystycznej dla meksykańskich *ranchos* i związanej z nią oszałamiającej pajęczyny powiązanych małżeństwami kuzynów, braci, sióstr, przyrodniego rodzeństwa, zięciów, bratowych, szwagrów, szwagierek, teściów, teściowych, dalszych krewnych, ojczymów, macoch, ojców i matek, ciotek i wujków.

Uprawiający trzcinę cukrową Sánchezowie byli wśród pionierów, którzy na początku lat osiemdziesiątych zaczęli handlować heroiną w dolinie San Fernando, skąd następnie ruszyli do Las Vegas. Jeden z dilerów, z którymi rozmawiałem, powiedział mi, że argentyńska narkomanka znana pod pseudonimem La Sasha na początku kolejnej dekady ułatwiła Sánchezom z Las Vegas rozkręcenie interesu w Memphis, które według niego „na jakiś czas stało się jednym z największych rynków zbytu”.

Z kolei w 2004 roku ćpun z Memphis otworzył przed nimi rynek w Myrtle Beach w Karolinie Południowej, gdzie zapisał się do miejscowej kliniki metadonowej i rozdawał ich towar przychodzącym tam narkomanom. Policja zatrzymała go potem i postawiła zarzuty handlu narkotykami. Sánchezowie zdążyli jednak utworzyć już przyczółek dla rozszerzenia działalności na Columbię oraz Charleston i ostatecznie przejęli kontrolę nad większą częścią rynku heroinowego w tym stanie.

Wtedy Sánchezowie zaczęli bronić zdobytego terytorium za pomocą środków zupełnie niebędących w stylu Xalisco, grożąc użyciem przemocy szefom nowych komórek, które przenosiły się do Karoliny Południowej.

– Nie można było prowadzić interesów w tym stanie bez ich zgody – relacjonowało mi anonimowe źródło w oddziale DEA w Charlotte. – Zważywszy na to, że z Karoliną Południową graniczy Charlotte, spodziewaliśmy się większej aktywności już istniejących komórek [Xalisco z Charlotte] na południe od granicy między stanami, ale ta była słaba lub wręcz żadna.

Mabry z partnerami podsłuchiwali w Nashville, jak głowa miejscowej rodziny Javier „Chito” Sánchez-Torres rozmawiał – często zresztą – ze swym mieszkającym w Nayaricie wujkiem Albertem Sánchezem-Covarrubiasem. Javier odsiedział w Karolinie Południowej wyrok za handel heroiną i po wypuszczeniu na wolność w 2003 roku, nie wiedzieć jak, odnalazł się w Nashville.

Po jakimś czasie władze uznały, że Alberto Sánchez – czy też Wujek Beto, jak na niego mówiono – był jednym z głównych źródeł dostaw heroiny na całe Stany Zjednoczone. Według informacji zebranych przez policję Beto Sánchez zaliczał się do pionierów xaliskańskiego interesu heroinowego w dolinie San Fernando i był jednym z pierwszych członków klanu sprzedających towar w dzielnicy Los Angeles zwanej Van Nuys – i to nim jeszcze ekipy z Xalisco zaczęły korzystać z samochodów i pagerów. Inny informator powiedział, że na początku lat osiemdziesiątych Beto Sánchez zabił podczas bójki w parku swego klienta i wrócił potem do Meksyku, choć Mabry’emu nie udało się znaleźć w archiwum żadnego dokumentu, który by potwierdzał to doniesienie.

– Ilekroć zatrzymywaliśmy któregoś z nich, zawsze mówili: „Beto to mój kuzyn. On jest moim szwagrem” – wspominał Mabry. – Wszyscy znali Alberta Sáncheza i wszyscy byli z nim jakoś spokrewnieni.

Wujek Beto często przekazywał swojemu bratankowi informacje o nowych rynkach, które można było zdobyć, o tym, kiedy nadejdzie najbliższa dostawa, oraz

przede wszystkim o zasadach postępowania z kierowcami, czyli wycofywaniu jednych i wprowadzaniu na ich miejsce nowych.

– To było jak wymiana zawodników z pola na rezerwowych w drużynie sportowej – opisywał Mabry. – Rezygnował z tych, którzy zupełnie sobie nie radzili lub też radzili sobie zbyt dobrze, czyli takich, w przypadku których istniało ryzyko, że zaczną olewać robotę i hulać całymi nocami po mieście.

Prawą ręką Alberta Sáncheza był jego kuzyn Gustavo, który kręcił się po Xalisco w poszukiwaniu potencjalnych nowych kierowców. Rodzina nie tylko w kółko rekrutowała coraz to nowych szoferów, ale też nigdy nie przestawała szukać nowych terytoriów do podboju.

Gdzieś na początku pierwszej dekady XXI wieku, jak zgodnie utrzymują narkomani i policja, Sánchezowie oddelegowali kilku ludzi z Nashville do Indianapolis, by utworzyli tam nową komórkę. W miarę upływu czasu coraz silniej czuli, że potrzebują kogoś świeżego, kto wprowadzi więcej życia do interesu.

Odbyłem kilka rozmów z handlarzem, którego wysłali jako następnego. Człowiek ten poznał na imprezie w Los Angeles Javiera Sáncheza-Torresa i ten zwerbował go do pracy w Nashville.

– Zaczynałem jako kierowca z balonikami w ustach – zwierzał się. – Po sześciu miesiącach szkoliłem innych kierowców. Siedziałem w domu, odbierałem telefony i instruowałem ludzi, gdzie mają jechać.

Sánchezowie mieli już wtedy pełną świadomość tego, jaką rolę w interesie odgrywa OxyContin.

– To była część strategii marketingowej – dodaje. – Chiva to to samo co OxyContin, tyle że ten drugi jest legalny. Ci, którzy brali OxyContin, przerzucali się na chivę. Zdobycie naszego towaru było o wiele łatwiejsze, niż pójście do lekarza po receptę na tabletki.

Kiedy diler ostatecznie zdobył zaufanie Sánchezów, wysyłali go z uzupełnieniem zapasów z centrum w Nashville do regionalnych komórek w Memphis, Charlotte i Columbii. W 2006 roku, gdy rodzina chciała zainstalować w Indianapolis nowe kierownictwo, wręczono mu ponad osiemdziesiąt gramów heroiny i polecono rozwinąć tamtejszy rynek. Pojawił się na miejscu, kipiąc energią i optymizmem typowym dla świeżo mianowanego regionalnego dyrektora do spraw sprzedaży.

– Zaróbmy niezłą kasę. Rozkręćmy to – powtarzał sobie.

Pozyskał bardziej doświadczonych narkomanów, by ci roznieśli po mieście numer telefoniczny komórki, oferując im darmową heroinę w zamian za każde kilkaset dolarów wygenerowanych przez nich zysków. Ćpuny utworzyły bardzo prężny dział sprzedaży.

– Zależało im przede wszystkim na ilości, byle zalać rynek – opowiadał jeden z narkomanów z Indianapolis, który pracował dla Sánchezów. – Wystarczyło sprzedać towar odpowiednio tanio, a on sam z siebie generował popyt.

Już wkrótce pojawiły się chętne do kupna dzieciaki z przedmieść i studenci z Uniwersytetu Indiany w Bloomington. Czarna smoła z Xalisco rozlała się na setki kilometrów wokół Indianapolis.

Raz na jakiś czas wymieniano kierowców – wszyscy pochodzili z wiosek leżących niedaleko Xalisco w stanie Nayarit. Diler, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że płacił im tysiąc pięćset dolarów tygodniowo, a także pokrywał wszystkie koszty, w tym wydatki na piwo i prostytutki. Kiedy kierowca miał wracać do Nayaritu, dostawał za darmo osiemdziesiąt gramów heroiny, którą sprzedawał, zatrzymywał dla siebie zarobek i jechał samochodem do domu z pieniędzmi wystarczającymi na zbudowanie piętrowego domu lub rozkręcenie własnego interesu.

– To biedni ludzie, chcą pójść do przodu, więc podaje im się pomocną dłoń – tłumaczył diler.

W tych czasach coraz więcej młodych ludzi w Xalisco w poszukiwaniu tej pomocnej dłoni zwracało się właśnie ku chivie.

W całym miasteczku widać było, co dało się osiągnąć dzięki sprzedaży heroiny. Sklepy z damską odzieżą, kancelarie prawne, nowe spożywczaki. Na każdą dzielnicę przypadało sześć monopolowych z piwem – każdy nowiuteńki, z drewnianą podłogą, kamerą przemysłową i skomputeryzowanymi kasami. Wszędzie można było napotkać duże domy będące własnością młodych mężczyzn. Pieniądze na ich zbudowanie z pewnością nie pochodziły z uprawy trzciny cukrowej.

Podczas Feria del Elote szefowie komórek sponsorowali drużyny koszykarskie, sprowadzając na wpół zawodowych graczy z Monterrey, Mazatlán i Hermosillo. W każdej z nich był przynajmniej jeden Afroamerykanin, co miało zwiększyć szanse na zwycięstwo. Podczas miejskiej parady konnej, w której niegdyś brały

udział zwykłe konie pociągowe, warte pięć tysięcy dolarów siodła tkwiły na grzbietach rumaków kosztujących cztery razy tyle.

Na początku XXI wieku system Xalisco rozwinął się na tyle, że wchłonął w siebie rodziny z całego regionu. Pionierzy z klanu Tejedów-Sánchezów przez lata zatrudniali wyłącznie ludzi, z którymi w jakiś sposób byli spokrewnieni. Zmieniło się to po operacji „Smolne jezioro", w wyniku której mnóstwo z nich trafiło do więzienia. Rynek heroiny w Stanach Zjednoczonych wciąż się rozwijał, do czego przyczyniało się coraz powszechniejsze uzależnienie Amerykanów od środków przeciwbólowych wydawanych na receptę. Bossowie z Xalisco szybko odtworzyli swoją sieć, tym razem rekrutując do niej osoby, z którymi nie łączyły ich więzi rodzinne. Przez kilka kolejnych lat wraz z namnażaniem się komórek dilerskich popyt na siłę roboczą gwałtownie narastał i możliwość pracy przy heroinie otworzyła się dla osób dotąd z niej wykluczonych. Duża część pokolenia młodych mężczyzn skorzystała z nadarzającej się sposobności.

Pewien rozpoczynający właśnie odsiadkę kierowca, z którym rozmawiałem, zwierzył mi się, że myśl o wyjeździe na północ przyszła mu do głowy po tym, jak zobaczył, że znajomy handlarz heroiną zbudował dom z garażem wyposażonym w automatycznie otwierane drzwi. Starcy stali pogrążeni w zachwycie, oglądając, jak się otwierały i zamykały. Inni kierowcy, z którymi się wychowywał, wracali i stawiali piwo wszystkim na placu, a dziewczyny lgnęły do nich jak urzeczone. Nie mając ani ziemi na własność, ani widoków na przyszłość, też się zgłosił.

– To było jak zielsko. Rosło, póki nie pochłonęło całej wioski, aż na koniec nikt już nie dbał o pozory – opowiadał mi były kierowca, który przedstawił się jako Pedro. – Każdy, kto chciał zaryzykować i polepszyć swój los, miał po temu okazję.

Chiva wzbudzała odrazę u większości meksykańskich *rancheros.*

– Ale to jest jak w tej piosence: „Brudnymi pieniędzmi też zaspokoisz głód" – mówił Pedro. – Kiedy mój brat ruszył na północ, mama nie mogła się nadziwić, jak mógł sprzedawać to świństwo, ale gdy zobaczyła pieniądze, nie potrafiła ukryć radości.

Szefowie komórek nie mieli innego wyjścia, jak tylko werbować kierowców z nowych *ranchos* i z położonej niedaleko stolicy stanu Nayarit – Tepic. Nowi pracownicy nie byli w żaden sposób spokrewnieni z pionierami handlu heroiną. Co więcej, mieli już pracę jako malarze pokojowi, robotnicy budowlani, piekarze czy rzeźnicy. Jednak w Meksyku zawody te nie zapewniały przyszłości, było też coś upokarzającego w przyglądaniu się, jak tylu młodych mężczyzn miało nowe

samochody, nowe domy i pieniądze na uruchomienie swojej *banda*. Tak więc wkrótce jeżdżenie po którymś z głównych ośrodków miejskich Stanów Zjednoczonych z ustami pełnymi baloników z heroiną stało się okazją do wzbogacenia dla o wiele szerszej rzeszy młodych mężczyzn z Xalisco i okolic – był to specyficzny odpowiednik zapomogi federalnej SSI we wschodnim Kentucky.

W kilku dzielnicach Xalisco niemal wszyscy zdolni do pracy młodzi mężczyźni wyjechali kiedyś na północ, by sprzedawać heroinę. Wśród nich byli robotnicy z położonych niedaleko miejskiej areny rodeo Landareñas i Tres Puntos, gdzie nadal spotkać można było niebrukowane ulice i usłyszeć piejące koguty. Okolice te – specyficzna mieszanka domów z betonowych cegieł, warsztatów, małych sklepików rodzinnych, niewielkich salonów piękności – stały się ważnym źródłem siły roboczej dla działających w Stanach Zjednoczonych komórek sprzedających heroinę. Wśród młodych mężczyzn z Landareñas i Tres Puntos zapanowała wręcz moda na handlowanie narkotykami na północy, które traktowano niemal jak swoisty rytuał przejścia. Większość z nich z Ameryki poznała niewiele poza wąskimi parkingami przed centrami handlowymi w Columbus, Charlotte, Denver, Portland czy Salt Lake City – głównych ośrodkach sprzedaży xaliskańskiej heroiny.

Pedro w Nayaricie podejmował się wielu niedających żadnych perspektyw na przyszłość zajęć. Ojciec wpoił mu nienawiść do narkotyków, a on sam nigdy nie słuchał *narcocorridos*, czyli ballad opiewających chwalebną śmierć handlarzy narkotyków.

– Miałem jednak dość pracy, która do niczego nie prowadziła – wyznawał po latach.

Jego szwagrowi zaproponowano pracę sprzedawcy heroiny. Wkrótce na północ ruszyło też kilku braci Pedra.

– Daj znać, jeśli będą kogoś potrzebowali – powiedział wtedy szwagrowi.

Pedro już od jakiegoś czasu z uwagą obserwował, jak w Xalisco rozwija się interes. Jako chłopiec widział człowieka, który właśnie wrócił ze Stanów. Siedział na koniu pełnej krwi angielskiej, który pozostawał poza możliwościami finansowymi każdego innego mieszkańca miasteczka, i pił piwo, a wszyscy plotkowali tylko o nim. Od tamtej pory ponad dwudziestu znajomych Pedra ruszyło na północ pracować jako kierowcy w ogarniającym coraz to nowe połacie Stanów Zjednoczonych xaliskańskim systemie sprzedaży heroiny. Każdy z nich jechał tam, snując marzenia o zarobieniu pieniędzy wystarczających na otworzenie salonu

samochodowego czy budki z tortillami bądź też na kupno taksówki. Żadnemu się to nie udało. To prawda, pobudowali się i nakupowali ubrań swoim rodzinom, zwłaszcza te sławetne pięćsetjedynki Levi'sa. Resztę jednak przepuszczali na piwo, kluby ze striptizem i kokainę. Przez tydzień lub dwa lansowali się na ulicach Xalisco, wzbudzając zazdrość u innych mężczyzn, potem jednak, gdy gotówka się skończyła, raz za razem ruszali przez granicę jako wyrobnicy w heroinowym interesie, znów gnani pragnieniem zarobienia łatwych pieniędzy. Zasób siły roboczej w Xalisco nigdy się nie wyczerpywał. Młodzi mężczyźni zawsze chętnie raz jeszcze wyjeżdżali sprzedawać czarną smołę, by po powrocie do domu znów – choćby przez chwilę – poczuć się jak królowie życia.

Kiedy Pedro odebrał telefon od szefa komórki, przyrzekł sobie, że w jego przypadku będzie inaczej. Chciał zarobić tyle, by otworzyć piekarnię. Szef wysłał go z innym młodym chłopakiem na granicę i sfinansował przerzut w grupie innych imigrantów. Chłopaka wysłano następnie do Minneapolis, a Pedro trafił do Columbus, skąd szef przeniósł go do innego miasta położonego na terytorium, które uznawano jeszcze za dziewicze.

Wpojono mu kilka zasad. Żadnych czarnych, bo szef obawiał się Afroamerykanów. Kiedyś jeden z klientów przyprowadził ze sobą czarnego. Szef wyciągnął broń i kazał obu wyjść i nigdy nie wracać. Dzieciaki, którym Pedro sprzedawał towar, były bez wyjątku białe i zawsze chętne do wypróbowania w praktyce hiszpańszczyzny wyniesionej z liceum.

– *Hola, amigo. ¿Como estas? Me gusta mucho la cerveza.*

Pedro wraz ze współpracownikami znalazł wyposażone mieszkanie. On sam nie chciał się wyróżniać ani jeździć więcej, niż musiał. Kiedy nie pracował, siedział w domu i grał na konsoli. Zarabiał tysiąc dolarów tygodniowo. W pewnym momencie aresztowano go i oskarżono o handel narkotykami.

Trafił do więzienia, gdzie uczył się do egzaminu GED – za dwadzieścia pięć centów za godzinę – który ostatecznie zdał. Pracował też jako więzienny ogrodnik i kucharz, zarabiając dwadzieścia trzy dolary miesięcznie, co wystarczało mu na telewizję, radio i własne jedzenie. W chwili wypuszczenia na wolność miał przy sobie dziewięćset dolarów – niemal tyle, ile przez tydzień zarabiał na handlu heroiną.

Zawieziono go do El Paso, gdzie funkcjonariusz zaprowadził go na most prowadzący do Ciudad Juárez i kazał iść przed siebie.

– Nie wracaj więcej – usłyszał na pożegnanie.

Miesiąc później, gdy był już w domu, dostał list z więzienia. W środku był czek opiewający na czterysta trzydzieści dolarów, resztę tego, co mu się należało za pracę i przygotowania do egzaminu GED.

W dniu rozpoczęcia operacji „Gorączka czarnego złota", mniej więcej rok po aresztowaniu w Nashville naćpanego woźnego sądowego, setki funkcjonariuszy rozeszły się po piętnastu miastach Stanów Zjednoczonych, zgarniając członków komórek heroinowych należących do klanu Sánchezów. Zatrzymano w sumie sto trzydzieści osiem osób – kierowców, dyspozytorów, dostawców i pokaźne grupy miejscowych narkomanów.

Tego dnia sąd federalny wyglądał jak sala szpitalna. Ćpuny wymiotowały, pociły się i spadały z ław.

– Gdybyśmy ich nie aresztowali, umarliby – powiedział Mabry.

Urzędnicy sądowi sprowadzili lekarzy. Kilku narkomanom odroczono postawienie zarzutów, bo nie byli w stanie zrozumieć, co do nich mówił sędzia.

Podobnie jak przeprowadzona sześć lat wcześniej operacja „Smolne jezioro", także akcja „Gorączka czarnego złota" pokazała olbrzymi zasięg systemu Xalisco, choć tym razem ograniczonego do jednej tylko rodziny. Nashville miało powiązania z Ohio, Karoliną Północną i Południową, Indianą, Kentucky i paroma innymi stanami na zachodzie.

Oskarżony zaocznie w Tennessee Alberto Sánchez – Wujek Beto – przebywa w Meksyku, najprawdopodobniej w Guadalajarze. Komórki heroinowe kontrolowane przez Sánchezów szybko się odbudowały, tak jak to było po operacji „Smolne jezioro". Ich siatka oplata większą część Karoliny Południowej, w tym Myrtle Beach, gdzie policja sześciokrotnie rozbijała wchodzące w jej skład komórki, a te za każdym razem się odtwarzały. Z informacji uzyskanych od DEA i samych handlarzy wiem, że rodzina Sánchezów prowadzi też interesy w Denver, Charlotte, Indianapolis, Salt Lake City, Las Vegas, Cincinnati, Columbus, Knoxville, Memphis, Reno i Portland.

W miarę jak młodzi mężczyźni, którzy dotąd pracowali w zawodach niedających żadnych widoków na przyszłość, zgłaszali gotowość do bycia kierowcami, w Nayaricie ujawniały się nowe zasoby siły roboczej. W samych zaś Stanach Zjednoczonych wszędzie pojawiali się nowi, młodsi i bogatsi klienci. To były świetne czasy dla handlarzy heroiną.

Rozprawa

Południowo-zachodnia Wirginia

Późną nocą 24 października 2006 roku mieszkający w zachodniej Wirginii prokurator federalny John Brownlee odebrał telefon.

Dzwonił Michael J. Elston, który pracował w Departamencie Sprawiedliwości, gdy u prezydenta George'a W. Busha prokuratorem generalnym był Alberto Gonzales.

Elston dzwonił w imieniu kierownictwa Purdue Pharmy.

Wszczęte przez Brownlee'ego śledztwo w sprawie Purdue Pharmy i przeprowadzonej przez tę firmę farmaceutyczną kampanii marketingowej OxyContinu trwało już od czterech lat. Sprawę przydzielono prokuraturze w niewielkim Abingdon w stanie Wirginia – miasteczku leżącym obok Kentucky i Wirginii Zachodniej, czyli blisko górniczego regionu, gdzie setki ludzi pomarły od przedawkowania OxyContinu. Biuro wysłało setki wezwań, zeskanowało tysiące stron dokumentów i przesłuchało mnóstwo ludzi. W 2006 roku ekipa Brownlee'ego w swoim mniemaniu zebrała dowody na to, że firma świadomie wprowadziła w błąd odbiorców zorganizowanej przez siebie kampanii marketingowej, w której utrzymywała, że OxyContin w praktyce nie uzależnia.

Przeprowadzone przez Purdue badania fokusowe ujawniły, że lekarzy niepokoił tkwiący w OxyContinie potencjał uzależniający, choć zarazem domagali się długoterminowo działającego i mniej uzależniającego środka przeciwbólowego. Firma, która wyprodukowałaby tego rodzaju nieuzależniający farmaceutyk, „zdominowałaby rynek zarządzania bólem. To właśnie chciała zrobić Purdue" – oświadczył później Brownlee. „Prowadzone przez Purdue marketing i promocja przedstawiały OxyContin jako mniej uzależniający, mniej podatny na nadużywanie i słabiej generujący tolerancję oraz głód narkotyczny niż inne środki przeciwbólowe".

Śledczy stwierdzili, że pomimo treści reklam firma Purdue nie udostępniła FDA żadnych wyników badań, które stanowiłyby dowód na prawdziwość tych twierdzeń. Firma instruowała pracowników działu sprzedaży, że oksykodon jest trudniejszy do ekstrahowania – a tym samym nadużywania – niż inne substancje

czynne, choć z przeprowadzonych przez nią testów wyszło, że nie jest to prawdą. Analizy z 1995 roku pokazały, że z pokruszonej tabletki da się ekstrahować sześćdziesiąt osiem procent oksykodonu, który po rozpuszczeniu i przepuszczeniu przez bawełnianą szmatkę można było wciągnąć do strzykawki. I w istocie narkomani, z którymi rozmawiałem, przyznawali, że łatwiej było go wydobyć z pigułki OxyContinu niż z innych, łagodniejszych opiatowych środków przeciwbólowych w rodzaju Vicodinu lub Lortabu, gdyż produkt Purdue zawierał wyłącznie oksykodon, podczas gdy inne środki miały też domieszkę acetaminofenu.

Pracownicy działu sprzedaży mówili podczas organizowanych w całych Stanach Zjednoczonych spotkań promocyjnych, że zawarta w OxyContinie dwudziestoczterogodzinna formuła o przedłużonym uwalnianiu substancji czynnej oznaczała mniejszą liczbę stanów euforycznych i wahnięć nastroju niż w przypadku opiatów o natychmiastowym uwalnianiu. To był kluczowy argument. Intensywne stany euforyczne, po których następują równie silne załamania nastroju, wywołują głód prowadzący do uzależnienia od opiatów. Gdyby zażywanie OxyContinu nie wiązało się z tymi wahnięciami nastroju, wtedy można byłoby mówić lekarzom, że pigułki te mają niższy potencjał uzależniający niż opiaty działające krótkoterminowo. Rozmawiałem z wieloma lekarzami, którzy przyznawali, że wykresy pokazujące rzekomo niewielkie wahnięcia w ilości występującego w osoczu krwi i uwolnionego z OxyContinu oksykodonu były jednymi z najbardziej przekonujących uzasadnień przywoływanych przez pracowników Purdue.

Jednak śledczy federalni stwierdzili później, że te wykresy były obarczone błędem i „fałszywie” wyolbrzymiały różnicę w efekcie euforycznym między OxyContinem a jego krótkoterminowo działającymi konkurentami.

Purdue „podkręciła wykresy, by pokazać stabilny poziom oksykodonu w osoczu krwi”, powiedział Paul Hanly reprezentujący powoda z Nowego Jorku, który złożył pozew grupowy przeciwko firmie. „Rzetelne wykresy pokazują niebywały skok, potem już tylko – bum – i spada się wprost na samo dno”.

Kierownicy z Purdue uwrażliwiali przedstawicieli handlowych, by mówili lekarzom, że pacjenci przyjmujący do sześćdziesięciu miligramów OxyContinu mogą go w każdej chwili odstawić bez objawów głodu. Jednak śledczy federalni odkryli, że przedstawiciele firmy wiedzieli o przeprowadzonym w 2001 roku w Wielkiej Brytanii badaniu chorych na osteoporozę, którzy opisywali odczucie

głodu narkotycznego po zaprzestaniu przyjmowania środka. Jak napisali śledczy, „nawet po otrzymaniu tej informacji kierownicy i pracownicy postanowili nie publikować jej z powodu obaw, że »wzmoże ona negatywną prasę«, jaką miał OxyContin”.

Podczas pisania tej książki skontaktowałem się z przedstawicielami Purdue zajmującymi się kontaktami z mediami i poprosiłem o udzielenie wywiadu dotyczącego rozprawy z 2006 roku. Wypytywałem między innymi o kampanię reklamową i późniejszą sprzedaż leku. Zwróciłem się także z prośbą o rozmowę z autorem koncepcji „pseudouzależnienia” doktorem Davidem Haddoxem oraz z doktorem Curtisem Wrightem, który z ramienia FDA rozpatrywał wniosek złożony przez Purdue. Rzecznik firmy przesłał mi następującą odpowiedź:

> Od ponad trzydziestu lat Purdue Pharma opracowuje farmaceutyki opioidowe przynoszące ulgę milionom osób dręczonych działającym destrukcyjnie bólem. Jako branżowi liderzy rynkowi mamy głęboką świadomość zagrożeń dla stanu zdrowotnego społeczeństwa, które związane są z niewłaściwym stosowaniem lub nadużywaniem tych środków. Współpracujemy z decydentami i pracownikami służby zdrowia w celu ograniczenia ryzyka związanego ze stosowaniem opioidów bez jednoczesnego sprzeniewierzenia się interesom zdrowotnym osób cierpiących na bóle chroniczne.
>
> Purdue wprowadza innowacyjne technologie pozwalające produkować środki przeciwbólowe w nowej postaci, która uwzględnia między innymi zawarte w nich czynniki powstrzymujące od niewłaściwego stosowania, przez co stają się one nieatrakcyjne dla osób nadużywających leki. Farmaceutyki te zaprojektowano tak, by przynosiły ulgę osobom odczuwającym ból wtedy, gdy zażywane są zgodnie z zaleceniami, a także zniechęcały do nadużywania drogą wziewną lub poprzez iniekcję. Nowatorskie rozwiązania nie zapobiegają wprawdzie nadużywaniu leków, jednak są one krokiem we właściwym kierunku.
>
> Sprzyjamy przechodzeniu na powstrzymujące od nadużywania technologie, niemniej musi temu towarzyszyć zwiększona aktywność społeczna mająca na celu ograniczenie pozamedycznego stosowania leków wydawanych na receptę.

W 2005 roku prokuratorzy federalni w Abingdon, którzy przygotowywali oskarżenie przeciwko Purdue, wystosowali zaadresowane do doktora Hershela Jicka z Uniwersytetu Bostońskiego wezwanie do sądu. Wręczył mu je zastępca szeryfa. Początkowo doktor Jick zignorował pismo, gdyż miał zbyt dużo pracy, by się tą sprawą zajmować. Zadzwoniono więc do niego z biura prokuratora federalnego z informacją, że powinien zeznawać przed wielką ławą przysięgłych

w sprawie wykorzystania przez firmę jego opublikowanego w 1980 roku listu do czasopisma „New England Journal of Medicine” jako dowodu na to, że produkowany przez nią środek nie ma właściwości uzależniających. Hershel Jick wpadł w konsternację. Nie miał pojęcia, o czym mówiła do niego prokurator. Co to w ogóle miało z nim wspólnego?

– Powiedziałem, że się nie stawię – wspominał. – Zagrozili mi jednak, że zamkną mnie w więzieniu, więc wybrałem się do nich. Posadzili mnie na miejscu dla świadka i przez dwie godziny zadawali niezwiązane z tematem głupawe pytania.

Doktor Jick wrócił potem do Bostonu i w tym miejscu opuszcza naszą historię, choć jego opublikowany pod koniec numeru krótki list do redakcji „New England Journal of Medicine” przyczynił się – raczej nieumyślnie – do rozniecenia rewolucji w amerykańskiej medycynie.

Tymczasem w Abingdon dalej trwały prace związane ze sprawą Purdue. John Brownlee wniósł oskarżenie przeciwko firmie farmaceutycznej. Wyznaczył na 25 października ostateczny termin dla wypracowania przez Purdue ugody z oskarżeniem, w której firma przyznałaby się do przestępstwa polegającego na uprawianiu niezgodnego z prawdą marketingu OxyContinu. W przeciwnym wypadku czekałyby ją dalsze zarzuty. Podczas późniejszego wystąpienia przed Komitetem Sądowniczym Senatu Stanów Zjednoczonych Brownlee zeznał, że Michael Elston poprosił go w rozmowie telefonicznej o spowolnienie prac i przełożenie terminu zawarcia ewentualnej ugody. Elston przyzna potem, że dzwonił w imieniu przełożonego, który z kolei odebrał telefon od adwokata Purdue z prośbą o uzyskanie dodatkowego czasu dla firmy.

Brownlee przemyślał prośbę. To była bardzo delikatna kwestia. Jego kariera rozwijała się w pomyślny sposób, a ponadto krążyły wówczas pogłoski o tym, że mógłby kandydować na stanowego prokuratora generalnego czy wręcz gubernatora. Nie widział też powodu do przewlekania sprawy. Tego wieczora dostał od szefostwa Departamentu Sprawiedliwości zgodę na kontynuację postępowania. Z jego wypowiedzi wynika, że spławił Elstona. Nazajutrz podpisał ugodę z Purdue, a osiem dni później jego nazwisko pojawiło się na sporządzonej przez Elstona liście prokuratorów federalnych, których zalecano zwolnić.

Zdymisjonowano ich dziewięciu. Ostatecznie Brownlee nie znalazł się w ich gronie. Jak jednak zezna rok później, uznał, że umieszczenie go na liście było odwetem za niewyrażenie zgody na odłożenie ostatecznego terminu osiągnięcia

ugody z firmą farmaceutyczną. Epizod z Purdue stał się częścią związanych z administracją Busha kontrowersji dotyczących wysokich funkcjonariuszy prokuratury federalnej oskarżanych o wtrącanie się w pracę innych prokuratorów i rekomendowanie do zwolnienia tych z nich, którzy nie stosowali się do czegoś, co postrzegano jako polecenie o charakterze politycznym. Po jakimś czasie Elston ustąpił ze stanowiska, a jego prawnik powiedział później dziennikarzom „Washington Post", że nie było żadnych związków pomiędzy odbytą tamtego wieczora rozmową telefoniczną a umieszczeniem nazwiska Brownlee'ego na liście prokuratorów do zwolnienia.

John Brownlee kolejny rok pełnił funkcję prokuratora federalnego na obszarze zachodniej części Wirginii. W 2008 roku złożył urząd i zaczął zabiegać o nominację na stanowego prokuratora generalnego z rekomendacji republikanów, ale przegrał w prawyborach. Ucichły również doniesienia o ewentualnym fotelu gubernatora. Jego kariera polityczna utknęła w martwym punkcie i obecnie prowadzi prywatną kancelarię prawną.

Niemniej firmę Purdue Pharma uznano winną niewłaściwej promocji OxyContinu. Aby uniknąć wydanych na szczeblu federalnym wyroków skazujących kierownictwo na karę więzienia, firma zapłaciła karę w wysokości sześciuset trzydziestu czterech i pół miliona dolarów, co było wówczas jedną z najwyższych kar zasądzonych przedsiębiorstwu z branży farmaceutycznej. Trzydzieści cztery i pół miliona dolarów z tej sumy wnieśli trzej pracownicy na stanowisku kierowniczym – dyrektor generalny Michael Friedman, główny adwokat Howard Udell oraz już wówczas niepracujący w Purdue szef działu medycznego doktor Paul Goldenheim. Każdego z nich uznano winnym prowadzenia niezgodnej z prawem promocji leku. Ponadto na trzy lata oddano ich pod nadzór kuratorski i skazano na czterysta godzin prac społecznych.

W lipcu 2007 roku kierownicy z Purdue pojawili się w sądzie federalnym, by wysłuchać wyroku. Na rozprawie wypowiedziała się Lee Nuss – matka mężczyzny z Florydy, który zmarł wskutek przedawkowania OxyContinu.

– Jesteście po prostu jednym wielkim korporacyjnym kartelem narkotykowym – oskarżała firmę.

Mniej więcej w tym samym czasie na południu stanu Ohio doktor Phillip Prior zaprzestał prowadzenia praktyki lekarza rodzinnego i zatrudnił się na pełnym etacie w prowadzonym przez Agencję do spraw Zdrowia Weteranów szpitalu

w Chillicothe, gdzie poświęcił się medycynie uzależnień. Prior był jednym z nielicznych na południu Ohio specjalistów zajmujących się uzależnieniami, przez co przyszło mu zostać kimś w rodzaju lekarza frontowego.

Okolice Chillicothe borykały się już uprzednio z problemem narkotyków, choć nie były to opiaty. Jednak niedługo przed tym, jak kampania Purdue rozkręciła się na dobre, w mieście i jego sąsiedztwie pojawili się pacjenci uzależnieni od OxyContinu. Wielu z nich przyjmowało setki miligramów dziennie, gdyż ich tolerancja na środek wzrosła. Nowe, liberalne podejście do jego przepisywania sprawiło, że OxyContin był właściwie wszędzie. Fabryki prochów mnożyły się jak grzyby po deszczu. Wkrótce tabletki opiatowe stały się ulubionym środkiem odurzającym małomiasteczkowej młodzieży, która w innych czasach pewnie rozpalałaby ogniska i się przy nich upijała.

Potem Prior w zdumieniu obserwował, jak do miasteczka wkracza heroina, która dla tych wiejskich, białych społeczności południowego Ohio była niczym ufo. Czyż nie był to narkotyk wielkomiejski? Dla czarnych w Baltimore lub Dystrykcie Kolumbii? Portorykańczyków z Nowego Jorku? Nigdy dotąd nie miała nic wspólnego z regionem appalaskim.

Co więcej, heroina ta nie przypominała niczego, co Prior dotąd widział, nawet na filmach. Była lepka i ciemnobrązowa, niczym odchody szczura, ale też mocna i – co najważniejsze – tania. Nazywano ją czarną smołą. W Columbus rozwozili ją jak pizzę Meksykanie, a przy tym kosztowała jedną czwartą tego co OxyContin, a jeśli kupowało się jej więcej, można było uzyskać zniżkę. W Chillicothe i innych miasteczkach hrabstwa Fairfield każdy narkoman z czasem zostawał sprzedawcą wyszukującym nowych klientów, tak by zlecenia od nich czyniły wyprawę do Columbus opłacalną. Wieści o nowym narkotyku rozprzestrzeniły się z hrabstwa Fairfield na południe – przez region, w którym OxyContin zdążył już zmiękczyć opór wobec konsumpcji opiatów.

W położonym sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Columbus hrabstwie Athens właściwie nigdy nie było heroiny. Natomiast już w 2008 roku piętnaście procent osób przyjmowanych w ośrodku zdrowia miało z nią styczność, niemal wszyscy z nich przyjmowali ją drogą iniekcji. W 2012 roku w ośrodku leczono więcej osób uzależnionych od heroiny – przede wszystkim od czarnej smoły – niż alkoholików.

Tak to się kręciło. Najpierw był OxyContin, wprowadzany przez przedstawicieli handlowych firmy Purdue Pharma nad stekiem i deserem oraz w klimatyzowanych

gabinetach lekarskich. Po kilku latach prym wiodła czarna smoła, rozprowadzana w małych, nienadmuchanych balonikach trzymanych w ustach przez wieśniaków z Xalisco, którzy jeździli starymi nissanami sentra na spotkania na parkingach przy McDonaldach, gdzie dobijali targu. Potem do interesu dołączali inni. Czarni z Detroit i Dayton odkryli południowe Ohio i przywlekli ze sobą heroinę w proszku.

Phillip Prior tkwił teraz po uszy w czymś, co jeszcze przed kilkoma laty wydawało się niewyobrażalne – problemie białych, uzależnionych od heroiny ćpunów z obszarów wiejskich.

– Jeszcze nie spotkałem nikogo, kto nie zaczynałby od OxyContinu – przyznał. – Nie sprzedawaliby takiej ilości heroiny na ulicach, gdyby nie uprzednie decyzje podejmowane w korporacyjnych salach posiedzeń.

CZĘŚĆ III

„Teraz to dziecko twojego sąsiada”

Nashville, Tennessee

Co roku pod koniec stycznia sędzia Seth Norman czekał w północno-wschodniej części Nashville, aż rozdzwonią się telefony.

– W styczniu zawsze jest posiedzenie legislatury stanowej – wyjaśniał.

Dzwonili jej członkowie, którzy mieli uzależnionych syna, córkę lub szwagra.

– „Eee, mój bratanek w Camden, może mógłbyś pomóc?”, odbieram tego typu telefony – opowiadał mi, gdy siedzieliśmy w biurze przylegającym do sali sądowej.

Większość z działających w kraju dwóch tysięcy ośmiuset sądów narkotykowych powołano po to, by osoby uzależnione nie trafiały do więzienia, tylko na odwyk. Seth Norman jest przewodniczącym jedynego takiego sądu, który fizycznie połączony jest z ośrodkiem odwykowym prowadzącym na miejscu terapie długoterminowe. Placówka przyjmuje narkomanów oskarżonych o popełnienie przestępstw bez użycia przemocy – kradzieże, włamania, dysponowanie mieniem pochodzącym z kradzieży, posiadanie narkotyków – i oferuje im trwające nawet dwa lata programy odwykowe jako alternatywę dla odbycia kary więzienia. Przy ciągnącym się od sądu korytarzu znajdują się sale sypialne mogące pomieścić sto osób – sześćdziesięciu mężczyzn i czterdzieści kobiet.

Pewnego pochmurnego jesiennego dnia odwiedziłem przybytek sędziego Normana w Nashville, gdyż obecna epidemia różniła się od tych znanych z przeszłości. Po raz pierwszy od momentu zsyntetyzowania heroiny za plagą nie stały jakiś gang czy mafia, tylko lekarze i firmy farmaceutyczne. Chciałem się dowiedzieć, jakie zmiany może wywołać w Stanach Zjednoczonych szerząca się narkomania, która dotąd kojarzona była tylko z gettem lub *barrio*, podczas gdy obecnie niemal wszyscy nowi narkomani byli białymi pochodzącymi z przedmieść lub obszarów wiejskich.

Seth Norman skończył osiemdziesiąt lat i ma śnieżnobiałe włosy, wytworne maniery rodem z Południa i idące z nimi w parze przeciąganie samogłosek. Niemal w pojedynkę uruchomił sąd narkotykowy i program odwykowy w 1996 roku, zdobywając łóżka szpitalne, kuchenki i kosiarki z nadwyżek stanu Tennessee.

W ramach swojej pracy często odwiedzał legislaturę stanową, gdzie jego błagania o zwiększenie budżetu prowadzonej przez niego instytucji przez długi czas puszczano mimo uszu. Norman chodził do ustawodawców, by przedstawić im zebrane przez siebie dane. Dzięki sądowi narkotykowemu i długofalowemu programowi odwykowemu duża część narkomanów unikała więzienia, co na szczeblu stanu przekładało się na trzydzieści dwa tysiące dolarów oszczędności, które inaczej trzeba byłoby wydać na każdego więźnia. Sąd narkotykowy mógł się pochwalić tym, że wśród osób, które ukończyły program, wskaźnik recydywy kształtował się na poziomie zaledwie dwudziestu procent. U osób wychodzących z więzienia było to sześćdziesiąt procent. Tak było, nim rozlała się epidemia pigułek i heroiny. Większość polityków traktowała odwyk jako mięczakowatą naiwność i opowiadała się za zamykaniem narkomanów za kratami, co było podejściem zdecydowanie popularniejszym w głosującym na republikanów stanie, którym było Tennessee.

Gdyby jednak przyjąć doświadczenia Normana za wyznacznik zmian, to owo twardogłowe podejście ostatnimi czasy zmiękło.

– Trzeba było szesnastu lat, by przekonać legislaturę, że taniej jest poddać ich [odwykowi], niż wsadzać do więzienia – opowiadał.

Obniżka kosztów nie była jednak głównym czynnikiem sprzyjającym zmianie. W przypadku narkomanów odwyk zawsze był skuteczniejszy i tańszy od więzienia. Kluczowe okazało się to, że od jakiegoś czasu większość oskarżonych nie była już pochodzącymi z podupadłej części śródmieścia Afroamerykanami zażywającymi crack i nim handlującymi. Przeważająca część nowych ćpunów pochodziła z białej klasy średniej lub wyższej klasy średniej mieszkającej w zdominowanych przez białych obszarach wiejskich – ludzi głosujących na większość zasiadających w legislaturze polityków z Tennessee, dających na nich datki, mieszkających w ich sąsiedztwie, robiących z nimi interesy czy też z nimi spokrewnionych.

Gdy epidemia opiatów ogarnęła klasę średnią, sięgnęły po nie dzieciaki z tych właśnie społeczności. Wcześniejsze pokolenia osób uzależnionych od opiatów to byli pracujący na własny rachunek robotnicy budowlani lub malarze pokojowi, bo heroina – a często i więzienie – pozwalała im na podejmowanie co najwyżej takich prostych zajęć. Nie bardzo jeszcze wiadomo, jak to będzie z najmłodszą generacją, pokaże to przyszłość, ale sytuacja nie wygląda dobrze. Duży podzbiór jej przedstawicieli ma już kryminalną przeszłość. Wielu oddano pod nadzór kuratorski, a całkiem spora grupa siedzi za kratami. W każdym razie ich rodzice

zdali sobie sprawę, że życie w cieniu uprzedniej karalności ma podobne ograniczenia jak życie z nałogiem heroinowym. Wszelkie marzenia, jakie niegdyś żywili wobec swoich dzieci, nie miały szans na spełnienie. Nawet wynajęcie dla nich mieszkania okazywało się trudne do zrealizowania. Dla osób z kryminalną przeszłością znalezienie pracy w środku recesji było prawie niewykonalne.

Niektórzy rodzice byli już na tyle wyczerpani, że z ulgą przyjmowali pobyt swoich pociech w więzieniu. I tak epidemia opiatów uczyniła z licznych białych twardogłowych konserwatystów zwolenników reform prawa karnego.

Takiego właśnie odkrycia dokonał sędzia Seth Norman. Doświadczenia życiowe zmieniły przyjmowane przez tradycjonalistów nastawienie do właściwej roli resocjalizacji w odniesieniu do narkomanów oskarżanych o przestępstwa narkotykowe i przeciwko mieniu.

– Trudno dziś znaleźć rodzinę, której nie dotknąłby problem uzależnienia, i to zmieniło podejście [polityków] do odwyku. Na początku, jakichś piętnaście lat temu, w takiej sytuacji byli nieliczni przedstawiciele legislatury. „Nieee, nikt w mojej rodzinie nawet tego nie dotknie”. Tak już nie jest. Teraz znają to z bezpośredniego doświadczenia.

Sędziemu trudno byłoby marzyć o czymś takim, gdy pod koniec lat dziewięćdziesiątych żebrał o nadmiarowe łóżka i próbował zdobyć od władz fundusze na działalność. Kiedy jednak epidemia opiatów dopadła białe społeczności w Tennessee, w sposobie myślenia nawet najzagorzalszych zwolenników twardej ręki zaszły daleko idące zmiany.

Ich oznaki (po cichu) zaczęły pojawiać się w całym kraju. Epidemia opiatów wymusiła na sędziach powołanie nowego rodzaju sądów – sądy dla weteranów, sądy dla osób z zaburzeniami psychicznymi – w których zajmowano się przyczynami, jakie zaprowadziły podsądnych na ławę oskarżonych.

W Ohio epidemia doprowadziła do przeludnienia w więzieniach. Powołany przez gubernatora Johna Kasicha republikański dyrektor więziennictwa Gary Mohr udzielił gazecie wywiadu, w którym przyznał, że opowiada się za rozbudową więziennych programów odwykowych, co zresztą uczynił w czterech zakładach. Zasugerował też, że poda się do dymisji, jeśli w reakcji na epidemię zapadnie decyzja o budowie kolejnych więzień.

Rzeczywiście, republikanie w całych Stanach Zjednoczonych rewidowali swoje poglądy. W Teksasie, Georgii, Karolinie Południowej i innych stanach politycy

z tej partii promowali coś, co „Wall Street Journal” nazwał „zestawem łagodniejszych i bardziej zniuansowanych przepisów”.

– Widać było, że za tą narastającą falą poparcia dla reformy prawa karnego rzeczywiście stały kręgi konserwatywne – opowiadał Chris Deutsch z Narodowego Stowarzyszenia Pracowników Sądów Narkotykowych. – Konserwatywni gubernatorzy zaczęli inwestować w sądy narkotykowe. W ostatnich piętnastu latach tego rodzaju instytucje otwarto w praktycznie każdym hrabstwie.

W Teksasie też to uczyniono i dzięki temu można było zamknąć część więzień.

Kongresman z Kentucky Hal Rogers – zadeklarowany konserwatywny republikanin – został orędownikiem sądów narkotykowych po tym, jak jego dystrykt, który obejmował też hrabstwo Floyd, ogarnęła plaga nadużywania pigułek na receptę. Jak napisał na swojej stronie internetowej, gdzie zachwala też działalność trzydziestu takich sądów w swoim liczącym dwadzieścia cztery hrabstwa dystrykcie: „Epidemia nielegalnie pozyskiwanych leków jest jak dotąd najbardziej destrukcyjnym zjawiskiem, jakiego doświadczyłem przez ponad czterdzieści lat służby publicznej”.

Kiedy pisałem tę książkę, republikańska legislator stanowa z Kentucky Katie Stine przedłożyła projekt ustawy mającej ułatwić karanie dilerów heroinowych za śmierć kogoś, kto umarł wskutek przedawkowania narkotyku. Jednak kluczowe w tym dokumencie było zwiększenie budżetu na leczenie uzależnień i edukację.

– Zwykło się myśleć: „Och, heroinista to ktoś w jakimś ciemnym zaułku, kogo nie znam” – mówiła Stine w lokalnej telewizji. – Teraz… to może być twoje dziecko. Albo dziecko twojego najbliższego sąsiada.

Gubernator Georgii Nathan Deal wysłuchał narkomanów wychodzących z nałogu i opowiadających o sobie w sądzie narkotykowym, którego przewodniczącym był jego syn.

– Wszyscy mają swoje własne historie, ale jest w nich pewien wspólny wątek – mówił w „Journal”, tłumacząc, dlaczego przez trzy lata potroił liczbę sądów narkotykowych. – Dostali jeszcze jedną szansę i zresocjalizowali się.

Za tym, że tego typu posunięcia były politycznie wykonalne w stanach takich jak Georgia, stało kilka czynników. Oczywiście obniżenie wskaźników przestępczości było jednym z nich. Napięte podczas recesji budżety to kolejny – choć leczenie zawsze było tańsze od osadzania w więzieniu.

To prawda, że – przypadkowo lub nie – ta zmiana w nastawieniu zachodziła wśród konserwatystów wtedy, gdy ofiarą uzależnienia od opiatów zaczęły w całych

Stanach Zjednoczonych padać białe dzieciaki z obszarów wiejskich i z klasy średniej, choć w szczególności w najbardziej republikańskich hrabstwach i stanach. Zniewolenie przez narkotyki i śmierć były na wyciągnięcie ręki, dotykały życia i zmiękczały serca wielu republikańskich polityków i wyborców. Przyjmuję, że to zachodzący w skali całego kraju moment chrześcijańskiego wybaczenia. Wiem też jednak, że wielu z tych ustawodawców nie okazywało takiej wielkoduszności, gdy podsądnymi byli wielkomiejscy narkomani wyniszczani crackiem. Powiedzmy tylko, że bezpośredni kontakt z uzależnieniem od opiatów może zmienić czyjeś nastawienie do rozlicznych problemów. Duża grupa ich wyborców nie była już tak zachwycona gadaniną o „twardej ręce wobec przestępczości", kiedy okazało się, że może chodzić o ich dzieci. Pojawił się nowy eufemizm – „mądrze wobec przestępczości" – pozwalający tym politykom wspierać programy resocjalizacyjne, które jeszcze nie tak dawno wykorzystywali do atakowania przeciwników.

Tymczasem sędzia Seth Norman, podniesiony na duchu przekabaceniem na swoją stronę klasy politycznej Tennessee, nie przestawał rozmyślać nad sytuacją. Cztery lub pięć sądów narkotykowych w rodzaju tego, któremu przewodniczył, mogłyby znaleźć wystarczające środki na funkcjonowanie, gdyby na każdą pigułkę opiatową wydawaną na receptę w Tennessee nałożyć niewielki podatek. Koniec końców w stanie liczącym sześć milionów mieszkańców sprzedawano około czterech milionów takich tabletek.

Kiedy wyjeżdżałem z Nashville i raz jeszcze wybierałem się do Portland – gdzie, jak się dowiedziałem, Chłopak z Xalisco został skazany za spowodowanie śmierci dziecka rosyjskich zielonoświątkowców, Toviya Sinyayeva – żadna z firm farmaceutycznych nie zdobyła się na poparcie wysuniętego przez Normana pomysłu.

Jak szefowie firmy produkującej papierosy

Portland, Oregon

Ponieważ za każdym telefonem mógł stać zysk, Chłopaki z Xalisco w swojej pracy nigdy nie ignorowały, gdy ktoś się do nich telefonicznie odzywał.

Dlatego też zaskoczyło detektywa policyjnego Toma Garretta, że mimo półgodzinnego wydzwaniania do jednego z nich, znanego pod pseudonimem Doriro, nikt nie odpowiadał.

Garrett ze współpracownikami zajmował się śledztwem w sprawie śmierci Toviya Sinyayeva – syna małżeństwa rosyjskich zielonoświątkowców, Anatolya i Niny, który umarł wskutek przedawkowania heroiny. Od chwili, w której matka znalazła go leżącego w jego pokoju w stanie śpiączki, minęło kilkanaście pełnych udręki dni. Jego siostra Elina podała policjantom nazwisko ich dilera – Aleksey Dzyuba, uzależniony od heroiny rosyjski zielonoświątkowiec.

Policja założyła podsłuch na telefonie Eliny, a ona zadzwoniła do handlarza. Chociaż borykała się z głodem narkotykowym i miała brata podłączonego do aparatury podtrzymującej życie, spotkała się z Dzyubą na parkingu przed sklepem Safeway. Obserwowało ją kilkunastu funkcjonariuszy w cywilu. Kupiła trochę heroiny, za którą zapłaciła znakowanymi pieniędzmi. Kiedy diler miał odjechać z parkingu, policjanci zdekonspirowali się i go aresztowali.

Następnie wdrożono strategię, jaką w celu zwalczenia Chłopaków z Xalisco opracowano w Portland. Nadano jej nazwisko koszykarza akademickiego, który zmarł w 1996 roku po tym, jak kolega poczęstował go kokainą.

Tak zwana sprawa Lena Biasa odwołuje się do prawa federalnego, w myśl którego osoba dostarczająca narkotyki, które spowodują zgon w wyniku przedawkowania, może zostać oskarżona o uczestnictwo w zmowie przestępczej prowadzącej do śmierci, za co grozi dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności. Trzeba tylko udowodnić, że dana osoba zmarła wskutek spożycia narkotyków pozyskanych od oskarżonego – należy przedstawić stosowny łańcuch dowodowy. Jeśli się to uda, zyskuje się potężne narzędzie prokuratorskie, które wzbudziło zainteresowanie w wielu stanach, gdy po kraju rozlała się epidemia opiatów i fala

śmiertelnych przedawkowań narkotyków. Jednym z miejsc, w których udoskonalono tę strategię, było Portland w stanie Oregon.

Korzyścią, jaką prokuratorzy mogli odnieść w wyniku zastosowania mechanizmu Lena Biasa, było umożliwienie śledczym rozpracowania łańcucha dystrybucji narkotyków. Żeby ustrzec się przed tego rodzaju oskarżeniem, diler musi spalić – i to szybko – dilera stojącego o jeden szczebel wyżej w hierarchii, jeżeli chce liczyć na łagodniejsze potraktowanie w sądzie. Ostatniej osobie, do której w ten sposób dotrą oficerowie śledczy, grozi ćwierć wieku za kratami – to brzemienna w skutki gra w gorące krzesła.

Tak więc w pokoju przesłuchań toczą się szczere rozmowy. Śledczy nie mogą zastraszać podejrzanych, ale zawsze mówią, co im grozi w myśl zapisów prawa federalnego.

– Nastrój w pokoju definitywnie się zmienia – opisywał Garrett. – Nie ma już miejsca na żarty. To bardzo przejmująca rozmowa.

Porozumiewający się za pośrednictwem tłumacza z rosyjskiego Dzyuba obruszył się na tę propozycję. Przesłuchującym go śledczym powiedział, że codziennie ludzie umierają wskutek uzależnień. To nie jego trzeba było obwiniać za ich decyzje. Ostatecznie jednak adwokatowi udało się wytłumaczyć powagę sytuacji. Dzyuba podał nazwisko ćpuna i handlarza, u którego się zaopatrywał. Dzięki temu Garrett ze współpracownikami mógł posunąć się o kolejne ogniwo w łańcuchu.

Również diler Dzyuby podał nazwisko swego dostawcy, a ten zaś swojego. Stojący trzy szczeble wyżej od dilera Toviya handlarz przyznał, że kupował towar codziennie od Meksykanina, którego znał jako Doriro.

W ten oto sposób Garrett z kolegami mógł 11 kwietnia 2011 roku zacząć dzwonić do człowieka z Nayaritu, którego nazwisko – Joaquin Segura-Cordero – poznali nieco później.

Nikt jednak nie odbierał. Próbowali całe popołudnie. Bez skutku.

Nie wiedzieli, że Segura-Cordero był właśnie zatrzymywany przez inny wydział. Policja z Portland prowadziła przeciwko niemu własną sprawę typu Lena Biasa. Miała ona swoje źródło w odległej o trzy godziny drogi miejscowości Bend, gdzie przed kilkoma miesiącami zmarł wskutek przedawkowania Jedediah Elliott.

Oba łańcuchy dostawy heroiny wiodły do Segury-Cordery, który – jak się okazało – był dla komórki heroinowej z Xalisco kimś w rodzaju regionalnego kierownika sprzedaży. Zazwyczaj jako osoba pełniąca taką funkcję byłby

odseparowany od codziennego handlu heroiną, przez co nie byłby narażony na aresztowanie. Jednak Segura-Cordero musiał zmagać się z klasycznym dla małych przedsiębiorstw problemem, czyli brakiem siły roboczej.

– Zatrzymano mu kilku dilerów i zaczął odczuwać ich niedobór – tłumaczył Steve Mygrant, jeden z zaangażowanych w sprawę prokuratorów. – Musiał wziąć sprawy we własne ręce. Osobiście odbierał telefon i rozwoził towar.

Mygrant to prokurator hrabstwa Clackamas, którego oddelegowano do spraw federalnych. Oskarżenie Segury-Cordery było jego pierwszą sprawą skierowaną przeciwko Chłopakom z Xalisco. Kiedy rozmawiałem z nim kilka lat po śmierci Toviya, wyglądał na zmęczonego, a zarazem zdumionego systemem Xalisco.

– Kiedyś trzeba było samemu pójść w szemrane okolice i tam, na rogu ulic, kupić heroinę – opowiadał. – Teraz dilerzy przyjeżdżają do każdej dzielnicy lub na przedmieścia. Przyjeżdżają bezpośrednio do ciebie. To specyficzne dla tego właśnie modelu organizacyjnego. Wszyscy pochodzą z Nayaritu i wszyscy przyjęli ten styl dowozu. Są jak rybacy na Alasce: pracują siedem dni w tygodniu, a po powrocie do domu się bawią.

Sprawa Segury-Cordery pokazała, że heroinę z Xalisco można było kupić w promieniu dwustu pięćdziesięciu kilometrów od Portland. Dotarła do najspokojniejszych hrabstw wiejskich, gdzie uzależnione od prochów dzieciaki nauczyły się jeździć do Portland, kupować tam tanią czarną smołę i po powrocie do domu sprzedawać towar z trzykrotnym przebiciem ceny, a zarazem zaspokajać dręczący ich głód. Zgodnie z klasycznym modelem Xalisco – każdy ćpun zostawał sprzedawcą.

Federalną prokurator, która prowadziła więcej spraw typu Lensa Biasa niż jakichkolwiek innych, dzięki czemu ma najlepszą wiedzę, na czym polegają tego rodzaju oskarżenia, jest Kathleen Bickers. Pierwsze sprawy związane z handlem heroiną, w które była zaangażowana, dotyczyły komórek z Xalisco i pochodziły z końca lat dziewięćdziesiątych.

– Chodziło o gości z Nayaritu, ale jeszcze wtedy tego nie wiedzieliśmy – wspominała.

Jednak w miarę upływu czasu zaczęła dostrzegać powiązania poszczególnych komórek z Nayaritem i sobą nawzajem oraz to, jak zasięg ich działalności rozciągał się na zachód, aż do Columbus i obu Karolin. Nazywała tę organizację Korporacją Heroinową.

– To taki heroinowy Philip Morris – tłumaczyła mi w swoim gabinecie w centrum Portland. – Myślą w sposób typowy dla szefów firm produkujących papierosy. Przyjęty przez nich model biznesowy ma charakter korporacyjny, ich funkcjonowanie zależy od przepływów gotówkowych. Nie znikną tylko dlatego, że aresztuje się kilka osób. Trzeba odciąć dostęp do siły roboczej u samego źródła. Trzeba uświadomić ludziom z Nayaritu coś takiego: „Jeśli tu przyjedziecie, możecie nigdy nie wrócić lub może minąć piętnaście lat, nim was stąd wypuścimy”.

Podczas rozmowy z nią przypomniało mi się spotkanie w więzieniu z gościem, od którego po raz pierwszy tak dawno temu usłyszałem nazwę miasteczka Xalisco. Mieszkał w Portland, gdzie pracował legalnie jako mechanik samochodowy i przyglądał się rozwojowi systemu Xalisco.

– W Portland widziałem, jak policja zgarniała gości z dwudziestoma lub trzydziestoma balonikami, a potem puszczała ich wolno – opowiadał mi. – Ci ludzie zaczęli tu przyjeżdżać, bo się nie bali. Widzieli, że nie grożą im żadne konsekwencje: „Złapali nas z towarem i nas nie aresztowali”.

Po Xalisco rozeszły się wieści, że komórkom w Portland dobrze się powodzi i co więcej – zatrzymanych kierowców czekała jedynie deportacja. Do miasta nadciągnęli więc kolejni chętni.

Przypomniało mi to małomiasteczkową meksykańską kulturę biznesową. Kiedyś byłem w Tzintzuntzan w stanie Michoacán – wiosce w środkowym Meksyku – gdzie było dwudziestu paru sprzedawców handlujących na głównej ulicy takimi samymi wyrobami garncarskimi. Kiedy komuś udawało się sprzedać jakieś towary, reszta też zaczynała nimi handlować. Nikt nie wpadł na pomysł, by zróżnicować ofertę. Sklepy ciągnęły się przez pięć czy sześć kwartałów, w każdym oferowano identyczne garnki i miski za cenę niższą niż u konkurencji. Zrodzona z kryzysu i dewaluacji peso meksykańska kultura drobnej przedsiębiorczości unikała ryzyka i opierała się na imitowaniu. To samo można było powiedzieć o komórkach heroinowych z Xalisco – pojawiały się i naśladowały te, które przyjechały wcześniej. Robiąc to, musiały obniżać ceny i sprzedawać mocniejszy towar, więc naturalnym skutkiem, zwłaszcza po tym, jak OxyContin przygotował teren, była większa liczba narkomanów i przedawkowań. Nie było to bynajmniej następstwo jakiegoś polecenia szefostwa. To było coś o wiele potężniejszego – to był wolny rynek.

Wprowadzona w Portland zasada „złap-i-deportuj” była jedną z przyczyn tego stanu rzeczy. Opracowano ją z myślą o drobnych ćpunach-dilerach, których władze miasta nie chciały wsadzać do więzienia, by tam nie zabierali miejsca sprawcom poważniejszych przestępstw. Chłopaki z Xalisco bardzo się starały, by wyglądać na pomniejszych przestępców. W rzeczywistości byli jedynymi widzialnymi oczkami wielkich sieci sprzedających w Stanach Zjednoczonych rocznie setki kilogramów czarnej smoły, którą handlowali w porcjach ważących jedną dziesiątą grama. Tak więc przez lata, gdy zostali gdzieś zatrzymani, spędzali trochę czasu w areszcie, ale nie trafiali w ogóle do więzienia. Będąc wiejskimi chłopakami na dorobku, wyciągali z takiej pobłażliwości zupełnie inne wnioski, niż miały to w intencji władze miejskie Portland. Dla nich zatrzymanie i późniejsze zwolnienie było raczej zaproszeniem.

Kiedy w połowie pierwszej dekady XXI wieku OxyContin pojawił się w Portland, Miasto Róż, jak się je nazywa, zaczynało zdobywać swoistą sławę w Xalisco i Chłopaki tłumnie tu zjeżdżały. Ponadto obecność OxyContinu na rynku oznaczała, że nie musieli już dłużej skupiać się na dawnych, pozyskanych na ulicy klientach w rodzaju Alana Levine’a. Teraz mieli do dyspozycji na miejscu setki nowych chętnych do pomocy w rozkręcaniu działalności komórek handlujących heroiną. Od czarnej smoły uzależniali się coraz młodsi i bogatsi ludzie. Jeszcze dziesięć lat wcześniej przechwycenie stu lub dwustu gramów narkotyku było wydarzeniem. Teraz, jak mówiła Bickers, gliniarze rutynowo znajdowali kilogramy towaru.

Zatem nową strategią, jaką Portland przyjęło w celu zwalczania Chłopaków z Xalisco, był model Lena Biasa. Być może po raz pierwszy w historii handlu heroiną w Stanach Zjednoczonych policja zareagowała w mieście bardzo energicznie – wysyłając dwóch lub trzech detektywów naraz w sprawie martwego ćpuna znalezionego w toalecie na stacji benzynowej. Przeszukano telefon denata, by zdobyć kontakty, które mogłyby zaprowadzić funkcjonariuszy do sieci z Xalisco. Przestano też automatycznie deportować kierowców i zamiast tego informowano ich, że grozi im dwadzieścia lat więzienia.

Żeby model Lena Biasa był efektywny, agencje federalne, stanowe i samorządowe muszą ze sobą w pełni współpracować. Koroner stanowy powinien być gotowy i skłonny do szybkiego przeprowadzenia autopsji, a prokuratorzy okręgowi muszą się wycofać, jeśli się okaże, że działania na szczeblu federalnym mogą być skuteczniejsze.

Przede wszystkim zaś śledczy powinni się wymieniać pozyskanymi informacjami. Głównie dlatego, że w przeciwieństwie do tradycyjnych meksykańskich karteli narkotykowych komórki z Xalisco dzieliły się zapasami, także z konkurencją. Sprawy ich dotyczące łączyły się w sieci, co zmuszało poszczególnych śledczych do zaprzestania podjazdowych wojen o wpływy.

– Ego gliniarzy zwalczających narkotyki jest tym, co daje im siłę – wyjaśniała Bickers. – Są twórczy, innowacyjni i wytrwali. Wiedzą, jak deptać po piętach przestępcom. Mają jednak silnie rozwinięty instynkt terytorialny. Musimy wciąż przypominać sobie, by przełamywać te bariery, by myśleć w skali całej organizacji, zamiast ograniczać się do stwierdzenia: „To moja sprawa". Trzeba pójść parę poziomów wyżej i wdać się w sprawę prowadzoną przez kogoś innego. Jeśli chodzi o denatów, [wszystkie sprawy] wyglądają, jakby nic ich nie łączyło. Kiedy jednak zająć się nimi uważnie i na dość ogólnym poziomie, zachowując zarazem otwarty umysł, to ujawniają się wzajemne powiązania.

Joaquin Segura-Cordero był tego przykładem. Skazano go na czternaście lat więzienia za sprzedaż narkotyków, które spowodowały śmierć Toviya Sinyayeva na przedmieściach Portland i Jedediaha Elliotta w odległej o dwieście pięćdziesiąt kilometrów oregońskiej wsi.

Bickers prowadziła też inną sprawę przeciwko dwóm braciom z położonej koło Xalisco wsi Pantanal, którzy znajdowali się na dziewiątym szczeblu w łańcuchu Lena Biasa. Groziło im dożywocie za spowodowanie śmierci młodej kobiety z Salem, która przedawkowała sprowadzoną przez nich czarną smołę. W miarę jak jeden szczebel prowadził do kolejnego, Bickers odtwarzała strukturę sieci wiążącej komórkę braci z Portland z dostawcami i innymi komórkami w Oregonie, Las Vegas i Colorado Springs oraz – rzecz jasna – w Nayaricie.

Z biura Bickers poszedłem do oddalonego o kilka ulic gabinetu obrońcy z urzędu, by porozmawiać z adwokatem, który zgodził się ze mną spotkać pod warunkiem, że nie ujawnię jego tożsamości. Udało mu się przekonać wielu Chłopaków z Xalisco, że pójście na współpracę było dla nich jedyną szansą na uniknięcie wydanego zgodnie z mechanizmem Lena Biasa wyroku dwudziestu lat więzienia. Obrońca zawarł ze śledczymi układ, by ci natychmiast powiadamiali go, ilekroć wszczynano tego rodzaju sprawę. Popierał ideę nawiązywania niezwłocznej współpracy z organami śledczymi, co wzbudzało kontrowersje w środowisku adwokackim.

– Wartość posiadanych informacji jest największa tuż po aresztowaniu – opowiadał. – Jeśli jest się odpowiednio szybkim, można wyciągnąć naprawdę duże korzyści dla klienta.

Niemniej nie uważał, by nowa strategia przyjęta przez prokuraturę przynosiła jakiś większy skutek. Tabletki były zbyt popularne i każdego dnia uzależniały się od nich kolejne dzieciaki, by po jakimś czasie przerzucić się na heroinę. W takiej sytuacji prokuratorzy mogli tylko chwilowo zakłócić funkcjonowanie rynku.

– Przyszła do mnie porozmawiać asystentka mojego dentysty – wspominał. – Jej syn na tyle głęboko wpadł w heroinę, że zaczął kraść po sklepach. To kobieta z klasy średniej, o której nigdy nie pomyślałoby się, że coś takiego mogło się jej przytrafić. Jednak jest to szeroko rozpowszechnione zjawisko. To niemal tak, jakbyś chciał przestać pić kawę, a na każdym rogu ulicy była kawiarnia Starbucksa.

Żadnego człowieka z blizną, żadnego bossa

Denver, Colorado

To była zniechęcająca myśl. Miałem ją w głowie, gdy niedługo potem stałem prawie dwa tysiące kilometrów dalej w mieszkaniu w północno-wschodniej części Denver i przyglądałem się, jak ostrzyżony na krótko chłopak opowiadał detektywom pewną historię.

Jose Carlos był klasycznym Chłopakiem z Xalisco. Miał dwadzieścia jeden lat i rzadki wąs pod nosem. Przykuty kajdankami do krzesła, bez koszuli, nerwowo spoglądał na Dennisa Chaveza i członków brygady antynarkotykowej przeszukujących centymetr po centymetrze jego mieszkanie.

Dzień wcześniej funkcjonariusz z wydziału antynarkotykowego Jes Sandoval zauważył kobietę dostarczającą heroinę na parking w południowo-wschodnim Denver. Po aresztowaniu podała namiary na mieszkanie Jose Carlosa.

Zorganizowano nalot. Jose Carlos zeznał, że sprzedaje w mieście heroinę od zaledwie trzech miesięcy. Dodał też, że pochodzi z miasta Acaponeta w stanie Nayarit. Gliniarze zapytali go, kim był jego szef. Rozpłakał się i zaczął zamykać w sobie. Był przedtem w Columbus w stanie Ohio i Charlotte w Karolinie Północnej, gdzie ponoć pracował jako robotnik budowlany. Żaden z policjantów obecnych w pokoju nie dawał temu wiary, zresztą dopóki nie podawał nazwisk tych, którzy w hierarchii organizacyjnej byli powyżej niego, zupełnie nie dbali o to, co ma im do powiedzenia.

Wyglądało na to, że ta sprawa, jak setki innych, nie wyjdzie poza tego zaniedbanego chłopaka. W jego mieszkaniu z jedną sypialnią nie było niczego, co można byłoby wykorzystać przeciwko niemu. Tak naprawdę było właściwie puste: stolik karciany z Walmartu, cztery składane krzesła, niewielki telewizor z płaskim ekranem, świeczki wotywne dla Matki Boskiej z Gwadelupy, sterta ubrań, kilka płyt DVD z filmami akcji i trochę ostrego sosu z Pizza Hut. Żadnego łóżka, żadnej sofy.

Nie było też żadnej broni ani gotówki. Na stoliku leżały baloniki i talerzyk z zaledwie kilkoma gramami heroiny. Wyglądało na to, że Jose Carlos zaopatrywał krążących po Denver kierowców w towar. W tej operacji było jednak coś

dziwnego. Komórka z Xalisco mówiła swoim klientom, by dzwonili pod numer w Denver. Rozmowy te były przekierowywane do Nayaritu, gdzie odbierał je dystrybutor, który następnie przekazywał zlecenie kierowcy w Denver. Swego rodzaju heroinowe biuro obsługi klienta.

Zważywszy na standardy panujące w interesie, był to nalot z gatunku drugorzędnych. Jednak tuż przed aresztowaniem w Meksyku właściciela komórki brygada antynarkotykowa z Dystryktu Trzeciego w Denver zrobiła coś, co najbardziej uderzało w heroinowy model biznesowy z Xalisco – podniosła jego koszty operacyjne.

System Xalisco odniósł sukces, gdyż uwzględniał tradycyjne podejście amerykańskich policjantów do zwalczania handlu narkotykami. Funkcjonariusze znajdowali opuszczone mieszkania i zgarniali pionki w rodzaju Jose Carlosa, podczas gdy pieniądze i większa część towaru była w Meksyku, co zniechęcało gliniarzy i prokuratorów. Tak więc Chłopaki z Xalisco, bardziej niż jakakolwiek inna sieć sprzedaży narkotyków działająca w Stanach Zjednoczonych, zmuszały władze do rewizji przyjętych strategii, zwłaszcza gdy epidemia opiatów rozlewała się coraz szerzej.

Poszukujące działki ćpuny z klasy wyższej i średniej kręciły się wokół modnego w Dystrykcie Trzecim uniwersytetu w Denver oraz położonego nieopodal parku Waszyngtona. Byli tam też kierowcy z Xalisco. Miejscowych gliniarzy było zbyt mało i dysponowali oni niewystarczającymi środkami na prowadzenie długotrwałych tajnych operacji. Ich podejście do Chłopaków z Xalisco było prostsze, wynikające z uwarunkowań, i obracało się wokół osoby Jesa Sandovala.

Po dwudziestu dwóch latach służby policyjnej, w tym szesnastu spędzonych w wydziale antynarkotykowym, upodobnił się do dilerów z Xalisco, których tropił. Tak samo jak oni nie rzucał się w oczy i wykazywał się podobną nieustępliwością. Przez wszystkie lata swojej pracy dziennikarza zajmującego się przestępczością nie spotkałem innego członka brygady antynarkotykowej, który wykorzystywałby aż tak tradycyjne rozwiązania techniczne. Wystarczał mu służbowy telefon komórkowy z klapką i SUV marki Honda z 2007 roku. Pracuje tylko w godzinach urzędowania, bo wydział nie płaci za nadgodziny. Działa samotnie. W biurze trzyma podarowane mu przez współpracowników zdjęcie Samotnego Jeźdźca. Niemal nigdy nie korzysta z usług informatorów, nigdy nie robi kontrolowanych zakupów narkotyków, nigdy też nie używa podsłuchów.

Zamiast tego przechadza się po parkingach przy centrach handlowych w południowym Denver, wypatrując charakterystycznych oznak transakcji, które zaraz zostaną przeprowadzone, pełnych niepokoju białych dzieciaków w zaparkowanych tyłem samochodach, nerwowo rozglądających się dookoła i przyglądających się badawczym wzrokiem wszystkiemu, co się rusza. Następnie czeka, aż pojawi się diler z Xalisco, potem śledzi oba samochody i wzywa posiłki, by ich zaaresztowano w jakiejś niewielkiej bocznej uliczce, gdy dojdzie do zakupu.

– Czasem łapię się na tym, że przez cały dzień przemierzam rewir i obserwuję – opowiadał.

W ten sposób Sandoval doprowadził do wszczęcia wielu spraw. Stosowana przez niego metoda cechuje się niskimi kosztami i wysoką skutecznością – to taka policyjna wersja sytemu sprzedaży heroiny wypracowanego w Xalisco. To prawda, zamykał działających w podziemiu narkotykowym odpowiedników robotników pracujących na dniówkę, którzy mieli przy sobie tylko niewielkie ilości heroiny. Nie puszczali pary z ust, byli deportowani, a na ich miejsce po kilku dniach przychodzili nowi. Jednak dzięki przyjętemu przez niego podejściu zauważono, że właściciele komórek heroinowych z Xalisco działali jak drobni przedsiębiorcy i tak jak oni – bardzo uważali na koszty. Nie byli to żadni bossowie w stylu „człowieka z blizną”, co to szastają pieniędzmi na prawo i lewo i żyją dniem dzisiejszym. Niektórzy z kierowników komórek żądali na koniec dnia od swoich kierowców zdania rachunków. Mieli rozliczony każdy dolar.

Według Sandovala każdy nalot zmuszał szefa w Nayaricie do kupna kolejnego samochodu w Denver, znalezienia nowego mieszkania i wysłania przez granicę następnego kierowcy. Wszystko to przyprawiało ich o ból głowy, bo i bez takich dodatkowych kłopotów musieli zadbać, by wszyscy handlarze – w większości mężczyźni w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat – mieli wystarczające zapasy, nie imprezowali, nie zrobili nikomu dziecka i nie brali towaru, który sprzedają. Każdy skonfiskowany przez Sandovala telefon oznaczał, że musieli odtwarzać zapisaną w nim listę klientów, choć dość szybko zaczęto przechowywać kopie tych list na komputerze gdzieś w Nayaricie.

– Im więcej zdejmowaliśmy kierowców, tym rozpaczliwiej ich poszukiwali – tłumaczył mi, gdy okrążaliśmy centrum handlowe w południowo-wschodnim Denver.

Pośrodku szalejącej epidemii tylko tyle mogli zrobić gliniarze z Dystryktu Trzeciego. Codziennie nowe osoby przerzucały się z OxyContinu na heroinę

i popyt na nią gwałtownie rósł w całym mieście. Dzięki bogatym źródłom siły roboczej w Meksyku system opracowany przez Chłopaków z Xalisco okazał się niewzruszony. Metoda Sandovala była równie opłacalna jak każda inna, jednak dzięki takim drobnym sukcesom atmosfera wśród funkcjonariuszy wydziału antynarkotykowego z Dystryktu Trzeciego poprawiła się. Kilka tygodni przed moim przyjazdem jeden z właścicieli komórek narkotykowych, rozwścieczony tym, że zatrzymano mu kilku kierowców, wysłał do miasta kogoś w rodzaju konsultanta, którego zadaniem było jeżdżenie z handlarzami, przyglądanie się, jak pracują, i doradzanie, w jaki sposób mogliby uniknąć aresztowania.

Jego również zatrzymano.

Rodzicielski ból duszy

Ohio

Kiedy próbowałem zdać sobie sprawę z zasięgu epidemii opiatów, zorientowałem się w jednym – oprócz narkomanów i handlarzy rozmawiałem przede wszystkim z osobami pracującymi dla rządu.

Byli jedynymi ludźmi, którzy w mojej opinii zwalczali plagę. W ostatnich trzydziestu latach byliśmy w Stanach Zjednoczonych świadkami demonizowania rządu i egzaltacji na punkcie wolnego rynku. To jednak była historia, w której walkę z najgorszymi skutkami gospodarki wolnorynkowej podjęli głównie anonimowi pracownicy sfery publicznej. To byli lokalni gliniarze, jak Dennis Chavez i Jes Sandoval, prokuratorzy w rodzaju Kathleen Bickers, agenci federalni, jak choćby Jim Kuykendall i Rock Stone, koronerzy, na przykład Terry Johnson, pielęgniarki, czyli między innymi Lisa Roberts, naukowcy w Centrach Kontroli Chorób, sędziowie, tacy jak Seth Norman, farmaceuci stanowi, jak Jaymie Mai, czy epidemiolodzy w rodzaju Jennifer Sabel oraz Eda Sociego.

Widziałem też, jak rzucano im kłody pod nogi. Sandoval, Bickers i Norman mieli ograniczone ruchy dopóty, dopóki wszyscy milczeli, a horrendalne ilości tabletek zasypywały Amerykę, ułatwiając ich konsumentom przejście na heroinę.

Z czasem moja uwaga skierowała się ku rodzinom ofiar tej epidemii, na ludzi, którzy zdecydowali się zabrać głos, by ostrzec innych. Niewielu ich było. Większość pogrążonych w żałobie rodzin wycofywała się w przepełnioną poczuciem wstydu prywatność i nigdy nie opowiedziała publicznie, jak ich synowie umierali w ośrodkach resocjalizacji ze strzykawką wbitą w ramię. Po dekadzie, której każdy rok znaczony był szesnastoma tysiącami zgonów z powodu przedawkowania opiatów, istniała tylko garstka grup skupiających rodziców, którzy chcieli coś zrobić z szalejącym kryzysem kondycji zdrowotnej społeczeństwa.

Wytoczone przeciwko tym rodzicom działania marketingowe uczyniły ich krucjatę iście donkiszotowską. Jedyną ich kwalifikacją do podjęcia się tego zadania był ból rozdzierający ich duszę – równie nieustępliwy jak cierpienie fizyczne, na które tak powszechnie przepisywano opiaty. Jednak nikt inny nie chciał się zająć

problemem, a dni przepłakane z rękami tulącymi albumy fotograficzne wydawały się im straconym czasem.

Jedną z takich osób była Jo Anna Krohn – kobieta z miękką południową wymową, tak charakterystyczną dla Portsmouth w stanie Ohio.

Na pierwszy rzut oka trudno było mi znaleźć powód do nadziei na lepszą przyszłość Portsmouth. Tak wiele budynków było opuszczonych, mnóstwo mieszkańców wyglądało na otępiałych, przygnębiająco dużo było też osób ułomnych. Miasto wydawało się skażone pesymizmem oraz inercją, które kojarzyłem z dotkniętymi kryzysem meksykańskimi wioskami – miejscem porzuconym przez tych, którzy mieli jeszcze jakieś aspiracje.

Cieszę się, że tam wracałem, gdyż po jakimś czasie spod tej wyzutej z życia powierzchni zaczęło prześwitywać inne miasto. Epidemia opiatów zepchnęła je wprawdzie na dno, ale Portsmouth – gdzie wynaleziono fabryki prochów, gdzie rozpanoszyła się gospodarka oparta na OxyContinie i Walmarcie, gdzie kryzys gospodarczy przez trzydzieści lat zostawiał okrutne ślady, które wydały kraj na epidemię opiatów – miasto złożone chorobą i popadające w zapomnienie, nie poddawało się.

Lubię dobre opowieści, w których słabi stają na nogach. Ta zaś wydawała się ożywczo amerykańska. Kiedy śledziłem oznaki tego, jak epidemia opiatów zmieniła Stany Zjednoczone, miejscem, do którego kilkakrotnie wracałem, było właśnie Portsmouth w stanie Ohio.

To tam poznałem Jo Annę.

Kilka lat wcześniej, 22 kwietnia 2008 roku, Jo Anna siedziała przy łóżku szpitalnym, które było dla niej końcem czegoś, co jawiło jej się jako droga do szybkiego upadku. Na łóżku leżał podłączony do rurek aparatury medycznej Wesley – jej pogrążony w śpiączce osiemnastoletni syn.

Matka pięciorga dzieci, która zarabiała na życie braniem zastępstw jako nauczycielka, modliła się z siedzącą u jej boku przyjaciółką z dzieciństwa Karrie. Obie kobiety wychowywały się na sąsiednich farmach w okolicy Portsmouth.

Kiedy tak płakała i modliła się, przed jej oczami przelatywały urwane sceny z życia Wesleya. Mieszkający z ojcem syn zaczął palić trawkę w wieku trzynastu lat, rok później sięgnął po wszechobecne w Portsmouth prochy. Był przystojny i grał w futbol amerykański jako imponujący morderczą skutecznością wspomagający, co przysparzało mu sporej popularności. Z tego też powodu wiele

mu wybaczano, do czego zdążył się przyzwyczaić. Wśród świeżo uzależnionych opiatowców z terenów wiejskich nietrudno było znaleźć futbolistów – niektórzy wpadali w nałóg za sprawą tabletek przepisywanych na kontuzje, inni – jak Wes – brali je na imprezach.

Kiedy był w ostatniej klasie i występował jako gwiazda szkolnej drużyny, był już karany za drobne wykroczenia. Handlował OxyContinem w domu ojca i dla ochrony kupił sobie pistolet. Pewnej nocy, na pięć tygodni przed zakończeniem roku szkolnego, imprezował na haju z młodszymi kolegami w piwnicy tego domu. Dla hecy przystawił sobie broń do skroni i nacisnął spust. Podtrzymywano go przy życiu, podłączonego do respiratora, przez trzydzieści sześć godzin. Na pogrzeb przyszło osiemset osób, a rodzina zagrała mu na pożegnanie utwór *Angel* w wykonaniu Sarah McLachlan. Jego śmierć nie schodziła z pierwszej strony gazety „Daily Times” przez pięć kolejnych dni. Pięć jego organów przeszczepiono biorcom.

Wes nie był pierwszym dzieciakiem z Porstmouth, który zginął przez narkotyki. Piosenka McLachlan mówiąca o ćpunie, z którego życie wycieka w „ciemnym, zimnym hotelu”, stawała się standardem granym na pogrzebach młodych ludzi – swoistą ścieżką dźwiękową do wzmagającej się w Portsmouth epidemii opiatów. Jednak zawstydzone rodziny owijały śmierć swoich dzieci w mgłę eufemizmów i łatwych do przyjęcia kłamstw. Jedna ze znanych Jo Annie par twierdziła, że ich syn zmarł na zawał, choć wszyscy wiedzieli, że zatrzymanie akcji serca było tak naprawdę następstwem nałogu. Zważywszy na wszystko inne, co stało się udziałem Portsmouth, prawda okazała się po prostu zbyt bolesna. Podobnie jak na początku epidemii AIDS, prasa starała się nie ujawnić zbyt wielu informacji o tych zgonach.

Śmierć Wesa początkowo też wyglądała stosunkowo niewinnie. Zginął w wyniku postrzału. Gazeta w ogóle nie wspomniała, że był na haju wywołanym OxyContinem, który brał z przerwami od lat, że sprzedawał pigułki, że dwukrotnie włamano się do jego domu i że w celu ochrony przed rabusiami kupił broń od osoby z przeszłością kryminalną. Tak wyglądała ta opowieść w całej swej rozciągłości, a siedząca przy łóżku umierającego syna Jo Anna Krohn zdecydowała się ją upublicznić.

– Chciałam być uczciwa – powiedziała mi, gdy spotkałem ją po latach. – Nie miałam zamiaru ukrywać tego, co się wydarzyło. Pomyślałam, że jeśli to opowiem, może jakaś inna rodzina uniknie mojego losu.

Rok po śmierci Wesa zaprosiła ją pewna szkoła średnia, by wystąpiła przed uczniami. Wyznała im całą prawdę. Potem przyszło zaproszenie od kolejnego liceum. Przyniosła zdjęcia Wesa na zgromadzenie mieszkańców miasta, pokazała je obecnym i opowiedziała, co było do opowiedzenia.

Dzieciaki umierały w każdym zakątku Portsmouth. Wkrótce zaczęły się wokół Jo Anny zbierać zrozpaczone matki. Wyglądało to tak, jakby czekały na to, aż ktoś inny w końcu zacznie mówić. Rozwieszały też zdjęcia swoich zmarłych dzieci na opuszczonych śródmiejskich budynkach. Spoczywająca na mieście klątwa ukazała w końcu swoje oblicze. Rodziny dzieci, które umarły od narkotyków, odnalazły w sobie wolność do publicznej wypowiedzi.

Zabrało to dziesięć lat. Pierwszym rodzicem, który przerwał zmowę milczenia, była Jo Anna Krohn, gdy w 2009 roku ruszyła w objazd po szkołach, by powiedzieć dzieciakom, dlaczego zginął Wes. Utworzyła grupę SOLACE [POCIECHA] – skupiającą rodziców pogrążonych w żałobie po stracie dzieci zmarłych w wyniku przyjmowania opiatów. Stała się ona pierwszą rodzicielską organizacją antynarkotykową, która powstała w samym środku epidemii opiatów.

Kiedy Jo Anna wraz z kilkoma innymi matkami pojawiły się w zielonych podkoszulkach z napisem SOLACE na zorganizowanej przez ministra sprawiedliwości konferencji prasowej, media podjęły temat. Jo Anna zaczęła dostawać telefony z innych hrabstw i zdała sobie sprawę, że dzieciaki umierają od opiatów w całym Ohio, choć nikt o tym wcześniej nie mówił. Zrezygnowała z pracy nauczycielki na zastępstwie, całkowicie poświęciła się SOLACE i w efekcie oddziały organizacji powstały w szesnastu hrabstwach. Ona sama przemawiała w hrabstwach Brown i Knox, w Chillicothe, w Ironton – wszędzie, poza szkołą, do której uczęszczał Wes, choć ta ufundowała nawet stypendium jego imienia. Jej kierownictwo nigdy się nie zdobyło na wystosowanie takiego zaproszenia.

Któregoś dnia poczuła znużenie, gdy czekała ze swoją przyjaciółką Karrie na wygłoszenie przemówienia. Dorastały, wykonując swoje obowiązki domowe, pływając w miejscowej sadzawce i raz na jakiś czas podkradając rodzicom piwo. Chodziły w dwie pary na randki, snując marzenia, że kiedyś wyjdą za mąż i będą wychowywać swoje dzieci.

Teraz, będąc już po pięćdziesiątce, każda miała syna, który zginął w wyniku postrzału związanego z prochami. Syna Karrie, Kenta, zamordowano w 2000 roku. Obie miały po kolejnym dziecku wyniszczonym przez narkotyki. Najstarszy syn Jo

Anny mieszkał w przyczepie bez bieżącej wody. Drugi syn Karrie trzy razy trafił do więzienia, a ona sama miała PTSD, nabyte podczas trzynastu lat walki z nałogiem dwóch synów. Kiedyś obie kobiety trafiły w toalecie w KFC na syna Karrie, który dawał sobie w żyłę.

Jo Anna zastanawiała się, co się stało z ich żywionymi w młodości amerykańskimi marzeniami.

– Kiedyś uganiałyśmy się za wężami w potoku – powiedziała do swojej przyjaciółki. – Któż by się spodziewał, że będziemy tutaj razem?

Odszukałem Jo Annę Krohn, gdyż nie byłem w stanie sobie przypomnieć żadnej innej plagi narkotykowej, która byłaby aż tak zręcznie spowita w milczenie.

Kokaina przyszła na początku lat osiemdziesiątych wraz z Kolumbijczykami, którzy urządzili sobie w Miami strzelaniny w centrach handlowych, przez co wskaźnik morderstw gwałtownie podskoczył, a ludzie się rozjuszyli. W pierwszym tygodniu mojej pracy reportera zajmującego się sprawami kryminalnymi w Stockton w Kalifornii szedłem ulicą wzdłuż rządku dwudziestu paru dilerów cracku. Kiedy otworzyłem bramę rozpadającego się domu, kokainiści rozpierzchli się ze środka niczym karaluchy. Pojawiły się gangi Bloods i Crips, które prowadziły ze sobą wojnę na ulicach miasta. W wyniku jednej ze strzelanin paraliżu doznała mała dziewczynka. Często myślałem, jak dalej potoczyły się jej losy. Teraz miałaby dwadzieścia kilka lat.

Następnie pojawiła się metamfetamina wytwarzana w laboratoriach, które dość często wylatywały w powietrze. Ci, którzy jej używali, pokrywali się krostami i dostawali nerwowych drgawek.

Nic z tego zniszczenia, przemocy i gwałtów nie towarzyszyło pochodowi molekuły morfiny przez Stany Zjednoczone. Kiedy opiaty szybko zaczęły zabijać bezprecedensową liczbę młodych osób, wyglądało to tak, jakby pochodne morfiny otumaniły też gniew ludzi. Fakt, że wszystko zaczęło się w pozbawionych głosu częściach kraju – w regionie appalaskim i na wiejskich obszarach Ameryki – tym bardziej pozwalał wyciszyć problem. Nawet samo dostrzeżenie plagi wymagało przeanalizowania zagmatwanych i niekompletnych danych. Wyrosło pokolenie koronerów nienawykłych do donoszenia o przypadkach przedawkowania narkotyków. Czasami pomijano niuanse, czy ktoś umarł od opiatów, a jeśli tak, to czy był to oksykodon, hydrokodon, metadon lub też heroina.

Sztandarowym miejscem dla tej plagi narkotyków przestały być tłoczne i publicznie dostępne lokale, w których konsumowano crack. Ich funkcję przejęły zaciszne sypialnie domów na przedmieściach lub wnętrza samochodów – wytwory amerykańskiej prosperity. Sypialnia stała się azylem osób uzależnionych, świątynią egocentryzmu podsycanego przez narkotyki. To była ich mała kraina marzeń, choć będąca całkowitym przeciwieństwem legendarnych ogólnodostępnych basenów z Portsmouth, gdzie dzieciaki dorastały wśród swoich rówieśników i bawiły się pod czujnym okiem setek dorosłych. Każdy mieszkający na przedmieściach i pochodzący z klasy średniej młody człowiek miał własny pokój, do którego się wycofywał, żeby ćpać i umierać.

– Mieszkaliśmy w swoich sypialniach – opowiadała jedna z kobiet na odwyku. – Można było mieć duży, przestronny dom, ale zamykało się drzwi do siebie i odizolowywało od świata. Z kimkolwiek bym ćpała, zawsze robiłam to w czyimś pokoju. Chodziło o prywatność. Proszę do mnie nie pukać.

Większość dzieciaków miała też samochody, które w połączeniu z tabletkami lub heroiną okazały się równie destruktywne jak sypialnie. Kochający rodzice dawali auta, które były niezbędne do poruszania się po zupełnie niesprzyjających ruchowi pieszemu przedmieściach. Jednak ich uzależnieni synowie i córki wykorzystywali je do spotykania się z dilerami. Bez całej masy posiadających samochody dzieciaków z klasy średniej model biznesowy przyjęty przez Chłopaków z Xalisco nie zadziałałby. W swoich autach dzieciaki szprycowały się, podwoziły znajomych ćpunów i chowały towar. Kiedy już ostatecznie utraciły zaufanie swoich rodziców, zamieszkiwały w nich. W ten sposób auta stawały się ich osobistymi sypialniami.

Uzależnienie od heroiny i OxyContinu pochłaniało dzieci białej amerykańskiej klasy średniej, ale rodzice starali się ukrywać prawdę i walczyć z plagą na własną rękę. Zachowywali milczenie. A znajomi i sąsiedzi, którzy wiedzieli, co jest grane, unikali ich.

– Kiedy twoje dziecko umiera na guza mózgu lub białaczkę, pojawiają się wszyscy z okolicy – wspominała matka dwóch ćpunów. – Przynoszą jedzenie, modlą się za ciebie, wysyłają kartki pocztowe. Kiedy jednak twoje dziecko jest heroinistą, nikt się z tobą nie kontaktuje. Aż przychodzi moment, w którym ono umiera. Wtedy wszyscy przychodzą i nie wiedzą, co powiedzieć.

Ci rodzice popełniali błędy, których dało się uniknąć, i gdy ich syn umierał lub po raz czwarty szedł na odwyk, znowu ukrywali prawdę, sami wierząc w swoje

kłamstwa. To wszechobecne kłamstwo było łatwe do przełknięcia. Często skrywało się za wypielęgnowanymi trawnikami i lśniącymi SUV-ami. Było schowane w sypialniach dzieci, którym niczego nie brakowało.

Łatwiej było się również z nim oswoić, ponieważ część nowych narkomanów była sportowcami ze szkół średnich – w tych społecznościach uznawani byli za pełną charyzmy złotą młodzież. Tymczasem torowali drogę innym uczniom, którzy widzieli, że cenieni sportowcy biorą prochy, więc cóż w tym może być złego?

Rozmawiałem między innymi z narkomanem, który pochodził z jednej z najbogatszych okolic Kalifornii, a jego ojciec był bankierem.

Carter był gwiazdą szkolnych drużyn futbolowych i bejsbolowych. Nie przerywając podczas roku szkolnego uprawiania sportu, zmagał się z kontuzjami, które nie chciały się wyleczyć. Lekarz przepisał mu Vicodin, nie informując go przy tym, co ten środek zawiera, ani nie instruując, jak go przyjmować.

W mieście Cartera rządził sport. Była to miejscowość pełna luksusowych posiadłości, ale on sam nie miał wrażenia, by wykształcenie odgrywało jakąkolwiek rolę w ewentualnych wyborach życiowych, nie miał też szczególnego zamiłowania do nauki. Tamtejsze dzieciaki i tak miały zapewnioną przyszłość, więc tym, co miało dla nich znaczenie, był właśnie sport. Ojcowie przechwalali się znajomym sukcesami sportowymi swoich synów albo też gromili swoich chłopców za słabe wyniki, wymagając od nich jeszcze większych poświęceń. Jak wyznał mi Carter, począwszy od trenera po nauczycieli i rodziców, słyszeli tylko: „Chcesz mieć dobre oceny, to graj”.

Często się z tym spotykałem. Wielu nowych sportowców-narkomanów nie pochodziło bynajmniej z biednych miasteczek, w których sport mógłby dla nielicznych stać się przepustką do lepszej przyszłości. Miejscowości, w których uzależnienie od opiatów szczególnie się rozpleniało, zazwyczaj zamieszkane były przez klasę średnią i wyższą klasę średnią. Rodzice byli chirurgami, deweloperami lub prawnikami i zapewniali swoim dzieciom wszystko. Jednak sport był w tych społecznościach takim samym narkotykiem jak w dowolnym getcie biedoty. Zamiłowanie do nauki wygasło, podczas gdy szkolne siłownie wyglądały jak pałace, a na dodatek w wielu z nich skrywana konsumpcja środków przeciwbólowych była na porządku dziennym. Jak opiaty oferowały lekarzom rozwiązanie dla pacjentów odczuwających przewlekłe bóle, tak Vicodin i Percocet dawały trenerom świetne narzędzie umożliwiające ich podopiecznym powrót do gry.

Trener Cartera opowiadał mu o graczach sprzed lat, którzy przed treningami i zawodami łykali Vicodin.

– W moim mieście trybuny zawsze były pełne. Chciało się być bohaterem, więc się myślało: „Nie mogę wyglądać na mięczaka. Trzeba się ogarnąć”. Łapałem więc te drobne urazy, a trenerzy nie zwracali na to uwagi. Nauczyłem się olewać wszelkie kontuzje.

Większość zawodników we wszystkich drużynach, w których grał Carter, łykała prochy – na urazy lub dla rozrywki. Wkrótce on sam uzależnił się od Vicodinu, a potem OxyContinu. Już jako zawodnik studenckiej pierwszej ligi zaczął brać heroinę.

Zaczynałem postrzegać futbolistów jako symbol tej trawiącej Amerykę epidemii. Ich wyróżniony status na kampusach pozwalał części z nich nie ponosić żadnych konsekwencji swoich czynów. Cartera przyłapano na handlu tabletkami i powiedziano mu tylko, by więcej tego nie robił. Przede wszystkim jednak gracze odczuwali ciągły ból, a oczekiwano od nich, że będą grać mimo niego. Na bóle chroniczne, na które futboliści cierpieli częściej niż inni sportowcy, były teraz opiaty. Szyje, uda i kostki bolały przez cały sezon.

Podawanie kontuzjowanym sportowcom leków, byle tylko mogli dalej występować, nie było niczym nowym. Kiedy jednak oksykodon i hydrokodon zyskały status najpopularniejszych środków na przewlekłe bóle, zinstytucjonalizowany sport – a w szczególności futbol amerykański – stał się w wielu szkołach ścieżką do nałogu opiatowego. Tym samym wraz z epidemią opiatów przyszedł wzrost liczby uzależnionych od heroiny wśród futbolistów, choć – co oczywiste – niewielu chciało o tym coś więcej powiedzieć.

W 2008 roku, gdy zmarł syn Jo Anny Krohn, tego rodzaju iluzje były podtrzymywane od niemal dekady w Salt Lake City, Charlotte, Minneapolis i innych miastach, które przez tych samych dziesięć lat były czynnikami napędzającymi największy boom w wydatkach konsumenckich w całej historii Stanów Zjednoczonych, a zarazem jego największymi beneficjentami. Jednak to w pogrążonym w kryzysie Portsmouth pewna matka – wcale nie najbogatsza w mieście – miała dość odwagi, by dać świadectwo prawdzie i powiedzieć coś głośno na temat uzależnień.

Dla Eda Hughesa, prowadzącego położony po drugiej stronie Portsmouth Ośrodek Pomocy Psychologicznej, milczenie było istotną częścią tej historii.

Opiaty obróciły wniwecz wszystkie snute przez Hughesa w połowie lat dziewięćdziesiątych plany skonsolidowania działań podejmowanych przez Ośrodek i skupienia się na poprawie jego funkcjonowania. Instytucję otworzono przed laty w niewielkim budynku. W 1992 roku dysponująca szesnastoma łóżkami placówka rozpoczęła terapię pobytową. Kiedy poznałem Hughesa, było w niej już sto pięćdziesiąt miejsc noclegowych, istniała długa lista oczekujących na przyjęcie, obsługa liczyła dwieście osób, a centrum ambulatoryjne właśnie przeniosło się do opuszczonego dwupiętrowego budynku – wyłącznie z powodu chmary nowych opiatowców.

– Nigdy nie widzieliśmy, by coś postępowało tak szybko – powiedział mi Hughes.

Piętnaście lat później Ed Hughes wciąż czekał na to, by krzywa wskazująca liczbę uzależnionych klientów spłaszczyła się i zaczęła spadać.

Do ośrodka ściągali młodzi ludzie z całego Ohio. Wielu z nich było rozpieszczonymi i znudzonymi dzieciakami, na dodatek nieprzygotowanymi na życiowe trudności i niebezpieczeństwa. Dorastały w czasach boomu konsumpcyjnego, który rozpoczął się w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy według Hughesa zmieniał się też model wychowywania dzieci. Amerykańską klasę średnią ogarniał syndrom „zepsutych, bogatych dzieciaków”. Mający coraz mniej czasu dla swoich pociech rodzice chronili je przed komplikacjami i trudnościami, chwaląc za najmniejsze choćby sukcesy.

– Poczucie własnej wartości buduje się w jeden sposób, czyli przez osiągnięcia – tłumaczył Hughes. – Jest mnóstwo dzieciaków, które mają wszystko i świetnie wyglądają, ale z samooceną jest u nich bardzo źle. Są dwudziestokilkulatkowie, co mają świetny samochód, pieniądze w kieszeni, komórkę i olbrzymi telewizor. Pytam ich: „Skąd, do cholery, to wszystko masz? Przecież jesteś dopiero studentem”. „Dostałem od mamy i taty”. A w środku tego wszystkiego epidemia opiatowa.

Na jego twarzy pojawił się grymas.

– Kolejną stroną tego problemu jest mentalność piętnastolatka.

Hughes wciąż miał z tym do czynienia. W kółko spotykał dorosłych konsumentów narkotyków nieumiejących podejmować dojrzałych decyzji. Winne temu były opiaty, zakłócały one bowiem pracę tej części mózgu, która odpowiada za racjonalne działania.

– Mamy uzależnione od opiatów osoby w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, które są jak piętnastolatki – dodawał. – Ich zachowanie i sposób, w jaki pracuje ich mózg, są typowe dla wieku dojrzewania. To tak, jakby narkotyki zdemolowały chemię tego organu i przednie jego płaty się nie rozwinęły. Te bowiem rozwijają się poprzez popełniane pomyłki i błędy. Jednak pierwszą reakcją osoby uzależnionej jest zwrócenie się do rodziny: „Uratujecie mnie?”. Niezależnie od tego, od czego miałoby się być uratowanym, nie ma w tym żadnej nauki. Brakuje konkretnych przeżyć i doświadczeń, brakuje też rozwoju przedniej części mózgu. Czują się dobrze, aż tu nagle coś im przychodzi do głowy i wpadają w otchłań. Nie musi to być decyzja, by coś wziąć. Większość powrotów do nałogu nie bierze się z głodu. Stoi za tym ten cały zespół braku chęci wzięcia za siebie odpowiedzialności, pakowania się w kompromitujące sytuacje, bycia nieszczerym lub leniwym, innymi słowy: bycia mentalnym piętnastolatkiem.

Hughes znał rodziny równie uzależnione od ratowania swoich dzieci, co te uzależnione były od narkotyków. Według niego to też nosiło znamiona epidemii.

– Mam tu czterdziestolatków zachowujących się jak dwudziestolatkowie, bo mają rodziny beznadziejnie wplątane w misję ich ratowania. Najbliżsi dają im dach nad głową, pieniądze i opiekę, martwią się o nich i dzwonią do mnie z prośbą o przyjęcie na odwyk. Staram się tłumaczyć wszystkim rodzicom, że bardzo ważne jest powiedzenie „nie”, również wtedy, gdy ich dzieci są jeszcze młode.

Większość z tych rodziców, podobnie jak i ja sam, to produkt lat siedemdziesiątych, kiedy heroinę uważano za najobrzydliwszy narkotyk, który bierze się tylko w obskurnych i ciemnych norach. Jak zatem mieliby powiedzieć sąsiadom, że ich wychuchane dziecko było prostytutką, która wyzionęła ducha po zapodaniu złotego strzału w samochodzie zaparkowanym przed Burger Kingiem? Zawstydzeni i przerażeni stygmatyzacją, nie potrafili się na to zdobyć.

Lekarze, którzy ruszyli na krucjatę, zdjęli stygmat ze stosowania opiatów w celach medycznych. Natomiast do destygmatyzacji nowej fali nałogu opiatowego nie paliła się żadna ze znakomitości. Zadanie to spadło na rodziców ofiar opiatów i parę osób mających talent do partyzanckich działań politycznych, bo tak opisałbym Brada Belchera. Odwiedziłem go, gdyż pewnej nocy rzucił wyzwanie *status quo* panującemu w jego rodzinnym Marion w stanie Ohio.

Marion, podobnie do Portsmouth, niegdyś kwitło. Koparki wyprodukowane w tym mieście wykorzystano przy budowie Kanału Panamskiego. Jednak tamte dni

i miejsca pracy odeszły w przeszłość, a zamiast optymizmu pojawił się pesymizm. W mieście pogrążonym od dziesięcioleci w upadku setki młodych ludzi popadły w uzależnienie od środków przeciwbólowych, z których przerzucili się na heroinę. Tymczasem Izba Handlowa desperacko wymyślała hasła w rodzaju: „Śródmiejskie Marion – oto, jak się rozwijamy”.

Przypadkowy obserwator mógłby współczuć ojcom miasta. Jak wiele miejscowości na Środkowym Zachodzie, także Marion zmagało się z budzącymi grozę i niedostrzeganymi przedtem siłami. W miasto uderzyła przedłużająca się recesja, więc stale malała liczba miejsc pracy. Wielu mieszkańców z aspiracjami wyjechało. Tak samo zanikły wszelkie próby szukania nowych rozwiązań dla problemów, przed którymi stało Marion.

Jeśli podliczyłoby się wszystkie kradzieże, transakcje narkotykowe, rozprawy sądowe, przypadki hospitalizacji, zastawione dobra, kary więzienia, to według Belchera trzeba byłoby przyjąć, że miastem rządziła heroina. Jednak wydawało się, że policja w związku z tym nigdy nikogo nie aresztowała, a gazety nigdy o niej nie wspominały.

Dwudziestoośmioletni, krótko ostrzyżony i zwięźle się wypowiadający Belcher to były narkoman. Będąc od pięciu lat czystym, miał w sobie ten wspólny wielu wychodzącym z nałogu rodzaj energii, która w jego przypadku zaowocowała tym, że z rosnącą irytacją przyglądał się spowijającej Marion apatii.

Pewnej nocy przyszło mu do głowy, by zamówić przez internet osiemset tablic z czarnym tłem, na którym białymi literami wypisał buntowniczą deklarację: „Heroina to podstawa gospodarki Marion”. Przywieziono je tydzień później i mglistą nocą Belcher rozmieścił je w całym mieście – na polach kukurydzianych, w pobliżu więzienia, przed kościołami, na przystankach autobusowych, szkołach i ulicach lepszych dzielnic.

– Ogólnie rzecz biorąc, miałem nadzieję rozbudzić świadomość, zmusić ludzi do rozmowy o znalezieniu jakiegoś rozwiązania dla tego problemu – opowiadał. – Bo ten dotyczył każdej rodziny.

Przymierzał się do umieszczenia tablic w śródmieściu, gdy namierzyli go zastępca szeryfa i policjant z drogówki, którzy obudzili prokuratora. Tej nocy postawiono na nogi przedstawicieli władz miejskich, by wyszli na ulice i usunęli dzieło Belchera. Nad ranem pozostało już tylko dziesięć tablic. Jednak pewien diler umieścił ich zdjęcie na Facebooku. To przyniosło oczekiwany przez Belchera skutek.

Tablice stały się przedmiotem rozmów mieszkańców Marion. Do miasta przyjechali reporterzy telewizyjni. Ratusz zwołał posiedzenie radnych miejskich. Gliniarze zaczęli aresztować handlarzy heroiną, o czym donosiła prasa. Zorganizowano marsz pod siedzibę władz miejskich. Oczywiście żadne z tych działań nie rozwiązało problemu, niemniej ludzie zaczęli o nim mówić, co w zamyśle Belchera miało być punktem wyjścia.

Kolejną osobą, która chciała przerwać ciszę wokół opiatów, był Wayne Campbell – gość z wydatnym torsem i charakterem trenera futbolowego, czym zresztą dorywczo się zajmował.

Mniej więcej rok po tym, jak Jo Anna Krohn z Portsmouth została najprawdopodobniej pierwszą osobą w całych Stanach Zjednoczonych, która zabrała głos w sprawie epidemii opiatów, w jej ślady poszedł Wayne Campbell z przedmieścia Columbus – Pickerington.

Najstarszy syn Wayne'a, Tyler, tak jak i syn Jo Anny, uprawiał futbol. Grał na obronie w Akron Zips – drużynie z uniwersyteckiej pierwszej ligi. W 2009 roku uczelnia otworzyła stadion z miejscami dla trzydziestu tysięcy widzów, który miał być pomnikiem zaangażowania korporacyjnej Ameryki w sport. Kosztujący sześćdziesiąt jeden milionów dolarów obiekt miał za patrona InfoCision – firmę prowadzącą telefoniczne biura obsługi klienta. Samo boisko zyskało nazwę Summa Health System (od nienastawionego na zyski szpitala), patronem sektora klubowego była firma FirstMerit Corporation, zaś lożę prasową nazwano od miejscowej spółdzielczej kasy pożyczkowej. Jeśli kiedykolwiek uczelnia grająca w pierwszej lidze miała zapewnić swej drużynie dobry sezon, to 2009 rok byłby po temu idealny.

Zamiast tego drużyna rozpadła się pod presją zwycięstwa i ciężarem tabletek.

Najlepszy wówczas rozgrywający Zipów Chris Jacquemain po zwichnięciu stawu barkowego uzależnił się od OxyContinu. Zaczął kraść i na początku sezonu wydalono go z drużyny, potem rzucił studia. Stoczył się i po dwóch latach zmarł wskutek przedawkowania heroiny.

Coś podobnego stało się z synem Wayne'a, Tylerem, który choć początkowo nie dostawał powołania do drużyny uniwersyteckiej, to ostatecznie dzięki wytężonej pracy dostał się do niej. Po operacji barku, przeprowadzonej po zakończeniu sezonu 2008, przepisano mu sześćdziesiąt tabletek Percocetu, nie informując go, co to za środek i jak go stosować. Nie było też jasne, czy rzeczywiście potrzebował aż takiej ilości pigułek. Lekarze powiedzieli Wayne'owi, że to standardowa procedura

pooperacyjna. On zaś odniósł wrażenie, że nie chcieli, by pacjenci wracali do nich zbyt szybko, więc od razu przepisywali dużo tabletek. Według niego była to składowa problemu.

Wayne rozmawiał potem ze skrzydłowym Jeremym Bruce'em, który pomógł mu zrozumieć, co w tamtym roku stało się z drużyną. Bruce powiedział, że trenerzy czuli presję, by z powodu otwarcia przez uniwersytet nowego stadionu wystawili zwycięską drużynę. Po meczach niektórzy z nich wyciągali duży słój i rozdawali pigułki oksykodonu i hydrokodonu – nawet po kilkanaście dla każdego zawodnika. W kolejnym tygodniu lekarz wypisywał sportowcom recepty na opiatowe środki przeciwbólowe i wysyłał studentów do apteki, by je zrealizowali.

– Przez cały ten sezon byłem na środkach przeciwbólowych, hydrokodonie lub oksykodonie – wyznał mi Bruce. – Dawali mi prochy dosłownie po każdym meczu i nie dokumentowali tego. Wyglądało to tak, jakby rozdawali cukierki.

Jednym z problemów dręczących drużynę była drastyczna różnica w jakości graczy pierwszoplanowych i ich zmienników. Jeśli zawodnicy z pierwszego składu doznawali kontuzji, a rezerwowi nie potrafili ich godnie zastąpić, wtedy, jak opowiadał Bruce, „pojawiał się związany z presją i stresem efekt kuli śnieżnej, by [graczy pierwszego składu] sprowadzić z powrotem na boisko". Twierdził także: „Według mnie tu właśnie w grę wchodziły narkotyki i dlatego podchodzono do tego tak beztrosko – z powodu stresu i presji, by wygrywać".

Ówczesny główny trener J. D. Brookhart twierdzi, że nic nie wiedział o skali zależności drużyny od opiatów, którą opisywał Bruce.

– Nie było to coś, o czym byśmy wiedzieli – opowiadał. – Nie sądzę, by był to problem, o którym ktokolwiek myślał, że jest aż tak rozległy. Przynajmniej nie na tym szczeblu, na jakim się znajdowałem. To nie było tak, że trenerzy mieli tu jakiekolwiek upoważnienie [do przepisywania pigułek]. Tabletki zalecali lekarze.

W tamtym sezonie kluczową dla drużyny kwestią były kontuzje, opowiadał mi Brookhart w swoim domu w Teksasie, gdzie przeniósł się po rzuceniu trenerstwa i gdzie pracuje dla chrześcijańskiej organizacji non profit. Z powodu urazów dwudziestu czterech zawodników, w tym dwóch z trzech rezerwowych wchodzących za Jacquemaina, ominęło osiem lub więcej meczów.

Pod koniec sezonu 2009 drużyna futbolowa Akron Zips mogła służyć za wizytówkę amerykańskiej epidemii opiatów. Nie tylko wyrzucono Jacquemaina za sprawy związane z jego uzależnieniem, ale też im dalej w sezon, tym liczba kontuzji rosła. Według Bruce'a „od piętnastu do siedemnastu dzieciaków też

zaczęło mieć problemy. Można było odnieść wrażenie, że większość z tych, którzy zmagali się z nałogiem, miała również poważny problem z urazami”.

Pod koniec sezonu gracze wiedzieli już, że warto porozmawiać z kolegami z drużyny, którzy dopiero co przeszli operację, bo z pewnością mieli fiolki pełne pigułek. W międzyczasie prochy można było zdobyć od dilera spoza kampusu, który przychodził przed treningami i sprzedawał je na kredyt, a zapłatę dostawał z pieniędzy będących częścią stypendium na czynsz i jedzenie.

W inauguracyjnym dla nowego stadionu sezonie 2009 Zips wygrali zaledwie trzy mecze. Pod koniec zwolniono kadrę trenerską, jednak skutki kryzysu trwały dalej.

Jednym ze słabych punktów tamtej drużyny była obrona. Ogólnie rzecz biorąc, formacja defensywna i wchodzący w jej skład wspomagający okazali się za słabi. Podobnie było z tylnymi obrońcami, którym udawało się wprawdzie kryć nacierających skrzydłowych, ale nie byli w stanie efektywnie poradzić sobie z zatrzymaniem formacji ofensywnej przeciwnika.

Najbardziej słabość defensywy odczuwało się na jednej pozycji: *safety*, czyli tam, gdzie grał Tyler Campbell. Biegacze często przedzierali się przez defensywnych liniowych i wspomagających. Zbyt często zatrzymanie przypadało w udziale zawodnikom grającym na pozycji *safety*. Po meczu z silną drużyną Wisconsin – pierwszym w sezonie 2008, a zarazem debiucie posiadającego już stypendium Tylera w rozgrywkach międzyuczelnianych – syn Wayne’a z osiemnastoma zatrzymaniami był krajowym numerem jeden w tej kategorii. Osiągnięcie to trenerzy przypisali jego ciężkiej pracy i wytrwałości.

Niemniej jego statystyki tylko uwydatniały słabość drużyny. Kiedy zawodnik grający na pozycji *safety* wykonuje tyle zatrzymań, to – jak tłumaczył Bruce – „ma się poważny problem. [Biegacze przeciwnika] nigdy nie powinni aż tak często przedzierać się tak daleko”.

W środku sezonu Tyler doznał kontuzji barku. Nigdy w pełni nie wyzdrowiał i po zakończeniu sezonu przeszedł operację. Jego rodzice nie mogli dotrzeć do niego do Akron i dopilnować, by przyjmował pigułki we właściwy sposób, ponieważ w tym czasie przez Ohio przewaliła się śnieżyca. Lekarze drużyny nie byli w stanie przekazać Wayne’owi dokumentacji pokazującej, jakie środki jego syn przyjmował po meczach. Wydaje się jednak, że tych sześćdziesiąt tabletek Percocetu wydanych Tylerowi w ramach terapii pooperacyjnej prowadzonej po

sezonie 2008 wpędziło go w nałóg. W następnym roku Tyler bez wiedzy najbliższych przerzucił się na OxyContin.

W sezonie 2009 Tyler grał w kratkę. Wprawdzie wystąpił w jedenastu meczach, ale wykonał tylko trzydzieści jeden zatrzymań. Ponadto stał się skryty i nieobecny duchem, co koledzy z drużyny i rodzina przypisywali niepowodzeniom na boisku. Na wiosnę 2010 roku, gdy jego oceny drastycznie spadły, a on sam stał się zbyt humorzasty, odesłano go do domu. W następnym roku dwukrotnie trafił na odwyk i powracał do nałogu. W pewnym momencie zaczął brać heroinę.

W czerwcu 2011 roku rodzice umieścili go w drogim ośrodku odwykowym w Cleveland. Po trzydziestu dniach matka zawiozła go do domu, czystego, pełnego optymizmu i planującego zostać szkolnym psychologiem. Nazajutrz rano znalazła go w jego sypialni martwego. Przedawkował czarną smołę z Columbus, którą najpewniej ukrył w swoim pokoju, nim jeszcze poszedł na odwyk.

Rodzina Tylera, która w Pickerington cieszyła się poważaniem, ukrywała uzależnienie chłopaka. Jednak po jego śmierci Wayne powiedział do żony: „Powiedzmy o tym. Bądźmy szczerzy i ujawnijmy prawdę”.

Campbellowie przygotowali na pogrzeb trzysta opasek na nadgarstek z napisem: „W imię TC powiedzmy nie”. W nekrologu poproszono żałobników, by dali datek grupie zajmującej się zapobieganiem narkomanii. Na uroczystość pogrzebową przyszło półtora tysiąca ludzi. Kiedy pocieszali Wayne’a, uderzyło go, jak wielu wyszeptało mu do ucha: „Mamy w domu ten sam problem”.

Dwa tygodnie później Wayne spotkał się z ojcami, którzy chcieli zrobić coś dla upamiętnienia jego syna. Znał niewielu z nich, ale dowiedział się, że dzieci części z nich również są uzależnione. Dla Wayne’a było to jak objawienie.

– Kiedy zmarł Tyler, uniosła się zasłona milczenia – wspominał. – Myśleliśmy, że to był tylko nasz wstydliwy sekret. Myślałem, że był jedyny. Nagle zdałem sobie sprawę, że dotyczyło to nie tylko jego.

Z tego zaczynu wyrosła organizacja non profit, nazwana Tyler’s Light [Światło Tylera]. Kiedy spotkałem się z Wayne’em Campbellem, stała się już ona treścią jego życia, tak jak to było w przypadku Jo Anny Krohn i SOLACE. Regularnie występował w szkołach z pogawędkami o opiatach, podczas których pokazywał film wideo młodych narkomanów z klasy średniej, w tym córki sędziego.

Wayne namawiał innych, by się do niego przyłączyli. Wśród nich był Gary Cameron, szef brygady antynarkotykowej z wydziału policji w Columbus. Wraz ze współpracownikami zwalczał ogarniające miasto sieci handlarzy heroiną z Xalisco,

a w tym samym czasie – jak opowiadał w salach wypełnionych uczniami i studentami – jego pasierb uzależniony był od sprzedawanego przez nich towaru.

Cameron uznawał Chłopaków z Xalisco za nową awangardę w handlu narkotykami – przypominały one bardziej działające w odosobnieniu komórki terrorystyczne niż tradycyjne organizacje dilerskie. Większość kierowców, jak zauważył, tak naprawdę niewiele wiedziała o narkotyku, który sprzedawała. Żyli w izolacji w niewielkich mieszkaniach. Aresztowania nie były w stanie ukrócić działalności ich komórek, gdyż zbyt wiele amerykańskich dzieciaków brało opiaty. Ani one same, ani ich rodzice nie mieli bladego pojęcia, z kim się zadają. Tak więc w epoce Chłopaków z Xalisco Gary Cameron uznał, że najważniejszym zadaniem policji powinna być edukacja.

– O problemach związanych z crackiem mówiliśmy od razu – powiedział kiedyś po prezentacji przedstawionej przez Tyler's Light Cameron. – Nie mówimy jednak nic o uzależnieniu od heroiny.

Około roku po utworzeniu przez Wayne'a Campbella organizacji Tyler's Light zadzwonił Paul Schoonover z pytaniem, czy wraz z żoną mogliby w jakiś sposób pomóc. Ich syn Matt kilka miesięcy wcześniej zmarł po przedawkowaniu czarnej smoły – stało się to dzień po zakończeniu trzytygodniowej terapii odwykowej.

Kiedy zbierałem materiały do tej książki, Schoonoverowie byli jednymi z pierwszych rodziców, z którymi spotkałem się podczas mojej najwcześniejszej wizyty w Columbus. Ich syn zmarł, gdy epidemia opiatów zdążyła się już rozpanoszyć, jednak całkowicie ich to zaskoczyło. Do śmierci Matta nic o niej nie wiedzieli.

Tak więc na pogrzebie Paul wstał i powiedział dwustu żałobnikom prawdę o tym, jak umarł Matt – o braniu tabletek, OxyContinie, a potem o heroinie. Opowiedział, jak przez cały ten czas jego syn wiódł typowe dla przedmieść życie, grał w tenisa i golfa. Większość jego kolegów miała wyznaczone cele życiowe. Matt też miał swoje plany, ale zrealizowanie ich przychodziło mu z trudem. Niemniej pracował i był częścią rodziny. Nie ubierał się niedbale i choć szybko kończyły mu się pieniądze, nigdy niczego nie podkradał rodzicom. Drzwi do jego sypialni zawsze były otwarte. Nigdy nie wyglądał tak, jak jego ojciec i matka wyobrażali sobie narkomana. Jednak, jak się okazało, przez cały ten czas prowadził podwójne życie.

– Czy dostrzegałam tylko to, co chciałam zobaczyć? – pytała później Ellen. – Być może tak właśnie było.

Niedługo po śmierci Matta Paul i Ellen Schoonoverowie poszli na wystąpienie mówcy motywacyjnego dla grupy równie bogatych, jak oni, par w średnim wieku. Mówca poprosił ich o wyobrażenie sobie drugiej połowy ich życia, w której zrobiliby coś więcej, niż tylko korzystali ze zgromadzonego majątku.

– Pytanie brzmiało tak: „W jaki sposób możecie przeżyć tę drugą połówkę swego życia tak, by zrobić w niej coś znaczącego?" – opowiadał mi Paul, gdy spotkałem się z małżeństwem w Columbus w biurze ich firmy ubezpieczeniowej. – Może niewielu ludzi zadaje sobie to pytanie. Nie wiem, czy sam bym je sobie zadał. Wiedzieliśmy jednak, co mieliśmy do zrobienia.

To śmierć Matta, którą potraktowali jako wyzwanie, doprowadziła ich do tego. Kiedyś uważali nałóg za skazę duchową, teraz zaś traktowali go jak schorzenie cielesne, chorobę. Niegdyś myśleli, że po odwyku ich syn dojdzie do siebie. Teraz mieli świadomość, że powrót do nałogu był nieunikniony i że do pełnego wyzdrowienia potrzebna była dwuletnia terapia odwykowa i abstynencja, po której następowałoby dożywotnie uczestnictwo w programie dwunastu kroków.

– [Po rzuceniu opiatów] potrzeba dwóch lat na to, by receptory dopaminowe zaczęły pracować normalnie – tłumaczył Paul. – Nikt nam o tym nie powiedział. Myśleliśmy, że jest z nim wszystko w porządku, bo przeszedł odwyk. Ale dla dzieciaków to za mało. Potrzeba lat czystego życia, by dojść do punktu, w którym mogą, ale tylko mogą, zyskać szansę. To walka trwająca całe życie. Gdybyśmy wiedzieli, nigdy nie zostawilibyśmy Matta samego w tych pierwszych krytycznych dniach po wyjściu z odwyku. Tego pierwszego dnia pozwoliliśmy mu pójść samemu na spotkanie anonimowych narkomanów. Miał na sobie nowe ubranie. Wyglądał dobrze. Potem był umówiony z kolegą na golfa. Zamiast skręcić w prawo na spotkanie, poszedł w lewo, kupił narkotyki i umarł.

– Kiedy wchodzisz w narkotyki, twój rozwój emocjonalny zostaje zahamowany – kontynuował. – Matt miał dwadzieścia jeden lat, ale jego dojrzałość zatrzymała się na poziomie nastolatka. Narkotyki zabierają zdolność do działania w sposób emocjonalnie dojrzały. Narkotyk staje się twoim bogiem.

Zadane tamtego dnia przez mówcę pytanie pozwoliło Schoonoverom skanalizować ich żal. Zbyt wielu rodziców było równie, jak oni, zagubionych. Paul zadzwonił zatem do Wayne'a Campbella w nadziei, że historia Matta pozwoli podnieść alarm i przygotować innych rodziców na to, co ich czekało.

– W tym wszystkim tkwiło tak wiele zła – wyznała Ellen Schoonover. – Przemienimy je w coś dobrego. Możemy to dobro przyjąć i znaleźć sens w śmierci

Matta.

CZĘŚĆ IV

Ameryka

Pięć lat po tym, jak stanąłem na brzegu rzeki Ohio w Huntington w Wirginii Zachodniej, myśląc, jakie tropy mam przed sobą, ofiary gnębiącej Stany Zjednoczone epidemii opiatów wyszły z cienia i przerwały milczenie. Można było je spotkać wszędzie i wiadomo było, kim są. Heroina przebrnęła długą drogę z ciemnych zakamarków Nowego Jorku i kart powieści Williama Burroughsa *Ćpun*. Zbliżając się do końca tej historii, odkryłem wręcz, że była ona nawet w ekskluzywnych, stylizowanych na styl hiszpański osiedlach, pełnych terakoty i palm, które pobudowano w południowej Kalifornii – niedaleko miejsca, gdzie mieszkałem. A może zwłaszcza tam.

Leżące pół godziny drogi od mego domu miasto Simi Valley pogrążone było w bólu po serii zgonów spowodowanych przedawkowaniem opiatów – jedenastu w ciągu roku. Konserwatywne i religijne Simi Valley przez lata było enklawą gliniarzy. Mieszkało tam wielu funkcjonariuszy z wydziału policji w Los Angeles, spośród nich wywodził się też zastępca burmistrza. Przez długi czas miasto to było zatem jednym z najbezpieczniejszych w całych Stanach Zjednoczonych, zresztą według wskaźników przestępczości nadal takie jest. Ponieważ jednak pigułki są wszędzie, a heroinę sprzedaje się w szkołach średnich, dzieciaki stamtąd też umierają teraz przez narkotyki. Inne generują wzmożony ruch w klinice metadonowej. Podobna sytuacja panuje w pobliskich Thousand Oaks, Moorpark i Santa Clarita.

Niski poziom przestępczości i wysokie wskaźniki umieralności z przedawkowania – tak wyglądał nowy amerykański paradygmat. Szczęśliwa powierzchnia przykrywająca złowieszczą rzeczywistość.

– Sprowadziliśmy się do tego bezpiecznego miasta, robiliśmy wszystko, czego lokalna społeczność od nas oczekiwała, a teraz chowamy nasze dzieci – opowiadała Susan Klimusko, której syn Austin zmarł w wyniku przedawkowania heroiny.

Żeby stawić temu opór, Klimusko wraz z innymi mieszkańcami Simi powołała koalicję Not One More [Ani Jednego Więcej], która zyskała wsparcie rady miejskiej oraz najważniejszych firm działających w mieście, w tym Starbucksa, California Pizza Kitchen czy Home Depot. Niemniej były to czasy, gdy obecność heroiny wciąż była niewidoczna i starannie ukryta, przynajmniej dla tych, którzy

nie byli narkomanami lub nie byli rodzicami jednego z nich. Wtedy, w niedzielę przypadającą na rozgrywki Super Bowl za rok 2014, Stany obiegła wieść o śmierci jednego z najwybitniejszych amerykańskich aktorów.

Czterdziestosześcioletniego Philipa Seymoura Hoffmana znaleziono tego ranka w jego mieszkaniu w Greenwich Village. W ramię miał wbitą strzykawkę, a wokół ciała leżały porozrzucane torebki z heroiną, oznakowane karcianym symbolem asa pik. Badania krwi wykazały obecność w organizmie heroiny zmieszanej z kokainą, amfetaminą i benzodiazepinami. Zdobywca Oscara – i ojciec trojga dzieci – zgłosił się w maju poprzedniego roku do ośrodka odwykowego, który opuścił po dziesięciu dniach, ogłosiwszy, że jest czysty, i wrócił do realizacji napiętego kalendarza filmowego. Jak śmierć Rocka Hudsona przed trzydziestoma laty zmusiła kraj do przyjęcia do wiadomości istnienia epidemii AIDS, tak zgon Hoffmana otworzył Amerykanom oczy na epidemię opiatów.

Nie minęło kilka dni, a media od wybrzeża do wybrzeża odkryły, że ludzie umierają tysiącami. W doniesieniach utrzymywano, że liczba przypadków nadużywania heroiny gwałtownie rośnie, a niemal wszyscy nowi heroiniści zaczynali od środków przeciwbólowych wydawanych na receptę. To nie była żadna nowość, bo tak działo się już od piętnastu lat. Ponadto chodziło o coś więcej niż same narkotyki. Moim zdaniem ta wzbierająca fala wynikała z nałożenia na siebie potężnych sił: gospodarki i marketingu oraz biedy i dobrobytu. Trudno to jednak było przedstawić w trwających cztery minuty wywiadach. Poza tym wiele z tego utracono w ogarniającej media gorączce, by odkryć i wyjaśnić przyczyny nowej plagi. Prokurator generalny Eric Holder mówił o „naglącym i przybierającym na sile kryzysie w stanie zdrowotnym społeczeństwa” i wzywał policję oraz personel paramedyczny do zabierania ze sobą naloksonu, który jest skutecznym antidotum na przedawkowanie opiatów.

Wówczas jednak wiele w tej historii zaczynało się już zmieniać.

Dwie dekady rewolucji w podejściu do bólu przyniosły kompromis, w myśl którego uznano, że opiaty są nieskuteczne, a nawet niebezpieczne w niektórych odmianach bólu chronicznego – między innymi w bólach pleców, głowy czy fibromialgii. Kilka klinik i paru lekarzy, z którymi rozmawiałem, przyjęło zasadę niestosowania ich w takich przypadkach. Pewien przeprowadzony w 2007 roku sondaż na temat bólu pleców i zażywania opiatów wykazał, że wśród pacjentów powszechne były „zaburzenia stosowania”, a „aberracyjne” zachowania konsumenckie wystąpiły u jednej czwartej badanej populacji. Badacze stwierdzili,

że nie do końca wiadomo było, czy w przypadku bólów pleców stosowanie opiatów miało długofalowy efekt terapeutyczny.

Pod koniec pierwszej dekady XXI wieku przechodzenie z OxyContinu na heroinę było już zjawiskiem powszechnym. Firma Purdue Pharma dostrzegła to i w 2010 roku zmieniła swój produkt, dodając do niego czynnik powstrzymujący przed nadużywaniem, dzięki któremu trudniej było go rozłożyć i wstrzykiwać dożylnie. W zamierzeniu miało to uczynić OxyContin mniej podatnym na niezgodne z przeznaczeniem stosowanie. Tak zresztą było. Gdyby jednak uczyniono to w 1996 roku, historia ta mogłaby wyglądać zupełnie inaczej. Teraz jednak w całym kraju istniała znaczna populacja osób uzależnionych od OxyContinu. Jeśli zaś brakło tego środka lub z innych przyczyn osoby te nie mogły go przyjmować, bardzo często przerzucały się na heroinę.

Kolejnym czynnikiem, za sprawą którego problem heroinowy się nasilił, były fast foody. W całych Stanach wykorzystywano ich praktyczne toalety jako wygodne miejsce do wstrzykiwania narkotyków. W odosobnieniu, w zamkniętych pomieszczeniach, wiele osób przedawkowywało i umierało. W Bostonie sprawy miały się już tak źle, że miejska komisja zdrowia poprosiła pracowników fast foodów o dokonywanie okresowych przeglądów toalet i zorganizowała dla nich szkolenia, podczas których dowiadywali się, jakie mogą być oznaki przedawkowania – zwolniony oddech lub sine usta.

Heroina dotarła już do Alabamy. Do Missisipi i południowej Luizjany też. W położonych na obszarach wiejskich miasteczkach Indiany i Oregonu było źle. Podobnie we wschodnim Idaho, Dakocie Północnej i Wyomingu. W Wirginii Zachodniej liczba śmiertelnych przedawkowań potroiła się w ciągu pięciu lat. Hrabstwo Cabell, w którym położone jest Huntington, miało w 2012 roku najwyższą ich liczbę – tego roku dwadzieścia sześć osób wstrzyknęło sobie zbyt dużo heroiny. Lokalne media z części stanu Nowy Jork, położonej na północ od miasta o tej samej nazwie, oraz Minneapolis publikowały duże i wciąż ponawiane artykuły poświęcone heroinie. Dziennik „Albuquerque Journal” donosił o sięgającym osiemdziesięciu procent wzroście konsumpcji heroiny w Nowym Meksyku. Dolina rzeki Ohio i Salt Lake City tonęły w niej. Heroina była wszędzie w New Hampshire i Vermoncie, a gubernator tego ostatniego stanu Peter Shumlin w 2014 roku poświęcił całość swego dorocznego orędzia tej nowej pladze.

Heroina mogła wedrzeć się tak głęboko w kraj, gdyż przedtem na skalę masową napłynęły do niego legalne opiaty. Przypominało to wywołany pod koniec

ubiegłego wieku zalew recept wypisywanych przez lekarzy, którzy w większości powodowani byli dobrymi chęciami. Handlarze narkotyków pojawili się niedługo później, ale ich zyski okazały się o wiele niższe niż firm produkujących legalnie dopuszczone na rynek środki, które spowodowały tę falę.

– Problem, który w Vermoncie zaczął się od uzależnień od OxyContinu i środków przeciwbólowych przepisywanych na receptę, przerodził się w zakrojony na wielką skalę kryzys heroinowy – powiedział gubernator Shumlin.

Czynniki, które powodowały, że przez dużą część XX wieku Nowy Jork był największym rynkiem handlu heroiną – olbrzymia liczba uzależnionych, imigranci i bliskość krajów uprawiających mak – występowały obecnie w skali całego kraju. Większość sprzedawanej w Stanach Zjednoczonych heroiny pochodziła z Meksyku, czyli przewożono ją przez Południowy Zachód, skąd trafiała do Nowego Jorku. Nie sprowadzano jej już dłużej statkami z Azji, a Nowy Jork funkcjonował teraz bardziej jako regionalne, a nie ogólnokrajowe, jak niegdyś, centrum dystrybucji tego narkotyku.

Zakończył się wyścig zbrojeń prowadzony przez pracowników działów sprzedaży firm farmaceutycznych. Pfizer, Merck, Lilly i inne przedsiębiorstwa przeprowadziły tysiące zwolnień. W jednej z publikacji poświęconych rynkowi w Stanach Zjednoczonych znalazła się sugestia, że 2014 rok – z liczbą przedstawicieli handlowych ograniczoną ze stu dziesięciu tysięcy do sześćdziesięciu tysięcy – może okazać się tym, w którym „pracownicy działów sprzedaży z branży farmaceutycznej zaczną powolny marsz ku wyginięciu". Patenty na leki będące hitami wygasły. Widok przedstawicieli handlowych przemierzających korytarze szpitalne i tłoczących się w gabinetach lekarskich, otaczających pracowników medycznych z informacją o „możliwości »przedstawienia, dopasowania i zawarcia umowy«, najprawdopodobniej stanie się coraz rzadszy" – lamentowano w artykule.

Po wyścigu zbrojeń pozostały rozbudowane sprawy sądowe i kryminalne związane z niezgodnym ze stanem faktycznym oznakowaniem leków i wprowadzającymi odbiorców w błąd reklamami. Purdue nie była jedyną firmą ściganą sądownie. Zasądzona jej kara sześciuset trzydziestu czterech i pół miliona dolarów wkrótce została przyćmiona wyższymi sumami. Sam Pfizer zapłacił ponad trzy miliardy dolarów kar i grzywien, by rozstrzygnąć sprawy sądowe dotyczące między innymi niewłaściwego oznakowania i wprowadzających w błąd reklam paru leków. W kwocie tej zawarte były dwa miliardy trzysta milionów dolarów

grzywny za nielegalne praktyki marketingowe związane z będącym przebojem rynkowym środkiem przeciwbólowym Bextra. Kara ta była najwyższą w historii, choć jak zauważył „New York Times", równała się ona wartości obrotów z mniej niż trzech tygodni.

Liczne organizacje i instytucje tłumiły swój początkowy entuzjazm, wykazywany tam, gdzie chodziło o opartą na opiatach terapię bólu.

Połączona Komisja Akredytacyjna Instytucji Opieki Zdrowotnej (JCAHO) promowała teraz interdyscyplinarne podejście do bólu, w tym ogólną dbałość o zdrowie, wsparcie psychologiczne, podawanie leków nieopiatowych oraz edukowanie pacjentów w kwestii niebezpieczeństwa uzależnienia od opiatów. Istnieje możliwość, że Vicodin i inne podobne środki nie będą już przepisywane bez jednoczesnej informacji o ich składzie. Od jakiegoś czasu Federalny Urząd Żywności i Leków (FDA) wymaga od firm farmaceutycznych, by dostarczały pacjentom i lekarzom wiedzę na temat ryzyka wpadnięcia w nałóg związany z konsumpcją opartych na opiatach środków przeciwbólowych z formułą kontrolowanego uwalniania substancji czynnych – co było zdroworozsądkowym, choć niewytłumaczalnie spóźnionym, dopełnieniem postulatów ruchu obrony praw pacjenta.

W międzyczasie FDA zmienił sposób klasyfikacji Vicodinu, przesuwając go z grupy leków z listy Schedule III do bardziej restrykcyjnej grupy Schedule II. Nie zaaprobował też generycznego i zawierającego formułę przedłużonego uwalniania odpowiednika OxyContinu. Potem jednak dopuścił do obrotu Zohydro – podobny do OxyContinu środek z formułą kontrolowanego uwalniania substancji czynnych, w którym było aż pięćdziesiąt miligramów hydrokodonu na tabletkę, choć brakło w nim acetaminofenu lub innej substancji zniechęcającej do nadużywania produktu. Komitet doradczy Urzędu wypowiedział się przeciwko Zohydro, jego stanowisko nie zostało jednak uwzględnione.

Firma Purdue zareagowała na to posunięcie oświadczeniem, że zwróci się do FDA o akceptację dla farmaceutyku jej własnej formuły kontrolowanego uwalniania hydrokodonu, który zarazem zawierać będzie związki zapobiegające nadużywaniu. Urząd dopuścił inny lek Purdue Targiniq ER, który łączy w sobie oksykodon o przedłużonym uwalnianiu i nalokson, będący antidotum na przedawkowanie opiatów. Niemniej sprzedaż OxyContinu rośnie. Przez kilka lat prowadzenia przez prokuratorów Johna Brownlee'ego w Abingdon w stanie

Wirginia sprawy przeciwko firmie sprzedawała ona – jak donosi „Fortune” – lek o wartości trzech miliardów stu milionów dolarów rocznie.

Jednocześnie wielu lekarzy zaczęło teraz unikać opiatowych środków przeciwbólowych równie energicznie, jak jeszcze kilka lat wcześniej je przepisywało. Pacjenci, którzy do zwalczenia bólu naprawdę potrzebowali terapii opartej na niewielkich dawkach opiatów, mieli teraz problemy ze znalezieniem kogoś, kto by je im przepisał.

Lekarze podstawowej opieki zdrowotnej nadal nie mieli czasu i odpowiedniego przygotowania do leczenia pacjentów z chronicznymi bólami. I nie zapowiada się, by miało się to zmienić. W rzeczywistości na studia z zakresu podstawowej opieki zdrowotnej decyduje się coraz mniej studentów, odstraszanych dużą liczbą zajęć, niewielkimi zarobkami i niskim poważaniem tego zawodu. Jak wynika z przeprowadzonego niedawno badania, w 2025 roku w kraju potrzeba będzie pięćdziesięciu dwóch tysięcy nowych lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej.

Z opublikowanego we wrześniu 2014 roku w „American Journal of Public Health” komentarza autorstwa czwórki lekarzy i badaczy wynika, że „trudno jest sądzić, by równoległy wzrost w liczbie recept i związanych z nimi szkód był zaledwie korelacją niemającą swojej przyczynowości. [Także] trudno jest sądzić, by problem leżał wyłącznie po stronie pacjentów z już wykształconymi zaburzeniami stosowania”. Dalej czytamy: „Właściwe medycznie użycie opioidów na receptę może – w jakiejś nieznanej proporcji przypadków – zainicjować rozwój niewłaściwych zachowań konsumenckich i w ostateczności doprowadzić do uzależnienia… Nawet jeśli wstępny kontakt nie wystarcza do bezpośredniego wywołania uzależnienia, to być może jest on wystarczający do uformowania wzorców niewłaściwego stosowania, które ostatecznie mogą prowadzić do uzależnienia”.

Jak utrzymywali rzecznicy stosowania opiatów, ból może osłabiać intensywność wywoływanych przez nie stanów euforycznych. Jednak autorzy komentarza zauważają, jak niewiele wiadomo o bólu i uzależnieniu, które to kwestie są bardzo złożone. Medycyna wciąż nie ma narzędzi pozwalających zidentyfikować, komu grozi uzależnienie od poprawnie przepisanych opiatowych środków przeciwbólowych. Brak również wiedzy, jak w terapii bólu ustalić równowagę między tym ryzykiem a dobroczynnym efektem, czyli ulgą od bólu, u osób przejawiających oznaki nadużywania tych środków. Co więcej, nawet tak skromna wiedza nie została uwzględniona w programie nauczania realizowanym na

uczelniach medycznych, a z pewnością nie w takim stopniu, w jakim uczestnicy krucjaty przeciwko bólowi zmienili go przy pomocy firm farmaceutycznych – tak, by uwzględniał „wybrane argumenty” na rzecz korzyści płynących ze stosowania opiatowych środków przeciwbólowych.

Po ponad dekadzie, podczas której przewlekły ból leczono wysoce uzależniającymi środkami farmaceutycznymi, wciąż nie podjęto próby zestawienia wyników badań nad bólem i uzależnieniami. Specjaliści zajmujący się tymi zagadnieniami żyli w osobnych światach i najwyraźniej się nawzajem nie znali, choć zajmowali się tymi samymi pacjentami, bo przecież dzisiejszy pacjent zmagający się z bólem może się wkrótce uzależnić. Nie było konferencji, na których mogliby się wymienić spostrzeżeniami i przemyśleniami. Nie było też czasopisma, na łamach którego publikowano by artykuły dotyczące obu specjalizacji. Nie znalazłem też żadnego badania, w ramach którego spróbowano by zmierzyć tę kluczową kwestię – ile osób uzależniło się od przepisywanych im na receptę tabletek?

Żal mi było lekarzy. Wypisywali receptę i ryzykowali, że ich pacjent się uzależni. Nie wypisywali niczego i pacjent musiał żyć z okropnym bólem. Ocena stanu zdrowia pacjenta potrafiła dopiec. To było pole minowe. Nie dziwi więc fakt, że tak niewielu młodych lekarzy decydowało się zajmować podstawową opieką zdrowotną.

Jednak interdyscyplinarne kliniki leczenia bólu przeżywały odrodzenie. Zestaw świadczonych przez nie usług miał długofalowo pomóc wielu pacjentom cierpiącym na bóle chroniczne. Do klinik tych zaczęły się zwracać agencje i firmy, którym zależało na trwałej poprawie stanu zdrowia swoich klientów, choćby z powodów finansowych. Przede wszystkim Agencja do spraw Zdrowia Weteranów (VHA) – niegdysiejsza promotorka terapii opiatowej w przypadku pacjentów z bólami przewlekłymi – zmieniła stanowisko. Ból jako piąty parametr życiowy nie był już dłużej niepodważalnym paradygmatem.

– Opioidy to skuteczny środek przeciwbólowy. One naprawdę działają, jednak tabletka nie zawsze jest rozwiązaniem – stwierdził doktor Gavin West, jeden z najważniejszych klinicystów Agencji.

Po latach przyglądania się, jak zbyt wielu weteranów odczuwających bóle chroniczne popadało w uzależnienie, VHA zaczęła otwierać kliniki interdyscyplinarne, oferujące fizjoterapię, akupunkturę, masaż, terapię na basenie oraz usługi pracowników socjalnych i psychologów, dzięki którym pacjenci mogli

znaleźć pracę, dach nad głową, rozwiązać problemy małżeńskie. W chwili powstawania tej książki Agencja miała już siedemdziesiąt takich klinik w całym kraju. Liczba leczonych w nich osób, które zażywały duże dawki opiatów, gwałtownie zmalała. Celem było postawienie pacjentów na nogi, by mogli pójść do pracy czy na mecz piłkarski swoich dzieci.

– Jeśli chce się to osiągnąć, trzeba podejść do pacjentów holistycznie – mówił West. – Chodzi w tym nie tylko o względy finansowe, ale też etyczne. Mamy jednak szczęście. Dysponujemy przewagą polegającą na przyjęciu odległego horyzontu czasowego. Wielu [ubezpieczeniowym] systemom medycznym tego właśnie brak. Płacą za to, co pomaga ich klientom przez kilka lat. Co się wydarzy za dekadę? To najprawdopodobniej będzie kłopot innej firmy ubezpieczeniowej. Jeśli główny czynnik ekonomiczny można wyrazić takim stanowiskiem: „Przebadam pacjenta w ciągu dziesięciu minut i wystawię mu rachunek" – to jest to słabe rozwiązanie. Ludzie, którzy patrzą dalej, mają przewagę w postaci leczenia pacjentów w sposób holistyczny.

Niestety, towarzystwom ubezpieczeniowym nie udało się dostrzec korzyści płynących z opieki interdyscyplinarnej. Jednak VHA przyjęła, że bardziej zrównoważone podejście do bólu doprowadzi do poprawy stanu zdrowia pacjenta przy jednoczesnym obniżeniu całościowo ponoszonych kosztów. Koniec końców klienci tego urzędu pozostaną pod jego opieką do końca życia.

Nie udało mi się porozmawiać z Russellem Portenoyem. W e-mailu grzecznie odmówił mojej prośbie o wywiad. Niemniej parę tygodni wcześniej organizacja Lekarze za Odpowiedzialnym Przepisywaniem Opioidów (Physicians for Responsible Opioid Prescribing – PROP) opublikowała nagranie wideo z niezwykle szczerą z nim rozmową.

Portenoy przyznał w niej, że optował za bardziej liberalnym stosowaniem opiatów na bóle przewlekłe i wygłosił wiele odczytów dla lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej, w których cytował między innymi Porter i Jicka oraz inne publikacje.

– [Żadna z nich] nie zawierała twardych dowodów, a mnie zależało na tym, by narzucić narrację, w myśl której słuchacze, czyli osoby z podstawowej opieki zdrowotnej, odebraliby tę informację *in toto* i poczuli się pewniej, przepisując opioidy w sposób wcześniej niepraktykowany – opowiadał na tym nagraniu. –

W istocie była to edukacja mająca na celu destygmatyzację [opioidów], a ponieważ to destygmatyzacja była głównym zadaniem, często pomijaliśmy dowody.

– Najpewniej gdybym wtedy miał jakieś podejrzenia i dzisiejszą wiedzę, nie mówiłbym w ten sposób. To było ewidentnie coś złego, zaś z uwagi na zakres odczuwanych dziś niepożądanych skutków w postaci endemicznych przypadków uzależnień i nieintencjonalnych zgonów z powodu przedawkowania wydaje się nieco przerażające, jak wzrost liczby tego typu recept, za który ludzie tacy jak ja jesteśmy odpowiedzialni, po części się do tego przyczynił.

To ty jesteś terapią

Stan Waszyngton

Jaymie Mai i Gary Franklin dalej dokumentowali w stanie Waszyngton skutki tego, co Franklin nazywał „najgorszą w historii epidemią, którą wywołano rękami człowieka i za sprawą zinstytucjonalizowanej medycyny”.

Liczba waszyngtońskich opiatowców podejmujących terapię znacząco wzrosła w pierwszej dekadzie XXI wieku z około sześciuset do – szacując ostrożnie – ośmiu tysięcy sześciuset w 2010 roku. Większość z nich była młoda, biała i mieszkała na przedmieściach. Zgonów wskutek przedawkowania było w 2008 roku już pięćset dwanaście.

W 2008 roku instytucja Labor and Industries opublikowała wytyczne dla lekarzy, które miały doprowadzić do ograniczenia liczby wystawianych recept na opiaty. Śmiertelność wskutek przedawkowania zdążyła zmaleć i w 2012 roku takich ofiar było trzysta osiemdziesiąt osiem. Liczba kontuzjowanych robotników umierających z przedawkowania, która przed laty tak zaskoczyła Jaymie Mai, wówczas dopiero rozpoczynającą pracę, przez jakiś czas wciąż rosła i w 2009 roku zdarzyły się już trzydzieści dwa takie przypadki. Kiedy jednak wyszły wytyczne dotyczące recept, udało się obniżyć tę liczbę o połowę. Podobną prawidłowość zaobserwowano wśród robotników z urazami, którzy stawali się chronicznymi konsumentami opiatów.

Udałem się do Seattle, gdzie działa Interdyscyplinarny Ośrodek Bólu, którego korzenie sięgają czasów byłego zawodowego zapaśnika i pioniera badań nad bólem Johna Boniki. Dyrektorem centrum był wówczas doktor David Tauben, który niegdyś chętnie przepisywał opiaty i głosząc swoje stanowisko, odwoływał się do domniemanych wniosków sformułowanych przez Porter i Jicka. Z radością przywitał wypuszczenie na rynek OxyContinu z większą dawką substancji czynnej. Potem zaś widział, jak stan zdrowia jego pacjentów wcale się nie polepszał, a oni sami wręcz okazywali niezadowolenie, nieprzerwanie domagając się zwiększenia dawki przepisywanego leku.

Przez wszystkie te lata nie zapominał o kandydacie do ufundowanego przez Ośrodek stypendium, który na pytanie o to, dlaczego się o nie ubiegał,

odpowiedział, że chce mieć bentleya.

– Była to dla mnie metafora sytuacji, w jakiej znalazło się zarządzanie bólem – opowiadał mi Tauben.

Zmieniwszy poglądy na temat opiatów, zaczął pracować w centrum po tym, jak kierownictwo nad nim przejął Alex Cahana, którego nowym pomysłem na działalność ośrodka był powrót do starego podejścia do terapii – dostrzegania nie tylko somatycznych, ale również społecznych i psychologicznych źródeł bólu. W skład personelu wchodzili wówczas dwaj psychiatrzy, trzej psycholodzy, osoba od poradnictwa zawodowego oraz lekarze medycyny rodzinnej, odwykowej, a także interniści.

Całemu pokoleniu lekarzy próbowano przez lata zaszczepić przekonanie, że ból jest piątym parametrem życiowym.

– To po prostu pomyłka – przekonywał Tauben. – Powiedziałbym, że jakieś piętnaście procent moich pacjentów czuje się lepiej, bo przyjmują opiaty, ale w ilościach niewielkich lub umiarkowanych.

Tauben przejął zarządzanie ośrodkiem od Cahany w 2013 roku. Pięć lat, jakie Cahana spędził w centrum, pozwoliły mu poznać od środka wojny kulturowe toczone w Stanach Zjednoczonych wokół bólu. Dzięki temu doświadczeniu stał się w jakimś sensie filozofem bólu i szczęścia. Uważał, że usługi, za które towarzystwa ubezpieczeniowe zwracały pieniądze, ukształtowały wiele godnych pożałowania wartości wyznawanych w kraju.

– Prowadzimy mnóstwo badań, wykonujemy operacje i wbijamy igły, a pacjenci czują się gorzej – tłumaczył. – Gdy pracujemy nad ich sposobem odżywiania, nawykami związanymi ze snem, paleniem, pomagamy w znalezieniu pracy, to wtedy im się polepsza. Trzeba działać odpowiedzialnie. Jeśli oferuje się terapię, która zabija lub pogarsza stan pacjenta, to trzeba się zatrzymać. Nie można zarabiać pieniędzy na czymś, co nie działa.

Według Cahany problemem było owo „coś”. Zaślepił nas podziw dla technologii, przez co nie widzieliśmy możliwości bardziej holistycznych rozwiązań.

– Wylądowaliśmy na Księżycu, wymyśliliśmy internet. Możemy zrobić wszystko. Jest nie do przyjęcia, by zgodzić się na istnienie problemów, dla których nie ma technologicznych rozwiązań – tłumaczył Cahana. – Bardzo łatwo jest przejść od powiedzenia: „Mogę zrobić wszystko” do wmówienia sobie: „Wszystko mi się należy”. Nagle okazuje się, że nie jesteśmy w stanie pójść na uczelnię bez

Adderallu, że nie da się uprawiać sportu bez testosteronu, że nie ma się życia intymnego bez Viagry. Cały czas skupiamy się na tym „czymś” zamiast na ludziach. Mówię pacjentom odczuwającym ból: „Zapomnij o tym wszystkim, to ty jesteś terapią. Weź życie w swoje ręce, bądź zdrowy i rób to, co kochasz, i kochaj to, co robisz”.

On sam zresztą ignorował tę poradę. Kiedy przyjechał do Seattle ważył sto dwadzieścia kilogramów i przez kolejnych pięć lat przytył o dodatkowe dwadzieścia, ulegając stresowi i przepracowując się przy odbudowie historycznej kliniki. Zdobyła ona liczne nagrody i przedstawiano ją jako instytucję wzorcową. Cahana pojawił się w CNN i czasopiśmie „People”, dał odczyt na konferencji TED, a także zeznawał przed komisją senacką w sprawie nadmiernego stosowania leków na receptę. Przez cały ten czas tył, brał lekarstwa na nadciśnienie, cholesterol, a potem na skutki uboczne przyjmowanych specyfików – dziewięć tabletek dziennie, na które wydawał tysiąc pięćset dolarów miesięcznie, choć były w części refinansowane.

– Nie byłem w stanie pokonać schodami dwóch pięter bez sapania i dyszenia – wspominał.

Lekarz miał mu przepisać lek na zbyt wysoki poziom cukru, gdy Cahana stwierdził, że ma dość. Wyglądało na to, że żyje jak osoba uzależniona. Poświęcił lata na próby zmiany polityki publicznej, wpłynięcia na środowisko akademickie i reformy ustawodawstwa odpowiedzialnego za nadmierne przepisywanie środków przeciwbólowych. Dotarło w końcu do niego, że zmiana powinna dotyczyć również jego samego.

Zrezygnował z pracy w klinice i został konsultantem do spraw zdrowotnych doradzającym społecznościom o niskich dochodach. Narzucił sobie reżim zdrowego jedzenia, codziennych biegów, jogi i dbałości o sprawność fizyczną. Zaczął stopniowo odstawiać dotąd przyjmowane pigułki, schudł pięćdziesiąt kilogramów i brał udział w maratonach.

Według Cahany amerykańska służba zdrowia jest dobra w zwalczaniu chorób, ale okropna w kształtowaniu u ludzi dobrego samopoczucia.

– Nie wiedzą, jak to zrobić, a oferowana przez nich ścieżka w istocie jest szkodliwa.

W 2013 roku minęło siedemdziesiąt pięć lat od powołania przez Johna Rockefellera Juniora komitetu mającego znaleźć Świętego Graala w postaci

nieuzależniającego środka przeciwbólowego.

Doroczną konferencję zorganizowano w San Diego, w hotelu Bayfront Hilton, pod niemożliwie błękitnym czerwcowym niebem. Uczestnicy zajęli miejsca w przyciemnionej sali konferencyjnej, a mówcy przedstawiali dane głosami przytłumionymi przez grube dywany.

Wziąłem w niej udział, gdyż chciałem zrozumieć, czym stały się poszukiwania Świętego Graala. Pogoń za nieuzależniającą alternatywą dla opiatów miała dość krętą historię. Podczas niej wyprodukowano leki, z których wiele całkowicie niesłusznie uznano za pozbawione właściwości uzależniających: Demerol, nalbufinę czy Talwin. To było jak powielanie odwiecznego wzorca, gdyż ludzkość od zawsze szuka nieba pozbawionego piekła. Firmy, które jako pierwsze wytwarzały heroinę, uważały, że nie jest uzależniająca i jako taką ją reklamowano. Sto lat później tak samo zrobiło przedsiębiorstwo, które wyprodukowało OxyContin. Być może to natura chce nam powiedzieć w ten sposób, że nie możemy mieć wszystkiego naraz.

Komitet nosił teraz nazwę Kolegium do spraw Problemów z Uzależnieniem od Leków (College on Problems of Drug Dependence – CPDD). Rozwinął się i coraz więcej uczonych zajmowało się kwestią terapii uzależnień. Na konferencji wypiłem piwo z chemikiem z Uniwersytetu Maryland, Andym Coopem, który był na tyle miły, że poświęcił mi trochę czasu na wyjaśnienie swojej fascynacji molekułą morfiny i tym, jak ona działa. Według niego leki zawierające różnego rodzaju pochodne tej cząsteczki były „cholernie dobre jako środki przeciwbólowe”.

– Pracujemy nad znalezieniem innych leków, które byłyby równie dobre, ale nie dawałyby niepożądanych skutków ubocznych. Moim zdaniem tak się nie stanie. Używamy morfiny w celach klinicznych już od stu lat i będziemy to robić za kolejne sto. Nie twierdzę, że to się nigdy nie stanie, ale nie wiem, w jaki sposób dałoby się do tego doprowadzić – mówił.

Potem, jakby dalej myśląc na głos, dodał: „Gdybyśmy tylko mogli stłumić euforię, ale już nie analgezję, to chyba dostalibyśmy to, co nazwałbym Świętym Graalem”.

Wśród uczestników konferencji był profesor farmakologii na Uniwersytecie Temple Martin Adler, który wchodził w skład Kolegium od lat sześćdziesiątych.

– W zasadzie wszyscy z nas, no i oczywiście ja sam, mamy świadomość, że szanse na znalezienie Świętego Graala są nikłe lub wręcz żadne – powiedział mi Adler. – Jednak szukamy i przemysł też szuka.

Zapytałem go, czy uważa, że tego rodzaju lek jest nam w ogóle potrzebny, czy ludzie będą potrafili sobie z nim poradzić. Ostatecznie Amerykanie mieli go przez krótki czas i wielu młodych ludzi, którzy najbardziej skorzystali z panującego w kraju *embarras de richesse*, sięgnęło po leki używane do stłumienia bólu.

Adler przyznał, że być może nie. Według niego morfina to świetna metafora życia.

– Niedobre skutki morfiny minimalizują korzystanie z niej, co jest czymś pozytywnym. Niektórzy ludzie rodzą się bez receptorów bólu. [Życie bez bólu] jest czymś strasznym. Umierają młodo, gdyż ból jest najlepszym mechanizmem ostrzegawczym, jaki posiadamy.

Według niego z ostatnich piętnastu lat należy wyciągnąć taką oto nauczkę – trzeba zmienić naszą koncepcję bólu.

– Nie sądzę, że znajdziemy jeden ostateczny sposób leczenia bólu – dodał. – Przy leczeniu różnego typu nowotworów nie ograniczamy się do jednej terapii, a jeśli tak się dzieje, to dlatego, że nie wiemy, jak podejść do [każdego] z osobna. Uważam, że dążymy do tego, by opracować najbardziej skuteczny środek na różnego rodzaju bóle. Chroniczne bóle pleców, ból neuropatyczny, po prostu nie wiemy o nich wystarczająco dużo. Być może dlatego, że ból nie jest jedną chorobą.

– Ciało jest nieprawdopodobne – kontynuował. – To coś najbardziej niezwykłego, co możemy sobie wyobrazić. W kółko widzimy, że nie ma niczego, co byłoby w nim aż tak odizolowane od reszty, byśmy mogli się skupić tylko i wyłącznie na tym. Wszystko jest ze sobą nawzajem powiązane. Kiedy ma się do czynienia z mózgiem, wszystko się krzyżuje.

Zadzwoniłem do specjalisty od bólu z Bostonu Nathaniela Katza. Od czasu śmierci swego pacjenta Petera i spotkania z jego siostrą miał dużo okazji, by przyglądać się różnym słabostkom natury ludzkiej.

– Moi nauczyciele mówili mi, że kiedy bierzesz opioidy na ból, nie możesz się uzależnić, gdyż ból absorbuje euforię. Tak mnie uczono w Harwardzkiej Szkole Medycznej. Jak dziś wiemy, były to bzdury. Dlaczego więc wierzymy takim obietnicom? Bo chcemy, żeby były prawdziwe.

Powiedziałem mu, że rozmawiałem z ludźmi, którzy wskazywali na artykuł Foley i Portenoya opublikowany w 1986 roku w czasopiśmie „Pain”, a potem na fundusze otrzymywane przez Portenoya od firm farmaceutycznych, w tym od Purdue Pharmy, gdy jeździł po Stanach i nakłaniał lekarzy do przyjęcia nowego

podejścia w stosowaniu opiatowych środków przeciwbólowych. Krytycy wskazywali na możliwość zaistnienia konfliktu interesów.

Jednym z nich był Andrew Kolodny – specjalizujący się w uzależnieniach lekarz z Brooklynu, który z uwagą obserwował rozwój epidemii. Kolodny został potem współzałożycielem organizacji Lekarze za Odpowiedzialnym Przepisywaniem Opioidów, która zrzesza lekarzy mających krytyczne nastawienie do nowego trendu w przepisywaniu opiatów.

– [Portenoy] zaczął jeździć po kraju z wykładami niczym jakiś guru religijny – wspominał Kolodny. – Jego tubą była firma Purdue, która zawoziła ludzi do miejscowości wypoczynkowych, by tam go sobie posłuchali. Głoszony przez niego przekaz był frapujący: „Lekarze pozwalają pacjentom cierpieć. Nikt się nie uzależnia. Są na to badania".

– [Purdue] powoływała do życia organizacje, które z pozoru wydawały się oddolne – kontynuował. – Dawali mnóstwo pieniędzy fasadowym ciałom, które naciskały na stanowe instytucje medyczne, by zliberalizowały przepisy dotyczące wypisywania recept. Jeśli zrobiło się coś, by poddać problem kontroli i w efekcie doprowadzić do zmniejszenia ilości leków sprzedawanych na receptę, miało się na głowie wszystkie te grupy wołające, że to działania na szkodę pacjentów.

– Pojawiła się branża specjalistów od bólu, a ich model biznesowy wygląda następująco: prowadząc swoją praktykę, zdobywają płacących gotówką pacjentów, którzy nigdy nie ominą wizyty. To wszystko jest oburzające.

Katz jednak spotkał się w pracy z innym zjawiskiem. On sam podziwiał Portenoya, który według niego poświęcił całą swoją karierę na szukanie lepszych metod przynoszenia swoim pacjentom ulgi w przypadku rzeczywistych i poważnych bólów. Dzięki niemu ból stał się przedmiotem badań. Co więcej, Portenoy zawsze jasno mówił, że jego leczenie wymaga czasu i balansowania różnych czynników, lekarze zaś powinni zachowywać selektywność w wyborze pacjentów poddawanych tego typu terapii.

– Ludzie domagają się jednak prostych rozwiązań – dodawał Katz. – Nie chcą słyszeć o komplikacjach, a wzgląd na interesy komercyjne nie pozwala ich nagłaśniać.

W międzyczasie lekarze, zdaniem Katza, napotykali wszędzie zniecierpliwionych pacjentów, którzy czuli, że mają prawo zaznać ulgi.

– Stało się więc z kluczami do szafki z opioidami – kontynuował. – Cierpienie to coś absolutnie rzeczywistego. Przez lata trzeba było mówić: „Żałuję, że nie

mogę tego pani lub panu dać, ale to uzależnia i można przedawkować. Chciałbym, ale nie mogę”. Miało się klucze do królestwa, ale będący strażnikiem lekarz nie mógł z czystym sumieniem ich użyć.

W takich okolicznościach artykuł Portenoya i Foley z 1986 roku wywarł wielkie wrażenie, gdyż mówił lekarzom to, co od dawna chcieli usłyszeć: „Twoi pacjenci cierpią. Czy nie jesteśmy jednak mądrzejsi od naukowców sprzed lat? Wiemy już, że jeśli się weźmie [opioidy] na przewlekły ból, to nie sposób się uzależnić”.

– Pojawił się nowy rodzaj kapłaństwa, którego rytem było przepisywanie opioidów na bóle chroniczne. Była też niewielka grupa firm farmaceutycznych współpracujących z tymi lekarzami. Miały one odpowiednie narzędzia, czyli nową generację leków. Mechanicy, czyli specjaliści od bólu, mówili lekarzom, że te narzędzia działają. Uważam, że lepiej traktować ludzi jak osoby działające z gruntu racjonalnie i dochodzić, dlaczego robią coś tak, a nie inaczej. Była więc cała grupa rozsądnych ludzi, którzy zgodnie ze swą wiedzą postępowali racjonalnie, ale okazało się, że to nie przyniosło dobrych skutków.

Kiedy Katz tak przemawiał, wróciłem myślami do tego wszystkiego, co usłyszałem oraz zobaczyłem, i uznałem za zadziwiające, że mogło być to częścią historii pokazującej, dlaczego mieszkańcy małego miasteczka w meksykańskim stanie Nayarit sprzedawali teraz całą masę heroiny w jednych z najbogatszych i najbezpieczniejszych miejsc w całych Stanach Zjednoczonych. Powiedziałem mu, że to wprost niesamowite, by cała przywoływana przez niego argumentacja mogła w pewnej mierze opierać się na błędnej interpretacji napisanego w styczniu 1980 roku i zajmującego jeden paragraf listu do redakcji „New England Journal of Medicine” autorstwa doktora Hershela Jicka, w którym chodziło o coś zupełnie innego.

– Porter i Jick to rzeczywiście zdumiewająca sprawa, zważywszy na brak danych w tekście – odpowiedział Katz. – [Jednak] paragraf ten uwalnia od konfliktu wewnętrznego. To jak napicie się z krynicy. Nagle wypełnia cię spokój.

Internet towaru

Dolina Kalifornijska

– Być może będę w Meksyku, jak następnym razem tam wpadniesz – powiedział mi pewnego poranka Gość, kiedy siedziałem u niego w salonie, w jego domu w Dolinie Kalifornijskiej.

Zapadł się zgarbiony w głębokim fotelu, na głowie pełnej siwych włosów miał czapeczkę i uśmiechał się mgliście z powodu anemii. Ładna niegdyś twarz była dziś blada i pozbawiona nieodłącznej dawniej opalenizny. Zerkał przez drzwi z moskitierą na zewnątrz domu, który jego rodzina kupiła przed laty za dwadzieścia dwa tysiące dolarów, i przyglądał się spękanemu asfaltowi na ulicy, zadbanym trawnikom i tynkowanym domkom zamieszkanym przez klasę robotniczą.

Podczas licznych spotkań, które odbyliśmy już po tym, jak wyszedł z więzienia, gdzie trafił w wyniku operacji „Smolne jezioro”, przegadaliśmy wiele godzin. Przedstawił mi fascynującą opowieść o tym, jak dilerzy heroinowi z małego meksykańskiego miasteczka nasycali czarną smołą nowe rynki rozsiane po dużej części Stanów Zjednoczonych. Spędziłem w jego towarzystwie dużo czasu, wsłuchując się w zanikający głos, którym powoli relacjonował wydarzenia z przeszłości.

Już wówczas wiedziałem bądź udało mi się to później potwierdzić, że duża część z tego, co miał mi do powiedzenia, była prawdą. Dysponował szczegółową wiedzą na temat Xalisco i klinik metadonowych w wielu amerykańskich miastach. Reszta historii też brzmiała całkowicie przekonująco. Jednak w półświatku równie wiele osób skłonnych jest wyolbrzymiać własne wyczyny, co je pomniejszać. Nie byłem więc pewny, w co mam wierzyć, dopóki nie namierzyłem agenta DEA, który od samego początku brał udział w operacji „Smolne jezioro”. Potwierdził rolę odegraną przez Gościa, którą miał okazję poznać z niekończących się godzin podsłuchów.

– Rozszerzył sieć organizacyjną na inne miasta, szczególnie te, w których nie było konkurencji – opowiadał mi agent. – Namierzał kliniki metadonowe, gdzie spotykali ewentualnych klientów, a potem opierali na nich swój rozwój.

Dziś, piętnaście lat później, sytuacja utworzonych przez Gościa komórek jest ciężka. Mnóstwo młodych ludzi z Xalisco w stanie Nayarit odsiaduje długoletnie wyroki w więzieniach federalnych.

Chłopakom z Xalisco przez długi czas udawało się nie wzbudzać zainteresowania meksykańskich karteli narkotykowych. Zresztą co mogłyby je obchodzić ekipy sprzedające heroinę w ilościach nieprzekraczających jednorazowo kilograma? Jednak w 2010 roku Los Zetas i kartel Sinaloa wdały się na południu stanu Sinaloa we wzajemną wojnę. Przemoc rozlała się na południe i dosięgła niewielkiego Xalisco. Skutki były łatwe do przewidzenia. Tu i tam pojawiły się trupy. W jednej tylko strzelaninie zginęło jedenaście osób, w tym cieszący się szacunkiem lokalny boss narkotykowy Jose Luis Estrada – znany jako El Pepino, czyli Ogórek. Władze miasteczka zapowiedziały odwołanie Feria del Elote, a Departament Stanu odradzał Amerykanom podróż do Tepic. Kierownicy komórek, którzy i tak od pewnego czasu przenosili się do Guadalajary, tylko przyspieszyli przeprowadzkę. Musieli usunąć się w cień i na jakiś czas wynieść z domów, na zbudowanie których wydali tyle zarobionych na heroinie pieniędzy.

Trwało to ponad rok, aż ostatecznie górę wzięli Los Zetas. Szefowie komórek zaczęli płacić kartelowi za ochronę i wszystko się uspokoiło.

Niemniej napływ czarnej smoły z Xalisco do amerykańskich miast nigdy nie osłabł. Na wschód od Missisipi meksykańscy kierowcy krążyli po Nashville, Memphis, Indianapolis, kilku miastach Karoliny Południowej, Cincinnati, Charlotte i oczywiście Columbus oraz rozciągających się kilometrami wokół każdego z tych miast przedmieściach.

We Florence w stanie Kentucky funkcjonariusze brygady antynarkotykowej aresztowali członków komórki pracującej dla Sánchezów, w tym miejscową kobietę, która była pośrednikiem obsługującym tę rodzinę w Nashville podczas przeprowadzonej w 2006 roku operacji „Gorączka czarnego złota”. Komórka zatrudniała wyłącznie pozyskanych na miejscu białych kierowców, których zaopatrywała w samochody i telefony komórkowe – być może nie mogli już znaleźć pracowników u siebie w Meksyku.

Najwyraźniej Xalisco obiegła pogłoska, że w Kentucky, Pensylwanii, Wirginii i Massachusetts obowiązują łagodniejsze przepisy dotyczące narkotyków. Kilku kierowców z miasteczka aresztowano na przedmieściu Bostonu – w Weymouth.

Chłopaki pozostały zdecentralizowane, odporne i elastyczne. Stanowiły ucieleśnienie amerykańskiej epidemii opiatów – działały po cichu i bez stosowania

przemocy. Skupiały się na nowych rynkach, a jedynymi klientami, którzy ich interesowali, byli biali. Według mnie były one czymś na kształt internetu narkotyków – systemem dostaw towaru skrojonym na potrzeby XXI wieku i funkcjonującym aż w dwudziestu pięciu stanach. A wszystko to pochodziło z jednego małego miasteczka w Meksyku. Kierowców napędzał ich własny nałóg – żywione przez *rancheros* marzenia o powrocie do domu w glorii królów życia, opłaceniu *banda*, tańczeniu z dziewczętami, wzbudzeniu zazdrości w innych mężczyznach i utonięciu w objęciach rodziny, gdy ta otwierała kartony z drogocennymi pięćsetjedynkami Levi'sa i innymi markowymi dżinsami. Tymczasem z danych ogłoszonych przez samorząd wynikało, że Xalisco zajęło pod względem zamożności sto jedenaste miejsce na liście wszystkich dwóch tysięcy czterystu czterdziestu pięciu meksykańskich gmin (*municipios*).

Załogi z Xalisco w dużej mierze zawdzięczały swój sukces występującemu już w każdym zakątku Stanów Zjednoczonych zjawisku uzależnienia od tabletek wydawanych na receptę. Czy ich członkowie o tym wiedzieli, to inna interesująca kwestia. Poznałem kierowców, którzy nigdy nie słyszeli nazwy OxyContin, co brzmiało sensownie – nie znali bowiem angielskiego i utrzymywali kontakty towarzyskie tylko z ludźmi z komórki. Ale rozmawiałem też o tym z Harrym Sommersem, szychą z DEA, który przed laty koordynował przesłuchania prowadzone w ramach operacji „Smolne jezioro". Być może wyrobnicy nic nie wiedzieli, ale – jak mi powiedział – „wiemy z informacji dostarczonych przez członków sieci z Nayaritu i innych źródeł, że wielu z nich miało pełną świadomość powszechnego nadużywania środków przeciwbólowych. Namierzali więc rejony, w których ich zdaniem lekomania była szczególnie częsta, wiedząc, że ich towar trafi tam na podatny grunt".

Cokolwiek Chłopaki z Xalisco wiedziałyby bądź nie, to sposób, w jaki na początku swej działalności sprzedawały czarną smołę, nałożył się na agresywny marketing tabletek przeciwbólowych na dziewiczych dla tego rynku terytoriach, które następnie weszły w skład pasa oxycontinowego. W efekcie wytworzyła się katastrofalna w skutkach synergia zapowiadająca późniejsze lata i obserwowane już w skali ogólnokrajowej przechodzenie z pigułek na heroinę. Dzieciaki zaczynające od prochów umierały potem samotnie w swych samochodach jako niewolnicy pochodnych molekuły morfiny. Siły, które uruchomiono, by nakłonić ludzi do konsumpcji tych środków, okazały się równie niepowstrzymane jak sama molekuła. Tabletki przepisywano z wybujałą beztroską. Potem pojawiła się

sprzedawana jak pizza czarna smoła z gór stanu Nayarit. Coraz więcej rodziców traciło swoje dzieci, cierpiąc ból równie przewlekły i łamiący życie jak ten, który według lekarzy i firmy Purdue Pharma należało leczyć za pomocą opiatowych środków przeciwbólowych.

Wiele się zmieniało dla Chłopaków z Xalisco. W 2014 roku handel heroiną był już powszechny w całych Stanach, każdego dnia pojawiali się nowi dilerzy, z których wielu było narkomanami. Żaden z nich nie był franczyzobiorcą opracowanego w Xalisco systemu dostaw heroiny, niemniej działali oni na rynkach od lat pielęgnowanych przez Chłopaków, wyszukując zarazem nowych przestrzeni, obfitujących w osoby uzależnione od pigułek i gotowe na zmianę przyjmowanego opiatu. Coraz łatwiej dostępna była też pochodząca z innych regionów Meksyku i rozprowadzana przez czarne gangi z Detroit i Wschodniego Wybrzeża brązowa heroina. Kartel Sinaloa najwyraźniej drastycznie zwiększył skalę eksportu heroiny do Chicago i Nowego Jorku. Ilość towaru przechwyconego na granicy amerykańsko-meksykańskiej od 2007 roku zwiększyła się sześciokrotnie.

Z kolei w Xalisco rodząca się branża upraw awokado przejmowała grunty dotychczas wykorzystywane pod trzcinę cukrową i kawę, a w ślad za tym pojawiły się nowe miejsca pracy. Zaczęło się to w 2009 roku, kiedy plantatorzy ze stanu Michoacán – meksykańskiego centrum uprawy awokado – pojawili się z funduszami i nawiązali partnerstwo z miejscowymi rolnikami. Zasadzone wówczas sady po raz pierwszy wydały owoce w 2014 roku. Zbiory przechowywano w hurtowni kawy – tej samej, w której niegdyś zastrzelono Davida Tejedę. Wielu młodych mężczyzn, którzy zgłosili się do pracy przy awokado, miało za sobą areszt lub więzienie w Stanach Zjednoczonych za handel heroiną. Gdyby raz jeszcze ich złapano na północy na dilerce, czekałaby ich długoletnia odsiadka, wybierali więc zatrudnienie u siebie – w Meksyku.

Niemniej miasteczko – mniej lub bardziej – wciąż żyło z dochodów ze sprzedaży czarnej smoły. Setki, a może i tysiące młodych mężczyzn z gminy Xalisco zarabiały tym na życie po drugiej stronie granicy. W okolicy nietrudno było dostrzec samochody na amerykańskich tablicach rejestracyjnych – głównie z Kalifornii, Ohio, Karoliny Północnej, Utah, Kolorado i Oregonu. Wiele z nich wykorzystywano do ukrycia i przeszmuglowania dużych ilości gotówki. Jednak niewielu mężczyznom z Xalisco powodziło się rzeczywiście dobrze. Tak może było w przypadku właścicieli komórek, ale szeregowi pracownicy nie potrafili się wyrwać z zaklętego kręgu naprzemiennie występujących po sobie okresów

prosperity i krachu. I tak przez jakiś czas w rodzinnych okolicach ostentacyjnie wydawali pieniądze, aż się spłukiwali i musieli na nowo wracać do Stanów, by znów trochę zarobić. W Landarenas i Tres Puntos trudno było dostrzec inne rezultaty napływu gotówki niż wystający na ulicach mężczyźni, których jedynym zajęciem było picie alkoholu i branie kokainy. Część ulic wciąż nie miała bruku ani chodników.

Niewiele z mamony płynącej z handlu narkotykami spływało też do Gościa.

– O nic ich nie proszę – wyznawał mi. – Mam nadzieję, że zarobią mnóstwo kasy. Chciałbym tylko, by się do mnie przyznawali, gdy do nich przyjeżdżam. Ja tylko domagam się szacunku. To wszystko. Nie mówię im: „Wisicie mi coś" lub „Gdyby nie ja, nie mielibyście tego". Zapracowali na to, co mają.

Skorzystał z zaprowadzonego między kartelami pokoju, by pojechać do Xalisco na święta Bożego Narodzenia. Spotkał się z wieloma starymi znajomymi. Część nadal dobrze się trzymała, inni ledwo przędli. Niegdysiejszy hurtownik czarnej smoły Oscar Hernández-Garcia, czyli Mosca, wrócił do Xalisco, gdzie zamieszkał z żoną. Krążyły pogłoski, że wraz z braćmi jest właścicielem położonej przy wjeździe do miasteczka areny rodeo. Gość odwiedził również Nayaritańczyka, swego kolegę z celi więzienia w Nevadzie i partnera w pierwszej komórce heroinowej. Okazało się, że podczas wojny między kartelami zamaskowani napastnicy wdarli się do jego domu, gdy nikogo w nim nie było, i ukradli telewizor, biżuterię oraz wiele innych dóbr. Uprowadzili też wielokrotnie nagradzane konie, na których Nayaritańczyk często występował podczas miejskich parad.

Osłabiony chorobami Gość wrócił do Doliny Kalifornijskiej, gdzie wiódł anonimowe życie. Żaden z jego sąsiadów nie znał historii handlujących heroiną komórek z Xalisco. Często wspominał o tym, że na dobre zamieszka w domu, czyli w Xalisco – swoim mieście z wyboru – na dużym *rancho,* gdzie miejscowe rodziny wiedziały, ile dla nich zrobił.

Nie wydawało się to prawdopodobne. Życie handlarza narkotyków – od pigułek w Tijuanie w latach sześćdziesiątych po niezliczone kilogramy czarnej smoły – przygarbiło go, oprószyło siwizną i pozostawiło trudne dziedzictwo w postaci chorej wątroby. Kiedy rozmawialiśmy tamtego ranka, jego ciało powoli zapadało się w fotel. Obok stały wielki telewizor i wysoka lampa. Jego głos słabł i przechodził w mamrotanie, a oczy znikały pod na wpół zamkniętymi powiekami.

– Nie warto przepraszać za to, kim się jest. Nie robię tego. Robiłem, co robiłem – dodał, przeciągając dłonią po twarzy. – Nigdy celowo nie dążyłem do tego, by

kogoś skrzywdzić. Odpłata to kurewska sprawa, ale, do cholery, da się z tym żyć.

Kilka miesięcy później siedzę w piątkowy ranek na sali sądowej w Columbus.

Pomieszczenie jest bardzo zatłoczone i na pierwszy rzut oka ma się wrażenie, że jest się w sądzie do spraw wykroczeń drogowych, tylko wszyscy obecni są biali i młodzi. Chłopaki w założonych do tyłu czapkach bejsbolowych, z nieco niedbałymi bokobrodami, dziewczyny z wyblakłą farbą na włosach, w markowych spodniach i w wysadzanych strasem sportowych bluzach.

To sąd narkotykowy.

Piętnaście lat wcześniej Gość sprowadził do Columbus czarną smołę. Kiedy środowisko medyczne zaakceptowało wydawane na receptę środki przeciwbólowe jako „praktycznie nieuzależniające", o ile stosuje się je tylko do leczenia bólu, miasto stało się trampoliną dla przyszłej ekspansji systemu Xalisco na duże połacie wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

Teraz w mieście, w którym nigdy nie było heroiny, niemal każde miejsce w sądzie narkotykowym było zajęte.

Wszyscy podsądni są ćpunami, z których większość zaczynała od prochów, a trzy czwarte bierze teraz czarną smołę.

Sędzia Scott VanDerKarr prowadzi rocznie około czterystu spraw przeciwko heroinistom oskarżonym o przestępstwa bez użycia przemocy, którym ostatecznie nadano status wykroczeń. Jeszcze kilka miesięcy temu był to sąd stały, ale aby sprostać zapotrzebowaniu, VanDerKarr ostatecznie podzielił go i wydłużył godziny otwarcia. Poranne dwugodzinne posiedzenie przeznaczone jest dla osób, których nazwiska zaczynają się od liter A do L. Od M do Z sądzeni będą później, jeszcze tego samego ranka.

W hrabstwie Franklin jest kilka sądów specjalistycznych, na przykład dla weteranów, dla osób z problemami ze zdrowiem psychicznym. Jest też sąd narkotykowy – który otwarto w 2010 roku – do rozpatrywania spraw dotyczących przestępstw i wykroczeń związanych z konsumpcją alkoholu lub narkotyków, choć zdominowały go osoby przyjmujące heroinę. Posiedzenia odbywają się w nim jeden dzień w tygodniu. Mimo to i tak nie jest w stanie przerobić wszystkich tego typu spraw. W jeszcze innym sądzie, tym razem dla prostytutek, połowa podsądnych również uzależniona jest od heroiny.

VanDerKarr ma na sobie czarną togę, siedzi wywyższony nad resztą obecnych, a za sobą ma przymocowany do ściany potężny młotek sędziowski. Na sali panuje

jednak spokój, a nastrój przypomina bardziej spotkanie grupowe niż posiedzenie w sądzie. Ze stołu, który stoi z boku, można wziąć broszury o ośrodkach opieki medycznej oraz dostępnych dla weteranów usługach z zakresu odwyku i zdrowia psychicznego. VanDerKarr przywołuje do siebie kilka osób, chwali je za dni spędzone w abstynencji, pyta, jak idą im poszukiwania pracy i czy mają dostęp do terapii dwunastu kroków. Każdy z podsądnych obligatoryjnie podlega pomocy psychologicznej, musi poddać się rozmaitym testom na obecność narkotyków i w ciągu dziewięćdziesięciu dni wziąć udział w dziewięćdziesięciu spotkaniach Anonimowych Narkomanów. Następnie przez dwa lata przychodzi co tydzień na posiedzenie sądu. Połowa z tych osób uczestniczy w programie do końca, ale wielu odpada po drodze, a niektórzy umierają.

VanDerKarr to były prokurator z dwudziestoletnim doświadczeniem zawodowym. Uważa siebie za jednego z najbardziej wyrozumiałych sędziów pokoju w hrabstwie Franklin, choć lata spędzone w sądzie narkotykowym nauczyły go też, że narkomanom, niczym dzieciom, trzeba wyznaczyć wyraźne ograniczenia i ewentualne kary.

– Doszedłem do wniosku, że więzienie to właściwie dobra rzecz – opowiada mi po zamknięciu posiedzenia, mając na myśli tych, którzy rezygnują z programu. – Chodzi mi o to, że trzeba dać im karę kilku tygodni lub miesiąca. Często wystarczają dwa takie wyroki, by ich zmotywować.

To właśnie strach przed pójściem za kraty zdopingował Roberta Berardinellego po tym, jak w wyniku operacji „Smolne jezioro” aresztowano go w Santa Fe.

Po ponad roku udostępniania na swoje nazwisko samochodów i mieszkań dla Chłopaków z Xalisco Berardinelli został oddany pod nadzór kuratorski przez sędziego, który zagroził mu wieloletnim wyrokiem więzienia, jeśli nie przestanie ćpać. Mając nad sobą taki bat, ostatecznie zerwał z nałogiem. Spędził kilka lat jako doradca w ośrodku odwykowym, co tydzień przemawiał w sądzie, nie zważając, że wielu obecnych w ogóle go nie słucha. Lata później został liderem w Anonimowych Narkomanach i delegatem na zorganizowaną przez nich w 2014 roku w południowej Kalifornii międzynarodową konwencję, podczas której się spotkaliśmy.

– Nie ma logicznego wytłumaczenia, dlaczego siedzę tutaj, a nie w jakimś więzieniu federalnym. To dla mnie wielki dar, że się z tego wykaraskałem i nie odsiedziałem żadnego wyroku – opowiadał mi, gdy usiedliśmy przy fontannie

przed hotelem w dolinie San Fernando, zaledwie kilka kilometrów od miejsca, w którym Chłopaki z Xalisco rozpoczęły swoją karierę. – Wierzę w moc dwunastu kroków. To dzięki nim tu teraz jestem. Ten program jest wprost stworzony dla ludzi takich jak ja.

Ani Santa Fe, ani Nowemu Meksykowi nie udało się uniknąć plagi opiatów. Zmieniające się załogi handlarzy czarną smołą z Nayaritu przejeżdżały właśnie tędy. W dolinie Española zbiegła się konsumpcja tabletek i heroiny. W 2012 roku miejscowa gazeta donosiła, że padł tam rekord liczby zgonów spowodowanych przedawkowaniem. W artykule wstępnym napisano wprost: „Sytuujemy się zdecydowanie na szczycie ogólnokrajowej listy sporządzonej w oparciu o wskaźnik ofiar przedawkowań w przeliczeniu na mieszkańca".

Liczba wpadających w uzależnienie dzieciaków zaniepokoiła Berardinellego i przyczyniła się do zmiany składu działających w regionie grup AN. Prowadzona w obrębie organizacji dyskusja dotyczyła teraz tego, jak dotrzeć do tej młodzieży. Był to zresztą trend występujący w grupach realizujących program dwunastu kroków na terytorium całych Stanów Zjednoczonych – od Portsmouth po Portland. Niewielkie grupy AN, dotąd złożone z siwowłosych weteranów nałogu mających po pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, zostały nagle zasilone dwudziestokilkulatkami – i to w takiej masie, że trzeba było zorganizować dla nowych opiatowców specjalne spotkania.

Zapytałem go, czy kiedykolwiek się zastanawiał, co stało się z bossem nazywanym Enrique i kierowcami, którzy dawali mu cały ten towar. Odpowiedział, że nie za bardzo. To było tak dawno temu. Nie czuł jednak żadnej urazy. To byli mili goście, schludni, żadni tam mordercy, tylko chłopaki z klasy robotniczej próbujący zarobić na życie i pewnie mieszkający gdzieś w Meksyku. Ujęło go, że byli jedynymi dilerami, którzy w ciągu jego czterdziestoletniej kariery heroinowej nie brali sprzedawanego przez siebie towaru. Nadal był zaskoczony tym, jak świetnie byli zorganizowani. Pamiętał też, że po operacji „Smolne jezioro" na ulicach Santa Fe nie było hery tylko przez jeden dzień. Tak byli zorganizowani.

Miał też żywe wspomnienia chwili, gdy rankiem, czternaście lat wcześniej, agent DEA Jim Kuykendall ze swoim zespołem wparował, żeby go zwinąć. Nakaz wystawiony był na niego i jeszcze kilkunastu ludzi o brzmiących z meksykańska nazwiskach. Dysponowali wyciągami połączeń telefonicznych i podpisanymi przez niego dokumentami na samochody. Berardinelli był wychudły, wycieńczony, zapuszczony, pokryty parchami. Nie miał siły więcej kłamać.

Kuykendall zaprowadził go skutego kajdankami do radiowozu.

– To pierwszy dzień reszty twojego życia – odezwał się do niego agent, gdy wsadzał go do samochodu.

Trochę to potrwało, ale ostatecznie dotarło do Berardinellego, że to prawda. Był teraz dziadkiem i odczuwał ulgę, że udało mu się przetrwać dziesięciolecia zniewolenia. Na jego życzenie przesłałem od niego wiadomość dla Kuykendalla.

– Jim Kuykendall ocalił mi życie – oznajmił Berardinelli. – Po tylu latach chciałbym mu po prostu powiedzieć: „Hej, człowieku, dziękuję”.

W Portland zaś po śmierci swego brata Toviya Elina Sinyayeva zapewniała swoich rodziców, że nie bierze. W rzeczywistości brała więcej niż kiedykolwiek przedtem. Rzadko bywała w domu, próbując uciec od wspomnień o Toviyu i myśli o własnej odpowiedzialności za to, że przedawkował.

Któregoś wieczora ojciec, wyczuwając, że coś jest nie w porządku, wszedł do jej pokoju. Nigdy nie mieli ze sobą dobrego kontaktu. Zdjął jej torebkę z krzesła, na którym chciał usiąść, i usłyszał brzęk metalu. W środku znalazł dwie łyżeczki do heroiny.

Spodziewała się wybuchu gniewu. Zamiast tego jego oczy zaszły łzami. Po raz pierwszy w życiu zaczął ją prosić.

– Elina, potrzebujesz pomocy – odezwał się do niej.

Elina też się rozpłakała. Tego wieczora, czując głód heroiny, napisała do znajomego SMS-a z prośbą o pożyczenie pieniędzy. Ten odpisał jej: „Nie, ale znam pewien Kościół. Jest inny”.

Rosyjski zielonoświątkowiec i ćpun John Tkach otworzył klinikę odwykową w Boring na przedmieściach Portland. Widział, jak pochodzące z Rosji wspólnoty pentekostalne próbowały ukryć przed światem obecność wśród swoich wiernych setek uzależnionych młodych ludzi. Ilekroć rodzice mający uzależnione dzieci zwracali się do pastora z prośbą o pomoc, byli zawstydzani i karceni za prowadzenie domu pełnego grzechu. Tkach sprzedał swoją firmę przewozową, zaciągnął na swój dom kolejny kredyt hipoteczny i zorganizował ośrodek odwykowy. Zaczął przy nim działać Kościół – pierwszy, który uczynił szalejące wśród rosyjskich zielonoświątkowców uzależnienie od opiatów przedmiotem opieki duszpasterskiej. Bóg Nas Obdarzy, bo tak go nazwano, odwoływał się do Jezusowego nauczania miłości, przebaczenia i przemiany. Tradycyjnie usposobieni rosyjscy pastorzy obwołali go bluźnierczym i grzesznym. Rosyjska młodzież

zielonoświątkowa przezwała go Kościołem Odwyku. Wkrótce jednak Kościół ten zaszczepił swój model duszpasterski i resocjalizacyjny w Sacramento, Seattle i innych miejscowościach.

W tym właśnie Kościele Elina spotkała Vitaliya Mulyara. Od tych zwariowanych czasów, w których był jednym z pierwszych Rosjan sprzedających w Portland OxyContin, zdążył się zmienić. W 2010 roku stanął przed wyborem: albo dwa lata więzienia, albo poddanie się kolejnemu okresowi próbnemu, w którym miał całkowicie rzucić narkotyki. Przerażony, zwrócił się do wspólnoty Bóg Nas Obdarzy i po raz pierwszy poczuł w Kościele ciepło. Skończył z heroiną, został kaznodzieją, a następnie za zgodą sędziego wyjechał na misje na Ukrainę i do Austrii, gdy Kościół, napędzany świeżą energią swych odchodzących od nałogu wiernych, otworzył szkółkę misjonarską.

Rok po rzuceniu narkotyków Vitaliy spotkał w ośrodku Elinę, której opowiedział swoją historię. Początkowo brakowało jej wiary we własne siły i w to, że przemiana może stać się także jej udziałem. Jednak opowieść o tym, jak podniósł się z upadku życia na ulicy, dodała jej otuchy. Wkrótce połączyła ich niewinna miłość, zgodna z tradycją rosyjskich zielonoświątkowców, choć z nowoczesnym amerykańskim sznytem. Setki SMS-ów wymienianych, gdy był na misji, pozwoliły im lepiej się poznać. Po powrocie do domu i nim jeszcze po raz pierwszy się pocałowali, Vitaliy poprosił ją o rękę.

Dwa lata później urodziła im się córeczka. Dali jej na imię Grace.

Nikt nie zrobi tego w pojedynkę

Południowe Ohio

26 marca 2013 roku doktor Phillip Prior zmarł na raka wątroby w hospicjum w Lancaster w stanie Ohio. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat.

Jako dziecko chciał zostać paleontologiem, herpetologiem, archeologiem i biologiem – a to wszystko, nim skończył jeszcze dziesięć lat. Hodował też węże. Raz poszedł do fryzjera i kazał ogolić się na łyso, otwarcie sprzeciwiając się w ten sposób ojcu, który nalegał, by trochę skrócił włosy. Kiedy w kościele powiedziano, by należący do wspólnoty wiernych czarni poszukali sobie innej świątyni, przeszedł wzdłuż nawy, wrzeszcząc, że jego noga więcej tam nie postanie.

Jego rodzice cenili ponad wszystko wykształcenie. Prior zatrwożył ich, poświęcając siedem lat – tuż po ukończeniu liceum – na wyuczenie się zawodu mechanika samochodowego i naukę naprawy rowerów, a następnie otworzenie warsztatu rowerowego w Cincinnati.

Koniec końców poszedł na studia w wieku dwudziestu czterech lat, ukończył medycynę na Uniwersytecie Stanowym Ohio i przez lata pracował jako lekarz rodzinny w Chillicothe. Później, już jako trzeźwiejący alkoholik, wyspecjalizował się w medycynie uzależnień.

Mieszkał na farmie w Stoutsville w stanie Ohio. Konstruował rakiety i przez kilka lat rekord świata w amatorskich zawodach rakietowych należał właśnie do niego i trzech jego kolegów: posłali rakietę w niebo nad White Sands w Nevadzie na wysokość trzydziestu siedmiu kilometrów. Uwielbiał polowania. Zabitego własnoręcznie w Wyomingu kuguara wyprawił i powiesił w swoim salonie. Jego garaż był miejscem spotkań mężczyzn, którzy za hobby mieli mechanikę samochodową.

Oddani swemu powołaniu lekarze rodzinni zdobywają serca wielu ludzi. Kilka dni po śmierci Priora dwustu przyjaciół i znajomych zebrało się, by uczcić jego pamięć. Gdy żałobnicy pocieszali rodzinę, jego dzieci zagrały mu *Let It Be* Beatlesów i *The Wind Cries Mary* Jimiego Hendrixa. Natomiast na farmie znajomi odpalili brązową furgonetkę chevroleta z metalowymi felgami, nad którą pracował, nim zachorował. Spotkali się jeszcze raz po kilku miesiącach, zrobili pieczonego

prosiaka i na okolicznych polach rozsypali jego prochy. Nie wszystkie jednak – część wystrzelili w domowej roboty rakiecie opatrzonej przesłaniem od przyjaciół.

Życie Priora przetykały okresy uzależnienia, uwzniośłały badania naukowe i urozmaicały akty nieposłuszeństwa. Jeździł zwykłą toyotą camry i miał kilka rzadko noszonych garniturów. Przez ostatnich kilka lat był w Ameryce głosem wołającym na puszczy, który w samym środku epidemii opiatów ostrzegał przed nadmiernym przepisywaniem OxyContinu jako przepustki do zażywania heroiny. Był też jednym z pierwszych w regionie, który opowiadał się za stosowaniem środków farmaceutycznych w leczeniu uzależnień – przede wszystkim za roztropnym używaniem Suboxone'u – gdyż przeczuwał, że abstynencja zbyt często prowadzi osoby wychodzące z nałogu do nawrotu, co – zważywszy na obniżoną tolerancję – mogło prowadzić do śmierci.

Rozmawiałem z nim tylko przez telefon, nigdy osobiście. Chciałem się z nim spotkać, ale nie pozwoliła nam na to jego choroba. Kiedy przyjechałem do Ohio, był już w hospicjum.

– Tych, którzy zapamiętają, kim jest doktor Prior, będzie tylko garstka, ale w południowym Ohio jest on jednym z najważniejszych lekarzy – wyznał mi Orman Hall, kiedy spotkaliśmy się na lunchu. Przypadkowo miało to miejsce na kilka godzin przed śmiercią Priora.

Hall kierował wtedy stanowym programem kontroli nadużywania substancji odurzających.

Uzależnienie od opiatów było w Ohio powszechne. Zapytałem Halla, jak długo według niego Stany mogą poradzić sobie z tym pokoleniem opiatowców. Niektórzy uzależnieni jeszcze z czasów Wietnamu, czyli sprzed czterdziestu lat, wciąż przecież byli czynnymi narkomanami.

– Miejmy nadzieję, że będziemy potrafili utrzymać ich przy życiu – odpowiedział Hall. – Z doświadczenia wiemy, że od zera do sześćdziesiątki idzie to bardzo szybko.

Poznany przez Halla wyróżniający się student fizyki na Uniwersytecie Stanowym Ohio zaczynał od przyjmowania co drugi dzień w celach rekreacyjnych dziesięciu miligramów Percocetu. Jedenaście miesięcy później szprycował się codziennie dużymi dawkami heroiny.

– [Phillip Prior] był tym, który przyjął takie podejście do leczenia, jakiego potrzebujemy, by z powodzeniem poradzić sobie z tą generacją osób uzależnionych od opiatów – tłumaczył Hall. – To on uświadomił ludziom szerszy kontekst roli,

jaką firma Purdue Pharma odegrała u zarania tej epidemii. Przynajmniej tak to było w moim przypadku.

– Pewną ironią losu jest to, że właśnie opiaty zapewniają mu u schyłku życia choćby odrobinę lepszą jego jakość.

Rzeczywiście, po latach walki z nadużywaniem opiatów wydawanych na receptę i wywołanym przez nie nałogiem heroinowym jemu samemu przepisano na kilka tygodni przed śmiercią opiatowe środki przeciwbólowe, które otrzymywał od pielęgniarek w hospicjum, by złagodzić odczuwane przez niego bóle, i od których był w coraz większym stopniu zależny. Wezwał nawet lekarza, by ten zainterweniował, gdy nie chciano mu zwiększyć dozy.

– Dożywa swoich dni, będąc zależnym od opiatów – stwierdził Hall. – Opiaty mają w naszym systemie opieki zdrowotnej odpowiednie miejsce i sposób, w jaki używa się ich w przypadku doktora Priora, jest świetnym przykładem tego, jak właściwie należy je stosować.

*

W położonym nieco na północ mieście Marion partyzanckie metody stosowane przez Brada Belchera wzbudziły dyskusję. Jedną z osób, które wzięły w niej udział, była główna kurator sądowa hrabstwa Marion Jennifer Miller. W 2013 roku prawie osiemdziesiąt procent podległych jej spraw dotyczyło uzależnionych od opiatów.

Miller zaczynała karierę w połowie lat dziewięćdziesiątych. Była wtedy bojowo nastawioną kurator, która postrzegała swoją pracę jako zadanie zamykania tylu ludzi, ilu tylko mogła. W pisanych przez siebie raportach przedrozprawowych domagała się kary więzienia dla palaczy marihuany. Teraz zaś, będąc już matką i obserwując, jak opiaty opanowują jej hrabstwo, zdawała sobie sprawę, że jej dawne metody nie odniosły najmniejszego sukcesu. Ćpuny trafiały do więzienia, wychodziły z niego i zaczynały na nowo ćpać.

– Przebyłam długą drogę, nim zmieniłam swój sposób myślenia – przyznała mi się, kiedy rozmawialiśmy w 2014 roku.

Pewien lekarz podczas seminarium, na które uczęszczała, opisał sposób, w jaki opiaty potrafią obezwładnić receptory mózgowe. Zaczęła szukać w internecie informacji o uzależnieniach i pracy mózgu. Nie wyobrażała sobie przedtem, że tego rodzaju wiedza okaże się niezbędna do wykonywania obowiązków kuratora

sądowego. Jednak epidemia opiatów uczyniła z niej w równym stopniu pracownicę opieki społecznej, co gliniarza.

W 2013 roku republikańskiemu gubernatorowi Johnowi Kasichowi udało się obejść zdominowaną przez członków jego własnej partii legislaturę stanową i rozszerzyć ubezpieczenie zdrowotne Medicaid na każdego mieszkańca Ohio, co otworzyło tysiącom rodzin dostęp do długotrwałych ambulatoryjnych terapii lekowych. W następnym roku Miller wystąpiła o przyznanie subwencji stanowej na program podawania osobom uzależnionym blokującego opiaty środka o nazwie Vivitrol. Po czterech miesiącach niektórzy z najbardziej uzależnionych jego uczestników w ogóle przestali brać, a lista chętnych do wzięcia udziału w programie wciąż się wydłużała. Niestety każda dawka farmaceutyku kosztowała aż tysiąc dwieście dolarów, a należało ją przyjmować raz w miesiącu.

„Pytaniem za milion dolarów", bo tak to ujęła Miller, jest to, jak długo należy go podawać indywidualnemu pacjentowi. Dotąd żadna z firm farmaceutycznych nie zaproponowała choćby częściowego zwrotu kosztów jego stosowania. Niemniej w hrabstwie Marion opiaty i eksperyment z Vivitrolem sprawiły, że policja, służby więzienne, urzędnicy i kuratorzy sądowi zaczęli współpracować w sposób, który przedtem nie był ani powszechny, ani uznawany za konieczny. Brad Belcher dostał w spadku budynek dawnej szkoły, w którym znajdował się kiedyś również dom spokojnej starości. Użyczył go bezpłatnie na trzy lata na dom trzeźwości dla kilkunastu osób. Wyglądało na to, że hrabstwo, które mocno ucierpiało, odkrywało na nowo ducha wspólnotowości.

– Obalamy właśnie pewne mity – opowiadał Belcher. – Ludzie zaczynają rozumieć, że mają do czynienia z przewlekłą chorobą. Słychać narzekania na tych, którzy szprycują się na parkingach. Ale to jeszcze nie koniec.

Z kolei w Columbus w miarę zbliżania się drugiej rocznicy śmierci Matta Schoonovera jego rodzice, Paul i Ellen, poczuli, że szok wywołany tym wydarzeniem zaczyna ustępować.

Starali się pozbierać w całość życie, które rozpadło im się na kawałki, poprzez otwarte mówienie o tym, jak umarł Matt. To było dla nich jak terapia. Sami czuli, że siedzenie z założonymi rękami by ich wykończyło. Kiedy jeszcze żył ich syn, niewiele wiedzieli o nałogu. Teraz uczyli się o narkotykach i funkcjonowaniu mózgu, o receptorach μ i endorfinach. To przynosiło im ulgę.

Publiczne dzielenie się żalem wymagało odrobiny wrażliwości, by nie nadużywać tego rodzaju emocji do rozbudzania w ogóle społeczeństwa świadomości istnienia plagi opiatów. Przeżywanie żalu może stać się profesją. Jednak w Stanach tak wielu rodziców zdążyło już stracić swoje dzieci. Obcy ludzie opowiadali im o uzależnieniu w ich własnym życiu. Ellen czuła się, jakby nagle uzyskała dostęp do tajemnicy państwowej. Nałóg dotarł wszędzie.

– Wszyscy starają się zachować pozór szczęśliwości – powiedziała. – Nagle zdajesz sobie sprawę, że jest mnóstwo ludzi, którzy cierpią w milczeniu.

Koiło ją pisanie raz na jakiś czas listów do Matta i przemawianie do rodziców uzależnionych dzieci na temat: „Szkoda, że tego nie wiedziałam". Istota tych wystąpień sprowadzała się zawsze do tego, że po trzech miesiącach odwyku z żadnym dzieckiem nie jest „w porządku".

Liczba wypisywanych recept na opiatowe środki przeciwbólowe spadła w Ohio o czterdzieści procent. W legislaturze pojawiły się projekty ustaw mających uregulować przepisywanie opiatów i rozszerzyć paletę dostępnych opcji terapeutycznych. Jedna z nich wzorowana była na prowadzonym przez Eda Hughesa Ośrodku Pomocy Psychologicznej w Portsmouth. Według nowego prawa hrabstwa miały zapewnić uzależnionym pełen zakres usług – począwszy od doradztwa i mieszkania aż po pomoc w znalezieniu pracy. Niemniej problemy dręczące stan nie ustawały. Departament Zdrowia opublikował dane za 2012 rok dotyczące zgonów spowodowanych przedawkowaniem: zmarła wtedy rekordowa liczba tysiąca dwustu siedemdziesięciu dwóch mieszkańców Ohio, z czego sześćset osiemdziesiąt przypadło na heroinę. W jednym z kwartałów aż jedenaście procent wszystkich mieszkańców stanu dostawało recepty na leki opiatowe. Źródła oficjalne szacują, że liczba osób umierających wskutek przedawkowania heroiny podwoi się w ciągu kilku lat.

Na te zjawiska można było spojrzeć pod kątem liczby Amerykanów przejawiających skłonność do uzależnienia się. Podzieliłem się tym spostrzeżeniem w zamożnej dzielnicy Columbus, zwanej Dublinem, ze specjalistą w tej dziedzinie doktorem Richardem Whitneyem.

– To ciekawy sposób podejścia do tematu: dajmy to całemu społeczeństwu i zobaczmy, co z tego wyniknie – stwierdził. – Zobaczmy jako społeczeństwo, co by było, gdyby nasi potencjalni alkoholicy stali się zamiast tego opiatowcami. Gdyby nie było opiatów, to pewnie mielibyśmy podobną grupę alkoholików, choć w ich wypadku uzależnienie wyszłoby na jaw w późniejszym etapie życia. Kiedyś

zajmowałem się głównie uzależnionymi od alkoholu osobami w średnim wieku. Zazwyczaj zabierało im dwadzieścia lat picia, by wpakować się w kłopoty wymagające terapii. Jednak przy tak mocnych narkotykach średnia spadła o piętnaście lat, bo zażywając oksykodon, hydrokodon lub heroinę, bardzo szybko wpada się w tarapaty.

Dotykający całego kraju nałóg opiatowy pozwolił osiągnąć parę rzeczy, choć przerażającym kosztem. Znacząco zmieniło się nastawienie do kary więzienia i terapii, zwłaszcza w tak zwanych czerwonych stanach, które tradycyjnie opowiadają się za republikanami.

Rodzice powoli przezwyciężali pętający ich lęk. Był sam szczyt rozkwitu fabryk prochów, gdy mieszkająca niedaleko Fort Lauderdale doradczyni od public relations Barbara Theodosiou zajmowała się dwoma uzależnionymi synami. Przeczuwając, że muszą być i inni w takiej samej sytuacji jak ona, utworzyła stronę internetową addictsmom.com oraz stronę na Facebooku z mottem: „Dzieląc się bez wstydu”. Do 2014 roku przyciągnęły one czternaście tysięcy matek, które wzajemnie się wspierały i modliły, pisząc bez owijania w bawełnę o odebranych telefonach z więzienia, kosztujących czterdzieści tysięcy dolarów terapiach odwykowych, strzykawkach znalezionych w kanapach, planowanych pogrzebach i dzieciach, które od trzystu dni nie wzięły morfiny i jej pochodnych. Theodosiou dodała też stronę dla dziadków i babć wychowujących dzieci swoich uzależnionych dzieci. Czasami komentarze brzmiały jak pierwotny krzyk macierzyńskiej agonii, będąc specyficzną formą terapii grupowej na tle epidemii narkotykowej w wirtualnych czasach.

„Przez sześć długich lat prosiłam, błagałam, krzyczałam, wrzeszczałam, wydzierałam się, zakazywałam, wynosiłam rzeczy, dzwoniłam na policję, wyrzucałam go za drzwi, by nie wspomnieć o niezliczonych godzinach pełnych poczucia winy oraz lęku o niego”, napisała jedna z kobiet o swoim uzależnionym od heroiny synu, którego właśnie wyrzucono z odwyku, gdyż testy wykazały obecność narkotyków w jego organizmie. „Oraz tysiące dolarów wydanych na odwyk, pokrycie rachunków za szpital i terapeutę czy zwolnienie za kaucją. Modliłam się, modliłam i modliłam…”.

Wyłaniało się zarazem głębsze zrozumienie tego, na jakiej zasadzie w mózgu powstawało uzależnienie. Od lat dziewięćdziesiątych funkcjonalny rezonans magnetyczny pozwolił dowiedzieć się wiele o działających w mózgu mechanizmach nagradzania.

– Zweryfikował to, co dotąd robiliśmy intuicyjnie – tłumaczył Whitney. – Kiedy ktoś się uzależni, traci zdolność wyboru. Mózg potrzebuje od trzydziestu do dziewięćdziesięciu dni do wyleczenia się na tyle, by móc podejmować decyzje. Inaczej to jak nałożenie komuś na złamaną nogę gipsu i oczekiwanie, że przebiegnie dziesięć kilometrów.

Postawy wobec uzależnienia i osób uzależnionych zmieniały się w całych Stanach Zjednoczonych, choć powoli. Narkomani przestali być synonimem upadku moralnego, dewiantów i przestępców, który to obraz utkwił w wyobraźni społeczeństwa wskutek Ustawy Harrisona. Zamiast tego zaczęto w nich widzieć osoby dotknięte chorobą z symptomami w postaci kradzieży i oszustw popełnianych w ramach nieprzerwanych poszukiwań towaru, którym można byłoby uspokoić bestię.

Kiedy śledziłem tę historię, przyjąłem za oczywistość, że uwolnienie się od uzależnienia od opiatów wymaga kilkunastu prób odwyku. Wciąż słyszałem o jednej osobie na dziesięć, której udało się z sukcesem zakończyć terapię. Zdaniem Whitneya to prawda, ale tylko dlatego, że tak niewielu ludziom oferowano w pełni takie leczenie, jakie im było potrzebne. Zbyt często ograniczano się do trzytygodniowego lub sześciotygodniowego odwyku, podczas gdy mózg potrzebuje o wiele więcej czasu, by podnieść się ze zniszczeń spowodowanych przez opiaty.

– Uzyskujemy równie dobre, a nawet lepsze rezultaty, co w przypadku astmy lub zastoinowej niewydolności serca, o ile tylko mamy właściwe narzędzia – objaśniał. – Jednak ludziom nie oferuje się wystarczającej terapii, która pozwoliłaby im wyzdrowieć. To tak, jakby przy leczeniu raka dostać tylko połowę chemioterapii. Nikt by na to nie poszedł. Z kolei firmy ubezpieczeniowe nie chcą opłacać terapii odwykowej o odpowiedniej długości i intensywności, gdyż jako społeczeństwo nie domagamy się tego.

Środkowe Ohio okazało się epicentrum plagi opiatów, a to dało dużo do myślenia.

Dla Paula Schoonovera najlepszą godziną w miesiącu była ta spędzona na dzieleniu się historią swego syna z młodzieżą w ośrodku odwykowym, który Matt opuścił na dzień przed śmiercią.

Paul współpracował również z uczelnianym ruchem terapeutycznym rodzącym się na Uniwersytecie Stanowym Ohio. Zapoczątkowano go trzy lata wcześniej w odpowiedzi na nadużywanie alkoholu i marihuany na terenie kampusu. Jego

pionierami byli Uniwersytet Rutgersa, Uniwersytet Browna i Teksański Uniwersytet Technologiczny. To na nich wypracowano główne zasady ruchu: akademiki wolne od narkotyków i alkoholu, spotkania dwunastu kroków, doradztwo psychologiczne, wydarzenia społeczne i imprezy kulturalne wolne od narkotyków, pełne stypendia dla uzależnionych na terapii oraz terapia uzależnień jako przedmiot kierunkowy. Ruch zyskał duży odzew i rozpowszechnił się na wielu innych uczelniach dotkniętych plagą opiatów, w tym także w Ohio.

– To była biała młodzież z klasy średniej i wyższej – opowiadała mi Sarah Nerad, młoda kobieta spotkana na uniwersytecie. – To ich rodzice przychodzą na uczelnię i pytają: „Co robicie dla mojego dziecka?”. Gdy ma się dzieciaki ciężko uzależnione od opiatów i heroiny, problem naprawdę staje się przedmiotem troski rodziców i szkół.

Nerad – mieszkający na przedmieściach Houston heroinista na odwyku – robił magisterium na Uniwersytecie Stanowym Ohio i uzyskał dotację pozwalającą rozkręcić ruch na kampusie.

Rozpiska uczelni, na których działały tego typu ruchy, przypominała ranking najlepszych uniwersyteckich drużyn futbolowych, a przy okazji pokazywała, jak narkomania dotknęła czerwone stany: Szkarłatny Przypływ w Alabamie, Buldogi w Georgii, Panna Ole, południe Missisipi, Baylor, Teksas, Vanderbilt, Tennessee, Wirginia, jak również Oregon, Michigan, Uniwersytet Stanowy Michigan, Uniwersytet Stanowy Penn – na wszystkich tych uczelniach można było napotkać organizacje reagujące przede wszystkim na nadużywanie tabletek i heroiny. Na Uniwersytecie Stanowym Ohio otworzono akademik dla studentów na odwyku, w którym było dwadzieścia osiem pokoi.

Tymczasem gubernator Kasich – oprócz rozszerzenia Medicaid – zainicjował program Start Talking! [Zacznij Mówić!], który miał za zadanie wprowadzenie problematyki epidemii opiatów do debaty publicznej. Prokurator generalny Mike DeWine powołał do życia inicjatywę mającą na celu przede wszystkim ustanowienie kontaktów między poszczególnymi grupami zajmującymi się problemem heroiny i funkcjonującymi w miastach stanu Ohio, a także nakłonienie ich do współpracy.

We wszystkich tych przedsięwzięciach pojawiał się wspólny temat – najbardziej samolubny narkotyk żerował na społecznościach zatomizowanych. Izolacja była wówczas równie endemiczna dla bogatych przedmieść, jak i dla pasa rdzy. Hodowano ją przez lata. Prawda ta dotyczyła znacznej części Stanów

Zjednoczonych, gdzie letnimi wieczorami ulice były wyludnione i nie sposób było zobaczyć dzieciaki bawiące się w chowanego pod czujnym okiem siedzących na ganku rodziców. Ta kraina marzeń została utracona i ostatecznie zastąpiły ją – o wiele za często – puste ulice z większymi, ładniejszymi domami skrywającymi w swoich wnętrzach uzależnienie, które każda z rodzin trzymała w tajemnicy.

Najprawdopodobniej bóle chroniczne najlepiej było leczyć nie jedną tabletką, tylko holistycznie. W ten sam sposób nie tyle nalokson był antidotum na heroinę, ale społeczność. Paul Schoonover miał tego świadomość.

Kiedy zatem nie przemawiał do dzieciaków w ośrodku odwykowym, zajmował się kontaktowaniem ze sobą grup rodzicielskich, organizacji pozarządowych i szkół oraz mówieniem o Matcie.

– Nikt nie zrobi tego w pojedynkę – tłumaczył. – Ale też żaden diler narkotyków, żaden kartel nie da rady rodzinom, szkołom, wspólnotom religijnym oraz społecznościom lokalnym, które się zjednoczą.

CZĘŚĆ V

Podnosząc się z gruzów

Portsmouth, Ohio

Kiedy w 2012 roku tyczkowaty mężczyzna z głęboko osadzonymi oczami przybył do Portsmouth w stanie Ohio, miał fioletowe ramiona pełne śladów po wkłuciach, brakowało mu jednej trzeciej zębów, a połowę jego życia można było uznać za straconą. Miał ze sobą dziesięć dolarów, nieco tabletek Percocetu i kilka kartek z nagryzmolonymi na nich wierszami.

Jeremy Wilder uciekał z amerykańskiej wsi. Miał trzydzieści pięć lat i całe jego dorosłe życie przypadło na czas epidemii opiatów i upadku małych miasteczek – jak to, z którego pochodził. Dawno temu OxyContin zalał jego rodzinne, leżące w dolnym biegu rzeki miasto Aberdeen w hrabstwie Brown. Najlepsze lata swej młodości spędził w klinikach konowałów i na sprzedawaniu pigułek w ilościach, których nie był w stanie zliczyć. Heroinę kupował w Cincinnati od Meksykanów. Miał dwoje dzieci, ale nie wiedział, jak to jest wychowywać je na trzeźwo.

Aberdeen wyglądało tak, jakby było solą amerykańskiej ziemi. Mnóstwo pól uprawnych. Stodoły. Rodziny uprawiające kukurydzę i wychowujące potomstwo. Miejsce, o którym w piosenkach country śpiewa się, że mieszkający tam chłopcy lubią w sobotni wieczór napić się piwa i zrobić małą drakę, ale w niedzielę z pewnością oddadzą chwałę Panu. To już jednak zamierzchła przeszłość, bo znane Jeremy’emu Aberdeen było ściekiem pigułek i strzykawek. To właśnie przez nie stare, małe hrabstwo Brown podtrzymywało niechlubny rekord najwyższej w stanie Ohio liczby zgonów z przedawkowania. Jeremy mógłby wymienić wiele takich miast nad potężną rzeką Ohio – niegdyś pulsującą życiem tętnicą w przemysłowym ramieniu kraju, którą teraz skaziła heroina.

Jeremy zadzwonił do mieszkającego w Portsmouth przyjaciela z dzieciństwa. On także był uzależniony, ale Wilder nie miał innego pomysłu, co zrobić. W każdym razie Portsmouth leżało wystarczająco daleko od hrabstwa Brown. Kumpel powiedział, że nie ma za wiele do zaoferowania, tylko kanapę w małym pokoiku, ale Jeremy nie miał nic przeciwko temu. Zostawił w Aberdeen swój telefon – w którym każdy zapisany kontakt był numerem do jakiegoś narkomana

lub dilera – i wsiadł do samochodu, którym ojciec zawiózł go do Portsmouth. Gdy byli na miejscu, dał mu na przetrwanie trochę pieniędzy i parę tabletek Percocetu.

– Powodzenia – powiedział tata i zawrócił.

Jeremy przyglądał się, jak odjeżdżał. Był sam i miał nadzieję, że w amerykańskiej mekce prochów uda mu się uwolnić od nałogu.

Wiersze były jednym z nielicznych dokonań, z których czuł się dumny. Jako dziecko nie lubił pisać. Jednak w 2003 roku, siedząc i nudząc się w więzieniu w hrabstwie Brown, zaczął coś gryzmolić. Zazwyczaj pisał o życiu narkomana, choć zdarzało mu się też klecić wierszyki dla współwięźniów, którzy potem wysyłali je swoim dziewczynom. Duża część jego twórczości była zwyczajnie słaba, ale reszta miała w jego odczuciu jakąś wartość. Po pewnym czasie zaczął pisać codziennie. Kiedy tworzył, więźniowie zostawiali go w spokoju, a wybuchające między nimi konflikty obchodziły go tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Czy przebudzę się ze snu, czy czas się już dokona,
Jak w dzień, gdym przyjaciela chował.
Czy tęsknić będą bliscy, czy tęsknić będzie żona,
Bo żal, że życie nie dane nam od nowa…

Podszedłem do trumny, by przyjrzeć się lepiej,
Zerknąłem do środka, ujrzałem sam siebie.

Nigdy nie pisał, kiedy brał. Będąc na haju, myślał tylko o kolejnym strzale. Heroina otępiała nie tylko ciało, ale także emocje. Pisanie było odwrotnością ćpania, wracał więc do niego, kiedy był czysty. Widział w tym sposób na to, by nie brać. Dziwiło go, że to tak działało.

Równie mocno zaskoczyło Jeremy’ego, że pojechał do Portsmouth po odkupienie, na które według siebie samego nie zasługiwał. Wiedział, że kiedyś było tam dużo miejsc pracy, choć w międzyczasie zdążyły wyparować. Teraz byli za to narkomani, a lekarze, którzy przepisywali mu prochy, wyuczyli się fachu właśnie w Portsmouth. Nie mając jednak żadnych innych widoków, uczepił się miasta jak tratwy ratunkowej.

Zastanawiające, że nie był jedynym, który w tym upadłym mieście szukał odrodzenia.

Jeśli w Portsmouth coś ocalało z czasów jego przemysłowej świetności, to była to fabryka sznurowadeł Mitchellace.

Założono ją w 1902 roku, by zaopatrywała licznie działające w mieście zakłady obuwnicze. Charles Mitchell zaprojektował maszynę wyrabiającą sznurówki – szpule, które obracały się i splątywały nici z ruchliwością godną drużyny Harlem Globetrotters – i w pewnym momencie dorobił się aż tysiąca dwustu takich urządzeń. Produkowały one sto dwadzieścia tysięcy par sznurowadeł dziennie, a obsługiwało je pięć tysięcy robotników. W tamtym czasie Mitchellace był największym producentem sznurówek w całym kraju.

Wytwarzanie, pakowanie i eksportowanie sznurowadeł do Stanów Zjednoczonych było najwyraźniej czymś, co tylko nieliczne firmy z zagranicy potrafiły robić z zyskiem. Dzięki energicznym działaniom zarządu kierowanego przez Kerry'ego Keatinga – męża praprawnuczki człowieka, który przejął fabrykę od Mitchella – firma rozwijała się nawet wtedy, gdy w Portsmouth upadł przemysł obuwniczy. Zakład przeniósł się do przyciężkiego siedmiopiętrowego budynku, w którym niegdyś mieściła się fabryka Williams Shoes.

Po przejściu Keatinga na emeryturę firmę przejęli jego trzej synowie, o których w mieście mówiło się „trzecie pokolenie". W Portsmouth, a prawdopodobnie też i w całym pasie rdzy, był to eufemizm. Pierwsze pokolenie budowało firmę od zera, drugie – mające wykształcenie z zakresu zarządzania – rozwijało ją, a trzecie, wychowane w umiłowaniu zbytków i czasu wolnego, często doprowadzało ją do upadku. Wielu mieszkańców miasta miało zdecydowanie za dużo do czynienia z taką właśnie trzecią generacją.

Bracia Keatingowie podejmowali decyzje, ale rzadko kiedy byli na miejscu. Chcąc zaspokoić popyt ze strony producenta środków do pielęgnacji obuwia Kiwi, Kerry Keating otworzył fabrykę tańszych sznurówek w Hondurasie. Z kolei jego synowie przenosili tam produkcję skierowaną także do innych firm, które wcale nie były aż tak nieugięte w kwestii redukcji kosztów.

Bryan Davis zatrudnił się w Mitchellace jeszcze jako nastolatek. Zaczynał od najgorzej płatnych zajęć, by po latach dojść do stanowiska wiceprezesa do spraw sprzedaży.

– Nadal mogliśmy wytwarzać sznurowadła dwa razy szybciej i z mniejszą o połowę załogą, niż robiono to za granicą – opowiadał. – Ale i tak zwinięto działalność na miejscu, którą rodzina prowadziła od 1902 roku. Zamknięto zakład i przeniesiono produkcję poza Stany Zjednoczone.

Wykwalifikowani robotnicy z Portsmouth zostali zwolnieni. W 2009 roku firma zatrudniała osiemdziesiąt osób. Bracia Keatingowie kupili w międzyczasie kalifornijską firmę obuwniczą, a ponieważ spłacali zaciągnięty w tym celu kredyt, nie byli w stanie pokrywać rachunków za przędzę i wosk potrzebne na użytek własnej produkcji.

– Mieliśmy całe mnóstwo zamówień – wspominał Davis. – Po prostu brakowało nam pieniędzy, by je zrealizować.

Klienci odwrócili się od firmy. W końcu bank wezwał ją do spłacenia długu. Pracowników wysłano na przymusowy urlop. Przedsiębiorstwo, które stworzyło branżę sznurówkową i przetrwało konkurencję z zagranicy, stanęło na granicy bankructwa.

Większość ludzi w mieście pogodziła się z nieuchronnym, jak się zdawało, losem fabryki. Lata porażek przekonały ich do koncepcji wykładanych w szkołach handlowych i forsowanych przez Wall Street – zlecanie wykonania usług na zewnątrz było nieuniknione, zaś za wzrostem produkcji stały widowiskowe przejęcia innych firm, a nie rozwijanie potencjału pozyskiwania nowych klientów. Zgodnie z tymi dogmatami miejscowości takie jak Portsmouth były nie do uratowania, niczym ćpuny z ulicy. Z kolei samo miasto – zniewolone przez tego typu myślenie w taki sam sposób, w jaki narkoman opętany jest przez heroinę, która go zabija – uznało, że nie zasługuje na ocalenie.

– Kiedy jest się w kółko posyłanym na deski – mówił Davis – to w końcu zaczyna się myśleć: „No dobrze, to koniec. Przegraliśmy”.

Tak też było w 2009 roku, kiedy plaga prochów pochłaniała miejscowe dzieci, a wokół rozchodziły się wieści o planowanym zamknięciu ostatniej fabryki. Portsmouth znalazło się na dnie.

Każdy narkoman jednak wie, że osunięcie się na samo dno może być początkiem powrotu do zdrowia. Tak właśnie było z Mitchellace, a potem także z samym Portsmouth.

Nelson Smith był akurat w banku, kiedy usłyszał o bankructwie zakładów. Smith był właścicielem działającej w Portsmouth firmy budowlanej i zupełnie nie znał się na sznurówkach. Znał się na nich za to Bryan Davis, więc Smith zadzwonił do niego.

– Tak nie może być – powiedział budowlaniec. – Musimy ocalić te miejsca pracy. Musimy ocalić przemysł w Portsmouth. Czy nie po to jesteś w zarządzie?

– Dobrze – odpowiedział Davis. – W sumie nie mam tu nic innego do roboty.

Smith zmontował grupę lokalnych przedsiębiorców, którzy wyłożyli własne pieniądze, by utrzymać zakład na powierzchni. W jej skład weszli prawnik, agent ubezpieczeniowy, planista finansowy, Davis i Ryan Bouts, czyli wiceprezes Mitchellace odpowiedzialny za produkcję. Zespół napisał czterdziestostronicowy biznesplan, który nazwali Projektem Goliat, a swoją firmę ochrzcili mianem Sole Choice [Jedyny Wybór]. W licytacji, której przedmiotem było to, co pozostało z Mitchellace, wzięli też udział producent środków do pielęgnacji obuwia Kiwi i spółka akcyjna będąca partnerem Keatingów.

Dwa tygodnie później strony udały się do sądu, by zadecydować o przyszłości przemysłu sznurówkowego w Ohio. Na miejscu byli też wszyscy kredytodawcy. Sędzia nazywał byłych właścicieli Czwórką Keatingów i ostatecznie przyznał tytuł własności zakładów Smithowi, Davisowi i inwestorom z Sole Choice.

Spotkałem się z Bryanem Davisem kilka lat później. Spacerowaliśmy po wielkiej fabryce i rozmawialiśmy otoczeni hałasem wywoływanym przez szpule, z których schodziły długie warkocze sznurowadeł używanych w trzewikach, sprzęcie medycznym, butach tenisowych, falrepach czy oxfordach.

– Musieli się znaleźć konkretni ludzie, którzy powiedzieli: „Dość. Nie pozwolimy na zniknięcie jeszcze jednego miejsca pracy i jeszcze jednego zakładu w tym mieście” – powiedział mi Davis. – Byliśmy ostatnim szańcem czegoś, co kiedyś było wielkim przemysłem obuwniczym z jego fabryką sznurowadeł. Chcieliśmy, by dalej funkcjonowała.

Trzy piętra fabryki stały puste. Według Davisa świadczyło to o tym, że jest miejsce pod przyszły rozwój firmy. Kiedy byłem tam z wizytą, powiedział mi, że Sole Choice ma trzystu klientów – wyjściowo było ich dwudziestu czterech. Czterdzieści osób odzyskało pracę, a w przyszłości miało ich być jeszcze więcej. Firma eksportowała sznurówki do trzydziestu krajów, w tym Chin i Tajwanu.

– Myślenie w kategoriach outsourcingu kosztowało nas miliony miejsc pracy. Zlecamy produkcję na zewnątrz od trzydziestu lat i dosłownie zniszczyliśmy w tym kraju naszą bazę przemysłową. Chodziło wyłącznie o pieniądze, o wszechwładnego dolara. Prawdziwy amerykański duch przedsiębiorczości powinien zasadzać się na czymś więcej, powinien opierać się na ludziach, relacjach i budowaniu wspólnoty. Pieniądze przyjdą potem. W końcu i tak się je zarobi, ale szczęście bierze się z czegoś innego.

Przez cały ten czas, kiedy zajmowałem się opowieścią o tabletkach i heroinie, nie musiałem długo czekać na to, aby ludzie zaczęli mówić o szczęściu i o tym, jak

je osiągnąć.

– Nie chodziło o sznurówki, tylko o ludzi – tłumaczył Davis, który jest zarazem szefem Partii Republikańskiej w hrabstwie Scioto. – Ameryka stała się Scrooge'em z powieści Charlesa Dickensa, nie potrafiła się wznieść poza samo zarabianie pieniędzy. Rzecz tkwi jednak gdzie indziej, w zadbaniu o rodzinę Boba Cratchita, zatroszczeniu się o Tiny'ego Tima, gdyż ostatecznie to właśnie to wnosi radość do naszego życia. Zapomnieliśmy o tym. Wystarczało nam, by nasi robotnicy dorzucali do ognia trochę węgla, by nadal było ciepło. To właśnie zrobiły Stany. Charles Dickens przestrzegał nas, pisząc: „Nie idźcie tą drogą". Wystarczy pomyśleć o łańcuchach pętających partnera w interesach Scrooge'a, który umarł samotnie nędzną śmiercią. Potem widzimy go jako ducha, całego w okowach. To przypomina nam, czym było Portsmouth, skutym kajdanami wymarłym miastem.

Kiedy fabryka Mitchellace przechodziła transformację w Sole Choice, koroner hrabstwa Scioto Terry Johnson od niemal dekady podnosił alarm w związku z rosnącym stosem ciał ofiar przedawkowania prochów w Portsmouth i okolicy – bezskutecznie zresztą.

Johnson przyglądał się całemu pokoleniu maszerującemu jak zombie drogą numer 52, by wydębić papiery pozwalające ubiegać się o uczestnictwo w federalnym programie zasiłkowym SSI i dostać kartę ubezpieczenia zdrowotnego Medicaid. Widział, jak rodziny wpadają w nałóg, i przemyślał na nowo każdy stereotyp, jaki żywił na temat osób uzależnionych. Uważał, że lekarze zawiedli na całej linii.

– Jako przedstawiciele zawodu lekarskiego wyrządziliśmy Amerykanom niesamowitą krzywdę – tłumaczył. – Tak samo było z farmaceutami. Każda tabletka, która zabijała moich rodaków, była legalnie przepisana na receptę, legalnie wydana i legalnie opłacona.

W Ohio obowiązywało wówczas prawo dotyczące trudnego w leczeniu bólu, które chroniło lekarzy przed ewentualnym oskarżeniem o przepisywanie opiatów, jeśli tylko czynili to odpowiedzialnie. Nie było jednak żadnych regulacji w kwestii klinik leczenia bólu.

– Postanowiłem więc pojechać do Columbus, by napisać i przepchnąć stosowny projekt ustawy, i to nim jeszcze ktoś się zorientuje, co właściwie robię – powiedział mi Johnson, gdy pewnego popołudnia byłem w Portsmouth.

W 2010 roku Johnsona wybrano do Izby Reprezentantów stanu Ohio. Był pierwszym republikaninem, który zdobył mandat z Portsmouth, przysługujący dotąd – i jak się zdawało, na zawsze – demokracie Vernowi Riffe'owi Juniorowi.

Johnson objął urząd w 2011 roku. Wraz z innym kongresmanem, farmaceutą Dave'em Burkiem, napisał projekt Ustawy numer 93. Takie działanie było rzadkością, gdyż zasady rządzące kadencyjnością w Ohio sprawiają, że parlamentarzyści przychodzą i odchodzą, zyskując przed końcem kadencji zaledwie niewielką wiedzę na tematy, których dotyczą uchwalane przez nich regulacje. Prawo jest często pisane przez lobbystów, których władza w Columbus wzmaga się z każdą rotacją legislatorów.

– Zamiast tego wyłoniliśmy się z wolnego pola i przedłożyliśmy własne propozycje ustawowe – wspominał Johnson.

Przez miesiąc pracowali z Burkiem w cieniu, niczym bojownicy francuskiego ruchu oporu. Napisali dokument zawierający definicję klinik leczenia bólu i określający zasady ich funkcjonowania. W myśl projektu Ustawy numer 93 zdelegalizowano prowadzenie takiego ośrodka przez osobę skazaną za popełnienie przestępstwa. Lekarze nie mogli też wydawać środków farmaceutycznych w swoich klinikach, co dotąd było bardzo rozpowszechnioną praktyką. Wsparcia ustawie udzieliły Jo Anna Krohn i członkinie SOLACE, a gubernator Kasich obiecał, że ją podpisze.

W stanie, który był reprezentatywnym dla kraju polem bitwy z plagą opiatów, projekt Ustawy numer 93 przeszedł jednogłośnie w maju 2011 roku. Tutejsi republikanie i demokraci zwarli szyki, uchylając dotąd obowiązujące prawo o trudnym w leczeniu bólu.

Tymczasem w Portsmouth miejscowe Kościoły zawarły sojusz przeciwko fabrykom prochów, które w miejskiej gospodarce oxycontinowej spełniały funkcję banku centralnego. O opracowanie planu działań poproszono członka Pierwszego Kościoła Apostolskiego Toma Rayburna.

– Powiedział Pan: „Okrążycie miasto siedmiokrotnie" – opowiadał mi Rayburn. – Siedem to liczba Boga.

Marsze przeszły obok dwóch cieszących się złą sławą osiedli mieszkaniowych, naokoło więzienia i przez centrum miasta. Jeden z marszów siedmiokrotnie okrążył fabrykę prochów. W pewnym momencie jego uczestnicy stanęli przed wejściem do niej, na co ze środka wyszła pielęgniarka z krzykiem, że blokują ruch. Zebrani

zaczęli śpiewać *Amazing Grace*, a miejscowy pastor wyjął szofar – instrument z rogu baraniego, którego użył Jozue w Jerychu – i zadął w niego.

Siódmy marsz miał przejść przez wschodnią część Portsmouth, czyli East End, który wciska się między tory kolejowe i rzekę Ohio. Upadek miasta miał dla tej okolicy skutki absolutnie dewastacyjne, obracając ją w getto bezrobotnych białych rodzin żyjących z zapomóg SSI. Reszty dokonały opiaty, które spadły na East End niczym biblijna plaga.

Ten tydzień był jednak dobrym czasem. Dopiero co uchwalono Ustawę numer 93. Przeprowadzono też największy w historii hrabstwa nalot policyjny, podczas którego funkcjonariusze przeszukali i zamknęli kilka klinik. Ich zlikwidowanie zakończyło erę fabryk prochów w Portsmouth. Żadna z nich nie wznowiła już potem działalności.

Niemniej popołudnie, w które odbył się ów siódmy marsz, nie zapowiadało się najlepiej. Niebo od rana było zakryte ciemnymi chmurami, z których na setki ludzi maszerujących przez East End spadł zimny deszcz. Kiedy marsz się zakończył, ulewa ustała. Demonstranci stali, trzęsąc się i próbując wysuszyć. Wtedy nad potężnym gmachem fabryki Mitchellace pojawiła się tęcza. Niebo się przejaśniło, wyszło słońce, a jego promienie, roztaczając dziwny blask, wysuszyły kałuże. W tym momencie pokazała się druga tęcza, przerzucona nad tą pierwszą. Ludzie przystawali i wpatrywali się, jak obejmowały one całe Portsmouth – od East Endu po dzielnice leżące na zachodzie.

– Z każdego domu wychodzili ludzie – wspominała Lisa Roberts. – Rozglądałam się po wszystkich dokoła. Zapanowała jasność. To miasto pogrążone było w ciągłej żałobie. Każdego tygodnia ktoś przedawkowywał. Teraz ta powódź, powódź tabletek, ustępowała. Miało się wrażenie, że było się świadkiem objawienia Najświętszej Panienki. Jakby ten demon, to całe zło zostały przegonione.

*

Portsmouth nie uniknęło potem plagi heroiny. Wręcz przeciwnie. Duża część olbrzymiej populacji osób uzależnionych od opiatów przerzuciła się na heroinę. Nasiliła się przestępczość. Po mieście kręcili się przyjeżdżający z Detroit dilerzy handlujący heroiną w proszku. Heroiniści zaczęli jeździć do Columbus po tanią czarną smołę, którą Meksykanie rozwozili jak pizzę. Nie minęło wiele czasu, a w

mieście, którego chlubą był niegdyś Dreamland, można było kupić zarówno heroinę w proszku, jak i smołę.

Fabryki prochów z hrabstwa Scioto pokazały, jak powszechny charakter zyskało przepisywanie opiatów w Stanach Zjednoczonych. W ostatnim roku ich działalności w hrabstwie liczącym osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców legalnie wypisano recepty na dziewięć milionów siedemset tysięcy pigułek. Jednak nawet dwa lata po zamknięciu tych przybytków bilans był zatrważający – przepisano bowiem łącznie siedem milionów sztuk.

Niemniej likwidacja tych klinik okazała się niezbędnym pierwszym krokiem. Podobnie jak w przypadku ratowania zakładów Mitchellace, tu również miejscowi zaangażowali się w tę akcję, chcąc wziąć sprawy we własne ręce, zamiast dalej bezradnie przyglądać się biegowi wydarzeń.

Ten wątek będzie się przewijał. Portsmouth wróciło do menedżerskiej formy rządów, kiedy rada miejska zatrudniła administratora z doświadczeniem nabytym w innych miejscowościach. Życiem miasta nie mieli już kierować sprzedawcy z supermarketu, a mieszkańcy w końcu mieli szansę poznać harmonogram wywozu śmieci.

Studenci profesora socjologii Scotta Douthata na Stanowym Uniwersytecie Shawnee przeprowadzili badanie dotyczące dręczących miasto problemów, dla których następnie zaproponowali rozwiązania niewymagające dodatkowych środkòw budżetowych. Samo to badanie poprzedził zorganizowany przez Douthata i jego asystentów sondaż z udziałem mieszkańców. Jak opowiadał profesor, wynikało z niego, że największymi bolączkami „nie były przestępczość, narkotyki czy gospodarka. Chodziło o to, jak miasto wygląda”.

Władze miejskie początkowo zignorowały te ustalenia.

– Nie potrzebujemy jajogłowych uczonych, którzy przychodzą tu i mówią nam, jak mamy wypełniać nasze obowiązki – narzekał wówczas jeden z urzędników.

Od tamtej pory zmieniła się obsada ratusza i kiedy studenci Douthata sformułowali swoje propozycje, zostali wysłuchani. Wśród nich było zalecenie, by miasto wystąpiło o subwencję przyznawaną w ramach programu Polityki Zorientowanej na Wspólnotę, którą ostatecznie otrzymano. Na ulicach pojawiło się więcej policjantów. Kolejna sugestia dotyczyła zainstalowania oświetlenia w tłumnie odwiedzanym śródmiejskim parku. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknęły z niego prostytutki. Studenci zaproponowali obłożenie każdego wynajmowanego lokalu roczną opłatą w wysokości pięćdziesięciu dolarów

i przeznaczenie tych funduszy na zatrudnienie inspektorów kontrolujących przestrzeganie lokalnych przepisów dotyczących standardów obowiązujących w mieszkalnictwie. Sami zgłosili się ochotniczo do komputerowej obróbki tak pozyskanych danych. Miasto zatrudniło kontrolerów, co zmotywowało właścicieli do większej dbałości o swoje nieruchomości. Jeszcze innym pomysłem było uwzględnienie zbierania śmieci w wyrokach ustanawiających nadzór kuratorski. Raz jeszcze studenci mieli w ramach wolontariatu pomóc sędziemu opracować program, gdyż miastu brakowało pieniędzy na wynajęcie kogoś z zewnątrz. W pierwszych trzech miesiącach po jego wdrożeniu osoby pozostające pod nadzorem kuratorskim zebrały dziewięćdziesiąt ton śmieci.

Wszystkie te inicjatywy realizowano w ramach projektu Zarządzanie Municypalne 101 i wydawało się, że miasto wydobywa się ze spowijającej je od trzydziestu lat narkotykowo-gospodarczej mgły. Zarazem do mieszkańców dotarło, że w kasie miejskiej nie ma prawie w ogóle pieniędzy. Parafianie różnych Kościołów, skauci i inne grupy obywatelskie podjęły się robienia regularnych porządków w parkach i na nabrzeżach.

Po raz pierwszy od lat sześćdziesiątych we władzach municypalnych nie zasiadała żadna osoba o nazwisku Riffe. W 1995 roku Riffe Junior przeszedł na emeryturę. Dwa lata później zmarł. W 2014 roku, po sprawowaniu przez ćwierć wieku funkcji komisarza, ustąpił jego syn Vern Riffe III. O zwolnione przez niego stanowisko ubiegało się dziewięć osób.

Kolejną nowością były otwierające się w Portsmouth siłownie. Jedna z nich, nazwana Iron Body, wprowadziła się do dawnego śródmiejskiego salonu samochodowego i w ciągu sześciu miesięcy zdobyła czterystu członków.

– Wszystkim znudził się już widok narkomanów i grubasów – opowiadał jeden ze stałych bywalców, adwokat Bill Dever. – Mamy więc nagły zwrot ku zdrowiu i sprawności fizycznej. Da się to wyczuć.

W centrum miasta przystąpiono do remontu kilku budynków. Właściciel sklepu odzieżowego z Cincinnati Terry Ockerman wrócił do Portsmouth, gdzie się wychował. Kupił pusty, trzypiętrowy sklep meblowy w śródmieściu i przerobił go na wymuskane, nowoczesne lofty, do wynajęcia których od razu ustawiła się kolejka. W sąsiednim budynku otworzył kawiarnię z ogródkiem, w której mieszkańcy mogli się spotkać i pogadać.

– Mieszkanie w lofcie i kawiarnie, cóż mogłoby być modniejszego? – pytał Ockerman. – Sprzedajemy styl życia.

Miasto ochoczo zmieniało oblicze, a nowe wypierało stare.

W takich okolicznościach, gdy już kończyłem tę książkę, dostałem e-mail od Davida Proctera. Przypominał w nim wystosowaną przeze mnie prośbę o wywiad, którego odmówił, gdy siedział w więzieniu. Napisał też, że po wyjściu na wolność został deportowany do Kanady i teraz byłby gotów porozmawiać.

Byłem tym bardzo zainteresowany, więc wysłałem mu ogólny zarys kwestii, które moglibyśmy podnieść. Odpowiedział, że mógłby dużo powiedzieć na tematy związane z fabrykami prochów, kampaniami reklamowymi prowadzonymi przez firmy farmaceutyczne i ich wpływem na wypisywanie przez niego recept. Potem jednak dodał: „Każda konsultacja, czy to medyczna, czy też prawna, ma swoją cenę… Jeśli uważa Pan, że warto to kontynuować, to proszę zadzwonić do mnie z ofertą". Pod spodem był adres e-mailowy i numer telefoniczny z Toronto lub okolic.

Odpisałem, że nie płacę za udzielane mi wywiady. Dodałem też: „Pański udział w branży fabryk prochów rzeczywiście czyni Pański punkt widzenia i Pańską opowieść ciekawymi. Chciałbym mieć nadzieję, że zważywszy na swoją przeszłość, mógłby Pan chcieć, byśmy się dowiedzieli wszystkiego, co się wydarzyło, że mógłby Pan chcieć pomóc to wyjaśnić… Mógłby Pan naprawdę pomóc ludziom odczuwającym ból, który – chciałbym Pana zapewnić – jest rzeczywisty. Mógłby Pan część z tego odpokutować, pomagając rzucić nieco światła na ten dokuczający całemu krajowi problem".

Nigdy więcej się ze mną nie skontaktował. Wielka szkoda, bo mógłby mieć coś interesującego do powiedzenia. Jednak to, co się działo w Portsmouth, zwrot miasta ku przyszłości, absorbowało mnie o wiele bardziej niż skompromitowany lekarz próbujący wykorzystać ostatnią szansę zarobienia kilku dolarów na swej kryminalnej przeszłości.

O wiele więcej życia tkwiło choćby w twórczości młodego człowieka o nazwisku Clint Askew. Kiedy pisałem tę książkę i spędzałem czas w Portsmouth, Askew zgromadził wokół siebie grupę dziewięciu czy dziesięciu znajomych mających bzika na punkcie rapu. Późnym wieczorem, kiedy pracował w sklepie jako sprzedawca, pisał teksty i podkładał pod nie bity. Koledzy dodawali od siebie to, co sami napisali. Tak narodziło się Raw Word Revival.

Askew wychował się w Portsmouth i traktował miasto jak gotowy do obróbki surowiec, tworząc – tak jak dziennikarz – wiersze zainspirowane otaczającym go światem. Nigdy nie brał opiatów, ale widział, jak najlepsi z jego pokolenia umierali

z ich powodu lub kręcili się w łachmanach po ulicach w poszukiwaniu działki. Jeden z jego uzależnionych od prochów kumpli wziął rozgrzany wieszak i wypalił sobie na ramieniu kropki układające się w literę K, jak kurwa. Każda z tych kropek oznaczała dziewczynę, z którą spał. Chłopak był kiedyś na tyle pruderyjny, że nigdy nie przeklinał.

– Zawsze wiedziałem, że muszę coś zrobić ze swoim życiem – zwierzał się Askew.

Którejś nocy w sklepie, w którym pracował, przyszła mu do głowy linijka tekstu. Co właściwie inni wiedzieli o tym zapomnianym przez wszystkich miejscu? Uchwycił się wątku tutejszego numeru kierunkowego 740 i napisał refren:

Co, do cholery, wiesz o 7-4-0?
Jeśli tu nie żyłeś, nie pracowałeś, nie sprzedawałeś,
Jeśli nie miałeś tu żadnej sprawy.
Co, do cholery, wiesz o tym miejscu?

Pozostali z RWR dodali coś od siebie, o tym, jak to jest dorastać w takim miejscu. Ten kawałek był krzykiem z wnętrza świata Walmartu w sercu wiejskiej Ameryki, to był biały appalaski rap o amerykańskim upadku i odrodzeniu.

Kiedyś było to 6-1-4,
Teraz to demon u twoich drzwi,
Kliniki bólu, fabryki prochów,
Kominy fabryczne, dilerka…

Jestem świadomy i zależy mi,
Gotów jestem przywrócić nam świetność.
Ale bądź cierpliwy,
Bo wielka czarna chmura zawisła nad naszym miastem,
Nagła powódź i mnóstwo gości idących drogą krętą
Potopiło się już…

Pokręcili się po mieście i nagrali na iPhonie wideo, które na Facebooku obejrzały tysiące widzów. Kawałek leciał z przejeżdżających miastem samochodów, śpiewano go w Walmarcie. Nawet ci, którzy nienawidzili rapu, polubili go. Portsmouth nagle miało coś, co poruszało, sztukę walącą prawdę prosto w oczy, przy której można było poczuć wspólnotę.

Nie zajęło dużo czasu, by dostrzeżono, że 740 jest też gdzie indziej. Siedemset czterdzieści było hrabstwem Floyd w Kentucky i Marion w Ohio. To Chimayo w Nowym Meksyku i zdominowane przez przemysł rzeźniczy miasteczka w południowo-zachodnim Kansas. To były te długie, posępne kolejki przed gabinetem Davida Proctera, to były alejki w którymś z Walmartów, wreszcie był to parking na miejscu, gdzie niegdyś znajdował się Dreamland.

Jak napisała jedna z kobiet po przeczytaniu kilku moich poświęconych temu kawałkowi wpisów na blogu: „7-4-0 przypomina mi moje rodzinne miasteczko Elkhart w Indianie (574)".

Podczas mojej ostatniej wizyty było już jasne, że Portsmouth zaczyna życie na nowo, porzuciwszy stare dogmaty i kulturę zależności. Miasto zdawało się coraz bardziej przeniknięte poczuciem odpowiedzialności, a ciężko doświadczona społeczność lokalna starała się dojść do siebie i wziąć przyszłość w swoje ręce.

Najbardziej znaczącymi tego przejawami były powolne, choć niewątpliwe, odchodzenie setek uzależnionych od narkotyków i podejmowane przez nich próby powrotu do zdrowia. Niemal dziesięć procent mieszkańców było na odwyku. Miasto, które jako epicentrum eksplozji nadużywania środków przeciwbólowych wprowadziło niegdyś kraj w epidemię opiatów, teraz gotowe było poprowadzić resztę do walki z tą plagą.

Wraz ze zniknięciem podejrzanych konowałów i klinik bólu mieszkańcy Portsmouth zobaczyli, że ich dzieci, teraz już czyste, zaczęły powracać do swoich domów. Nie było ich przez dłuższy czas, wiele zresztą nie wróciło i nigdy już nie wróci.

Rygoryzm moralny charakteryzujący przedtem konserwatywne hrabstwo Scioto złagodniał. Wracającym do zdrowia narkomanom łatwiej było teraz znaleźć pracę. Każdy miał znajomych lub członków rodziny, którzy brali. Część pracodawców wierzyła, że warto dać im drugą szansę. Inni nie mieli większego wyboru. W każdym razie ci, którzy byli na odwyku, musieli przynajmniej przejść z zadowalającym wynikiem badania na obecność w organizmie narkotyków. Zdobycie pracy nie zawsze było panaceum i wielu miało nawrót nałogu mimo znalezienia zatrudnienia. W każdym razie był to jakiś start.

Powstrzymywanie się od brania prochów wyzwoliło u tych, którym się to udało, leżące dotąd odłogiem pokłady kreatywności i wyobraźni. Czasami można było odnieść wrażenie, że w mieście pojawiła się nowa siła robocza. Odwykowcy

dawali Portsmouth to, co inne amerykańskie miejscowości czerpały od imigrantów z Meksyku: energię, optymizm i wdzięczność za to, że dostało się szansę.

Odrodzenie Portsmouth, czego przykładem było wideo RWR, wyrastało na ruinach, jakie pozostawił po sobie upadek miasta. Pojawiły się plany, by uczynić z niego ogólnokrajowe centrum badań nad uzależnieniami i terapii uzależnień. Mieszkały w nim tysiące nałogowców – zarówno czynnych, jak i na odwyku – ponadto dostępnych było mnóstwo wolnych budynków do zagospodarowania. Od chwili zamknięcia w latach siedemdziesiątych Farmy Narkotyków w Lexington w stanie Kentucky w Stanach Zjednoczonych nie było możliwości przeprowadzenia badań na tak dużej populacji osób uzależnionych w ograniczonym przestrzennie miejscu.

– Miasta zbudowane wokół przemysłu stalowego zostały rzucone na pożarcie – tłumaczyła mi któregoś dnia przy lunchu Lisa Roberts. – Dotychczasową infrastrukturę industrialną miały zastąpić więzienia i elektrownie atomowe. Potem nowym przemysłem została heroina. Pozwolono jej swobodnie przenikać region appalaski przez niemal dekadę, by następnie rozlała się jak rak po całym kraju. Teraz widzi się w nas liderów, gdyż zdobyliśmy doświadczenie i wiemy, jak to wszystko działa.

Rzeczywiście, hrabstwo Scioto wyprzedzało resztę Stanów pod wieloma względami. Kiedy wskaźniki zgonów z przedawkowania sięgały rekordowego poziomu w reszcie stanu i w całym kraju, tutaj już malały. Wprowadzono tu program wymiany strzykawek, których rozdawano setki tysięcy rocznie. Liczba nowych przypadków żółtaczki typu C zmalała o połowę. Uzależnieni uratowali dwadzieścia trzy osoby, które przedawkowały, dzięki wstrzyknięciu im naloksonu otrzymanego w ramach finansowanego przez stan programu pilotażowego realizowanego właśnie w hrabstwie Scioto.

Chiny, które przegrały dwie wszczęte przez Imperium Brytyjskie wojny opiumowe, wyrugowały u siebie uzależnienie od opium poprzez uczynienie z byłych opiumistów mentorów dla swoich omotanych narkotykiem braci i sióstr. Portsmouth postąpiło tak samo. W całym mieście organizowano spotkania dwunastu kroków, czasami nawet kilka w ciągu jednego dnia. Osoby uzależnione widziały naokoło siebie tych, którzy przestali brać i odzyskali szczęśliwe życie. Jeśli ktoś zaczynał odwyk, przydzielano mu mentorów, do których mógł zadzwonić choćby o trzeciej w nocy, a ci odebraliby, bo z doświadczenia wiedzieli, jak ciężko może być ich podopiecznemu. Wielu z tych, którzy odstawili prochy lub heroinę,

zapisywało się na Uniwersytet Shawnee, chcąc po ukończeniu studiów zatrudnić się w opiece społecznej lub jako pomoc psychologiczna pracująca z narkomanami. Na uczelni zatrudniono więcej profesorów i wprowadzono studia licencjackie z zakresu opieki społecznej oraz magisterskie z psychologii, przy czym koncentrowano się głównie na problematyce uzależnienia.

Przede wszystkim jednak podczas epidemii dwukrotnie rozrósł się Ośrodek Pomocy Psychologicznej. Zajmował teraz dużą część dawniej opuszczonych budynków i dawał pracę dwustu osobom, z których większość była na odwyku i miała kryminalną przeszłość.

Ośrodek zatrudniał Jarretta Withrowa z ekipy ślusarzy, która pojechała na Florydę i odkryła tam opiatowy raj. Pracowała tam również Kathy Newman, która szukając pomocy po wypadku samochodowym, trafiła do Davida Proctera. Teraz była już czysta. Narkomani, którzy chcieli pójść na odwyk, mogli rozerwać się bez alkoholu lub narkotyków w otwartym przez Ośrodek Klubie – największym tego typu wolnym od narkotyków miejscu spotkań w Ohio. Można było w nim potańczyć, pograć w karty czy pójść na spotkanie dwunastu kroków.

Klubem i wszystkimi jego pracownikami zarządzała Mary Ann Henson, która zagrożona odsiadką, w końcu przestała brać w 2010 roku. Jej mąż Keith Henson też był czysty. Ich ośmioletni syn Luke był radosnym rudzielcem z wielkimi ustami pełnymi wyglądających jak perły zębów. Zachowująca abstynencję i mająca już czwarty krzyżyk na karku Mary Ann Henson okazała się troskliwą i nieodstępującą swego dziecka mamą, która ponadto matkowała zaczynającym odwyk bywalcom Klubu.

Weteranka kradzieży w Walmarcie Angie Thuma miała nadzieję, że któregoś dnia dostanie pracę w Ośrodku. Nie brała już od dwudziestu miesięcy i pracowała na kasie za stawkę minimalną, zarabiając dwieście trzydzieści dolarów tygodniowo, które przeznaczała na dwoje swoich mieszkających z dziadkami dzieci. Z powodu oskarżeń o kradzieże dostała zakaz wstępu do sklepów sieci Walmart, więc zakupy stały się dla niej katorgą. Nie chciała też ubiegać się o stanowisko zastępcy kierownika sklepu, w którym pracowała, gdyż obawiała się, że podczas ewentualnego wywiadu środowiskowego wyjdzie na jaw jej przeszłość.

– Kiedy myślę o tym, co przeszłam, i że w ogóle jeszcze żyję, to zbieram się na odwagę, by wciąż starać się być lepszą – powiedziała mi, kiedy ostatni raz ze sobą rozmawialiśmy.

Takie nastawienie wydaje się typowe dla Portsmouth. Miasto wciąż wyglądało na przerażone i pokancerowane jak ręka narkomana. Prostytutki z oczami pełnymi szaleństwa nadal przechadzały się wzdłuż torów kolejowych na East Endzie, a za zbyt wiele prac dostawało się płacę minimalną, która nie dawała widoków na przyszłość. W dalszym ciągu były tam setki ćpunów i dilerów. Ale wszystko to spowijała silna, prężna kultura powrotu do zdrowia, która rywalizowała z kulturą haju narkotycznego, co świadczyło o tym, że mieszkańcy powoli lizali się z ran.

Za dowód niech posłuży fakt, że uzależnieni z całego Ohio ciągnęli na południe, by w Portsmouth zerwać z nałogiem. W żadnym innym miejscu tego stanu nie było takiej infrastruktury terapeutycznej jak w tym właśnie mieście.

Podczas mojej ostatniej tam wizyty poznałem młodą kobietę z Johnstown, małego miasteczka leżącego na północny wschód od Columbus, które z jej opisu mocno przypominało 740 z kawałka składu RWR. Od lat kupowała heroinę od Chłopaków z Xalisco działających w stolicy stanu. Kiedy spróbowała przestać brać, mówiący po angielsku kierowca wydzwaniał do niej przez cały tydzień.

– Ale *señorita*, mamy naprawdę dobry towar. Właśnie go przywieźli.

Koniec końców wyrzuciła swój telefon. I tak były w nim tylko namiary do ludzi, których znała przez towar. Miała dwadzieścia trzy lata, samotnie wychowywała dziesięciomiesięcznego syna. Chciała przejść odwyk, a ponieważ nie znała żadnego innego miejsca, gdzie mogłaby się udać, znalazła schronienia w Portsmouth.

– Uwielbiam to miejsce. Naprawdę boję się wrócić – wyznała mi głosem ze śpiewnym akcentem wiejskiej części Ohio, gdy spotkaliśmy się na imprezie wydanej przez kobietę, która świętowała rocznicę życia bez narkotyków.

Tak więc to poharatane, zestarzałe miasto jakoś się trzymało. Można było je porównać do latarni ogarniającej snopem swojego światła trzęsących się ćpunów o zapadniętych oczach, ta latarnia dawała im znać, że nie wszystko jeszcze stracone. Że w morzu ruin jest miejsce podobne do nich – skopane i pogrzebane, ale ocalałe. Miejsce, które – jak oni – już tyle zniszczyło i straciło z tego, co dla niego najcenniejsze, i oto teraz na nowo zaczyna o siebie dbać. I choć zniosło ich na manowce, to również oni mogą zacząć szukać drogi powrotnej.

Jeszcze mogą powrócić do miejsca zwanego Dreamland.

Posłowie

W 2011 roku czarna smoła i przypadki jej przedawkowania zaczęły siać spustoszenie w liceum w Upland.

Upland – „miasto wystawnego życia” – to zamieszkałe przez klasę średnią i oddalone o ponad pięćdziesiąt kilometrów na wschód przedmieście Los Angeles. Dzieciaki w szkole początkowo uzależniły się od tabletek, a potem od heroiny, którą kupowały na kampusie od paru dilerów zaopatrujących się z kolei u kręcących się w okolicy meksykańskich handlarzy, a w szczególności jednego z nich, znanego wszystkim jako Chato.

Relacjonujący mi tę historię agenci powiedzieli, że słyszeli już przedtem o jego załodze od swoich informatorów. Nawet raz czy dwa próbowali do niej przeniknąć, ale wydarzenia w szkole średniej nadały śledztwu szczególną pilność.

Z podsłuchów oraz informacji uzyskanych od wtyczek jasno wynikało, że Chato pochodził z Nayaritu, być może z Xalisco, i mieszkał w Riverside, jakieś czterdzieści kilometrów na wschód od Upland. Szefował działającej w okolicy komórce dostarczających heroinę kierowców. Drugą taką miał w Las Vegas. Posiadał cztery telefony komórkowe – jeden dla klientów w położonym niedaleko Upland mieście Ontario, drugi dla tych z Las Vegas, trzeci do kontaktowania się ze swoimi kierowcami i czwarty, którego numeru agenci nigdy nie namierzyli, do rozmów z Meksykiem.

Dochodzenie w sprawie kierowanych przez Chato ekip trwało trzy lata i pozwoliło powiązać je z innymi tego rodzaju komórkami oraz nayarickimi hurtownikami towaru funkcjonującymi w czternastu stanach. Rozpracowując strukturę tych sieci, agenci przejęli setki kilogramów heroiny, choć ich zdaniem była to tylko cząstka tego, co załogi te przemycały, zazwyczaj w ilości kilku kilogramów naraz.

Co więcej, okazało się, że Chato to nie była jedna osoba. Pseudonimu tego używali ci, którym przypadło w udziale kierowanie komórkami – one same działały po cichu już od mniej więcej dziesięciu lat. Agenci podejrzewali, że ich właściciel mieszkał w Meksyku.

W miesiącach po ukazaniu się *Dreamlandu* często byłem pytany, czy Chłopaki z Xalisco wciąż działają. Odpowiadałem i odpowiadam, że tak, wskazując na

ujawnione niedawno przykłady ich obecności w Riverside, Ontario i Las Vegas. Chłopaki nadal handlują towarem w różnych częściach Stanów Zjednoczonych. To akurat się nie zmieniło.

Zmienił się natomiast – i to radykalnie – heroinowy świat, w jakim funkcjonują. Przede wszystkim amerykański rynek heroiny gwałtownie się rozdął, gdyż coraz to nowe grupy lekomanów jadących na tabletkach przerzucały się właśnie na nią. Dane Centrum Kontroli Chorób pokazują, że między rokiem 2010 a 2013 liczba zgonów spowodowanych przedawkowaniem tego narkotyku wzrosła trzykrotnie. Ogłaszając publikację wyników nowych badań dotyczących zasięgu konsumpcji heroiny, Centrum – wraz z Federalnym Urzędem Żywności i Leków (FDA) oraz Rządową Agencją do Walki z Narkotykami (DEA) – wystosowało komunikat prasowy o następującej treści: „Spożycie heroiny w całych Stanach Zjednoczonych – wśród kobiet i mężczyzn, w większości grup wiekowych i niezależnie od poziomu dochodów – wzrosło. Największy przyrost zaobserwowano w populacjach dotąd charakteryzujących się najniższym poziomem jej konsumpcji, w tym wśród kobiet, osób z prywatnymi ubezpieczeniami zdrowotnymi i wyższymi dochodami”.

Chłopaki z Xalisco były pierwsze w zidentyfikowaniu i systematycznej eksploatacji nowego rynku zbytu dla heroiny, który powstał wskutek nadmiernego przepisywania dostępnych na receptę opiatowych środków przeciwbólowych. Teraz jednak wieści zdążyły się rozejść. Wszyscy w podziemiu narkotykowym wiedzieli, że to właśnie ona się sprzedaje. Dilerzy mnożyli się w straszliwym tempie, zapychając rynki, które w wielu stanach pozostawały przedtem niemal do wyłącznej dyspozycji Chłopaków. Uliczni handlarze metadonu lub kokainy przerzucili się na sprzedaż heroiny. Powiedziano mi, że w Cincinnati całe gromady coraz młodszych czarnych wystają na rogach ulic i sprzedają towar białym narkomanom z przedmieść lub obszarów wiejskich leżących na pograniczu Ohio, Kentucky i Indiany. Żeby zaanonsować, co mają do zaoferowania, szczekają jak psy – stąd slangową nazwą heroiny w epoce czarnej smoły stało się „psie żarcie”.

Również kartele narkotykowe z Meksyku świetnie już zdawały sobie sprawę z pojawienia się nowego rynku. Prawdopodobnie umacniały swoje wpływy na kontrolowanym do niedawna przez Kolumbijczyków wschodzie Stanów Zjednoczonych – podobnie jak przed dwudziestoma laty, gdy wyparli ich z handlu kokainą. Jeden z nowojorskich przedstawicieli organów ochrony porządku publicznego powiedział mi, że „Kolumbijczycy już niemal całkowicie wycofali się

z bezpośredniej dystrybucji na terenie USA. To, co pod koniec lat osiemdziesiątych stało się z kokainą […], teraz dzieje się z heroiną”.

Niedługo przed naszą rozmową policjanci z Nowego Jorku przechwycili około siedemdziesięciu kilogramów heroiny sprowadzonej z Sinaloa w Meksyku, choć sam narkotyk pochodził z Kolumbii. Kolumbijczycy woleli mniejsze ryzyko kosztem mniejszych zysków i zadowolili się sprzedawaniem swego towaru meksykańskim kartelom, które bezwzględnie dążyły do wyeksploatowania rosnącego rynku amerykańskiego.

Co więcej, każdy nowy narkoman był potencjalnym dilerem, gdyż sprzedaż heroiny jest sposobem na zdobycie działki – regularna praca na cały etat kłóci się z żądaniami stawianymi przez molekułę morfiny.

Zarazem jednak formowała się masa krytyczna. Wkrótce po ukazaniu się *Dreamlandu* rodziny, które utraciły dzieci, zaczęły umieszczać w dostępnych dla wszystkich nekrologach wzmianki o stoczonej przez ich pociechy walce z nałogiem. Rodzice dwudziestoczteroletniego Daniela Wolanskiego z Avon Lake na północy Ohio, pisząc o „pełnej humoru i charyzmie osobowości” ich syna, dodawali zarazem, że „niestety zagłuszyły ją trwające pięć lat zmagania z uzależnieniem”, które ostatecznie go pokonało, mimo że przed śmiercią wielokrotnie wspominał licznych utraconych w wyniku przedawkowania przyjaciół.

Podzielili się też następującym przemyśleniem: „Powiada się, że do wychowania dziecka potrzebna jest cała społeczność, ale też cała społeczność potrzebna jest do pokonania nałogu”.

Ci, którzy podzielali to odczucie, zaczęli tworzyć grupy antyheroinowe na Facebooku. W przeciwieństwie do czasów, w których rozpocząłem pracę nad tą książką, nietrudno już było znaleźć rodziców chcących opowiedzieć swoją historię. Skala zjawiska uzależnienia od opiatów rozmywała stygmatyzację i tabuizację, które zaledwie kilka miesięcy wcześniej uciszały takie głosy. Wszystko to przypominało mi początki epidemii AIDS, kiedy rodziny zmarłych w opisach przyczyn śmierci sięgały po eufemizmy. To się zmieniło. Rodzice czy krewni zdobywali się na odwagę, zrzucali z siebie piętno wstydu i występowali publicznie.

Czternaście lat po opublikowaniu artykułu, w którym list Porter i Jicka nazwano „przełomowym badaniem”, „Time” uczynił z szerzącej się epidemii opiatów temat numeru. „Sports Illustrated” zamieścił długi materiał o tym nałogu wśród sportowców. Wychodzące w całym kraju lokalne gazety pisały dużo o heroinie

w tamtejszych społecznościach, często ilustrując tekst fotografią ramienia z wbitą strzykawką.

Jednym z rezultatów tej zmiany było obserwowane w niektórych rejonach Stanów Zjednoczonych zmniejszenie liczby wypisywanych przez lekarzy recept na opiatowe środki przeciwbólowe. Problem jednak w tym, że znów nie uczyniono tego w sposób zniuansowany, z uwzględnieniem rzeczywistych potrzeb pacjentów, co było odwrotnością poprzednich praktyk polegających na wydawaniu recept niemal każdemu, kto się po nie zgłaszał. W efekcie ci, którym powinno się podać tabletki na bóle chroniczne, sygnalizowali problemy z ich otrzymaniem.

Rozmawiałem dwukrotnie z przedstawicielami działającego przy Białym Domu Biura Narodowej Polityki Kontroli Narkotyków – tak zwanego urzędu Narkotykowego Cara – i zapewniano mnie, że epidemia nadużywania opiatów to absolutny priorytet. Nowy szef tej instytucji Michael Botticelli pracował przedtem w publicznej służbie zdrowia i był pierwszym „carem", który nie miał za sobą służby w organach ochrony porządku publicznego lub wojsku, a na dodatek był również trzeźwiejącym alkoholikiem z dwudziestopięcioletnią abstynencją na koncie. Biuro powołało do życia Grupę Roboczą do spraw Heroiny, która w chwili pisania tego posłowia opracowuje rekomendacje dla przyszłych działań.

Zadzwonił też do mnie doradca pracujący przy kampanii prezydenckiej Hillary Clinton, która według niego podczas wizyt przedwyborczych w Iowa i New Hampshire dużo rozmawiała z rodzicami uzależnionych dzieci. Wisieliśmy na telefonie przez godzinę i wymienialiśmy się informacjami o tabletkach przeciwbólowych, fabrykach prochów, handlu meksykańską heroiną i spowijającej tę epidemię ciszy, która pozwoliła pladze aż tak bardzo nabrzmieć. Miesiąc później pojawiły się doniesienia, że Hillary Clinton zgłasza rozwiązania polityczne mające na celu rozwiązanie tych problemów.

Mam nadzieję, że w miarę rozwoju kampanii prezydenckiej z 2016 roku temat ten będzie częściej omawiany, a przede wszystkim słyszalny będzie głos rodziców dzieci uzależnionych.

Uzależnienie od opiatów szerzące się wśród białej młodzieży z obszarów wiejskich i przedmieść zaczynało przynosić w skali ogólnokrajowej takie same skutki jak te obserwowane sędziego Setha Normana w Nashville. Koncepcje, które wielu ludzi przyjmowało za niepodważalne, teraz poddawane były rewizji. Jak się ma leczenie uzależnień do kary więzienia? Rodzice naciskali na polityków, by znaleźli dla ich dzieci alternatywę dla kary pozbawienia wolności i wpisu do

kartoteki kryminalnej. Najbardziej zaskakujące było jednak to, jak na jesieni 2015 roku republikańscy kandydaci rywalizowali ze sobą o miano najbardziej wrażliwych i wyrozumiałych w kwestii terapii dla osób uzależnionych od narkotyków. Chris Christie, Carly Fiorina i Jeb Bush opowiadali o swoich uzależnionych znajomych – bliskich i przyjaciołach – w sposób, który jeszcze dziesięć lat temu mógłby pozbawić ich wszelkich szans na zdobycie nominacji republikanów. Wydawało się wręcz, że lata narracji na rzecz „twardej ręki wobec przestępczości" kazały wielu politykom republikańskim schować się do szafy, wymuszając milczenie na temat uzależnień. Teraz mogli z niej wyjść i poczuć się na tyle wolni, by o tym mówić i kwestionować stare dogmaty.

Odniosłem wrażenie, że heroina – tak potworna i przerażająca – stawała się w Stanach Zjednoczonych czynnikiem sprzyjającym zmianie.

Plaga opiatów spowodowała, że strategie, które niegdyś były wręcz nie do pomyślenia, okazywały się politycznie akceptowalne. Kiedy w położonym w rolniczej Indianie hrabstwie Scott gwałtownie wzrosła liczba zachorowań na AIDS, co było skutkiem dzielenia się brudnymi igłami, republikański gubernator stanowy polecił wprowadzić program wymiany strzykawek. Podległy republikańskiemu gubernatorowi naczelnik więziennictwa stanu Ohio zapisywał osadzonych do systemu Medicaid, dzięki czemu mogli zyskać dostęp do finansowanej z zewnątrz terapii odwykowej. Jak powiedział pewnemu dziennikarzowi: „Inwestujemy w społeczności, nie w więzienia. Nie mam zamiaru budować jeszcze jednego cholernego pierdla". Komendant policji w Gloucester w stanie Massachusetts Leonard Campanello ogłosił, że nie będzie zatrzymywał tych, którzy przyjdą na posterunek ze swymi narkotykami i narkomańskimi utensyliami, tylko zamiast tego poszuka dla nich możliwości odbycia terapii. Co więcej, natchniony działaniami teatru guerrilla, upublicznił nazwiska i dane kontaktowe dyrektorów generalnych pięciu największych firm farmaceutycznych, jak również informacje o ich zarobkach i dodatkach przyznawanych im z racji pełnionego stanowiska.

Na zlecenie „New York Timesa" pojechałem do konserwatywnego, libertariańskiego północnego Kentucky, gdzie trafiłem do hrabstw, w których całe skrzydła więzień przerabiano na oferujące kompleksową obsługę ośrodki odwykowe. Demokratom trudno było tam wygrać wybory, ale podobnie było z tymi republikanami, którzy nie zgadzali się ze stanowiskiem, że uzależnienie to choroba, na którą najlepsze jest nie więzienie, tylko terapia. W hrabstwach Kenton

i Pulaski ośrodki odosobnienia wręcz zatrudniały narkomanów na odwyku, by ci prowadzili programy terapeutyczne i pełnili funkcję mentora dla uzależnionych więźniów. Wyglądało na to, że więzienia powoli stawały się miejscem, w którym uzależnieni mogli otrzymać pomoc, czemu dodatkowo sprzyjało odosobnienie, które uniemożliwiało im łatwy dostęp do narkotyków i prowadzenie narkomańskiego stylu życia.

Epidemia opiatów zalała dostępną na wolności infrastrukturę terapeutyczną. Tylko nieliczne i najbogatsze rodziny stać było na terapię hospitalizacyjną, której takie uzależnienie wymaga – jak mówili mi specjaliści w tej dziedzinie, trwa ona przynajmniej od dziewięciu miesięcy do roku. Tak więc kwestia tego, jaką postać przybrał pobyt w więzieniu, stała się niezwykle ważna dla rodzin, które przedtem nigdy nie musiały zajmować się tym problemem. Po latach plagi w niektórych rejonach stawało się przed upiorną, choć realną perspektywą, że jeśli chciało się uzyskać pomoc terapeutyczną, trzeba było pójść do więzienia.

To oznaczało przyjęcie nowego sposobu myślenia o ośrodkach odosobnienia – jako inwestycjach, nie kosztach. Przez całe dziesięciolecia więzienie oznaczało wydatki i odpływ środków budżetowych. Osadzeni spędzali w nim miesiące, wegetując, zawiązując zmowy i planując nowe eskapady kryminalne. Teraz niektóre hrabstwa zaczęły postrzegać więzienia jako miejsca, w których mogły bardzo szybko i relatywnie niewielkim nakładem finansowym wykreować nowy potencjał terapeutyczny, wykorzystując przy tym uprzednio trwoniony przez uzależnionych czas do próby wyciągnięcia ich z nałogu.

Więzienie jako inwestycja, a nie koszt. Heroina raz jeszcze zadziałała jak czynnik sprzyjający zmianie.

Związane z tym były jednak olbrzymie wyzwania. Ostatecznie za tym, że więzienie stało się naszą odpowiedzią na uzależnienie, stały pewne przesłanki. W przypadku uzależnionych wciąż na nowo wracających do nałogu kara pozbawienia wolności wydawała się bezpiecznym wyjściem. Przynajmniej odizolowani byli bezpieczni, więc nie mogli włamywać się do domów, podkradać rodzicom pieniędzy, kraść w sklepach czy dopuszczać się cięższych przestępstw. Teraz, a w odbiorze społecznym wreszcie, władze lokalne i stanowe przyjmowały na siebie zadanie „leczenia” uzależnienia – w gruncie rzeczy zmiany wzorca zachowań, czy też przeprogramowania ścieżek przetwarzania bodźców w mózgu. Jeśli chodzi o molekułę morfiny, to pojawia się mnóstwo pytań. Zobaczymy, co czas pokaże. Na pewno będą nawroty, choć po prawdzie uważane są one za część

procesu powrotu do zdrowia. Niektórzy z moich rozmówców przedefiniowywali wyzdrowienie jako serię okresów niezażywania narkotyku, z czasem coraz dłuższych, przerywanych epizodami nawrotu nałogu.

– To swego rodzaju truizm, że nie możemy znaleźć drogi wyjścia z tego problemu poprzez areszt – mówił mi pewien prokurator. – Nie możemy też znaleźć takiej drogi poprzez leczenie. W ten sposób, czyli wybierając albo uwięzienie, albo terapię, nigdy nie poradzimy sobie z epidemią heroiny.

Trzeźwiące spostrzeżenie i być może prawdziwe.

Wróciłem do Portsmouth pod koniec 2015 roku i zobaczyłem, że sytuacja w mieście nadal się poprawia. Lisa Roberts opowiedziała mi o planie namalowania niebieskich sylwetek aniołów na domach położonych we wschodniej części miasta, w których mieszkańcy mieli przy sobie zapas naloksonu – antidotum na przedawkowanie heroiny.

W śródmieściu pojawiło się kilka nowych restauracji. Wypatroszono też parę opuszczonych budynków, przygotowując je do całkowitego remontu. Hipsterzy rozkręcali takie interesy, jakie tylko oni mają w zwyczaju rozkręcać. Organizowali też w centrum comiesięczną i ogólnodostępną imprezę – Final Friday.

– Większość nazywa ich po prostu Niebieskimi Włosami – relacjonowała Lisa. – Bez wątpienia przyczyniają się do rozwoju miasta.

Ośrodek Pomocy Psychologicznej obsługiwał już pięciuset klientów i zaczynało się mówić o projekcie szukania stałych miejsc zamieszkania dla tych, którzy ukończyli wszystkie oferowane przez centrum programy. Niektórzy byli przeciwni temu pomysłowi, ale im więcej się dowiadywałem, tym bardziej byłem przekonany, że nowa ekipa trzeźwych narkomanów mogłaby dać prawdziwy zastrzyk energii i wdzięczności miastu, które tak go potrzebowało po latach destrukcyjnie działającego fatalizmu.

W międzyczasie Jo Anna Krohn uczyniła z SOLACE obsługującą stu pacjentów miesięcznie klinikę suboksonową z własnym lekarzem oraz bardzo drogim urządzeniem do analizy moczu, które wykorzystywano do badania przychodzących co miesiąc klientów. Najstarszy syn Jo Anny, który gdy ją poznałem, mieszkał w przyczepie pozbawionej elektryczności i bieżącej wody, nie zażywał już żadnych narkotyków i pracował u jej boku w klinice.

Większość klientów SOLACE miała kartę Medicaid, co zawdzięczali gubernatorowi Johnowi Kasichowi, który obszedł swoją partię i zdominowany

przez nią kongres stanowy, obejmując ubezpieczeniem zdrowotnym wszystkich mieszkańców Ohio – chodziło w szczególności o pokrycie kosztów terapii odwykowej.

Wydawało się bardziej prawdopodobne niż kiedykolwiek wcześniej, że to kwitnące niegdyś amerykańskie miasto uwalniało się od dawnej kultury zależności, która trzymała je na kolanach, i powracało do ducha samodzielności, stając się choć w części Dreamlandem, jakim było dawniej.

Kiedy pisałem tę książkę, postanowiłem nie włączać do niej żadnej sceny z udziałem szprycującego się narkomana. Widziałem za dużo artykułów opatrzonych takimi zdjęciami i uznałem, że jest to już zbyt ograne. Ponadto stanowiłyby one swego rodzaju dystrakcję, gdyż książka tylko w jednej swojej warstwie dotyczy narkotyków. Kiedy zbierałem do niej materiały, przyszło mi do głowy, że pisanie o heroinie – czy ogólnie o opiatach – to tak naprawdę pisanie o Ameryce.

To, gdzie znajdujemy się jako kraj, ma wiele wspólnego z naturą narkotyków zawierających w sobie molekułę morfiny.

W 2012 roku, gdy zaczynałem pracę nad *Dreamlandem*, zdążyliśmy już w Stanach Zjednoczonych przeznaczyć dziesięciolecia na niszczenie ducha wspólnotowości, wyśmiewając i rozdrapując podstawy rządów zapewniających publiczne aktywa i publiczną infrastrukturę, które uważaliśmy za oczywistość i które umożliwiały życie wspólnotowe w przestrzeni publicznej. W międzyczasie wynosiliśmy pod niebiosa sektor prywatny. Obaliliśmy komunizm i przez to zaczęliśmy myśleć o wolnym rynku jak o nieomylnym bogu. Poprzez przyjęcie tego dogmatu ekonomicznego pozwoliliśmy, a nawet zachęcaliśmy do tego, by wyprowadzono miejsca pracy za granicę, za co zresztą szczodrze nagradzaliśmy naszych kapłanów z finansjery. Żądaliśmy od rządu doskonałości i wybaczaliśmy grzechy sektorowi prywatnemu.

Część tego sektora rozbudziła poczucie uprawnienia do opieki społecznej. Z pewnością podczas tej plagi opiatów to sektor prywatny czerpał zyski, a koszty radzenia sobie z olbrzymimi zniszczeniami i stratami w tkance społecznej spadły na sektor publiczny. Kilka miesięcy po wydaniu tej książki „Forbes” umieścił na swej liście najbogatszych amerykańskich rodzin Sacklerów – i Raymonda Sacklera, ostatniego żyjącego z braci – jako najzamożniejszych debiutantów, których majątek oszacowano na czternaście miliardów dolarów. Było to możliwe dzięki sprzedaży

OxyContinu, której szacunkowa wartość to trzydzieści pięć miliardów dolarów od chwili wypuszczenia leku na rynek w 1996 roku.

Chyba baliśmy się sfery publicznej. Rodzice wręcz wisieli nad swymi dziećmi – zatrwożeni zagrożeniem kryjącym się w przestrzeni wspólnej, nie opuszczali ich na krok. Pewną parę oskarżono nawet o to, że puściła bez opieki dorosłych swoją dziewięcioletnią córkę z siostrą do parku. Ukuto zresztą termin „rodzicielstwo wolnego wybiegu", którym określa się odważnych rodziców niebojących się stracić swoje dziecko z oczu. Nie powinno zatem dziwić, że u tak wielu dzieciaków – głównie chłopców – diagnozuje się zespół nadpobudliwości ruchowej, a potem przepisuje im się Adderall i inne leki. (Chciałbym, żeby ktoś zbadał częstość przypadków uzależnienia od opiatów w wieku nastoletnim i wczesnej dojrzałości wśród osób, u których rozpoznano ten zespół i które zażywały leki na receptę w rodzaju Adderallu). Spędzają czas zamknięci w domu i obijają się o ściany. Mogę to napisać, bo sam byłem dzieckiem, a chłopcy są jak psy, muszą się wybiegać. Wychowywałem się na przedmieściach w południowej Kalifornii i cały wolny czas spędzałem z kolegami na dworze, grając w futbol, koszykówkę, jeżdżąc na rowerze czy po prostu ganiając po okolicy. Każdego dnia przebiegaliśmy pewnie pięć lub sześć kilometrów. Kolana miałem właściwie bez przerwy zdarte, a skutkiem bójek były wciąż pojawiające się, a potem zrywane strupy. Mama miała specjalny dzwon, przywieziony z jej rodzinnej farmy w Iowa, którym przywoływała nas na obiad, bo przecież nigdy nas nie było w domu. W ciągu paru ostatnich lat osiem razy byłem na ulicy, na której się wychowywałem, i nigdy nie widziałem nikogo na zewnątrz. Park, gdzie się bawiłem, jest zawsze pusty.

Trzymanie dzieci w kojcu, moim zdaniem, ma związek z przeświadczeniem, że możemy w ten sposób oszczędzić im bólu i zagrożeń. Nie jestem więc zaskoczony, gdy słyszę, że wychowani przed ekranami w zaciszu domowym studenci okazują na uniwersytetach paniczny strach przed czymkolwiek, co mogłoby wywołać ból emocjonalny. Opublikowany w 2015 roku w „Atlantic" artykuł *The Coddling of the American Mind* [Rozpieszczanie amerykańskiego umysłu] opisywał studentów – młodzież, która dorastała w epoce totalnej ochrony przed bólem fizycznym – domagających się też ochrony przed mogącymi przynieść dyskomfort myślami. Żądali, by nauczyciele akademiccy opatrywali zawczasu „ostrzeżeniami" treści mogące wywołać silne przeżycia emocjonalne – na przykład w powieści opisującej przemoc na tle rasowym. Ten nowy etos kampusowy, jak napisał autor, „zakłada nadzwyczajną kruchość uczelnianej psyche, a tym samym nadaje szczególne

znaczenie zadaniu ochrony studentów przed uszczerbkiem o charakterze psychologicznym. Wydaje się zatem, że ostatecznym celem jest uczynienie z kampusów bezpiecznej przestrzeni, w której wkraczająca w dorosłość młodzież osłonięta będzie przed słowami i ideami mogącymi wywołać u niektórych nieprzyjemne odczucia".

„Psychology Today" zamieściło materiał zatytułowany *Declining Student Resilience* [Słabnąca odporność studentów], który poświęcony jest coraz silniejszym wśród studentów postawom roszczeniowym. Opisano w nim przypadki uczniów wzywających na widok myszy policję, obwiniających nauczycieli o złe stopnie oraz „coraz intensywniej domagających się pomocy w rozwiązywaniu problemów życia codziennego i najwyraźniej przeżywających na ich tle kryzysy emocjonalne". Profesorowie „mówią o wzmagającej się tendencji do postrzegania kiepskiej oceny jako powodu do skargi i narzekania, a nie bodźca do bardziej wytężonej i efektywniejszej nauki. Duża część dyskusji dotyczy z jednej strony zakresu pomocy, jaką wydziały powinny zapewniać, a z drugiej tego, na ile odpowiedź powinna brzmieć: »Daj spokój, to uniwersytet«".

Wszystko to zdaje się łatwym do przewidzenia skutkiem koncepcji, że za wszelką cenę powinno się nas chronić przed bólem.

Tymczasem funkcjonujemy jako kraj w taki sposób, jakby konsumpcja i gromadzenie dóbr mogły przynieść nam szczęście. Opuszczamy rodzinny obiad w Święto Dziękczynienia, by stanąć w kolejce po produkty – konsole, tablety i tym podobne – które wpychają nas w samotność i zatruwają nasze dzieci. Czynimy to tak, jakbyśmy nie mieli wyboru. Wbudowaliśmy mechanizmy odosobnienia w nasze przedmieścia i nazywamy to dobrobytem. Do tej mieszanki dochodzi jeszcze postęp technologiczny, który łączy nas ze światem, ale zarazem odgradza od najbliższego sąsiada.

W efekcie kończymy niebezpiecznie odseparowani od siebie – tak w biedzie, jak i w bogactwie.

Dzieciaki nie bawią się już na dworze. Nikt nie korzysta z parków. Dreamland leży pogrzebany pod centrum handlowym.

Dlaczego zatem dziwimy się, że heroina jest wszędzie?

W naszym wzajemnym odizolowaniu heroina ma się świetnie, a nasze poszukiwanie wolności od bólu wpycha nas w jej ramiona.

Uważam, że heroina jest najpełniejszym wyrazem tych wartości, które pielęgnowaliśmy przez ostatnie trzydzieści pięć lat. Zamienia ona każdego

heroinistę w narcystycznego, egocentrycznego i samotnego hiperkonsumenta. Życie osób pochłoniętych opiatami odwraca się od rodziny oraz społeczeństwa i poświęca się w całości samozadowoleniu płynącemu z kupowania i konsumowania jednego produktu – narkotyku, który sprawia, że bycie samemu jest nie tylko w porządku, ale jest wręcz bardziej pożądane.

Wierzę też o wiele silniej niż kiedykolwiek przedtem, że antidotum na heroinę jest wspólnota. Jeśli chcecie, by wasze dzieci trzymały się z dala od heroiny, zadbajcie o to, żebyście wraz z sąsiadami podejmowali wspólne działania – publicznie i często. Zbudujcie własny Dreamland i przełamcie bariery, które oddzielają od siebie ludzi. Niech nie będą to salonowe kinderbale, po prostu wyjdźcie na dwór i się bawcie. Wyprowadźcie ludzi z ich pokojów, jakiekolwiek by one były. Życie może być prostsze. Pogoń za towarami wcale nie równa się szczęściu – powie wam to każdy heroinista. Mam wrażenie, że w niektórych odwiedzonych przeze mnie i dotkniętych tą plagą miejscach ludzie mogą wyjść z niej bardziej współczujący, mocniej stojący na ziemi, wolący dawać dzieciom doświadczenie zamiast rzeczy i gotowi pokazać im, że ból jest częścią życia i da się go znieść. Antidotum na heroinę może też być zachęcenie swoich dzieci, by pojeździły z kolegami na rowerach po okolicy, i pozwolenie na to, by otarły sobie kolana.

Trudne początki takiej zmiany postaw widziałem w Portsmouth, co mnie mocno zaskoczyło i ucieszyło. Podobne krzepiące oznaki dostrzegłem ostatnio również na przedmieściach w północnym Kentucky, gdzie prochy i heroina poczyniły poważne spustoszenia.

To dobre wieści – nie siedzimy na tyłku i nie poddajemy się biernie spadającym na nas ciosom. Działamy, jak to Amerykanie mieli zawsze w zwyczaju. Heroina jest wystarczająco groźna, by popchnąć nas do czynu. To, co wyrządza uzależnionym od niej, ich rodzinom i sąsiedztwu, jest na tyle straszne, by przypomnieć tym, którzy się z nią zetknęli, o więziach, jakie łączą ich z innymi, wytwarzając gdzieniegdzie przeciwieństwo izolacji, w którą wpycha swoje ofiary.

Czasami nawet zdarza mi się myśleć, że mam rację i że być może heroina jest najważniejszą siłą działającą na rzecz pozytywnej zmiany, jaka powinna zachodzić dziś w naszym kraju.

W każdym razie po latach pisania o niej taką właśnie chciałbym żywić nadzieję. Jeśli zaś tak jest naprawdę z uwagi na wszystko, czego nas nauczyła – w tym o nas

samych i o naszym życiu – to, jak powiedziała mi jedna kobieta, „być może pewnego dnia jej podziękujemy”.

Podziękowania

Ponieważ opowieść przedstawiona w tej książce ma zasięg ogólnokrajowy, przy jej pisaniu polegałem na pomocy osób spotykanych w wielu miejscach Stanów Zjednoczonych.

Poznałem rodziców, których ta epidemia i utrata dzieci przemieniły w działaczy społecznych: Carol Wagner, Margie Fleitman, Barbarę Theodosiou, Susan Klimusko, Jodi Barber, Krissy McAfee, Tracy Morrison i jej córkę Jennę. Wayne Campbell poświęcił mi dużo czasu i zaprosił mnie na prezentację zorganizowaną przez Tyler's Light. Jo Anna Krohn przesiadywała ze mną wielokrotnie, by podzielić się historią jej syna Wesa i powstania SOLACE. Paul i Ellen Schoonoverowie oraz ich syn Myles byli na tyle mili, że opowiedzieli mi o tym, jak umarł Matt. Wiedzą oni, że problem narósł tak bardzo, gdyż panowało powszechne wokół niego milczenie. Dziękuję im za podzielenie się ze mną swoją opowieścią.

W Denver krynicą informacji o Chłopakach z Xalisco był oczywiście Dennis Chavez – to on ukuł tę nazwę, a ja pozwoliłem sobie zapożyczyć ją od niego na użytek tej książki. Spędziłem też mnóstwo czasu z funkcjonariuszami, którzy pomogli mi zrozumieć, w jaki sposób Chłopaki z Xalisco działają dziś w tym mieście: z Jimmym Edingerem, Jesem Sandovalem, Nicole Shacklee, Dale'em Wallisem i Teresą Driscoll-Rael. Rozmawiałem też z paroma ćpunami, którzy podzielili się ze mną swoimi przemyśleniami. Gościny w okolicach Denver udzielili mi moi wspaniali wujostwo Cal i Dick Van Peltowie.

Również w Charlotte spotkałem ludzi, którzy byli na tyle uprzejmi, by poświęcić mi swój czas i porozmawiać o działalności Chłopaków z Xalisco w tym mieście. Dużo rozmawiałem z detektywem Brentem Fousheem, który ponadto dał mi do wglądu swoją pracę magisterską poświęconą temu zagadnieniu. Wielkie dzięki należą się również detektywowi Donowi Queenowi, adwokatowi Robowi Heroyowi, zastępcy prokuratora Sheenie Gatehouse, a także Bobowi Martinowi z Centrum Medycznego Carolina. Prowadzący śledztwa w sprawach związanych z narkotykami Chris Long z Charlotte był pierwszym funkcjonariuszem organów ochrony porządku publicznego z tego hrabstwa, który potwierdził, że członkowie wszystkich komórek handlarzy heroiną w zasadzie pochodzili z jednego miasta, czyli Xalisco w stanie Nayarit. Jeśli chodzi o Karolinę Południową, chciałbym

podziękować Deanowi Bishopowi, Maxowi Dorseyowi, Marvinowi Brownowi i Walterowi Beckowi. Rozmawiałem też z osobami z różnych grup, policjantami i ich antagonistami, których nazwisk nie mogę tutaj podać. Im też należą się podziękowania.

W przypadku Columbus i Marion w stanie Ohio – jestem wdzięczny wielu osobom, które pomogły mi zrozumieć istotę problemu czarnej smoły, należą do nich: kapitan policji z Columbus Gary Cameron, Orman Hall, sędzia Scott VanDerKarr, Andrea Boxcil, Ed Socie, Ronnie Pogue, Christy Beeghly, Jennifer Biddinger i pracownicy biura prokuratora generalnego Ohio, Sarah Nerad, Brad Belcher, Jennifer Miller, doktor Richard Whitney oraz rodzina doktora Phillipa Priora. Doktor Joe Gay z hrabstwa Athens w stanie Ohio był jednym z pierwszych moich źródeł – udzielił mi wielu informacji i wniósł wiele różnych punktów widzenia oraz entuzjazmu do tej historii.

W stanie Waszyngton podziękowania za wielce użyteczną pomoc niech zechcą przyjąć: Jaymie Mai, Jennifer Sabel, Caleb Banta-Green, doktorzy Alex Cahana, John Loeser, David Tauben, Gary Franklin, Michael Schatman i Michael Von Korff. Jestem im wdzięczny za czas poświęcony na wyedukowanie reportera, któremu wiele trzeba było wyłożyć.

Jedną z większych przyjemności związanych z pisaniem tej książki było odwiedzanie Portsmouth w stanie Ohio, którego mieszkańcy witali mnie serdecznie i szczerze opowiadali o swoim mieście. Słowa podzięki należą się takim osobom, jak: Bryan Davis, Randy Schlegel, Joe Hale, Andrew Feight, Scott Douthat, Mary Ann i Keith Hensonowie oraz ich syn Luke, Terry Johnson, Danny Colley, Angie Thuma, Nate Payton, Kathy Newman, Melissa Fisher, Terry Ockerman, Chris Smith, John Lorentz, Jarrett Withrow oraz Abbi Andre. Jak zwykle spotkałem tam również wielu innych pomocnych ludzi, którzy jednak woleliby, żebym nie ujawniał ich nazwisk.

Ed Hughes spędził ze mną w Portsmouth wiele godzin na tłumaczeniu zasad interdyscyplinarnego podejścia do terapii odwykowej i przedstawieniu historii Ośrodka Pomocy Psychologicznej. Prawdziwą skarbnicą wiedzy o mieście była również Lisa Roberts. Opowiedziała mi o historii działających w nim fabryk prochów i następstwach ich funkcjonowania w postaci fali uzależnienia. Dziękuję też za liczne kontakty, które mi udostępniła.

W Portland Vitaliy i Elina Mulyarowie zdecydowali się opowiedzieć mi o sobie. Dzięki nim mogłem poznać historię rosyjskich zielonoświątkowców i usłyszeć

opowieść o ich walce z uzależnieniem pośród młodych wiernych w Stanach Zjednoczonych. Doktor Gary Oxman przedstawił mi historię swoich badań nad przyczynami zaobserwowanego w latach dziewięćdziesiątych nagłego wzrostu liczby zgonów spowodowanych przedawkowaniem. Prokurator federalna Kathleen Bickers okazała się wspaniałym źródłem informacji na temat Chłopaków z Xalisco. Na wczesnym etapie prac sierżant portlandzkiej policji Mike Krantz pomógł mi dostrzec skalę zalewu heroiny z Xalisco w mieście. Dziękuję również Steve'owi Mygrantowi, Wayne'owi Baldassare'owi, Tomowi Garrettowi, Seanowi Macomberowi i Johnowi Deitsowi.

Historię RAP opowiedzieli mi Ed Blackburn, Alan Levine i inne osoby, którym chciałbym podziękować, mimo że nie mogę ich wymienić z nazwiska. Dziękuję również doktor Rachel Solotaroff z Central City Concern.

Podczas moich kilkakrotnych pobytów w Portland moi drodzy przyjaciele Amy Kent i Steve Daggett ze swym synem Colinem uraczyli mnie rozmowami i zakwaterowaniem, które było miłą odmianą w porównaniu z pokojami motelowymi.

Ludzie z rozsianych po całym kraju oddziałów organów ochrony porządku publicznego okazali się bardzo pomocni w dodawaniu własnych elementów do tej skomplikowanej układanki. Podziękowania niech zechcą przyjąć: Jim Kuykendall, Harry Sommers, Rob Smith i DEA z Charlotte, Adam Hardin i DEA z Karoliny Południowej, Chuvalo Truesdell, Dennis Mabry, Hal McDonough, sędzia Seth Norman, Jeri Holladay Thomas, Chris Valdez, Rock Stone, Frank Harrell, Leo Arreguin, Lisa Feldman, William Mickle oraz inni, których nazwisk nie mogę ujawnić.

W Boise w stanie Idaho Ed Ruplinger był na tyle uprzejmy, że podzielił się swoimi wspomnieniami dotyczącymi sprawy, jaką prowadził przeciwko Chłopakom z Xalisco. Była ona jedną z pierwszych w Stanach Zjednoczonych. Chciałbym też podziękować za pomoc Steve'owi Robinsonowi i Joemu Wrightowi.

Gdy na początku próbowałem znaleźć porozsiewane po całych Stanach tropy Chłopaków z Xalisco, rozmawiałem z różnego autoramentu funkcjonariuszami organów antynarkotykowych, którzy pomogli mi potwierdzić – lub zanegować – obecność handlarzy z Nayaritu w ich okolicy. Jest ich zbyt wielu, by wymienić wszystkich z nazwiska, niemniej niech zechcą przyjąć słowa szczerej podzięki.

Rozmawiałem również z wieloma dilerami, kierowcami, dyspozytorami i dostawcami z małego miasteczka Xalisco w stanie Nayarit, będącego centrum

dostaw heroiny do Stanów Zjednoczonych. Większość chciała mówić tylko o tym, co sami robili, nie wchodząc w działalność innych osób, co w szczególności tyczyło się człowieka o imieniu Enrique. Czuję wdzięczność, że mogłem ich wysłuchać, niezależnie od tego, jakie warunki rozmowy narzucali. Wielu z nich przebywało lub przebywa w więzieniach na terytorium Stanów Zjednoczonych, które w moim odczuciu wydają się miejscami skłaniającymi do refleksji i rozmowy. Gdyby tylko naczelnicy więzień federalnych zrozumieli, że pod ich pieczą znajdują się ludzie mogący opowiedzieć całą historię meksykańskiego handlu narkotykami w Stanach Zjednoczonych, której społeczeństwo amerykańskie powinno, moim zdaniem, wysłuchać, i że ułatwienie reporterowi wysłuchania tych opowieści wcale ich samych by nie zabiło… Tym bardziej chciałbym podziękować wszystkim pracownikom więziennictwa, którzy pomogli mi w tym zakresie. Przeprowadziłem także szereg rozmów z mieszkańcami Xalisco: przedstawicielami wolnych zawodów, przedsiębiorcami i innymi osobami. Większość z nich starałem się poznać tylko z imienia, by zapewnić bezpieczeństwo zarówno im, jak i sobie. I choć nawet je zostawiam dla siebie, wielce im dziękuję.

Profesor Marcia Meldrum z UCLA przedstawiła mi kontekst historyczny towarzyszący obecnej epidemii opiatów. Dzięki doktorowi Nathanielowi Katzowi i doktor Marshy Stanton uzyskałem wgląd w historię bólu i rewolucji w jego leczeniu. Doktorzy Andrew Kolodny, Jane Ballantyne, Art Van Zee i Mike McNeer – obecnie będący zdecydowanymi przeciwnikami liberalnego stosunku do przepisywania opiatowych środków przeciwbólowych – pokazali mi, jak przebiegała ewolucja w ich podejściu do tego zagadnienia. Chciałbym też podziękować doktor Hershelowi Jickowi za naświetlenie mi historii jego listu do redakcji NEMJ pochodzącego z 1980 roku.

Profesorowie Andrew Coop, Martin Adler i Herbert Kleber wielce mi pomogli w zrozumieniu zachodzących w mózgu procesów związanych z uzależnieniem i recepcją metadonu. Dziękuję też College on Problems of Drug Dependence.

Choć niektórzy z nich nie pojawiają się w ostatecznej wersji tej książki, to wielu z wychodzących z nałogu heroinistów pomogło mi zrozumieć, jak wyglądał i wygląda heroinowy czarny rynek. Są wśród nich: Robert Berardinelli z Santa Fe, Dean Williams z Indiany, Bobby Melrose z Columbus, Pickles, Bob Wickham, byli rapsterzy z Portland, paru gości na odwyku z Ośrodka Pomocy Psychologicznej w Portsmouth, trójka dzieciaków z Denver oraz spotkana przeze mnie na

Uniwersytecie Stanowym Nowego Meksyku w Albuquerque kelnerka, która przez dziewięć miesięcy jeździła dla Chłopaków z Xalisco.

Kiedy pracowałem w „Los Angeles Times”, napisałem artykuł o Chłopakach z Xalisco, który był zaczątkiem niniejszej książki. Redaktorzy Davan Maharaj, Marc Duvoisin i Geoff Mohan zachęcili mnie do zgłębienia tematu, a potem służyli pomocą i radą, za co jestem im wdzięczny.

Redaktor George Gibson z Bloomsbury Press udzielił mi potrzebnego, pełnego energii i ciepła wsparcia podczas realizacji całego tego projektu. Czuję też dług wdzięczności wobec Pete’a Beatty’ego za zakup propozycji książki dla Press, a następnie spokojne i profesjonalne zredagowanie jej rękopisu. Moja agentka Stephany Evans z FinePrint Literary dostrzegła w tym projekcie wartość, którą inni przeoczyli, co się stało, nim jeszcze zapanowała medialna burza dotycząca opiatów i heroiny – jak to zresztą dzieje się po dzień dzisiejszy. Stephany pomogła mi udoskonalić wstępną wizję książki, a następnie walczyła o nią jak lwica. Za to też jestem jej wdzięczny.

Wyrazy wdzięczności niech zechcą przyjąć również redaktorzy, którzy przez całą moją karierę pracowali nad moim stylem. Sam Enriquez, prawdopodobnie najlepszy redaktor, jakiego kiedykolwiek poznałem, który zatrudnił mnie w „Los Angeles Times”, a obecnie pracuje w „Wall Street Journal”, był na tyle miły, że przeczytał i poprawił pewne ustępy tej książki. Dziękuję mojemu ojcu Ricardowi i jego żonie Robercie Johnson za wsparcie i zainteresowanie moją pracą. Kiedy miałem trzy lata i przenosiliśmy się do Kalifornii, mój tata, obecnie emerytowany profesor Claremont McKenna College, opisywał mi historię Odyseusza, co było równie zajmujące jak oglądanie serialu telewizyjnego. Żywiona przeze mnie miłość do opowiadania historii z tego właśnie się zrodziła, jak też z dbałości o moje wykształcenie, jaką wykazywała moja matka, która zmarła w 1979 roku. Dziękuję moim braciom Benowi i Joshowi oraz ich rodzinom, pamiętajcie też naszego brata Nate’a i naszą mamę. Dziękuję wszystkim bliskim – Tullym, Lotkom i Pennym – za ich szczodrobliwość i wielkoduszną tolerancję dla moich niekończących się opowieści o uzależnieniu od opiatów i handlu heroiną w Stanach Zjednoczonych.

Przede wszystkim jednak to moja żona Sheila i moja córka Caroline żyły z tą książką i pomogły ją stworzyć, tolerując moje wyjazdy służbowe i odbierając mnie na lotniskach z uściskami i pocałunkami, których tak bardzo wtedy potrzebowałem. Bez nich nigdy bym tego nie dokonał. Bardzo je kocham.

Źródła

Książka ta opiera się przede wszystkim na wywiadach, które przeprowadziłem w ciągu pięciu lat. Zwłaszcza w 2009 roku, gdy jako reportażysta pracowałem nad materiałem dla „Los Angeles Times”, oraz w latach 2012–2014.

W wielu stanach rozmawiałem z rodzicami osób uzależnionych, jak i z samymi nałogowcami, a także z pielęgniarkami, epidemiologami z publicznej służby zdrowia, adwokatami, lekarzami, policjantami, psychologami, pracownikami opieki społecznej zajmującymi się osobami na odwyku, specjalistami od bólu, chemikami, historykami bólu, prokuratorami stanowymi i federalnymi, agentami DEA i FBI oraz wieloma Chłopakami z Xalisco, z których większość przebywała w więzieniu. Z osobą, którą nazywam Gościem, rozmawiałem osiem lub dziesięć razy, zarówno osobiście, jak i telefonicznie.

W celu przeprowadzenia tych rozmów odbyłem liczne podróże. Kilkakrotnie odwiedziłem Columbus i Portsmouth w stanie Ohio, dwukrotnie byłem w Marion i raz w Cincinnati. W miarę zbierania materiałów trzykrotnie trafiłem do Portland, Oregonu i Denver. Pojechałem również do Indianapolis, Nashville, północnego i wschodniego Kentucky, Charlotte w Karolinie Północnej, Boise w stanie Idaho, Phoenix w stanie Arizona, Huntington w Wirginii Zachodniej oraz Albuquerque i Chimayo w Nowym Meksyku.

W ramach przygotowań do napisania tej książki spędziłem cztery dni w Xalisco podczas Feria del Elote – pracowałem wówczas dla „Los Angeles Times” i napisałem złożony z trzech części cykl reportaży o samym mieście, jak również o modelu detalicznego handlu heroiną, wzorowanym na firmach oferujących usługę dowozu pizzy na zamówienie. To był jedyny epizod w mojej karierze, kiedy kłamałem w odpowiedzi na pytanie, czym się zajmuję. Tym, którzy mnie o to pytali, mówiłem, że wraz z fotografem jesteśmy turystami lub nauczycielami języka hiszpańskiego z Kalifornii. Był to ten moment w historii Meksyku, kiedy na porządku dziennym były dekapitacje i masowe mordy. Z estakad i kładek dla pieszych zwisały trupy wisielców, zdarzało się też widzieć stosy ciał na rogach ulic. Zamordowano również wielu dziennikarzy. Mam nadzieję, że w tym kontekście bogowie dziennikarstwa wybaczą mi grzech popełniony w Xalisco. Opuściliśmy miasto, gdy podczas spotkania wyglądającego na zbyt przypadkowe

przedstawiono nas mężczyźnie, który – jak mi powiedziano – miał być nadzorcą działającej w ramach policji stanowej w Nayaricie jednostki zwalczającej porwania. Był to ten sam człowiek, który aż nadto uważnie mi się przypatrywał, gdy kibicowałem na meczu rozgrywanym podczas targów koszykówki.

Stenogram procesu zawsze jest błogosławieństwem dla reportera zajmującego się sprawami kryminalnymi. Ponieważ jednak Chłopaki z Xalisco niemal zawsze przyznawały się do winy, niewiele było tego rodzaju dokumentów pomocnych w scaleniu ich historii. Niemniej ważną sprawą, choć dość wczesną, była ta przeciwko Luisowi Padilli-Peñi w Omaha w stanie Nebraska. To było tuż po tym, jak Chłopaki zaczęły rozszerzać swoją działalność poza dolinę San Fernando. Wdzięczny jestem prokuratorowi Williamowi Mickle'owi za pomoc w uzyskaniu wglądu w ten niezwykle długi stenogram.

Z drugiej strony dostępnych aktów oskarżenia wymierzonych przeciwko Chłopakom z Xalisco jest wiele. Bywają one pomocne z dwóch powodów. Choć nie są zbyt szczegółowe, w kółko przedstawiają tę samą historię. Przypominają siebie nawzajem do tego stopnia, że czytając te z Charlotte, Portland czy Phoenix lub z jakiejkolwiek innej miejscowości leżącej między nimi, utwierdzałem się w odczuciu, że opracowany przez nich system był wiernie powielany w różnych częściach Stanów Zjednoczonych. Ponadto mogłem znaleźć w nich nazwiska prokuratorów, a czasem i śledczych, z którymi później mogłem porozmawiać. Były tam też dane oskarżonych, których wówczas trzymano w odosobnieniu i do których mogłem się zwrócić z prośbą o rozmowę.

Równie bezcenny okazał się stenogram z procesu Michaela Lemana, właściciela klinik Urgent Care w Slidell w stanie Luizjana, Filadelfii i Cincinnati. Dał on między innymi fascynujący obraz tego, jak problem z opiatowymi środkami przeciwbólowymi eksplodował w jednym z hrabstw we wschodnim Kentucky, czyli we Floyd. Miałem okazję uzupełnić go wywiadami z miejscowym prokuratorem Brentem Turnerem, jego ojcem i byłym prokuratorem Arnoldem Turnerem, emerytowanym oficerem śledczym miejscowej policji Randym Hunterem oraz osadzonym w więzieniu Timmym Wayne'em Hallem, jednym z największych handlarzy tabletkami w hrabstwie Floyd.

Duża część materiałów zgromadzonych w Portsmouth pochodziła z rozmów z mieszkańcami odbytych podczas moich wizyt w tym mieście, jak również ze strony facebookowej poświęconej diasporze portsmouthskiej i temu, jakie to miasto niegdyś było. Większość informacji o Dreamlandzie pozyskałem od osób

udzielających się na tej właśnie stronie. Dotarłem również do okazjonalnych doniesień prasowych i artykułów poświęconych historii Portsmouth, które pozwoliły uzupełnić opowieść o schyłku tego miasta oraz historii sławnego kompleksu basenów.

Informacje o Davidzie Procterze i o jego biznesowych naśladowcach pozyskałem przede wszystkim z rozmów z mieszkańcami Portsmouth. Wykorzystałem również sporządzone przez Komisję Licencji Medycznych w Kentucky raporty dotyczące Proctera oraz zatrudnionych przez niego lekarzy. Bezcenne okazały się artykuły prasowe dotyczące ich, a także innych właścicieli fabryk prochów.

Do napisania rozdziałów poświęconych opium, morfinie, heroinie, Ustawie Harrisona i Farmie Narkotyków przyczyniło się wiele książek dotyczących tej tematyki. Klasyczną pozycją omawiającą historię maku lekarskiego i otrzymywanego z niego mleczka makowego, które tak odcisnęło się na historii ludzkości, jest *Opium. A History* autorstwa Martina Bootha. Inne pozycje, z których korzystałem, to:

C. J. Acker, *Creating the American Junkie. Addiction Research in the Classic Era of Narcotic Control*, Baltimore: Johns Hopkins University Press, 2005.

W. S. Burroughs, *Ćpun*, Kraków: vis-à-vis/Etiuda, 2014.

N. Campbell, J. P. Olsen, L. Walden, *The Narcotic Farm. The Rise and Fall of America's First Prison for Drug Addicts*, New York: Abrams, 2008.

D. Courtwright, *Dark Paradise. A History of Opiate Addiction in America*, Cambridge: Harvard University Press, 2001.

D. F. Musto, *The American Disease. Origins of Narcotic Control*, New York: Oxford University Press, 1999.

One Hundred Years of Heroin, ed. D. F. Musto, Santa Barbara: Praeger, 2002.

Opioids and Pain Relief. A Historical Perspective, ed. M. L. Meldrum, Seattle: IASP Press, 2003.

E. C. Schneider, *Smack. Heroin and the American City*, Philadelphia: University of Pennsylvania Press, 2008.

Wellcome Witnesses to Twentieth Century Medicine, ed. L. A. Reynolds, E. M. Tansey, vol. 21, *Innovation in Pain Management*, London: QMUL History C20 Medicine, 2004.

W rozdziałach poświęconych rewolucji w terapii bólu opierałem się na wspomnieniach lekarzy, którzy uprawiali swój zawód pod koniec lat

osiemdziesiątych i na początku lat dziewięćdziesiątych. Szczegółowe informacje na temat wczesnych koncepcji związanych z zarządzaniem bólem, działalności Cicely Saunders i Roberta Twycrossa w londyńskim Hospicjum pod wezwaniem Świętego Krzysztofa oraz opracowania przez Jana Stjernswärda drabiny analgetycznej WHO można znaleźć w serii publikacji *Innovation in Pain Management*. Wykorzystałem również zapisy wypowiedzi, które profesor Marcia Meldrum pozyskała od Kathleen Foley i Russella Portenoya. Są one dostępne na Uniwersytecie Kalifornijskim w zbiorze John C. Liebeskind History of Pain Collection.

Przy rejestrowaniu zasięgu zjawiska nadużywania opiatów korzystałem z badań przeprowadzonych przez agencje rządowe, przede wszystkim Agencję do spraw Nadużywania Substancji Odurzających i Ochrony Zdrowia Psychicznego (Substance Abuse and Mental Health Services Administration – SAMHSA) oraz Centrów Kontroli Chorób (Centers for Disease Control). Biuro Kontroli Rządu (Government Accountability Office – GAO) opublikowało dwa ważne raporty, z których jeden zawiera analizę sytuacji klinik metadonowych w Stanach Zjednoczonych, a drugi dokonaną w 2003 roku analizę kampanii promocyjnych prowadzonych przez Purdue Pharmę w pierwszych sześciu latach po wypuszczeniu na rynek OxyContinu.

W opisie kampanii firmy Purdue wykorzystałem również wywiady z lekarzami – w tym ze zmarłym już Phillipem Priorem – artykuły prasowe, reklamy z czasopism medycznych, fragmenty książki Barry'ego Meiera *Pain Killer* oraz wywiad z byłym prokuratorem federalnym Johnem Brownlee'em.

Przez cały czas trwania tej odysei polegałem też na swoim ponad dwudziestosiedmioletnim doświadczeniu dziennikarskim. Uczyłem się dziennikarstwa kryminalnego przez cztery lata we wspaniałym kalifornijskim mieście Stockton. Mieszkając i podróżując po Meksyku przez dziesięć lat, miałem okazję do opowiedzenia o wiele dłuższych historii. Upajałem się opowieściami o *ranchos*, *valientes*, *corridos*, *pistoleros* i historiami, które składają się na życie każdego imigranta. Więcej można o tym przeczytać w moich poprzednich książkach: *True Tales from Another Mexico. The Lynch Mob, the Popsicle Kings, Chalino, and the Bronx* i *Antonio's Gun and Delfino's Dream. True Tales of Mexican Migration.*

Na koniec zapraszam do odwiedzenia mojej strony internetowej: www.samquinones.com.

Tam znajduje się spis, częściowo podlinkowany, do wielu innych źródeł, w tym nagrań audio i wideo z wywiadów oraz utworów muzycznych zamieszczonych na YouTubie, które wykorzystałem do przekazania tej prawdziwej opowieści.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl,
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl,
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl,
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2018
Wydanie I